

**Greg Bear**

**Dzieci  
Darwina**

Przełożył  
Janusz Pulryn

**SOLARIS**  
Stawiguda 2009



*Dla mego ojca, Dale'a Franklina Beara*

**Część pierwsza**

# **SHEVA + 12**

Ameryka to okrutny kraj. Mnóstwo w niej ludzi, którzy ot, tak sobie, zdepczą cię nogą jak mrówkę. Posłuchaj wypowiedzi słuchaczy w radio. Pełno marionetek, okrutnie mało tych, którzy pociągają za sznurki.

Za piknikami i odznakami skautów kryje się wilczy pomruk.

Chcą zabić nasze dzieci. Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece.

*Anonimowy zapis, ALT.NEWCHILD.FAM*

Powołując się na „poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego”, Urząd Stanu Wyjątkowego zażądał w tym tygodniu od Departamentu Sprawiedliwości USA uprawnień do śledzenia i zamykania stron internetowych rodziców SHEVY, a nawet wydań elektronicznych gazet i czasopism, które zamieszczają nierzetelne informacje - „kłamstwa” - o USW i rządzie Stanów Zjednoczonych. Niektóre grupy, broniące praw rodziców, już złożyły skargi na ten przepis. Według pragnących zachować anonimowość źródeł urzędnicy średniego szczebla Departamentu Sprawiedliwości przekazali pozew do urzędu prokuratora generalnego w celu dalszego postępowania prawnego.

Niektórzy prawnicy twierdzą, że w razie udzielenia takich uprawnień nawet wydania internetowe oficjalnych gazet będą mogły paść ofiarą ataku hakerów albo zostać zablokowane bez ostrzeżenia, a nadanie owych uprawnień przypuszczalnie odbędzie się niejawnie.

*„Seattle Times-PI Online”*

Bóg nie ma nic wspólnego z pojawieniem się tych dzieci. Nieważne, co myślicie o kreacjonizmie bądź ewolucji, musimy teraz polegać na sobie.

*Owen Withey, „Creation Science News”*

# 1

## Hrabstwo Spotsylvania, Wirginia

Ciemny i cichy ranek otulał dom. Mitch Rafelson, trzymający kubek z kawą, półprzytomny po zaledwie trzech godzinach snu, stał na tylnym ganku. Na niebie nadal widniały gwiazdy. Kilka wytrwałych ciem i chrząszczy bzycało, latając wokół lampy. Szopy próbowały się dostać do kubła na śmieci za domem, ale dawno już odeszły, prychając i przepychając się, zniechęcone długością łańcucha.

Świat wydawał się pusty i nowy.

Mitch włożył kubek do zlewu w kuchni i wrócił do sypialni. Kaye leżała w łóżku, jeszcze spała. W lustrze nad toaletką poprawił krawat. Nigdy nie wyglądał w nim dobrze. Skrzywił się, gdy zobaczył, jak garnitur zwisa z jego szerokich ramion, jak kołnierzyk białej koszuli luźno obejmuje szyję, a jej rękawy wystają poza mankiety marynarki.

Wieczorem doszło do kłótni. Mitch, Kaye i Stella, ich córka, aż do drugiej w nocy siedzieli w ciasnej sypialni, usiłując postawić na swoim. Stella czuła się wyobcowana. Chciała, potrzebowała, kontaktów z nastolatkami takimi jak ona. Pragnienie było zasadne, ale nie mieli wyboru.

Kłótnia nie była pierwsza i pewnie nie ostatnia. Kaye zawsze przyjmowała takie kryzysy z wypracowanym spokojem, w przeciwieństwie do wykrętów i wymówek Mitcha. Jasne, że się wykręcali. Nie mieli odpowiedzi na pytania Stelli, jej argumentom nie przeciwstawiali żadnych rozsądnych swoich. Oboje wiedzieli, że rozpaczliwie potrzebuje przebywania z podobnymi sobie, odnalezienia własnej drogi.

Wreszcie, mając dość, Stella wyszła wściekła, trzaskając drzwiami swojego pokoju. Kaye zaczęła płakać. Mitch obejmował ją w łóżku, aż powoli zapadła w niespokojny sen, a on wpatrywał się w ciemny sufit, śledząc odbicia światła ciężarówka jadącej powoli wiejską drogą, jak zawsze zastanawiając się, czy skręci w podjazd do nich, przybędzie po ich córkę, licząc na nagrodę albo w gorszym celu.

Nie znosił siebie w tym, co Kaye nazywa łachami pana Smitha - od filmu *Pan Smith jedzie do Waszyngtonu*. Uniósł jedną rękę i przekręcił, przyglądając się wnętrzu dłoni, długim, silnym palcom, obrączce - choć on i Kaye nigdy formalnie się nie pobrali. Miał łapę jak wiejski cham.

Nie znosił wyjazdów do stolicy, mijania wszystkich posterunków kontrolnych,

wykorzystywania przepustki wydanej przez kongresmana. Powolnego wyprzedzania ciężarówek wojskowych pełnych żołnierzy, przeznaczonych do powstrzymywania kolejnego zrozpaczonego rodzica przed zdetonowaniem kolejnej samobójczej bomby. Od wiosny doszło do trzech takich wybuchów.

A teraz w Riverside w Kalifornii.

Mitch podszedł do lewej strony łóżka.

- Dzień dobry, kochana - szepnął. Stał przez chwilę, patrząc na swą kobietę, swą żonę. Przesunął wzrokiem po rękawie góry od piżamy, wpatrując się w każdą zmarszczkę sztucznego jedwabiu, każdy aksamitny odbłask poświaty przed brzaskiem, aż do szczupłych dłoni, skurczonych palców, mocno obgryzionych paznokci.

Pochylił się, aby pocałować jej policzek i okryć kołdrą rękę. Powieki Kaye zatrzępotały i otworzyła oczy. Pogładziła palcami tył jego głowy.

- Powodzenia - powiedziała.

- Wrócę przed czwartą - odrzekł.

- Kocham cię - Kaye z westchnieniem opadła na poduszkę.

Następnym przystankiem był pokój Stelli. Mitch nigdy nie wyjeżdżał bez dokonania obchodu, nasycenia oczu i pamięci obrazami żony, córki i domu, jak gdyby w przypadku utraty ich wszystkich mógł w przyszłości odtwarzać sobie tę chwilę. Dużo by mu to dało.

W pokoju Stelli panował uporządkowany nieład, będący wynikiem licznych zajęć mających zastąpić posiadanie przyjaciół. Na ścianie nad łóżkiem przypięta pożegnalne zdjęcie ich rudego, przegowanego kota spod ciemnej gwiazdy. Małe pluszowe zwierzaki zajmowały cedrową szafkę, oczka z paciorków lśniły tajemniczo w ciemności. Stare książki w miękkich okładkach wypełniały mały regał z sosnowych desek, ostatniej zimy zbity razem przez Mitcha i Stellę. Stella lubi pracować z ojcem, ale Mitch już od kilku lat zauważał, jak zwiększa się dystans między nimi.

Leżała na plecach w łóżku, już od roku dla niej za krótkim. W wieku jedenastu lat była niemal wzrostu Kaye i na swój sposób ładna, szczupła i z okrągłą głową, skórą barwy jasnej miedzi i starego złota w blasku nocnej poświaty, ciemnobrązowymi włosami z rudawym odcieniem, zupełnie jak u Kaye i niewiele dłuższymi.

Ich rodzina stała się trójkątem, nadal mocnym, ale jego trzy boki wydłużały się z każdym miesiącem. Ani Mitch, ani Kaye nie byli w stanie dać Stelli tego, czego naprawdę potrzebowała.

A sobie nawzajem?

Podniósł wzrok, aby popatrzeć na pomarańczową linię wschodzącego słońca,

widoczną za przejrzystymi, białymi firankami okna pokoju Stelli. Wieczorem, z piegami gniewu na policzkach, Stella domagała się, aby powiedzieli, kiedy pozwolą jej wychodzić samej z domu, bez makijażu, przebywać z dziećmi w jej wieku. Dziećmi takimi jak ona. Minęły dwa lata od jej ostatniej „zabawy”.

Kaye dokonywała cudów, ucząc Stellę w domu, ale ta poprzedniego wieczoru mówiła prawdę, powtarzając raz po raz, z narastającymi emocjami: „Nie jestem taka jak ty!”. Po raz pierwszy Stella wprost oznajmiła: „Nie jestem człowiekiem!”.

Choć oczywiście była. Tylko głupcy uważali inaczej. Głupcy i potwory, a także ich córka.

Mitch pocałował Stellę w czoło. Miała ciepłą skórę. Nie obudził jej. Śpiąca Stella pachniała swoimi snami, a teraz miała zapach łez z posmakiem soli i smutku.

- Muszę iść - szepnął. Policzkami Stelli przeszły fale złotych cętek. Mitch się uśmiechnął.

Nawet śpiąc, jego córka potrafiła się pożegnać.

**2**

**Ośrodek Badawczy Dawnych Wirusów,  
Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych,  
Medical Research Institute of Infectious Diseases:  
USAMRIID  
Fort Detrick, Maryland**

- Ludzie umierają, Christopherze - powiedziała Marian Freedman. - Czy to nie dość, abyśmy byli ostrożni, a nawet trochę przewrażliwieni?

Christopher Dicken szedł przy niej, utykając na swą zranioną nogę i wpatrując się w stalowe drzwi na końcu betonowego korytarza. Jego identyfikator National Cancer Institute nadal wystawał z kieszonki marynarki. Christopher trzymał wielki bukiet róż i lilii. Spierali się przez całą drogę od biurka przy wejściu, wiodącą przez cztery punkty kontrolne ochrony.

- Nikt od dziesięciolecia nie zdiagnozował przypadku choroby Shivera - odparł Dicken. - I nikt nie zaraził się chorobą od dzieci. Izolowanie ich wynika z przyczyn politycznych, a nie biologicznych.

Marian wzięła jednodobową przepustkę i przesunęła nią w skanerze. Stalowe drzwi otworzyły się, ukazując poziome, zielone jak szkła okularów przeciwsłonecznych rury

wejściowe, wiszące niby płatanina korytarzy dla chomików nad dwuakrowym basenem z szorstkiego, szarego betonu. Wyciągnęła rękę, wskazując, aby wszedł pierwszy - O shiverze wiesz z pierwszej ręki.

- Przechodzi po paru tygodniach - powiedział Dicken.

- Trwał pięć i o mało cię nie zabił. Mnie nie oszukasz swą brawurą łowcy wirusów.

Dicken wszedł powoli na kładkę, z trudem oceniając głębokość jedynym okiem, do tego skrytym za grubą soczewką. - Ten facet bił swoją żonę, Marian. Cierpiała od trudnej ciąży. Stres i ból.

- Racja - potwierdziła Marian. - Na pewno jednak nie dotyczyło to pani Rhine, nie zaprzeczysz?

- To inna sprawa - przyznał Dicken.

Freedman uśmiechnęła się prawie bez radości. Bywała niekiedy złośliwa, ale chyba brakowało jej poczucia humoru. Obowiązki, ciężka praca, odkrycia i godność wypełniały kierat jej życia. Marian Freedman była gorliwą feministką, nigdy nie wyszła za mąż i należała do najlepszych i najbardziej oddanych nauce uczonych, jakich Dicken spotkał w swym życiu.

Razem poszli na północ aluminiową kładką. Freedman dostosowywała swój chód do jego kroków. Na końcu rur wejściowych czekały wysokie stalowe cylindry, obudowy wind wiodących do pomieszczeń znajdujących się poniżej szczelnej betonowej płyty. Cylindry wieńczyły wielkie, kwadratowe „kapelusze”, opalane gazem piece osiągające wysokie temperatury, które sterylizowały powietrze wmykające się z laboratoriów pod nimi.

- Witam w domu zbudowanym przez Augustine'a. A właśnie, co u Marka?

- Ostatnim razem, gdy go widziałem, było nie najlepiej - odpowiedział Dicken.

- Czemu wcale mnie to nie dziwi? Oczywiście powinnam mu współczuć. Mark dał mi awans, przesuując od badań nad szympanсами do zajmowania się panią Rhine.

Przed dwunastu laty Freedman kierowała laboratorium naczelnym w Baltimore. Było to w czasach, gdy Centers for Disease Control tworzyły dopiero zespół specjalny do badań nad zarazą Heroda. Mark Augustine, ówczesny dyrektor CDC i szef Dickena, miał nadzieję wydebić od Kongresu dodatkowe fundusze pomimo panującej posuchy fiskalnej. Herod, którego podejrzewano o spowodowanie tysięcy poronień niesamowicie zdeformowanych płodów, wydawał się właściwym straszakiem.

Szybko wykryto, że herod to skutek zarażenia się jednym z tysięcy ludzkich retrowirusów endogennych - w skrócie HERV, od angielskiego określenia Human Endogenous Retrovirus - które wszyscy ludzie zawierają w swoim DNA. Dawny wirus, świeżo uwolniony, zmutowany i zakaźny, został szybko nazwany SHEVA, co było skrótem



angielskiego terminu Scattered Human Endogenous Viral Activation, czyli uaktywnienie rozproszonego ludzkiego wirusa endogennego.

W tamtych czasach wirusy uważano jedynie za samolubne czynniki chorobotwórcze.

- Oczekuje spotkania z tobą - powiedziała Freedman. - Ile czasu minęło od twojej poprzedniej wizyty?

- Sześć miesięcy - odparł Dicken.

- Mój ulubiony pielgrzym, przybywający pokornie i z czcią do naszego wirusowego Lourdes - stwierdziła Freedman. - Cóż, jest cudem, zgadza się. I jest w niej, biedaczce, coś ze świętej.

Freedman i Dicken minęli rozdroże, w którym rury rozchodziły się na południowy zachód, południowy wschód i północny zachód, wiodąc do innych szybów. Na zewnątrz letni poranek szybko stawał się coraz cieplejszy. Słońce wisiało tuż nad horyzontem, niby przygniatana zielonkawa kula. Chłodne powietrze pulsowało wokół nich, pojękując, jakby w ciężkim oddechu.

Dotarli do końca głównej rury. Grawerowana wizytówka z plastikowego laminatu na drzwiach na prawo od windy nosiła napis „MRS. CARLA RHINE”. Freedman nacisnęła pojedynczy biały przycisk. W uszach Dickena pstryknęło, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

SHEVA okazała się czymś więcej niż chorobą. Rozsiewany jedynie przez mężczyzn, żyjących w trwałych związkach, aktywny retrowirus był posłańcem genetycznym, przenoszącym złożone instrukcje wiodące do nowego rodzaju narodzin. SHEVA zakażała świeżo zapłodnione ludzkie komórki jajowe - w pewnym sensie zawłaszczając je. Ronione płody Heroda były embriionami pierwszego stadium, zwanymi „córkami pośrednimi”, niewiele więcej niż wyspecjalizowanymi jajnikami, mającymi wytwarzać nowy zestaw precyzyjnie zmutowanych zygot.

Bez dodatkowych kontaktów seksualnych zygoty drugiego stadium zagnieżdżały się i pokrywały cienką, ochronną błoną. Przetrzymywały poronienie płodu pierwszego stadium i zapoczątkowywały nową ciążę.

Dla niektórych wyglądało to na rodzaj dziewiczych narodzin.

Większość płodów drugiego stadium rodziła się w terminie. Na całym świecie, w dwóch falach, które nastąpiły w odstępach czterech lat, przyszedł na świat trzy miliony nowych dzieci. Przeżyło ponad dwa i pół miliona noworodków. Nadal trwały spory, kim i czym były dokładnie - mutacjami wywołanymi chorobą, podgatunkiem czy całkowicie nowym gatunkiem.

Najprościej nazwać je dziećmi wirusa.

- Carla ciągle je kleci - powiedziała Freedman, gdy winda zjechała na sam dół. - W ostatnich czterech miesiącach wydalila siedemset nowych wirusów. Jakaś jedna trzecia to zakaźne wirusy RNA o ujemnej polaryzacji, potencjalnie naprawdę wredne. Pięćdziesiąt dwa zabijały świnie w ciągu kilku godzin. Dziewięćdziesiąt jeden jest niemal na pewno śmiertelnych dla ludzi. Kolejne dziesięć przypuszczalnie zabija zarówno świnie, jak i ludzi. - Freedman obejrzała się przez ramię, aby zobaczyć jego reakcję.

- Wiem - stwierdził Dicken rzeczowo. Rozcierał biodro. Noga cierpła mu, gdy stał dłużej niż piętnaście minut. Ten sam wybuch w Białym Domu, który przed dwunastu laty kosztował go oko, uczynił go częściowym kaleką. Trzy rundy operacji chirurgicznych pozwoliły mu pozbyć się kuli, ale nie bólów.

- Ciągle jesteś na bieżąco, nawet w NCI? - zapytała Freedman.

- Staram się - odparł.

- Dzięki Bogu są tylko cztery osoby takie jak ona.

- To nasza wina - powiedział i przerwał, aby się pochylić i rozmasować łydkę.

- Być może, ale Matka Natura i tak jest wredna - stwierdziła Freedman, przyglądając mu się z rękoma opartymi o biodra.

Mała śluza na końcu betonowego korytarza przepuściła ich na główne piętro. Znajdowali się teraz pięćdziesiąt stóp poniżej poziomu gruntu. Strażniczka w wyprasowanym zielonym mundurze sprawdziła ich przepustki i zezwolenia, porównując je w komputerze z harmonogramem wizyt pracowników i gości.

- Proszę poddać się identyfikacji - powiedziała. Oboje stanęli przed skanerami i jednocześnie przycisnęli kciuki do płytek czytników. Sanitariuszka w zielonym fartuchu szpitalnym zaprowadziła ich do obszaru sterylnego.

Pani Rhine przeznaczono jedno z dziesięciu podziemnych mieszkań; obecnie zajęte były cztery. Mieszkania zajmowały środek najbardziej odizolowanego i bezpiecznego laboratorium badawczego na Ziemi. Choć Dicken i Freedman byli zawsze oddzieleni od pani Rhine grubą na cztery cale szybą z akrylu, musieli za każdym razem przed spotkaniem i po nim przechodzić szorowanie całego ciała. Przed wejściem do strefy widzeń i laboratorium pośredniego, zwanych obszarem wewnętrznym, musieli zakładać jako bieliznę specjalne kombinezony z kapturami, nasycone powoli uwalnianymi środkami przeciwwirusowymi, a na nie szczelne skafandry z tworzywa sztucznego, i przypinać się do przewodów dostarczających powietrze pod nadciśnieniem.

Pani Rhine i jej towarzyszki w ośrodku nigdy nie widywały na żywo ludzi, którzy nie byłiby odziani w stroje przypominające balony noszone podczas parad.

Przy wychodzeniu staną pod prysznicem ze środkiem odkażającym, rozbiorą się i znowu wejdą pod prysznic, szorując wszystkie otwory ciała. Skafandry będą przez noc moczone i sterylizowane, a kombinezony zostaną spalone.

Cztery kobiety internowane w ośrodku były dobrze karmione i regularnie ćwiczyły. Ich kwatery - każda mniej więcej wielkości mieszkania z dwiema sypialniami - sprząтали automatyczni służący. Miały swoje hobby - pani Rhine bardzo się w nie angażowała - i dostęp do szerokiego wyboru książek, czasopism, programów telewizyjnych i filmów.

Kobiety stawały się oczywiście coraz większymi dziwaczkami.

- Czy są jakieś guzy? - spytał Dicken.

- Czy to pytanie oficjalne?

- Osobiste - odrzekł.

- Nie - powiedziała Freedman. - Ale to tylko kwestia czasu. Dicken przekazał kwiaty sanitariuszce.

- Nie ugotujcie ich.

- Zajmę się nimi osobiście - obiecała sanitariuszka z uśmiechem. - Dostanie je, zanim skończycie tutaj. - Wręczyła im dwie zapieczętowane torby z białego papieru, zawierające kombinezony, i pokazała drogę do kabin prysznicowych, a następnie do wysokich szafek, w których wisiały skafandry izolujące, błyszczące i zielone niczym ogórki konserwowe.

Christopher Dicken był legendą nawet w Fort Detrick. Dotarł śladem pani Rhine aż do motelu w Bend w stanie Oregon, dokąd uciekła po śmierci jej męża i córki. Namówił ją do otworzenia drzwi małego, skąpo umeblowanego pokoju i spędził z nią dwadzieścia minut, bez ochrony, podczas gdy furgonetki Urzędu Stanu Wyjątkowego zajeżdżały na parking.

Uczył to wszystko, choć rok wcześniej w Meksyku złapał już shivera od innej kobiety, czterdziestoletniej i przy kości, w siódmym miesiącu ciąży, ciężko pobitej przez męża. Niski, głupi, przypominający szakala mężczyzna z długim rejestrem przestępstw zostawił ją samą i bez pomocy lekarskiej w pokoiku w głębi nędznego mieszkania, gdzie przebywała trzy miesiące. Dziecko urodziło się martwe.

Coś wewnątrz kobiety wywołało obronną reakcję wirusową, wzmocnioną przez SHEVE, a skutki tego spadły na jej męża. Podczas najmroczniejszych wczesnych poranków, kiedy Dicken chodził po pokoju dręczony bólami fantomowymi i rzeczywistymi nogi, samotny i całkowicie świadomy, myślał często o śmierci męża jako akcie sprawiedliwości, przy którym jego własne narażenie się na atak wirusa i wynikła stąd choroba były przypadkowym skutkiem ubocznym - ryzykiem zawodowym.

Przypadek pani Rhine był odmienny. Jej kłopoty wynikły ze splotu sił ludzkich i

natury, którego nikt nie był w stanie przewidzieć.

W końcu lat dziewięćdziesiątych cierpiała na bardzo ciężką chorobę nerek i poddano ją eksperymentalnej terapii - przeszczepowi nerki świni. Transplantacja się powiodła. Trzy lata później zaraziła się od męża SHEVA. Wywołało to skwapliwe uwolnienie przez komórki świńskie PERV - tym skrótem od angielskiej nazwy Porcine Endogenous Retrovirus określano świński wirus endogeny. Zanim panią Rhine zdiagnozowano i odizolowano w Fort Derrick, jej świńskie i ludzkie retrowirusy wymieniły się genami - nastąpiła ich rekombinacja - z utajonym wirusem opryszczki pospolitej i rozpoczęła się ekspresja, z szatańską kreatywnością, istnej puszką Pandory chorób uspiionych od dawna i mnóstwa nowych.

„Oprządkowanie pradawnych wirusów” - jak nazwał je Mark Augustine niby prawdziwy prorok.

Mąż pani Rhine, jej dopiero co narodzona córeczka oraz siedmioro krewnych i znajomych zarazili się pierwszymi tworzonymi przez nią wirusami. Wszyscy zmarli w ciągu kilku godzin.

Z czterdziestu jeden osób, którym w Stanach Zjednoczonych przeszczepiono tkanki świni, a które potem zaraziły się SHEVA, żyły jeszcze tylko kobiety zamknięte w ośrodku. Wskutek ironii losu były odporne na produkowane przez siebie wirusy. Cztery odizolowane kobiety nigdy nie złapały przeziębienia czy grypy. Dzięki temu stanowiły nadzwyczajny przedmiot badań - śmiertelnie niebezpieczny, lecz bezcenny.

Pani Rhine była spełnieniem marzeń łowcy wirusów i kiedy tylko śniła się Dickenowi, budził się zlany zimnym potem.

Nigdy nikomu się nie przyznał, że jego odwiedziny u pani Rhine w tamtym pokoju motelu w Bend stanowiły przejaw nie tyle odwagi, co bezmyślnej obojętności. Było mu wtedy po prostu obojętne, czy przeżyje, czy umrze. Cały świat stanął dlań do góry nogami, wszystko, co uważał za znane sobie, oślepiało go teraz ostrym, bezlitosnym blaskiem.

Do pani Rhine miał szczególny stosunek, gdyż oboje przeszli przez piekło.

- Ubierz się - powiedziała Freedman. Zdjęli ubrania w osobnych kabinach i schowali je do szafek. Małe ekrany zamontowane obok licznych pryszniców znajdujących się w każdej kabinie przypomniwały im, gdzie i jak mają się szorować.

Freedman pomogła Dickenowi naciągnąć kombinezon na sztywną nogę. Oboje nałożyli rękawiczki z grubego plastiku, potem wsunęli ręce w zakończone ślepo rękawy zielonych jak korniszony skafandrów. Ich dłonie miały teraz taką samą swobodę ruchów, jakby tkwiły w jednopalcowych futrzanych rękawicach. Bezpalcowe skafandry były

mocniejsze, bezpieczniejsze i tańsze, nikt też po odwiedzających wewnętrzną strefę nie oczekiwał delikatnej pracy laboratoryjnej. Małe plastikowe haczyki umieszczone w każdej rękawicy od strony kciuka pozwoliły im zaciągnąć wzajemnie zamki błyskawiczne na plecach, a potem ściągnąć nakładkę z tworzywa sztucznego, znajdującą się po wewnętrznej stronie lepkiego szwu. Specjalne szczypce przyciskały szew do zamka błyskawicznego.

Ubieranie się zajęło im dwadzieścia minut.

Przeszli do następnego zestawu pryszniców, a potem przez kolejną śluzę powietrzną. Zamknięty w niemal pozbawionym powietrza kapturze Dicken czuł, jak wydechana przez niego para skrapla się na twarzy i spływa po kombinezonie. Za drugą śluzą powietrzną wzajemnie przypięli się do przewodów - znajomych węży z tworzywa sztucznego, zwisających z pobrzękujących stalowych haków umocowanych do wiszącej na suficie szyny.

Ich skafandry napompowały się pod ciśnieniem. Napływ świeżego, chłodnego powietrze ożywił Dickena.

Poprzednim razem pod koniec odwiedzin dostał w skafandrze krwotoku z nosa. Freedman uratowała go przed tygodniami kwarantanny, stawiając diagnozę i osobiście tamując krew.

- Możecie wejść do strefy wewnętrznej - powiedziała im sanitariuszka przez głośnik w grodzi.

Ostatni właz otworzył się z łagodnym szeptem. Dicken wszedł przed Freedman do strefy wewnętrznej. Jednocześnie skręcili w prawo i zaczekali, aż uniesie się stalowa przegroda.

Kilka przypadków shivera zapoczątkowało co najmniej setkę bezpośrednich starć i wywołało poruszenie w badaniach medycznych i zbrojeniowych. Skoro prześladowane przemocą kobiety i inne, z przeszczepionymi tkankami innych gatunków, potrafią same z siebie tworzyć i uaktywniać tysiące zabójczych zaraz, to do czego mogą być zdolne dzieci wirusa?

Dicken zacisnął szczęki, zastanawiając się, jak mocno przez te sześć miesięcy zmieniła się Carla Rhine.

„Jest w niej, biedaczce, coś ze świętej”.

**Biuro Rozpoznania Specjalnego**  
**Leesburg, Wirginia**

Mark Augustine, podpierając się laseczką, szedł długim podziemnym tunelem w ślad za muskularną, rudowłosą kobietą pod czterdziestkę. Wielkie rury dostarczające parę biegły po obu stronach tunelu, powietrze w nim było ciepłe. Wiązki przewodów światłowodowych i kabli kołysały się, zwisając z długich, stalowych podpór podwieszonych pod betonowym sufitem, daleko od rur.

Kobieta nosiła ciemnozielony jedwabny kostium, czerwoną apaszkę i sportowe buty do biegania, szare od kurzu na zewnątrz. Augustine powłóczył półbutami na grubych podszwach, stukając nimi, gdy spocony pokonywał kilka stopni. Kobieta nie zważała na jego powolny krok.

- Po co tu przybyłem, Rachel? - zapytał. - Jestem zmęczony. Byłem w drodze. Mam sporo roboty.

- Coś się dzieje, Marku. Jestem pewna, że będziesz zachwycony! - zawołała Browning przez ramię. - Wreszcie zlokalizowaliśmy zaginioną od dawna koleżankę.

- Kogo?

- Kaye Lang - odpowiedziała.

Augustine wykrzywił twarz. Czasami wyobrażał sobie siebie jako bezzębnego starego tygrysa w rządzie pełnym żmij. Niebezpiecznie blisko mu było do zostania figurantem, a nawet gorzej, pajacem na opuszczonym czołgu. Jedyłą pozostałą mu taktyką przetrwania było pozornie bierne przyglądanie się, jak wyprzedzają go młodzi, żądni władzy biurokraci, zwabiani do Waszyngtonu wonią rodzącej się tyranii.

Pomagała laseczka. Jesienią ubiegłego roku upadł pod prysznicem i złamał nogę. Jeśli zostanie uznany za słabego i głupiego, zyska przewagę.

Przykładem najgłębszej otchłani bezdusznych braków kadrowych Waszyngtonu była kariera osobista Rachel Browning. Specjalistka od zarządzania danymi komorniczymi, żona dyrektora telekomunikacji w Connecticut, którego rzadko widywała, zaczynała siedem lat wcześniej jako asystentka Augustine'a w USW - Urzędzie Stanu Wyjątkowego, przeszła stamtąd do przeszkadzającej w działaniu zagranicznych spółek komórki w National Security Agency, aż wreszcie wykonała następny skok, stając na czele wydziału śledczego i

wykonawczego USW. Zorganizowała Biuro Rozpoznania Specjalnego - BRS - specjalizujące się w śledzeniu dysydentów i wywrotowców oraz w infiltracji organizacji radykalnych rodziców. BRS miało wspólne satelity i inne wyposażenie z National Reconnaissance Office - Narodowym Biurem Rozpoznania.

Dawno, dawno temu, w innym życiu, Browning była dlań wielce użyteczna.

- Kaye Lang Rafelson nie da się tak łatwo zwabić i zwinąć - powiedział Augustine. - Jej córka nie będzie jedynie kolejnym nacięciem na rączce naszej siatki na motyle. Musimy być z nimi bardzo ostrożni.

Browning przewróciła oczami.

- Podpada pod wszystkie dyrektywy, jakie otrzymuję. Na pewno nie będę jej traktować jak świętej krowy. Minęło już siedem lat, odkąd była u Oprah.

- Jeśli zechciałabyś kiedykolwiek pouczyć się politologii, a tym bardziej public relations, znam doskonale kursy licencjackie w City College.

Browning ponownie przybrała swój firmowy sztywny, pancerny uśmiech, na pewno wystarczający na bezzębnego tygrysa.

Razem doszli do windy. Otworzyły się drzwiczki. Żołnierz piechoty morskiej z zamkniętym w kaburze pistoletem kaliber dziewięć milimetrów powitał ich twardym spojrzeniem szarych oczu.

Dwie minuty później stanęli w małym prywatnym gabinecie. Cztery monitory plazmowe, przypominające japońskie parawany, stały na stalowych stelażach za zajmującym środek pokoju biurkiem. Ściany były nagie i beżowe, pokryte gęsto upakowanymi pochłaniającymi dźwięki płytami z pianki.

Augustine nie znosił zamkniętych pomieszczeń. Z czasem znienawidził wszystko, czego dokonał w ostatnich jedenastu latach. Całe jego życie było zamkniętym pomieszczeniem.

Browning zajęła jedyny fotel, położyła dłonie na klawiaturze i manipulatorze kulkowym. Palce jednej ręki zatańczyły na klawiszach, drugą trzymała kota i zasysając przez zęby powietrze wpatrywała się w monitor.

- Mieszkają jakieś sto mil na południe stąd - szepnęła, skupiając się na swym zadaniu.

- Wiem - powiedział Augustine. - Hrabstwo Spotsylvania.

Zaskoczona uniosła wzrok, potem przechyliła głowę na bok.

- Od dawna to wiesz?

- Od półtora roku - odparł Augustine.

- Czemu ich nie zgarniemy? Miękkie serce czy rozmiękczony mózg?

Augustine skwitował to mrugnięciem niewyrażającym ani zdania, ani uczucia. Poczul, jak napinają mu się mięśnie twarzy. Niedługo policzki zaczną go piekielnie boleć: trwały skutek wybuchu w podziemiach Białego Domu, bomby, która zabiła prezydenta, o mało nie kosztowała życia jego samego i zabrała oko Christophera Dickena.

- Niczego nie widzę.

- Sieć jeszcze się uruchamia - powiedziała Browning. - Potrwa to parę minut. Ptaszek rozmawia z Głębokim Okiem.

- Śliczne zabawki - skomentował.

- Ty je wymyśliłeś.

- Właśnie wracam z Riverside, Rachel.

- Aha. Jak tam?

- Niewyobrażalnie źle.

- Nie wątpię - Browning wyjęła chusteczkę higieniczną z małej, czarnej torebki i delikatnie wydmuchała nos, każde nozdrze osobno. - Mówisz, jakbyś marzył o zwolnieniu cię z dowództwa.

- Na pewno pierwsza się o tym dowiesz - powiedział Augustine.

Rachel wskazała monitor, pstryknęła palcami i jakby było to zaklęcie, pojawił się obraz.

- Głębokie Oko - oznajmiła i oboje wpatrzyli się w mały skrawek krajobrazu Wirginii, porośnięty gęsto zielonymi drzewami i poprzecinany krętymi dwupasmowymi drogami. Soczewki Głębokiego Oka dokonały powiększenia, pokazując dach domu, podjazd z jedną małą półciężarówką, wielkie podwórko otoczone wysokimi dębami.

- A oto... Ptaszek. - Głos Browning stał się głęboki, z niemal erotycznym pomrukiem.

Obraz przeskoczył na samolocik bezpilotowy, niby ważka unoszący się nad domem. Utrzymywał się blisko okienka, potem przystosował ustawienia do porannego blasku, aż pokazał głowę i ramiona dziewczynki, wycierającej myjką twarz.

- Poznajesz ją? - zapytała Browning.

- Ostatnie zdjęcie, jakie mamy, zrobiono cztery lata temu - odparł Augustine.

- Wskazuje to na niewybaczalne zaniedbania obowiązków.

- Masz rację - przyznał.

Dziewczynka wyszła z łazienki i znikła z oczu. Ptaszek wzbił się na wysokość pięćdziesięciu stóp i czekał na instrukcje wydawane przez niewidocznego pilota, znajdującego się zapewne w środku furgonetki stojącej kilka mil od domu.

- To chyba Stella Nova Rafelson - cieszyła się Browning, muskając dolną wargę



długim, pomalowanym na czerwono paznokciem.

- Moje gratulacje. Jesteś podglądaczką - powiedział Augustine.

- Wolę określenie „paparazzo”.

Obraz na ekranie przekreślił się i obniżył, ukazując szczupłą kobietą postać wychodzącą z ganku na frontie na żwirowaną ścieżkę. W jednej ręce trzymała coś małego i kwadratowego.

- To na pewno nasza dziewczyna - stwierdziła Browning.

- Wysoka na swój wiek, przyznasz chyba?

Stella zdecydowanym krokiem szła do furtki w ogrodzeniu z siatki. Ptaszek opadł i powiększył obraz, ukazując dziewczynę do kolan. Rozdzielczość była zdumiewająco wielka. Stella zatrzymała się przy furtce, uchyliła ją i obejrzała się przez ramię, krzywiąc twarz i błyskając cętkami.

Ciemne cętki, pomyślał Augustine. Jest zdenerwowana.

- Co tam knuje? - zapytała Browning. - Wygląda, jakby się wybierała na przechadzkę. I to chyba nie do szkoły.

Augustine patrzył na dziewczynkę idącą powoli zakurzoną ścieżką wzdłuż starej asfaltowej szosy, coraz dalej od domu, jakby była na porannym spacerze.

- Wydarzenia toczą się za szybko - stwierdziła Browning. - Nie mamy nikogo na miejscu. Nie chciałam przegapić okazji, dlatego wezwałam wnykarza.

- Chciałaś powiedzieć: łowcę nagród. To nierozważne.

Browning nie zareagowała.

- Nie chcę tego, Rachel - powiedział Augustine. - To zła chwila na tego rodzaju bombę w wiadomościach, a na pewno na tę taktykę.

- Nie ty ją wybierasz, Marku - odparła Browning. - Polecono mi ją schwytać, wraz z rodzicami.

- Kto ci kazał? - Augustine wiedział, że władza od dawna wymyka mu się z rąk, coraz szybciej po Riverside. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że Riverside doprowadzi do jeszcze mocniejszego upadku.

- To rodzaj sprawdzianu - stwierdziła Browning.

Minister Zdrowia i Opieki Społecznej i prezydent wspólnie kierowali USW. Wielu w Urzędzie chciało to zmienić i całkowicie wykluczyć ministerstwo, skupiając pełnię władzy w swoich rękach. Sam Augustine próbował czegoś podobnego, rok temu, na innym stanowisku.

Browning przejęła od furgonetki kontrolę nad Ptaszkiem i posłała go nad drogę; unosił się dyskretnie w pewnej odległości za Stellą Nova Rafelson.

- Nie sądzisz, że Kaye Lang powinna była po ślubie zachować panieńskie nazwisko?
  - Nigdy nie wzięli ślubu - odpowiedział Augustine.
  - No, no. Gnojki.
  - Pieprz się, Rachel - rzucił.
- Browning uniosła głowę. Jej twarz stężała.
- To ty się pieprz, Marku, bo muszę odwalać twoją robotę.

## 4

### Maryland

Pani Rhine stała w swym pokoju, wpatrując się w grubą szybę z akrylu, jakby widziała za nią duchy innego życia. Pod czterdziestkę, średniego wzrostu, z mocnymi ramionami i nogami, ale poza tym szczupła, o wydatnym, mocnym podbródku. Miała na sobie jasnożółtą sukienkę i białą bluzkę z kamizelką ze skrawków materiałów, którą uszyła sama. Widoczne pod bandażami z gazy części twarzy były czerwone i nabrziałe, a lewe oko znikło pod opuchlizną.

Ręce i nogi całkowicie pokrywały bandaże elastyczne. Ciało pani Rhine próbowało likwidować biliony nowych wirusów, które zręcznie udawały, że są częścią jej samej, pochodzą z jej genomu. Problemy zdrowotne nie były jednak winą wirusów. Główną przyczynę jej cierpienia stanowiła własna odpowiedź układu odpornościowego.

Ktoś, Dicken nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, porównał choroby autoimmunologiczne do oddania ciała we władanie republikanom w Kongresie. Po kilku latach spędzonych w Waszyngtonie docenił niesamowitą trafność tej metafory.

- Christopher? - zawołała ochryplym głosem pani Rhine.

Światła strefy wewnętrznej zapaliły się z pstryknięciem.

- To ja - odpowiedział Dicken; jego głos pod kapturem brzmiał sycząco.

Pani Rhine jak na scenie przesunęła się w bok i dygnęła, jej suknia zaszeleściła. Dicken dostrzegł, że kwiaty od niego włożyła do wielkiego niebieskiego wazonu, tego samego co poprzednio.

- Są piękne - powiedziała. - Białe róże. Moje ulubione. Ciągle zachowały resztkę zapachu. Jak się czujesz?

- Dobrze. A ty?

- Moje życie jest swędzące, Christopherze - odrzekła. - Czytam właśnie *Jane Eyre*.

Gdyby przyszli nakręcić film według tej książki, tu, głęboko wewnątrz Ziemi, a mówię ci, że to zrobią, zagrałabym pierwszą żonę pana Rochester, tamtą biedaczkę. - Pomimo opuchlizny i bandaży uśmiech pani Rhine był olśniewający. - Co powiesz na obsadzenie mnie w tej roli?

- Jesteś raczej zastraszoną, cudowną wewnątrz postacią, która surowego, popadłego prawie w obłęd mężczyznę ratuje przed mroczną częścią jego duszy. Jesteś Jane.

Wzięła składane krzesło i usiadła. Jej pokój wyglądał normalnie, ze zwykłym umeblowaniem - kanapami, krzesłami, obrazami na ścianach, ale brakowało dywanów. Pani Rhine pozwalano robić chodniki. Szydełkowała także i tkala na krosnach w drugim pokoju, daleko od okien. Podobno utkała bajeczny gobelin, na którym był jej mąż i małeńka córeczka, ale nigdy go nikomu nie pokazała.

- Jak długo możesz zostać? - zapytała.

- Ile tylko zdołasz mnie znosić - odparł Dicken.

- Jakąś godzinę - powiedziała Marian Freedman.

- Dają mi znakomitą herbatę. - Głos pani Rhine słabł, gdy patrzyła na podłogę. - Wydaje się dobrze działać na moją skórę. Szkoda, że nie mogę cię nią poczęstować.

- Czy dostałaś ode mnie zestaw DVD? - spytał Dicken.

- Dostałam. Bardzo lubię *Nagle, zeszłego lata* - odparła pani Rhine; jej głos był znowu silniejszy. - Katharine Hepburn tak diabelnie dobrze gra.

Freedman rzuciła mu przez kaptury zaniepokojone spojrzenie.

- Czy to właściwy temat rozmowy?

- Zostaw, Marian - poprosiła pani Rhine. - Czuję się dobrze.

- Wiem, Carla. Jesteś zdrowsza ode mnie.

- To niewątpliwie prawda - przyznała pani Rhine. - Ale wobec tego nie muszę się chyba martwić o s i e b i e? Marian jest dla mnie naprawdę dobra. Szkoda, że nie znałam jej wcześniej. Teraz chciałabym ją uczesać.

Freedman uniosła brew, pochylając się w stronę okna, aby pani Rhine dostrzegła jej minę.

- Ha, ha - rzuciła.

- Naprawdę traktują mnie całkiem znośnie, wszystkie moje profile psychologiczne są prawidłowe. - Twarz pani Rhine straciła napięty, chochlikowaty wyraz, jaki przybierała podczas tego rodzaju przekomarzań. - Wystarczy o mnie. Christopherze, jak radzą sobie dzieci?

Dicken wychwycił nieznaczne zawahanie się jej głosu.

- Radzą sobie dobrze - odpowiedział.

Głos zaczął się jej łamać.

- Chodziłyby do szkoły z moją córką, gdyby żyła. Czy nadal przetrzymują je w obozach?

- Większość. Niektóre się ukrywają.

- A co z Kaye Lang? - zapytała pani Rhine. - Bardzo mnie interesuje, podobnie jak jej córka. Czytałam o nich w czasopiśmie. Widziałam ją w programie Katie Janeway. Czy nadal wychowuje córkę bez pomocy rządu?

- O ile wiem, to tak - odparł Dicken. - Nie mamy z sobą kontaktu. Właściwie zeszła do podziemia.

- Byliście dobrymi przyjaciółmi, czytałam w czasopiśmie.

- Byliśmy.

- Nie powinieneś tracić kontaktu z przyjaciółmi - powiedziała pani Rhine.

- Racja - przytaknął Dicken.

Freedman słuchała cierpliwie. Rozumiała panią Rhine nie tylko jako dbającą o pacjentkę lekarkę, pojmowała także rolę dwóch kobiecych biegunów w pracowitym, lecz samotnym życiu Christophera Dickena: pani Rhine i Kaye Lang, która jako pierwsza zauważyła i przewidziała pojawienie się SHEVY. Obie bardzo mocno nań wpłynęły.

- Czy wiadomo coś o tym, co się dzieje we mnie, o wszystkich tych wirusach?

- Musimy się jeszcze wiele nauczyć - odrzekł Dicken.

- Powiedziałaś, że niektóre wirusy przenoszą posłania. Co szepczą we mnie? Moje świńskie wirusy... czy nadal przenoszą świńskie posłania?

- Nie wiem, Carlo.

Pani Rhine podciągnęła sukienkę i opadła na wyściełane krzesło, potem jedną ręką poprawiła włosy.

- Proszę, Christopherze. Zabiłam swoją rodzinę. Zrozumieć, co się stało; niczego więcej w życiu nie potrzebuję. Powiedz mi choćby odrobinę, zdradź swoje domysły, sny... cokolwiek.

- Dobre czy złe wieści, przekazujemy jej wszystkie. - Freedman pokiwała głową. - Przynajmniej na tyle zasługuje.

Zacinającym się głosem Dicken zaczął przekazywać w zarysie wszystko, czego się nauczył po ostatnich odwiedzinach. Nauka jest bystra, robi postępy. Pomiął cały aspekt zbrojeniowy, skupiając się na nowych dzieciach.

Są zdumiewające i na swój sposób zdumiewająco ładne. Stają się przez to jeszcze większym problemem dla tych, których mają zastąpić.

**Spotsylvania, Wirginia**

- Wyczuwam twój zapach nie gorzej niż pies - powiedział młody mężczyzna w łątanej dzinsowej kurtce do wysokiej, szczupłej dziewczynki o cętkowanych policzkach. Sześciopak piwa Millers postawił ostrożnie na ladzie z laminatu i wyciągnął banknot dwudziestodolarowy. - Luckies - rzucił sprzedawczynie.

- Nie pachnie tak dobrze jak pies - dodał drugi mężczyzna z głupawym uśmiechem. - Śmierdzi gorzej.

- Przestańcie - ostrzegła ich ekspedientka, biorąc pieniądze i podając papierosy. Była chuda jak szczapa, miała rozwichrzone, jasne włosy. Odór wielu wypalonych papierosów unosił się z jej poplamionego kawą fartuszka.

- Tylko gadamy - odpowiedział pierwszy z mężczyzn. Włosy miał związane czerwoną gumką w krótką kitkę. Jego kolega był młodszy, wyższy i przygarbiony; na długich, brązowych włosach tkwiła czapka z daszkiem.

- Ostrzegam cię, bez awantur! - powiedziała sprzedawczynie głosem zjechanym jak stara droga. - Mała, nie zwracaj na niego uwagi, tylko się wygłupia.

Stella schowała resztę i wzięła butelkę gatorade. Miała na sobie szorty, niebieską bluzeczkę odsłaniającą brzuch, tenisówki. Nie nałożyła makijażu. W milczeniu powąchała obu mężczyzn. Zmarszczyła nos. Mieli po dwadzieścia kilka lat, piwne brzuchy, nalane twarze i stwardniałe dłonie. Ich dzinsy były świeżo poplamione farbą, pachnieli cierpko i nieświeżo, jak nieszczęśliwe szczeniaki.

Nie zarabiali wiele i nie byli zbyt bystrzy. Biedniejsi od wielu, łatwo nabierali podejrzeń i wpadali w gniew.

- Nie wygląda na z a k a ż l i w a - powiedział drugi mężczyzna.

- Mówię poważnie, chłopaki, to tylko dziewczynka - nalegała ekspedientka; jej twarz poczerwieniała.

- Jak masz na imię? - zapytała Stella pierwszego mężczyznę.

- Nie twój zasmarkany interes - odparł, po czym popatrzył na kolegę z buńczucznym uśmiechem.

- Zostaw ją - ostrzegła ponownie sprzedawczynie ochryłym głosem. - Mała, lepiej wracaj do domu.

Przygarbiony mężczyzna złapał swój sześciopak za plastikowy uchwyt i ruszył do

drzwi.

- Idziemy, Dave.

Dave zaczął się nakręcać.

- Pieprzona nie pasuje tutaj - powiedział, krzywiąc twarz. - Czemu u diabła mamy znosić to gówno?

- Przestań bluzgać! - zawołała sprzedawczyni. - Tutaj są dzieci.

Stella wyprostowała całe swe pięć stóp dziewięć cali i wyciągnęła dłoń z długimi palcami.

- Miło mi cię poznać, Davidzie. jestem Stella.

Dave z obrzydzeniem spojrział na jej rękę.

- Nie dotknąłbym ciebie nawet za dziesięć milionów dolarów. Czemu nie jesteś w obozie?

- Dave! - krzyknął jego przygarbiony kolega.

Stella czuła narastający zapach rozgorączkowania. Mrowiły ją uszy. W sklepie było chłodno, na dworze gorąco, gorąco i wilgotno. Półtorej godziny szła w słońcu, zanim trafiła na stację benzynową Texaco i weszła przez szklane wahadłowe drzwi, aby kupić coś do picia. Nie miała na sobie makijażu. Inni widzieli wyraźnie, jak zmieniają się cętki na jej policzkach. No trudno. Stała śmiało przy ladzie. Nie chciała krzyżeć na Dave'a, a sprzedawczyni broniła jej z coraz mniejszym przekonaniem.

Dave wyciągnął papierosy. Stella lubiła zapach tytoniu, zanim zostawał zapalony; później już nie znosiła jego smrodu. Wiedziała, że zdenerwowani mężczyźni palą, mężczyźni nieszczęśliwi, mający zmartwienia, żyjący w napięciu. Knykcie ich palców były wydatne, dłonie wyglądały jak u mumii, zniszczone od słońca, pracy i tytoniu. Stella potrafiła wiele powiedzieć o ludziach na podstawie tego, jak pachnieli i wyglądali. „Nasz radarek” - nazywała ją Kaye.

- Ładnie tutaj - powiedziała cicho Stella. Jak tarczę trzymała przed sobą małą książkę.

- Jest chłodno.

- Jesteś gościowa, wiesz? - stwierdził Dave tonem podziwu. - Paskudna gówniara, ale odważna jak skunks.

Kolega Dave'a stał przy szklanych drzwiach. Pot na jego ręce wchodził w reakcję ze stałą klamką i cuchnął jak metalowa łyżeczka zanurzona w lodach waniliowych. Stella nie mogła jeść lodów stalowymi łyżeczkami, gdyż dostawała mdłości od tego smrodu, przypominającego strach i obłąd. Używała tylko plastikowych.

- Kurna, Dave, idziemy! Przyjadą po nią i może zwiną i nas, jeśli będziemy za blisko.

- Tacy jak ja naprawdę nie są z a k a ż l i w i - powiedziała Stella. Podeszła do mężczyzny przy ladzie, wyciągnęła długą szyję, zbliżyła głowę. - Nigdy jednak nie wiadomo, Dave.

Sprzedawczyni wstrzymała dech.

Stella nie zamierzała tego mówić. Nie wiedziała, że jest aż tak szalona. Cofnęła się kilka cali, chcąc przeprosić i się wytłumaczyć, mówić o dwóch rzeczach jednocześnie, używając obu stron języka, aby usłyszeli i poczuli, o co jej chodzi; ale oni by jej nie zrozumieli: podwójne słowa wywołałyby w ich głowach zamieszanie i złość.

Dlatego z ust Stelli, wbijającej wzrok w Dave'a, padło wypowiedziane kojącym, niskim szeptem:

- Nie martw się. Nic ci nie grozi. Gdybyś zechciał mnie zbić, moja krew ci nie zaszkodzi. Mogłabym zostać twoim własnym Jezusem.

Zapach gorączki zrobił swoje. Gruczoły za jej uszami zaczęły wydzielać feromony obronne. Szyja się rozpałała.

- Cholera - rzuciła ekspedientka, przyciskając się do stojącego za nią wysokiego regału z papierosami.

Dave pokazał białka oczu, jak spłoszony koń. Obrócił się i ruszył ku drzwiom, omijając Stellę szerokim łukiem, wciągając do nosa jej zapach. Wyczuwała palący go gniew.

Mężczyzna dołączył do przyjaciela.

- Pachnie jak pieprzona czekolada - powiedział i obaj otworzyli kopniakami szklane drzwi.

Stara kobieta na tyłach sklepu, otoczona regałami zapelnionymi pękatymi torebkami czipsów ziemniaczanych, patrzyła na Stellę. Puszka pringles drżała w jej ręce jak kastaniety.

- Idź stąd!

Ekspedientka przyszła na pomoc staruszce.

- Bierz swoją gatorade i wracaj do domu! - huknęła na Stellę.

- Wracaj do mamusi i nigdy więcej tutaj nie przychodź.

## 6

### **Biurowiec im. Longwortha**

#### **Waszyngton, Dystrykt Kolumbia**

- Ciagle to wałkujemy - powiedział Mitchowi Dick Gianelli, kładąc na stoliku między nimi stosik nadbitek artykułów naukowych. Doniesienia nie były dobre.

Gianelli był niski, gruby, a jego blada zwykle twarz stała się teraz niebezpiecznie czerwona.

- Czytamy wszystko, co nam przysyłasz, odkąd wybrano tego kongresmana. Oni mają jednak dwa razy więcej ekspertów i przysyłają dwa razy więcej dokumentów. Toniemy w papierach, Mitch! A ten język! - Poklepał stosik. - Czy ci wszyscy twoi biolodzy nie mogą pisać zrozumiale? Czy nie uświadamiają sobie, jak ważne jest, aby ich słowa docierały do wszystkich?

Mitch zwiesił obie ręce.

- Nie są moi, Dick. Moimi są archeolodzy, przeważnie piszą nieskazitelną prozą.

Gianelli się roześmiał, wstał z kanapy i potrząsał ramionami, a potem wsadził palec pod ciasny kołnierzyk, jakby wypuszczał parę. Jego pokój był częścią biura przydzielonego kongresmanowi z Wirginii, Dale'owi Wickhamowi, dla którego przez dwie najtrudniejsze kadencje w dziejach USA Dick wiernie pracował jako dyrektor do spraw nauki. Drzwi prowadzące do gabinetu Wickhama były zamknięte. Tego dnia przebywał na Kapitolu.

- Kongresman od lat jasno przedstawia swe poglądy. Twoi koledzy, sami naukowcy, dorwali się do złobu pełnego złota. Wszyscy pracują dla NIH, CDC i Urzędu Stanu Wyjątkowego, gotowi są na najdalej idące kompromisy z własnym sumieniem. Wilson z Federal Emergency Management Agency i Doyle z Departamentu Sprawiedliwości podstawiają nam nogi na każdym kroku, tłoczą się jak szczeniaki, aby ubiegać się o fundusze. Przecistawianie się im jest jak wystawianie się na ostrzał kulami armatnimi.

- No to z czym mam wracać do domu? - zapytał Mitch. - Chciałbym sprawić radość paniom. Czy są jakieś dobre wiadomości?

Gianelli wzruszył ramionami. Mitch go lubił, ale wątpił, aby dożył pięćdziesiątki. Miał wszystkie złowieszcze oznaki: sylwetka w kształcie gruszki, wydatny brzuch, blada skóra, rzędzące czarne włosy, załamane płatki uszu. Sam o tym wiedział. Ciężko pracował, zbyt się przejmował i dusił w sobie rozczarowania. Dobry człowiek na złe czasy.



- Wpadliśmy w medyczny potrzask na niedźwiedzie - powiedział. - Nigdy się na niego nie przygotowaliśmy. Naszą najlepszą odpowiedzią na epidemię były działania wojenne. Dlatego już dziesięć lat mamy Urząd Stanu Wyjątkowego. Praktycznie przekazaliśmy kraj biurokratom ze stolicy, Mitch, wspieranym przez wojskowych i prawników. Ludziom Marka Augustine'a. Oddaliśmy im władzę niemal absolutną.

- Nie sędzę, abym zdołał pojąć ich sposób myślenia - stwierdził Mitch.

- Kiedyś uważałem, że to potrafię - ciągnął Gianelli. - Próbowaliśmy sklecić koalicję. Kongresman wiązał ze sobą ruchy chrześcijańskie, National Rifle Association, zwolenników teorii spiskowych, palących flagi i powiewających nimi, wszystkich, którzy kiedykolwiek bywali choć odrobinę nieufni wobec rządu. Z czapką w łapie pukaliśmy do drzwi wszystkich przyzwoitych sędziów, wszystkich obrońców praw obywatelskich, którzy jeszcze działają otwarcie, nie kryją się w podziemiu dosłownie i w przenośni. Wydeptaliśmy każdy krok na tej drodze. Dano wtedy kongresmanowi do zrozumienia, że jeśli będzie dalej sypał piach w tryby, to on sam osobiście, bez pomocy innych, zmusi prezydenta do wprowadzenia stanu wojennego.

- Co za różnica, Dick? - spytał Mitch. - Mamy zawieszane prawa obywatelskie.

- Tylko jednej szczególnej grupy, Mitchu.

- Mojej córki - jęknął Mitch.

Gianelli pokiwał głową.

- Sądy cywilne nadal działają, choć muszą się trzymać specjalnych wytycznych. Niewiele się zmieniło dla przestraszonych, przeciętnych obywateli, którzy i tak mało się przejmują swymi prawami. Kiedy Mark Augustine sklecił Urząd Stanu Wyjątkowego, wznosił szczelny murek legislacyjny. Zadbał, aby swój kawałek tortu otrzymała każda agencja zajmująca się kiedykolwiek medycyną i klęskami naturalnymi - a ten tort ma bardzo pociągający zapach. Stworzyliśmy nową, bezbronną warstwę niższą, mającą mniej praw obywatelskich niż jakakolwiek grupa po zniesieniu niewolnictwa. Tak mętne wody, Mitchu, przyciągają prawdziwe rekiny. Potwory.

- Ich jedyną bronią jest nienawiść i strach.

- W tym mieście to zupełnie wystarcza - powiedział Gianelli. - Waszyngton pożera prawdę i wydała kupy bredni. - Wstał. - Nie możemy się mierzyć z Urzędem Stanu Wyjątkowego. Nie w tej sesji. Jest silniejszy niż kiedykolwiek. Może w przyszłym roku.

Mitch patrzył, jak Gianelli krąży po pokoju.

- Nie mogę czekać tak długo. Riverside, Dicku.

Gianelli założył ręce. Nie był w stanie patrzeć Mitchowi w oczy.

- Tłum podpalił jeden z przeklętych obozów Augustine'a - wyjaśnił Mitch. - Dzieci spłonęły w swych barakach. Oblano ściany benzyną i podłożono ogień. Strażnicy wycofali się tylko i patrzyli spokojnie. Dwieście dzieciaków upieczonych na śmierć. Dzieciaków takich jak moja córka.

Gianelli nałożył maskę współczucia, ale pod nią Mitch dostrzegał prawdziwe cierpienie.

- Nawet nie zostali aresztowani - dodał.

- Nie można zaaresztować całego miasta, Mitch. Nawet „New York Times” nazywa je teraz dziećmi wirusa. Wszyscy są przerażeni.

- Od dziesięciu lat nie było przypadku shivera. To szachrajstwo, Dick. Wymówka dla niektórych, aby podeptać wszystko, co kiedyś było wartością dla tego kraju.

Gianelli rzucił na Mitcha krzywe spojrzenie, ale nie podważał jego oskarżenia.

- Kongresman niewiele może zdziałać.

- Nie wierzę.

Gianelli sięgnął do szuflady biurka i wyjął butelkę środka na kwasy żołądkowe „Tums”.

- Wszyscy tutaj czują ogień w brzuchu. Mam zgagę.

- Daj mi coś, Dicku, co mógłbym zabrać do domu. Proszę. Potrzebujemy nadziei - powiedział Mitch.

- Pokaż mi swoje ręce, Mitch.

Mitch wyciągnął dłonie. Odciski stały się mniejsze, ale pozostały. Gianelli ustawił swoje ręce obok rąk Mitcha. Były gładkie i różowe.

- Naprawdę chcesz, aby stary pies gończy powiedział ci, jak spijać śmietankę? Od dziesięciu lat pracuję z Wickhamem. Jest tutaj najbardziej szcwanym psem gończym, ale ma przeciwko sobie całą złą sforę. Republikanie to pitbule kraju, Mitch. Szczekają nocami, całą noc, każdej nocy, czy powinni, czy nie, bez krztyny litości gryzą swych wrogów. Twierdzą, że reprezentują prostych ludzi, ale tak naprawdę tylko tych, którzy głosują, jeśli czynią to w ogóle, myśląc o swoich portfelach, kierowani strachem i najniższymi instynktami. Kontrolują Izbę i Senat, tworzyli większość w sądach ostatnich trzech kadencji, mają swego człowieka w Białym Domu, i niech trafi ich szlag, Mitch, przemawiają jednym głosem. Prezydent okopał się na swoich pozycjach. Chcesz jednak wiedzieć, co myśli kongresman? Według niego prezydent nie chce pozostać w historii jako twórca Urzędu Stanu Wyjątkowego. Może zdołamy coś dzięki temu ugrać. - Głos Gianellego przeszedł w bardzo cichy szept, jakby miał wygłosić w kościele bluźnierstwo. - Ale nie teraz. Demokraci nawet kiermaszu

dobroczynnego nie urządują bez kłótni. Jesteśmy słabi i słabniemy coraz bardziej.

Wyciągnął rękę.

- Kongresman może w każdej chwili wrócić. Mitch, wyglądasz, jakbyś nie spał od tygodni.

Mitch wzruszył ramionami.

- Leżę bezsennie, nasłuchując, czy nie nadjeżdżają sukki. Okropnie się czuję, gdy jestem tak daleko od Kaye i Stelli.

- Jak daleko?

Mitch rzucił mu twarde spojrzenie spod gęstych brwi i pokręcił głową.

- Racja - powiedział Gianelli. - Przepraszam.

## 7

### Hrabstwo Spotsylvania

Stary drewniany dom trzeszczał i zgrzytał w porannym upale. Wilgotny wietrzyk leniwie wirował w pokoikach. Kaye przeszła z sypialni do łazienki, przecierając oczy. Przebudziła się ze szczególnego snu, w którym była atomem wznoszącym się powoli, aby dołączyć do znacznie większej molekuly, wbudować się w nią i utworzyć coś naprawdę robiącego wrażenie. Po raz pierwszy od miesiąca czuła spokój, pomimo poranionej pamięci o walce odbytej wieczorem.

Pomasowała palce prawej dłoni, potem przez napuchnięty staw przesunęła obrączkę w znajomy rowek. Pszczoły brzęczały w oleandrach za oknem, od dawna już pochłonięte pracą.

- Co za sen - powiedziała do siebie odbitej w lustrze łazienki. Odciągnęła palcem powiekę i przyjrzała się sobie badawczo. - Żyjesz w małym stresie, co?

Pod każdym oknem po ciąży ze Stellą pozostało jej kilka cętek; kiedy się czymś martwiła, nadal zmieniały kolor z bladego brązu w rudawą ochrę. Teraz były ciemniejsze, ale nieznacznie. Pochlapała wodą policzki i spięła z tyłu włosy, szykując się na upalny dzień, na stawianie czoła kolejnym kłopotom. Rodziny powinny trzymać się razem i leczyć.

*Skoro mogą pszczoły, to ja też.*

- Stella! - zawołała, pukając do drzwi sypialni córki. - Jest dziewiąta. Zaspałyśmy.

Zeszła cichutko do małej pracowni w pralni i włączyła komputer. Przeczytała zdania zapisane przed wieczorną sprzeczką, potem przewinęła kilka ostatnich stron tekstu:

„Rola SHEVY w tworzeniu nowego podgatunku to tylko jedna z funkcji pełnionych przez tę różnorodną i ogromnie ważną klasę wirusów. ERV i transpozony - geny skaczące - odgrywają wielce znaczącą rolę w różnicowaniu i rozwoju tkanek. Emocje, kryzysy i zmiany środowiska powodują ich aktywację, za każdym razem jednej tylko odmiany albo wszystkich jednocześnie. Dla komórek są pośrednikami i posłańcami przenoszącymi geny i zakodowane dane do wielu części ciała, a nawet do innych osobników.

Wirusy i transpozony najprawdopodobniej powstały po pojawieniu się rozmnażania płciowego, może były jego skutkiem. Po dziś dzień seks stwarza im sposobność do przenoszenia się i przekazywania informacji. Mogły się także wyłonić podczas burzliwych początków naszego systemu odpornościowego, kiedy to żołnierze i policjanci ciała biegali bezwładnie.

Naprawdę przypominają grzech pierworodny. Jak grzech ten kształtuje nasze przeznaczenie?\".

Kaye użyła rysika do zaznaczenia tego ostatniego zdania, niezgrabnego i przesadnego. Podkreśliła je i przeczytała raz jeszcze.

„Wiemy już jedno: od działania retrowirusów i transpozonów jesteśmy uzależnieni na niemal każdym etapie naszego wzrostu. Wiele z nich to nasi niezbędni partnerzy.

Pogląd, że wirusy i elementy mogące się przenosić są pierwszymi i głównymi przyczynami chorób, przypomina uznanie, iż pierwszym i głównym celem wynalezienia samochodów było zabijanie nimi ludzi.

Patogeny - organizmy chorobotwórcze - są jak hormony i inne cząsteczki sygnalizujące, ale ich przesłaniem jest wyzwanie i milczenie. Patogeny to sprawdzające nasze możliwości, tkwiące w naszym wnętrzu lwy. Odsiewają starych i słabych. Kształtują postać życia.

Niekiedy zabierają także młodych i dobrych. Przyroda przynosi cierpienie. Także choroba i śmierć są naszymi odpowiedziami na wyzwanie. Przegrywając, umierając, nie przestajemy być częścią przyrody, gdyż powodzenie rodzi się z wielu porażek, a milczenie jest także sygnałem\".

Tory jej myślenia stawały się coraz bardziej abstrakcyjne. Sen, brzęczenie pszczół...

*Urodziłaś się w czepku, kochana.*

Przypomniała sobie niespodzianie głos Evelyn, babci ze strony matki; słowa sprzed prawie czterdziestu lat. Gdy miała osiem, usłyszała od Evelyn coś, czego jej praktyczna matka nie uznała nigdy za stosowne do przekazania. „Przyszłaś na świat z osłoniętą główką. Nosiłaś czepkę. Byłam tam, w szpitalu, z twoją matką. Widziałam czepkę na własne oczy. Doktor pokazał mi go”.

Kaye pamiętała, jak z rozkosznym oczekiwaniem wierciła się na kolanach babci, pytając, czym jest czepka. „Kapturek z luźnego ciała”, wyjaśniła Evelyn. „Niektórzy mówią, że to oznaka nadzwyczajnych umiejętności rozumienia, a nawet trzeciego oka. Czepka zapowiada nam, że poznasz rzeczy, których większość innych ludzi nigdy nie pojmie, że zawsze będziesz się złościć, próbując wyjaśniać, co wiesz, co jest dla ciebie oczywiste. Pewnie będzie dla ciebie jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem”. Potem starsza kobieta dodała łagodnie: „Też urodziłam się w czepku, kochanie, i twój dziadek nigdy mnie nie rozumiał”.

Kaye ogromnie kochała Evelyn, ale czasami uważała ją za trochę niesamowitą. Ponownie skupiła uwagę na tekście widniejącym na monitorze. Nie wymazała akapitów, ale opatrzyła je na marginesie wielką gwiazdką i wykrzyknikiem. Potem zapisała plik i odsunęła krzesło od biurka.

Wczoraj napisała cztery strony. Udany dzień pracy. Chociaż tekst nigdy się nie ukaże w żadnym znaczącym czasopiśmie. W ubiegłych ośmiu latach wszystkie jej prace pojawiały się na potajemnych stronach internetowych.

Nastawiła uważnie ucha na odgłosy porannego domu, jakby sprawdzając w ten sposób porę dnia. Zasłona biła z szelestem o ramę okna. Kardynały gwizdały na klonie na zewnątrz.

Nie słyszała krzątania się córki.

- Stella! - zawołała głośniejszym głosem. - Śniadanie. Chcesz owsiankę?

Żadnej odpowiedzi.

W spadających kapciach poszła krótkim korytarzem do pokoju Stelli. Jej łóżko było zasłane, ale pościel pomięta, jakby dziewczynka przewracała się i wierciła, leżąc. Bukiet zeschłych kwiatów, związanych gumką, leżał na poduszce. Przy łóżku mały stosik książek. Na parapecie trzy wypchane zabawki - Shroozy, wielkości świnki morskiej: czerwony, zielony i bardzo rzadki czarno-złoty, zwieszały swe długie nosy w stronę pokoju. Stella kochała Shroozy, bo były zręczliwe; poruszane pojękiwały, wiły się, a potem zawodziły.

Kaye przeszukała podwórko z tyłu; wysoka, zbrązowiała trawa przechodziła w bluszcze i łośniki pod wielkimi starymi drzewami na granicy obejścia. Nie mogła sobie

pozwalać, aby jej uwaga słabła choćby na minutę.

Powróciła do domu i sypialni Stelli. Opadła na kolana i zajrzała pod łóżko. Stella prowadziła pamiętnik zapachowy, książeczkę z pustymi kartkami pokrytymi szyfrowanym pismem i datowanymi zapisami opisującymi jej emocje, zapachami czerpanymi z gruczołów za uszami i wcieranymi w każdą stronę. Stella trzymała pamiętnik w ukryciu, ale Kaye znalazła go raz podczas sprzątanania i rozgryzła.

Wepchnęła ręce między zalegające pod łóżkiem kłęбки kurzu i kocie zabawki, sięgając palcami głęboko w cienie. Książki tam nie było.

Koniec ze złudzeniami, wpadła w pułapkę, nie dopilnowała. Stella odeszła. Zabranie książki oznaczało, że sprawa jest poważna.

Ciągle w kapciach, Kaye pchnęła furtkę i wybiegła na obsadzoną szpalerami dębów drogę.

- Nie panikuj, weź się w garść - szepnęła. - Niech to szlag. - Czowała napięte mięśnie karku.

Ćwierć mili dalej, przed następnym domem stojącym przy drodze w tej wiejskiej okolicy, zwolniła do kroku spacerowego, potem stanęła na środku spękanego asfaltu, skuliła się, niska i spięta, jak mysz obawiająca się jastrzębia.

Osloniła oczy przed słońcem i spojrzała w górę na rozdęte szare chmury, ciągnące ramię w ramię wzdłuż południowego horyzontu. Zapach powietrza zdawał jej się posępny i pełen napięcia.

Jeśli Stella to zaplanowała, uciekła po wyjeździe Mitcha do Waszyngtonu. Wyruszył między szóstą a siódmą. Oznacza to, że córka ma co najmniej jedną godzinę przewagi. Zrozumienie tego wywołało lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa Kaye.

Zawiadomienie policji byłoby nierozsądnym posunięciem. Pięć lat temu Wirginia niechętnie uznała władzę Urzędu Stanu Wyjątkowego, zaczęła zgarniać nowe dzieci i wysyłać je do obozów w Iowa, Nebrasce i Ohio. Przed laty Kaye i Mitch zerwali kontakty z grupami wsparcia rodziców, gdy tylko FBI mocno do nich przeniknęła. Mitch uważał, że Kaye jest szczególnie ważnym celem do śledzenia, a może nawet aresztowania.

Mogli liczyć tylko na siebie. Uznali, że to najbezpieczniejsze wyjście.

Kaye zdjęła kapcie i boso wróciła biegiem do domu. Powinna spróbować myśleć jak Stella, ale było to trudne. Jako matka i naukowiec od jedenastu lat przyglądała się Stelli i zauważyła, że zawsze utrzymywał się między nimi mały, lecz ważny dystans, którego nie była w stanie przekroczyć. Stella rozumowała ze starannością, którą Kaye podziwiała, ale też wyciągała wnioski, jakie ona często uznawała za zdumiewające.

Kaye wzięła z torebki portmonetkę i dokumenty, naciągnęła lekkie buty i wyszła drzwiami z tyłu. Mała, pomalowana na szaro farbą do gruntowania półciężarówka Toyoty zapaliła od razu. Mitch dbał o ich samochody. Koła przez chwilę ślizgały się na zakurzonej podjeździe; potem Kaye się opanowała i powoli ruszyła polną drogą.

- Proszę - mruknęła - niech nikt cię nie podwiezie.

## 8

Idąca brudnym poboczem asfaltowej szosy Stella machała plastikową butelką gatorade, pociągając łyżek co kilka minut. Pole starej farmy zaorano i zarezerwowano dla nowego pasażu sklepów widniejącego z jej prawej strony. Stella balansowała jak na linie na świeżo naprawionym betonowym krawężniku, tkwiącym jeszcze w drewnianym oszalowaniu. Słońce wznosiło się na wschodzie, czarne chmury wisiały wysoko na południu, powietrze było gorące, przesycone zapachem dereni i jaworów. Spaliny przejeżdżających samochodów i rzednące pasma węgla z ciężarówek z silnikami Diesla zapychały nos Stelli.

Od dawna czuła, że dokonuje czegoś ważnego. Nie ominęło jej poczucie winy, ale odsuwała od siebie troskę o przeżycia rodziców. Gdzieś na tej drodze spotka kogoś, kto nie będzie się spierał z jej instynktami, kto nie będzie urażony samym istnieniem Stelli. Kogoś takiego jak ona.

Całe życie spędziła wśród jednego rodzaju ludzi, ale należała do innego. Stary wirus nazwany SHEVA wyodrębnił się z ludzkiego DNA i przemieszał geny człowieka. Skutkiem była Stella i pokolenie takich dzieci jak ona. Dowiedziała się tego od rodziców.

Nie była potworkiem. Należała do innej odmiany.

Stella Nova Rafelson miała jedenaście lat. Odnosiła wrażenie, że przez całe swe życie była całkowicie samotna.

Niekiedy myślała o sobie jako o gwiazdce, jasnym punkciku na ogromnym niebie. Miliardy ludzi wypełniają nieboskłon, przyćmiewając ją niby oślepiające słońce.

## 9

Kaye skręciła w lewo tuż za siedzibą władz hrabstwa, minęła narożnik, przejechała pół przecznicy i zatrzymała się na stacji benzynowej. Za jej dzieciństwa rozłożone na ziemi,

powleczone gumą druty szarpały dzwonek oznajmiający zajechanie samochodu. Dawno nie było drutów, dzwonka, nikt nie wyszedł zapytać, czego potrzebuje. Kaye zaparkowała przy pomalowanym jaskrawo na czerwono i biało sklepie spożywczym i otarła oczy z łez.

Minutę siedziała w toyocie, próbując wziąć się w garść.

Stella miała czerwoną, plastikową portmonetkę, w której trzymała dziesięć dolarów na nieoczekiwane wydatki. Na dziedzińcu była fontanna z wodą do picia, ale Kaye uznała, że jej córka będzie wolała coś zimnego, słodkiego i owocowego. Sztuczne aromaty truskawki i maliny, odrażające dla niej, Stella wdychała z rozkoszą, jak kot na zagonie kocimiętki. „Czeka ją długi marsz - pomyślała Kaye. - Jest gorąco. Jest spragniona. Jest na ucieczce, z dala od mamy”. Przygryzła wargę.

Kaye i Mitch przez całe krótkie życie Stelli chronili ją jak rzadką orchideę. Kaye wiedziała o tym i wściekała się na tę konieczność. Dzięki temu pozostawali razem. Było to warunkiem wolności jej córki. Na forach internetowych pełno było przerażających opowieści o rodzicach wydających swe dzieci, patrzących, jak te są wysyłane do szkół Urzędu Stanu Wyjątkowego w innym stanie. Do obozów.

Mitch, Stella i Kaye wiedli napięte, nierzeczywiste życie jak ze Snu, zupełnie nieodpowiednie dla buchającej energią dorastającej dziewczynki, dla zdrowia psychicznego Mitcha. Kaye próbowała nie myśleć za wiele o sobie, o skutkach tego życia dla jej stosunków z Mitchem; mogłaby się załamać, a co wówczas byłoby z nimi? Ich kłopoty wpływały jednak niewątpliwie na Stellę. Była córeczką tatusia, ku dumie i skrywanemu smutkowi Kaye - która sama była kiedyś córeczką tatusia, zanim zmarli jej rodzice, przeszło dwadzieścia lat temu - a Mitch ostatnio mocno się odsuwał.

Kaye weszła do sklepu podwójnymi szklanymi drzwiami. Sprzedawczyni, szczupła i wyglądająca na zmęczoną kobietę, trochę młodsza od Kaye, wyciągnęła szczotkę i kubek, aby ponuro opryskiwać lizolem ladę i podłogę.

- Przepraszam, czy widziała pani dziewczynkę, wysoką, jedenastoletnią?

Ekspedientka podniosła szczotkę jak włócznię i wysunęła ją w jej stronę.

## 10

### Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Wysoki, przygarbiony mężczyzna o rzednących siwych włosach wszedł leniwie do pokoju, niosąc podniszczoną aktówkę. Gianelli wstał.



- Panie kongresmanie, pamięta pan Mitcha Rafelsona.

- Tak, rzeczywiście - powiedział Wickham, wyciągając rękę. Mitch mocno ją uściśnął. Dłoń była sucha i twarda jak drewno. - Czy ktokolwiek wie, Mitch, że pan tu jest?

- Dick przemycił mnie tutaj, sir.

Wickham przyjrzał się Mitchowi, głowa trochę mu się chwiała.

- Proszę do mojego gabinetu, Mitch - powiedział. - Ciebie też, Dick, i zamknij za sobą drzwi.

Przeszli korytarzem. Gabinet Wickhama pełen był tabliczek i zdjęć, śladów po całym życiu poświęconym polityce.

- Dziś rano o dziesiątej Justice Barnhall miał atak serca - powiedział Wickham.

Twarz Mitcha sposepniała. Barnhall z całego serca walczył o prawa obywatelskie, nawet dla dzieci SHEVY i ich rodziców.

- Jest w Bethesdzie - ciągnął Wickham. - Nie dają mu zbyt wiele nadziei. Ma już dziewięćdziesiąt lat. Właśnie rozmawiałem z przywódcą mniejszości w Senacie. Jutro rano idziemy do Białego Domu. - Położył aktówkę na kanapie i wsadził ręce w kieszenie luźnych czekoladowych spodni. - Sędzia Barnhall był dobrym człowiekiem. Prezydent chce teraz Olsena, a to naprawdę ktoś, Mitchu. Nie mieliśmy drugiego takiego od czasów Rogera B. Taneya. Zatwardziały kawaler, z twarzą łasicy, umysłem jak stalowy potrząsk. Pragnie odkręcić osiemdziesiąt lat tak zwanego aktywizmu sędziowskiego, uważa, że złapie kraj za jaja, w Sądzie Najwyższym zyska przewagę sześć do trzech. I najpewniej mu się uda. Nie wygramy chyba tej rundy, ale możemy zadać kilka ciosów. Potem złupią nam skórę na wyborach. Zetrą na miazgę. - Wickham spojrzał ponuro na Mitcha. - Uwielbiam uczciwą walkę. Do drzwi zastukała sekretarka.

- Panie kongresmanie, czy jest tu pan Rafelson? - Popatrzyła na Mitcha z uniesioną brwią.

- Kto pyta? - zapytał Gianelli.

- Nie podała nazwiska, a sprawa wygląda podejrzanie. Według komputera używa jednorazowego telefonu komórkowego korzystającego z zagranicznej linii. Nie są już legalne, sir.

- Co też powiesz - rzucił Wickham, wyglądając przez okno.

- Moja żona wie, że tu jestem. Nikt inny - powiedział Mitch.

- Connie, weź od niej numer i oddzwoń - polecił Wickham. - Przepuść rozmowę przez kodownik i skieruj na, powiedzmy, biuro Toma Haneya w Boca Raton.

- Tak jest, sir.

Wickham wskazał telefon na swoim biurku.

- Możemy przełączyć jej linię na specjalne urządzenie szyfrujące połączenia wychodzące z biur kongresmanów. - Poklepał przy tym zegarek na przegubie. - Rozmowa zaczyna się i kończy zakłóceniami, i jeśli ktoś nie zna klucza, całość brzmi jak zakłócenia. Zmieniamy klucz po każdej rozmowie. NSA potrzebuje około minuty na złamanie kodu, dlatego trzeba mówić krótko.

Sekretarka dokonała połączenia. Mitch ze struchlałym sercem popatrzył między obu mężczyzn, a potem wziął słuchawkę.

## 11

### Hrabstwo Spotsylvania

Stella siedziała w cieniu starego drewnianego przystanku autobusowego, przyciskając do piersi książkę. Tkwiła tu już od półtorej godziny. Butelka gatorade była od dawna pusta i dziewczynce strasznie chciało się pić. Poranny upał dusił dech pod zasnutym chmurami niebem. Powietrze przesyciła okropna, elektryczna wilgoć, która zapowiada nadciąganie potężnej burzy. Wszystkie jej emocje odwróciły się o sto osiemdziesiąt stopni.

- Naprawdę jestem głupia - powiedziała do siebie. - Kaye strasznie się wścieknie.

Kaye rzadko okazywała gniew. Mitch, kiedy był w domu, chodził w kółko, kręcił głową i zaciskał pięści, kiedy atmosfera stawała się napięta. Stella potrafiła jednak wykryć, kiedy Kaye się gniewa. Jej matka potrafiła się złościć równie mocno co Mitch, choć na spokojny sposób.

Stella nienawidziła, gdy w domu pojawiał się gniew. Pachniał jak stare karaluchy.

Kaye i Mitch nigdy nie wyciągnęli tego z córki. Oboje okazywali jej cierpliwą czułość, nawet wówczas, gdy wyraźnie tego nie chcieli, przez co Stella czuła się, jak to nazywała: „stromowata”, czyli dziwaczna, odmienna i oddzielona.

Stella wymyśliła to słowo, stromowata, i wiele innych; większość z nich zachowywała dla siebie.

Ciążyła jej odpowiedzialność za mnóstwo ich gniewu, może cały. Trudno było jej przyjąć na siebie winę za to, że Mitch nie może wykopywać skorup i dawnego łąjna, starych śmietników, a Kaye pracować w laboratorium ani nauczać, ani robić czegokolwiek poza pisaniem artykułów i książek, które nigdy chyba nie zostaną wydane ani nawet dokończone.

Splotła długie palce i uniosła kolano, napinając ręce i prostując ramiona. Usłyszała

samochód i cofnęła się głębiej w cień, chowając stopy w mroku. Przejechała powoli czerwona półciężarówka Forda, czysta, nowa, ciągnąca za sobą przyczepę kempingową z gładkiego białego plastiku. Przyczepa miała z tyłu kwadratowe, lśniące drzwiczki z przyciemnionego tworzywa sztucznego. Wyglądała na drogą, była znacznie ładniejsza od małej półciężarówki Toyoty czy starego dodge'a intrepida Mitcha.

Czerwony samochód zwolnił, stanął, wrzucił gładko bieg wsteczny i cofnął się. Stella próbowała wcisnąć się w kąt, przyciskała plecy do nierównego drewna. Nagle zapragnęła wrócić do domu. Może znaleźć drogę powrotną, jest tego pewna; trafi po zapachu drzew. Spaliny samochodowe i nadciągający szybko deszcz utrudnią to jednak. A po ulewie stanie się to bardzo trudne.

Samochód stanął, kierowca wyłączył silnik, otworzył drzwiczki i wysiadł po stronie przeciwnej do tej, po której się znajdowała. Dostrzegła go jedynie odrobinę przez przyciemnione szyby półciężarówki. Miał szpakowate włosy i brodę. Powoli obszedł samochód i przyczepę, pod podwoziem widać było cienie jego nóg.

- Halo, panienko - powiedział, stając z szacunkiem cztery, pięć jardów od miejsca, w którym Stella próbowała się ukrywać. Wsadził ręce do kieszeni szortów barwy khaki. W ustach zaciskał niezapaloną fajkę. Poprawił ją jedną ręką, wyjął, wskazał nią dziewczynkę. - Mieszkaś gdzieś tutaj?

Stella przytaknęła w cieniu.

Jego kozia bródka była cała szpakowata i ładnie przystrzyżona. Miał wydatny brzuch, ale jego schludne ubranie, sięgające połowy łydek skarpetki i buty do biegania były czyste i białe. Pachniał pewnością siebie, co Stella mogła wyczuć przez mocny odór dezodorantu oraz tytoniu z aromatem rumu i wiśni, który wypełniał fajkę.

- Powinnaś być z rodziną i przyjaciółmi - powiedział obcy.

- Idę do domu - odparła Stella.

- Autobus przyjedzie dopiero wieczorem. Na tym przystanku zatrzymuje się tylko dwa razy dziennie.

- Idę pieszo.

- No, bardzo ładnie. Nie powinnaś wsiadać do samochodów nieznajomych.

- Wiem.

- Czy mogę pomóc? Zadzwoń do twoich bliskich?

Stella nic nie powiedziała. W domu mieli jeden bezpieczny telefon, przeznaczony jedynie do nagłych wypadków; dla innych zastosowań kupowali jednorazowe komórki. Przy rozmowach używali zawsze rodzaju rodzinnego szyfru, nawet przez jednorazówki, ale Mitch

mówił, że podsłuchujący są w stanie zidentyfikować głos nawet jeśli próbuje się go zmienić.

Pragnęła, aby mężczyzna w szortach odszedł.

- Czy twoi bliscy są w domu, panienko?

Stella popatrzyła na słońce przebijające się przez chmury.

- Jeśli jesteś sama, znam ludzi, którzy mogą ci pomóc - powiedział mężczyzna. - Specjalnych przyjaciół. Posłuchaj. Nagrałem ich. - Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął mały dyktafon. Nacisnął guzik i podsunął aparat, aby mogła lepiej słyszeć.

Takie piosenki i gwizdy słyszała już wcześniej, w telewizji i radiu. Gdy miała trzy lata, słyszała też śpiewającego podobne piosenki chłopca. A także kilka lat temu w domu w Richmond, w wielkim ceglany domu z żelazną bramą, stróżującymi psami oraz czterema małżeństwami, nerwowymi, szczupłymi ludźmi, wyglądającymi na bardzo majątnych, przyprowadzających dzieci, aby się bawiły na basenie pod dachem. Pamiętała wyraźnie, jak słuchała ich śpiewów, zbyt nieśmiała, żeby się dołączyć. Słodko przeplatające się melodie, jak - mówił Mitch - skowronki wyrażające swe serca nad zagonami jagód.

Takie właśnie głosy słyszała dobiegające z dyktafonu.

Głosy przypominające jej własny.

Wielkie krople deszczu zostawiały na szosie i poboczu smugi jak od kredek. Niebo i drzewa za mężczyzną z kozią bródką odcinały się lodową bielą od ciemnej szarości chmur.

- Zaczyna padać - powiedział mężczyzna. - Panienko, nie powinnaś zostać sama na dworze. U licha, przystanek może przyciągać pioruny, kto wie? - Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął telefon komórkowy. - Czy chcesz do kogoś zadzwonić? Do mamy albo taty?

Nie pachniał źle. W istocie prawie wcale nie pachniał, z wyjątkiem aromatyzowanego rumem i wiśnią tytoniu. Musiała się uczyć, jak oceniać ludzi i wykorzystywać szanse. Tylko w ten sposób poradzi sobie w życiu. Podjęła postanowienie. - Czy może pan zatelefonować? - zapyta Stella.

- Jasne. Podaj mi tylko numer.

## 12

### Leesburg

Mark Augustine położył rękę na oparciu krzesła Rachel Browning. W pokoju było cicho, nie licząc szumu wentylatorów i słabych trzasków urządzeń.

Patrzyli na otłętego mężczyznę w szortach koloru khaki, na czerwoną furgonetkę, na

szczupłą, niezgrabną dziewczynkę, córkę Kaye Lang Rafelson.

Dziecko wirusa.

- Rachel, czy to twój wnykarz?

- Nie wiem - odpowiedziała Browning.

- A może to dobry Samarytanin? - zapytał Augustine. Wewnątrz był wściekły, ale nie dawał Browning satysfakcji, zdradzając się z tym. - Albo zboczeniec molestujący dzieci.

Po raz pierwszy Browning okazała niepewność.

- Coś proponujesz? - spytała.

Poproszenie go o radę nie przyniosło mu ulgi. Może po prostu chciała go wplątać w łańcuch decyzji, a to ostatnie, czego potrzebował. Niech działa sama, wyłącznie sama.

- Jeśli coś pójdzie źle, będę musiał odbyć kilka rozmów telefonicznych - powiedział.

- Zaczekamy - postanowiła Browning. - Przypuszczalnie wszystko jest w porządku.

Ptaszek unosił się jakieś trzydzieści stóp nad czerwoną furgonetką, przystankiem autobusowym, brzuchatym mężczyzną w średnim wieku i dziewczynką.

Ręka Augustine'a zacisnęła się na oparciu krzesła.

## 13

### Hrabstwo Spotsylvania

Deszcz rozpadał się na całego, a świat pociemniał, gdy wsiadali do furgonetki. Stella za późno zauważyła, że mężczyzna włożył do nozdrzy owinięte watą kulki z wosku. Usiadł za kierownicą i poczęstował ją miętowymi cukierkami Tic-Tac, ale nie znosiła mięty. Włożył dwa do ust i wskazał jej komórkę.

- Nikt nie odbiera - powiedział. - Tata jest w pracy?

Odwróciła głowę.

- Mogę podwieźć cię do domu, ale jeśli się zgodzisz, to znam ludzi, którzy bardzo chętnie by się z tobą spotkali - ciągnął mężczyzna.

Złamała wszystkie zakazy, jakie kiedykolwiek wydali jej rodzice, podała nieznajomemu domowy numer telefonu, wsiadła do jego furgonetki. Musiała jednak coś zrobić, a dziś był chyba właściwy po temu dzień.

Nigdy tak bardzo nie oddaliła się od domu. Deszcz odmienił całkowicie powietrze i zapachy.

- Jak się pan nazywa? - zapytała.

- Fred - odpowiedział mężczyzna. - Fred Trinket. Wiem, że chciałabyś się z nimi spotkać, a oni na pewno pragną spotkać się z tobą.

- Niech pan przestanie tak mówić - poprosiła Stella.

- Jak?

- Nie jestem głupia.

Fred Trinket zatkał nos watą, a zapach z ust zabijał ostrą miętą.

- Oczywiście - przyznał spokojnie Trinket. - Wiem o tym, mała. Mam schronienie. Kryjówkę dla dzieci mających kłopoty. Chciałabyś obejrzeć kilka zdjęć? Są w schowku na rękawiczki. - Patrzył na nią z uśmiechem. Ma dość miłą twarz, uznała. Trochę smutną. Wydawał się przejmować tym, co czuła. - Zdjęcia dzieci, tych z dyktafonu.

Stella poczuła wielką ciekawość.

- Takich jak ja? - spytała.

- Dokładnie takich samych - odparł Fred. - Błyskasz naprawdę ładnie, wiesz o tym? Inne błyskają tak samo, gdy coś je zaciekawi. Pięknie to wygląda.

- Czym błyskam?

- Swoimi cętkami. - Fred wskazał palcem. - Rozkwitają na twoich policzkach jak skrzydełka motyla. Widywałem to w moim schronieniu. Mogę jeszcze raz zadzwonić do twojego domu, sprawdzić, czy ktoś w nim jest, powiedzieć tacie lub mamie, aby do nas przyjechali. Czy mam to zrobić?

Trinket zaczynał się denerwować. Stella wyczuwała tego zapach, choć to niewiele znaczyło. W dzisiejszych czasach wszyscy są zdenerwowani. Nie chciał jej skrzywdzić, była tego całkowicie pewna; w jego zapachu i zachowaniu nie dostrzegła śladu podniecenia, podobnie jak odoru papierosów czy alkoholu.

Pachniał zupełnie inaczej niż młodzi ludzie w sklepie spożywczym.

Powtórzyła sobie raz jeszcze, że musi wykorzystywać szanse, Jeśli chce cokolwiek osiągnąć, jeśli chce coś zmienić.

- Tak - odpowiedziała.

Fred wciskał przycisk powtarzania numeru. Z telefonu komórkowego dobiegały odgłosy aparatu w domu. Ciągle nikt nie odbierał. Matka zapewne wyszła jej szukać.

- Pojedźmy do mojego domu - powiedział Fred. - To niedaleko, a w skrzyni z lodem są zimne napoje. Oranzada truskawkowa. Prawdziwa nehi w butelkach z długą szyjką. Zadzwonię stamtąd do twojej mamy.

Ciężko przełknęła ślinę, otworzyła schowek na rękawiczki i wyjęła plik kolorowych zdjęć formatu pięć na siedem cali. Dzieci na pierwszej fotografii, siedmioro, były na

uroczystości, przyjęciu urodzinowym, zebrały się wokół jasnoczerwonego tortu. Fred stał w tle obok pulchnej starszej pani z pustym wzrokiem. Oprócz Freda i starszej kobiety wszystkie osoby były mniej więcej w wieku Stelli. Jeden chłopiec mógł być starszy, ale trzymał się z tyłu.

Wszystkie były, jak ona, dziećmi SHEVY.

- Jezu - rzuciła Stella.

- Nie przesadzaj - powiedział łagodnie Fred. - Jezus jest Bogiem.

Głosiła to nalepka na zderzaku półciężarówki Freda. Na pokrywie bagażnika przyklejono rybę ze złocistego tworzywa sztucznego. Ryba, podpisana „Prawda”, zjadała rybę z nogami, określoną jako „Darwin”.

Fred włączył silnik i wrzucił bieg. Deszcz padał wielkimi, twardymi kroplami, wałącymi w dach i maskę jakby milionem zmęczonych palców.

- Niedaleko stąd odbyła się Bitwa na Pustkowiu - powiedział Fred, prowadząc furgonetkę. Ostrożnie skręcił w prawo, jakby się martwił o kruchy, cenny ładunek. - Wojna secesyjna. Na swój sposób to święte miejsce. Naprawdę spokojne. Bardzo je lubię. Mniejszy ruch, mniej osiedli mieszkaniowych, prawda?

Stella jeszcze raz przejrzała zdjęcia, znalazła następne włożone do plastikowej torebki. Siedmioro innych dzieci, robiących miny przed aparatem fotograficznym lub patrzących z powagą; niektóre siedziały w wielkim domu na wielkich krzesłach.

Jeden chłopiec miał zupełnie kamienną twarz.

- Kto to? - spytała Freda.

Trinket rzucił szybkie spojrzenie.

- Will. Silny Will, Strong Will, czyli Silna Wola, jak nazywa go Matka. Żywił się węzami i wiewiórkami, zanim trafił do naszego schroniska. - Trinket uśmiechnął się i z namysłem pokiwał głową. - Polubisz go. Innych też.

## 14

Czerwona furgonetka zajechała przed piętrowy dom z wysokimi, białymi kolumnkami. Po obu stronach białych schodów widniały dwie długie, ceglane żardiniery pełne mizernych, obwisłych oleandrów. Fred Trinket dotąd nie uczynił nic, co mogłoby wprost zaniepokoić Stellę, ale teraz byli w jego domu.

- Jest pora obiadowa - powiedział Trinket. - Wszyscy jedzą. Matka ich karmi. Ja zjem

później. Mam kłopoty z trawieniem. Nie jest najlepsze.

- Jada pan owsiankę - zauważyła Stella.

Trinket się rozpromienił.

- Masz rację, moja panno. Jadam owsiankę na śniadanie. Czasami jeden plasterek boczku. Co jeszcze?

- Lubi pan czosnek.

- Na kolację miałem spaghetti z czosnkiem, zgadza się. - Trinket z radością kiwał głową. - Cudownie. Wszystko to wywachałaś.

Otworzył drzwiczki i obszedł samochód. Stella wysiadła, a on pokazał jej stopnie wiodące do domu. Były tam duże białe drzwi, mocne i cierpliwe, pomiędzy dwoma wysokimi, wąskimi oknami. Farba była nowa. Klamka śmierdziała środkiem do polerowania metali firmy Brasso, ten zapach jej się nie spodobał. Drzwi nie były zamknięte.

- Ufamy ludziom - powiedział Trinket. - Matko! - zawołał. - Mamy gościa.

## 15

Mitch wtoczył się zakurzonym podjazdem pod przesiąkniętym, szarym niebem. Nie zastał Kaye w domu. Zatrąbiła na niego z drogi, gdy wyszedł po przeszukaniu pustego budynku. Długie nogi zaprowadziły go do starej półciężarówki pięcioma szybkimi krokami.

- Od jak dawna? - zapytał, pochylając się nad samochodem. Przez okienko od strony kierowcy poglądził mokry policzek Kaye.

- Od trzech, czterech godzin - odpowiedziała Kaye. - Wyszła, gdy drzemałam.

Usiadł obok niej. Właśnie ruszała półciężarówką, gdy Mitch wyciągnął rękę.

- Telefon - rzucił. Wyłączyła silnik i oboje nasłuchiwali. Z domu dobiegało cichutkie dzwonenie.

Mitch pobiegł do domu. Drzwi z siatki trzasnęły za nim. Podniósł słuchawkę po czwartym dzwonku.

- Halo?

- Czy to pan Bailey? - spytał męski głos. To nazwisko polecił podawać Stelli.

- No - odpowiedział Mitch, ścierając krople deszczu z brwi i oczu. - Kto tam?

- Nazywam się Fred Trinket. Nie wiedziałem, że mieszka pan tak blisko, panie Bailey.

- Spieszę się, panie Trinket. Gdzie jest moja córka?

- Proszę się nie martwić. Teraz jest w moim domu i bardzo się o pana niepokoi.



- A my niepokoiimy się o nią. Gdzie pan jest?

- Czuje się doskonale, panie Rafelson. Chcemy, aby pan przyjechał i zobaczył coś, co według nas jest ciekawe i ważne. Coś, co zapewne uzna pan za fascynujące. - Mężczyzna, który podał nazwisko Trinket, opisał, jak do niego trafić.

Mitch dołączył do Kaye w półciężarówce.

- Ktoś ma Stellę - powiedział.

- Urząd Stanu Wyjątkowego?

- Nauczyciel, szajbus, ktoś - odparł Mitch. Nie zdążył wspomnieć, że ten ktoś zna jego prawdziwe nazwisko. Nie sądził, aby Stella zdradziła je komuś takiemu. - Jakies dziesięć mil stąd.

Kaye już wyjeżdżała półciężarówką na drogę.

## 16

- Już - powiedział Trinket, odkładając telefon i wycierając ręcznikiem krótkie włosy - Czy kiedykolwiek spotkałaś się z więcej niż jednym dzieckiem, najwyżej dwoma dziećmi naraz?

Stella chwilę nie odpowiadała, tak dziwne było to pytanie. Chciała je przemyśleć, choć wiedziała, o co mu chodziło. Rozejrzała się po salonie wielkiego domu. Meble były w stylu kolonialnym, poznała je z czytanych katalogów i czasopism: drewno klonowe ze starymi obiciami o drukowanych wzorach - maselnice, uprzęż końska, pługi. Wszystko strasznie brzydkie. Ciemnozielone, puchate jak aksamit tapety miały kwiatowe wzory przypominające smutne twarze. Cały pokój pachniał płonąca na stoliku pod ścianą świecą z cytrynowym aromatem, zbyt słodkawym nawet dla gustów Stelli. W ostatniej godzinie w domu pieczono kurczaka i gotowano brokoły.

- Nie - przyznała wreszcie.

- Czyż to nie smutne?

Stara kobieta, ta sama co na zdjęciach, weszła do pokoju i popatrzyła na Stellę z niewielkim zainteresowaniem. W kapciach o gumowych podeszwach zbliżyła się niemal bezszelestnie, podając truskawkową oranżadę Nehi w butelce z długą szyjką, lśniąco czerwonej w ciepłym blasku zalewającym pokój.

Trinket miał co najmniej pięćdziesiąt lat. Stella uznała, że jego matka może mieć powyżej siedemdziesięciu, była przy kości, o wyglądających na silne żyłastych rękach, brzoskwiniowej cerze z paroma zaledwie zmarszczkami, rzadkich siwych włosach, gładko

przyczesanych na bladej, napiętej; skórze głowy, wyglądającej jak zniszczona główka bardzo kochanej lalki.

Stella była spragniona, ale nie wzięła butelki.

- Matko - powiedział Trinket - zadzwoniłem do rodziców Stelli.

- Niepotrzebnie - odparła kobieta obojętnie. - Kupiliśmy jedzenie.

Trinket mrugnął do Stelli.

- Rzeczywiście. I kurczaka na obiad. Co jeszcze, Stello? - zapytał.

- Hę?

- Co jeszcze zjemy?

- To nie zgadywanka - odparła Stellą z urazą.

- Brokuły, zdaje się - odpowiedział za nią Trinket, wyginając lekko usta w podkówkę.

- Matka jest dobrą kucharką, ale niezbyt twórczą. Ponadto pomaga mi przy dzieciach.

- Pomagam - potwierdziła kobieta.

- Gdzie one są? - spytała Stella.

- Matka bardzo się stara, ale moja żona była lepszą kucharką.

- Zmarła - powiedziała starszka, dotykając włosów wolną ręką.

Zawiedziona Stella wbiła wzrok w podłogę. Słyszała jakieś głosy, daleko w tyle domu.

- Czy to one? - spytała, wbrew sobie zafascynowana. Obróciła się w prawo, w stronę długiego, obwieszzonego obrazami korytarza, przyciągana odgłosami rozmowy.

- Tak - potwierdził Trinket. Zerknął przelotnie na trzymaną przez nią książeczkę. - Rodzice trzymali cię w odosobnieniu? Jakże to samolubne. Czyż nie wiemy, Matko, jak bardzo samolubne musiało to być dla kogoś takiego jak Stella?

- Samiutka - odpowiedziała jego matka, po czym obróciła się niespodziewanie i postawiła butelkę na stoliku obok świecy. Wytarła ręce o fartuch i podreptała korytarzem. Połączona słodycz świecy i nehi omal nie oszołomiła Stelli. Widywała psy skamlące, gdy wyczuły inne psy, obwąchujące się nawzajem i wymieniające psie powitania. Pamięć o tym pomogła jej się opanować.

Pomyślała o dwóch mężczyznach w sklepie na stacji benzynowej Texaco.

„Pachniesz dobrze jak pies”. Zadrzała.

- Rodzice cię chronili, ale mimo wszystko byli okrutni - powiedział Trinket, patrząc na Stellę, która nie odrywała oczu od korytarza. Pragnienie dręczące ją od tygodni, od miesięcy nawet, jeśli dobrze sobie przypomnieć, nagle bardzo się nasiliło, oszalałając ją i czyniąc „stromowatą”.

- Niemożność bycia z takimi jak ty, cieszenia się wzajemnie swoją obecnością,

rozmawiania, jak to wszyscy potraficie, tak cudownie podwójnie, musiała pewnie wpędzać się w dręczącą samotność?

Poczuła gorąco zalewające jej policzki. Trinket przyglądał się im uważnie.

- Twoi są tacy piękni - stwierdził; jego wzrok złagodniał.

- Mógłbym przyglądać się wam cały dzień bez przerwy.

- Dlaczego? - spytała ostro Stella.

- Słucham? - Trinket się uśmiechnął, lecz tym razem w jego uśmiechu było coś niepokojącego. Stella nie lubiła być w centrum zainteresowania. Pragnęła jednak spotkać się z innymi, bardziej niż czegokolwiek innego na ziemi czy w niebie, jak mógłby powiedzieć ojciec Mitcha.

Dziadek Stelli, Sam, zmarł przed pięciu laty.

- Nie prowadzę szkoły uznawanej przez państwo, ani świetlicy, ani ośrodka szkoleniowego - powiedział Trinket. - Staram się nauczać najwięcej, jak mogę, ale przede wszystkim - Matka i ja - stworzyliśmy schronisko, z dala od okrutnych ludzi, którzy nienawidzą ze strachu. My nie nienawidzimy ani się nie boimy. Podziwiamy. Dodatkowo jestem antropologiem.

- Czy mogę pójść teraz do nich? - spytała Stella.

Trinket z szerokim uśmiechem usiadł na kanapie.

- Powiedz mi więcej o swojej matce i ojcu. W pewnych kręgach są dobrze znani. Twoja matka odkryła wirusa, zgadza się? A ojciec znalazł sławne mumie w Alpach. Zwiastuny naszego przeznaczenia.

Słodkie aromaty pokoju przesłaniały zapachy wydzielane przez ludzi, ale nie chodziło o wonie agresji i strachu. Te byłyby w stanie wykryć, jak stalową łyżeczkę wbitą w lody waniliowe. Trinket nie pachniał podłością ani lękiem, nie czuła się więc bezpośrednio zagrożona. A jednak nosił zatyczki w nosie. I skąd wiedział aż tyle o Kaye i Mitchu?

Trinket pochylił się na kanapie i dotknął swoich nozdrzy.

- Martwisz się tym.

Stella odwróciła wzrok.

- Proszę mi pozwolić spotkać się z innymi - powiedziała.

Trinket wybuchnął śmiechem.

- Nie wytrzymałbym bez tego w tłumie twoich. Jestem wyczulony, a tak. Miałem córkę, taką jak ty. Żona i ja dostaliśmy maski wykrywaliśmy specjalne zapachy wydzielane przez córkę. Potem moja żona umarła. Umarła w cierpieniach. - Popatrzył w sufit, jego oczy zaszkliły się wilgocią uczuć. - Brakuje mi jej - powiedział i niespodziewanie uderzył w wałek

kanapy. - Matko!

Kobieta o pustej twarzy wróciła.

- Sprawdź, czy są już po obiedzie - poprosił Trinket. - Potem zaprowadź do nich Stellę.

- Będzie jadła? - spytała starszka, choć jej oczy nie wyrażały najmniejszej troski.

- Nie wiem. To zależy - odparł Fred Trinket. Popatrzył na zegarek. - Mam nadzieję, że twoi rodzice nie zabłądzili. Może powinnaś do nich zadzwonić... za kilka minut, aby się upewnić?

## 17

Kaye zjechała półciężarówką na pobocze porytej koleinami zakurzonej drogi i opuściła głowę na kierownicę. Deszcz ustał, ale kilka razy o mało nie utknęli w błocie. Jęknęła. Mitch otworzył drzwiczki.

- To ta droga. I ten adres. Cholera!

Pomiętą kartkę wyrzucił do pełnego wody rowu. Jedyne w okolicy dom był od dawna zabity dechami, jego połowa spłonęła w pożarze. Otaczało ich pięć lub sześć akrów zarośniętych chwastami pól, wyglądających posepnie za zasłoną nisko zalegającej mgły. Pasma obłoków bawiły się w chowanego z rozmytym słońcem. Dom był raz jasny, raz ciemny, zasłaniany i odsłaniany przez szerokie, szare paluchy chmur.

- Może on jej nie ma. - Kaye popatrzyła na Mitcha przez otwarte drzwiczki.

- Mogłem przestawić numer - powiedział Mitch, pochylając się nad samochodem.

Zadzwoniła jego komórka. Oboje podskoczyli jakby dźgnięci szpilkami. Mitch wyjął telefon.

- Tak. - Aparat rozpoznał jego głos i oznajmił, że numer dzwoniącego jest zablokowany, a potem zapytał, czy mimo to odbierze rozmowę.

- Tak - powiedział Mitch bez namysłu.

- Tatusz? - Głos z drugiej strony był napięty, podniesiony, ale brzmiał jak głos Stelli.

- Gdzie jesteś?

- Czy to ty? Tatusiu? - Głos stoczył walkę z cyfrowym ptakiem i się uspokoił.

Mitch nigdy przedtem nie słyszał takich dźwięków. Zaniepokoiło go to.

- To ja, kochanie. Gdzie jesteś?

- W tym domu. Widziałam jego numer na skrzynce na listy. Mitch z wewnętrznej kieszeni płaszczka wyciągnął pióro i notes, zapisał numer i drogę.

- Trzymaj się, Stello, nie pozwól nikomu się dotykać - powiedział, usiłując utrzymać głos w ryzach. - Już jedziemy. - Niechętnie się pożegnał i wyłączył telefon. Twarz miał czerwoną jak cegła, tak bardzo był wściekły.

- Czy wszystko z nią dobrze?

Mitch kiwnął głową, potem raz jeszcze włączył komórkę i wybrał inny numer.

- Do kogo dzwonisz?

- Do policji stanowej - odpowiedział.

- Nie możemy! - zawołała Kaye. - Zabiorą ją!

- Już za późno na takie zmartwienia - odparł Mitch. - Ten facet jest łowcą nagród i chce nas oboje.

## 18

Tyle obrazków w korytarzu wiodącym na tył domu. Liczne pokolenia Trinketów, domyśliła się Stella, od zdjęć o wyblakłych barwach, zebranych w jednej ramce, po większe odbitki barwy sepia, przedstawiające mężczyzn, kobiety i dzieci w sztywnych brązowych ubraniach. Patrzyli w obiektyw z kwaśnymi minami, jakby się bali tego, co ujrzą w przyszłości.

- Nasze dziedzictwo - powiedział jej Fred Trinket. - Stare geny. Teraz wszystko jest inne! - Uśmiechnął się i ruszył dalej, kręcąc ramionami przy każdym kroku. Stella zauważyła, że ma tłuste plecy. Tłusty kark i tłuste plecy. Jego łydki były jednak umięśnione, jakby wiele chodził, choć blade i owłosione. Może spacerował nocami.

Trinket pchnął drzwi z siatki.

- Powiedz mi, jeśli zechce zjeść obiad - poprosiła jego matka z kuchni, znajdującej się z lewej strony korytarza w połowie jego długości. Gdy pani Trinket wycierała talerz, Stella dostrzegła ciemny, mokry ręcznik wystrzelający z kuchni niby język węża.

- Tak, Matko - mruknął Trinket. - Tędy, panno Rafelson.

Zszedł niskimi drewnianymi schodkami i ruszył żwirową dróżką do długiego, ciemnego budynku, stojącego jakieś dziesięć kroków za domem. Stella zauważyła budę, ale bez psa, i mały sad przypominających drzewa stelaży do suszenia prania, obracających się powoli na wietrze, jaki się utrzymał po burzy; ich sznury były puste.

*Zaraz przyjdzie Matka Trinket, pomyślała Stella, i rozwiesi pranie, a drzewa zakwitną ubraniami, jakby była wiosna. Gdy bielizna wyschnie, ona ją zbierze, wsadzi do kosza i znowu nastanie zima.* Niezdradzająca żadnych uczuć Matka Trinket była sezonowym sercem starego

domu, panią podwórka.

Usta Stelli wyschły. Dotknęła się za uszami w miejscu, które ją swędziało, gdy się denerwowała. Jej palec pokrył jakby wosk. Pragnęła wziąć myjkę i usunąć wszystkie dawne zapachy, oczyścić się dla ludzi w długiej oficynie. Na język cisnęło się jej nowe słowo: „zmyścić”, od zmywać i czyścić. To piękne słowo sprawiło, że dygotała jak liść.

Trinket otworzył kluczem drzwi budynku. Wewnątrz Stella zobaczyła migoczące światła fluorescencyjne, jasne i niebieskie, palące się nad stołami z narzędziami, starą lodówką, stosami kartonów oraz widniejącymi z prawej strony drzwiami z mocnej drucianej siatki.

Głosy się nasiliły. Stella uznała, że są trzy lub cztery. Rozmawiały w sposób, którego nie była w stanie zrozumieć - nisko, gardłowo, z wysokimi, piskliwymi okrzykami. Ktoś kasłał.

- Są w środku - powiedział Trinket. Drzwi z drucianej siatki otworzył mosiężnym kluczem przywiązany do długiego, brudnego szpagatu. - Właśnie skończyli jeść. Zabierzemy tace i zaniesiemy Matce. - Pchnął drzwi.

Stella się nie ruszyła. Nawet pokusa głosów, pokusa, która doprowadziła ją tak daleko, nie była w stanie zmusić jej do zrobienia choćby kroku dalej.

- W środku jest czworo takich jak ty. Potrzebują twojej pomocy. Wejść z tobą.

- Czemu są zamknięci na klucz?

- Ludzie przejeżdżają obok, czasami mają broń... Strzelają na oślep. Nie jest tu bezpiecznie - odpowiedział Trinket. - Nie jest bezpiecznie dla twego rodzaju. Po śmierci żony uznałem za jedno z moich zajęć, za obowiązek, chronienie tych, na których natrafiam na drodze. Młodszych od ciebie.

- Gdzie jest pańska córka? - spytała Stella.

- W Idaho.

- Nie wierzę panu - stwierdziła Stella.

- Och, to prawda. Zabrali ją w zeszłym roku. Nigdy jej nie odwiedziłem.

- Czasami pozwalają rodzicom na odwiedziny.

- Nie mogłem po prostu znieść myśli o pojechaniu tam. - Jego mina się zmieniła, zapach także.

- Kłamie pan - powiedziała Stella. Wyczuwała, jak pracują jej gruczoły, swędzą. Nie mogła wciągnąć ich zapachu, właściwie nie mogła wciągnąć żadnego, tak wysechł jej nos, ale wiedziała, że w pokoju jest aż gęsto od wydzielanego przez nią zapachu perswazji.

Trinket jakby oklapł, opuścił ramiona, rozluźnił dłonie. Wskazał drzwi z drucianej

siatki. Zastanawiał się albo czekał. Stella się odsunęła. Klucz zadyndał na sznurku zwisającym z jego ręki.

- Twoi - powiedział i podrapał się po nosie.

- Chodźmy - rzuciła Stella. Było to coś więcej niż propozycja.

Trinket powoli pokręcił głową, potem uniósł oczy. Pomyślała, że wpłynęła na niego pomimo zatyczek w nosie i miętówek.

- Chodźmy wszyscy - dodała Stella.

Staruszka podeszła tak cicho, że Stella jej nie usłyszała. Była zdumiewająco silna. Złapała dziewczynkę w pól, przyciskając jej ręce do ciała, aż ta zapiszczała jak mysz, i wepchnęła ją przez drzwi. Książeczka spadła na podłogę. Trinket podskoczył, złapał klucz na sznurku, a potem zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz, zanim Stella zdążyła się obrócić.

- Są tam samotne - powiedziała do niej matka Trinketa. Na nosie miała klamerkę do wieszania bielizny, a oczy wilgotne. - Pozwól synowi robić swoje. Fred, może teraz zje obiad.

Trinket wyjął chusteczkę i przedmuchał nos, usuwając zatyczki. Popatrzył na nie ze wstrętem i wcisnął zamontowany na ścianie przycisk. Zamek szczęknął i zaszumiał, a obok Stelli otworzyły się kolejne druciane drzwi. Widziała je przez siatkę pierwszych. Na początku nie mogła z siebie nic wykrztusić; była zbyt zaskoczona i rozgniewana.

Trinket przetarł oczy i pokręcił głową. Lekkim kopnięciem posłał jej książeczkę w odległy kąt. - Cholera - powiedział. - Jest dobra. Prawie mnie miała. Diabelny mały skunks.

Stała drżąca w ciasnej klatce. Trinket wyłączył światła fluorescencyjne. Pozostał jedynie blask docierający z pomieszczeń za nią.

Jakaś dłoń dotknęła jej łokcia.

Stella wrzasnęła.

- Co?

Oparła się plecami o siatkę i popatrzyła na chłopca. Miał dziesięć, może jedenaście lat, był kilka cali wyższy od niej, a mimo to jeszcze chudszy. Jego twarz pokrywały zadrapania, włosy miał rozczochrane i posklejane w kępki.

- Nie chciałem cię przestraszyć - powiedział. Na jego policzkach cętki załśniły różowo i brązowo. Nakrapianymi złociście oczyma śledził ją, gdy bojaźliwie przesunęła się w lewo, do narożnika, i uniosła pięści.

Chłopiec zmarszczył nos.

- Ojej - rzucił. - Naprawdę cię wstrząsnęło.

- Jak masz na imię? - zapytała piskliwym głosem.

- O jakie imię ci chodzi? - odparł. Odchylił się, przekręcił głowę, wciągnął powietrze z

jej zapachem i mocno się skrzywił.

- Przestraszyli mnie - wyjaśniła zawstydzona.
- No, poznaję.
- Kim jesteś? - spytała.
- Popatrz - powiedział, pochylając się, a jego policzki znowu zabłysły cętkami.
- No i?

Wyglądał na rozczarowanego.

- Niektórzy to potrafią.
- Jak nazywali cię rodzice?
- Nie wiem. Dzieciaki nazwały mnie Kevin. Mieszkaliśmy w lasach. Grupy mieszane.

Już nie. Trinket mnie złapał. Byłem głupi.

Stella wyprostowała się i opuściła pięści.

- Ilu jest tutaj?
- Czwooro ze mną. Teraz pięcioro.

Ponownie usłyszała kaszel.

- Ktoś jest chory.
- No.
- Nigdy nie chorowałam - powiedziała Stella.
- Ani ja. Choruje Bezkształt.
- Kto?
- Nazwałem ją Bezkształt. To pewnie nie jest jej imię. Ma prawie tyle samo lat co ja.
- Czy jest tu nadal Silny Will?

- Nie lubi tego imienia, brzmi jak „Silna Wola”. Nadają nam takie, bo według nich cuchniemy. Chodźmy. Nikt wkrótce nie przyjedzie, prawda? Przysłali mnie, żebym zobaczył, kogo nowego schwytał stary Fred.

Stella poszła za Kevinem w głąb długiego budynku. Minęli cztery puste pokoje, wyposażone w prycze, składane krzesła i tanie stare szafki.

W samym końcu trójka dzieciaków siedziała wokół małego przenośnego telewizora. Stella nienawidziła telewizji, nigdy jej nie oglądała. Zauważyła, że panel sterowania telewizora przesłania metalowa płytką. Dwójka - starszy chłopiec, Will, jak domyśliła się Stella, i młodsza dziewczynka, najwyżej siedmioletnia - siedziała na zniszczonej szarej kanapie. Druga dziewczynka, dziewięcio- bądź dziesięcioletnia, leżała skulona na pokrywającym podłogę dywaniku.

Starsza dziewczynka źle pachniała. Cuchnęła chorobą. Kasłała w kułak i wycierała



dłoń w koszulkę, nie odrywając oczu od telewizora.

Will zsunął się z kanapy i wstał. Uważnie przypatrzył się Stelli, potem wsadził ręce do kieszeni.

- To Mabel - powiedział, przedstawiając młodszą dziewczynkę. - Albo Maybelle. Sama nie wie. Dziewczynka na podłodze niewiele mówi. Nazywam się Will. Jestem najstarszy. Zawsze jestem najstarszy. Mogę być najstarszy z żyjących.

- Cześć - przywitała się Stella.

- Nowa dziewczynka - wyjaśnił Kevin. - Pachnie jak naprawdę wstrząśnięta.

- Pachniesz - powiedziała Mabel i uniosła górną wargę, a potem zmarszczyła czubek nosa.

Will spojrzał ponownie na Stellę.

- Widzę twoje imię cętkowe. A jakie masz inne?

- Chyba może się nazywać Rose lub Daisy - powiedział Kevin.

- Rodzice nazywają mnie Stella - wyjaśniła tonem wskazującym, że nie przywiązała się do tego imienia i może je w każdej chwili zmienić na inne. Uklękła przy chorej dziewczynce. - Co jej jest?

- To nie przeziębienie i nie grypa - odparł Will. - Nie zdołałem określić tego bliżej. Nie wiemy, skąd przybyła.

- Potrzebuje lekarza - stwierdziła Stella.

- Powiedz to starej matce, gdy przynosi jedzenie - zaproponował Kevin. - Tylko żartowałem. Niczego nie zrobi. Chyba zamierzają wydać nas wszystkich jednocześnie, razem.

- Tak właśnie Fred odbiera swe majądże - wyjaśnił Will, pocierając palce. - Znaczą nagrodę.

Stella dotknęła ramienia chorej dziewczynki, która podniosła na nią wzrok i zamknęła oczy.

- Nie patrz. Nic do zobaczenia - powiedziała. Jej policzki ukazywały proste wzory, nietworzące żadnych kształtów. Bezkształt. Stella mocniej ścisnęła ramię chorej, ono zaś obwisło i dziewczynka przewróciła się na plecy. Stella potrząsnęła nią ponownie i oczy chorej otworzyły się do połowy, rozgorączkowane. - Mama?

- Jak się nazywasz? - spytała Stella.

- Mama?

- Jak nazywała cię mama?

- Elvira - powiedziała dziewczynka i znowu zakasłała.

- Ha, ha - rzucił Will bez wesołości. To imię brzmiało jak okrutny żart<sup>1</sup>.

- Miałaś rodziców? - zapytał dziewczynkę Kevin, klękając za przykładem Stelli.

Stella dotknęła twarzy Elviry. Skóra była sucha, rozpalona, pod nosem i za uszami widniały strupy. Pomacała chorą pod szczęką, a potem uniosła jej ręce i pomacała pod pachami.

- Ma zapalenie - powiedziała. - Może to coś podobnego do świnki.

- Skąd wiesz?

- Moja matka jest lekarzem. Mniej więcej.

- Czy to shiver? - zapytał Will.

- Nie sędzę. Nie złapiemy tego. - Spojrzała na Willa i wyczuła, że jej policzki wysyłają wiadomość, nie wiedziała jaką, może wyrażającą zakłopotanie.

- Popatrz na mnie - powiedział Will.

Stella wstała i zwróciła się w jego stronę.

- Czy umiesz rozmawiać w ten sposób? - zapytał. Jego policzki pokryły się wyraźniej cętkami. Wzory plamek błyskawicznie pojawiały się i znikwały, na swój sposób zgodnie z błyskami w oczach, drganiem mięśni twarzy i cichymi głosami płynącymi z głębi gardła. Stella wpatrywała się zafascynowana, ale nie miała pojęcia, co Will robi, co chce przekazać. - Chyba nie. - Czym pachniesz, jelonku?

Stella poczuła, jak pali ją nos. Cofnęła się szybko.

- Praktycznie analfabetka - powiedział Will, ale jego uśmiech był miły. - To Gadanie. Korzystały z niego dzieciaki w lasach.

Stella pojęła, że Will chce przewodzić, chce, aby ludzie uważali go za mądrego i zdolnego. Jego zapach krył jednak słabość, przez co wydawał się bardzo wrażliwym chłopcem. Został złamany, pomyślała.

Elvira jęknęła i zawołała matkę. Will ukląkł i dotknął czoła dziewczynki.

- Rodzice ukrywali ją na strychu. Tak mówiły dzieciaki w lasach. Jej mama i tata wyjechali do Kalifornii, została z babcią. Potem babcia umarła. Elvira uciekła. Złapali ją na ulicy. Została zgwałcona. I to chyba nie raz. - Odchrząknął, jego policzki pociemniały ze złości. - Miała już początki tego przeziębienia, czy co tam to jest, nie mogła więc wydać zapachu gorączki i ich powstrzymać. Fred znalazł ją dwa dni później niż mnie. Zrobił zdjęcia. Trzyma nas tutaj, aż zbierze dosyć dzieci, aby otrzymać dobrą nagrodę.

- Milion dolarów za głowę - uzupełnił Kevin. - Martwą lub żywą.

---

<sup>1</sup> Imię dziewczynki kojarzy się Willowi ze słowem „wirus” (przyp. red.).

- Nie dramatyzuj - powiedział Will. - Nie wiem, ile dostaje, ale nie zapłacę, jeśli umrzemy. Gdybyśmy zostali ranni, mógłby nawet pójść do więzienia. Tak słyszałem w lasach. Nagrodę wypłacają władze federalne, a nie stanowe, stara się więc unikać policjantów.

Zaimponował Stelli tym pokazem wiedzy.

- To straszne - stwierdziła; serce jej zamarło. - Chcę wrócić do domu.

- Jak Fred cię złapał? - spytał Will.

- Wyszłam na spacer - wyjaśniła Stella.

- Uciekłaś z domu - poprawił ją Will. - Czy twoi rodzice się zmartwili?

Stella pomyślała o Kaye, która nie znalazła jej po przebudzeniu, i zachciało się jej płakać. Od tego nos zabolął ją jeszcze mocniej, a uszy zaczęły swędzić.

Zabrzęczały drzwi z drucianej siatki. Will wskazał je palcem, a Kevin poszedł sprawdzić, co się stało. Stella popatrzyła na Willa, a potem ruszyła za Kevinem. Przy drzwiach klatki zobaczyła Matkę Trinket, która właśnie skończyła przesuwac tacę pod ramą z siatki. Na tacy stał papierowy talerz ze smażonymi piersiami i udkami kurczaka, kupką suchej sałatki ziemniaczanej i kilkoma długimi pędami przywiedłych brokułów. Staruszka przyglądała się im mętnymi oczyma, z cofniętym podbródkiem. Silne, pokryte plamkami ramiona zwisały jej jak dwie brzozowe kłody.

- Fuj - rzucił Kevin i podniósł tacę. Wręczył ją Stelli. - Wszystko dla ciebie - powiedział.

- Co z dziewczyną? - zapytała Matka Trinket.

- Jest naprawdę chora - odparł Kevin.

- Przyjeżdżają ludzie. Zajmą się nią - powiedziała Matka Trinket.

- Tak się pani martwi? - zapytał Kevin.

Staruszka mrugnęła.

- To mój syn - odparła, po czym odwróciła się i wyszła niezdarnie przez drzwi. Zamknęła je za sobą i przekręciła klucz.

Dziewczynka, Bezkształt, dyszała szybko i urywanie, gdy Stella wniosła tacę do pokoju na tyłach.

- Źle pachnie - powiedziała Mabel. - Boję się o nią.

- Ja też - dodał Will.

- Will jest tu tatą - stwierdziła Mabel. - Powinien jej pomóc.

Will popatrzył bezradnie na Stellę i opadł na kanapę. Stella postawiła tacę na rozkładanym stoliku. Nie miała ochoty na jedzenie. Przykucnęła z Kevinem obok Elviry. Pogładziła policzki dziewczynki, a wtedy jej cętki zbladły. Pozostały takie. Pręgi ustaliły się

w ciągu ostatnich kilku minut, teraz były jeszcze bardziej bezkształtne i niewyraźne.

- Czy możemy coś zrobić, aby poczuła się lepiej? - spytała Stella.

- Nie jesteśmy aniołami - odparł Will.

- Moja matka mówi, że głęboko wewnątrz wszyscy mamy umysły - powiedziała Stella, rozpaczliwie szukając jakiegoś rozwiązania. - Umysły rozmawiające z sobą poprzez wymianę substancji chemicznych i...

- Skąd u licha może to wiedzieć? - wtrącił się ostro Will. - Jest chyba człowiekiem?

- Nazywa się Kaye Lang Rafelson - wyjaśniła Stella, urażona i pragnąca się bronić.

- Nie obchodzi mnie, kim jest - powiedział Will. - Nienawidzą nas, bo jesteśmy nowi i lepsi.

- Nie nasi rodzice - zaryzykowała Stella z nadzieją, patrząc na Mabel i Kevina.

- Moi tak - stwierdziła Mabel. - Mój ojciec nienawidził rządu, dlatego mnie ukrywał, ale pewnego dnia po prostu zwiął. Matka zostawiła mnie na przystanku autobusowym.

Stella przekonała się, że życie tych dzieci różniło się bardzo od jej własnego. Wszystkie pachniały samotnością i opuszczeniem, jak szczeniaki zabrane z pomiotu, skamlące i szukające tego, co utraciły. Pod samotnością i innymi chwilowymi emocjami kryły się ich podstawowe wonie: woń Willa była bogata i ostra, jak starego cheddara, Kevina trochę słodka. Mabel pachniała jak mydliny, para z wanny, kwiaty i czysta, rozgrzana skóra.

Nie mogła wyczuć podstawowej woni Elviry. Pod chorobą chyba nie pachniała niczym.

- Myśleliśmy o ucieczce - wyjawiał Kevin. - We wszystkich ścianach są stalowe druty. Fred powiedział, że wzmocnił to miejsce.

- Nienawidzi nas - dodał Will.

- Jesteśmy sporo warci - powiedział Kevin.

- Powiedział mi, że córka zabiła jego żonę - wyjaśnił Will.

Potem wszyscy jakiś czas milczeli, z wyjątkiem Bezkształtu, która oddychała ochryple.

- Naucz mnie rozmawiać cętkami - poprosiła Willa Stella. Chciała uwolnić ich od myślenia o rzeczach, na które nie mogli żywić nadziei, takich jak ucieczka.

- A jeśli Elvira umrze? - zapytał Will. jego czoło zbladło.

- Będziemy ją oplakiwać - odparła Mabel.

- Racja - powiedział Kevin. - Zrobimy mały krzyż.

- Nie jestem chrześcijaninem - przyznał Will.

- Ja jestem - stwierdziła Mabel. - Chrystus był jednym z nas. Usłyszałam o tym w

lesie. To dlatego go zabili.

Will smętnie pokiwał głową nad jej naiwnością. Stella zawstydzila się słów, które skierowała do mężczyzn w sklepie na stacji benzynowej Texaco. Wiedziała, że w niczym nie przypomina Jezusa. W głębi duszy nie uważała się za osobę miłosierną i litościwą. Nigdy przedtem tego nie przyznała, ale widok Elviry dyszącej na podłodze wskazał jej, jakie naprawdę uczucia żywi.

Nienawidziła Freda Trinketa i jego matki. Nienawidziła federalnych, którzy po nich przybędą.

- Musimy wywalczyć wyjście - powiedział Will. - Fred jest ostrożny. Nie wchodzi do środka klatki. Nie wezwie nawet lekarza. Po prostu zadzwoni po sukę. Przyjadą z Marylandu i Richmond. Wszyscy będą w strojach ochronnych, ze szpikulcami do poganiania bydła i strzelbami usypiającymi.

Stella zadrżała. Wezwała rodziców; jadą tutaj. Oni także mogą zostać pojmani.

- Niekiedy po przyjeździe suk dzieci umierają, może wskutek wypadku, ale jednak giną - ciągnął Will. - Wtedy oni palą ciała. Tak słyszeliśmy w lasach. - Po chwili dodał: - Nie mam ochoty uczyć cię, jak cętkować.

- No to opowiedz mi o lasach - poprosiła Stella.

- Lasy są wolne - odpowiedział Will. - Chciałbym, aby cały świat był lasami.

## 19

Deszcz powrócił jako mżawka. Kaye zjechała na pobocze i stanęła tuż na północ od prywatnej drogi asfaltowej wiodącej do wielkiego ceglanego domu z białymi kolumnkami i innych zabudowań. Niebo zachmurzyło się dostatecznie, aby mieszkańcy tego domu zapalili w środku światła. Czarna stalowa skrzynka pocztowa, stojąca na ceglanym słupie sięgającym do piersi, opatrzona była błyszczącymi złotem pięcioma cyframi.

- To tutaj - powiedział Mitch. Spojrzał przez zalane deszczem okienko i opuścił szybę od swojej strony. Przed domem stała czerwona półciężarówka z przyczepą kempingową. Nie było widać innych pojazdów.

- Może się spóźniliśmy. - Kaye walczyła, aby nie zapłakać.

- Minęło dopiero dziesięć, najwyżej piętnaście minut.

- Dwadzieścia. Szeryf mógł przyjechać i odjechać. Mitch spokojnie otworzył drzwiczki.

- Jeśli zdołam ją zabrać, zaraz wrócę.

- Nie - sprzeciwiła się Kaye. - Nie zostanę tu sama. Chybabym tego nie wytrzymała. - Jej palce ścisnęły kierownicę jak linę ratunkową.

- Zostań tutaj, proszę cię - powiedział Mitch. - Nic mi nie będzie. Przyniosę ją. Ty nie zdołasz.

- Zdziwiłbyś się - odparła Kaye. Po chwili spyła: - Czemu chcesz ją przynieść?

- Tak będzie szybciej - wyjaśnił Mitch. - Tylko dlatego.

Otworzył schowek na rękawiczki i wyjął owinięty w tkaninę pakunek, ściągnął pachnący smarem materiał i chwycił pistolet. Włożył broń do kieszeni marynarki. Mieli trzy pistolety, wszystkie nielegalne i niezarejestrowane. Oskarżenie o posiadanie broni było ostatnią rzeczą, która spędzałaby Mitchowi i Kaye sen z powiek; mimo to oboje patrzyli na nią z niechęcią, wiedząc, że daje złudne poczucie bezpieczeństwa.

Wszystkie trzy pistolety Mitch wyczyścił i naoliwił w zeszłym tygodniu.

Wziął głęboki oddech i wysiadł. Przeszedł za samochód. Kaye zwolniła hamulec i ustawiła bieg na luz. Mitch popchnął, stękając w mżawce. Kaye wysiadła i pomogła, kierując jedną ręką; razem Potoczyli półciężarówkę asfaltową szosą, zatrzymując się w połowie drogi do domu. Kaye zakręciła kierownicą i tak ustawiła samochód, że stanął w poprzek. Wzdłuż podjazdu biegły żywopłoty i gliniane murki, żaden pojazd nie byłby w stanie ominąć półciężarówki. Kaye wsiadła do środka. Mitch wziął w dłonie jej twarz, ucałował policzek, a ona uściśnęła jego rękę. Potem ruszył w stronę domu, trzymając dłonie w kieszeni spodni. Nigdy nie wyglądał dobrze w garniturze. Miał za duże ramiona i dłonie, za długą szyję. Nie pasował do garnituru.

Kaye patrzyła z walącym mocno sercem, plątaniną myśli w głowie.

Kolumienki i ganek były ciemne, drzwi zamknięte. Mitch wszedł na schodki najciszej, jak mógł w butach o twardych podeszwach, i zajrzał przez wysokie, wąskie okno z prawej strony.

Kaye zobaczyła, jak skręcił bez pukania i zszedł po stopniach. Zniknął jej z oczu za boczną ścianą domu. Zaczęła łkać; wcisnęła knykcie palców między zęby i wargi. Od jedenastu lat żyli jak na wulkanie. Było to okrutne i kiedykolwiek myślała, że przywykła do skrajności wspólnego życia, tak jak tego ranka, kiedy była niemal bliska poczucia prowadzenia zwykłego, twórczego i szczęśliwego życia, pracując nad artykułem naukowym, drzemiąc przy komputerze, szybko pojawiały się spontanicznie wizje pokazujące, jak mogą to wszystko utracić. Do tej pory mieli szczęście, wiedziała o tym.

Nawet jednak najgorsze wizje rzadko dorównywały okropnością temu koszmarowi.

Mitch szedł wzdłuż skraju starannie przystrzyżonego trawnika, przykucając pod oknami z boku domu. Usłyszał drażniące, trzepoczące buczenie, jakby wielkiego owada; popatrzył gniewnie w burzliwy mrok. Niczego nie dostrzegł.

Serce niemal przestało mu bić, gdy uprzytomnił sobie, że ciągle ma włączony telefon komórkowy. Sięgnął do lewej kieszeni i wyłączył go.

Żwirowa ścieżka biegła od tylnej werandy do długiej, drewnianej oficyny stojącej za domem. Ominął ścieżkę, unikając zgrzytu, jaki wydawałyby na niej jego buty, ruszył wzdłuż miękkiego skraju, zszedł z trawy, rosnącej kępkami i zeschłej, na betonowy ganek budynku. Zajrzał przez małe, kwadratowe okienko umieszczone w stalowych drzwiach. Po co tu stalowe drzwi? Na dobitkę były nowe.

W pomieszczeniu za okienkiem ujrzał furtkę z mocnej drucianej siatki. Cicho sięgnął do gałki drzwi. Były oczywiście zamknięte.

Cofnął się, pięta wpadła mu w dołek w trawie, podskokiem odzyskał równowagę, potem ruszył wzdłuż ściany, przyspieszając kroku. Szeryf mógł przyjechać w każdej chwili. Mitch wolałby odzyskać Stellę bez pomocy władz. Ponadto wiedział, że Kaye długo nie wytrzyma. Musiał szybko zakończyć rekonesans, zlokalizować córkę, zdecydować, co ma robić dalej.

Mitch nigdy nie był dobry w podejmowaniu szybkich decyzji. Zbyt wiele lat spędził na cierpliwym zdrapywaniu i odmiataniu warstw ubitej ziemi, odsłanianiu tysiącleci milczących, niezapisanych dziejów. Pokój, wypełniający jego duszę podczas tych wykopalisk, okazał się nieprzydatny przy działaniach ratunkowych.

Odrzucił ten pokój, wraz z wykopaliskami, dziejami i niemal całym swym przeszłym życiem, zastąpił je pełną desperacji, obronną wściekłością.

## **20**

### **Leesburg**

Mark Augustine wykrzywił usta, kiedy mężczyzna i kobieta przyjechali starą półciężarówką. Ptaszek przesyłał im serie wyraźnych, zamrożonych obrazów, przerywanych zamazanymi chwilami pikowania w dół; szeregi obrazów wypełniały wielkie ekrany otoczone niebieskimi ramami.

Na ostatnim ekranie pojawiły się dwa nazwiska. Porównanie rysów twarzy przyniosło rozpoznanie, którego Augustine nie potrzebował. Mężczyzną okrążającym dom był Mitch

Rafelson. Kobieta w półciążarówce była Kaye Lang Rafelson.

- Dobrze - powiedziała Browning. - Mamy całą bandę. - Spojrzała na Augustine'a.

Zacisnął usta.

- Wprowadzanie środków przymusu nie jest raczej nauką ścisłą - stwierdził. - Gdzie są furgonetki?

- Jakież dwie minuty stamtąd - odparła Browning. Stała się ponownie całkowicie opanowana i pewna siebie.

## 21

### Hrabstwo Spotsylvania

Kaye usłyszała silniki. Wyrzała na drogę ponad żywopłotem i zobaczyła dwa niebiesko-białe radiowozy policji stanowej Wirginii, nadjeżdżające z obu stron, bez syren i migających świateł, a także pękata, białą furgonetkę, coś jakby skrzyżowanie suki policyjnej z karetką. Nie dostrzegła na bocznych ścianach czerwono-złotej oznaki Urzędu Stanu Wyjątkowego, ale wiedziała, że tam jest.

Stanął spokojnie, gdy radiowozy zwolniły, a potem podjechały ostrożnie z furgonetką, aby sprawdzić, kto przed nimi skręcił w drogę prywatną.

- Kto tu się kręci? - spytała starsza kobieta. - Czy pan jest z gazowni? - Stała czterdzieści stóp dalej; widać było jedynie sylwetkę z ufryzowaną głową. Musiała bardzo cicho wyjść z domu, gdy Mitch przesunął się za długim budynkiem. Trzymała strzelbę.

Mitch odwrócił się i spojrzał na prawą ścianę długiego budynku, naprzeciw tyłu domu. Zakończył okrążenie i nie znalazł innego wejścia.

- Bez żartów! - zawołał, starając się brzmieć przyjacielsko.

- Szukam córki.

- Nie mamy gości - powiedziała kobieta.

- Matko! - Jakiś mężczyzna otworzył z trzaskiem drzwi z siatki i stanął przy niej na tylnym ganku. - Odlóż tę cholerną strzelbę. Od frontu są policjanci.

- Złap go - poleciła kobieta. Wskazała ręką.

- Podejdź tutaj. Chcę cię obejrzeć. Przybyłeś z policją?

- Urzędem Stanu Wyjątkowego - odparł Mitch.



- Nie tak powiedział - skomentowała kobieta, opuszczając broń.

Mężczyzna wyszarpnął jej strzelbę i cofnął się do domu. Nieznajoma stała, patrząc na Mitcha.

- Przyszedłeś po swoją córkę - szepnęła.

Mitch okrążył ją ostrożnie, potem skręcił w lewo, zobaczył reflektory samochodu i furgonetkę na końcu drogi, za ich starą półciązarówką.

- Cholera, bardzo źle pan zaparkował - krzyknął mężczyzna z wnętrza domu. Mitch usłyszał kroki na drewnianej podłodze, ujrzał światła zapalające się i gasnące w pokojach, potem dobiegł go odgłos otwieranych drzwi wychodzących na ganek od frontu.

Kiedy minął narożnik, zobaczył grubawego, ruchliwego mężczyznę w szortach, stojącego na ganku między kolumnienkami, z rękoma podniesionymi, jakby się poddawał.

- Co zamierzają? - szepnął facet.

Nadzieje Mitcha wygasły niemal całkowicie. Nie zdołałby odnaleźć Stelli bez mnóstwa hałasu, nie potrafił też sobie wyobrazić, jak mógłby zabrać ją z domu, choćby nawet ją niósł. Lasy wokół domu i za polem wyglądały na gęste. Teraz, gdy deszcz ustał, wszędzie wokół niego buczały i cykały chrząszcze. Powietrze pachniało kurzem i słodką wilgocią przemoczonej trawy i ziemi.

Kaye patrzyła na główną drogę i świeżo przybyłe pojazdy. Dwaj mężczyźni w mundurach o dwóch odcieniach szarości wysiedli z radiowozów i podchodzili ku niej. Młodszy z nich rzucił zmieszane spojrzenie za siebie, na furgonetkę.

- Czy to pani nas wezwała? - zapytał starszy policjant, wysoki, pod pięćdziesiątkę, o niskim, lecz załamującym się bucącym głosie.

- Porwano naszą córkę, jest tam - odpowiedziała Kaye.

- W tym domu?

- Dopiero co przyjechaliśmy. Zadzwoiła do nas i powiedziała, gdzie możemy ją znaleźć.

Policjanci spojrzeli szybko po sobie - ich twarze miały zawodową, nic niewyrażającą minę - a potem odwrócili się ku dwóm postaciom wysiadającym z furgonetki: wysokiemu, chudemu jak szkielet mężczyźnie w błyszczącym czarnym kombinezonie i krępej kobiecie w białym stroju izolacyjnym z tworzywa sztucznego. Nałożyli rękawiczki i maseczki, a potem podeszli do policjantów.

- To wchodzi w nasze kompetencje, panowie - powiedział szczupły mężczyzna. -

Jesteśmy z władz federalnych.

- Mamy zawiadomienie o porwaniu - odparł starszy policjant.

- Proszę pani, co pani tu robi? - zapytała Kaye kobieta.

- Proszę pokazać mi legitymację - zażądała Kaye.

- Wystarczy spojrzeć na tę cholerną furgonetkę. Nie są tanie, jak pani wie - powiedział wyniośle chudzielec w czarnym kombinezonie. - Jest pani matką?

Policjanci się cofnęli. Wyższy spojrział gniewnie na chudzielca.

- Jesteście tutaj, aby wypłacić nagrodę - powiedziała Kaye napiętym głosem. - Nie mam pojęcia, ile dzieci tam jest, ale wiem, że w tym stanie to nielegalne.

Większy policjant stał twardo z założonymi rękoma.

- Czy to prawda? - zapytał kobietę w plastikowym stroju.

- Mamy uprawnienia. To sprawa federalna - powtórzył wysoki mężczyzna. - Sherry - zawołał do partnerki - połącz się z biurem.

- Tablice Marylandu - zauważył młodszy policjant.

Kaye przyglądała się twarzy wyższego policjanta. Miał czerwone policzki, a jego nos był nabrzmiałą siatką pękniętych naczynek, przypuszczalnie wskutek trądziku różowatego, ale być może też od picia.

- Czemu jesteście poza swoim hrabstwem? - zapytał parę z furgonetki ten wyższy.

- To sprawa federalna, urzędowa - odparła wyzywająco krępa, niska kobieta. - Nie możecie nas powstrzymać.

- Zdejmijcie te cholerne maski. Nie rozumiem pani - powiedział wyższy policjant.

- Musimy mieć założone maski, panie władzo - oświadczyła kobieta urzędowo. Wyglądało na to, że nieprędko dojdą do porozumienia. Jej strój chrzęścił i skrzypiał, gdy chodziła. Mundur wyższego policjanta był wyprasowany i mocno opinał potężną, nieco otyłą postać. Funkcjonariusz wyglądał na niezadowolonego i zmęczonego, ale bardzo pewnego siebie. Kaye pomyślała, że przypomina dawnego gracza w piłkę. Nie dał się zbić z pantałyku. Zwrócił się ponownie do niej.

- Proszę pani, kto zadzwonił do policji stanowej?

- Mój mąż. Ktoś porwał naszą córkę. Jest w tym domu.

- Czy rozmawiamy o dzieciach wirusa? - zapytał policjant łagodnie.

Kaye przyjrzała się jego minie, ciemnym oczom, zmarszczkom wokół szczęki.

- Tak - potwierdziła.

- Od jak dawna tu mieszkacie? - pytał dalej policjant.

- W hrabstwie Spotsylvania już cztery lata - odpowiedziała Kaye.

- Ukrywacie się?

- Mieszkamy spokojnie.

- No - powiedział policjant z ponurą rezygnacją. - Słyszałem. - Obrócił się do zespołu z Urzędu Stanu Wyjątkowego. - Czy macie dokumenty? - Machnął do swego partnera. - Sprawdź dom.

- Mój mąż jest uzbrojony - przyznała Kaye, wskazując w stronę domu. - Porwali nasze dziecko. Proszę, nie będzie do was strzelał. Pozwólcie mu oddać broń.

Większy policjant szybkim ruchem obu rąk wyjął z kabury swój pistolet. Zerknął na wielki dom z kolumnkami, potem zobaczył idących przez boczne podwórko Mitcha i starszą kobietę.

Jego partner, młodszy o co najmniej dziesięć lat, stanął i natychmiast wyciągnął swój pistolet.

- Nienawidzę tego diabelstwa - powiedział.

- Dajcie nam robić swoje - zażądała krępa kobieta. Maska osunęła się i wyglądała jeszcze zabawniej.

- Nie zobaczyłem żadnych dokumentów i jesteście poza terenem swojej jurysdykcji - rzucił ostro wyższy policjant, nie odrywając oczu od domu. - Muszę mieć okazane dokumenty USW, upoważniające was do działania.

Odpowiedź nie padła od razu.

- Jesteśmy w zastępstwie zespołu z hrabstwa Spotsylvania. Wypełniają inne zadanie - mruknął chudzielec, tracąc trochę ze swej zuchwałości.

- Znam tamtych - powiedział wyższy policjant. Popatrzył smutno na Kaye. - Cztery lata temu zabrali mojego syna. Od tego czasu z żoną nie widzieliśmy naszego chłopca ani razu. Jest teraz w Indianie, niedaleko Terra Haute.

- Jesteście państwo dzielni, że trzymacie się razem - odparła Kaye, jakby przeskoczyła między nimi iskra: rozumieli się nawzajem, znali swe kłopoty.

Wyższy policjant złagodniał, ale nadal przyglądał się wszystkim bystrymi, czujnymi oczyma.

- Nic pani o tym nie wie - powiedział. Machnął ręką do partnera. - Williamie, zabierz pistolecik ojca i sprawdzimy dom. Zobaczymy, co się tutaj dzieje.

Mitch zawiesił pistolet na palcu wskazującym podtrzymującym osłonę spustu i podniósł rękę wysoko. Żałował, że go zabrał; czuł się głupio, jak aktor w filmie kryminalnym. Myśl, że

Stella jest w domu, w długim budynku albo gdziekolwiek indziej na terenie posiadłości, nadal czyniła go nieobliczalnym i niebezpiecznym. Cokolwiek mogło go sprowokować do wybuchu, a to budziło w nim lęk. Natężenie jego troski było niby lampa lutownicza w głowie, olśniewająca i oślepiająca.

Zawsze tak się działo. Nigdy nie będzie inaczej.

Młodszy policjant włókł swoje buty po mokrej trawie.

Grubawy mężczyzna w szortach wreszcie zdecydował się odezwać.

- Czy mogę w czymś pomóc, panie władzo? - zapytał.

Młodszy policjant wziął broń Mitcha i się wycofał.

- Czy w tych zabudowaniach przetrzymujecie państwo dzieci? - zapytał mężczyznę w szortach.

- Przetrzymujemy - przyznał mężczyzna. - Zabłąkane i uciekinierów. Chronimy je, dopóki nie przybędą furgonetki i nie zabiorą ich tam, gdzie zostaną otoczone opieką. Gdzie jest ich miejsce.

Mitch przyglądał się policjantowi spod opuszczonych krzaczastych brwi. Zawsze miał nad oczyma prawie jedną, złączoną brew, a z wiekiem kędzierzawa gąsienica włosów zgęstniała i zdziczała. Przeważnie wyglądał onieśmielająco, choć trochę szaleńczo.

- Nasza córka nie uciekła - powiedział. - Została porwana.

Wyższy policjant podszedł do Kaye, a dwoje hyci za nim.

- Gdzie są dzieci? - zapytał.

- Z tyłu - odparł mężczyzna w szortach. - Sir, nazywam się Fred Trinket. Mieszkam tu od dawna, a moja matka przez całe życie.

- Do diabła z tym - rzucił wyższy policjant. - Pokażcie nam teraz dzieci.

Coś buczało nad ich głowami jak wielki owad. Wszyscy spojrzeli w górę.

- Kurna - zaklął młodszy policjant, wzdrygnął się i zwiesił ramiona. - Brzmi jak federalne urządzenie śledzące.

Potężniejszy wyprostował się i przesunął zmęczonymi oczyma po ciemniejącym niebie.

- Niczego nie widzę - powiedział. - Idziemy.

**Leesburg**

Przybycie policjantów nie ucieszyło Rachel Browning.

- Powinniśmy chyba zawiadomić urząd w hrabstwie Frederick - powiedziała. Znowu wydmuchała nos. - I włączmy do tego prokurator generalną stanu. Powinna się dowiedzieć, co zamierzają tu zrobić jej ludzie.

- Nie zdążymy - odparł Augustine. - To Wirginia, Rachel. Nie lubią, jak federalni mówią im, co mają robić. A sprawa jest mocno nieregulaminowa, nawet jak na urzędowe porwanie.

Browning przechyliła głowę w bok, rzuciła spojrzenie między Augustine'a i ekrany.

- Nie słyszę, co mówi ten wielki facet. - Ptaszek cofnął się jakieś pięćdziesiąt stóp i uniósł. Jego małe ogniwo paliwowe wkrótce się wyczerpie, będzie musiał wrócić albo zostać zabrany przez pojazd dowodzenia.

- Policjant powiedział, że zabrano jego syna - przekazał jej Augustine. - Raczej nie będzie miły.

- Cholera - rzuciła Browning. - Cieszy cię to, przyznasz chyba?

Augustine się nie uśmiechał, ale jego wargi zadrżały.

- Nie wezmę za to odpowiedzialności - przypomniała Browning.

- Twoje maszyny rejestrują wszystko - powiedział Augustine, wskazując na konsolę. - Lepiej zabierz stamtąd Ptaszka, i to szybko, jeśli chcesz uniknąć przetrzepania ci skóry przez sąd okręgowy.

- Twoja wina jest równa mojej - stwierdziła Browning.

- Nigdy nie zezwoliłem na wypłacanie nagród - przypomniał jej Augustine. - To twoja działka.

Natarczywie zadzwonił telefon na biurku.

- Ojej - rzucił Augustine. - Ktoś się wtrąca.

Browning podniosła słuchawkę. Zasłoniła mikrofon i spojrzała na Augustine'a z przestraczem.

- To naczelny lekarz - powiedziała z rozszerzonymi mocno oczyma.

Augustine okazał swe współczucie uniesieniem brwi i westchnieniem. Potem się odwrócił i ruszył ku drzwiom. Gumowa końcówka jego laseczki skrzypiała nieprzyjemnie na

twardej podłodze.

23

## Hrabstwo Spotsylvania

Fred Trinket łagodnie odsunął matkę na bok, gdy prowadził grupkę wzdłuż prawej ściany domu. Mitch nienawidził tego miejsca, otyłego mężczyzny w szortach barwy khaki, hycli. Jego głowa była jak balon wypełniony benzyną i czekający, aż ktoś podłoży ogień.

Kaye wyczuwała jego gniew jak żar bijący z pieca. Chwyciła go za ramię. Jeśli Stelli stała się jakaś krzywda, choćby najmniejsza, wówczas... Jeśli ich córce stała się krzywda, wówczas...

Nie była w stanie dokończyć tych myśli.

- Na obiad daliśmy uciekinierom kurczaka, bardzo pożywnego - wyjaśnił Trinket. Jego twarz wyglądała jak plamisty marmur, pocił się jak świnka. Zaczynał pojmować, że wielkiemu policjantowi nie podoba się sposób, w jaki zarabia pieniądze.

Mitch szarpnął się w stronę Trinketa. Kaye złapała go i przytrzymała mocno za ramię, aż się skrzywił. Nie wrywał się, patrzył tylko na szarą ścianę z desek długiego budynku stojącego za domem, pokryty smołą dach z gontów, stalowe drzwi z okienkiem i betonową podmurówkę.

- Mamy ładne, czyste pomieszczenia - powiedział Trinket. Wyprzedził Mitcha i Kaye, szedł obok wyższego policjanta. Młodszy i hycle trzymali się z tyłu. - Mieliśmy tutaj wielu uciekinierów - ciągnął Trinket, coraz głośniejszą w miarę zbliżania się do drzwi; jego tajemnica wkrótce się wyda. - Mamy starannie prowadzone rozliczenia z urzędem skarbowym. Dobrze się nimi opiekujemy.

- Zamknij się - zażądała Kaye.

- Niech się pani nie denerwuje, proszę - powiedział większy policjant, ale jego głos także drżał.

Stella usłyszała zgrzyt zamka w wielkich stalowych drzwiach, zostawiła Elvirę i pobiegła pędem korytarzem w stronę furtki w klatce wewnętrznej. Stała tam, gdy zapaliły się światła w pierwszej izdebce, pełnej skrzynek, i zobaczyła wielkiego mężczyznę w skórzanej kurtce i mundurze koloru khaki, a za nim Freda Trinketa.

Niemal natychmiast potem Stella wyczuła zapach Kaye i Mitcha.

- Mamusiu - powiedziała, jakby znowu miała trzy latka.

- Otwierać drzwi - nakazał Trinketowi wyższy policjant. Na jego policzkach pokazały się łzy. Stella nie widziała w życiu wielu funkcjonariuszy policji, a na pewno nigdy żadnego, który by płakał.

Trinket wymamrotał coś i wziął mosiężny klucz zawieszony na sznurku.

- Mamusiu, ona umarła! - zawołała Stella. - Dopiero co umarła, przed chwilą! Nic nie mogliśmy zrobić! - Głos się jej rozszczepił, mowa popłynęła dwoma piskliwymi, śpiewnymi, dziwacznie pięknymi potokami, jakby przy furtce z siatki stały dwie dziewczynki, jedna wewnątrz drugiej. Kaye niczego nie zrozumiała, ale jej serce niemal pękło od nadmiaru radości i rozpacz.

- Otwieraj już! - krzyknęła Kaye, przepychając się do przodu. Jej paznokcie przeorały policzek Freda Trinketa. Ten skulił się, upuścił klucz i wrzasnął w proteście.

Kaye spróbowała dosięgnąć Stelli przez siatkę. Dzielila ich przestrzeń pomiędzy drzwiami.

- Boże wszechmogący - powiedział młodszy policjant.

Mitch chwycił klucz Trinketa i rzucił go Kaye, potem złapał mężczyznę i przytrzymał. Wyższy policjant się odsunął. Kaye otworzyła drzwi z siatki, potem furtkę wewnętrzną i uścisnęła Stellę.

- Weźcie innych - powiedziała Stella.

- Ilu? - zapytał Trinketa wyższy policjant.

- Pięcioro - odparł Trinket.

- Sir, mamy obowiązek zabrać i wywieźć wszystkie dzieci wirusa - oznajmiła krępa kobieta, wchodząc do pierwszego pomieszczenia. Jej wysoki, szczupły kolega pozostał na zewnątrz; patrzył na ziemię, stopnie, na wszystko, tylko nie do środka długiego budynku.

Kaye, Mitch i wyższy policjant poszli korytarzem. Stella trzymała się blisko matki. Mitch objął ramiona córki, a ta mocno do niego przywarła.

- Przepraszam - szepnęła.

Mabel i Kevin siedzieli na kanapie. Will stał przy Elvirze. Telewizor wyświetlał stary odcinek *I Love Lucy*. Kaye uklękła przy leżącej na brzuchu dziewczynce i zbadała ją z zatroskaną miną. Zobaczyła skrzep krwi pod nosem, łagodnie odwróciła głowę zmarłej, dostrzegła więcej skrzepów za uszami, wyczuła zgrubienia poniżej szczęki i pod pachami.

- Jak dawno? - spytała Stellę.

- Pięć, sześć minut temu - odpowiedziała jej córka. - Zakasłała naprawdę paskudnie i

znieruchomiła.

Kaye obejrzała się przez ramię na Mitcha i wyższego policjanta. Trinket krzywił się, ale był dość rozsądny, by milczeć.

- Niech zobaczę - powiedziała krępa kobieta z USW. Uklękła szybko obok dziewczynki. Potem zerwała się na nogi, mocno wydechając powietrze, spojrzała ostro na wszystkich i pośpiesznie wyszła korytarzem.

- Czy jest chora? - spytał Trinket. - Czy może jej pani pomóc?

- Jakby to ciebie u diabła obchodziło! - rzucił wyższy policjant.

Kaye usłyszała, jak kobieta żąda zestawu pierwszej pomocy.

- Za późno - szepnęła.

- Jest pani lekarzem? - zapytał wyższy policjant, gdy przyklęknął przy Kaye i dziewczynce, pochylił się nisko nad podłogą.

- Niemalże - odparła Kaye.

- Niech pani zabierze stąd córkę - powiedział.

- Mogę pomóc - zaoferowała się, patrząc na szczęki wyższego policjanta, jego mocno niebieskie oczy.

Mitch puścił Trinketa i przycisnął mocniej Stellę.

- Zabierzcie ją tylko stąd - powtórzył policjant. - Zajmiemy się tym. Wyjedźcie daleko. Zostańcie razem.

- Czy mogą z nami pojechać Will i Kevin i Mabel? - zapytała Stella.

Will przyglądał się im wszystkim z wyzwaniem w zmrużonych w szparki oczach. Kevin i Mabel skupili uwagę na telewizorze, ich policzki ze strachu i wstydu lśniły złotem i różem.

- Przykro mi - odpowiedziała Kaye.

- Mamo...

- Będziemy musieli podróżować lekko i szybko - wyjaśniła Kaye. A oni mogą być chorzy - pomyślała.

Stella wyrwała się Mitchowi i podbiegła do Willa. Chwyliła chłopca za ramiona i przez kilka sekund patrzyli na siebie.

Kaye i Mitch przyglądali się im, Mitch z drzeniem, Kaye z dziwnym spokojem i fascynacją. Od dwóch lat nie widziała swojej córki z innym *Homo sapiens novus*. Czuli wstyd, że od tak dawna, ale nie potrafiłaby powiedzieć, za kogo się wstydzili. Może za całą przestraszoną rasę ludzką.

Gdy Stella i Will się rozdzielili, Kaye wzięła córkę za rękę i dała jej tajemny znak,



którego nauczyła ją przed wielu laty: palcem wskazującym przesunęła po wnętrzu dłoni Stelli, mówiąc jej, że muszą iść natychmiast, bez żadnych pytań, żadnych wahań. Dziewczynka wzdrygnęła się, ale posłuchała.

- Pamiętaj o lasach - zaśpiewał Will. - Lasach wszędzie. Lasach na całym świecie.

Gdy biegli do półciężarówki asfaltową drogą, usłyszeli kłótnię policjanta z Trinketem i hyclami.

- Nie traktujemy uprzejmie złodziei dzieci, nie w tym hrabstwie.

Zyskiwał czas dla Stelli i jej rodziców. Podobnie jak zmarła dziewczynka.

Mitch zawrócił półciężarówką. Żywopłot podrapał drzwiczki od strony Kaye.

- Powinniśmy byli zabrać je z nami, wszystkie! - zawołała i gorączkowo objęła Stellę.

- Boże, Mitch, powinniśmy byli uratować je wszystkie.

Mitch się nie zatrzymał.

## 24

### Waszyngton, Dystrykt Kolumbia; Ohio

Na lotnisku im. Dullesa limuzynę Augustine'a przepuszczono i skierowano bezpośrednio do czekającego na pasie kołowania odrzutowca rządowego, którego silniki pracowały na biegu jałowym. Gdy tylko Augustine wszedł na pokład, oficer Sił Powietrznych wręczył mu zamkniętą dyplomatkę. Augustine poprosił stewarda o piwo bezalkoholowe i usiadł w połowie samolotu, nad skrzydłem; od razu też zapiął pasy.

Z aktówki wyjął arkusz papieru elektronicznego i zagiął czerwony narożnik, aby go włączyć. W dolnej połowie pojawiła się klawiatura. Wpisał kod obowiązujący tego dnia i przeczytał komunikat pochodzący z Biura Rozpoznania Specjalnego Urzędu Stanu Wyjątkowego. Liczba zakazów w ostatnim miesiącu wzrosła do 10 procent i w dużej mierze było to wynikiem wysiłków Rachel Browning.

Augustine nie był już w stanie oglądać telewizji ani słuchać radia. Zbyt wiele głosów wrzeszczało głośno kłamstwa mające przynieść im korzyści. Ameryka i znaczna część reszty świata wkroczyły w szczególny stan patologii, na zewnątrz normalny, wewnątrz przepełniony strachem i gniewem: stanowiły jakby oszalałą beczkę prochu.

Augustine wiedział, że powinien wziąć na siebie odpowiedzialność za znaczną porcję tego szaleństwa. Sam kiedyś rozdmuchiwał płomień strachu, mając nadzieję na uzyskanie awansu na dyrektora National Institutes of Health i wydarcie większych funduszy od

niechętnego Kongresu.

Zamiast tego wybrana przez prezydenta komisja do spraw heroda wyniosła go na pozycję cara SHEVY, kierującego ponad 120 szkołami w całym kraju.

Opozycyjne grupy rodziców nazywały go komendantem albo Pułkownikiem Klinkiem, czyli niemieckim komendantem stalagu z popularnego serialu.

Były to łagodne określenia.

Skończył czytać, potem wyginał narożnik papieru elektronicznego, aż ten się odłamał, automatycznie wymazując pasek pamięci. Strona z obrazem stała się pomarańczowa. Mark wręczył oderwany kawałek stewardowi, otrzymując w zamian piwo bezalkoholowe.

- Startujemy za sześć minut, sir - powiedział steward.

- Czy lecę sam? - zapytał Augustine, oglądając się na tylne siedzenia.

- Tak jest, sir - odparł steward.

Augustine się uśmiechnął, ale bez żadnej radości. Twarz miał pobrużdżoną i szarą. W ostatnich pięciu latach jego włosy prawie całkowicie posiwiały. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat, ale wyglądał o dwadzieścia starzej.

Wyjrzał przez okienko na długo oczekiwaną burzę, która zaczynała szaleć nad większą częścią Wirginii i Marylandu. Następny dzień miał być znowu suchy i bezlitośnie słoneczny, z temperaturą dochodzącą do dziewięćdziesięciu trzech stopni Fahrenheita. Będzie gorąco podczas wygłaszania przez niego w Lexington krótkiej mowy propagandowej.

Południe i wschód Stanów już czwarty rok dręczyła susza. Kentucky przestało być stanem niebieskich traw. W większości wyglądało jak Kalifornia pod koniec palącego lata. Niektórzy nazywali to karą, choć zbierano rekordowe zbiory kukurydzy i pszenicy.

Jay Leno zakpił kiedyś, że SHEVA odłożyła na później globalne ocieplenie.

Augustine wiercił się, ściskając mocno dyplomatkę. Samolot kołował. Za oknem widać było tylko zamazany przez kropelki deszczu pas startowy, wyciągnął więc papierowe wydanie „Washington Post”. Obok „Plain Dealer” z Cleveland była to obecnie jedyna prawdziwa gazeta, którą dało się czytać. Większość innych dzienników w kraju padła wskutek głębokiej recesji. Nawet „New York Times” ukazywał się jedynie w postaci wydania elektronicznego.

Niektórzy dowcipnisie nazywali czasopisma sieciowe „elektronami”. O ile papier miał dwie strony, to elektrony prawie wyłącznie ładunek ujemny. Gazety sieciowe nie miały na pewno nic dobrego do powiedzenia o Urzędzie Stanu Wyjątkowego.

- *Mea maxima culpa* - wyszeptał Augustine swą nerwową, pełną skruchy modlitwę. Dość rzadko ową mantrę winy zastępował inny głos, który nalegał, że pora umierać, wydać

siebie na łaskę sprawiedliwego Boga.

Augustine zajmował się jednak medycyną, badał choroby, zbyt długo uczestniczył w walkach politycznych, aby wierzyć w jakieś łaskawe czy wspaniałomyślne bóstwo. A nie chciał wierzyć w żadne inne.

W takie, które byłoby najbardziej zainteresowane duszą Marka Augustine'a.

Samolot osiągnął koniec pasa startowego i wzbił się szybko, skutecznie, z wiatrem, wydając głęboki, niski ryk.

Steward dotknął jego ramienia i uśmiechnął się. Augustine zdołał jakoś uciąć sobie błogosławioną drzemkę, trwającą może dziesięć minut. Prawie się uspokoił. Samolot nabral wysokości, osiągnął pułap lotu.

- Panie doktorze, coś się stało. Otrzymaliśmy rozkaz, aby zabrać pana z powrotem do Waszyngtonu. Został dla pana otwarty bezpieczny kanał satelitarny.

Augustine wziął przenośną słuchawkę i słuchał. Jego twarz pobleadła jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe. Po kilku minutach oddał telefon stewardowi i opuścił siedzenie, aby ruszyć ostrożnie między fotelami w stronę łazienki. Tam opróżnił pęcherz, czubek głowy i jedną rękę przyciskając do pochylonej grodzi. Samolot pochylił się na skrzydło, aby zakręcić.

Został wezwany na pilne spotkanie z ministrem zdrowia i opieki społecznej, jego bezpośrednim przełożonym, oraz przedstawicielami Centers for Disease Control.

Wcisnął przycisk splukiwania, zapiął rozpiętkę, starannie umył ręce, spryskał szarą, zdumiewająco trupa twarz i popatrzył na siebie w wąskim lustrze. Mała turbulencja sprawiła, że samolot podskoczył.

Lustro zawsze pokazywało kogoś innego niż człowieka, którym chciałby zostać. Ostatnią rzeczą, jaką sobie kiedykolwiek wyobrażał, był Mark Augustine kierujący siecią obozów koncentracyjnych. Choć zajmowały się nauczaniem i brakowało im cel śmierci, tym właśnie były szkoły: pilnowanymi obozami przetrzymującymi za wielkie pieniądze pokolenie dzieci, które nie miały co liczyć na przepustki za dobre sprawowanie.

Żadnego spokoju. Żadnego wytchnienia. Jedynie ciągłe klasówki i okrutne sprawdziany dla wszystkich żyjących na tej planecie.

**Hrabstwo Spotsylvania**

Stella patrzyła, jak rodzice obdzierają dom. Płakała w milczeniu.

Kaye ciągnęła do dodge'a drewnianą skrzynkę wypełnioną komputerem oraz większością najważniejszych książek i papierów. Mitch na podwórku z tyłu palił dokumenty w zardzewiałej beczce po oleju.

Kaye zwięźle poleciła Stelli, aby ubrania, których naprawdę potrzebuje, wrzuciła do jednej walizeczki, a całą resztę do plastikowego worka na śmieci, który zabiorą, jeśli w samochodzie znajdzie się miejsce.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - odparła cicho Stella. Kaye jej nie usłyszała, czy raczej nie chciała teraz tracić czasu na rozmowę z córką. Stella dodała głośniejszym głosem: - Lubię ten dom.

- Ja też, kochanie. Ja też - powiedziała Kaye z kamienną twarzą.

W kuchni Mitch rozwalił telefon komórkowy i wyjął z niego małe plastikowe płytki z obwodami, które wsadził do kieszeni. W innym stanie wyrzucił je przez okno samochodu albo do kubła na śmieci. Potem rozbił automatyczną sekretarkę.

- Niepotrzebnie się przejmujesz - powiedziała Kaye, taszcząc korytarzem plastikowy wór pełen ubrań. - Jesteśmy przypuszczalnie najbardziej podsłuchiwaną rodziną w Ameryce.

- Stare przyzwyczajenie - odparł Mitch. - Pozwól mi zachowywać złudzenia.

- Sprawiałam kłopoty i naraziłam was na niebezpieczeństwo - powiedziała Stella. - Powinnam odejść. Powinnam udać się do obozu.

- Nas, na niebezpieczeństwo? - Kaye zatrzymała się i obróciła na końcu korytarza. - Czy ty mnie wypróbujesz? - zapytała. - Nie martwiliśmy się o siebie, Stello. Nigdy nie martwiliśmy się o siebie. - Jej ręce kreśliły krótkie łuki od bioder do ramion, a potem je założyła na piersiach.

- Nie rozumiem, dlaczego musi tak być - przyznała Stella. Proszę, pozwólcie mi tu zostać, a jeśli przyjdą, to przyjdą, dobrze?

Twarz Kaye zbieleła.

Stella nie mogła przestać mówić.

- Powiedziałaś, że boicie się o mnie, ale tak naprawdę boicie się o siebie, jak będziecie się czuli, jeśli...

- Stul buzię, Stello - powiedziała wstrząśnięta Kaye i zaraz pożałowała tych ostrych słów. - Proszę. Musimy szybko się stąd wynosić.

- Znam innych takich jak ja. Mogę się dowiedzieć, co tak naprawdę powinniśmy robić. Kiedyś będą musieli nas uznać.

- Równie dobrze mogą pozabijać was wszystkich - powiedział Mitch, gdy stanął obok Kaye.

- To wariactwo - odparła Stella. - Swoje własne dzieci? Mitch i Kaye patrzyli na córkę przez całą długość korytarza.

Kaye dostrzegła chyba symbolizm tej pozycji; ruszyła ku Stelli, nie patrząc na nią wprost, ale na płyty gipsowe, karnisz, farbę ścian, jej oczy wyszukiwały gładkie przestrzenie, jakby te były świętymi tekstami.

- Nie sądzę, aby tak zrobili - ciągnęła Stella.

- To nie twoje zmartwienie - powiedział Mitch.

Stella rozpaczliwie wykrzywiła twarz w czymś, co miało być według niej uśmiechem. Oczy napęłniły jej łzy.

- Jeśli nie moje, to czyje?

- Jeszcze nie twoje, nie tylko twoje - wyjaśnił Mitch głosem znacznie łagodniejszym i tak pełnym bolesnej, gniewnej miłości, że Stella poczuła ucisk w gardle. Podrapała się po szyi.

Kaye popatrzyła.

- O rany - rzuciła, przypomniawszy coś sobie. Przyjrzała się swoim palcom i paznokciom, po czym pobiegła do łazienki. Tam kilka minut mydliła i wycierała ręce.

Ze zlewu buchała para, gdy Stella stanęła w drzwiach.

- To przez Freda? - zapytała.

- Przez Freda - potwierdziła Kaye ponuro.

- Mocno się za niego wzięłaś - powiedziała Stella.

- Jak kocia matka - odparła Kaye. Szorowała się mocno sztywną szczoteczką, potem spojrzała na sufit przez parę i lawendowe mydliny. - „Chcę zmyć tego faceta ze swych rąk” - zaśpiewała. Było to niepodobne do niej, tak histeryczne, że Stella zapomniała o swojej winie i frustracji. Wyciągnęła ramiona do matki.

Kaye odtrąciła długie ręce córki.

- Mamo - rzuciła zaszokowana Stella. - Przepraszam! - Ponownie wyciągnęła ręce. Kaye jęknęła głośno, a potem klepała dłonie Stelli, aż ta złapała ją wpół. Gdy matka i córka osunęły się na postrzępiony chodnik na podłodze łazienki, zbyt wyczerpane, aby móc robić

cokolwiek poza dygotaniem i trzymaniem się mocno, Mitch wciągnął powietrze i dokończył pracę. Załadował drugą walizkę ubraniami, zapiał ją i wraz z workiem na śmieci wrzucił do bagażnika dodge'a. Wyobraził sobie siebie jako twardego ojca z pogranicza, gotowego porzucić nędzną chatę i uciec do puszczy, gdy nadciągają Indianie.

To jednak nie byli Indianie. Mieszkali z Indianami - Stella urodziła się w szpitalu rezerwatu w stanie Waszyngton. Mitch od dziesięcioleci badał Indian i podziwiał ich. Odkopywał także pradawne kości mieszkańców Ameryki Północnej. Było to dawno temu. Nie sądził, że mógłby to robić teraz.

Mitch przestał być białym człowiekiem. Nie chciał mieć zbyt wiele wspólnego ze swoją rasą, swoim gatunkiem. Może wolałby nie mieć z nim nic wspólnego.

To kawalerii się teraz obawiał.

Wzięli dodge'a, a starą, szarą toyotę zostawili na zakurzonej podjeździe. Kaye nie oglądała się za domem, ale Stella, siedząca obok matki na tylnym siedzeniu, odwróciła głowę.

- Pochowaliśmy tam Shamus - powiedziała. Shamus dołączył do nich trzy lata temu; stary, pokiereszowany kocur ze sznurkiem obwiązany wokół szyi. Kaye odcięła sznurek, zszyła porozdzierane ucho i założyła dren, aby oczyścić z ropy ranę za jedynym okiem. Aby rudy, przegowany zwierzak nie wydrapał szwów, Mitch ochronił jego głowę śmieszna plastikową osłoną, w której wyglądał, jak stwierdziła Stella, niby Frankenkicia.

Jak na półdzikie zwierzę, okazał się zdumiewająco łagodnym i przywiązany kotem.

Pewnego popołudnia ubiegłej zimy Shamus nie pojawił się po resztki ze stołu ani na zwykłą sjęstę na kolanach Kaye. Odszedł w odległy kąt podwórka, daleko poza zasięg węchu Stelli. Przepchał się pod nabrzmiałe pędy pnączy ołownika, gdzie nie mogły go dopaść wrony, i zwinął się w kłębek.

Dwa dni później, tknięty przeczuciem, Mitch znalazł go tam ze spuszczoną głową, zamkniętymi oczyma, łapkami podwiniętymi, jakby spał. Pochowali go kilka jardów dalej owiniętego w strzęp swetra z afgańskiej wełny, będącego jego ulubionym posłaniem.

Mitch wyjaśnił, że koty tak robią: odchodzą, gdy wiedzą, że zbliża się ich koniec, aby ich kości nie ściągnęły drapieżników ani nie wywołały choroby u rodziny czy stada.

- Biedny Shamus - powiedziała Stella, patrząc się przez tylne okno samochodu. - Nie ma teraz rodziny.

Jechali. Stella pamiętała wiele takich podróży. Leżała na tylnym siedzeniu ze spuchniętym nosem, ciasno ściśniętymi rękoma, swędzącymi palcami rąk i nóg, głową na udach Kaye, a kiedy ta prowadziła, to Mitcha.

Mitch gładził jej włosy, przyglądając się uważnie. Czasami spała. Leżała a to w cieniu chmur, a to w słońcu wlewającym się przez okienka samochodu. Myśli kłębiły się w jej głowie niby myszy. Nawet w towarzystwie rodziców, przyznawała niechętnie, tak naprawdę była sama. Nienawidziła tych myśli. Zamiast tego wspominała Willa, Kevina i Mabel lub Maybelle, rozważała, jak cierpieli, gdyż ich rodzice byli głupi, podli albo jedno i drugie.

Samochód stanął przy stacji obsługi. Przedwieczorne słońce odbijało się od znaku ze lśniącej stali, raziło oczy Stelli, gdy pchnęła metalowe drzwi prowadzące do toalety. Toaleta była mała, pusta i nieprzyjemna, ściany pokrywały poobtłukiwane, brudne kafelki. Stella zwymiotowała do sedesu, potem wytarła twarz i usta.

Miejsca za uszami piekły ją teraz, jakby żądliły je maleńkie pszczoły. W lustrze zobaczyła, że jej policzki nie pokazują kolorów. Były blade jak u Kaye. Stella zastanawiała się, czy się nie zmienia, nie zaczyna upodabniać do matki. Może stan dziecka wirusa był czymś przejściowym, wrodzoną skazą, która zanika.

Kaye położyła dłoń na czole córki, gdy prowadził Mitch.

Słońce zaszło, burza przyszyła i odeszła.

Stella leżała na kolanach Kaye z niemal zupełnie schowaną twarzą. Ciężko dyszała.

- Przekręć się, maleńka - powiedziała Kaye. Stella usłuchała. - Jesteś rozpalona.

- Zwymiotowałam tam - przyznała.

- Jak daleko do następnego domu? - zapytała Mitcha Kaye.

- Wedle mapy dwadzieścia mil. Wkrótce będziemy w Pittsburghu.

- Chyba jest chora - powiedziała Kaye.

- To nie shiver, powiedz, Kaye? - poprosiła Stella.

- Nie dostaniesz shivera, kochanie.

- Wszystko mnie boli. Czy to świnka?

- Zostałaś zaszczepiona na wszystkie choroby. - Kaye wiedziała jednak, że to nie może być prawda. Nikt nie miał pojęcia, na co podatne są nowe dzieci. Stella nigdy nie chorowała, nie złapała nawet przeziębienia czy grypy; nigdy nie dostała zakażenia bakteryjnego. Kaye

uważała, że nowe dzieci mogą mieć ulepszone układy odpornościowe. Mitch nie podzielał jednak tej teorii, więc poddali Stellę wszystkim niezbędnym szczepieniom, jednemu po drugim, kiedy FDA i CDC niechętnie przyzwoliły na podawanie nowym dzieciom starych szczepionek.

- Może pomoże mi aspiryna - powiedziała Stella.
- Od aspiryny byś zachorowała - odparła Kaye. - Wiesz o tym.
- Tylenol - dodała Stella, ciężko przełykając.

Kaye nalala trochę wody z butelki i podniosła głowę córki, by się napiła.

- Też jest niedobry - szepnęła. - Jesteś kimś bardzo szczególnym, kochanie.

Podniosła powieki Stelli, jedną po drugiej. Tęczówki były bezbarwne, złote plameczki poznikały. Źrenice wyglądały jak kropeczki. Oczy córki wyrażały równie mało co jej policzki.

- Tak szybko - powiedziała Kaye. Położyła głowę Stelli na poduszce w kącie tylnego siedzenia i pochyliła się, szepcząc Miechowi do ucha: - Może mieć to samo co tamta zmarła dziewczynka.

- Kurna - rzucił Mitch.
- Jeszcze nie ma kłopotów z oddychaniem, ale jest rozpalona. Jakies sto cztery sto pięć stopni<sup>2</sup>. W apteczce nie mogę znaleźć termometru.
- Włożyłem go tam - powiedział Mitch.
- Nie znalazłam. Dostaniemy nowy w Pittsburghu.
- I lekarza - dorzucił Mitch.
- W bezpiecznym domu - powiedziała Kaye. - Potrzebujemy specjalisty. - Starala się zachowywać spokój. Stella nigdy dotąd nie miała gorączki ani tak bezbarwnych policzków i oczu.

Samochód przyspieszył.

- Trzymaj się przepisowej prędkości - nakazała Kaye.
- Nie mogę obiecać - odparł Mitch.

---

<sup>2</sup> Około 40 stopni Celsjusza (przyp. red.).



**Ohio**

Christopher Dicken wysiadł z samolotu transportowego C-141 w bazie Sił Powietrznych Wright-Patterson. Za radą Augustine'a dołączył późnym popołudniem do oddziałów Gwardii Narodowej przewożonych drogą powietrzną z Baltimore do Dayton.

Na betonowej płycie postojowej powitał go elegancko ubrany w szary garnitur mężczyzna w średnim wieku, współpracownik cywilny, który przez mały, surowy terminal pasażerski poprowadził go do czarnego służbowego chevroleta.

Dicken popatrzył na stojące za chevroletem dwa nierzucające się w oczy fordysy.

- Po co obstawa? - zapytał.

- Secret Service - wyjaśnił współpracownik.

- Mam nadzieję, że nie dla mnie - powiedział Dicken.

- Nie, sir.

Gdy podchodzili do chevroleta, znacznie młodszy kierowca w czarnym garniturze stanął na baczność, przedstawił się jako funkcjonariusz Reed ze Służby Ochrony Szkoły dla Upośledzonych w Ohio i otworzył prawe tylne drzwiczki samochodu.

Na siedzeniu tkwił Mark Augustine.

- Dobry wieczór, Christopherze - powiedział. - Mam nadzieję, że twój lot był przyjemny.

- Nie bardzo - odparł Dicken. Wgramolił się niezdarnie do samochodu służbowego i usiadł na czarnej skórze fotela. Samochód wyjechał z bazy, a za nim dwa fordysy. Dicken patrzył na wielkie kłęby chmur gromadzące się nad zielonymi wzgórzami i przedmieściami za szerokimi, szarymi rogatkami. Cieszył się, że jest znowu na ziemi. Zmiany ciśnienia powietrza źle wpływały na jego nogę.

- Jak noga? - zapytał Augustine.

- W porządku - odparł Dicken.

- Moja daje mi do wiwatu - powiedział Augustine. - Przyleciałem z lotniska im. Dullesa. Szarpało samolotem nad Pensylwanią.

- Złamałeś nogę?

- W wannie.

Dicken bardzo wyraźnie obrócił tułów, aby popatrzeć na byłego przełożonego, i

przyjrzał mu się chłodno.

- Przykro mi to słyszeć.

Augustine przyjął jego oględziny zmęczonymi oczami.

- Dziękuję, żeś przyjechał.

- Nie zrobiłem tego na twoją prośbę - odparł Dicken.

- Wiem. Ale osoba, która wysunęła tę prośbę, rozmawiała ze mną.

- Otrzymałem polecenie z ministerstwa zdrowia.

- No właśnie - powiedział Augustine i poklepał podłokietnik na drzwiach. - Mamy kłopoty z niektórymi z naszych szkół.

- To nie są m o j e szkoły - odciął się Dicken.

- Czyż nie ustaliliśmy już jasno, jakim pariasem jestem? - zapytał Augustine.

- Jeszcze nie dość jasno - odparł Dicken.

- Znam twoje sympatie, Christopherze.

- Nie sądzę.

- Co u pani Rhine?

Przekłęty szczyt kariery Marka Augustine'a, pomyślał Dicken z rumieńcem na twarzy.

- Powiedz mi, dlaczego tu jestem - poprosił.

- Mnóstwo nowych dzieci zaczyna chorować, a niektóre umierają. - odpowiedział Augustine. - Winny okazał się wirus. Nie wiemy jakiego rodzaju.

Dicken powoli odetchnął.

- CDC nie ma uprawnień do prowadzenia dochodzeń w szkołach Urzędu Stanu Wyjątkowego. Wojna o wpływy, zgadza się?

Augustine przechylił głowę.

- Tylko w kilku stanach. Ohio zachowało władzę nad swymi szkołami. Spory w Kongresie - wyjaśnił. - Nie moje widzimi się.

- Nie wiem, co mógłbym zrobić. Powinieneś ściągnąć wszystkich lekarzy i pracowników publicznej służby zdrowia, którzy są dostępni.

- Ohio w zeszłym roku zmniejszyło do połowy personel medyczny szkół, bo nowe dzieci były zdrowsze od większości zwykłych. Nie żartuję. - Augustine pochylił się na siedzeniu. - Jedziemy do najmocniej dotkniętej szkoły.

- Której? - zapytał Dicken, masując sobie nogę.

- Imienia Josepha Goldbergera.

Dicken uśmiechnął się smutno.

- Nazwano je od bohaterów publicznej służby zdrowia? To miłe, Marku.

Augustine nie dał się zbić z pantafelów. Jego oczy spoglądały tępo, i to nie tylko wskutek zmęczenia.

- Ostatniej nocy wszyscy lekarze oprócz jednego opuścili szkołę. Nie mamy jeszcze dokładnych danych o liczbie chorych i zmarłych. Odeszła też część pielęgniarek i nauczycieli. Większość jednak została i próbuje radzić sobie na własną rękę.

- Wojownicy - zauważył Dicken.

- Amen. Dyrektor, wbrew moim wyraźnym poleceniom, ale na żądanie gubernatora, zarządził zamknięcie szkoły. Nikt nie opuszcza baraków, zakazano wszelkich odwiedzin. Większość szkół jest w podobnym położeniu. To dlatego poprosiłem cię, Christopherze, abys do nas dołączył.

Dicken patrzył na autostradę, na przejeżdżające samochody. Popołudnie było piękne i wszystko wyglądało normalnie.

- Jak sobie radzą?

- Nie najlepiej.

- Dostawy lekarstw?

- Słabe. Występują zatory w stanowym łańcuchu zaopatrzeniowym. Jak powiedziałem, to szkoła stanowa, władze stanowe wyznaczają jej dyrektora. Nakazałem dostawy żelaznych zapasów z federalnych magazynów USW, ale mogą tu dotrzeć dopiero jutro wieczorem.

- Myślałem, że rozpiąłeś żelazną sieć - powiedział Dicken. - Że dobrze się zabezpieczyłeś, kiedy dostałeś to swoje małe lenno.

Augustine nie zareagował, co już samo w sobie wywarło wrażenie na Dickenie.

- Nie byłem dostatecznie sprytny - odparł. - Posłuchaj, proszę, uważnie. Dopóki sytuacja nie zostanie lepiej rozpoznana, do szkół będą dopuszczani jedynie wybrani obserwatorzy. Chciałbym, abys przeprowadził staranne dochodzenie, wziął próbki i dokonał badań. Jesteś wiarygodny.

Dicken poczuł, że dalsze oskarżanie czy dręczenie Augustine'a nie ma większego sensu. Rozluźnił mięśnie grzbietu i jego ramiona opadły.

- A ty nie? - zapytał.

Augustine popatrzył na swoje ręce, obejrzał doskonale utrzymane paznokcie.

- Uważa się mnie za rozczarowanego zarządcę, który przestał uprawiać swój zawód, co jest prawdą, oraz za człowieka, który zagrałby kryzysem zdrowotnym dla ochrony własnej skóry, co nie jest prawdą. Ty natomiast jesteś sławą. Prasa gotowa byłaby lizać różowe paluszki u twych stóp, aby usłyszeć twoją wersję całej historii.

Dicken cicho prychnął z lekceważeniem.

Augustine zeszczupłał, odkąd Dicken widział go po raz ostatni.

- Jeśli w ciągu kilku dni nie zdobędę faktów i nie umieszczę ich w wąskich, biurokratycznych kolumnkach, to może chociaż uzyskamy coś, co wykracza daleko poza chore dzieci.

- Do jasnej cholery, Marku, wiemy, jak działa shiver - powiedział Dicken. - Czymkolwiek to jest, to nie shiverem.

- Na pewno masz rację - przyznał Augustine. - Ale potrzebujemy nie tylko faktów. Potrzebujemy bohatera.

## 28

### Pensylwania

Rozpacz szła jak myśliwy w ślad za Mitchem Rafelsonem. Miała go na swoim celowniku, traktowała jak tarczę strzelecką, gotowa Powalić go i zasiąść do długiej uczy.

Miał ochotę zatrzymać dodge'a na poboczu drogi, wysiąść i pobiec. Jak zawsze upchał te myśli do małej szufladki u podstawy czaszki. Ukrywał w niej wszystkie oznaki wskazujące, że nie jest kochającym ojcem, wszystkie uczucia, które nie były odpowiednie dla jedenastoletniej dziewczynki, i znacznie więcej; wszystko to trzymał obok starych snów o mumiach z Alp.

Wszystkich okropnych domysłów dotyczących nieżyjących od dawna neandertalczyków, matki i ojca, oraz zmumifikowanego współczesnego noworodka, jakiego spłodzili, zanim zmarli z wyziębienia, w długiej, głębokiej jaskini pokrytej lodem.

Nie miewał już takich snów. Prawie w ogóle przestał śnić. Oprócz tego niewiele jednak zostało z dawnego Mitcha. Spalał się, z tatusia Stelli został szczupły szkielet ze stali i kamienia. Nie wiedział już nawet, czy kocha go żona. Od miesięcy nie spali z sobą. Nie mieli czasu na myślenie o takich rzeczach. Nie skarżył się; tak po prostu się stało, po mierzeniu się ze stresem i zmartwieniami brakowało mu zarówno energii, jak i namiętności.

Mitch zabiłby Freda Trinketa, gdyby nie było tam policji i furgonetki. Skręciłby mu kark, potem spojrzalby w zdumione oczy drania i dokończyłby robotę. Odtwarzał ten obraz w umyśle, aż poczuł, że przewraca mu się żołądek.

Lepiej niż kiedykolwiek rozumiał, co musiał czuć neandertalski tatuś.

Siedem mil. Byli na dalekich przedmieściach Pittsburgha. Drogę okalały trąbiące reklamy, próbujące namówić go do kupna samochodów, działek budowlanych, do wydawania

pieniędzy, których nie miał. Domy za autostradą stały ciasno, zatłoczone i małe, a wielkie ceglane budynki przemysłowe były brudne i ciemne. Ledwo zauważył maleńki park z jaskrawoczerwonymi huśtawkami i stolikami z tworzywa sztucznego. Wypatrywał zjazdu na prawo.

- To tutaj - powiedział do Kaye i zjechał z autostrady. Zerknął na tylne siedzenie. Stella leżała bezwładnie. Kaye ją trzymała. Obie przypominały mu posąg Piety. Nie znosił tej metafory, dość często spotykanej na alternatywnych stronach Internetu: nowe dzieci są męczennikami, jak Chrystus. Nienawidził jej serdecznie. Męczennicy ginęli. Jezus zmarł w straszny sposób, prześladowany przez ślepe państwo i nieuczoną, krwiożerczą tłuszcę, a Stelli na pewno nie spotka ten los.

Stella będzie żyła jeszcze długo po tym, jak Mitch Rafelson zgnije i zostaną z niego suche, interesujące kości.

Bezpieczny dom stał na bogatym przedmieściu. Porośnięte drzewami posiadłości w niczym nie przypominały terenu wokół drewnianego domku w Wirginii. Gładkie asfaltowe i betonowe drogi doprowadzono do wielkich nowych domów podczas ostatniego okresu bujnego rozwoju gospodarki. Ulice były po obu stronach okolone kamiennymi, niedawno wzniesionymi za wysokimi sosnami murami, których ciąg przerywały jedynie czarne żelazne bramy zwieńczone kolcami.

Odnalazł numer namalowany na krawężniku i podjechał dodge'em do osłoniętej klawiatury. Za pierwszym razem pomylił numer i klawiatura zapiszczała. Zamrugało ostrzegawczo czerwone światelko. Za drugim razem brama odsunęła się gładko. Zaszeleściły liście klonu górującego nad podjazdem.

- Prawie jesteśmy - powiedział.

- Szybciej - odparła Kaye spokojnie.

**29**

**Szkoła dla Dzieci Upośledzonych im. Josepha Goldbergera,  
Urząd Stanu Wyjątkowego w Ohio, Zarząd Dystryktu Centralnego**

Mały konwój ciężarówek Gwardii Narodowej stanu Ohio - Dicken doliczył się sześciu i jakiejś setki ludzi - obsadził skrzyżowania. Demonstranci, niczym rośliny wieloletnie

rozkwitające w każdą wiosnę i lato, a znikające zimą, tkwili grupkami z dala od gwardzystów i drutów alarmowych. Dicken ocenił, że jest ich tego dnia trzystu bądź czterystu, więcej niż zwykle; do tego wyglądali na bardziej wzburzonych. Większość protestujących miała poniżej trzydziestu lat, wielu poniżej dwudziestu. Niektórzy nosili jasne, nierówno zafarbowane koszulki i luźne spodnie, a włosy skręcone w długie, wyblakłe dredy. Śpiewali, wołali i machali tablicami, w myśl których „Ohydne wirusy” zostały rzekomo uzyskane sztucznie przez pracujących dla korporacji szalonych naukowców. Dwie ciężarówki telewizyjne wysuwały w niebo czasze białych anten. Reporterzy przeprowadzali wywiady z demonstrantami, dając żer głodnej, nakarmionej wstępnie przez wiadomości opinii publicznej, i wysyłali obrazy na żywo. Dicken widywał to już wielokrotnie.

W wiadomościach starą śpiewką protestujących były oskarżenia, że nowe dzieci to sztuczne potwory, wymyślone, aby pomogły korporacjom przejąć władzę nad światem. Nazywali je Bachorami GM, Gówniarzami z Laboratorium albo Przyszłymi Lizusami Monsanto, od firmy produkującej zmodyfikowane genetycznie rośliny.

Kilkudziesięciu rodziców zepchnięto prawie na trawę i żwir tymczasowego parkingu. Dicken z łatwością potrafił odróżnić ich od protestujących. Rodzice byli starsi, bardziej staroświecko ubrani, zmęczeni i zdenerwowani. Dla nich to nie była zabawa, podniecający obrzęd przechodzenia z młodości w nudną i niemrawą dorosłość.

Samochód służbowy z dwoma wozami eskorty podjechał do pierwszej bramy w okrężnym pasie betonowych barykad. Demonstranci tłoczyli się przy ogrodzeniu, machając tablicami w stronę chronionej drogi. Największa, umieszczona na przedzie tablica, którą wywijał chudy chłopak z wyraźnie zepsutymi zębami, miała nabazgrany czerwonym mazakiem napis: „HEJ HEJ USA/NIE ZADZIERAJ Z NATURALNYM DNA!”.

- Zastrzelcie ich - mruknął Dicken.

Augustine przytaknął z zaciśniętymi ustami.

Rany, zgadzamy się w czymś, pomyślał Dicken.

Na początku protestowali niemal wyłącznie rodzice, przybywający tysiącami do szkół, jedni przybici i pełni poczucia winy, inni ponurzy i zaczepni, a wszyscy żądający, aby ich dzieci mogły wrócić do domu. Pełne były wtedy żłobki, a internaty dopiero w budowie albo puste. Rodzice wystawiali dyżurnych, tkwiących tam okrągły rok, nawet w najgorszą zimę; trwało to przeszło pięć lat. Byli najlepszymi obywatelami. Dobrowolnie oddawali swe dzieci, wierząc w obietnice rządu, że zostaną im później zwrócone.

Mark Augustine nie był w stanie spełnić tych obietnic, najpierw dlatego, że tak wynikało z jego ówczesnej wiedzy, ale w późniejszych latach z winy ponurej rzeczywistości

politycznej.

Większość Amerykanów wierzyła, że jest bezpieczniejsza dzięki izolowaniu dzieci wirusa. Zamykaniu ich, zabieraniu im z oczu. Uniemożliwianiu zakażenia.

Dicken patrzył, jak wyraz twarzy Augustine'a przechodzi z wypracowanej obojętności w stalową bezwzględność, gdy samochód wspinał się pochyłą drogą na płaskowyż, gdzie na typowej dla Ohio zieleni tkwiły płaskie i brzydkie jak baraki bloki z dziećmi.

Samochód lawirował między barykadami, aż podjechał do błyszczącej betonowej wartowni, bielszej nawet od chmur. Kiedy strażnicy sprawdzali listę zapowiadanych wizyt i naradzali się z agentami Secret Service, Augustine przez okno samochodu patrzył na wschód na szereg czterech długich internatów barwy ochry.

Minął już rok od jego poprzednich odwiedzin w szkole im. Goldbergera. Wówczas rzędy dzieciaków przechodziły między klasami, internatami i stołówkami, pilnowane przez nauczycieli, stażystów, ochroniarzy. Teraz internaty wyglądały na opustoszałe. Przy wewnętrznej bramie, wiodącej do zespołu baraków, stała karetka. Ona także wydawały się niepilnowana.

- Gdzie są dzieci? - zapytał Dicken. - Czy zachorowały w s z y s t k i e?

## 30

### Pensylwania

Stella wszystko widziała i czuła oddzielnymi przebłyskami. Przenoszenie jej było cierpieniem, więc krzyczała, ale cienie mimo to nie zaprzestawały dręczenia. Mignął jej asfalt, kamień i szare cegły, potem wielkie, rosnące do góry nogami drzewo, a wreszcie łóżko z mocno różową pościelą. Widziała i słyszała dorosłych rozmawiających w świetle padającym przez otwarte drzwi. Wszystko inne było mrokiem, zwróciła się więc w stronę ciemności - która mniej bolała - i wielkimi uszami nasłuchiwała głosów w drugim pokoju. Przez chwilę sądziła, że są to głosy zmarłych, mówiły tak niewiarygodne rzeczy, pasujące do zwariowanej radości. Rozprawiały o ogniu i piekle, o tym, kto ma zostać zjedzony następnym a szalona kobieta śmiała się w sposób, od którego przechodziły Stellę ciarki.

Ciarki nie mijały. Utrzymywały się ciągle, zdierały jej skórę, leżała w łóżku wpatrzona w pajęczyny, widmowe ramiona albo kształty przepływające pod powiekami, maleńkie łańcuchy komórek powiększonych do rozmiarów baloników. Wiedziała, że to nie baloniki. Ale co z tego.

Kaye była śmiertelnie wyczerpana. Iris Mackenzie posadziła ją na krzesło, podała filiżankę kawy i ciastko. Dom był ogromny i jasny w środku, pomalowany na kolory i odcienie, które wybierają bogacze: kremowe i blade szarości, jasne błękity i głębokie, ziemiste zielenie.

- Musisz coś zjeść i odpocząć - powiedziała jej Iris.

- Mitch... - zaczęła Kaye.

- On i George są z twoją dziewczynką.

- Ja też powinnam być z nią.

- Dopóki nie przyjedzie lekarz, nic nie można dla niej Zrobić.

- Przemyję ją gąbką, zbiję temperaturę.

- Tak, za minutę. Teraz odpocznij, Kaye, proszę cię. Niemal zemdlłaś na ganku.

- Powinna być w szpitalu - powiedziała Kaye; jej oczy były trochę dzikie. Jakoś zdołała wstać, odepchnąć łagodne ręce Iris.

- Żaden szpital jej nie przyjmie - odparła Iris, obejmując ją zamiast powstrzymywać i znowu sadzając. Przycisnęła policzek do twarzy Kaye i wyczuła na niej łzy. - Wydzwaniamy, do kogo tylko się da. Choruje mnóstwo nowych dzieci. Mówią już o tym w wiadomościach, szpitale odmawiają przyjmowania. Szalejemy. Nic nie wiemy o naszym synu. Nie możemy się dodzwonić do Iowa.

- Jest w obozie? - zapytała zmieszana Kaye. - Myśleliśmy, że sieć obejmuje jedynie aktywnych rodziców.

- Jesteśmy bardzo aktywni - odpowiedziała Iris stalowym głosem. - To już dwa miesiące. Ciągłe jesteśmy na liście i pozostaniemy na niej, dopóki będziemy w stanie pomagać. Czy są w stanie zranić nas bardziej, niż już zranili?

Iris miała niezwykle jasne oczy, osadzone niczym klejnoty na twarzy ładnej jak u córki farmera, z rumianymi jak krew z mlekiem irlandzkimi policzkami i ciemnobrązowymi włosami. Była szczupła, jej smukłe, silne palce poruszały się szybko, dotykając włosów, bluzki, tacy i imbryczka, nalewając wrzątek do filiżanek z kostnej porcelany i mieszając kawę rozpuszczalną.

- Czy ta choroba ma nazwę? - spytała Kaye.

- Jeszcze nie. Występuje w szkołach - to znaczy w obozach. Nikt nie wie, jaka jest groźna.

Kaye wiedziała.

- Widziałam dziewczynkę. Zmarła. Stella mogła zarazić się od niej.

- Bóg nas przeklął - rzuciła Iris przez zaciśnięte zęby. Było to prawdziwe oskarżenie, a nie takie sobie słowa.



- Przepraszam, że się tak rozkleiłam - powiedziała Kaye. - Muszę być ze Stellą.

- Nie wiemy, czy to nie jest zaraźliwe... dla nas. Jest?

- Czy to ma znaczenie? - zapytała Kaye.

- Nie. Oczywiście, że nie - odparła Iris. Wytarła twarz. - Nie ma najmniejszego znaczenia. - Kawa pozostała nietknięta. Kaye nie wypila nawet jednego łyku. Iris wyszła. Odwracając się, powiedziała:

- Przyniosę alkohol i gąbkę. Zbijemy jej temperaturę.

## 31

### Ohio

Dyrektor czekał na samochód służbowy w miejscu zetknięcia się podjazdu z kolumnadą budynku kierownictwa. Nosił brązowy garnitur, miał sześć stóp wzrostu, jasne jak zboże włosy rzadziejące na czubku głowy, bulwiasty nos i prawie niewidoczne kości policzkowe. Dwie kobiety, jedna wysoka, a druga niska, ubrane w zielone stroje lekarskie, stały na szczycie schodów. Ich rysy kryły się w cieniu bocznej ściany, rzucanym przez nisko wiszące słońce.

Augustine otworzył drzwiczki, nie czekając, aż uczyni to kierowca, i wysiadł. Dyrektor wytarł dłonie o nogawki spodni i wyciągnął jedną na powitanie.

- Panie doktorze, to dla nas zaszczyt.

Augustine krótko uścisnął jego rękę. Dicken wystawił nogę, chwycił rączkę nad drzwiczkami i wygramolił się z samochodu.

- Christopher Dicken, Geoffrey Trask - przedstawił ich sobie Augustine.

Za nimi dwa samochody Secret Service stanęły w klin, blokując podjazd. Wyszli z nich dwaj mężczyźni, czekając przy otartych drzwiczkach.

Trask wytarł chusteczką brwi.

- Naprawdę się cieszymy z przyjazdu obu panów - powiedział. O wpół do siódmej wieczorem upał powoli się zmniejszał, temperatura spadała ze szczytowych osiemdziesięciu pięciu stopni Fahrenheita.

Trask obrócił głowę i dwie kobiety zeszły po schodach.

- To Yolanda Middleton, przełożona pielęgniarek i niższego personelu medycznego w ośrodku opieki pediatrycznej.

Middleton była sporo po czterdziestce, mocno zbudowana, o klasycznych rysach

kongijskich, krótko obciętych skłębionych włosach, wielkich smutnych oczach i minie buldoga. Nosila pomięty i poplamiony fartuch. Kiwnęła głową Dickenowi, na Augustine'a spojrzęła z otwartą podejrzliwością.

- A to jest Diana DeWitt - ciągnął Trask. DeWitt była niska, o pulchnej twarzy i wąskich szarych oczach. Jej zielone spodnie wisały wokół kostek, a rękawy musiała podwinąć. - Psycholog szkolny.

- Obecnie bardziej antropolog konsultant - powiedziała DeWitt. - Jeżdżę i odwiedzam szkoły. Tutaj przybyłam trzy dni temu. - Uśmiechnęła się smutno, ale bez śladu sugestii, że czuje się wykorzystywana. - Panie doktorze Augustine, kiedyś się już spotkaliśmy. Panie doktorze Dicken, w innych okolicznościach spotkanie z panem byłoby przyjemnością.

- Musimy wracać - wtręciła ostro Middleton. - Bardzo brakuje nam ludzi.

- Ci panowie są bardzo ważni, pani Middleton - napomniał ją Trask.

Rozzłościła się.

- Choćby odwiedził nas sam Jezus, panie Trask, kazałabym mu zakasać rękawy. Wie pan, jak tragiczna jest sytuacja.

Trask przybrał swą najbardziej władczą minę - słabo mu wyszła - i Dicken pośpieszył rozładować napięcie.

- My nie wiemy - powiedział. - Jak tragiczna?

- Nie powinniśmy tu rozmawiać. - Trask popatrzył nerwowo na tłumek demonstrantów za ogrodzeniem, niecałe dwieście jardów dalej. - Czy mają te wielkie uszy, no wie pan, talerze podsłuchowe? Yolanda, Diana, czy mogą nam panie towarzyszyć? Wszystko omówimy w środku. - Ruszył pomiędzy sztuczne kolumny.

Jeden z agentów poszedł za nimi w stosownej odległości.

Wszystkie starsze budynki pomalowano na bijący po oczach odcień ochry. Architektura pachniała więzieniem, choć brązowa tablica na ścianie i szyld nad główną bramą głosiły, że to szkoła.

- Na polecenie gubernatora nie wolno nam kontaktować się z prasą - powiedział Trask. - Telefony komórkowe i radiotelefony były w szkole oczywiście zakazane, a teraz wyłączyłem centralę telefoniczną. Wierzę, że w przekazywaniu wiadomości konieczna jest dyscyplina. Nie chcemy, aby były gorsze, niż są w rzeczywistości. Obecnie moim głównym priorytetem jest ściąganie dostaw środków medycznych. Doktor Kelson, nasz główny lekarz, właśnie nad tym pracuje.

W budynku korytarze były chłodniejsze, choć nie miał klimatyzacji.

- Nasza siłownia została zamknięta, niestety - ciągnął Trask, oglądając się na

Augustine'a. - Nie zdołaliśmy znaleźć ludzi do jej naprawienia. Doktorze Dicken, to dla nas zaszczyt. Naprawdę. Jeśli potrzeba panom wyjaśnień...

- Proszę powiedzieć, jak bardzo jest źle - zażądał Augustine.

- Źle - przyznał Trask. - Sytuacja niemal wymyka się spod kontroli.

- Tracimy dzieci - powiedziała Middleton; głos się jej łamał. - Ile dzisiaj, Diane?

- Pięćdziesięcioro w ostatnich kilku godzinach. W sumie dzisiaj sto dziewięćdziesięcioro. I sześćdziesięcioro w nocy.

- Chorych? - zapytał Augustine.

- Zmarłych - odparła Middleton.

- Nie mamy czasu na dokładne liczenie - dodał Trask. - Ale sprawa jest poważna.

- Muszę jak najszybciej odwiedzić izbę chorych - powiedział Dicken.

- Cała szkoła jest izbą chorych - odparła Middleton.

- Jest strasznie - przyznała DeWitt. - Tracą spójność społeczną. Ogromnie polegają na sobie, a nikt ich nie nauczył, jak mają sobie radzić, gdy dojdzie do katastrofy. Były jednocześnie chronione i zaniedbywane.

- Uważam, że naszym głównym zmartwieniem jest teraz ich zdrowie fizyczne - powiedział Trask.

- Przypuszczam, że jest tu coś w rodzaju laboratorium medycznego - wysunął domysł Dicken. - Chciałbym możliwie jak najszybciej zbadać próbki pobrane z chorych dzieci.

- Już się tym zająłem - odparł Trask. - Będzie pan pracował z doktorem Kelsonem.

- Czy są próbki od pracowników?

- Pobieraliśmy je tylko od chorych dzieci. - Trask uśmiechnął się bezradnie.

- Ale nie od pracowników? - Dicken niecierpliwie naciskał Traska.

- Nie. - Uszy dyrektora poczerwieniały. - Nikt nie dostrzegł takiej potrzeby. Słyszeliśmy pogłoski o ścisłej kwarantannie, całkowitym odcięciu wszystkich, bez wyjątku. Większość z nas ma rodziny... - Pozwolił, aby sami się domyślili, dlaczego nie chciał badać pracowników. - Wybór był ciężki.

- Czy wysłał pan próbki do Departamentu Zdrowia w Ohio i do CDC?

- Czekaliśmy z tym do teraz - odparł Trask.

- Powinien był pan je wysłać, gdy tylko zachorowało pierwsze dziecko - powiedział Dicken.

- Panowało straszne zamieszanie - wyjaśnił Trask z uśmiechem. Dicken potrafił rozpoznać w nim rodzaj człowieka, który za maską miłej miny i uprzejmości skrywa wątpliwości i niewiedzę. Nie dzieje się tu nic złego, przyjaciele. Wszystko jest pod kontrolą.

Jakby potwierdzając jego przekonanie, Trask dodał: - Przyzwyczailiśmy się, że są takie zdrowe.

Dicken zerknął na Augustine'a, licząc na jakieś wskazówki, co naprawdę się tu dzieje, czy Mark ma kontakty z osobami takimi jak Trask, jakąś władzę nad nimi, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją miał. Przeraził się tym, co zobaczył. Twarz Augustine'a wyrażała spokój bezbarwnej sadzawki w bezwietrzny dzień.

Nie był to już dawny Augustine. A to, kim może zostać ten nowy człowiek, nie bardzo teraz Dickena obchodziło. Miał na głowie inne sprawy.

Minęli windę i ciąg schodów.

- Mój gabinet jest na górze, obok ośrodka łączności i kierowania - powiedział Trask. - Panie doktorze Augustine, proszę swobodnie z nich korzystać. Są na pierwszym piętrze, z najlepszym widokiem na szkołę, no, oprócz widoków z wież wartowniczych, które służą teraz głównie jako magazyny. Najpierw odwiedzimy laboratorium medyczne. Będą mogli panowie natychmiast zabrać się tam do pracy - z dała od zamieszania.

- Wolałbym zobaczyć teraz dzieci - nalegał Dicken.

- No oczywiście. - Trask przeniósł na niego wzrok. - Trudno byłoby na nie nie trafić. - Dyrektor odszedł wielkimi krokami, potem obejrzał się przez ramię, zobaczył, że Dicken nie jest taki sprawny, i zawrócił.

DeWitt paliła się, aby coś powiedzieć, ale nie przy Trasku.

- Proszę pozwolić, że opiszę nasz teren - powiedział Trask. - Szkoła im. Josepha Goldbergera jest największą w Ohio i jedną z największych w kraju. - Machał rękoma, kreśląc nimi jakby ramkę. - Zbudowano ją sześć lat temu na miejscu Ośrodka Poprawczego im. Warrena K. Pernicke, instytucji zarządzanej przez Namtex Limited. Ośrodek im. Pernicke zamknięto po zmianie ustawy o narkotykach, kiedy to odnotowano spadek liczby więźniów o dwadzieścia procent. - Brzmiał coraz bardziej jak przewodnik wycieczki wygłaszający przygotowany tekst, co zwiększało surrealizm sytuacji. - Kontrakt na przebudowę zespołu, umożliwiającą przetrzymywanie dzieci SHEVY, otrzymały CGA i Nortent, które zakończyły pracę w dziewięć miesięcy, co było rekordem. Cztery nowe internaty wzniesiono sto jardów na wschód od budynku o maksymalnym zabezpieczeniu, zbudowanego w roku 1949. Stary szpital i zabudowania farmy przekształcono w laboratoria badawcze i lecznicę. Budynek, w którym uczono zawodu, zamieniono na żłobek, a teraz odbywa się w nim kształcenie. W zespole przeznaczonym dla czterystu najcięższych przestępców przetrzymujemy teraz chorych psychicznie i niedorozwiniętych. Nazywamy go Oddziałem Specjalnego Traktowania. Jest tylko jeden taki w stanie.

- Ile dzieci jest tam trzymanyh? - zapytał Dicken.

- Trzysta siedmioro - wyjaśnił Trask.

- Były bardziej od innych odizolowane - dodała Middleton.

- Doktorzy Jurie i Pickman mogą powiedzieć na ten temat więcej - powiedział Trask, po raz pierwszy jakby odrobinę mniej uprzejmie. - Chociaż...

- Nie widziałam ich - stwierdziła Middleton.

- Ktoś mi powiedział, że wyjechali wczesnym rankiem - dodała DeWitt. - Może po zapasy - dodała z nadzieją.

- No tak. - Jabłko Adama Traska podskakiwało jak połknięty orzech włoski. Pokręcił głową z udawaną troską. - Wczoraj w szkole przebywało w sumie pięć tysięcy czterysta dzieci. - Zerknął ukradkowo na zegarek. - Nie mamy po prostu tego, czego nam potrzeba. - Zaprowadził ich do zachodniego końca budynku, a potem powiódł szerokim łącznikiem wypełnionym starymi lodówkami. Stare, białe urządzenia zaklejono czarnymi i żółtymi taśmami. Podłogę zaścielały puste wózki dostawcze i stopy stalowych tac. Powietrze pachniało środkiem odkażającym Pine-Sol.

DeWitt szła obok Dickena jak pasażer ocalały po zatonięciu statku, marzący o jakiejś desce.

- Używają Pine-Sol, aby przeszkadzać w węszeniu i frąchaniu - rzuciła półgłosem. Frąchaniem nazwano sposób, w jaki dzieci SHEVY czerpią zapach do jamy ustnej. Unoszą górną wargę i z lekkim sykiem wciągają powietrze przez zęby. Powietrze przechodzi przez ich narządy przylemieszowe, wykrywające feromony gruczoły o znacznie większej czułości niż te występujące u ich rodziców.

- Ochrona i wielu pracowników nosi zatyczki do nosa.

- Stało się to w szkołach standardem - powiedziała Dickenowi Middleton, rzuciwszy przelotne spojrzenie na Augustine'a. Otworzyła podniszczoną stalową szafkę, wyciągnęła z niej stroje ochronne i maseczki chirurgiczne. - Na razie, dzięki Bogu, żaden pracownik nie zachorował.

Dicken i Augustine nałożyli kombinezony na ubrania, zawiązali maseczki i wsunęli dłonie w sterylne rękawiczki. Stanęli, gdy starszy mężczyzna, około siedemdziesiątki, przycięty, o orlim nosie, wyłonił się z wahadłowych drzwi na końcu korytarza.

- A oto doktor Kelson - powiedział Trask. Jego plecy zeszywniały.

Kelson miał na sobie strój chirurgiczny i czepek, ale fartuch wisiał na nim, troczki nie były zawiązane, a ręce miał gołe. Podeszedł do Augustine'a, kiwnął mu niedbale głową, potem zwrócił się do Middleton.

- Rękawiczki - zażądał. Middleton sięgnęła do szafki i wręczyła mu parę rękawiczek laboratoryjnych. Kelson chwycił je i bacznie obejrzał. - Żadnego pożytku z Departamentu Zdrowia. Poprosiłem o NuTest, środki przeciwwirusowe, zestawy przeciwko odwodnieniu. Nieosiągalne, odpowiedzieli. Do diabła, wiem, że mają wszystko, czego potrzebujemy! Po prostu trzymają to dla siebie na wypadek, gdyby ta choroba się rozprzestrzeniła.

- Nie rozprzestrzeni się - powiedział Trask, już bez uśmiechu.

- Czy Trask powiadomił pana o naszych brakach? - zapytał Augustine'a Kelson.

- Wiedzieliśmy, że nastąpił kryzys - odparł Augustine.

- To diabelskie, umyślne morderstwo! - ryknął Kelson. DeWitt podskoczyła. - Trzy miesiące temu kierownictwo stanowego Urzędu Stanu Wyjątkowego zabrało nam ponad połowę sprzętu medycznego i lekarstw. Wyszabrowało całe wyposażenie na nadzwyczajne przypadki. Mamy „zdrowe dzieci”, tak nam tłumaczyli. Zapasy zostaną lepiej wykorzystane w innych miejscach. Trask nic nie zrobił, aby ich powstrzymać.

- Nie zgodziłbym się z tym określeniem - powiedział Trask. - Nic nie m o g ł e m z r o b i ć.

- Ostatkiem sił pojechałem furgonetką do miasta - ciągnął Kelson. - Zamazałem błotem drzwiczki i tablice rejestracyjne, ale i tak wiedzieli. W sklepie Dayton General kazali mi iść do diabła. Niczego nie dostałem. Wróciłem więc i wślizgnąłem się wjazdem od Miller's Road. Nie było nawet zablokowane. - Kelson machnął ręką, oszołomiony wyczerpaniem, kierując zniechęcone mleczno-niebieskie oczy na Dickena. - Kim pan jest?

Augustine przedstawił ich sobie.

Kelson wycelował w Dickena gruzłowaty palec w rękawicze.

- Jest pan moim świadkiem, doktorze Dicken. Pierwsza wypełniła się izba chorych. Jest tam. Setkami wynosimy z niej ciała. Powinien pan zobaczyć. Powinien pan zobaczyć.

## 32

### Pensylwania

Mitch opiekował się Stellą w przyćmionych światłach sypialni. Nadal nie było z nią kontaktu. Korzystał ze wszystkich łagodnych słów i tonów, na jakie tylko mógł się zdobyć; wyglądało jednak na to, że nic do niej nie dociera.

George Mackenzie przyglądał się z progu. Był tuż po czterdziestce, mocno otyły. Miał dziecięcą twarz z bystrzymi oczami, nad jego czołem zwieszała się starannie przystrzyżona

fala przedwcześnie posiwiających włosów, a górna warga szczyliła się lekkim puszkim wąsów.

- Potrzebuję termometru wkładanego do ucha lub odbytu - powiedział Mitch. - Może dostać konwulsji i przegryźć trzymany w ustach. Będziemy musieli ją przytrzymywać.

- Przyniosę - odparł George i wyszedł na chwilę, zostawiając Mitcha samego z przewracającym się dzieckiem. Czoło Stelli było suche jak rozpalona cegła.

- Jestem tutaj - szepnął Mitch. Całkowicie odsłonił Stellę. Rozebrał dziewczynkę; jej nagie nogi wyglądały jak kości na tle różowych prześcieradeł. Była tak strasznie chora. Nie mógł uwierzyć, że jego córka jest w takim stanie.

Wrócił George, trzymając w jednej ręce etui z niebieskiego plastiku, a w drugiej termometr, za nim weszły kobiety. Kaye niosła miednicę z wodą i wrzuconymi do niej kostkami lodu, a Iris myjkę i butelkę alkoholu do nacierania.

- Nigdy nie kupiliśmy termometru wkładanego do ucha - powiedział George przeprasającym tonem. - Nigdy nie był nam potrzebny.

- Już się nie boję - stwierdziła Iris. - George, obawiałam się dotykać ich córeczkę. Tak bardzo się wstydę.

Przytrzymali Stellę i zmierzili jej temperaturę. Miała 107 stopni Fahrenheita. Jej normalna temperatura wynosiła 97. Gorączkowo obmywali ją gąbką, pracując na zmianę, a potem zanieśli do łazienki, gdzie Kaye wypełniła wannę wodą i lodem. Stella była taka rozpalona. Mitch zobaczył, że ma krwawiące rany w ustach.

Budziła rozpacz, czarną i dręczącą.

Kaye pomogła Mitchowi odnieść Stellę do łóżka. Nie tracili czasu na jej wytarcie. Mitch lekko objął i poklepał Kaye po plecach. George zszedł na parter, aby odgrzać zupę.

- Ugotuję rosół dla dziewczynki - powiedział.

- Nie będzie jadła - odparła Kaye.

- No to zupę dla nas.

Kaye kiwnęła głową.

Mitch patrzył na żonę. Była prawie całkowicie nieobecna, tak padała ze zmęczenia, twarz miała strasznie zapadniętą. Zastanawiał się, kiedy minie ten koszmar. *Kiedy twoja córka odejdzie, nie wcześniej.*

Co oczywiście nie było żadną odpowiedzią.

Jedli w ciemniejącym pokoju, pijąc z filiżanek gorący rosół.

- Gdzie lekarz? - spytała Kaye.

- Miał przed nami dwóch innych pacjentów - powiedział George. - Mamy szczęście, że

go znaleźliśmy. Jedyne w całym mieście leczy nowe dzieci.

### 33

#### Ohio

Izba chorych była na pierwszym piętrze budynku medycznego, stanowiła otwarty pokój o powierzchni około pięćdziesięciu stóp kwadratowych, przeznaczony dla najwyżej sześćdziesięciu, siedemdziesięciu pacjentów. Przesuwane ścianki stłoczono pod ścianami, umieszczając co najmniej dwieście składanych łóżek, materaców i poduszek do siedzenia.

- Zapelniliśmy to miejsce w pierwszych sześciu godzinach - powiedział Kelson.

Odór był obezwładniający - odór moczu, wymiocin, powalających wyziewów ludzkich chorób, doskonale znanych Dickenowi, ale było tu coś więcej - zapach jednocześnie ostry i obcy, zarówno niepokojący, jak i budzący litość. Dzieci straciły panowanie nad wydzielaniem woni. Sala była gęsta od niepojętych feromonów, womeroferyn, składników arsenału i słownika komunikacji międzyludzkiej, które były nie tyle nowe, co bardziej jawne i wyraźne.

Nawet ich mocz pachniał inaczej.

Trask wyjął z kieszeni chusteczkę, zakrył nią osłonięte maseczką usta i nos. Pilnujący Augustine'a agent Secret Service stanął w rogu i zrobił to samo, wyraźnie wstrząśnięty.

Dicken podszedł do narożnego łóżka. Na boku leżał tam chłopiec, jego pierś ledwo się poruszała. Miał siedem albo osiem lat, Pochodził z drugiej i ostatniej fali dzieci SHEVY. Dziewczynka, w tym samym wieku bądź trochę starsza, przycupnęła obok pryczy. Trzymała palce chłopca wokół małego, srebrzystego cyfrowego odtwarzacza muzyki, aby go nie upuścił. Słuchawki zwisały z boku łóżka. Oboje mieli brązowe włosy, byli drobni, o śniadej skórze i chudych, zwiotczałych kończynach.

Dziewczynka spojrzała na Dickena, gdy podszedł bliżej. Uśmiechnął się do niej. Przewróciła oczyma, wystawiła między wargami czubek języka i opuściła głowę na łóżko obok ramienia chłopczyka.

- Bardzo zaprzyjaźnieni - powiedziała DeWitt. - Ma swoje łóżko, ale nie chce w nim leżeć.

- No to zestawcie łóżka - poradził Augustine z przelotnym spojrzeniem, które wyrażało niesmak bądź udrękę.

- Nie daje się odsunąć od niego dalej niż na kilka cali - odparła DeWitt. - Ich zdrowie jest przypuszczalnie wzajemnie od siebie zależne.



- Wyjaśnij - poprosił Dicken cicho.

- Kiedy dzieci są tu sprowadzane, tworzą grupki frąchające. Dwoje lub troje zbiera się razem i ustala niezbędny zasięg zapachowy. Grupki łączą się w większe zespoły. Może dla wsparcia i ochrony, ale moim zdaniem chodzi głównie o tworzenie nowego języka. - DeWitt pokręciła głowę, zakryła usta za maseczką wnętrzem dłoni i chwyciła się za łokieć. - Tyle się nauczyłam...

Dicken ujął podbródek chłopca i łagodnie go przekreślił: głowa zachwiała się na cienkiej szyi. Malec otworzył oczy, Dicken dostrzegł jego puste spojrzenie, pogładził czoło, potem przesunął palcem w gumowej rękawiczce po policzku chłopczyka. Skóra pozostała blada.

- Uszkodzenia naczyń włoskowatych - szepnął.

- Wirus atakuje tkanki ich śródbłonka - wyjaśnił Kelson. - Mają czerwone wybroczyny między palcami rąk i nóg, niektóre są pęcherzykowate. W swej niesamowitości jest to cholernie tropikalne.

Chłopiec zamknął oczy. Dziewczynka uniosła głowę.

- Nie jestem jego perfem - powiedziała głosem przywodzącym na myśl ciche zawodzenie wiatru. - Utracił swojego perfa w nocy. Chyba nie chce żyć.

DeWitt uklękła przy dziewczynce.

- Powinnaś wrócić do swego łóżka. Też jesteś chora.

- Nie mogę - odpowiedziała mała i znowu położyła głowę.

Dicken stał, rozpaczliwie próbując rozjaśnić swój umysł.

Dyrektor cmoknął współczująco.

- Okropne zamieszanie - powiedział głosem stłumionym przez chusteczkę. W jego kieszeni zadzwonił telefon. Przeprosił, opuścił tkaninę, odwrócił się do połowy, aby odebrać połączenie. Po kilku wymamrotanych odpowiedziach zakończył rozmowę. - Bardzo dobre wiadomości. W każdej chwili z Dayton może przyjechać ciężarówka ze sprzętem, chcę ją przyjąć. Doktorze Kelson, pani Middleton - zostawię państwa samych z gośćmi. Doktorze Augustine, będzie pan pracował w moim gabinecie czy woli zostać tutaj? Ma pan zapewne mnóstwo obowiązków administracyjnych...

- Zostanę tutaj - odparł Augustine.

- Jak pan woli - powiedział Trask. Z pewnym zaskoczeniem zobaczyli, jak macha ręką w nonszalanckim geście, niemal jakby ich odprawiał, i rusza do drzwi wzdłuż rzędów łóżek.

Kelson przewrócił zbieleńcami oczami.

- Pieprzony krzyżyk na drogę - mruknął.

- Dzieci tracą całą swą spójność społeczną - powiedziała DeWitt. - Od miesiący próbujemy przekonać Traska, że potrzebujemy większej liczby wyszkolonych obserwatorów, wykształconych antropologów. Utrata bliskich przyjaciół - czasami nazywają ich perfami - czy pojmują panowie, co to dla nich znaczy?

- Diana jest ich aniołem - stwierdził Kelson. - Wie, jak myślą. W ciągu następnych kilku godzin może to się okazać równie ważne jak lekarstwa. - Pokiwał głową, kolebiąc luźną skórą pod brodą. - Są niewinne. Nie zasługują na to. A my nie zasługujemy na Traska. Wyznaczony przez stan sukinsyn jest tu specjalnie. Jestem pewien. Czerpie jakieś zyski. - Powiedziawszy swoje, popatrzył w sufit. - Proszę wybaczyć. To pieprzona prawda. Muszę wracać. Lecznica jest do pana dyspozycji, doktorze Dicken, w swoim obecnym stanie. - Odwrócił się i obok rzędów łóżek poszedł do drzwi w przeciwnym końcu sali.

- Dobry z niego człowiek - powiedziała Middleton. Kluczem otworzyła tylne drzwi wiodące do głównego zespołu, którymi można było dostarczać zaopatrzenie do lecznicy. Uniosła brwi, patrząc na Dickena. - Było tu kiedyś dość spokojnie: klasa i tablica, łatwa praca, najlepsza szkoła na świecie, dzieci były takie grzeczne. A potem wstały i uciekły, łobuzy.

Middleton poprowadziła ich rampą wyładowniczą do wózka golfowego zaparkowanego obok. DeWitt zajęła miejsce przy niej.

- Wsiadajcie, panowie.

- Jakież domysły? - zapytał półgłosem Dickena Augustine, gdy wdrapywali się na środkowy rząd siedzeń. Agent Secret Service, teraz prawie niewidoczny dla Christophera, usiadł w zwróconym do tyłu ostatnim rzędzie i szeptał coś do mikrofonu wpiętego w klapę.

Dicken wzruszył ramionami.

- Coś powszechnie występującego - wirus Coxsackie lub inny enterowirus, jakiś rodzaj opryszczki. Już wcześniej, przed urodzeniem, miały kłopoty z opryszczką. Muszę zobaczyć więcej.

- Przywiózłbym NuTest, gdyby ktoś mnie uprzedził - powiedział Augustine.

- Niewiele by nam pomógł - stwierdził Dicken.

Na dzieci spadło coś nowego i nieznanego. Jeśli nowy wirus przełamie pierwsze linie obronne człowieka - wrodzony system immunologiczny - i przeniesie się dostatecznie szybko na innych, mieszkających razem, w stłoczonych skupiskach, będzie mógł pokonać wszystkie bardziej rozwinięte systemy immunologiczne i w kilka dni powalić ogromną liczbę ofiar. Wątpił, żeby odporność kontaktowa mogła mieć jakikolwiek wpływ na wybuch choroby. Kolejny drobiazg schrzaniiony przez Matkę Naturę. Albo i nie. Musi się jeszcze mnóstwa

oduczyć, jeśli chodzi o wirusy i choroby, przebadać ponownie mnóstwo przypuszczeń.

Musiał nakreślić mapę rzeki tej choroby, zanim odważy się na odpowiedź, nanieść na nią wszystkie dopływy, aż do samego źródła. Chciałby poznać ten wirus, kiedy był jeszcze uspiony, w stanie nazywanym przez niego zamrożeniem - dowiedzieć się, gdzie się skrywał jak zlodowaciały śnieg w wysokich dolinach populacji ludzkich i zwierzęcych, zanim stopniał i stał się rwącym nurtem, który teraz widzi.

Gdyby znalazł coś tkwiącego bliżej owego idealnego źródła, owego początku, dostrzegłby może jakiś wzór. Może by coś zrozumiał.

Albo i nie.

Praktycznie jedyną rzeczą, której wszyscy musieli się dowiedzieć, było to, czy ta powódź wyleje się z brzegów i znajdzie inne ujście. Pobranie próbek od pracowników byłoby początkiem szukania odpowiedzi na to pytanie. W kościach czuł już jednak, że ta choroba, atakująca nową i żywotną populację, nie tak łatwo ogarnie ludzi w starym stylu.

Dowiedzenie tego w każdym zdrowym świecie powstrzymałoby polityczny koszmar narastający na zewnątrz.

Minęli skrzynię z workami na zwłoki stojącą na końcu rampy załadowniczej.

- Z dostawami tego nie ma kłopotów - powiedziała Middleton. - Zostaną zapełnione w parę godzin.

## 34

### Pensylwania

W łazience przylegającej do sypialni Mitch po raz czwarty lub piąty mył twarz. Patrzył na lekką mosiężną armaturę, zabytkowe złote krany, posadzkę z kafelków. Nigdy nie przywykł do luksusów, ale miło byłoby mieszkać w czymś lepszym niż sypiąca się chałupa na wsi w Wirginii. Mieli tam kłopoty z mrówkami i karaluchami. Przyjemne było za to wielkie podwórko. Lubił siadywać tam ze Stellą i bawić się sznurkiem z zawsze chętnym do tego Shamusem.

Przyjechał doktor. Był trochę po trzydziestce, z postawionymi na lakier włosami. Wyglądał bardzo młodo. Nosił koszulę z krótkimi rękawami, przywiózł czarną torbę i zestaw diagnostyczny NuTest wielkości telefonu komórkowego. Był równie wykończony jak oni, ale natychmiast zbadał Stellę. Pobrał od dziewczynki próbki krwi i śliny. Ledwo zauważyła ukłucie igiełką. Trudniejsza do uzyskania była ślina; usta Stelli wyschły na kość.

Rozsmarował te płyny na końcu szufladek NuTestu - płytek ze żłobkowanego tworzywa sztucznego - a potem je wsunął. Po kilku minutach odczytał wyniki.

- To wirus - powiedział. - Pikornawirus. Żadnego zaskoczenia. To rodzaj enterowirusa. Przymuszczałnie odmiana wirusa Coxsackie. Ale... - Patrzył na nich z zagadkową, zmartwioną miną. - Są tu pewne polimorfizmy, których nie ma w bibliotece Nu Testu. Nie jestem w stanie dokonać tutaj ostatecznego rozpoznania.

- Czy kąpiele były wskazane? - zapytał Mitch.

- Jak najbardziej - odparł doktor. - Ma temperaturę o cztery stopnie za wysoką. Może gorączka spadnie, ale niewykluczone, że później znowu podskoczy. Trzymajcie ją w chłodzie, tylko nie przesadzajcie. Zostały z niej skóra i kości.

- Zawsze była szczupła - powiedziała Kaye.

- Dobrze. Wyrośnie na modelkę - stwierdził doktor.

- Nie, jeśli będę miała coś do powiedzenia.

Lekarz popatrzył na Kaye.

- Czy ja panią znam?

- Nie - odparła. - Nie zna pan.

- Racja - powiedział doktor, przytomniejąc. Zrobił Stelli pierwszy zastrzyk, szeroki zakres środków przeciwwirusowych z multipleksową immunoglobuliną i witaminami B. - Stosowałem to, gdy odra powaliła w Lancaster sporo starych dzieciaków - wyjaśnił, a potem się skrzywił i pokręcił głową. - „Stare dzieciaki”. Posłuchajcie mnie. Gadamy bzdury. To nie jest odra, ale zastrzyk nie zaszkodzi. Chociaż pomaga tylko w seriach. Przekażę anonimowo jej wyniki do Atlanty. Część programu badań. Całkowicie anonimowo.

Mitch słuchał bez żadnej reakcji. Prawie przestał się kłopotać o anonimowość. Popatrzył na lekarza oglądającego wyniki wyświetlane na ekranie NuTestu i rzucił:

- Rany. Kurde. - Ekran błyskał szybko, rzucając odblaski na twarz lekarza.

- Co to?

- Nic - powiedział doktor, ale Mitch pomyślał, że wygląda na winnego, jakby coś schrzanił. - Czy mogę prosić o kawę? - zapytał lekarz. - Może być zimna. Wieczorem mam jeszcze dwoje pacjentów.

Pomacał Stellę pod brodą i za uszami, potem przewrócił ją i obejrzał pośladki. Na obu pojawiała się wysypka.

- Znowu rośnie jej gorączka. - Przekręcił dziewczynkę ponownie i pomógł zanieść ją do wanny. George opróżnił w kuchni maszynkę do robienia lodu i pojechał po więcej do miejscowego sklepu spożywczego. Wycierali ją gąbką nasączoną zimną wodą z kranu. Stella

dostała konwulsji, zanim George powrócił.

Mitch podniósł dziewczynkę w wannie, trzymając ją za przedramiona i mocząc sobie ubranie. George wsypał do wanny cztery woreczki lodu. Ponownie opuścili Stellę.

- Za zimno! - wykrztusiła piskliwie.

Wydawała się prawie nic nie ważyć. Była efemeryczna. Choroba zżerała ją tak szybko, że Mitch nie był w stanie reagować.

Lekarz wyszedł, aby przygotować następny zastrzyk.

Kaye wzięła córkę za rękę, bladą i siną. Zobaczyła drobne wybroczyny między palcami dziewczynki. Z westchnieniem opuściła rękę i pochyliła się nad stopą Stelli. Pokazała Mitchowi podbicie. Między palcami na skórze były plamki.

- Są też na jej ręce - powiedziała.

Mitch pokręcił głową.

- Nie wiem, co to jest.

George odepchnął się od wanny i wstał. Jego twarz wyrażała niepokój. Lekarz wrócił z następną strzykawką. Gdy robił zastrzyk, spojrzał na palce dziewczynki i pokiwał głową. Odciągnął wargi Stelli i zajrzał jej do buzi. Jęknęła.

- Może to być angina opryszczkowa, wirus pęcherzykowego zapalenia jamy ustnej...

- Zaczerpnął głęboki oddech. - Nie mogę postawić tutaj diagnozy, mając tylko NuTest. Najlepsza byłaby kuracja właściwym środkiem antywirusowym, a to wymaga podania tożsamości. Konieczne jest odpowiednie laboratorium, a mała powinna trafić do szpitala. Nie mam tego rodzaju sprzętu.

- Nigdzie jej nie przyjmą - powiedział George. - Powszechny zakaz.

- Haniebne - stwierdził doktor głosem bezbarwnym z wyczerpania. Spojrzał na George'a. - To może być zaraźliwe. Będzie pan musiał wysterylizować tę łazienkę i wygotować pościel.

George przytaknął.

- Jest ktoś, kto mógłby jej pomóc - powiedział Mitch do Kaye, wzięwszy ją na bok.

- Christopher? - zapytała.

- Zadzwoń do niego. Zapytaj, co się dzieje. Znasz numer jego telefonu.

- Domowego - odparła. - To stary numer. Nie wiem, gdzie pracuje teraz.

Lekarz ze swego telefonu sieciowego połączył się z dyżurną stroną zgłoszeniową CDC.

- Nie ma żadnych ostrzeżeń - powiedział. - Nigdy jednak nie widziałem ostrzeżeń pediatrycznych dla dzieci wirusa.

- Nowych dzieci - poprawił go George.

- Czy ta choroba jest opisana? - zapytała Kaye.

- Nie jest nawet wymieniona - odparł doktor, ale coś na jego twarzy niepokoiło Kaye.

NuTest, pomyślała. Ma GPS i szerokopasmowe połączenie z Departamentem Zdrowia. A przez niego z NIH lub CDC. Jestem pewna.

Nic jednak nie mogli na to poradzić. Otrząsnęła się z tej myśli.

- Dzwon - rzucił Mitch do Kaye.

- Nie wiem, dla kogo teraz pracuje - odparła.

- Mamy bezpieczny telefon satelitarny - powiedział George. - Nikt go nie wyśledzi.

Choć dla nas nie ma to znaczenia. Nasz syn już jest w obozie.

- Nic nie jest bezpieczne - odrzekł Mitch.

George wyglądał, jakby miał ochotę odeprzeć to oszczerstwo godzące w jego męską dumę z technologii szyfrującej. Kaye podniosła rękę.

- Zadzwoń - powiedziała. Miała po raz pierwszy od dziewięciu lat rozmawiać z Christopherem Dickenem.

Połączyła się jednak tylko z automatyczną sekretarką w jego mieszkaniu.

- Tu Christopher. Jestem w drodze. Dom zajęli mi gliniarze i zapaśnicy. Na dobitkę zbieram dziwne zarazy i trzymam je obok kosztowności. Zostaw, proszę, wiadomość.

- Christopherze, tu Kaye. Nasza córka zachorowała. Jakiś wirus Cocksackie. Zadzwoń, jeśli masz jakieś wskazówki lub rady. i zostawiła swój numer.

## 35

### Ohio

Izba chorych sąsiadowała z południowo-zachodnim narożnikiem magazynu na sprzęt: oba budynki łączył krótki korytarz z zakratowanymi oknami. Jaskrawe światła bezpieczeństwa rzucały kanciaste trapezoidy cienia na wylany betonem dziedziniec między budowlami, kryjąc w nich samotnego chłopca. Wysoki i przysadzisty, może dziesięcioletni, opierał się o drzwi wiodące do skrzydła badawczego, stojąc z założonymi rękoma.

- Kto tam? - zawołała Middleton.

- Toby Smith, proszę pani - odpowiedział chłopiec i się wyprostował. Kiwał się, patrząc na nich zmęczonymi, pustymi oczyma.

- Jesteś chory, Toby?

- Czuję się dobrze, proszę pani.

- Gdzie jest lekarz? - Middleton zatrzymała wózek dziesięć stóp od chłopca. Dicken dostrzegł jego blade policzki, niemal wolne od cętek.

Malec odwrócił się i wskazał na skrzydło badawcze.

- Doktor Kelson jest w sali gimnastycznej. Moja siostra zmarła - powiedział.

- Przykro mi to słyszeć, Toby - stwierdził Dicken, gramoląc się z wózka golfowego. - Bardzo przykro. Moja siostra umarła jakiś czas temu.

Podszedł do chłopca. Oczy malca były kaprawe i pokryte strupem.

- Na co zmarła twoja siostra? - zapytał Toby, patrząc na Dickena zmrużonymi oczyma.

- Na chorobę, którą złapała od ukąszenia moskita. Nazywa się „wirus Zachodniego Nilu”. Czy mogę zobaczyć twoje palce, Toby?

- Nie. - Chłopiec ukrył ręce za plecami. - Nie chcę, żebyś mnie zastrzelił.

- Nie wierz w te bzdury, Toby - powiedziała Middleton. - Nie pozwolę im nikogo zastrzelić.

- Mogę zobaczyć, Toby? - nalegał Dicken. Zdjął gogle. Coś w jego głosie, może współczucie albo zapach - jeśli Toby był nadal w stanie go wychwytywać - sprawiło, że chłopiec spojrział na Dickena zmrużonymi oczyma i pokazał dłonie. Dicken odwrócił je łagodnie, obejrzał wnętrze i skórę między palcami. Żadnych wybroczyn. Toby skrzywił twarz i wyrwał palce.

- Jesteś silnym młodzieńcem, Toby - pochwalił go Dicken.

- Byłem w izbie chorych, pomagałem, a teraz mam przerwę - powiedział malec. - Muszę wracać.

- Dzieci są takie grzeczne - powiedziała DeWitt. - Łączą je tak silne więzy, niczym rodzinne, wszystkie razem. Powiedz o tym ludziom na zewnątrz.

- Nie chcą tego słuchać - odparł Dicken pod nosem.

- Boją się - stwierdził Augustine.

- Mnie? - zapytał Toby.

Skrzeknęła mała krótkofalówka wózka. Middleton odeszła, aby odebrać połączenie. Zacisnęła usta, słuchając. Potem zwróciła się do Augustine'a.

- Ochrona widziała, jak dyrektor dziesięć minut temu wyjechał swoim samochodem przez południową bramę. Był sam. Uważają, że zwiął.

Augustine zamknął oczy i pokręcił głową.

- Ktoś go ostrzegł. Przypuszczalnie gubernator nakazał pełną kwarantannę. Teraz jesteśmy zdani tylko na siebie.

- No to musimy działać szybko - powiedział Dicken. - Potrzebuję próbek wziętych od pracowników, którzy zostali, i od tyłu dzieci, od ilu tylko się da. Muszę się dowiedzieć, skąd pochodzi ten wirus. Może zdołamy coś wykryć i zakończyć to szaleństwo. Czy dzieci poddane specjalnemu traktowaniu miały kontakty z dziećmi z zewnątrz?

- Nigdy o tym nie słyszałam - powiedziała Middleton. - Nie odpowiadam jednak za ten budynek. To działka Arama Juriego. On i Pickman byli zausznikami Traska.

- Pickman i Jurie mówili, że trzeba odseparować dzieci traktowane specjalnie - dodała DeWitt. - Coś o chorobie umysłowej będącej cechą uboczną dzieci SHEVY. Uważam, że interesowały ich skutki obłędu i stresu.

Włączniki wirusowe, pomyślał Dicken. Był rozdzierany między oburzeniem a radością. Może mimo wszystko znajdzie wszystkie potrzebne mu wskazówki?

- Kto tu jeszcze jest?

- Zostało chyba sześć pielęgniarek. - Middleton odwróciła wzrok, do oczu napłynęły jej łzy.

- Potrzebuję zwłaszcza próbek pobranych od tych pielęgniarek. Waciki z wydzieliną z nosa, kawałki paznokci, ślina, krew. Powinniśmy teraz się tym zająć.

- Christopher zwykle trafia w sedno - powiedział Augustine. - Róbcie, co tylko nakaże.

- Zajmę się tym - zaoferowała się DeWitt. Ucisnęła ramię Middleton, udzielając jej wsparcia. - Yolanda chce teraz wracać do dzieci. Potrzebują jej. Ja chwilowo nie jestem potrzebna.

- Idziemy - zarządził Dicken. Podeszedł do chłopca. - Dziękuję ci, Toby. Bardzo nam pomogłeś.

## 36

### Pensylwania

George Mackenzie potrząsnął ramieniem Mitcha. Ten chwiejnie uniósł się w łóżku. Pastelowe ściany maleńkiej sypialni kołysały się wokół niego, nie czuł się ani trochę wypoczęty. Zasnął w łóżku, nie okrywszy się nawet, ubrany ciągle w pognieciony garnitur pana Smitha.

- Gdzie jest Kaye? Jak długo spałem?

- Jest z twoją córką - odpowiedział George. Wyglądał żałośnie. - Spałeś jakąś godzinę. Przepraszam, że cię obudziłem. Chodź obejrzeć coś w telewizji.

Najpierw Mitch poszedł do sąsiedniego pokoju. Kaye siedziała na skraju łóżka, ręce



miała schowane między kolanami, głowę spuszczoną. Podniosła ją, gdy Mitch obejrzał Stelle, teraz leżącą pod kołdrą. Dotknął czoła córki.

- Gorączka spadła.

- Kryzys minął jakąś godzinę temu. Chyba. Iris przyniosła herbatę i tak sobie z nią siedzieliśmy.

Mitch patrzył na twarz śpiącej córki, tak bladą na niebieskiej poduszce, z wilgotną, zmierzwioną strzechą włosów. Oddychała urywanie.

- A to co?

- Oddycha tak, odkąd minęła gorączka. Nie ma wcale zbyt zapchanego gardła. Nie wiem, co to znaczy. Lekarz powiedział, że wróci... - Spojrzała na zegar stojący na nocnym stoliku. - O tej porze.

- Nie przyszedł - powiedział George. - Nie sądzę, aby się pojawił.

- George chciał, abym obejrzał wiadomości - oznajmił Mitch.

Kaye kiwnęła głową i machnęła ręką; zostanie tutaj.

George zaprowadził Mitcha korytarzem do saloniku z zawieszonym na ścianie płaskim ekranem. Wielkie twarze siedzących za wymyślnym stołem z palisandru, rozmawiających... Mitch spróbował się skupić.

- Jestem równie liberalny jak wszyscy inni, ale to mnie przeraża - mówił mężczyzna w średnim wieku, ostrzyżony na języka. Mitch nie oglądał za często telewizji i nie wiedział, kto to jest.

- Brent Tucker, komentator z Fox Broadband - wyjaśnił George. - Przeprowadza wywiad z lekarzem szkolnym z Indiany. To tam jest nasz syn, Kelly.

- Czyż tego nie oczekiwaliśmy? - zapytał Tucker. - Czy to nie dlatego zgodziliśmy się umieścić dzieci w tych szkołach specjalnych?

- Materiał filmowy, który właśnie pokazano, o rodzicach podrzucających swe dzieci, ujawniających się wreszcie i współpracujących, jest bardzo dobrym znakiem... - odpowiedział lekarz.

Tucker przerwał mu z bardzo poważną miną.

- Dziś rano opuścił pan swoje stanowisko. Przestraszył się pan?

- Pomagam wyjaśnić sytuację współpracownikom pana prezydenta. Po południu wrócę do moich obowiązków.

- Naukowcy, z którymi rozmawialiśmy w tym programie, podkreślają, że dzieci mogą stanowić poważne zagrożenie dla ogółu społeczeństwa, jeśli pozwoli się im chodzić swobodnie. A na swobodzie są ich nadal dziesiątki tysięcy, nawet teraz. Czy to nie...

- Nie mogę się zgodzić z tym poglądem - wtrącił się lekarz.
- No tak, opuścił pan szkołę, a to mówi wszystko, nie sądzi pan?

Lekarz otwierał i zamykał usta. Tucker naciskał z szeroko otwartymi ustami, czując, że ma go w garści.

- Opinii publicznej nie da się oszukać. Wie, o co w tym wszystkim chodzi. Spójrzmy na forum z wiadomościami od widzów i sprawdźmy, co mówią właśnie teraz.

Na ekranie pokazały się liczby.

- Większość, dziesięć do jednego, chce, aby aresztować rodziców, którzy nie współpracują, zabrać wszystkie dzieci w miejsca, gdzie będą pilnowane, i zrobić to natychmiast. Dziesięć do jednego.

- Nie sądzę, aby było to wykonalne. Nie mamy takich możliwości.

- Budujemy szkoły i finansujemy waszą działalność dolarami podatników. Jest pan pracownikiem państwowym, doktorze Levine. Te dzieci są skutkiem straszliwej choroby. A jeśli się rozniesie na nas wszystkich i nigdy już nie będą się rodziły normalne dzieci?

- Uważa pan, że powinniśmy dokonać ich eksterminacji dla dobra publicznego? - zapytał Levine.

Mitch patrzył na niego z ponurą fascynacją, z opuszczoną szczęką, jakby był świadkiem wypadku samochodowego.

- Nikt tego nie chce - odparł Tucker z miną wyrażającą oburzenie. - Ale zagrożenie zdrowotne jest ogromne i bliskie. To kwestia przetrwania.

Doktor położył ręce na blacie z palisandru.

- Choroba nie przeniosła się na ani jednego pracownika szkół. Wiem o tym.
- Dlaczego więc nie jest pan teraz w szkole, doktorze Levine?
- To są dzieci, panie Tucker. Wróć do nich.

Mitch zaciskał pięści, aż wbił w ciało paznokcie.

Tucker uśmiechnął się, ukazując nieskazitelne białe zęby, i zwrócił do kamery, która pokazała go w zbliżeniu.

- Wierzę w ludzi i w to, co mają do powiedzenia. To siła narodu, a także filozofia stacji Fox Media, uczciwa i wyważona, i nie wstydę się jej podzielać. Wierzę, że u ludzi działa instynkt samozachowawczy. Chodzi o przeżycie. Więcej szczegółów można uzyskać tutaj, w Fox Multicast, wystarczy dotknąć ekranu, aby zapoznać się w sieci z naszym rozszerzonym przekazem...

George wyłączył telewizor. Głos miał cichy i zdławiony.

- Sąsiad musiał widzieć, jak przyjechaliście. Powiedział mi, że zamierza na nas

donieść, bo przechowujemy dziecko wirusa. Chore dziecko. - Podniósł trzy klucze na kółku i zadzwonił nimi. - Iris i ja mamy domek wiejski. Jest jakieś dwie godziny drogi stąd, w górach. Nad małym jeziorem. Naprawdę ładny, z dala od wszystkich. Jest w nim jedzenie na co najmniej tydzień. Klucze będziecie mogli odesłać pocztą. Wasza dziewczynka ma się lepiej. Jestem pewny. Kryzys minął.

Mitch próbował rozważyć, jaki mają wybór - i jak stanowczy jest Mackenzie.

- Nie oddycha jak należy - powiedział.

- Nie pracuję od pięciu miesięcy - odparł George. - Kończą się nam pieniądze. Iris jest na skraju załamania. Ten dom przestaje być bezpieczny. Okolica jest jak Sun City dla bogaczy. Są starzy, przerażeni i złośliwi. - Podniósł wzrok. - Jeśli federalni przyjdą tutaj i was znajdą, zabiorą waszą córeczkę w miejsce, gdzie opieka jest gorsza, niż możecie to sobie wyobrazić. Gdzie jest nasze dziecko, Mitch.

Kaye stanęła za Mitchem i dotknęła jego łokcia. Wzdrygnął się.

- Weź klucze - powiedziała.

George nagle opadł na krzesło i pokręcił głową.

- Zostańcie do rana - poprosił. - Sąsiedzi śpią. Ufam Bogu, że wszyscy śpią. Odpocznijcie trochę. Potem, przykro mi, będziecie musieli odjechać.

## 37

### Ohio

Dział Specjalnego Traktowania zajmował długi, niski, parterowy budynek o wzmocnionych betonowych ścianach. Dicken i DeWitt obeszlą puste teraz prowizoryczne budynki szkolne i przecięli asfaltowy placik zalany jaskrawym światłem kilkunastu mocnych białych lamp wartowniczych.

Drzwi budynku były szeroko otwarte. Niby wywieszony lubieżny jęzor wystawała z nich płatanina pościeli i gumowych materacy. Po obu stronach drzwi dwa wyposażone w żelazne kraty i pokryte drucianą siatką okna lśniły niczym płaskie, puste oczy. Budynek wyglądał na martwy.

Wewnątrz powietrze było chłodniejsze, lecz nieznacznie, i cuchnęło. Przez kakofonię smrodu przebijała się słaba nuta środka odkażającego Pine-Sol. Dicken szedł dalej, choć DeWitt zatrzymała się i zakasłała pod maską. Znał gorsze zapachy; łowca wirusów musiał do nich przywyknąć.

Za wartownią i otwartymi podwójnymi wrotami biegł długi korytarz z drzwiami do wszystkich cel. Jakaś połowa z nich, bez szczególnego uporządkowania, stała otworem. Nie było widać żadnych pielęgniarek ani strażników.

Ciało ośmio- lub dziewięcioletniego chłopca leżało w korytarzu na materacu. Dicken wiedział, że mały nie żyje, gdy był jeszcze kilka jardów od niego. Postawił torbę z przyrządami do pobierania próbek, ukląkł z trudem przy przemoczonym materacu, zbadał chłopca, miał nadzieję, że z całym należnym szacunkiem, potem dźwignął się na jedno kolano i wstał. Mocno pokręcił głową, gdy DeWitt chciała mu pomóc.

- Proszę niczego nie dotykać - ostrzegł. - Yolanda powiedziała, że były tu pielęgniarki.

- Pewnie zabrały dzieci na boisko. Dział ma własny dziedziniec, na południowym końcu.

Sprawdzili wszystkie pokoje, zaglądając przez judasze albo otwierając ciężkie, stalowe drzwi. W niektórych pomieszczeniach leżały ciała. Większość była pusta. Czarna linia, narysowana na podłodze, oddzielała cele przeznaczone dla dzieci wymagających ograniczenia swobody ruchów czy ochrony: cele o wyściełanych ścianach. Drzwi do wszystkich tych pomieszczeń były otwarte.

W dwóch celach ciała leżały przywiązane do pryczy, jedno męskie, drugie żeńskie, oba z nienormalnie wielkimi głowami i dłońmi.

- Jest to wyjątkowe u dzieci SHEVY - powiedziała DeWitt. - Widziałam tylko troje takich.

- Wrodzone?

- Nikt nie wie.

Dicken doliczył się dwudziestu par zwłok, zanim dotarli do drzwi w końcu korytarza. Były przesuwane, ze stalowych prętów pokrytych grubą warstwą farby akrylowej.

- Tu chyba Jurie i Pickman nakazali trzymać dzieci wpadające w szal - powiedziała DeWitt.

Ktoś wcisnął w szynę odłamany kawałek żużlu, aby uniemożliwić automatyczne zamknięcie się drzwi, migotało ich czerwone światło i dioda wzywająca ochronę. Budka strażnika za grubą mleczną szybą była pusta, a alarm strzaskany i milczący.

- Nie musimy przechodzić tędy - powiedziała DeWitt. - Podwórko jest tam. - Wskazała krótki korytarzyk z prawej strony.

- Muszę zobaczyć więcej - odrzekł Dicken. - Gdzie są pielęgniarki?

- Z żyjącymi dziećmi, jak sądzę. Mam nadzieję.

Przecisnęli się przez wąską szparę. Wszystkie następne drzwi były zamknięte

podwójnymi kratami, jedna przesuwała się w bok, druga opadała z sufitu do podłogi, w wykładane żelazem otwory. W każdej celi znajdowało się samotne, nieruchome dziecko. Jedno wpatrywało się w sufit zamrożonym wzrokiem. Niektóre wydawały się spać. Nie patrzyły, jakby nic nie przyciągało ich uwagi. W pokojach tych było co najmniej ośmioro dzieci; nie mieli żadnej możliwości sprawdzenia, czy wszystkie nie żyją. Żadne się nie ruszało.

Dicken cofnął się od ostatniego judasza z grubego szkła, przywarł plecami do betonowej ściany, potem odepchnął się z wysiłkiem i spojrzął na DeWitt.

- Podwórko - powiedział.

Jakieś dziesięć kroków za drzwiami napotkali dwie pielęgniarki z działu specjalnego traktowania. Paliły razem jednego papierosa, siedząc ciężko na krzesłach ze sztucznego tworzywa w cieniu szerokiego korytarza z wyściełanymi stolikami ogrodowymi. Obie były po pięćdziesiątce, wysokie i potężne, z szerokimi barami i mocnymi, grubymi rękoma. Miały na sobie ciemnozielone fartuchy, niemal czarne w rzucanym mroku. Ospale podniosły oczy, gdy pojawiła się DeWitt z Dickenem.

- Robimy wszystko, co możemy - powiedziała jedna z nich, patrząc wyzywającym wzrokiem.

Dicken kiwnął głową, po prostu przyjmując do wiadomości ich istnienie - a może też odwagę.

- Tam jest więcej - dodała druga pielęgniarka, głośniejszym głosem, gdy przechodzili obok. - Już prawie północ, do licha. Potrzebujemy przerwy!

- Na pewno staracie się ogromnie - powiedziała DeWitt. Dicken natychmiast wychwycił różnicę: DeWitt mówiła w sposób precyzyjny, akademicki, wykształcony; pielęgniarki w rzeczowy i robociarski.

Pielęgniarki były z miasta.

- Pieprz się! - próbowała zawołać pierwsza pielęgniarka, ale stać ją było tylko na słaby skrzek. - Gdzie są wszyscy? Gdzie lekarze?

Dzielne miejskie babki. Przejmowały się. Mogły się załamywać, ale zostaną.

Dicken stanął na podwórku. Płócienny namiot rozbito nad betonowym czworokątem o boku mającym około pięćdziesięciu stóp i otoczonym jasnobrazowymi, otynkowanymi murami. Oświetlenie było niedostateczne, otwartą przestrzeń otaczał jedynie szlaczek lampek zamocowanych na murach. Środek był mroczną jamą.

Prycze i materace rozłożono na betonie rzędami, początkowo w miarę równymi, a na końcu tworzącymi bezładną plataninę. Pod namiotem była co najmniej setka dzieci,

większość leżała. Cztery kobiety, dwaj mężczyźni i jedno dziecko chodzili między pryzmami, niosąc wiadra i chochle, podając dzieciom wodę, jeśli miały dość sił, aby usiąść.

Między połami namiotu i przez szpary widać było blask księżyca i rozgwieżdżone niebo. Czworokąt był niemal nieznośnie gorący. Przyniesiono tutaj wszystkie automaty do chłodzenia wody, a kilka węży zwieszało się z plastikowych baryłek otoczonych blednącymi, szarymi pierścieniami wyciekającej wody.

Kobieta w białym stroju lekarskim podeszła do DeWitt. Była niższa od pozostałych, właściwie niziutka, o orzechowej skórze, czarnych, migdałowych oczach i krótkich, czarnych włosach schowanych pod czapką z daszkiem.

- Pani jest psychologiem, panną DeWitt? - zapytała z obcym akcentem. Filipinka, domyślił się Dicken.

- Tak - potwierdziła DeWitt.

- Czy lekarze wrócili? Czy jest więcej lekarstw? - pytała dalej tamta.

- Jesteście objęci pełną kwarantanną - oznajmiła DeWitt.

Kobieta popatrzyła na Dickena, a jej twarz wykrzywiła bezradna złość. Jako obcy zawiódł ich wszystkich; nie było z niego żadnego pożytku.

- Dzisiaj i ubiegłej nocy był istny horror. Odeszły wszystkie moje dzieci. Pracowałam z wymagającymi szczególnej opieki. Ich jedyną wadą była powolna mądrość. Były moją radością.

- Przykro mi - powiedział Dicken. Podniósł torbę ze sprzętem do pobierania próbek. - Jestem epidemiologiem. Potrzebuję próbek pobranych od wszystkich pracujących tu pielęgniarek.

- Po co? Czy się obawiają, że to rozejdzie się na zewnątrz? - Wyzywająco pokręciła głową. - Nikt z nas nie choruje. Tylko dzieci.

- Poznanie, co dzieje się tutaj, jak to się stało, jest ważne dla dzieci, które tu jeszcze żyją.

- Czy usprawiedliwia pan to... kimkolwiek u diabła pan jesteś? - warknęła kobieta o orzechowej cerze.

- Staracie się, jak możecie - odpowiedział Dicken. - Wiem o tym. Musimy spróbować. Nie zaprzestawać pracy. - Przełknął ślinę. Zaczynało się teraz najgorsze, najokropniejsze, co w życiu widział. Koszmarnie złe.

Ramiona kobiety drżały. Odwróciła się, potem znowu, powoli, jej oczy były równie płaskie i ciemne jak okna przy wejściu.

- Przydałoby się jedzenie - powiedziała, jakby zwracała się do jednego ze swoich

mniej inteligentnych podopiecznych. *Powolna mądrość*. - Musimy karmić te, które jeszcze żyją.

- Jest chyba dość jedzenia - odparła DeWitt.

- A ile tam? - zapytała kobieta, czyniąc ręką bezradny, okrągły gest. - Ile zmarło?

Dicken widział taki gest przed laty, na początku tego wszystkiego; widział szympansię wyciągającą rękę w poszukiwaniu pociechy oraz Marian Freedman, która teraz bada panią Rhine, biorącą łąpkę i starającą się uspokoić małpę.

DeWitt w ten właśnie sposób trzymała rękę kobiety.

- Nie wiemy, moja droga - odparła. - Skupmy się na opiece nad naszymi.

- Mam zamiar otworzyć drzwi do cel - powiedział Dicken.

Drobna kobieta zakryła dłonią usta.

- Nie wchodzimy tam. - Popatrzyła na niego wielkimi oczami. - Nie moglibyśmy ich wypuścić. Niektóre mogą wpadać w szal. O Boże, bałam się na nie patrzeć.

- Skoro nie stykały się z dorosłymi, tym bardziej ważne jest pobranie od nich próbek - stwierdził Dicken.

Kobieta opuściła rękę sprzed ust - dygotała, jakby dostała porażenia - i popatrzyła na DeWitt.

- Chodźmy - powiedziała DeWitt, biorąc ją pod ramię i prowadząc. - Pomogę.

- A jeśli jakieś jeszcze żyje? - zapytała z bojaźnią drobna kobieta.

Niektóre żyły.

## 38

### Pensylwania

Mitch zerknął na odbiornik cyfrowy w jeepie Mackenziego. Kaye pochyliła się między siedzeniami i dotknęła jego ramienia.

- Czy chodzi o to, o czym myślę?

- Chyba tak - odpowiedział Mitch. - Webcasty. Łapią wszystko od co najmniej godziny.

- Za długo jesteśmy małżeństwem - stwierdziła Kaye. - Nie zapytałeś nawet, o czym mówiłam.

- Tak sądzisz? - rzucił Mitch, odtwarzając dokładnie ton i sposób wyrażania się Kaye.

Stella spokojnie leżała obok Kaye na tylnym siedzeniu. Przeszła kolejny atak

konwulsji, ale gorączka nie podskoczyła. Przykryta była cienkim kocykiem dziecięcym, a jej głowa spoczywała na kolanach matki.

Przespali niecałą godzinę, zanim opuścili dom państwa Mackenzie. Kaye śnił się koszmar, w którym ktoś bardzo dla niej ważny, jak ojciec lub Mitch, mówił jej, że jest wyrodną matką, nędznym człowiekiem, a jakaś nieokreślona instytucja wycofała wszelkie wsparcie, co oznaczało brak możliwości życia; miała wrażenie, że kończy się jej tlen i nie może oddychać. Walczyła, aby się obudzić, a potem nie była w stanie zasnąć ponownie.

Słońce wschodziło za nimi nad autostradą.

- Włącz - powiedziała Kaye.

Mitch włączył odbiornik. Wyświetlacz na desce rozdzielczej pokazał mapę z czerwoną kropką, ich położenie, a radio przełączyło się automatycznie na rozgłośnię z Filadelfii, nadającą poranne wiadomości ekonomiczne.

- Czy...

- George już przed laty wyłączył Theft Wave - odpowiedział Mitch. - Sprawdziłem. Jest niepodłączone. Jedyne odbieramy GPS, niczego nie wysyłamy.

- Dobrze. - Kaye pochyliła się z chrzążnięciem, przesunęła głowę Stelli i wyjęła składaną zdalną klawiaturę. - Marzenie

Mitch zerknął na nią w lusterku wstecznym. Wyglądała na zmizerniałą, oczy zbyt jej błyszcząły. Mógł za nią dostrzec jedynie kawałek łagodnie oddychającej, przykrytej kocem postaci.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Doskonale. - Oglądała klawiaturę, potem na chybił trafił nacisnęła kilka klawiszy. - Wygląda mi na ZWC.

- Nie znam takiej stacji radiowej - powiedział Mitch.

- Zakażenie wirusem Cocksackie. Zwykle jest to niezbyt groźne zakażenie wirusowe niemowląt i małych dzieci. Na pewno już się z nim zetknęła. Coś się zmieniło. W każdym razie musimy kupić lekarstwa i napoje.

- Apteka?

Kaye pokręciła głową.

- Jestem pewna, że teraz rozgłosili już wieści o tej chorobie. Każda apteka w kraju została powiadomiona, a szpitale będą odmawiać przyjmowania tych przypadków... Posłuchajmy, co mówi świat. - Rozgłośnie szerokopasmowe były pełne muzyki cyfrowej, cyfrowych reklam. Rush Limbaugh grzmiał i wzywał gdzieś na Florydzie. Dick Richelieu mówił o budowie nowego domu, ewangelicy pomstowali, a potem BBC World News



nadawały prosto z Londynu. Złapali wiadomości w połowie. Kaye popracowała nad ekranem dotykowym i cofnęła się kilka minut do ich początku.

- Warunki w Azji i Stanach Zjednoczonych szybko się pogarszają i przechodzą w stan, który można obecnie nazwać jedynie paniką. Obawy, że tak zwane dzieci wirusa stworzą nieznany patogen zdolny do wywołania pandemii, dręczą rządy całego świata już od dziesięciolecia, a na pewno od dziwnego i niepokojącego przypadku pani Rhine sprzed siedmiu lat. Dzieci były jednak stale zdrowe, zarówno w szkołach i obozach, jak i w nękanym rodzinach. Teraz nowa i ciągle niepojęta choroba - nie ma przyjętej oficjalnie diagnozy - powoduje powszechne zamieszanie w Ameryce Północnej, Japonii i Hongkongu. Lotniska międzynarodowe, a nawet niektóre krajowe, nie przyjmują lotów z obszarów dotkniętych chorobą. Przez ostatnie dwie doby publiczne i prywatne szpitale w Stanach Zjednoczonych zamykały swe podwoje przed nową chorobą w obawie, że zostaną objęte proponowaną ścisłą kwarantanną. Inne szpitale w Wielkiej Brytanii, Francji i Włoszech oznajmiły, że jeśli choroba dotrze do ich granic, co według niektórych jest nieuniknione, wówczas dzieci SHEVY i ich krewni będą przyjmowani jedynie na oddziały zakaźne.

- Stań, jeśli zauważysz sklep weterynaryjny - powiedziała Kaye Mitchowi.

- Dobra - odparł.

- Choroba nie pojawiła się jeszcze w Afryce, mającej najmniejszą liczbę dzieci SHEVY, według niektórych z powodu powszechności zakażenia wirusem HIV. W Waszyngtonie Urząd Stanu Wyjątkowego zaprzecza, aby zaczął podejmować środki wynikające ze ściśle tajnych wytycznych prezydenta, poufnego rozkazu wydanego w pierwszych latach zarazy Heroda. Na niektórych często odwiedzanych stronach sieci z alarmującą częstotliwością przywoływane jest widmo bioterroryzmu.

Kaye wyłączyła radio i położyła na kolanach zaciśnięte dłonie. Przejeżdżali przez miasteczko pośród pól i porośniętych trawą równin.

- Lecznica dla zwierząt - powiedziała, wskazując pasaż handlowy z prawej strony.

Mitch zjechał z drogi na parking i stanął naprzeciw klockowego budynku pokrytego niebieskoszarym tynkiem. Kaye opuściła w oknach jeepa osłony przeciwsłoneczne, choć słońce nadal tkwiło nisko nad wschodnim horyzontem i było jeszcze chłodno.

- Zostań z nią z tyłu - powiedziała, gdy oboje wysiedli. Mitch chciał ją objąć w krótkim, dającym otuchę uścisku. Wymknęła się z jego ramion jak kotka, skrzywiła się w rozdrażnieniu i przebiegła przez asfalt.

Mitch obejrzał się, sprawdzając, czy ktoś ich śledzi, potem usiadł z tyłu, uniósł głowę córki i położył ją na kolanach. Stella oddychała szybko i urywanie. Twarz jej pokryły

czerwone plamki. Podciągnęła kolana i zagięła palce.

- Mitch, boli mnie głowa - szepnęła. - Boli mnie szyja. Powiedz Kaye.

- Mama wróci za parę minut - powiedział Mitch, czując dręczącą go bezradność. Równie dobrze mógłby być duchem przyglądającym się jej z krainy zmarłych.

Kaye zajrzała przez żaluzje w szklanych drzwiach, dostrzegła światło w środku i postacie poruszające się w korytarzyku wiodącym na zaplecze. Pukała do drzwi, aż podeszła, przyglądając się ciekawie, młoda kobieta w niebieskim stroju lekarskim i otworzyła.

- Dopiero zaczynamy - powiedziała. - Czy to nagły wypadek? - Miała około dwudziestu pięciu lat, była pulchna, ale nie tęga, o silnych ramionach, tlenionych włosach i miłych, brązowych oczach.

- Przepraszam, że się naprzykrzam, ale mamy kłopot z naszym kotem - odparła Kaye i uśmiechnęła się, przybierając swą najbardziej przymilną i ponaglącą minę. Kobieta otworzyła drzwi i Kaye weszła do małej poczekalni lecznicy. Okręciła się i rozejrzała nerwowo po ladzie recepcji, stojakach ze specjalistycznym pokarmem dla zwierząt i innymi towarami. Kobieta poszła za ladę, popatrzyła z uśmiechem.

- No to witamy. W czym możemy pani pomóc? - Wizytówka na jej piersi zawierała rysunek uśmiechniętego szczeniaka i imię Betsy.

Dobre, opiekuńcze kobiety tej ziemi, pomyślała Kaye. Rzadko bywają ładne, ale są najpiękniejsze z wszystkich. Nie wiedziała, skąd pochodzą te słowa, i odsunęła domysły, ale najpierw wykorzystała to uczucie, aby ożywić uśmiech iskrą współczucia.

- Jesteśmy w drodze - zaczęła Kaye. - Zabraliśmy Shamusa z sobą, biedaczka. To nasz kot.

- Co mu jest? - zapytała Betsy ze szczerą troską.

- Po prostu starość - odparła Kaye. - Zawodzą mu nerki. Myślałam, że zabrałam leki, ale... zostały w Brattleboro.

- Czy ma pani receptę? Numer telefonu kogoś, z kim mogłabym porozmawiać?

- Shamus od miesięcy nie był u lekarza. Niedawno się przeprowadziliśmy. Sami się nim zajmowaliśmy. Byliśmy już w jednym szpitalu dla zwierząt, po drodze... Wściekli się. Było za wcześnie, jedziemy całą noc. Odprawili mnie z kwitkiem. - Załamała rękę. - Liczyłam na waszą pomoc.

Oczy Betsy zablęskły słabym śladem podejrzliwości.

- Nie możemy wydać narkotyków ani środków przeciwbólowych - ostrzegła.

- Nie chodzi nam o nie - odparła Kaye z mocno bijącym sercem. Uśmiechnęła się i odetchnęła. - Och, proszę wybaczyć, tak się martwimy o biedaczka. Potrzebujemy roztworu Ringera, cztery lub pięć litrów, jeśli macie, z zaciskiem motylkowym, i sporo zestawów strzykawek i igieł - igieł o przekroju dwadzieścia pięć.

- Trochę za cienkie dla kota. Zajmie wieczność, zanim go zapełnicie.

- Tylko takie wytrzyma.

- No dobrze - powiedziała Betsy z powątpiewaniem.

- Metyloprednizolon - ciągnęła Kaye. - Aby podróżował spokojnie.

- Mamy depomedrol.

- Może być. Czy macie widarabinę?

- Nie dla kotów. - Młoda kobieta zmarszczyła brwi. - Będę musiała poradzić się doktora.

- Jest w domku - nasz kot. Źle się czuje, to wszystko moja wina. Powinnam była sprawdzić.

- Robiła to pani już przedtem... tak?

- Jestem specjalistką - zapewniła Kaye, zdobywając się na śmiały, pełen rozpaczny uśmiech.

Młoda kobieta wywołała listę na płaskim monitorze.

- Nie wiem nawet dobrze, czym jest widarabina.

Kaye przeszukała pamięć, usiłując przywołać długie godziny, jakie spędzała, przeglądając PediaServe, MediSHEVA i setkę innych stron i baz danych, przed laty, przygotowując się do nieznanej katastrofy.

- To nowość, której czasami używamy. Nosi też nazwę pikornawena, enterowena, coś w tym rodzaju?

- Mamy końską pikornawenę. Na pewno nie tego pani szuka.

- Brzmi znajomo.

- Jest w dość dużych dawkach.

- Świetnie. A famicyclovir?

- Nie - odparła Betsy; stała się teraz bardzo podejrzliwa. - Może być w aptece. Jakiego życia prowadził pani kot?

- Był dziki - wyjaśniła Kaye.

- Jeśli jest tak chory...

- Bardzo wiele dla nas znaczy.

- Powinna pani poczekać na weterynarza. Będzie za godzinę.

- Chyba nie mamy tyle czasu - powiedziała Kaye, patrząc na zegarek z wyrazem rozpaczki, którego nie musiała udawać.

- Czy na pewno robiła to pani przedtem, wie, jak to działa?

- Od roku utrzymujemy go przy życiu. Mamy go od osiemnastu lat. Jest dzielnym starym kocurem. Nie wiem, co zrobię bez niego.

Asystentka pokręciła głową, powątpiewająco, ale ze współczuciem.

- Mogę mieć kłopoty.

Kaye nie odczuwała najmniejszej winy. Gdyby miała broń, zagroziłaby nią, właśnie teraz, aby uzyskać wszystko, czego potrzebowała.

- Nie chciałabym tego - powiedziała, patrząc w oczy kobiecie.

Asystentka kiwnęła głową.

- A niech tam - rzuciła. - Stare koty. Tylko z nimi kłopot, co?

- Zna to pani.

- Mamy tu inaczej niż w wielkich miastach. Pięć litrów roztworu Ringera, dwieście mili końskiej pikornaweny - to najmniejsza dawka, jaką mamy - i depomedrol... - Betsy wzięła wydrukowany spis. - Karta kredytowa czy debetowa?

- Gotówka - odparła Kaye.

## 39

### Ohio

Yolanda Middleton szła z Dickenem przez tymczasowe budynki szkolne do zabudowań starej farmy. Łatwo dotrzymywała mu kroku i machała kółkiem z kluczami.

- Przetrzęsaliśmy gabinet Traska - powiedziała. - Znaleziliśmy klucze uniwersalne do wszystkich budynków. Te są od byłego więzienia. Część pielęgniarek mówi, że mogą być tam jeszcze zapasy, ale nie wiadomo na pewno.

- Wspaniale. Czy Kelson kiedykolwiek tu był?

- Nie sądzę. To było laboratorium doktora Juriego - odparła Middleton. - Doktor Pickman był jego asystentem. Obaj mieli upoważnienie do prowadzenia badań. Trzymali się od nas z dala.

- Jakiego rodzaju badań? - zapytał Dicken.

Middleton pokręciła bezradnie głową.

Dicken stał na asfaltowej ścieżce, lekko kopiąc butem w krawężnik. Rozmyślał.

Obejrzał się za siebie na przebudowaną stodołę, stary budynek szkoły handlowej oraz tkwiące między nimi trzy betonowe klocki o pustych ścianach. Potem ruszył. Middleton poszła za nim.

Podwójne stalowe drzwi tkwiły w ścianie najbliższego klocka. Znajdowała się na nich niebieska emaliowana tabliczka z białymi literami tworzącymi napis: ZAKAZ WSTĘPU.

- Co tam jest?

- No, między innymi tymczasowa kostnica - odparła. - Tak mi powiedzieli. Nie wiem, czy była kiedykolwiek używana.

- Dlaczego tutaj?

- Doktor Jurie mówił nam, że musimy przechowywać ciała wszystkich zmarłych dzieci. Koroner hrabstwa nie weźmie ich, chociaż powinna.

- Czy zawiadamiano rodziców?

- Próbowaliśmy - odpowiedziała Middleton. - Czasami przeprowadzają się, nie zostawiając nowego adresu. Właściwie porzucają dzieci.

- Czy szkoła ma swój cmentarz?

- Nigdy o tym nie słyszałam. Prawdę mówiąc, wszystkim tym zajmował się doktor Jurie - Middleton wyraźnie czuła się bardzo nieswojo. - Przypuszczaliśmy, że zwłoki trafiają na kwatery dla ubogich gdzieś za miastem. Nie było ich zbyt wiele. Zdarzyły się może dwa lub trzy zgony, odkąd powstała szkoła, a tylko jeden po tym, jak zaczęłam w niej pracę. Trask nie pozwalał, aby wieści o zmarłych się rozchodziły. Nazywał to sprawą prywatną.

Dicken zatarł ręce.

- Klucz?

Middleton poszukała na kółku nowszych kluczy i pokazała mu jeden z nich. Był opatrzony nazwą BI-F, F przypuszczalnie od Front - a B od czego, Badania? Spojrzeli po sobie, zgadzając się, że to najlepszy wybór. Gdy włożyła klucz do zamka, Dicken podniósł wzrok na betonową ścianę, jasnoszarą w porannym słońcu. Zmrużył oczy, jak nauczył się przez lata, aby lepiej skupić zaćmione soczewki na osłonach wentylatorów blisko szczytu, kilku wystających rurach, grubym kablu zasilającym biegnącym do słupa i przez skrzynkę z przyłączami niedaleko starej stodoły.

Middleton pchnęła drzwi. Wewnątrz było na tyle chłodno, że Dicken zadrżał.

- Przynajmniej działa tu klimatyzacja - powiedział.

- Nie jest połączona z główną instalacją - wyjaśniła. - Ten budynek jest nowszy niż pozostałe.

Dicken zaczerpnął głęboki oddech. Czuł się, jakby gonił za chimerami. W tych

budynkach mogły być lekarstwa, ale w to wątpił. Najprawdopodobniej znajdą w nich wyposażenie laboratoryjne - jeżeli tylko Trask nie sprzedał i jego w zмовie z lekarzami. Mimo wszystko to laboratorium mogło być lepiej wyposażone od maleńkiego obok izby chorych. Były to jednak jedynie wymówki.

Coś innego sprowadziło go tutaj, instynktowne podejrzenia, jakich nabrał, kiedy chodził pomiędzy pryzkami w dziale specjalnego traktowania. Jesteśmy ciekawskimi małpami, pomyślał. Nigdy nie przegapiamy żadnej możliwości.

Na ścianie za drzwiami znalazł włącznik światła i go nacisnął. Lampy fluorescencyjne zalały wnętrze zimnym, sterylnym blaskiem. Pod północną ścianą pokoju stały zamrażarki ze stali nierdzewnej, wielkie przyrządy laboratoryjne z maleńkimi niebieskimi wskaźnikami temperatury. Kosztowne, zupełnie odmienne od małych, wyposażonych w garby aparatów obok izby chorych.

- Kiedy wyjechali Jurie i Pickman? - zapytał.

- Nie wiem na pewno.

- Czy coś zabrali?

Middleton wzruszyła ramionami.

- Nie widziałam, jak wyjeżdżali. Nie mogę być wszędzie.

- To oczywiste - powiedział Dicken. Świerzbiła go maseczka. Podniósł rękę, aby podrapać nos, ale się powstrzymał.

- Ile czasu to zajmie? - zapytała Middleton.

Dicken nie odpowiedział. Zamrażarki były zamknięte, wyposażone w klawiaturę z przyciskami. Spróbował położyć palce na jednej z klawiatur i pokręcił głową.

Middleton znalazła na kółku klucz otwierający drzwi w głębi pomieszczenia. Prowadziły do małego laboratorium patologicznego z jednym stalowym stołem do przeprowadzania sekcji, lśniącym czystością. Wszystkie narzędzia leżały równo na tackach albo w szafkach stojących pod ścianą w głębi. Niektóre zostawiono w autoklawie, ale poza tym laboratorium był pięknie urządzone i utrzymane.

- Kiedy po raz ostatni przeprowadzono tu sekcję? - zapytał Dicken.

- Nie sędzę, aby kiedykolwiek - odparła Middleton. - Przynajmniej o żadnej nie słyżałam. Czy nie powinniśmy wystąpić o zezwolenie do władz hrabstwa?

- Nie, jeśli zrzekły się odpowiedzialności. Może Mark będzie wiedział. - Zaczynał jednak wątpić, aby Augustine wiedział cokolwiek. Odnosił teraz wrażenie, że jego dawny przełożony w CDC, mianowany następnie dyrektorem Urzędu Stanu Wyjątkowego, został w końcu unieruchomiony - może „wykastrowany” byłoby lepszym słowem - przez szczęki

wilków politycznych z Waszyngtonu.

Przeszli krótkim korytarzem i skręcili w prawo, trafiając na nieoczekiwaną żyłę złota: w pełni wyposażone laboratorium biologii molekularnej i genetyki, zajmujące sześćset stóp kwadratowych powierzchni pod wysokim sufitem, ciasne od sprzętów. Wirówki, rozdzielające tkanki, dostarczały próbki dla analizatorów stojakowych - sekwencerów matrycowych i dokonujących prób zmiennych, specjalizujących się w wykrywaniu polinukleotydów, RNA i DNA; były tam proteomizery potrafiące rozpoznać pełen skład białek; zespoły glikomowe i lipidomowe służące do wyizolowywania i ustalania składów cukrów i tłuszczów oraz pokrewnych związków. Więcej stojaków stało na skraju szerokich, stalowych stołów laboratoryjnych.

Sortownik i analizatory były połączone automatycznymi podajnikami próbek ze stali i białego tworzywa sztucznego, biegnącymi jak maleńkie szyny poprzez molekularny tomograf dyfrakcyjny, inokulatory/inkubatory oraz najrozmaitsze mikroskopy nagrywające - w tym dwa najnowsze mierniki mocy wiązań węgla. Wszystko cudownie zautomatyzowane. Jedno-, najwyżej dwuosobowe laboratorium.

Wszystko na stołach i obok nich było podłączone do małego kwadratowego, jaskrawoczerwonego komputera Cenomics Ideator, zaprojektowanego specjalnie do tworzenia w czasie rzeczywistym trójwymiarowych obrazów genów oraz opisywania i rozpoznawania białek.

Oprzrządowanie tutaj było więcej niż bogate. Chodzący po pomieszczeniu Dicken uznał je za obłędnie przewyższające potrzeby typowego laboratorium szkolnego. Odwiedzał bogate firmy zajmujące się biotechnologią, które nie były równie dobrze wyposażone.

- Rany - rzucił oszołomiony. - Cała cholerna Delta Queen.

Middleton uniosła brew.

- Słucham?

- Nic, nic. - Chodził między ławami, potem wyciągnął dłoń w rękawiczce i pogłodził Ideator. Miał swój wymarzony parostatek. Miał wszystko, czego potrzebował, aby śledzić wirusa w rzece choroby aż do dalekiej, mroźnej północy - do miejsca, w którym ten tkwił uśpiony, skuty lodem.

Jeśli nawet nikt inny nie będzie chętny, na pewno zdoła poradzić tu sobie sam, wypinając się na tracący rozum świat zewnętrzny. Z pomocą paru podręczników. Niektóre przyrządy widział jedynie w katalogach.

Pochylił się, przyglądając się stalowym tabliczkom, identyfikatorom, nalepkom.

- Kto za to wszystko zapłacił?

Middleton w odpowiedzi pokręciła głową. Była równie oszołomiona jak on, ale przypuszczalnie nie doceniała w pełni wspaniałości ich odkrycia.

To, czego szukał, znalazł na tylnej ścianie jednego z mierników mocy wiązań węgla. Stalowa tabliczka głosiła: WŁASNOŚĆ AMERICOL, INC., USA, KORPORACJI ZAREJESTROWANEJ FEDERALNIE, SPRZĘT WYPOŻYCZONY.

- Marge Cross - powiedział. - Wielka Marge.

- Kto?

Dicken szybko wymamrotał wyjaśnienia. Marge Cross była dyrektorem naczelnym i posiadaczką większości udziałów Americolu i Eurocolu, dwóch największych na świecie producentów sprzętu farmaceutycznego i medycznego. Nie dodał, że przez jakiś czas Marge Cross zatrudniała Kaye Lang.

- Znajdźmy jakiś sposób na otwarcie tych zamrażarek. I tego. - Wskazał nieoznaczone drzwi ze stali nierdzewnej, właściwie bardziej przypominające służę, na końcu laboratorium.

Middleton się wzdrygnęła.

- Nie jestem pewna, czy mam ochotę. Dicken zachmurzył twarz.

- Jesteśmy zmęczeni, co?

Skarcona wręczyła mu kółko z kluczami.

- Poszukam kodów - powiedziała.

## 40

### The Poconos, Pensylwania

Mitch przełączył się na napęd na cztery koła i przejechał jeepem przez wcześniej już odłamany i poskręcany kawałek barierki - dokładnie, jak opisał to George. Jeep stoczył się niezdarnie po stoku.

Na tylnym siedzeniu Kaye przycisnęła mocniej Stellę. Dziewczynka nie reagowała na podskoki i szarpnięcia. Kaye patrzyła prosto przed siebie, przez przednią szybę, tak naprawdę niczego nie widząc i zastanawiając się szaleńczo. Nie mogła uspokoić umysłu wypełnionego scenami i planami, które nie łączyły się w żaden użyteczny wzór. Była na skraju załamania nerwowego, czekała tylko na mocniejszy cios; wiedziała o tym, ale nic nie mogła poradzić.

Była więcej niż w połowie przeświadczona, że stracą Stellę. Snucie planów na przyszłość, gdy już to się stanie, na pewno byłoby wskazane, ale nie mogła się do tego zmusić. Jej myśli stały się poplątane, niepełne, bolesne.



Czuła, jak zaciska się jej gardło, zupełnie jak w koszmarze.

- Tam. - Mitch wskazał ręką.

- Co? - spytała chrapliwie.

- Droga.

Jak powiedział im George, jechali teraz prawie zupełnie zarośniętą ścieżką, ledwo zasługującą na nazwanie jej drogą. Skręcił jeepem w lewo. Ścieżka przez ćwierć mili wiła się wśród zarośli, potem wyszła na autostradę stanową. W ten sposób unikali wywołanych kwarantanną blokad dróg na granicy hrabstwa.

Intuicja Mitcha mocno się wyostrzyła w ostatnich dziesięciu latach. Wyczuwał pismo nosem zupełnie jak przestępca. Mógł niemal wyobrazić sobie blokady urządzone przez Departament Zdrowia czy Federal Emergency Management Agency. Agentów Immigration and Naturalization Service albo Gwardii Narodowej z Filadelfii, sprawdzających na głównej autostradzie wszystkie pojazdy. Zastępców inspektorów CDC czekających na tyłach furgonetki Urzędu Stanu Wyjątkowego...

Widywał już to wszystko, podróżując, szukając nowego domu, siedem lat temu. Podczas paniki, jaka wybuchła po odkryciu pani Rhine.

Kaye nuciła Stelli, jak wówczas, gdy ta była jeszcze niemowlęciem. Usta dziewczynki były spierzchnięte, a czoło gorące. Jej głowa kołysała się, dopóki matka nie przytrzymała jej w zgiętym łokciu. Odgarnęła palcami bujne, krótko ścięte włosy córeczki, obejrzała jej policzki, na przemian pokrywające się rumieńcem i blednące, zupełnie jak światła sygnalizacyjne niemogące się zdecydować, co pokazywać. Stella cuchnęła w szczególnie niepokojący sposób, jakby smrodem chorego miotu, co głęboko martwiło Kaye.

Nie utraciła całkowicie wyostrzonego węchu, jakiego nabrała jako matka dziecka SHEVY, choć nie była już w stanie wydzielać własnych feromonów komunikacyjnych. Pory za jej uszami zamknęły się po dwóch latach. U Mitcha nastąpiło to jeszcze wcześniej, a pasma na ich policzkach, różnobarwne melanofory, także wyblakły do normalnej barwy, choć w przypadku Kaye pozostały małe, oddzielne plamy złożone z cętek.

Usta Stelli się poruszyły. Zaczęła mówić, właściwie mamrotać, dwoma strugami słów jednocześnie. Kaye gładziła podbródek i wargi córki, aż zaprzestały gorączkowego działania, a Stella ściszyła głos do szeptu:

*Chcę zobaczyć lasy/*

*Jest tak mało czasu/Zostawcie mnie w lasach/*

*Proszę/Proszę. Proszę.*

- Jesteśmy w lesie, kochanie - powiedziała Kaye do Stelli. - Jesteśmy w borze.

Stella otworzyła oczy i oślepią światłem padającym na jej twarz uniosła rękę, o mało nie waląc w nos matki. Kaye spuściła jej rękę w dół i zasłoniła dłonią oczy dziewczynki.

- Jak długo jeszcze? - zapytała Mitcha.

- Nie jestem pewny. Może z godzinę.

- Wcześniej możemy ją stracić.

- Nie umrze - powiedział Mitch. - Poprawia się jej.

- Nie piła.

- Dałaś jej wodę, zanim wyjechaliśmy.

- Wysiusiała się na siedzenie. Jest rozpalona. Nie piła. Skąd możesz wiedzieć? Nawet ja nie wiem, czy nie umrze.

- Niesamowity ze mnie facet - powiedział Mitch. - Pamiętasz?

- Mitch, to nie żart - odparła Kaye, podnosząc głos.

- Nie czujesz jej zapachu? - zapytał.

- Czuję ją lepiej od ciebie.

- Nie umrze. Wiem.

- Przestańcie się kłócić, proszę - szepnęła Stella i przekreśliła się, kopiąc leciutko w drzwi. Jej bosa stopy waliły prawie niesłyszalnie. - Boli mnie głowa. Wypuście mnie. Chcę wysiąść.

Kaye trzymała córkę, gdy ta się krótko szarpała. Po budzącym rozpacz westchnieniu dziewczynka znów znieruchomiała bezwładnie. Kaye patrzyła na tył głowy Mitcha, na jego włosy nierówno, brzydko przycięte na karku. Oszczędzali na wszystkim. Mitch zresztą nigdy nie lubił ścinać włosów. Przez chwilę nienawidziła męża. Miała ochotę go bić, drapać i grzmocić pięściami.

Nikt lepiej od niej nie zna własnej córki. Nikt. Gdyby Mitch powiedział jedno słowo więcej, chyba zaczęłaby wrzeszczeć.

## 41

### Ohio

Trask lub ktoś pracujący dla niego wyłączył serwer obsługujący wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne połączenia szkoły, w tym komunikację satelitarną, i nie można go było uruchomić bez podania hasła. Nikt, ani nauczyciele, ani pielęgniarki, ani Kelson, nie znali tego hasła, a Trask był oczywiście teraz nieosiągalny.

Augustine mógł domyślać się motywów, ale nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko, aby robił, co się da, w celu załatwienia kolejnych dostaw. Dicken nie nosił komórki. Jedynym działającym telefonem był teraz aparat sieciowy Augustine'a.

Osobiście, a także przez swoją sekretarkę w biurze USW w Indianie przekazywał wiadomości - głosowe i e-maile - kierownictwu wszystkich agencji z jego listy, potwierdzając poprzednie żądania dostaw. Jakichkolwiek. Mówili mu, że starają się, jak tylko mogą, ale sytuacja jest bardzo napięta i trzeba poczekać dzień bądź dwa.

Augustine wiedział, że nie mają tyle czasu.

Pewien nieustraszony zastępca podsekretarza stanu Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej zaoferował się, że zawiadomi lokalne media i nagłośni sprawę.

- Tutaj wszystkie słuchawki są zdjęte z widełek.

Augustine odmówił. Wiedział, co by to dało. Poważnie zagrożony dymisją i niepopularny dyrektor Urzędu Stanu Wyjątkowego zostałby rozdarty na strzępy przez dziennikarzy starających się dowieść, że jest kłamcą.

Potrzebował faktów, aby zapobiec pogłębianiu się paniki wśród opinii publicznej, a Dicken nie dostarczył mu dotąd niczego przydatnego.

Augustine siedział teraz na sfatygowanym fotelu sekretarki przy małym biurku w rogu, przez swój telefon sieciowy ściągając sprawozdania na wewnętrzną stronę NIH. Przynajmniej nie zablokowali jego osobistego dostępu; nie jest jeszcze zupełnie *persona non grata*.

Na małym, kolorowym ekranie telefonu przeglądał świeżo przesłane rankiem statystyki, anatomię numeryczną katastrofy.

Pierwszy przypadek wystąpił prawdopodobnie w Kalifornii, w szkole w Pelican Bay. Trzy kalifornijskie spółki zarządzające zakładami karnymi wygrały przetargi na przetrzymywanie dzieci SHEVY w tym stanie; wszystkie z wyjątkową niechęcią współpracowały z wszelkimi urzędami mającymi siedzibę w Waszyngtonie. Augustine w końcu znenawidził tych zarządców i ich szkoły; zakłady karne w Kalifornii w ostatnim dziesięcioleciu dwudziestego wieku, podczas wojny narkotykowej, stały się zamknięte w sobie, nastawione na obronę i aroganckie. Nie zdziwił się więc, że Pelican Bay dopiero przedwczoraj zameldowało o rozprzestrzenianiu się choroby. Pierwsi w jej złapaniu, przedostatni w zawiadomieniu.

Choroba uderzyła niemal jednocześnie w piętnastu innych szkołach, od Oregonu do Missisipi. Dicken zainteresowałby się tym faktem. Gdzie był rozsadnik? Jakie są wektory rozchodzenia? I jak wirus się rozprzestrzeniał, zanim wybuchnął pandemią?

Jak i dlaczego tak długo skrywał się uśpiony?

Pelican Bay straciło tysiąc dwustu uczniów spośród sześciu tysięcy. Jednego na pięciu. San Luis Obispo i Port Hueneme zgłaszały mniejsze odsetki, ale połowa uczniów w Kalispell, niemal tysiąc, zmarła już, a śmierć dalszych była spodziewana w ciągu najbliższych dwunastu godzin. W El Cajon nie żyło pięćdziesięciu sześciu z trzystu.

Przesunął wzrokiem na wschód, przeglądając mapy i wykresy. Phoenix, dwa tysiące z ośmiu. Dwie trzecie uczniów zachorowało w Tucson; połowa z nich zmarła. Provo straciło połowę, ale mniej niż stu. Mormoni nie oddawali swych dzieci bez walki, więc w trzech szkołach w Utah był niecały tysiąc dzieci SHEVY.

Augustine zastanawiał się, jak wiele spośród „uczących się w domu”, jak nazywały je niektóre agencje, czyli ukrywających się dzieci wirusa, zachorowało i zmarło. Przewidywał, że choroba wkrótce dosięgnie i je.

W Ohio, Iowa i Indianie, w dwunastu szkołach przetrzymujących sześćdziesiąt trzy tysiące dzieci zebranych z całego Środkowego Zachodu, zmarło dotychczas ponad trzynaście tysięcy dzieci SHEVY.

Zapoznawał się ze statystykami dla Illinois, kiedy zapiszczał telefon. Odebrał połączenie.

Odezwała się Rachel Browning z BRS.

- Cześć, Mark. Słyszałam, że dzwoniłeś. Paskudny dzień.

- Rachel, jakże się cieszę, że cię słyszę - powiedział Augustine. - Natychmiast potrzebujemy tu dostaw...

- Zaczekaj chwilkę. Muszę odebrać tę rozmowę. - W telefonie zabrzmiał cicho jazz. Tego było już za wiele; o mało co się nie rozłączył. Powstrzymał jednak dłoń tuż przed aparatem. Cierpliwość była hasłem przewodnim, teraz na pewno, a niewątpliwie iskierka, zwiewna resztką zdmuchiwanej władzy mogła w każdej chwili zgasnąć.

Browning znowu się odezwała.

- Jeden do czterech, Mark - zaczęła, jakby podawała wynik meczu.

- Według naszych rachub jeden do pięciu, Rachel, średnia dla całego kraju. Potrzebujemy...

- Utknąłeś w samym środeczku, słyszałam. Wygląda na ponad siedemdziesiąt procent zakażonych - przerwała mu Browning. - Wirus w powietrzu przeżywa co najmniej trzy godziny. Przerazające. Jest poza jakąkolwiek kontrolą.

- Tempo zakażenia spada.

- Nie zostało wielu niezakażonych, w każdym razie nie w szkołach.

- Przy odpowiedniej opiece medycznej moglibyśmy zmniejszyć straty prawie do zera -

powiedział Augustine. - Potrzebujemy lekarzy i sprzętu.

- Dyrektor okręgu Ohio jest wrednym sukinsynem - oznajmiła Browning. - W tym przynajmniej jesteśmy zgodni. Odsyłał zaopatrzenie medyczne z magazynów szkolnych, bo dzieci były takie zdrowe. Wedle pogłosek niektórzy z jego współpracowników sprzedawali towary za jedną dziesiątą ceny szefom mafii rosyjskiej w Chicago, a teraz są one na czarnym rynku w Moskwie.

- Nie wiedziałem o tym. - Augustine zabębnił palcami w blat biurka.

- Powinieneś być, Marku. Sprawiedliwość porusza się lekkim krokiem, jak pantera. Nie pomoże to ani tobie, ani dzieciakom wirusa. Co gorsza, Marku, w Waszyngtonie jest mnóstwo brązowych gaci. Wszyscy są przerażeni. Ja także.

- Tutaj nie zachorował żaden dorosły. Ta choroba nam nie zagraża. Znamy jej etiologię i charakter. - Było to kłamstwo, ale musiał okazać jakąś siłę.

- Jeśli choroba ma coś wspólnego z dawnymi wirusami, a podejrzewam, że tak właśnie jest - ty nie? - stoimy przed zagrożeniem biologicznym na ogromną skalę. TDP 298, Marku.

Minęły trzy lata, odkąd Augustine zapoznał się ze szczegółami Tajnej Dyrektywy Prezydenta nr 298.

- Hayford wysłał już do Kongresu projekt ustawy kryzysowej - ciągnęła Browning. - Żadne dziecko wirusa nie będzie tolerowane poza szkołami federalnymi. Żadne. Nawet w rezerwatach i w Utah. Wszystkie szkoły przejdą pod bezpośredni zarząd federalnego USW. To ci się spodoba. Projekt zwiększa kary i upoważnia do p o t r o j e n i a liczebności służb zajmujących się przestrzeganiem zakazu i aresztowaniami. Zatrudnimy wszystkich grubych ochroniarzy z pistoletem większym od fiuta i wszystkich buraków, którzy nie dostali się do szkół policyjnych. Podwoją nam budżet, Marku.

Augustine popatrzył na swojego roleksa.

- Tutaj jest jedenasta rano. Czy ktoś z Waszyngtonu może przysłać tu lekarzy?

- Najprędzej jutro - odpowiedziała Browning. - Wszyscy troszczą się o siebie, a gubernator Ohio nie wystąpił jeszcze z prośbą. I mówiąc szczerze, dlaczego miałabym ci zaufać? Nie pomożesz mi zbytnio tam, gdzie jesteś teraz - chrzaniąc wszystko po królewsku. Nie czuję jednak urazy. Jestem tutaj, aby być miłosierną. Wiem, gdzie za parę godzin ukryje się Kaye Lang. A ty?

- Nie. Byłem zajęty, Rachel.

- Sądzę, że mówisz prawdę.

Augustine przeglądał szybko możliwe sposoby odkrywania przez Rachel Browning takich tajemnic jak kryjówki Kaye.

- Przycisnęłaś kogoś?

- Wbudowany w NuTest GPS wskazał na Pittsburgh, a skargi sąsiada doprowadziły do pewnego domu. Zapewniłam konieczną opiekę lekarską pewnemu dziecku wirusa w szkole w Indianie. Jego rodzice są bardzo szczęśliwi. Lekarze mówią, Marku, że będzie żył. - Browning opowiadała o szpiegowaniu i szantażu z wielkim zapalem.

- Mając tak wielkie możliwości, na pewno pomożesz nam tutaj - powiedział Augustine.

- Powiem szczerze, nie mogę. Słyszałeś, że Francja zaproponowała przysłanie nam środków antywirusowych o szerokim zakresie działania, a prezydent Ellington odmówił?

- Nie słyszałem.

- Wszystkie cenne szkoły przed obwodnicą są dobrze zaopatrzone. Na ich zapasy lekarstw nikt nie napada. I pamiętaj, w ostatnich wyborach Ohio nie głosowało na Ellingtona.

Augustine uszczypnął się w grzbiet nosa. Od dwóch godzin bolała go głowa i nic nie wskazywało, że przestanie.

- Nie słyszę nic pocieszającego, Rachel. Czemu zadzwoniłaś?

- Bo to gówno, które wszędzie wokół uchodzi za opinię publiczną, zaczyna budzić strach nawet we mnie. Nie mogę się przebić do szefów National Reconnaissance Office i National Security Agency. Minister Zdrowia i Opieki Społecznej jest nieosiągalny. Wszyscy chyba mają naradę w swych bezpiecznych norkach króliczych w Annapolis i Arlington. Mark, równie dobrze jak ja wiesz, że dzieci wszystkich w Izbie i Senacie urodziły się długo przed SHEVĄ. Tylko dwaj senatorzy i czterej kongresmani mają wnuków SHEVY. Co za pech. Statystycznie powinno być ich więcej. Według sondażu, przeprowadzonego wczoraj wieczorem przez CNN, sześćdziesiąt cztery procent naszego starzejącego się elektoratu opowiada się za strzelaniem bez uprzedzenia do uciekających dzieci wirusa. Dwie trzecie, Marku.

- Rachel, na ile bezpieczna jest ta linia? - zapytał Augustine.

Browning głośno prychnęła przez zęby.

- Czy domyślasz się, co przychodzi z samej góry?

Głowa zaboląła mocniej. Pochylił się nad biurkiem.

- Bez trudu.

- Zostaniesz zausznikiem królowej, Marku?

- Kto dzisiaj jest królową?

- Może ja. Wyznaczyłam specjalną grupę mającą pochwycić Kaye Lang i jej córkę.

Posłałam do tej misji ludzi, których znam i którym ufam.

Augustine zastanawiał się kilka chwil. Nigdy w życiu nie czuł większej wściekłości, a zarazem słabości.

- Jestem ci wdzięczny, Rachel.

W jej głosie brzmiał wyraźny triumf.

- Nie jestem taka głupia, jak sądzisz, Marku. Żywa jest wrzodem na tyłku. Martwa będzie męczennicą.

- Rób, co możesz, Rachel.

- Zawsze robię. Nie ma jednak żadnego terminu. Wszystko będę robiła po swojemu i udzielała ci jak najmniej informacji.

- No dobra.

- Jeśli się uda, będziesz mi wdzięczny, Marku. A teraz...

Nagle telefon zamilkł. Augustine potrząsał nim i kilkakrotnie wciskał klawisz ON. Telefon rozjaśnił się i włączył, ale nie wykrył sygnału i znowu się wyłączył, oszczędzając energię.

Najprawdopodobniej BRS przejęło sieci bezprzewodowe i zamknęło maszty telefonii komórkowej stojące w pobliżu wszystkich szkół. Pierwszy etap wdrażania TDP 298.

Augustine odkładał telefon, gdy do pokoju wróciła DeWitt.

- Doktor Dicken chce się z panem spotkać - powiedziała. - Coś znaleźli.

- Zapasy? - zapytał z nadzieją Augustine.

DeWitt pokręciła głową.

## 42

### Pensylwania

Na drodze stanowej ruch był niewielki, przez piętnaście ostatnich minut widzieli ze trzy, cztery samochody. Nikt nie chciał być przyłapany na jeździe. Samo przebywanie na szosie byłoby podejrzane. George powiedział, że skręt w drogę wiodącą do domu nie rzuca się w oczy, jest łatwy do przegapienia. Oznaczył to miejsce, przybijając do wielkiej sosny pasek czerwonego tworzywa sztucznego.

Mitch jechał wolniej, szukając czerwonego plastikowego paska i drewnianej tabliczki, którą jacyś wandalcy w skradzionym samochodzie rozbili kijami bejsbolowymi.

Wnętrze jeepa nagle wypełnił mrok. Mitch miał wrażenie, że załaza go gęsta ciemność.

Szybko minęło, ale się przestraszył; niemal czuł woń mroku, pachnącego jak olej do skrzyni biegów.

- Jestem cholernie przemęczony - powiedział do siebie i zastanowił się, czy usłyszały go pasażerki na tylnym siedzeniu. Wyczuwał je tam obie, tak samo żywe, tak samo spokojne. Oddech Stelli stracił trochę z chrypliwości, ale Mitch wiedział, że ma wysoką gorączkę.

Może sam też to łapie. Podejrzewał, że Kaye tego by już nie wytrzymała. *Dlatego nie zachoruję.*

Gwizdał w mroku. W oleistym mroku.

## 43

### Ohio

- Jurie zostawił kody liczbowe w szufladzie biurka - powiedziała Middleton, gdy Augustine i DeWitt weszli wraz z nią do betonowego klocka budynku laboratorium. - Doktor Dicken polecił, abym sprowadziła was tu wszystkich.

Dicken wszedł przez drzwi naprzeciwko, niosąc grubą teczkę z papierami. Popatrzył na Augustine'a.

- Ty pieprzony sukinsynie - powiedział.

Augustine przyjął to bez zmrużenia oka.

- Coś znalazłeś - odparł.

- Trafieś, do cholery, coś znalazłem. Ile Americol wpakował w szkoły? W obozy?

- O ile wiem, to nic.

- Zamierzałeś wszystko zwalić na Traska?

Augustine niepewnie pokręcił głową. Rozejrzał się po dużym pomieszczeniu i skupił wzrok na ścianie ze stalowymi zamrażarkami.

- Nie wiem nawet, co to jest.

- Co Marge Cross chciała zrobić z tymi wszystkimi dziećmi?

- Dicken podsunął mu teczkę. Augustine pochylił się, opierając się na laseczce, a Dicken cofnął rękę z papierami i rzucił je na biurko stojące obok urządzeń z nierdzewnej stali, służących do przechowywania próbek w zimnie. Rozsypały się zdjęcia: kolorowe fotografie z przeprowadzanych sekcji. Nawet z oddali było wyraźnie widać, że poddawano nim dzieci, a nawet niemowlęta.

Dicken odszedł o krok, jakby przebywanie w pobliżu Augustine'a wywoływało w nim wielkie obrzydzenie.



Augustine przenosił wzrok z twarzy na twarz; bruzdy na jego twarzy się pogłębiły. Odsunął zdjęcia, potem wziął stronę tytułową i ją przeczytał.

- Za dobrze cię znam - powiedział Dicken. - Nie byłbyś taki głupi, aby do tego dopuścić.

- Pokaż mi resztę - odrzekł Augustine.

Middleton wcisnęła cyfry kodu, który odblokował drzwiczki pierwszej zamrażarki z nierdzewnej stali. Opadła mgiełka, odsłaniając rzędy słoików. Augustine natychmiast rozpoznał, co zawierają. Słoje na wierzchu były małe i przechowywały anonimowe kawałki mięsa w bezbarwnym płynie.

Słoje poniżej, na półkach o większej wysokości, zawierały całe narządy wewnętrzne.

Skóra Middleton zbladła w chorobliwy odcień barwy oliwkowej; kobieta niemal zamknęła oczy.

- Ilu? - zapytał Augustine.

- Są tutaj szczątki może sześćdziesięciorga, siedemdziesięciorga dzieci, a w całym budynku jeszcze więcej - odparł Dicken. - Jak sądzisz... w jakim celu?

- Nie ośmielę się zgadywać.

- Nigdy nie straciliśmy tyle dzieci - powiedziała Middleton - a doktor Jurie... doktor Pickman... odeszli, zanim... - Nie dokończyła. Zamknęła pierwsze drzwiczki i otworzyła drugie. Tacki z tysiącami zamrożonych próbek tkanek, umocowanych między szklanymi płytkami lub przechowywanych w buteleczkach z roztworem, zajmowały całe wnętrze do samej góry.

Augustine przyjrzał się tackom, potem podszedł bliżej i skinął na Middleton, aby otworzyła trzecie drzwiczki, a następnie czwarte. Gumowa końcówka jego laski piszczała, gdy przesuwiał ją po linoleum podłogi.

- A więc jesteście przekonani, że nic z tego nie pochodzi z ostatnich dwóch dni - powiedział, szukając jakiegoś rozsądnego wyjaśnienia wszystkich tych zamkniętych szczelnie słoików, probówek i miseczek, dokładnie ponumerowanych i oznaczonych żółto-czerwonymi naklejkami ostrzegającymi o zagrożeniu biologicznym.

- To biblioteka tkanek - powiedział Dicken. - Zdrowych tkanek, przypadków patologicznych, wszystkiego, co zdołali znaleźć. Jest tu w pełni wyposażone laboratorium do ich analizy. Jurie i Pickman robili sekcje wszystkich dzieci, które zmarły w tej szkole i w pozostałych placówkach w okolicy. Przypuszczam, że sprowadzali tu wszystkie zwłoki, jakie tylko mogli zdobyć. Centralna izba rozrachunkowa trupów.

- Cross zapłaciła za wyposażenie? - zapytał Augustine. Zachowywał się tak spokojnie,

był tak ogromnie przygnębiony, że Dicken odsunął gniew na bok.

- Americol - odparł.

- Mm hmm - zamruczał Augustine. Wziął od Middleton listę kodów, otworzył następne trzy pary drzwiczek i zajrzał do środka zamrażarek. Dwie zawierały znajome już stosy tacek z próbkami. W ostatniej było pięć par zwłok, owiniętych w przezroczyste tworzywo sztuczne, wiszących na hakach i pętłach przymocowanych do szyn w górnej części wnętrza.

- Boże - rzuciła DeWitt.

- Powiniennem być wiedzieć - szepnął Augustine. - Na pewno. Powiniennem być wiedzieć.

Middleton podeszła do otwartej zamrażarki.

- Sekcje zwłok byłyby chyba czymś normalnym, prawda? Tego właśnie potrzebowaliśmy, wyników badań prowadzonych dla dobra uczniów, aby lepiej ich chronić?

- Nie - zaprzeczył stanowczo Augustine. - Nie powiadomiono Waszyngtonu o żadnych badaniach i wątpię, aby wspomniano o nich władzom w Ohio, bo coś bym o tym słyszał. Przed tym tygodniem zmarło w sumie trzysta siedemdziesięcioro dziewięcioro dzieci przetrzymywanych w szkołach. Bardzo niska śmiertelność, mówiąc statystycznie. Większość z nich jest przypuszczalnie tutaj. Powinny być zwrócone rodzicom albo pochowane, gdyby nikt się po nie nie zgłosił. - Augustine zamknął drzwiczki. - Nie zezwoliłem na to.

Dicken podszedł bliżej.

- Czy prowadzenie tych... badań przyniosło coś dobrego dzieciom?

- Nie wiem - odpowiedział Augustine. - Niewykluczone, choć wątpię. Anatomicznie dzieci są tak podobne do nas, że przechowywania dla celów badawczych narządów czy całych zwłok nigdy nie uznano za rzecz konieczną. Wyrażałem zgodę jedynie na biopsje i pobieranie próbek określonych tkanek. Sam byś tak postępował.

Dicken potwierdził to szybkim kiwnięciem głową.

- Wskazuje to na jakiś rodzaj badań patologicznych na ogromną skalę. Dotyczących całych ciał, tysięcy analiz tkanek... Muszę usiąść.

DeWitt przyniosła krzesło. Augustine opadł na nie i pochylił się, kręcąc głową.

- Próbuję doszukać się w tym sensu - powiedział.

- Próbuj bardziej - ponaglił go Dicken.

- Nie dostrzegam żadnego powodu poza ekspresją retrowirusa - powiedział Augustine.

- Śledzeniem ekspresji nowego HERV-u u nowych dzieci. Statystycznym próbkowaniem dziesiątek lub setek osobników, powiązanych ze znanymi życiorysami, przebytymi stresami.

Wymagałoby to wysiłków bez precedensu. Monumentalnych.

- W jakim celu?

- Mogła to być próba zrozumienia całego procesu. Rozpoznania, do czego dążą pradawne wirusy, jakie niebezpieczeństwa się z nimi wiążą.

- Aby przewidzieć zasięg występowania shivera? - zapytał Dicken. - Można by to robić gdziekolwiek. Dlaczego tutaj, bez upoważnienia?

- Bo nigdzie indziej nie mieliby dostępu do tylu nowych dzieci, martwych bądź żywych - odparł Augustine.

- Dostaję od tego mdłości - powiedziała DeWitt i pochyliła się nad małym biurkiem, odsuwając teczkę.

Augustine spojrzał na Dickena.

- Nie pociągam za sznurki za kulisami, Christopherze. Od miesięcy odsuwają mnie na boczny tor. Staram się utrzymywać pozostałe mi resztki władzy, aby zachowywać jakiegoś rodzaju porządek. - Machnął słabo ręką w stronę drzwiczek z nierdzewnej stali. - Ludzie umierają, Christopherze.

- Tak właśnie powiedziała Marian Freedman podczas moich ostatnich odwiedzin w Fort Derrick. To taka wymówka. Wszystko przemija. Nie jesteś tym złym? - zapytał Dicken.

- Gdzie tak naprawdę są ci źli? - odrzekł Augustine. - Czy to wiemy?

- A co z rodzicami? - spytała DeWitt.

- Trzeba uwzględnić ich uczucia - powiedział Augustine. - Etyka lekarska musi obowiązywać nawet w nadzwyczajnych zagrożeniach. Nigdy jednak dotąd nie stawialiśmy czoła problemom tego rodzaju.

Augustine szedł powoli między stołami w laboratorium biologii molekularnej, obojętnie oglądając zbiór kosztownego wyposażenia. Od dawna już nic nie było go w stanie zaskoczyć. Dicken otworzył wąż w głębi laboratorium i włączył światła fluorescencyjne, wydobywające z mroku długi, wąski pokój. Wszyscy zawahali się przed wejściem tam.

Sięgające do sufitu stalowe półki zawierały setki długich kartonowych pudeł. Dicken wyciągnął jedno i otworzył wieczko na zawiasach. W środku były kości: udowe, opatrzone przywieszkami i uporządkowane według wielkości. W innym pudle były kości policzkowe. Większe skrzynie na dole z lewej strony, nieprzekraczające czterech stóp długości, przechowywały kompletne szkielety.

Augustine oparł się o framugę.

- Nic tu po mnie - powiedział. - Nikt z nas nie może nic z tym zrobić.
- To nie wszystko - oznajmił Dicken. - Jest tu piętro. Jeszcze się do niego nie dostaliśmy.
- Jak pan sądzi, co może tam być? - zapytała DeWitt z twarzą szarą jak popiół.
- To nie wymówka, Christopherze - zapewnił Augustine. - Nie możemy o tym zapomnieć, ale do diabła, do czego dobrego, dobrego dla chorych dzieci, może zaprowadzić nas teraz złość?
- Niczego, cholera - przyznał Dicken. - Idziemy.

**44**

### **The Poconos, Pensylwania**

Jedenasta rano, oznajmił wyświetlacz na desce rozdzielczej. Mitch popatrzył w lewo na dwupasmową asfaltową szosę i jakieś dwieście stóp przed sobą zobaczył pasek czerwonego tworzywa sztucznego, zwisający z wielkiej starej sosny. Zwolnił i opuścił szybę w okienku.

Drogowskaz stał nadal, choć przechylnono go kopniakiem. Napis na drewnianej tabliczce głosił:

MACKENZIE

George, Iris i Kelly

Mitch wysiadł, odłączył rurkę i przepchał ją przez żelazny pierścień. Zdjął tabliczkę z drogowskazu i położył z tyłu jeepa.

Domek zrobiono z całych okorowanych kłód, które dopiero zaczęły szarzeć na powietrzu. Stał na brzegu prywatnego jeziora o powierzchni pół akra, otoczonego sosnami. Powietrze pachniało igliwem i wyschlą ziemią. Mitch wyczuwał zapach wilgoci płynący od jeziora, zieleni pływających porośniętych trzciniami. Światło słoneczne docierało ukosem między drzewami, padając na jeepa, zalewając blaskiem Kaye na tylnym siedzeniu.

Mitch wszedł na ganek, jego ciężkie buty zadudniły na deskach. Otworzył drzwi, sześciocyfrowym kodem wyłączył alarm przeciwwłamaniowy i wrócił do jeepa.

Kaye była już w połowie drogi do domku, niosąc Stellę.

- Weź torbę roztworu Ringera i nastaw na IV - powiedziała. - Hak na lampę, na donicę, cokolwiek. Rozłóż koce. - Wniosła Stellę do domku. Powietrze w środku było chłodne i słodkavo duszne.

Mitch na podłodze za wielką skórzaną kanapą rozłożył śpiwór, zdjął pustą wiszącą donicę, umocował na haku torbę roztworu Ringera, włożył do niej długą, czystą rurkę z tworzywa sztucznego, otworzył zacisk motylkowy, pozwolił przejrzystemu płynowi spływać rurką i kapać z igły strzykawki. Kaye położyła Stellę na śpiworze, ścisnęła jej ramię, aby uwydatnić żyłę, wkuła igłę, przymocowała ją plastrem do ręki dziewczynki.

Stella ledwo mogła się ruszać.

- Powinna trafić do szpitala - powiedziała Kaye, klękając przy córce.

Mitch patrzył na obie, bezsilnie otwierając i zaciskając dłonie.

- W lepszym świecie - rzucił.

- Nie ma żadnego lepszego świata - odparła Kaye. - Nigdy nie było i nigdy nie będzie. Jest tylko „cierpiecie dzieci”<sup>3</sup>.

- Nie takie ma to tam znaczenie - stwierdził Mitch.

- No to w diabły z tym. Mam nadzieję, że wiem, co u licha robię.

- Boli ją głowa - powiedział Mitch.

- Ma aseptyczne zapalenie opon mózgowych. Zamierzam zmniejszyć opuchliznę, podając prednizolon, a te ranki w ustach wyleczyć famicycloviem.

Famicyclovir, plaster i inne rzeczy kupili w małej aptece obok szpitala dla zwierząt. Kaye udało się także zdobyć pudełko jednorazowych strzykawek. Na koniec zaczęło brakować jej wykrętów. Powiedziała aptekarzowi, pochylonemu w swej trochę wzniesionej budce z tyłu sklepu, że używa igieł podczas farbowania materiałów.

W wielkim mieście nie zabrzmiałoby to zbyt przekonująco. Szykowała się do zrobienia Stelli zastrzyku.

- Nie jestem nawet pewna dawki - mruknęła.

Mitch był niemal przekonany, że gdyby teraz wyszedł i odjechał, Kaye wcale by tego nie zauważyła. Spojrzał na swoje ręce, gładkie, gdyż od dawna nie kopał. Jak do tego wszystkiego doszło? Wiedział, pamiętał, ale wszystko wydawało mu się nierzeczywiste. Nawet cień rozpaczy - czy to właśnie poczuł w jeepie? - nawet on wydawał się być bez znaczenia.

---

<sup>3</sup> W oryg. *Suffer the little children* - nawiązanie do Ewangelii św. Marka, 10:14. Grę stów oparto na dwuznaczności słowa *suffer*, które u Marka oznacza „pozwoić” (przyp. red.).

Mitch miał wrażenie, że jego dusza migocze coraz słabiej i gaśnie.

Kropla mlecznego roztworu Ringera spływała długą rurką z tworzywa sztucznego.

- Będę przy niej czuwał - powiedział Mitch.

- Prześpij się trochę - odrzekła Kaye i nałożyła plastikowy kapturek na zużytą igłę strzykawki, aby ją wyrzucić.

- Ty pierwsza.

- Idź spać, do cholery - rzuciła Kaye, a jej wzniesione spojrzenie było niczym pchnięcie płaskiego, tępego noża.

## 45

### Ohio

- Zaczyna się - powiedział Augustine. - Od lat bałem się nadejścia tego dnia.

Stojąc na wieżycze numer dwa, otoczeni nagromadzonymi skrzyniami, zakurzonymi starymi biurkami, przestarzałymi komputerami, Augustine i Dicken - oraz wiecznie czuwający nad Augustine'em agent - patrzyli, jak oddziały Gwardii Narodowej stanu Ohio rozstawiają się wokół i odcinają wejście do szkoły. Ich wzrok obejmował także główną drogę, wieżę wodną na zachodzie, nagi, pokryty żwirem plac z klinami z czystego betonu, widniejący za nim szpaler krzewiastych dębów oraz autostradę stanową, wcinającą się między niskie, trawiaste wzgórza.

DeWitt wspięła się po ostatnich stopniach i zadyszana oparła o ścianę. Kiwała ciężko głową.

- Dzwonili z urzędu gubernatora... na linię dyrektora. Gubernator wyskoczył przed szereg... wyprzedzając federalnych... i ogłosił - lekko zakasłała, wciągając powietrze - stopień piąty stanu zagrożenia zdrowia publicznego. Objęto nas pełną kwarantanną. Nikt nie może tu wchodzić ani stąd wychodzić... Nawet pan, doktorze Augustine. - Przygwoździła go wzrokiem. - Z głównej bramy zgłoszono dwadzieścia dalszych... nadjeżdżających ciężarówek Gwardii Narodowej... Otaczają szkołę.

Augustine zwrócił się do agenta Secret Service, który poklepał swoją słuchawkę i sposepniał.

- Na razie jesteśmy uziemieni - potwierdził.

- Co z dostawami? - zapytała DeWitt.

- Mogą podrzucać je przed wejście, a ktoś z nas będzie je zabierał, bez żadnego

kontakty - powiedział Dicken. - Wpierw jednak muszą je przysłać.

Augustine miał mniej złudzeń.

- Odizolują nas bez najmniejszego trudu - oznajmił sucho. - Na początku było tutaj więzienie. A dostawy... będą musiały minąć granicę stanu, posterunki kontrolne. Stan może je przejmować i zatrzymywać. Gubernator będzie dbał o głosujących na niego, działał samowolnie, przekazywał przeznaczone dla nas dostawy do wielkich miast, bogatych osiedli, najbardziej widocznych i dobrze wyposażonych szpitali z najgłośniejszymi krzyczącymi dyrektorami. Zapasy z myślą o ewentualnej zarazie.

- Zostawią nas z niczym? Nie mogę uwierzyć, że okażą się tacy głupi - powiedziała DeWitt. - Dojdzie do buntu.

- A kto się niby zbuntuje? Rodzice? - zapytał Dicken. - Skulą się w kącie i będą w nim czekać, żywiąc nadzieję na lepsze czasy. Doktor Augustine już przed laty o to zadbał.

Augustine wyglądał przez okno wieżyczki i nie dał się złapać na przynętę Dickena.

- Aby zostać wybranym w Ameryce dwudziestego pierwszego wieku, wystarczy stado przerażonych owiec i wilk o miłym uśmiechu - powiedział cicho. - Mamy mnóstwo owiec. Przepraszam, pani DeWitt, czy mógłbym porozmawiać z Christopherem w cztery oczy? Proszę daleko nie odchodzić.

DeWitt spojrzała między nich, nie wiedząc, co myśleć, a potem wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Jest gorzej, niż może sobie wyobrażać ktokolwiek z nich - powiedział Augustine cichym głosem. - Chyba wystrzelono już z pistoletu startowego.

- Wspomniałeś o tym w samochodzie. Co u licha ma to znaczyć?

- Jeśli będziemy mieli szczęście, prezydent zdoła *temu zapobiec*... Nie znam jednak Ellingtona. Trzyma się na dystans, odkąd tylko został wybrany. Nie wiem, co robi.

- Zapobiec czemu?

- Jeśli sytuacja się pogorszy, gubernator pewnie zadzwoni do Waszyngtonu i poprosi o zezwolenie na oczyszczenie szkół. Wysterylizowanie ich terenu. Może poprosić o upoważnienie do zabicia dzieci.

Dicken wstał.

- Będziesz musiał mnie zastrzelić.

Augustine pokręcił głową i spojrzał mu twardo w oczy.

- Stan autonomicznej samoobrony, określony w Dyrektywie Prezydenckiej nr 298, Szara Księga Urzędu Stanu Wyjątkowego. Jej nazwa to Protokół Bezpieczeństwa Militarnego i Biologicznego, Część Czwarta. Został uchwalony siedem lat temu podczas tajnego

posiedzenia komitetu nadzorczego Senatu. Upoważnia władze stanowe do zastosowania wszelkich niezbędnych środków, zgodnych ze ściśle określonymi warunkami zagrożenia.

- Czemu nigdy mi nie powiedziano o tej dyrektywie?

- Bo wolałeś zostać żołnierzem. Treść dyrektywy jest tajna. W każdym razie przeciwstawiłem się tej ustawie jako zbyt skrajnej, ale na sali było mnóstwo przerażonych senatorów. Pokazywano zdjęcia rodziny pani Rhine, przypadki shivera w Meksyku. Widzieli twoje fotografie, Christopherze. Prezydent podpisał ustawę i nigdy nie została unieważniona.

- Czy są jakiegokolwiek szanse, aby posłuchali głosu rozsądku?

- Niemal żadne. Mimo to musimy spróbować. Wyciąg się zaczął. Musisz wziąć w nim udział, ja też. - Podniósł głos. - Pani DeWitt?

DeWitt otworzyła drzwi. Jak poprosił, nie odeszła daleko; Augustine zastanawiał się, czy czegoś nie usłyszała.

- Chciałbym porozmawiać z Tobym Smithem.

- Dlaczego? - zapytała DeWitt, jakby myśl o spotkaniu Augustine'a z chłopcem budziła w niej odrazę.

- Będziemy potrzebować ich pomocy - odparł.

- Nie byli przygotowywani na takie rzeczy - powiedział Dicken, schodząc w ślad za Augustine'em betonowymi schodami. Jego głos odbijał się echem od twardych, szarych ścian.

- Zdziwiłbyś się - stwierdził Augustine. - Do jutra potrzebujemy rozstrzygnięć. Czy to możliwe?

- Nie wiem. - Dicken był zdumiony przemianą. Widział znowu starego Marka Augustine'a, który wrócił do życia niczym polityczny zombie. Jego cera odzyskała kolory, wzrok stwardniał, pojawiła się znowu nieodłączna kiedyś zdecydowana mina.

- Jeśli do tego czasu ich nie uzyskamy, będą mogli wkroczyć i zabić nas wszystkich.

Dicken, Augustine, Middleton, DeWitt, Kelson i Toby Smith zebrali się w gabinecie Traska.

Toby stał przed Augustine'em, trzymając w jednej ręce papierowy kubek z wodą. Za nim stanęli doktor Kelson i dwaj ochroniarze, którzy pozostali w szkole. Strażnicy nosili maski chirurgiczne. Lekarz wyglądał, jakby nie troszczył się zbyt wiele o własną ochronę.

- Toby, brakuje nam ludzi - powiedział Augustine.

- No - przytaknął chłopiec.

- I mamy mnóstwo chorych, którymi trzeba się zająć. Wszyscy oni są twoimi



przyjaciółmi.

Toby rozejrzał się po gabinecie. Kwadratowe okna w metalowych ramach wpuszczały jasne popołudniowe słońce i podmuchy ciepłego powietrza, pachnącego milami zeschniętej trawy, otaczającej zespół szkoły.

- Ilu uczniów jest na tyle zdrowych, aby móc pomagać nam tutaj w pracy?

- Niedużo - odpowiedział Toby. - Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Mocno skuberowani.

- Skuberowani?

- Takie słowo - wyjaśnił Toby, patrząc na Dickena, potem rozglądając się po innych w pokoju.

- Mają mnóstwo słów - powiedziała DeWitt. - Większość jest znanych tylko w tej szkole.

- Tak sądzimy - dodał Kelson i przez rękaw podrapał się w ramię, a potem się rozejrzał, jakby sprawdzając, czy ktokolwiek to zauważył. - Czuję się doskonale - powiedział Dickenowi. - Sucha skóra.

- Co znaczy „skuberowany”? - zapytał Toby'ego Augustine.

- Nic ważnego - odparł chłopiec.

- W porządku, ale spędzimy razem wiele czasu, jeżeli z tobą jest wszystko w porządku. Pragnąłbym nauczyć się tych słów, jeśli tylko zechcesz mi w tym pomóc.

Toby wzruszył ramionami.

- Czy byłbyś w stanie zebrać grupę dzieci i przejść z nimi podstawowe szkolenie pielęgniarstwa pod nadzorem lekarzy, pani Middleton i nauczycieli?

- Pewnie tak - potwierdził Toby.

- Niektóre już starają się opiekować innymi na sali gimnastycznej i w izbie chorych - powiedziała Middleton. - Pomagają chorym dzieciom, podają im wodę.

Augustine się uśmiechnął. Ogarnął się trochę, wygładził pogniecioną koszulę i spodnie, umył twarz w służbowej łazience Traska.

- Dziękuję, Yolando. Rozmawiam teraz z Tobym i chcę usłyszeć, co on na to. Toby?

- Nie jestem najlepszy w robieniu takich rzeczy. Są ode mnie lepsi nawet wśród tych, którzy jeszcze tu zostali i się trzymają.

- Ilu ich jest?

- Może pięciu lub sześciu. Sześciu, jeśli liczyć Nataszę.

- Czy woniejesz gorączkę, Toby? - zapytała Middleton. - Czy mam znowu przypiąć saszetkę?

- Sprawdzam tylko, czy mogę, pani Middleton - odparł Toby.

Augustine rozpoznał zapach przypominający czekoladę. Toby był zdenerwowany.

- Cieszę się, że czujesz się lepiej, Toby, ale wszyscy musimy myśleć jasno.

- Przepraszam.

- Chciałbym, abyś reprezentował mnie, pana Dickena i wszystkich pracujących w szkole, dobrze? I poproś właściwe dzieci - właściwe osoby - aby utworzyły grupy chcących przejść szkolenie. Pani Middleton pomoże w nauczaniu, także doktor Kelson. Toby, czy te grupy mogą zostać zobłokowane?

Toby się uśmiechnął, jedna źrenica zrobiła mu się większa, druga się zmniejszyła. Żółte plamki na obu tęczówkach zdawały się poruszać.

- Zapewne - odparł. - Myślę jednak, że chodziło panu o to, że będziemy w stanie się obłokować. Łączyć z sobą.

- Oczywiście. Przepraszam. Czy możesz pomóc nam rozpoznać, kto poradzi sobie dobrze, a kto nie?

- Tak - powiedział Toby, bardzo teraz poważnie, ze zwiększonymi obiema źrenicami.

Augustine zwrócił się do Dickena.

- Od tego chyba powinniśmy zacząć. Nie otrzymamy żadnej pomocy z zewnątrz, nie będzie zaopatrzenia, niczego. Jesteśmy odcięci. Jeśli chodzi o dzieci, nasze wysiłki i zapasy musimy skupić na tych, którym najbardziej może pomóc to, co mamy. Dzieci lepiej od nas potrafią takie rozpoznać. Czy to jasne, Toby?

Chłopiec powoli kiwnął głową.

- Nie podoba mi się składanie takich decyzji na dzieci - powiedziała Middleton, mrużąc oczy. - Są ogromnie wobec siebie lojalne.

- Jeśli niczego nie zrobimy, umrze ich więcej. Rozejdzie się to na nowe dzieci niby pożar szerzący się koronami drzew. Chorobą można się zarazić przed oddychaniem i dotyk - drogą kropelkową.

- Co to oznacza dla nas? - zapytał doktor Kelson, patrząc między Dickena i Augustine'a.

- Nie sądzę, abyśmy złapali cokolwiek od dzieci, chyba że będziemy postępować wyjątkowo głupio - dłużyć w nosie, robić tym podobne rzeczy - odpowiedział, zerkając na Augustine'a. *Niech go licho, potrafi nas mobilizować.* - Formy kropelkowe wirusów przypuszczalnie nie są dla nas zaraźliwe.

- To ma zapach - wyznał Toby na ochotnika. - Gdy jest w powietrzu, pachnie jak sadza pokrywająca śnieg. Kiedy ktoś ma zachorować i może umrzeć, pachnie jak cytryna i szynka. Kiedy ma zachorować, ale nie umrze, pachnie jak musztarda i cebula. Niektórzy z nas pachną

jak woda i kurz. Nie zachorujemy wtedy. To dobry, bezpieczny zapach.

- A jak ty pachniesz, Toby?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie jestem chory.

Augustine złapał Toby'ego za ramię.

- Jesteś jednym z nas - powiedział.

Toby popatrzył na niego z obojętną miną, ale jego policzki zapłonęły.

- Zaczynamy - zarządził Augustine.

- To one mogą siebie uratować - powiedziała DeWitt, znajdując w tym gorzką logikę. -

Oby Bóg pomógł nam wszystkim.

## 46

### Pensylwania

Las pociemniał i zamilkł. W pokojach domku było cicho, duszno po miesiącach bez wietrzenia. Pod lampą, stojącą na stole w bawialni, Stella Nova dygotała pod koniec każdego wydechu, ale jej płuca nie były zapchane, a powietrze wciągała i wypuszczała bez ochryplego świstu, który Kaye słyszała przedtem.

Zmieniła torebkę z roztworem Ringera. Stella się nie przebudziła. Kaye pochyliła się nad córką, nasłuchując i patrząc; potem się wyprostowała. Rozejrzała się po domku, po raz pierwszy dostrzegając przytulne i ozdobne wnętrza, starannie dobrane rzeczy osobiste, należące do rodziny Mackenzie. Na stole, w srebrnej ramce z płaskorzeźbami postaci z *Kubusia Puchatka*, widniało zdjęcie George'a, Iris i ich syna, Kelly'ego, może ze trzy lata młodszego od Stelli w czasie, gdy zrobiono tę fotografię.

Dla niektórych wszystkie nowe dzieci wyglądają tak samo. Ludzie wybierają najprostsze cechy dla rozróżniania innych. Niektórzy, jak przekonała się Kaye, są właściwie jedynie trutniami społecznymi, poruszającymi się jednak jak ludzkie istoty, niczym małe automaty. Nauczenie tych ludzi, aby patrzyli na Stellę i jej podobnych bez jakiegokolwiek dyskryminacji czy z choćby odrobiną zrozumienia było rzeczą niemal wykluczoną.

Nienawidziła tej bezkształtnej ciżby, tworzącej w jej wyobraźni ciągnące się w nieskończoność szeregi bezmyślnych robotów, niczego nierozumiejących, skupiających się na krzywdzeniu, zabijaniu.

Ponownie zbadała Stellę, stwierdziła, że jej stan jest stabilny, bez oznak poprawy,

potem ruszyła w głąb domu w poszukiwaniu męża. Mitch siedział na ganku w drewnianym fotelu zwróconym w stronę jeziora, ze wzrokiem skupionym gdzieś między dwiema sosnami. W słabnącym świetle zmierzchu wyglądał na wykończonego, miał ziemistą cerę.

- Jak się czujesz? - zapytała Kaye.

- Dobrze - odparł. - Co ze Stellą?

- Odpoczywa. Gorączka się utrzymuje, ale nie jest niebezpieczna.

- To dobrze - powiedział. Zaciskał ręce na końcach kanciastych poręczy fotela. Kaye przyjrzała się tym dłoniom z nagłą i pełną czułości nostalgią. Wielkie, wystające knykcie, długie palce. Kiedyś od samego patrzenia na ręce Mitcha robiła się napalona.

- Pewnie masz rację - przyznała.

- W czym?

- Stella wyjdzie z tego. Jeśli nie dojdzie do następnego kryzysu.

Mitch kiwnął głową. Kaye popatrzyła na jego twarz, spodziewając się ujrzeć na niej ulgę. Jej mąż poprzestał na kiwnięciu.

- Możemy spać na zmianę - powiedziała.

- Nie zasnę - odparł Mitch. - Jeśli zasnę, ktoś umrze. Muszę czuwać i baczyć na wszystko. Inaczej będziesz mnie obwiniać.

Zdumiał tym Kaye, o ile w ogóle miała jeszcze dość sił na odczuwanie zdumienia.

- Przepraszam, coś ty powiedział?

- Rozgniewałaś się na mnie, że byłem w Waszyngtonie, kiedy Stella uciekła.

- Nie rozgniewałam.

- Byłaś wściekła.

- Byłam zmartwiona.

- Nie mogę cię zdradzić. Nie mogę zdradzić Stelli. Stracę was obie.

- Przestań gadać bzdury. To są brednie, Mitch.

- Powiedz mi, że nie to właśnie czułaś, bo byłem daleko, gdy to się zaczęło.

Czemu spadło na nią to brzemień? Ileż to razy przedtem Mitch bywał daleko, a Stella akurat w czasie owego wyjazdu uznawała, że nadeszła pora, aby spróbować czegoś, rzucić wyzwanie, sięgnąć po coś nowego, sprawdzić siebie?

- Byłam zestresowana - powiedziała Kaye.

- Nigdy ciebie nie winiłem. Staralem się robić wszystko, czego po mnie oczekiwałaś, być wszystkim, kim powinienem.

- Wiem - przyznała.

- Potem trochę traktowałaś mnie z wyrozumiałą wyższością. - Kiedy indziej słowa te

zabolałyby Kaye jak policzek, ale głos Mitcha był tak pełen znużenia i rozpacz, że odczuła je jak muśnięcie poruszonej wiatrem zasłony. - Twoje instynkty nie były lepsze od moich. Samo to, że jesteś kobietą i matką nie daje ci prawa, abyś... - Bezradnie machnął ręką. - Wyżywałeś się na mnie.

- Nie wyżywałam się na tobie - zaprotestował Kaye, ale wiedziała, że tak właśnie było, i w odruchu samoobrony poczuła, iż naprawdę miała do tego prawo. Mimo to zachowanie Mitcha, mówione przezeń słowa, wzbudziły w niej lęk. Nigdy nie był skory do skarg ani krytyk. Nie przypominała sobie, aby odbyli podobną rozmowę przez dwanaście lat, odkąd byli razem.

- Odbieram rzeczy równie silnie co i ty - ciągnął Mitch.

Kaye usiadła na poręczy fotela, spychając jego łokieć. Przycisnął rękę do swej piersi.

- Wiem - przyznała. - Przepraszam.

- Ja też przepraszam - powiedział. - Wiem, że nie jest to odpowiednia pora na takie rozmowy. - Oddychał urywanie. Próbował wstrzymywać łkanie. - Teraz jednak czuję się, jakbym zwijał się w kłębek i umierał.

Kaye pochyliła się, aby pocałować go w czubek głowy. Twarz miał chłodną i twardą pod jej palcami, jakby był już w innym miejscu, umarł dla niej. Serce zaczęło bić jej szybciej.

Mitch odchrząknął.

- W głowie odzywa mi się głos powtarzający bez przerwy: „Nie nadajesz się na ojca”. Jeśli to prawda, pozostaje mi tylko umrzeć.

- Ciii... - Kaye uciszała go z ogromną rozwagą.

- Jeśli pójdę spać, pozwolę, aby coś nastąpiło. Małe pęknięcie. Coś się przez nie wkradnie i zabije moją rodzinę.

- Do diabła z tym - powiedziała, znowu cichutko, łagodnie, jakby mógł się rozpaść od jej oddechu. - Jesteś twardy. Poradzimy sobie. Stella wyzdrowieje.

- Jestem wykończony. Przełamany.

- Ciii, proszę. Jesteś silny. Wiem o tym i przepraszam, jeśli postępowałam głupio. Tak już jest, Mitchu. Nie bądź zbyt surowy dla nas obojga.

Kręcił głową, wyraźnie nieprzekonany.

- Chciałbym, abyś mnie otuliła - powiedział głuchym głosem. - Połóż mnie do tego wielkiego łóżka, zaciągnij kołdry z falbankami, pocałuj w policzek i życz mi dobrej nocy. Na jakiś czas to mi pomoże. Obudź mnie tylko, gdy coś będzie ze Stellą albo gdy będziesz mnie potrzebowała.

- Oczywiście. - Kaye poczuła ogromny smutek, gdy podniósł głowę i spojrzał jej w

oczy.

- Nieustannie się staram - powiedział. - Oddaję wam obu wszystko, co mam, cały czas.

- Wiem.

- Bez ciebie i Stelli jestem martwy. Wiesz o tym.

- Wiem.

- Nie łam mnie, Kaye.

- Nie będę. Obiecuję.

Wstał. Kaye wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni, jakby był przestraszonym chłopcem albo starym, stareńkim człowiekiem. Odsunęła kołdrę, koc i górne prześcieradło. Mitch rozpiął koszulę, zdjął spodnie i stanął zagubiony obok łóżka.

- Połóż się i trochę odpocznij - powiedziała.

- Obudź mnie, jeśli Stelli się pogorszy - poprosił Mitch. - Chcę ją zobaczyć i powiedzieć, że ją kocham. - Popatrzył na nią nieostrym wzrokiem. Kaye otuliła go pościelą, serce tłukło jej się w piersi. Pocałowała męża w policzek. Nie wyczuła łez, twarz miał zimną i twardą jak kamień, cała krew Mitcha odpłynęła gdzieś daleko, niosąc go w miejsca, do których ona nie mogła dotrzeć.

- Kocham cię - powiedziała. - Wierzę w ciebie. Wierzę w to, co robimy.

Skupił na niej spojrzenie i poczuła się zawstydzona władzą, jaką miała nad tym wielkim, silnym mężczyzną. Krew wróciła na jego twarz, a usta ożyły pod jej wargami.

Potem, jakby wyłączono światło, zasnął.

Kaye stała przy łóżku, szeroko otwartymi oczyma patrząc na Mitcha. Miała wrażenie, że jej pierś ściskają stalowe obręcze. Była przerażona, jakby pędziła samochodem, wioząc ich ku przepaści. Czuwała nad nim, dopóki mogła, potem odeszła sprawdzić, co u Stelli. Złościła się na ten wybór między mężem i córką, ale w końcu rozum i charakter wzięły w niej górę i zrobiła kilka kroków, przechodząc do bawialni.

Domek był pogrążony w całkowitej ciemności.

- Co?

Kaye usiadła na podłodze. Zasnęła przy Stelli, od twardego drewna oddzielał ją tylko rozłożony śpiwór, a teraz miała silne wrażenie, że oprócz niej i córki w pokoju jest ktoś jeszcze.

Nie był to Mitch. Przez drzwi sypialni dostrzegała okryty kocem wzgórek jego stóp.

- Kto tam? - szepnęła.

Na dworze świerszcze i żaby, w domku bzyczenie wielkich much.

Zapaliła lampę na stole, po raz setny zbadła córkę, stwierdziła, że gorączka spadła, oddech stał się bardziej regularny.

Zastanawiała się nad przeniesieniem Stelli do drugiej sypialni, ale musiałaby zabrać także hak, na którym zawiesiła torebkę z roztworem Ringera, a córka leżała chyba wygodnie na śpiworze, równie wygodnie, jak byłoby jej w łóżku.

Kaye popatrzyła na Mitcha. On też spał spokojnie. Przez kilka minut stała w krótkim, wąskim korytarzu, potem oparła się o ścianę.

- Jest lepiej - powiedziała w ciemność. - Musi być lepiej.

Odwróciła się nagle. Przez chwilę sądziła, że dostrzega kogoś w sieni, kogoś kochanego i znajomego. Swojego ojca.

*Tata nie żyje. Mama nie żyje. Jestem sierotą. Cała rodzina, którą kocham, jest w tym domu.*

Potarła czoło i kark. Mięśnie mocno się jej napięły, nie tylko od spania obok Stelli na drewnianej podłodze. Zatoki miała zapchane, jakby płakała. Wrażenie było osobliwe, ale nie nieprzyjemne; skutek uboczny jakiegoś głęboko pogrzebanego uczucia.

Potrzebowała świeżego powietrza. Ponownie obsesyjnie zbadła Stellę; przyklękła, aby dotknąć czoła córki i sprawdzić jej puls, potem okrążyła kanapę, wyszła drzwiami prowadzącymi na ganek, po stopniach i ścieżką przez trawę ruszyła na pomost dla łodzi.

Pomost miał trzydzieści stóp długości i dziesięć szerokości, był śmiesznie duży jak na tak małe jezioro. Leżała na nim jedna przewrócona kilem do góry łódka na wiosła i stos spleśniałych kamizelek ratunkowych. Żdźbła traw przebijały się przez nie, lśniąc w świetle księżyca.

Kaye stanęła na końcu pomostu z założonymi na piersiach rękoma. Wchłaniała noc. Świerszcze grały, wyrażając natężenie swego pożądanego, żaby seksownie, z obcą godnością kumkały w ciemnościach, w trzcinach. Komary bzyczały swe rozpaczliwe, ciche śpiewki.

- Czy ktoś z was wie, jak to jest być smutnym? - zapytała jezioro i jego mieszkańców, a potem obejrzała się na dom. - Czy czujecie smutek, kiedy wasze dzieci są chore? - Pojedyncza lampa w bawialni płonęła złotym blaskiem przez okna ganku.

Zamknęła oczy. Przeszło coś wielkiego, dopełniającego więzi... coś ogromnego, co ogarnęło jezioro, las - dotykając wszystkich żywych istot wokół niej.

Żaby zamilkły.

I dotykając jej.

Kaye podskoczyła, jakby ktoś się przedzierał przez cienką drewnianą ścianę, jej

ramiona się uniosły, palce napięły. - Halo? - szepnęła.

Najbliżsi sąsiedzi byli co najmniej milę dalej, przy drodze, za gęstymi lasami. Niczego nie widziała, niczego nie słyszała.

- Jejku - powiedziała i od razu poczuła się głupio. Rozejrzała się po jeziorze, porośniętych trzciniami cieniach, szukając źródła innego głosu, choć nikt nic nie mówił. Trzciny były puste. Nad jeziorem zalegała cisza, nie zakłócał jej nawet podmuch wiatru. Noc była tak spokojna, że Kaye słyszała serce bijące jej w piersi.

Coś jej dotknęło, nie skóry, lecz czegoś głębiej. Najpierw uświadomiła tylko sobie, że nie jest sama. Pomost, na którym stała bosą, dzieliła teraz z kimś równie realnym jak ona - kimś równie oczekiwanym i dziwnie znajomym, jak bardzo lubiany przyjaciel.

Poczuła, że spada z niej brzemień noszone od lat. Przez chwilę pławiła się w gorącej uldze ostatecznego ulaskawienia.

*Nie ma sądu. Nie ma kary.*

Zadygotała. Przesunęła językiem po wargach. Miała wrażenie, że po głowie spłynęła jej strużka srebrzystej wody. Strużka przeszła w potoczek, potem ciągły strumień płynący od karku na pierś. Był chłodny, pulsujący i czysty, jakby z obezwładniającego upału letniego dnia weszła w tryskające źródło. To źródło jednak mówiło, choć nigdy słowami. Miało szczególnie i wyraźny aromat, niby upajające kwiaty.

Było żywe i nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że wie o nim wszystko. Jakby molekuly połączyły się wreszcie, tworząc całość - choć nie. To nic biologicznego. Jest czymś innym.

Dotknęła czoła.

- Czy dostałam udaru? - szepnęła. Dotknęła palcami ust. Próbowały wygiąć się w uśmiech. Wyprostowała je. - Nie mogę być słaba. Nie teraz. Kto tam? - powtarzała, jakby odprawiała niepotrzebny obrzęd.

Znała odpowiedź.

Przybysz, wołający, nie miał rysów, był bez twarzy i postaci. Mimo to, obcując z tym chłodnym uosobieniem dobroci i piękna, miała jakby przy sobie wszystkie swe babcie, wszystkich dziadków, wszystkich mądrych, miłych, cudownych i silnych członków rodziny, których nigdy nie spotkała, miała wszystkich naraz, obdarzających ją bezwarunkową miłością i uznających za swoją, jakby była niemowlęciem, które tulą w chroniących przed światem ramionach. Czuła aż tyle i dużo więcej.

Ale wołający, jednocześnie łagodny i niewiarygodnie mocny, nie był wcale członkiem jej rodziny.



- Proszę, nie teraz - błagała. Z ulgą przyszedł strach, że pęka wątku nie łącząca ją z rzeczywistością. Znała wołającego, choć długo temu przeczyła i unikała go; ten się jednak nie gniewał, nie obrażał. Jedyłą jego odpowiedzią na odrzucanie od dawna była bezwarunkowa życzliwość.

A przecież, czy nie było także trwogi? Wołający zdradzał nadzwyczajną tęsknotę za dotykiem i ukazywaniem się, choć było to sprzeczne ze wszystkimi zasadami, niebezpieczne. Wołający wielce ujmująco t ę s k n i ł.

Kaye nagle otworzyła usta i wpuściła do płuc powietrze. Zabawne, na chwilę przestała oddychać. Zabawne, i wcale niebudzące lęku; jak osobisty żart.

- Cześć - powiedziała z wydechem, opuszczając ramiona i uspokajając się, odsuwając wątpliwości i przyjmując to odczucie. Pragnęła, aby trwało tak wiecznie. Wiedziała już, że to niemożliwe. Powrót do życia, jakie wiodła zaledwie kilka minut temu, całego jej wcześniejszego życia, będzie bolesny.

Wiedziała jednak, że ból jest konieczny. Świat jej nie popuści, a wołający chce, aby miała pełną swobodę w dokonywaniu wyborów bez jego uzależniającego wpływu.

Poszła do domu, aby zbadać śpiącą Stellę i zajrzeć do Mitcha. Oboje leżeli spokojnie. Kolory Stelli chyba się nasiliły. Na jej policzkach pojawiły się smugi cętek. Kryzys niewątpliwie minął.

Kaye wróciła na pomost i stała na nim, patrząc na las o wczesnym poranku, żywiąc nadzieję, że nigdy nie opuści jej ten urok, spokój. Pragnęła tego wszystkiego, teraz i na zawsze. Za wiele jest rozpaczy, bólu i lęku.

Pomimo jednak własnych pragnień Kaye zrozumiała.

*Nie można iść teraz. Jeszcze nie. Mile do pokonania, zanim zasnę.*

Potem straciła poczucie czasu.

Świt pojawił się na wschodzie, po drugiej stronie drzew, niby szary aksamit w blasku świecy.

Stała przy przewróconej łodzi, drżąc. Ile czasu minęło, odkąd wróciła na pomost?

Nic nie mówiąc, uosobienie przez godziny przepłukiwało jej duszę (nie była zadowolona z tego słowa, ale tak właśnie było), obmywając i odświeżając zakurzone myśli i wspomnienia, aż wyłoniły się na nowo w rzeczywistym, ludzkim czasie. Gdziekolwiek płynęło, doznawała jego niezmaconej niczym błogości.

Uznało ją za bardzo dobrą.

- Czy Stella wyzdrowieje? - zapytała Kaye głosem cichym niczym głos dziecka kryjącego się w cieniu drzew. - Czy wszyscy znowu będziemy razem i wszystko będzie dobrze?

Nie nadeszła żadna odpowiedź na owe szczegółowe pytania. Wołający nie dbał o wiedzę jako taką, ale nie był urażony, że pytania zostały zadane.

Nigdy nie wyobrażała sobie takiej chwili, takiego związku. Kilka zaledwie razy zastanawiała się w ogóle, jakie może być owo doświadczenie, jako dziewczynka odczuwała to jako winę i grzmot, oskarżenia, przydzielanie uciążliwych zadań: chwilę rozpaczliwego oszukiwania siebie, usprawiedliwiania lat niewiedzy i chybionej wiary. Nigdy nie wyobrażała sobie czegoś równie prostego. Na pewno nie tego nasilonego, acz zabawnego narastania przyjaźni.

Nie ma sądu. Nie ma kary.

I nie ma odpowiedzi.

*Nie prosłam się o to. To ciało modliło się swymi rozpaczliwymi modlitwami, nie ja.*

Jej świadomy i rozpoznający umysł, skupiający się głównie na rzeczach praktycznych, niby przełożona szkoły w wykrochmalonych spódnicach, przypatrująca się surowo życiu Kaye, powiedział jej: Bawisz się w seans spirytystyczny z własnym mózgiem. To nie ma sensu. Skutkiem mogą być tylko kłopoty.

A potem, jakby wykrzykując rodzaj przekleństwa, napięty i dojrzały głos Kaye poleciał do drzew: Doznałaś epifanii.

Świerszcze i żaby w odpowiedzi zaczęły znowu swój harmider.

Konflikt stał się wreszcie zbyt mocny. Powoli opadła na pomoście na kolana, czując, że niesie cenny ładunek, którego nie może uronić. Pochyliła się i położyła dłonie na nierównym, podniszczonym drewnie.

Musiała się położyć, aby nie upaść. Po długim, powolnym wydechu Kaye wyprostowała nogi.

**47**

**Ohio**

Augustine podzielił ich na dwa zespoły, w pierwszym było ośmioro uczniów, w drugim siedmioro. Zespół Toby'ego pracował jako pierwszy, od dziesiątej wieczorem do trzeciej nad ranem. Nauczyciele i pielęgniarki przenosili wybrane przez zespół dzieci na boisko, kładli je

w rzędach pod niebieskim blaskiem lamp na wysokich słupach, w ciepłym powietrzu wczesnego poranka.

W milczeniu - poprzestając jedynie na dotyku otwartych dłoni i powąchaniu się nawzajem za uszami - Toby przekazał swe obowiązki dziewczynce o imieniu Fiona i pierwszy zespół legł na pryzkach ustawionych w gabinecie Traska.

Fiona i inni z drugiego zespołu ruszyli za Augustine'em, zeszli na parter po stalowych schodach.

Fiona i pozostała szóstka do świtu pomagali Augustine'owi w dokonywaniu wyboru w pozostałych budynkach, podchodzili do każdego dziecka leżącego na łóżku lub pościeli rozłożonym na betonowej bądź drewnianej podłodze, na pryzkach w dawnych celach i sypialniach; pochylali się i wachali powietrze nad głowami chorych, pokazując palcem albo dwoma, kto jest najsilniejszy, kto przypuszczalnie przeżyje do następnego dnia.

Jeden palec oznaczał, że dziecko najpewniej umrze.

Po ośmiu godzinach pracy, gdy przebadano tak około sześciuset chorych, począwszy od będących w najgorszym stanie, dzieci z obu zespołów były milczące i zmęczone.

Zgłosiły się więc następne dzieci, tworząc trzeci, czwarty i piąty zespół. Toby nie miał nic przeciwko temu, podobnie jak i Augustine.

Kiedy dwa pierwsze zespoły spały, nowe przebadały kolejne dziewięćset dzieci, oddzielając czterysta; większość z nich była w stanie przejść samodzielnie z nauczycielami na boisko, gdzie zostały przydzielone do starych namiotów oznaczonych napisem „Nadmiar więźniów”.

Jeszcze po dziesiątej rano dzieciaki pracowały z pozostałymi nauczycielami, pielęgniarkami i ochroniarzami - najdzielniejszymi z dzielnych - przenosząc ciała owinięte w prześcieradła lub włożone do ostatnich pozostałych worków na zwłoki, a nawet do podwójnych worków na śmieci, w najdalszy zakątek pod płotem, na parking pracowników, gdzie składano zmarłych pomiędzy nielicznymi, rzadko rozstawionymi samochodami.

Middleton pracowała nad takim przestawieniem wyposażenia pomieszczeń, aby móc urządzić kostnicę w głównej sali gimnastycznej, przylegającej do izby chorych. Do jedenastej usunięto ciała z parkingu, zabierając je ze słońca.

Augustine oszacował, że mają może dziesięć lub piętnaście godzin, zanim zmarli staną się prawdziwym utrapieniem, a dwadzieścia, zanim staną się zagrożeniem dla zdrowia.

W południe Augustine zachwiał się i padł, na wpół oślepy z wyczerpania, między szeregami namiotów dla więźniów. Dzieci z pomocą DeWitt zaniósł go do izby chorych.

DeWitt nakarmiła tam Augustine'a odrobiną zupy z puszki, podała trochę wody.

Powiedział, że czuje się lepiej, i wyszedł z wypoczętym pierwszym zespołem.

Przez cały poranek i popołudnie ich harówkę obserwowały z kamiennymi obliczami szeregi członków oddziałów Gwardii Narodowej patrolujących teren za zewnętrznymi ogrodzeniami z drutu kolczastego.

O drugiej po południu Augustine ponownie musiał wskutek zmęczenia pójść do gabinetu, by się położyć. Dicken wyłonił się z laboratorium badawczego, niosąc kolejną torbę pełną zestawów próbek, i dołączył do niego.

Czwórka dzieci, pracujących w zespołach, spała w rogu, obejmując się nawzajem i lekko pochrapując.

Dicken popatrzył na swego byłego szefa. Augustine dygotał, ale jego twarz utraciła nieobecny wyraz charakterystyczny dla osób pokonanych.

- Jesteś zdumiewający, Mark - przyznał Dicken.

- Nie bardzo - wychrypiał Augustine. Dotknął gardła. - Przepraszam. Straciłem głos. Jak idzie praca w laboratorium?

- Twoja kolej - odparł Dicken i pochylił się, aby pobrać mu krew. Gdy skończył, kazał Augustine'owi przesunąć językiem po plastikowej szpatułce i schował ją do torebeczki z tworzywa sztucznego.

- Macie już coś? - spytał Augustine.

- Nadal pobieramy próbki od pracowników.

- A co dalej?

- Idę z Tobym na boisko. Zastąpimy cię na razie. Taki stary drań jak ty nie może postępować humanitarnie zupełnie sam.

Augustine przytaknął.

- Nawrócenie się Szawła. Idźcie już - dodał z udawaną pobożnością i nakreślił nad nimi znak krzyża.

Dicken się przeciągnął. Całe ciało mu zeszywniało.

Augustine przewrócił się w łóżku na bok.

- Nie robię tego z czystego miłosierdzia, przyznaję - szepnął. Dicken pochylił się, aby pochwycić ciche słowa. - Postępowałem wrednie, Christopherze. Grałem pewną kartą, choć przysiągłem, że nigdy więcej jej nie użyję, aby wręczyć moim - a raczej naszym - wrogom linę, której potrzebowałem, aby ich powiesić.

- Jaką kartą? - zapytał Dicken.

- Nadal jestem draniem, Christopherze. Ale zacząłem je rozumieć.  
- Dzieci?  
- Wszystkie nasze miłutkie albatrosiątka.  
- Szczęściarz z ciebie - powiedział Dicken. Włosy zjeżyły mu się na karku, gdy się odwracał, aby odejść.

**48**

## **Pensylwania**

Słońce tkwiło wysoko na niebie, kiedy Kaye uniosła głowę. Mogła przespać kolejną godzinę bądź dwie; nie pamiętała.

Leżąc na pomoście, przekreśliła się na plecy.

Przeszło, pomyślała. To był sen. Albo gorzej.

Wstała i otrzepała dzinsy, pogodzona z oczekiwanym odczuciem smutku. Powinna dać się zbadać. Było tyle stresów... Nos i czoło nadal miała zapchane. Czy to objaw zatoru, albo może tętniaka? Czy wirusy kłębią się w jej głowie, przenosząc sygnały z jednej strony mózgu na drugą? Czy doszło do zwarcia?

Odwróciła się, aby wzdłuż pomostu spojrzeć na dom, zrobiła krok...

I pisnęła jak zaskoczona myszka. Wyciągnęła ramiona.

Obecność była w niej nadal. Spokojna, błoga, inna; cierpliwa i rzeczywista. Kaye czuła jednocześnie ulgę i przerażenie.

Pobiegła do domku. Mitch klęczał przy Stelli na podłodze. Podniósł wzrok, gdy weszła drzwiami prowadzącymi z ganku. Włosy miał zmierzwiłone, a twarz przypominała zmięty dywanik.

- Chyba przeszła jej gorączka - powiedział, wpatrując się w oblicze Kaye. Drżały mu brwi. - Plamy są mniejsze. Na pupie zupełnie zniknęły.

Stella przekreśliła się na posłaniu, jej policzki odzyskały więcej kolorów. Śpiwór zniknął, zamiast niego Mitch rozłożył nadmuchiwany materac, a na nim jasnożółte prześcieradło i żółtozielony koc.

Kaye patrzyła na nich oboje. Ręce zwisały jej wzdłuż boków, ramiona opuściła.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Mitch.

Stella przetarła oczy i wyciągnęła ręce do Kaye. Gdy zetknęły się ich palce, Kaye podeszła i chwyciła rękę córki.

- Pachniesz inaczej - powiedziała Stella.

Kaye pochyliła się i objęła córkę tak mocno, jak tylko się ośmieliła.

- Znowu zasnęła. - Mitch dołączył do Kaye w małej, czystej kuchni domku. - Wygląda lepiej, przyznasz?

- Tak. Znacznie. - Kaye przygryzła wewnętrzną część wargi i popatrzyła na męża. - Mackenzie zostawili duży wybór herbat - powiedziała, otwierając pudełko z herbatami, skołowana i zrozpaczona

Mitch odwzajemnił jej wzrok, cierpliwy, lecz zmęczony.

- Czy potrzebuje więcej lekarstw?

- Nie boli jej szyja. Nie boli jej głowa. Nie gorączkuje. Wyjęłam igłę, bo wypła trochę soku pomarańczowego. Nie sędzę, aby potrzebowała więcej środków przeciwwirusowych.

- Zmoczyła śpiwór.

- Wiem. Dziękuję, że go zmieniłeś.

- Byłaś na pomoście. Spałaś.

Kaye przez okno kuchni wyjrzała na pomost, teraz jasno oświetlony w pełnym słońcu.

- Powinieneś był mnie obudzić.

- Wyglądałaś tak błogo. Przepraszam, jeśli wieczorem gadałem jakieś bzdury.

- Ty? - Roześmiała się i pogrzebała w pudełku z herbatami w torebkach, wyjęła kilka leżących luzem, potem ze stojaka nad oknem kuchennym wzięła dwa kubki. Na jednym widniał napis:

„Pocałuj klauna, wiesz, że chcesz”. Drugi był ze Smith College, ze złotą odznaką przedstawiającą bramę na granatowym tle. - Żadnych - szepnęła i napełniła wodą czajnik. Gdzieś zaczęła szemrać pompa, woda trysnęła z kranu, potem popłynęła równym strumieniem. Kaye przesunęła przez niego rękę, rozkładając palce w chłodzie.

*Zupełnie żadnych.*

- Co z nami, Kaye? - zapytał Mitch, stając za nią przy zlewie.

- Stella wyzdrowieje - odpowiedziała Kaye, zanim zdążyła pomyśleć.

- Co z nami, Kaye?

Kaye sięgnęła za siebie i chwyciła dłoń Mitcha. Ostatnio rzadko w ogóle dotykała męża. Oddalał się zbyt mocno i oczywiście zbyt często.

Musiała wyglądać na zrozpaczoną i zagubioną. Ale jej odczucia były bardzo, bardzo fizyczne.

Mitch przyciągnął ją blisko. To on zawsze robił pierwszy krok; jedynym wyjątkiem był ten, który przyniósł Stellę. Mitch miał opory, martwił się o Kaye, albo może po prostu przejmowała go strachem myśl o zostaniu rodzicem nowego rodzaju istot ludzkich. Byli wtedy tak w sobie zakochani. Kłopot polegał na tym, że Kaye nie mogła teraz z pełnym przekonaniem udzielić odpowiedzi na pytanie Mitcha, gdyż jej nie znała.

Miłość nie minęła. Jakiego rodzaju miłość?

- Będzie lepiej - powiedziała w jego ramię. - Na pewno będzie lepiej.

- Nie powinni na nas polować - stwierdził z chłopięcą stanowczością z poprzedniego wieczoru.

- Nie sądzę, abyśmy mieli na to jakikolwiek wpływ.

- Nie zostaniemy tu długo. - Wyrzał przez okno na zalane słońcem las i pomost. - To takie piękne miejsce. Nie ufam mu.

- Jest piękne. Czemu nie mamy zostać tu trochę? Mackenzie nigdy nikomu nie powiedzą.

Mitch pogładził dłonią jej policzek.

- Ich syn jest w obozie. Dzieci w obozach chorują.

Kaye ściągnęła brwi. Nie mogła nadażyć za jego rozumowaniem.

- Mark Augustine szuka ciebie, nas. Czeka na odpowiednią chwilę, aby nas zgarnąć.

Choroba wywołuje u ludzi wielki lęk. To właściwa chwila.

Kaye mocno ścisnęła jego przedramię, jakby karząc go za te słowa.

- Au - rzucił.

Złagodziła uchwyt.

- Musimy zapewnić Stelli spokój i dobre warunki. Powinna odpoczywać co najmniej kilka dni. Nie może leżeć w podskakującym jeepie.

- No dobrze - powiedział.

- Zostaniemy tutaj. Czy to możliwe?

- Musi być - odparł Mitch.

Kaye złożyła głowę na piersi Mitcha. Jej oczy straciły ostrość, a potem się zamknęły.

- Nadal śpi? - zapytała.

- Sprawdźmy - powiedział i poszli razem do saloniku.

Spała. Kaye wzięła Mitcha za rękę i zaprowadziła go do sypialni. Rozebrali się, a Kaye odrzuciła z łóżka pościel, odsłaniając całkowicie prześcieradło.

- Potrzebuję cię - powiedziała.

Jej palce i usta pachniały listkami herbaty.

**Ohio**

Dicken przygotował i rozstawił siedemdziesiąt zestawów próbek. Użył chusteczki Kim Wipe, aby usunąć z oczu piekący pot. Poczucie braku czasu było przemożne, ale przeszkadzało w pracy. Przyspieszanie jej nie dałoby dobrych wyników. Byłoby to gorsze, niż gdyby w ogóle niczego nie czynił.

Trudził się dziewięć godzin bez przerwy, najpierw rozdzielając i klasyfikując próbki według ich nalepek i własnych notatek, potem przygotowując je dla zautomatyzowanego sprzętu laboratoryjnego. Praca ręczna polegała głównie na przygotowywaniu próbek i ich ustawianiu, zanim trafią do przyrządów.

Kiedy był studentem, przyrządy dokonujące reakcji łańcuchowej polimerazy miały wielkość sporych walizek. Teraz mógł je trzymać wewnątrz dłoni. Na półkach mieściły się aparaty, które piętnaście lat temu wypełniałyby całkowicie spory budynek.

Oligonukleotydy - króciutkie, lecz bardzo charakterystyczne odcinki DNA, naniesione na każdą kwadratową komóreczkę chipów tworzących matrycę całego genomu - łączyły się z uzupełniającymi je odcinkami RNA podlegającymi ekspresji w komórce, w tym także z genami wirusów, jeśli występowały, a następnie wyróżniały je znacznikami fluorescencyjnymi. Skanery zliczą znaczniki i wskażą ich przybliżone położenie w sekwencji chromosomu.

W przygotowanym zestawie drobnych fragmentów serologicznych sekwencery pomnożą liczbę wszystkich wirusów w próbkach i zanalizują ich ścisły kod genetyczny. Proteomizery sporządzą listę wszystkich białek znalezionych w badanych komórkach - zarówno wirusowych, jak i gospodarza. Następnie Ideator dopasuje te białka do otwartych ramek odczytu sekwencjonowanych genów.

Wszystko razem da Dickenowi schemat rozwoju choroby na poziomie komórkowym.

Wklepał polecenia do serwera obsługującego maszyny w laboratorium. Na szczęście udało się odgadnąć kod zapewniający dostęp do tego komputera. Dicken próbował różnych kombinacji słów JURIE i ARAM, aż wreszcie wpisał ARAMJURIE#1 i to hasło okazało się właściwe.

Laboratorium wypełnił szum i cichutkie trzaski, najpierw z prawej strony, potem z lewej. Dicken wstał i sprawdził postępy pracy na rurczkach z tworzywa sztucznego, wsuwających się kolejno po metalowych szynach do wydętych, maleńkich ust białych i



srebrnych maszyn. Musiał podziwiać sposób, w jaki doktorzy urządzili laboratorium. Było ekonomiczne, sprzęt rozstawiono jak należy, z gładkim przechodzeniem od jednego zadania do drugiego.

Jurie i Pickman znali się na swej robocie.

Mimo to łowcy wirusów, uciekający przy pierwszych oznakach choroby, nie byli zbyt szanowani przez kolegów. Najprawdopodobniej Jurie i Pickman nigdy nie polowali na wirusy w warunkach polowych. Zachowywali się raczej jak jaszczurki laboratoryjne, wyblakłe z braku tropikalnego słońca, zmykające tchórzliwie, gdy staną przed swą prawdziwą zdobyczą.

Przez chwilę Dickena przeszedł dreszcz. Jakże był głupi, że nie pomyślał o tym wcześniej. Jurie i Pickman wykonali już swą pracę, odkryli wyniki; to dlatego uciekli. Wyniki były bardzo złe!

Dicken nie odnalazł jednak nigdzie w laboratorium najmniejszego śladu po zestawach próbek. Sprzęt był niemal nieużywany, wprost lśnił nowością.

Dreszcz przeszedł, ale powoli.

Po godzinie wcisnął na klawiaturze klawisz spacji, aby wyłączyć wygaszacz ekranu. Migający na monitorze zielony pasek z napisem „Eureka!” oznaczał, że wyniki już są. Pokazały się najpierw jako miniaturki tworzące tablicę, a potem, na polecenie Dickena, jako pokaz slajdów.

Z ponurym zadowoleniem Christopher odkrył, że z krwi i śliny wszystkich zarażonych dzieci wyizolował zrekombinowaną odmianę wirusa RNA pozbawionego otoczki, w stężeniach wystarczających, aby wskazywały na zmasowaną infekcję. Miana natężenia żadnych innych wirusów nie były równie znaczne.

Od początku, na widok ranek na policzkach i zapalenia jamy ustnej, Dicken podejrzewał zakażenie wirusem Coxsackie typu A, gdyż było wiadomo, że powoduje on większość objawów występujących u chorych dzieci SHEVY. Szczep ten rzadko jednak wywoływał choroby śmiertelne. Natomiast Coxsackie typu B wywoływał czasami u niemowląt i dzieci zapalenie mięśnia sercowego. Według doktora Kelsona zapalenie mięśnia sercowego było możliwą przyczyną fali zgonów. „To potężne uszkodzenie tkanki - powiedział. - Serce po prostu staje”.

Wirusy Coxsackie typu A i B rozprzestrzeniają się zwykle poprzez kontakt z kałem albo wymianę śliny. Dicken nie znał żadnych udokumentowanych przykładów rozprzestrzeniania się ich przez skórę albo drogą powietrzną - poprzez kropelki wilgoci z oddechu czy kichania - ani przez osady pozostawiane na powierzchniach, a przecież takie formy przenoszenia były konieczne, aby wyjaśnić tak gwałtowny i wszechogarniający

wybuch choroby.

Coś się zmieniło. Coxsackie A lub B, bądź oba te szczepy, nagle zaczęły się łatwiej rozprzestrzeniać, trafiając do odrębnej grupy ludności, która dotychczas nie była wrażliwa na większość znanych wirusów dziecięcych.

Teraz, gdy Dicken poznał rodzaj wirusa, mógł się skupić na pochodzeniu choroby i jej etiologii - jak się przekształcała, rozprzestrzeniała i gdzie należałoby się spodziewać jej następnego pojawienia.

Wpisał żądanie wyników liczbowych dla każdego zestawu próbek ze wskazaniem poszczególnych osób i ich danych. Komputer przygotował tabelę, ale była skomplikowana i trudna do ogarnięcia.

Dicken wziął kartkę i zaczął wpisywać wyniki w ulubiony przez siebie schemat. Małym flamastrem narysował na papierze trzy wielkie koła. Pierwsze opisał literą D, co oznaczało dzieci. Wewnątrz umieścił mniejsze koło, oznaczone DZ, czyli dzieci zarażone. Na zewnątrz pierwszego dużego narysował drugie i oznaczył je DN, czyli dzielnych nauczycieli i pozostałych pracowników.

Trzecie koło opisał literą Z, od zdrajców, którzy uciekli.

Wybrał czerwony pisak i zaczął wpisywać numery identyfikacyjne próbek oraz oznaczać je + lub -, zależnie od występowania wirusa. Umieszczał je w odpowiednich kołach. Dwa z nich szybko zapełniały się numerami i oznakami obecności wirusa. Na razie nie było żadnych numerów w kole Z - zostawił tę możliwość na wypadek, gdyby stały się dostępne dane z zewnątrz.

Zaznaczał miejsca bliskości osób albo rzeczywistego ich kontaktu, co zapewne oznaczało możliwość przekazywania sobie wirusa. Wyłaniający się wzór był już wyraźny, ale Dicken nie chciał jeszcze wyciągać wniosków. Nie ufał intuicji ani instynktowi. Polegał na twardych faktach, niepodważalnych powiązaniach i powtarzających się korelacjach.

Rozmieszczył wyniki w drugi sposób, w wierszach i kolumnach. Kiedy zakończył sporządzanie wykresu, narysował nową tablicę, w odwrotnej kolejności, i wypełnił jej pola uporządkowanymi numerami.

Zakończył pracę i zaczął stukać końcem długopisu w kolumny, schodząc w dół, potem wspinając się w górę, kreśląc flamastrem w prawo przez całe wiersze, oznaczając kolorem skojarzenia.

Bez względu na sposób postępowania wzór był wyraźny.

Przebywające w skrzydle specjalnego traktowania dzieci, które przez dłużej niż trzy dni nie miały styczności z nauczycielami ani pozostałymi uczniami, nie złapały wirusa.

Ośmioro było w izolatkach, zostały tam pozostawione, kiedy ewakuowano pracowników. Troje zmarło, ale wszystkie ich próbki wykazały brak wirusa.

Pięć godzin wcześniej Middleton zadzwoniła do laboratorium, aby powiedzieć Dickenowi, że jedno z ocalonych dzieci zachorowało, a według Kelsona dziewczynka najprawdopodobniej umrze. Niemal na pewno zaraziła się po jej „uratowaniu”.

Dicken wziął próbki od sześciorga dzieci, które uciekający nauczyciel zamknął w pomieszczeniu z prysznicami, odnalezionych dopiero przed dwoma dniami. Jedno zmarło z braku niezbędnego mu lekarstwa. Żadne przez ostatnie czterdzieści osiem godzin nie miało styczności z nauczycielami ani pracownikami. Ich próbki wykazały brak wirusa.

DeWitt i Middleton rozpoznały pięćdziesięcioro dzieci, o których wiedziały, że w ciągu ostatnich sześćdziesięciu godzin miały bliskie kontakty z nauczycielami i pracownikami. Spośród nich czterdzieścioro zachorowało, a dwadzieścioro zmarło. Wszystkie ich próbki wykazały obecność wirusa. Jakimś sposobem dziesięcioro zdołało uniknąć zarażenia.

Dicken przejrzał wyniki dla dwudziestu dwóch nauczycieli, pracowników i ochroniarzy. Wszyscy w ubiegłych czterdziestu ośmiu godzinach mieli ciągłą styczność z zarażonymi dziećmi. Byli wyczerpani, zestresowani, znużeni. U sześciu osób - czterech pielęgniarek z głównego zespołu, nauczyciela ze skrzydła specjalnego traktowania i u psycholog szkolnej, DeWitt - test na obecność wirusa dał wynik pozytywny, ale w niskich stężeniach w porównaniu z zarażonymi dziećmi. Żadna z nich nie wykazywała objawów zakażenia.

Ani on sam, ani Mark Augustine nie mieli wirusa.

Dicken raz jeszcze przyjrzał się wykresowi. Wnioski były niepodważalne.

Objawy występują tylko u zakażonych dzieci SHEVY.

U dzieci SHEVY, które ostatnio nie kontaktowały się z dorosłymi, badania nie wykazały obecności wirusa, nie miały też objawów choroby.

Zarażanie dorosłych przez dzieci nie następowało ze zbyt dużą skutecznością, jeśli w ogóle zachodziło; a jeśli się zdarzało, to nie powodowało zachorowania dorosłych.

Dzieci natomiast prawdopodobnie zakażały dzieci, ale łańcuch ten rozpoczynały zawsze te z nich, które ostatnio stykały się z dorosłymi.

Dicken nie pobrał próbek od wszystkich dzieci, żywych i zmarłych, ani od wszystkich dorosłych, którzy przebywali w szkole; istniała możliwość, że źródłem zakażenia było dziecko niewykazujące objawów; niewykluczone również, że narażeni dorośli zachorują.

Wątpił w to jednak. Dzieci niemal na pewno nie były źródłem. A dorośli nie

chorowali. Rzeka płynęła tylko w jednym kierunku, od nauczycieli i pracowników, dorosłych, w stronę nowych dzieci.

Komputer znowu zaszumiał. Dicken spojrzął na ekran. Ideator zidentyfikował sekwencję występującą w jego standardowej bibliotece genomu ludzkiego. Dicken dotknął ramki na ekranie. Powiększyła się, pokazując mapę genomu nieznanego i uszkodzonego HERV-u. Dotychczas nie były znane przypadki, aby wirusy Coxsackie - w tym przypadku z nadrodziny Picornaviridae - dokonywały rekombinacji z dziedzicznymi genami retrowirusów. Mimo to Dicken patrzył na białko pochodzące od genu podejrzanego wirusa, które było bardzo podobne - identyczne w 90 procentach - do białka kodowanego kiedyś przez dawny ludzki retrowirus endogenny, występujący w dwóch chromosomach.

Obecność białka przekształcała stosunkowo nieszkodliwy wirus RNA w inny, zabijający masowo.

Dicken nakazał następne poszukiwania. Ideator przejrzał bank danych Genesys, starając się odnaleźć zgodności z liczącym 52 chromosomy genomem nowych dzieci. Według tego banku, ów szczególnie uszkodzony HERV pierwotny nie istniał u żadnego dziecka SHEVY.

Obie jego kopie zostały odrzucone podczas supermitotycznego rozszczepiania i przestawiania kolejności składników starych chromosomów.

Dicken kilka minut wpatrywał się w ekran, rozmyślając szaleńczo. Wzrok mu się zamglił. Złapał zmiętą chusteczkę i przetarł nią twarz. Dostał skurczu lewej nogi. Odepchnął się od ławy i zaczął krążyć po ciasnym pomieszczeniu laboratoryjnym, chwytając się stołów, sprzętów.

Nastąpiło to, czego najbardziej obawiali się Augustine i ludzie z Urzędu Stanu Wyjątkowego. Dawne wirusy jakimś sposobem same się naprawiły i włączyły do zwykłego wirusa jeden lub więcej genów wywołujących śmiertelną chorobę. Rekombinacja ta nie zaszła jednak u dzieci SHEVY.

Zaczęła się u dorosłych.

Dorośli stworzyli wirusy, które były w stanie zarażać i zabijać dzieci SHEVY. Te same wirusy nie szkodziły dorosłym. Dicken nie mógł mieć jeszcze pewności, ale podejrzewał, że białko wirusowe skorzystało z jakiegoś innego białka, ulegającego ekspresji jedynie u dzieci - oba składniki osobno nie są toksyczne, ale w połączeniu przynoszą śmierć.

*Nowa rola wirusów: czynniki odpowiedzi odpornościowej na poziomie gatunku. Broń biologiczna, jedno pokolenie przeciwko innemu.*

*Czy stare gatunki próbują rozpaczliwie zabijać nowe? A może to tylko straszliwa*

*pomyłka, spotkanie, które przyniosło śmiertelne skutki?*

Dicken zabezpieczył próbki, sporządził kopie plików komputerowych, nakazał zrobienie ich wydruków, zamknął laboratorium na klucz i brutalnie trzasnął zewnętrznymi drzwiami budynku badawczego. Otworzyły się z powrotem. Wyszedł na blask popołudniowego słońca.

**50**

## **Pensylwania**

Mitch nałożył jeden ze szlafroków George'a Mackenzie z białej tkaniny frotte, aby pójść zbadać Stellę. Teraz leżał na łóżku obok Kaye; szlafrok był zabawnie krótki na jego długich nogach. Oddychał równomiernie. Czuła jego dłoń, wielką i szeroką, o długich, grubych palcach, spoczywającą na jej ramieniu.

Przekreśliła się i położyła głowę na jego piersi, gdzie rozchylały się poły szlafroka.

- Czy nie postępowałam trochę po wariacku? - zapytała.

Mitch pokręcił głową.

- Broniłaś się.

- Pamiętasz, jak było, zanim się poznaliśmy? Zajmowałeś się archeologią. Ja pracowałam jak szalona, cała zdezorientowana.

- Archeologii było niewiele - wyjaśnił Mitch. - Nie pracowałam dłużej, niż cię znam. Moja własna cholerna wina.

- Kochałam twoje spracowane ręce. Wszystkie odciski. Kim bylibyśmy bez Stelli?

Mitch zmrużył oczy. Niewłaściwe pytanie.

- Racja - powiedziała Kaye. Znowu położyła głowę na poduszce. - Nalegałam. Teraz nie mamy innego życia.

- Pomagałam.

- Zanedbywałam cię. Na tyle różnych sposobów.

Mitch wzruszył ramionami.

- Czego chcesz dla Stelli? - zapytała Kaye.

- W zasadzie normalnego życia.

- Jak może być takie? Nie jest jak my, nie do końca.

- Bardziej jest do nas podobna, aniżeli odmienna od nas.

Kaye wytarła oczy wierzchem dłoni. Nadal odczuwała wołającego, a kiedy

d o t y k a ł a go myślami, fale pocieszenia przepływały przez nią, zalewały oczy. Nie była w stanie pojąć tego uczucia nieopisanego ukojenia tkwiącego pośród ich obaw.

Mitch dotknął jej policzka. Palcem delikatnie musnął wilgotny koniuszek oka.

- Jak to jest dostać udaru? - zapytała. - Albo ataku?

- Ty jesteś doktorem - odpowiedział zaskoczony Mitch.

- Sam miał udar. - Sam był ojcem Mitcha.

- Padł jak ścięte drzewo - potwierdził Mitch.

- Był sparaliżowany i zmarł kilka godzin później.

- Poszło szybko. Do czego zmierzasz?

- Czy ludzie dostają ataków, od których czują się d o b r z e? Nie chodziliby przecież z nimi do lekarzy?

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem - powiedział Mitch.

- Ależ takich przypadków by nie zgłaszano, chyba że ktoś zarejestrowałby je... w badaniu rezonansem magnetycznym, skaningowym czy innym. Mózg jest taki tajemniczy.

- Do czego to prowadzi? - zapytał Mitch. - Kochaliśmy się, a teraz mówisz o dostawaniu dobrych ataków. - Próbował się uśmiechnąć. - Nazywa się to przeżywaniem orgazmu, droga pani.

Kaye uniosła głowę i przekręciła się, aby patrzeć na niego, nie dając się rozśmieszyć.

- Czy czułeś kiedykolwiek, że coś czy ktoś dotyka twoich myśli? Aprobując w tobie wszystko, przepelniając cię zrozumieniem?

- Nie-e-ee - odparł Mitch. Cała ta rozmowa ani trochę się mu nie podobała. Blask na twarzy Kaye przypomniał mu czasy, gdy była w ciąży. To miękkie i intymne światło w jej oczach...

- Czy to rzadkie? Co ludzie robią, co mówią, gdy tak się dzieje?

- Jak?

Kaye usiadła i położyła ręce na jego ramionach, patrząc nań błagalnie, bezradnie.

- Czy czyni to ludzi religijnymi?

Mitch miał tak poważną minę, że musiała się uśmiechnąć.

- Może stają się kapłanką. Szamanką.

- Szamani - zaczął Mitch, przybierając ton wykładowcy - są przeważnie trochę zwariowani. Plemię ich karmi i zapędza do pracy. Szamani bardziej dostarczają rozrywki, niż czytają z wnętrzości albo rzucają kości wróżebne.

Kaye chwyciła się za podbródek.

- Próbuję coś zrozumieć.

- Czy na pomoście odniosłaś wrażenie, że masz atak? - zapytał Mitch, niezdolny wyzbyć się troski z głosu.

- Nie wiem. - Uśmiechnęła się jakby do miłych wspomnień.

- Jest nadal ze mną.

- Jesteś znowu w ciąży, miałaś poranne mdłości?

- Nie, do licha. - Kaye poklepała go po ramieniu. - Nie słuchasz mnie.

- Nie słyszę nic, co mógłbym zrozumieć. Powiedz mi wprost... czy odczułaś to jako wydarzenie, przełom? Byłaś w silnym stresie.

Stanął obok łóżka, zostawiając krótki szlafrok. Kaye patrzyła na niego: jego przedramiona, pierś i barki porastały szorstkie włosy; opuściła wzrok na genitalia zwisające po stosunku w pozycji „spocznij”, kołyszące się wraz z nerwowym machaniem ramion.

Roześmiała się.

Zamroziło to Mitcha. Stał jak posąg, patrząc na nią. Śmiejącej się tak Kaye, z niego, z zabawnych stron życia, nie słyszał od ponad roku, może od dwóch lat; nie pamiętał, kiedy ostatnio się to zdarzyło.

- Wyglądasz na szczęśliwą - powiedział.

- Nie jestem szczęśliwa - sprzeciwiła się Kaye z oburzeniem w głosie. - Życie to kupa gówna, ale nasza córka... - Skrzywiła twarz. Załkała przez palce. - Musi żyć, Mitchu. Czy to nie błogosławieństwo? Czy nie to właśnie czuję - wdzięczność, ulgę?

- Wdzięczność wobec kogo? - zapytał Mitch. - Wobec bóstwa zsyłającego paskudne choroby na małe dzieci?

Kaye wyciągnęła ręce, wskazując palcami sypialnię, koronkową narzutę, wykładane drewnianymi płytami ściany, kwiaty ściskane między szybami w ozdobnych złotych ramach, dekoracyjny dzban na białym wiklinowym stoliku obok łóżka. Mitch z dużą troską patrzył na jej zapuchnięte oczy i zarumienioną twarz.

- Jesteśmy szczęśliwsi od innych - powiedziała. - Jesteśmy tacy szczęśliwi, że nasza córka żyje.

- Bóg tego nie sprawił - powiedział Mitch; jego głos zgorzkniał. - To n a s z e dzieło. Bóg by ją zabił. Bóg zabija teraz tysiące takich jak Stella.

- Co wobec tego czuję? - zapytała Kaye. Wyciągnęła ręce, a Mitch je chwycił. Zaśpiewał kos. Wzrok Mitcha powędrował w stronę okna.

- Wracasz do siebie - powiedział. Gniew mu przechodził. - Nie możemy bez przerwy czuć się jak gnoje, bo inaczej byśmy się poddali i umarli. - Pociągnął ją, żeby uklękła na łóżku, i objął z wprawą, aż trzasnęło jej w plecach.

- Au - powiedziała.

- Nie bolało. Czujesz się teraz lepiej.

- Fakt - potwierdziła Kaye, obejmując ramionami jego szyję. Nagle przez drzwi wpadła Stella.

- Mam to na przegubie - powiedziała, szarpiąc plaster. - Boli mnie skóra. - Popatrzyła na nich nagich, splecionych w objęciach. Nie było sensu ukrywać przed nią czegokolwiek; potrafiła wywahać wszystko w pokoju. Nawet jako berbecę wydawała się rozumieć instynktownie wszystkie tajniki seksu. Mimo to Mitch puścił Kaye, odwrócił się i sięgnął po szlafrok.

Kaye otuliła się kołdrą i podeszła do córki. Stella wpadła w jej ramiona, a Kaye z Mitchem zanieśli ją do łóżka.

## 51

### Ohio

- Nasze ostatnie połączenie ze światem zewnętrznym - powiedział Augustine, podnosząc telefon satelitarny. - Secret Service, niech będzie błogosławione. Ale musiałem sam na to wpaść. Chowają się w swoich samochodach i nie wystąpią na ochotnika. - Wspiął się po schodach do gabinetu Traska. Zaszłe wymiociny - nie jego - tworzyły smużki na nogawkach spodni. Dicken wchodził z trudem za Augustine'em.

- Szkoła ma zabezpieczony serwer. Zdobyłem hasło Juriego do komputerów laboratorium, ale nie do połączeń pozaszkolnych.

- Wiem. A czego w ogóle szukamy?

- Coxsackie, nowego szczepu - powiedział Dicken. - Dzieci są zakażone tym wirusem.

Augustine pchnięciem otworzył drzwi.

- Jak było?

Dicken pokręcił głową.

- Jesteś zmęczony. Słuchaj uważnie. To nie pryszczycyca, choć też występują w niej pryszczycy, tylko pospolita dziecięca choroba wirusowa.

- Uległa rekombinacji? - Augustine usiadł za biurkiem i położył na nim telefon. Wystukał numer, uzyskał zgrzytliwy i piskliwy dźwięk, zaklął i wystukał inny.

- Tak - potwierdził Dicken.

- Ze starymi wirusami endogennymi?



- Tak.

- Cholera. Jak to możliwe?

- Nigdy dotąd nie widziałem takiego mechanizmu.

- No to po co mam dzwonić? - Zniechęcony Augustine przerwał w połowie wystukiwania numeru. Paznokcie miał czarne od brudu i wydzielin. - Już po wszystkim.

- Nie, skądże. Rekombinowane geny nie mogą pochodzić od dzieci - powiedział Dicken. - One ich nie mają. Zostały wycięte i odrzucone, kiedy podczas supermitozy ich chromosomy uległy przekształceniu.

Augustine uniósł podbródek.

- To my pomogliśmy w rekombinacji wirusa?

Dicken przytaknął.

- Mógł od lat krążyć w nas i mutować niepostrzeżenie. Teraz wykonał pierwszy krok - przeciwko dzieciom.

- Masz dowód?

- Dostateczny - powiedział Dicken. - Bardziej niż wystarczający. Możemy wysłać moje wyniki. Niech CDC przeprowadzi własne analizy, porówna moje odkrycia ze swoimi. Na pewno będą zgodne. Potem nakażemy wycofanie się władzom Ohio i skłonimy Urząd Stanu Wyjątkowego, aby się uspokoił. To nie jest śmiertelna zaraza - nie dla nas.

- Czy ktokolwiek zechce słuchać?

- Będą musieli. Taka jest prawda.

Augustine nie wyglądał na przekonanego, że to wystarczy, aby odwrócić przyływ.

- Do kogo najlepiej się zwrócić w CDC?

Dicken zastanawiał się krótko.

- Do Jane Salter. Kieruje wydziałem analizy statystycznej w National Center for Infectious Diseases. Nigdy nie popierała ludzi z Urzędu Stanu Wyjątkowego, ale szanują jej poglądy. Jest godna zaufania i obiektywna. - Wziął od Augustine'a słuchawkę i wystukał bezpośredni numer Salter w Atlancie.

W końcu dopisało im szczęście. Połączenie się powiodło, a Salter odebrała osobiście.

- Jane, tu Christopher.

- Słynny Christopher Dicken? Kopę lat, Christopherze. Wybacz mi, mam sieczkę w głowie. Haruję od wielu dni, rozgryzając liczby.

- Jestem w Ohio, w szkole im. Goldbergera. Mam coś ważnego.

- Na temat pewnego rekombinowanego wirusa Coxsackie?

- Otóż to. Dynamika populacyjna, przepływ wirusa, analiza - powiedział Dicken.

- Nie mów.

- Zechcesz poznać moje wyniki.

Usłyszał trzask.

- Włączyłam nagrywanie, Christopherze - powiedziała Salter. - Mów szybko. Za pięć minut mam ważne spotkanie. Iść albo nie iść, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Augustine podniósł głowę, gdy dobiegł go odległy, ryczący hałas. Podeszedł do okna i spojrzął za drogę, za główną bramę.

- Co to u diabła? - Wziął z parapetu lornetkę i popatrzył przez nią. - Śmigłowce.

DeWitt wbiegła po schodach, krzycząc:

- Nadlatują helikoptery!

- Wkraczają oddziały? - zapytał Dicken.

- Nie odważyłyby się. Mamy kwarantannę. - Augustine starał się utrzymywać ostry obraz. - Są cywilne. Kto u diabła kazał im tu przylecieć?

- Może ktoś dostarcza zapasy - rzucił domysł Dicken.

- Czy to możliwe?

- Pewnie ktoś bogaty ma tu dziecko - ciągnął Dicken.

- Lecą dwa - powiedział Augustine. - Jeszcze są za daleko. - Potem, łamiącym się głosem: - Cholera, nie mogę uwierzyć. Strzelają. Oddziały strzelają do nich.

- Co się dzieje? - zapytała Salter przez telefon.

- Posłuchaj tylko - powiedział Dicken. Ze skraju terenu szkoły dobiegały trzaski broni zaczepnej. - I na miłość boską, pracujcie szybko.

Zaczął jej czytać swoje wyniki.

## 52

### Pensylwania

Powietrze się ochłodziło, a chmury nadciągały nad drzewa. Mitch siedział na pomoście. Kaye była w domu, śpiąc obok Stelli w wielkim łóżu, które dziewczynka wołała teraz, gdy czuła się już lepiej.

Miną może dni, zanim będzie w stanie podróżować, ale Mitch wiedział, że pora na nich nadejdzie wcześniej. Nie potrafił się jednak jakoś zmusić, aby pogonić rodzinę i zapakować na tył jeepa.

Martwiło go nie tylko zdrowie Stelli.

Niepokoił się czymś innym, być może drobnym, jeśli patrzeć z perspektywy czasu: wyglądem Kaye, gdy mówiła o tym, co poczuła na pomoście. Jeśli po wszystkich tych latach jego partnerka, jego żona, zaczęła słabnąć...

Kaye była zawsze zbiornikiem ich siły, mocno zakorzenionym drzewem.

Powietrze było duszne i wilgotne. Patrzył na rosnące zachmurzenie i poczuł pierwociny deszczu, wielkie krople, które zmieniały smak i zapach powietrza. Kręciło go w nosie. Czuł las szykujący się na burzę. Zmysł węchu miał czuły, zanim jeszcze urodziła się Stella. Kiedyś powiedział Kaye: „Myślę nosem”. Zdolność ta wzmocniła się jednak, gdy został rodzicem SHEVY, i przez dwa lata po narodzinach córki rozkoszował się tym nowym bogactwem. Nawet teraz wyczuwał ostro zapachy, które inni wykrywali ledwo albo wcale.

Jeziorko nie było wcale takie zdrowe, ale leżało niby piękna miseczka zieleni, przyjmująca wodę spływającą z lasu zimą i wiosną, a potem w lecie wysychająca i gromadząca substancje odżywcze, zakwitająca glonami. Nie miało odpływu. Mimo to było w porządku; ładnie wyglądało. Przypuszczalnie miało się całkiem dobrze jak na zbiornik wodny odseparowany od wielkich przeżyć innych jezior i rzek, śniący na swój milczący sposób w ciągu pór roku.

Mitch nigdy by nie zbudował domku nad tym jeziorkiem, gdyż mogło być wylegarnią komarów, ale mimo to był rad, że jest w nim teraz. Ponadto komarów było tu bardzo mało, nie wiedział dlaczego.

Przez ostatnie kilka lat zapach Kaye w jego nozdrzach był nieustannie czynny, ostry, wyraźny i skupiony: pachniała jak inne matki SHEVY i matki w ogóle, wychwytywał u nich podobną woń czujności. Przed kilku godzinami w łóżku pojawił się odcień pogodzenia się, potwierdzenia. A może Mitch tylko to sobie ubzdurał?

Czyste chciejstwo, pragnienie, aby żona była choć przez chwilę szczęśliwa?

Stella też to zauważyła.

Może ich rodzina stała się taka jak to jeziorko, odseparowana, skupiona na sobie, nie do końca szczęśliwa. To dlatego Stella uciekła, jego myśli rozpryskiwały się jak kropelki pod naciskiem ruchomego palca ulewy.

Przez kilka chwil po prostu siedział i próbował stać się pusty. Stopniowo wyłoniły się inne troski, gdzie pojadą, gdy nadejdzie pora, gdzie znajdą następne schronienie. Nie znał odpowiedzi, nie chciał uwierzyć, że są już blisko kresu swej drogi, odłożył więc zmartwienia na półkę wraz z innymi, na które nic nie mógł poradzić, i ponownie zajrzał w pustkę.

Pustka była pocieszająca, ale nigdy nie trwała długo.

Ani razu nie zapytał Kaye, czym pachnie dla niej. Nie lubiła tego rodzaju rozmów.

Zakochał się w smutnej i zwróconej na zewnątrz Kaye, żył z kobietą, która od miesięcy czy lat nie otwierała się przed nim, aż do ostatniej nocy.

Mitch podniósł dłonie i popatrzył na gładkie palce. Niemal czuł siebie na wykopaliskach, z łopatą, kielnią, pędzlem bądź szczoteczką do zębów w ręce, wydobywającego jakiś odłamek kości czy skorupy. Niemal czuł pot spływający mu w palącym słońcu po karku osłoniętym kapeluszem i zwisającą z niego z tyłu chustą.

Zastanawiał się, o czym to myślał neandertalski ojciec leżący w tamtej alpejskiej jaskini, zamierzający przy swej już nieżywej żonie i urodzonym martwo dziecku. To tam dla Mitcha wszystko się zaczęło, kiedy odnalazł mumie. Od tego miejsca jego życie pobiegło zupełnie innym torem; spotkał Kaye, stał się częścią jej świata. Życie Mitcha osiągnęło niesamowitą głębokość, ale zawężyły się inne jego wymiary.

Neandertalski ojciec nigdy nie miał sposobności żałowania starych, dobrych czasów beztroskich polowań na mamuty i bizona, wywabiania niedźwiedzi jaskiniowych, złopania z chłopakami soku ze sfermentowanych jagód albo syconego miodu.

Co najmniej raz dziennie myśli Mitcha biegły w takiej kolejności, przerywając upragnioną pustkę. Potem zbladły, zajrzał w głąb siebie i zobaczył przestraszone dziecko kryjące się wśród cieni. *Nigdy nie wiedziałeś, jak to jest być dzieckiem, nawet gdy sam nim byłeś. Musiało urodzić ci się twoje, żebyś zrozumiał.*

*Dopiero wtedy.*

Deszcz zabębnił o pomost, zostawiając ciemne, brązowe rozbryzgi. Krople gromadziły się na żdźbłach traw przebijających się przez gnijące kamizelki ratunkowe. Przesunął ręką po drewnie i natrafił na ciekawy skrawek kory, mający jakieś sześć cali długości, popękany i szary. Pomacał korę palcami, uszczypnął jej skraj.

Kaye stanęła za nim. Nie słyszał jej, póki nie zaskrzypiało drewno. Poruszała się cichutko; zawsze tak było.

- Widziałeś błysk? - zapytała.

- Piorun?

- Nie, tam. - Wskazała las. - Jakby coś mignęło. Mitch wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie.

Kaye westchnęła.

- Chodź do środka - powiedziała. - Ugotowałam rosół dla Stelli. Też powinieneś coś zjeść.

Patrzeć na córkę siorbiącą zupę byłoby przyjemnością. Mitch wstał i poszedł z Kaye,

ramię w ramię, w stronę domu.

Mężczyzna w czarnej czapeczce z daszkiem wyłonił się z cienia domku. Spotkali się przy drzwiach na ganek. Kaye wstrzymała oddech. Był młody, najwyżej trzydziestoletni, potężnie zbudowany, ze śniadymi ramionami. Nosił szorty khaki i czarną koszulkę, a na niej kamizelkę kuloodporną, w rękę zaś trzymał mały, czarny pistolet. W domku widać było poruszające się sylwetki. Mitch instynktownie zasłonił sobą Kaye.

Mężczyzna w czarnej czapeczce pachniał jak spalony czosnek. Warknął jakieś słowa. Uwaga Mitcha była zbyt podzielona, aby mógł słuchać uważnie.

- Słyszycie mnie? Jestem agent John Allen, Federalna Służba Zbrojna Urzędu Stanu Wyjątkowego. Mamy nakaz aresztowania i konfiskaty. Wyciągnijcie ręce, abym mógł obejrzeć wasze dłonie. - Agent popatrzył w lewo, za Mitcha. - Czy pani Kaye Lang?

Inny mężczyzna, starszy, wyszedł przez dwuskrzydłowe drzwi. W niebieskiej okładce trzymał kartkę papieru. Mitch zerknął na nią, potem skupił się znowu na domku. Nad ramieniem młodego mężczyzny, przez drzwi wychodzące na patio i za kanapą, zobaczył dwóch mężczyzn wyprowadzających Stellę głównym wejściem. Otulili jego córkę płachtą z tworzywa sztucznego.

Miauczała jak słabiutki kotek.

Mitch uniósł ręce. Za późno przypomniał sobie o kawałku kory z pomostu, nadal tkwiącym w zaciśniętych palcach.

Młody mężczyzna wyszarpnął swój pistolet.

Mitch usłyszał huk, las i dom zawirowały. Pocisk poczuł jak cios pałki bejsbolisty z pierwszej ligi, padający na jego ramię. Kawałek kory wyleciał. Mitch padł na twarz i pierś. Wielki mężczyzna usiadł na nim, inni przybiegli, hałasując butami, ktoś oderwał od ziemi stopy Kaye. Mitch próbował unieść głowę, a wielki mężczyzna wcisnął mu twarz w nierówny beton ścieżki. Nie mógł oddychać - trafienie pociskiem, a potem upadek wypchnęły z jego płuc całe powietrze. Wykręcili mu ręce za plecami. Ktoś odchylił mu ramię. Zabolało jak diabli. Wszyscy mówili jednocześnie, niektórzy krzyczeli. Usłyszał wrzask Kaye. Deszcz nie był taki zły. Jezioro było dobre, dom też. Powinien był wiedzieć. Poczł zapach swojej krwi i zaczął się dławić.

**Pensylwania - Arizona**

Stella Nova Rafelson stała na dygoczących nogach w długiej, zaporowanej kabinie prysznicowej, patrząc na różowy środek dezynfekcyjny wirujący w wykładanym kafelkami odpływie. Mężczyźni i kobiety w maskach, plastikowych kapturach i gumowych rękawiczkach chodzili wzdłuż szeregu kabin z tabliczkami i aparatami fotograficznymi, robiąc zdjęcia stojącym nago dzieciom.

- Imię? - zapytała oschłym głosem krępa młoda kobieta.

- Stella - odpowiedziała. Bolały ją stawy.

Gdzieś w klinice ludzie zrobili jej kilka zastrzyków i przywiązali ją do łóżka otoczonego parawanami. Trzymali ją tam co najmniej jeden dzień, kiedy przechodziła ostatnie wyraźne oznaki choroby. Raz, kiedy ją uwolniono, aby skorzystała z basenu, spróbowała wstać i odejść. Powstrzymali ją pielęgniarka i policjant. Nie chcieli jej dotykać. Szturchając długimi plastikowymi rurami zmusili ją do powrotu na łóżko.

Następnego dnia przywiązano ją do łóżka na kółkach i wtoczono od tyłu do białej furgonetki. Samochód zabrał ją do wielkiego magazynu. Zobaczyła tam setki dzieci leżących rzędami na składanych łóżkach. Z tyłu magazynu złożono w stosach połamane i zakurzone skrzynie. Podłoga mocno pobrudziła bose stopy Stelli. Cały budynek pachniał starym drewnem, kurzem i środkiem dezynfekującym.

Dali jej zupę w wyciskanej butelce. Zimną zupę. Smakowała okropnie. Całą noc Stella wołała Kaye i Mitcha głosem tak ochryłym i słabym, że sama ledwo siebie słyszała.

Następna podróż - w autobusie przez pustynię, liczne miasteczka i miasta - zajęła dzień i noc. Jechała z innymi chłopcami i dziewczynkami, siedzącymi prosto, a nawet śpiącymi na kanapowych siedzeniach.

Usłyszała strażnika i kierowcę rozmawiających o najbliższym mieście, Flagstaff, i zrozumiała, że jest w Arizonie. Gdy autobus zwolnił i zjechał z dwupasmowej szosy, zobaczyła lśniące metalowe litery przymocowane na ceglany łuku nad ciężką stalową bramą: Szkoła Urzędu Stanu Wyjątkowego w Sabie Mountain.

Czas biegł poplątanymi szarpnięciami. Pamięć i zapach mieszały się, aż miała wrażenie, że jej przeszłość, życie z Kaye i Mitchem, przepadła w odpływie wraz ze środkiem dezynfekcyjnym.

Gdy znowu skończyli robić zdjęcia i zapisywać imiona, strażnicy oddzielili chłopców od dziewczynek, dali im kitle szpitalne zapinane z tyłu i poprowadzili dziewczęta w szeregu betonowym chodnikiem, pod gołym wieczornym niebem, do kontenerów mieszkalnych na kółkach, po dwadzieścia w każdym.

W jej kontenerze było już czternaście dziewczynek.

Jedna z nich stanęła przy łóżku, na którym leżała Stella, i powiedziała:

- Cześć/Przepraszam.

Stella poniosła wzrok. Dziewczynka była wysoka i czarnowłosa; miała szeroko rozstawione, głęboko osadzone brązowe oczy, iskrzące się zielonymi plamkami.

- Jak się czujesz-KUK? - zapytała ją dziewczynka. Miała chyba kłopoty z mówieniem.

- Gdzie jestem?

- W takim jakby domu-KUK - odpowiedziała nieznajoma.

- Gdzie są moi rodzice? - spytała Stella, zanim się zastanowiła. Jej policzki zarumieniły się ze zdenerwowania i przestraszenia.

- Nie wiem.

Cała czternastka skupiła się wokół nowych dziewczynek i wyciągnęła ręce.

- Dotykajcie się wnętrzem dłoni - nakazała im czarnowłosa. - Poczujecie się lepiej.

Stella schowała ręce pod pachy.

- Chcę wiedzieć, gdzie są moi rodzice - powiedziała. - Słyszałam strzały.

Czarnowłosa powoli pokręciła głową i czubkiem palca dotknęła Stelli pod nosem. Ta szarpnęła głową do tyłu.

- Teraz jesteś z nami - powiedziała dziewczynka. - Nie bój się.

Stella jednak się bała. Pokój pachniał tak dziwnie. Było ich tak dużo, a wszystkie woniały gorączkowo, starając się wpływać na nowe dziewczynki. Kiedy wyczuła, że zapach robi swoje, zapragnęła wyjść i uciec.

Było zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała.

- Jest KUK-ej - powiedziała czarnowłosa dziewczynka. - Naprawdę. Jest tu okej.

Stella zawołała Kaye. Była uparta. Miały minąć tygodnie, zanim przestanie płakać nocami.

Próbowała się opierać przed dołączeniem do innych dzieci. Były przyjacielskie, ale rozpaczliwie chciała wrócić i mieszkać dalej w domu w Wirginii, w domu, z którego kiedyś próbowała uciec; wydawał się jej najlepszym miejscem na ziemi.

Wreszcie, gdy tygodnie przeszły w miesiące i nikt do niej nie przychodził, zaczęła przysłuchiwać się dziewczynkom. Dotykały się dłońmi i wachały swe zapachy. Zaczęła

należć do nich i już się nie opierała.

Dni w szkole były długie i gorące w lecie, mroźne w zimie. Niebo wisiało ogromne, bezosobowe i zupełnie inne niż to obramowane drzewami w Wirginii. Nawet robaki były inne.

Stella przywykła do siedzenia w klasach i odwiedzin przez lekarzy.

W zamazanej plamie dorastania i wczesnej młodości próbowała zapomnieć. I nawet podczas snu przyjaciółki potrafiły ją uspokajać.



**Część druga**

**SHEVA + 15**

Przypadki tych aktywistów spośród rodziców SHEVY, których władze federalne, na podstawie przepisów Urzędu Stanu Wyjątkowego, przetrzymywały co najmniej dwa lata bez przedstawienia żadnych zarzutów, mogą być nareszcie rozpatrywane przez stanowe sądy objazdowe, w jawnej sprzeczności z tajną Dyrektywą Prezydencką, stwierdziło anonimowe źródło z gabinetu ministra sprawiedliwości stanu Kalifornia.

Zdaniem urzędników ze szczebla rządowego, składających zeznania przed Kongresem, rodzice SHEVY w poszczególnych przypadkach mogą odzyskiwać prawa do odwiedzin w szkołach USW. Nie są dostępne żadne inne szczegóły. Nadzór Obywatelski nad Zdrowiem i Bezpieczeństwem Narodowym, rządowa organizacja obrony praw człowieka, związana z Partią Zielonych, zapowiedział, że będzie protestował przeciwko tej zmianie w polityce państwa.

*„New York Times” krótkie komunikaty sieciowe o kryzysie narodowym*

Detonowali bomby. Dokonywali samospaleń i blokowali ruch uliczny. Ich dzieci przenoszą choroby, których nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Cholera, sami rodzice mogą nas zarażać, a nawet zabijać. Jeżeli mamy wybierać między ich swobodami obywatelskimi a ochroną przed możliwością zachorowania naszych pięknych, normalnych dzieci, to do diabła ze swobodami. Mówię wam, pieprzyć ACLU<sup>4</sup>. Mówiłem to zawsze i zawsze będę mówił.

*Kongresman Harold Warren, republikanin, Północna Karolina,  
wystąpienie przed Kongresem  
w ramach składania wolnych wniosków*

Piętnaście lat, a szczep ciągle nas zabija. Nie może być tak dłużej.

Kiedy zawiesiliśmy prawa obywatelskie i nikt nawet nie pisnął, gdy naszych sąsiadów, krewnych, a nawet nasze dzieci zaczęto zabierać w nieoznakowanych sukach, my zaś kuliliśmy się w pełnej lęku uldze, zaczął się zbliżać koniec całego naszego stylu życia, całej filozofii i psychologii amerykańskiej; nadciąga coraz szybciej, może czai się już za naszym progiem.

Rząd, opierający się na strachu, przyciąga najgorsze elementy, które psują go

---

<sup>4</sup> American Civil Liberties Union, organizacja obrony praw obywatelskich, działająca od 1920 roku. (Wszystkie przypisy z wyjątkiem tych oznaczonych „Przyp red.” pochodzą od tłumacza).

od wewnątrz. Wstrząsany gmach, rząd występujący przeciw narodowi, przeciw każdemu z obywateli, musi się w krótkim czasie zawalić

*Jeremy Willis, „The New Republic”*

## 1

### Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Chmury nad stolicą dojrzewały do spuszczenia deszczu. Duszne powietrze zatykało płuca. Kaye z lotniska im. Dullesa wyjechała samochodem rządowym. Miała na sobie dopasowany szary kostium i bladożółtą bluzkę z koronkowym kołnierzykiem i mankietami oraz praktyczne buty do chodzenia; eleganckie pantofelki trzymała w torbie. Późnym rankiem starannie umalowała twarz, poprawiła jeszcze makijaż w toalecie na lotnisku. Wiedziała, jak wygląda: blada, szczupła, z twarzą pokrytą beżowym pudrem, o odcień ciemniejszym niż na nadgarstkach. Była w średnim wieku i zmizerniała. Za wiele czasu spędzała w laboratoriach, za rzadko wychodziła na słońce i widziała niebo.

Mogłaby być jednym z dziesięciu tysięcy specjalistów opuszczających długie, kanciaste, jasnobrązowe i szare budynki wokół Waszyngtonu, czekających, aż zmniejszy się ruch uliczny, zachodzących do baru na drinka czy kawę, spotykających się na kolacji ze współpracownikami. Wolała anonimowość.

Poprzedniego wieczoru dokładnie przestudiowała materiały otrzymane z biura senatora Gianellego. To, co w nich wyczytała, mogła dostrzec wyraźnie podczas jazdy z lotniska im. Dullesa. Stolica traciła resztki szacunku dla siebie. Na niektórych ulicach śmieciarki bez wytłumaczenia nie pojawiały się od tygodni. Trójosobowe patrole gwardii narodowej i regularnej armii chodziły ulicami, niosąc na ramieniu karabiny z włożonymi magazynkami. Pojazdy wojskowe i policyjne - hunwee, ciężarówki saperskie, transportery opancerzone - stały na głównych ulicach, parkując na chodnikach albo blokując skrzyżowania. Przesuwane codziennie betonowe zapory i liczne posterunki kontrolne z uzbrojonymi budkami przemieniały w mordęgę dojście do gmachów rządowych.

Nawet zapach stolicy był chory. Waszyngton stał się miastem długich, smętnych rysów, zasepionych twarzy, wymiętych ubrań. Wszyscy bali się ludzi w długich płaszczach, samochodów dostawczych, pakunków pozostawionych na ulicy oraz wylepiających ściany plakatów żądających nieokreślonej bliżej sprawiedliwości i ukrywających za sobą cienkie, paskudne bomby, wybuchające, kiedy ktoś próbować zrywać płachty.

Na zdrowych i szczęśliwych wyglądali jedynie klauni i potwory. Tylko klauni i potwory robili kariery w Waszyngtonie w Dystrykcie Kolumbia w piętnastym roku SHEVY.

Kierowca powiedział jej, że przesłuchanie zostało przesunięte i mają trochę wolnego czasu. Kaye poprosiła go, aby stanął przed księgarnią Stefano przy ulicy K. Zastanawiała się nad zjedzeniem czegoś, ale nie potrafiła znaleźć w sobie apetytu. Pragnęła jedynie mieć kilka minut dla siebie, na pomyślenie.

Podciągnęła pasek torby na ramię i weszła do szeregowego punktu kontrolnego przed księgarnią. Wielki, ciężki strażnik w niedopasowanym mundurze z naprężonymi wszystkimi guzikami popatrzył na nią z tępych wyrazem twarzy i skinął, aby przyłożyła kciuk do skanera, a potem machnięciem ręki kazał przejść do wykrywacza metalu. Szczęknęły wachacze, poszukujące śladów materiałów wybuchowych albo innych podejrzanych substancji.

Perfumy stały się w mieście wyklęte.

- Czysto - powiedział strażnik głosem jak cichy grzmot. - Życzę dobrego wieczoru.

Na zewnątrz zaczęło padać. Kaye obejrzała się przez wystawę i zobaczyła śmieci spływające rynsztokami. Papierowe torebki i kubki wały się wszędzie. Kratki ściekowe się zapchały i widać było, że woda wkrótce wystąpi na ulicę.

Wiedziała, że powinna coś zjeść. Nie należało uczestniczyć w przesłuchaniu z pustym żołądkiem, a nic nie jadła od dziesiątej rano. Teraz była piąta. Zupę i kanapki mogła znaleźć w małej kawiarni wewnątrz sklepu. Minęła jednak bez zatrzymania tablicę z menu, jakby kierowana swego rodzaju autopilotem. Jej mokre buty do chodzenia mlaskały na linoleum, kiedy przeszła obok kilku głębokich naw utworzonych przez regały z książkami. Nad jej głową migotały i szumiały lampy fluorescencyjne. Młody mężczyzna z długimi, sfilcowanymi włosami siedział na wyściełanym krześle z pustym do połowy pomarszczonym plecakiem na kolanach. Spał. Otwarta Biblia w papierowej okładce spoczywała na poręczy krzesła.

*Boskie spanie.*

Nie zastanawiając się, Kaye skręciła w prawo i znalazła się w dziale religijnym. Półki wypełniały tu głównie powieści apokaliptyczne w jaskrawych obwolutach. Hologramy na e-papierze wyskakiwały z mijanych krzykliwych okładek, zapowiadały koniec świata, zachwyty, objawienie, demony i ciemne anioły. Większość książek miała mówiące chipy, które mogły odczytać całość tekstu. Te same chipy zastępowały obwoluty zachętami głosowymi. Półki szeptały cichą falą, niczym duchy budzone szybkim przejściem Kaye.

Poważne teksty teologiczne zostały zupełnie usunięte w cień. Kaye znalazła je na jednej tylko półce, wysoko i z tyłu, pod ceglana ścianą. W tym kącie było zimno, a książki

wyglądały na wyświechtane i zakurzone.

Z rozwartymi szeroko oczyma, czując się nieswojo, Kaye dotykała grzbietów i odczytywała tytuły, jeden po drugim. Żaden nie brzmiał właściwie. Większość stanowiły współczesne komentarze chrześcijańskie, a nie tego szukała. Niektóre piętnowały gniewnie darwinizm i nowoczesną naukę.

Odwróciła się powoli i popatrzyła między regałami, przysłuchując się książkom, ich rywalizującym głosom szemrzącym jak opadające liście. Potem zmarszczyła brwi i wróciła do samotnej półki. Była zdecydowana znaleźć coś przydatnego. Wyciągnęła książkę o tytule *Rozmawiając z jedynym Bogiem*. Przerzuciła pięć stron, zobaczyła duży druk, szerokie marginesy, niedopuszczające wątpliwości, lecz proste wskazówki, jak w tych ciężkich czasach wieść chrześcijańskie życie. Niedobra, zdecydowała. Nie tego potrzebuje.

Z grymasem odstawiła książkę i odwróciła się, aby odejść. Starsza para blokowała przejście, uśmiechając się do niej. Kaye wstrzymała oddech, strzeliła oczyma wokół. Była pewna, że kierowca wszedł do sklepu, ale nie mogła sobie przypomnieć, aby go widziała.

- Szuka pani? - zapytał mężczyzna. Był wysoki i chudy jak szkielet, z małą czapeczką splecionych w warkoczyki siwych włosów. Nosił czarny garnitur. Fakt, że rękawy jego marynarki kończyły się nad przegubami, przypominał Kaye Mitcha, ale sam mężczyzna był zupełnie inny. Wyglądał na zdecydowanego i udającego kogoś innego, niby manekin albo marny aktor. Kobieta była równie wysoka, szczupła, lecz z mięsistymi rękoma. Miała na sobie długą suknię oblepiającą jej uda.

- Przepraszam? - rzuciła Kaye.

- Są lepsze miejsca do szukania i lepsze teksty do znalezienia - powiedział mężczyzna.

- Dziękuję, nie potrzebuję - odparła Kaye. Odwróciła wzrok i sięgnęła po następną książkę w nadziei, że zostawią ją w spokoju.

- Czego pani szuka? - zapytała kobieta.

- Rozglądam się tylko. Niczego specjalnego - odrzekła Kaye, unikając ich wzroku.

- Tutaj nie znajdzie pani odpowiedzi - stwierdził mężczyzna.

Kierowcy nigdzie nie było widać. Kaye została sama, ale kłopot przypuszczalnie nie był wielki. Starła się zachowywać grzecznie i beztrąsko.

- Jest tylko jedno słuszne tłumaczenie słów Pana - ciągnął mężczyzna. - Znajdziemy je w Biblii Króla Jakuba. Bóg czuwał nad Królem Jakubem jak święty płomień.

- Słyszałam o tym - powiedziała Kaye. - Do jakiego Kościoła pani należy?

- Do żadnego - odparła Kaye. Doszła do końca przejścia, a para się nie ruszyła. - Przepraszam. Jestem umówiona. - Przycisnęła torebkę do boku.

- Czy pogodziła się pani z Bogiem? - zapytała kobieta.

Mężczyzna uniósł rękę jakby w błogosławieństwie.

- Utraciliśmy nasze rodziny, rodziny Boga. Żyjąc w grzechu, w homoseksualizmie i rozwiązłości oraz podążając drogami Araba i Żyda, pogańskich bogów sieci i telewizji, zboczyliśmy ze ścieżki Boga, a kara boska spada szybko. - Z jękiem machnął ręką na szepczące na półkach książki. - Nie powinno się szukać Jego prawdy w głosach diabelskich maszyn.

Kaye zmrzążyła oczy. Poczula nagły gniew, jakimś cudem trzymany w ryzach, choć był żarłoczny, jakby była jastrzębiem, a oni gołębiami. Kobieta dostrzegła zmianę. Mężczyzna nie.

- Terence - powiedziała kobieta i dotknęła łokcia mężczyzny. Ten oderwał wzrok od sufitu, napotkał stanowczy wzrok Kaye i utknął w swej gadce, zająkując się ze zdziwienia i poruszając mocno jabłkiem Adama.

- Jestem sama - powiedziała Kaye. Rzuciła to jak przynętę, mając nadzieję, że ją chwyca, a wtedy będzie ich miała. - Mąż właśnie wyszedł z więzienia. Córka jest w szkole.

- Tak mi przykro. Czy dobrze się pani czuje? - zapytała nieznajoma z mieszaniną podejrzliwości i troski.

- Jakiego rodzaju córka? - spytał mężczyzna. - Córka grzechu i choroby? - Kobieta mocno szarpnęła go za rękaw. Jabłko Adama nieznajomego znowu poszło w górę, a ich spojrzenia skakały po jej ubraniu jakby w poszukiwaniu podejrzanych wypukłości.

Kaye wykręciła ramiona i wystawiła rękę, aby utorować sobie przejście.

- Znam panią - ciągnął mężczyzna pomimo szarpania żony. - Poznałem panią teraz. Jest pani naukowcem. Odkryła pani chore dzieci.

Poczucie przytłoczenia przejściem między regałami ścisnęło mocno gardło Kaye. Zakasłała.

- Muszę iść.

Mężczyzna dokonał ostatniego wysiłku, bardzo odważnego, aby do niej dotrzeć.

- Nawet naukowiec z samolubną miłością do własnego umysłu, duszący się w sławie telewizyjnej, może się nauczyć, jak poznać Boga.

- Czy zwracacie się do Niego? - zapytała Kaye. - Czy rozmawiacie z Bogiem? - Złapała mężczyznę za rękę, zacisnęła paznokcie na rękawie i ciele pod nim.

- Nieustannie się modlę - odparł mężczyzna, cofając się przed nią. - Bóg jest moim Ojcem w Niebie. Zawsze nas słucha.

Kaye wzmocniła uchwyt.

- Czy Bóg choć raz panu odpowiedział? - pytała dalej.
- Jego odpowiedzi są liczne.
- Czy kiedykolwiek poczuł pan Boga w swej głowie?
- Proszę. - Mężczyzna się wywijał.
- Niech go pani puści! - zażądała kobieta, próbując wepchnąć między nich rękę.
- Bóg nie przemówił do pana? Jakże to dziwne. - Kaye szła, zmuszając, aby się cofali. -

Czemu Bóg nie miałby do pana mówić?

- Boimy się Boga, modlimy, a On odpowiada na wiele sposobów.

- Boga nigdy nie ma w pobliżu, gdy robi się paskudnie. Jakiegoż rodzaju jest to Bóg? Jest jak zarejestrowane przesłanie, można by rzec boska usługa telefoniczna, połączenie z którą ulega zawieszeniu, kiedy krzyczymy. Wyjaśnijcie to mi. Bóg mówi, że mnie kocha, ale zesłał mnie na świat cierpienia. Was, tak pełnych nienawiści, tak pełnych niewiedzy, zostawił samych. Zadufanych w sobie bigotów nawet nie tyka palcem. Wyjaśnijcie mi to!

Puściła ramię mężczyzny.

Para odwróciła się z przerażeniem w oczach i uciekła.

Kaye stała, zaś szemrzące książki zapadały w milczenie za jej plecami. Ciężko dyszała, a policzki miała zarumienione i wilgotne.

- W porządku - powiedziała do pustego przejścia.

Odczekawszy trochę, aby uniknąć spotkania z parą na ulicy, opuściła księgarnię. Nie zwróciła uwagi na niechętnie spojrzenie strażnika.

Stała pod okapem, dysząc mocno w upale i wilgoci, nasłuchując prawdziwych grzmotów, rozbrzmiewających daleko stąd, nad Wirginią. Samochód służbowy wyjechał z ząbka i zatrzymał się naprzeciw księgarni, przy żółtym krawężniku z czarnymi paskami.

- Przepraszam - powiedział kierowca. Kaye spojrzała przez szybę limuzyny i po raz pierwszy spostrzegła, jak młody jest i jak zmęczony. - Ochrona księgarni zignorowała moje uprawnienia.

Nie znalazłem miejsca do zaparkowania. Cholerny strażnik wycelował we mnie kaburą. Jezu Chryste, pani Rafelson, przepraszam. Czy wszystko w porządku?

**Senat, Budynek im. Harta**

**Sesja plenarna Senackiego Komitetu Nadzorczego**

**nad Urzędem Stanu Wyjątkowego, zamknięte przesłuchanie**

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia**

Mark Augustine czekał cierpliwie w przedsiönku, dopóki nie wezwano go do zajęcia miejsca. Nazwano go słusznie byłym dyrektorem Urzędu Stanu Wyjątkowego. Dziewięcioro senatorów zgromadzonych na tę nadzwyczajną sesję wieczorną - pięcioro republikanów i czworo demokratów - przez kilka minut wymieniało nieszczerę uprzejmości. Dwaj demokraci zwrócili uwagę, by zapisać do protokołu, że spóźniła się obecna dyrektor. A także, że nie pojawił się senator Gianelli.

Przewodnicząca, senator Julia Thomasen ze stanu Maryland, wyraziła swe oburzenie i zainteresowała się, kto zwołał to posiedzenie. Nikt tego nie wiedział.

Posiedzenie rozpoczęło bez dyrektor i Gianellego, a ponieważ nie miało żadnego jasnego powodu ani określonego tematu, przeszło szybko w pełną uszczypliwość dyskusję nad wydarzeniami, które przed trzema laty doprowadziły do zdymisjonowania Marka Augustine'a.

Augustine zasiadł w swym krześle, splótł dłonie na kolanach i słuchał wystąpień senatorów. Po raz pięćdziesiąty trzeci w swej karierze występował przed Senatem jako świadek. Władza nie robiła na nim wrażenia. Co najwyżej jej brak. A w jego odczuciu wszyscy w tej sali byli niemal całkowicie pozbawieni władzy.

I - jeśli pogłoski mówiły prawdę - właśnie to, czego nie wiedzieli, było cierniem w ich tyłkach.

Będący w mniejszości demokraci na kilka minut przejęli przewodnictwo, zρέcznie wprowadzając do protokołu swoje komentarze. Reprezentujący Arizonę senator Charles Chase zaczął przesłuchiwanie Augustine'a z parlamentarną uprzejmością. Jego pytania szybko skupiły się na roli stanu Ohio w śmierci dzieci SHEVY.

- Pani przewodnicząca! - ryknął senator Percy z Ohio. - Odrzucam sugestię, że stan Ohio był w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialny za to niepowodzenie.

- Panie senatorze Percy, głos ma pan senator Chase - przypomniała mu senator Thomasen.



- Odrzucam całą tę tematykę! - ryczał dalej Percy.

- Zanotowane. Proszę mówić, panie senatorze - zwróciła się Thomasen do Chase'a.

- Pani przewodnicząca, podążam jedynie za rozumowaniem, jakie w zeszłym tygodniu zapoczątkował pan senator Gianelli, którego, mam nadzieję, nie powstrzymały dzisiaj kłopoty ze zdrowiem, a przynajmniej nie te spowodowane przez wirusa.

Nikt na sali spośród senatorów się nie zaśmiał. Chase mówił dalej, nie tracąc rezonu.

- Nie miałem zamiaru w niczym urazić pana senatora z Ohio.

Senator Percy omiół ruchem ręki całe pomieszczenie, jakby chciał pokazać, że z chęcią wyrzuciłby ich wszystkich przez okno.

- Wina osobowa nie powinna zaciążyć na tak pięknym stanie.

- Nie podważam bynajmniej reputacji Ohio, stanu, w którym się urodziłem, pani przewodnicząca. Czy mogę kontynuować zadawanie pytań?

- Do czego u licha zmierzasz, Charlie? - zapytał Percy. - Możemy skorzystać z twego bystrego wzroku. - Uśmiechnął się do prawie pustej sali. Jedynie występujący senator - albo podstarzały aktor wodewilowy - potrafił sobie wyobrazić nieistniejącą publiczność, pomyślał z rozbawieniem Augustine. Rozplótł dłonie, aby palcami lekko zabębnić po stole.

- Przewodnicząca prosi o poskromienie niepokohowanego koleżeństwa.

- Już skończyłem, pani przewodnicząca - oznajmił Percy, siadając i splatając dłonie na karku. Augustine popijał powoli wodę ze szklanki.

- Może nasze pytania powinny być ściślej ukierunkowane, dotyczyć bardziej odpowiedzialności, a mniej geografii - zasugerowała Thomasen.

- No słucham, słucham - rzucił Percy.

- Czy kiedy kierował pan systemem szkół podlegających Urzędowi Stanu Wyjątkowego, dostarczał pan do nich wszystkich - nawet tych podlegających stanom - określone na szczeblu federalnym przydziały zapasów środków medycznych? - pytał w dalszym ciągu Chase.

- Dostarczaliśmy, panie senatorze - odparł Augustine.

- Czy dostawy te obejmowały środki antywirusowe, które mogłyby uratować tamte nieszczęsne dzieci?

- Obejmowały.

- Ile stanów miało te środki w ilościach wystarczających do leczenia chorych dzieci?

- Pięć lub sześć, jeśli uwzględnić terytorium Puerto Rico.

- Czy mój stan, panie doktorze, był jednym z tych pięciu?

- Był, panie senatorze - odpowiedział Augustine.

Senator milczał, pozwalając, aby ta odpowiedź dotarła do wszystkich.

- Dostawy środków antywirusowych były dostateczne, aby podawać je dzieciom, które przetrzymywaliśmy... którymi się opiekowaliśmy. Arizona utraciła znacznie mniej dzieci niż większość innych stanów. A dostawy te były bezpieczne, gdyż Arizona nie starała się kontrolować i przejmować zapasów wyznaczonych na szczeblu federalnym dla szkół Urzędu Stanu Wyjątkowego, których zabieranie było wspierane przez republikańską większość, jeśli dobrze pamiętam?

- Tak jest, panie senatorze. - Augustine ponownie puknął palcem w stół. Nie była to odpowiednia pora na poruszanie sprawy Arizony. Krążyły pogłoski, że w tamtejszych szkołach przetrzymywano dzieci dysydentów. Oczywiście nie miał już dostępu do list tych dzieci.

- Czy to sprawiedliwe, że wskutek owego niepowodzenia utracił pan pracę? - zapytał Chase.

- To część szerszego obrazu - odpowiedział Augustine.

- Znaczna część, jak sędzę.

Augustine ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

- Czy nadal jest pan konsultantem Dyrekcji Urzędu Stanu Wyjątkowego?

- Pracuję jako doradca do spraw wirusa dyrektora National Institutes of Health. Nadal mam swój gabinet w Bethesdzie.

Chase przejrzał swoje dokumenty, szukając dalszych materiałów, po czym dodał:

- Pańska gwiazda nie zgasła całkowicie na firmamencie tej dziedziny?

- Nie sędzę, panie senatorze.

- A jaki jest tegoroczny budżet instytucji? - Chase spojrział z miną niewiniątka.

- Spośród nas wszystkich, ty pierwszy powinieneś go znać, Charlie - mruknął senator Percy.

- Budżet Urzędu Stanu Wyjątkowego nie podlega corocznemu zatwierdzaniu przez Kongres ani nie jest bezpośrednio dostępny kontroli publicznej - wyjaśnił Augustine. - Sam nie znam dokładnych liczb, ale bieżący budżet szacuję na ponad osiemdziesiąt miliardów dolarów - jest dwa razy wyższy niż w czasach, gdy byłem dyrektorem. Obejmuje to wydatki na badania i rozwój w sektorze prywatnym i państwowym.

Zasepiona Thomasen rozejrzała się po sali.

- Pani dyrektor się ociąga.

- Nie zjawiała się, aby bronić siebie - zauważył Percy z rozbawieniem. Thomasen wskazała skinięciem głowy, aby Chase mówił dalej, a następnie naradziła się z asystentem.

Chase przeszedł do swego ulubionego tematu.

- Urząd Stanu Wyjątkowego został objęty jednym z największych programów rządowych w dziejach narodu, a w trakcie jego działania skutecznie zwalczał wszelkie próby ograniczania jego zasięgu oraz podważania jego konstytucyjności i to w okresie drastycznych spadków wpływów z podatków, zgadza się?

- Wszystko to prawda - potwierdził Augustine.

- I z tego budżetu, corocznie zatwierdzanego przez rządy republikańskie i demokratyczne, USW wydawał dziesiątki milionów dolarów na prawników broniących jego wątpliwej legalności, zgadza się?

- Jak najbardziej, panie senatorze.

- A czy choć trochę przejmował się pragnieniami Kongresu albo komitetu nadzorującego USW? Choćby w postaci przybywania dyrektora, kiedy tylko był on wzywany?

Senator Percy z Ohio dmuchnął w mikrofon, sprawiając wrażenie, że w sali powiała wichura.

- Do czego zmierzamy, pani przewodnicząca? Czyż i bez tego nie jesteśmy zniesławiani i obrzucani błotem?

- Straciliśmy siedemdziesiąt pięć tysięcy dzieci, panie senatorze Percy! - ryknął Chase. Percy natychmiast się odciął.

- Zabiła ich choroba, panie senatorze Chase, a nie moi wyborcy, ani też żadni normalni obywatele - prawdziwi obywatele - mojego wielkiego stanu, czy tego pięknego kraju. - Percy unikał piorunującego wzroku senatora z Arizony.

- Panie doktorze Augustine, czyż nauka nie stwierdziła, że ta nowa odmiana zakażenia wirusem Cocksackie powstała wśród tak zwanej normalnej populacji dorosłych, częściowo wskutek rekombinacji pradawnych genów wirusowych niewystępujących u dzieci SHEVY? - zapytał Chase.

- Stwierdziła - odparł Augustine.

- Nie zgadza się z tym wielu wybitnych uczonych - powiedział Percy i podniósł rękę, jakby dla powstrzymania nagłego uderzenia młotka przewodniczącej.

- I czy nie przewidywał pan zupełnie odwrotnego zagrożenia czternaście lat temu, co praktycznie doprowadziło do ustanowienia Urzędu Stanu Wyjątkowego?

- Zupełnie odwrotnego... - powtórzył Augustine, unosząc brwi.

- Twierząc, panie doktorze, że to dzieci stworzą nowe wirusy, które zabiją nas.

Augustine przytaknął.

- Twierdziłem tak.

- Czy nauka wyklucza już całkowicie taką możliwość, doktorze Augustine? - zapytał Percy.

- Nic takiego nie nastąpiło, panie senatorze - odparł łagodnie Augustine.

Percy nie popuszczał.

- To nie wszystko, doktorze Augustine. Pan stworzył tę teorię. Czy nie jest prawdopodobne, że taki śmiertelny atak wirusowy nastąpi wkrótce, albowiem owe dzieci mogą odnosić wrażenie, że są zagrożone, a wiele z tych starych wirusów odpowiada na substancje chemiczne, sterydy czy dowolne inne, które powstają, kiedy jesteśmy nieszczęśliwi albo zestresowani?

Augustine powstrzymał wykrzywienie ust. Senator zdradzał, że odebrał pewne wykształcenie.

- Uważam, że być może dzieci nadstawiły już drugi policzek i nadeszła pora, abyśmy to my okazali im odrobinę miłosierdzia. Możemy choćby częściowo zmniejszyć ich stres. Powinniśmy też przyjmować je takimi, jakie są, a nie uważać za takie, jakie mogą być w naszych obawach.

- Są zmutowanymi produktami śmiertelnej choroby wirusowej - powiedział Percy, poprawiając mikrofon ze zgrzytliwym piskiem.

- Są naszymi dziećmi - odparł Augustine.

- Nigdy! - krzyknął Percy.

### 3

#### **Szkoła Urzędu Stanu Wyjątkowego w Sabie Mountain**

#### **Arizona**

Zajęcia popołudniowe Stelli zostały odwołane bez wyjaśnienia; kazano jej pójść do sali gimnastycznej. Budynek był pusty i piłka do koszykówki wywoływała echo każdym głośnym odbiciem.

Stella pobiegła na skraj boiska, znoszone tenisówki piszczały na pokrywającej twardej beton gumowatej farbie. Okręciła się, aby dobić odbitą od tablicy piłkę, i zobaczyła, jak ta krąży po obręczy, chwieje się i wpada. Nie było siatki, która zwolniłaby spadek piłki. Stella złapała ją zręcznie, gdy piłka odbiła się od podłoża, i pobiegła przez boisko, aby powtórzyć rzut. Mitch nauczył ją rzucać do obręczy, gdy miała osiem lat. Pamiętała trochę przepisy gry,

ale słabo.

Koleżanka Stelli z tego samego łóżka piętrowego, czarnowłosa Celia Northcott, przyszła na boisko piętnaście minut później. Celia była o rok od niej młodsza, ale wyglądała na bardziej dojrzałą. Urodziła się bliźniaczką, ale jej siostra zmarła, gdy miała zaledwie kilka miesięcy. Zdarzało się tak często u bliźniąt SHEVY, zwykle przeżywało tylko jedno. Northcott swe skłonności do smutku nadrabiała powierzchowną wesołością, która czasami drażniła Stellę. Była pełna pomysłów i zapewne najbardziej ze wszystkich paliła się do tworzenia demów - ugrupowań społecznych dzieci SHEVY - oraz do planowania, jak będą żyli, kiedy dorosną.

Trzymała się za rękę - nadgarstek miała obwiązany bandażami - i skrzywiła się, gdy Stella złapała piłkę i zadała jej pytanie błyskami cętek i spojrzeniem.

- Krew - odpowiedziała Celia i usiadła po turecku na skraju boiska. - Jakiś galon.

- Dlaczego? - spytała Stella.

- Skąd niby mam wiedzieć? KUK/w nocy śnił mi się koszmar. - Język Celii utknął i zakończyła gardłowym pomrukiem, który niemal zagłuszył jej podmowę. Nie była najlepsza w podwójnym mówieniu. Ktoś, nigdy się nie dowiedziała kto, próbował okaleczyć jej język, gdy miała osiem lat. Zdradziła to Stelli późno w nocy, kiedy ta znalazła ją skuloną w kącie baraku, płaczącą i pachnącą szczypiącą język cebulą. Gładki grzebień, występujący u większości dzieci, był w przypadku Celii białą szramą, dlatego czasami mówiła niewyraźnie albo wstawiała twarde, gdakliwe dźwięki.

Stella przycupnęła przy Celii i lekko odbijała dłonią piłkę, utrzymując ją w obręczy utworzonej z nóg. Nikt nie wiedział, dlaczego wychowawcy pobierali tak wiele krwi, ale po odwiedzinach w szpitalu zwykle następowało przygnębienie albo niezwykle zachowanie; tyle tylko Stella się domyślała. - Jak długo cię trzymali?

- Od rana.

- Coś nowego w szpitalu? - Tak nazywali budynek kierownictwa, przylegający do domów z sypialniami wychowawców i nauczycieli. Wszystko to mieściło się poza zwieńczonym drutem kolczastym ogrodzeniem, który otaczał rewiry chłopców i dziewcząt.

Celia pokręciła głową.

- Na śniadanie dali mi owsiankę i jajka - powiedziała. - I dużą szklanekę soku pomarańczowego.

- Czy zrobili ci biopsję?

Celia przygryzła wargę i pozwoliła, aby rozszerzyły się jej źrenice.

- Nie. Kto miał-KUK biopsję?

- Beth Fremont powiedziała, że usłyszała to od jednego z chłopców. Wzięli mu prosto z... no wiesz. - Wskazała w dół i poklepała piłkę.

- Fiuuu. - Celia gwizdnęła przez język.

- Co ci się śniło? - spytała Stella.

- Nie pamiętam. Ale obudziłam się z krzykiem.

Stella polizała wnętrze dłoni, czując farbę boiska, starą gumę piłki oraz odrobinę kurzu i brudu z butów innych graczy. Potem wyciągnęła dłonie, aby Celia przytknęła do nich swoje. Ręce koleżanki były wilgotne. Celia przycisnęła je i potarła, westchnęła i po chwili rozłożyła.

- Dzięki - powiedziała ze spuszczonej oczyma. Jej policzki zabłysły cętkami barwy miedzi i pozostały takie jakiś czas.

Stella sztuczki ze śliną nauczyła się od innej dziewczynki kilka tygodni po przyjeździe do szkoły.

Otworzyły się drzwi sali gimnastycznej i weszła panna Kinney, prowadząc dziesięć innych dziewcząt. Stella знаła ze swojej sypialni LaShawnę Hamilton i Torry Butler; wiedziała, jak nazywa się większość innych, ale nigdy nie należała z nimi do jednego demu. Znała też pannę Kinney, trenerkę dziewcząt, która teraz zawiodła nowo przybyłe na boisko. Z jej ramienia zwisał wielki worek pełen piłek.

- Może trochę poćwiczycie? - zapytała Celię i Stellę panna Kinney.

- Boli ją ręka - powiedziała Stella.

- Czy możesz kozłować i rzucać? - spytała Celię panna Kinney. Miała jakieś pięć stóp dziewięć cali wzrostu, czyli trochę mniej od Stelli. Była szczupła i silna, o długim, kształtnym nosie i wielkich zielonych oczach, jak u kota.

Celia wstała. Nigdy nie odrzucała wyzwania rzucanego przez wychowawcę czy nauczyciela. Uważała się za twardą.

- Dobrze - powiedziała panna Kinney. - Przyniosłam koszulki i spodenki. Są podarte, ale ujdą. Nałóżcie je. Pora sprawdzić, co potraficie.

Stella z grymasem poprawiła workowate spodenki i próbowała skupić się na piłce. Panna Kinney zza linii bocznej pobudzała Celię zachętami.

- Nie wachaj wiatru. Rzucaj!

Wszystkie dziewczęta na boisku zrobiły sobie przerwę w połowie ćwiczeń w rzucaniu. Stella popatrzyła na Celię, najlepszą trafianiu piłką w jej pięcioosobowej drużynie.

Panna Kinney podbiegła rozdrażniona i przybrała swą najlepszą minę typu „jestem

cierpliwa". Stella nie mogła wytrzymać jej twardego wzroku.

- Co w tym tak trudnego? - zapytała panna Kinney. - Powiedz mi. Chcę wiedzieć.

Stella jeszcze bardziej opuściła oczy.

- Nie wiemy, jaki to ma sens.

- Spróbujemy czegoś innego. Będziecie rywalizować - poleciała panna Kinney. - Zagracie przeciwko sobie w parach, poćwiczycie i nabierzecie koordynacji ruchów. To niezła zabawa.

- Zdobywałybyśmy więcej punktów, gdybyśmy same utworzyły drużyny - powiedziała Stella. - Jedna drużyna miałaby trzy osoby spowalniające inne, gdyby te wchodziły za szybko. Siedem grałoby w drugiej i zdobywało kosze. - Zastanawiała się, czy dobrze to tłumaczy, ale tak naprawdę to nie bystrości oczekiwała po nich panna Kinney.

- Nie tak się to robi - odparła panna Kinney, stając się niebezpiecznie cierpliwa. Nigdy nie bywała naprawdę rozzłoszczona, ale w Stelli budziło lęk, że potrafiła trwać w wielkim gniewie i tego nie okazywać. Nauczycielka pachniała wtedy nieprzyjemnie.

- No niech nam pani powie, jak to-KUK się robi - poprosiła Celia. Podeszła wraz z LaShawną. Celia była o cal wyższa od Stelli, miała prawie pięć stóp jednaście, a LaShawna, niższa od panny Kinney, jakieś pięć stóp siedem. Celia miała zwykłą oliwkową, prawie brązową skórę i miękkie, rudawe włosy, które nigdy nie wiedziały, w którą stronę rosnać ani jak trzymać się razem na głowie. LaShawna była ciemniejsza, ale niewiele, z pięknie się kręcącymi, czarnymi włosami, tworzącymi aureolę opadającą na uszy i sięgającą do ramion.

- To nazywa się gra. No, dziewczęta, wiecie, czym jest gra.

- Bawimy się - odparła obronnym tonem Stella.

- No oczywiście, że się bawicie. Wszystkie mały się bawią - powiedziała nauczycielka.

Stella i LaShawna się uśmiechnęły. Panna Kinney bywała czasami bardziej otwarta i bezpośrednia od innych nauczycieli. Lubiły ją, przez co denerwowanie jej budziło jeszcze większe przygnębienie.

- To zorganizowana zabawa. Jesteście przecież dobre w organizowaniu? Czego tu nie rozumiecie?

- Drużyn - odpowiedziała LaShawna. - Drużyny są jak demy. Ale demy same się dobierają. - Uniosła ręce i rozłożyła je za uszami, przez co te wyglądały jak słoniowe. Był to znak; wiele nowych dzieci robiło tak, nie rozumiejąc naprawdę dlaczego. Nauczyciele myśleli czasami, że postępują sprytnie, ale nie panna Kinney.

Popatrzyła na „uszy" LaShawny, mrugnęła i powiedziała po raz dziesiąty:

- Drużyny to nie demy. Współpracujcie tu ze mną. Drużyna jest tymczasowa i fajna. To ja wybiorę dla was strony.

Stella zmarszczyła nos.

- Dobiorę graczy o uzupełniających się umiejętnościach. Pomogę ukształtować drużynę. Zrozumiecie, jak to działa, jestem pewna.

- Pewnie - powiedziała Stella.

- Potem zagrać przeciwko drugiej drużynie, a dzięki temu wszystkie staniecie się lepszymi zawodniczkami. A ponadto poćwiczycie.

- Jasne - uznała Stella. Jak dotąd brzmiało dobrze. Na próbę pokozłowała piłką.

- Spróbujmy jeszcze raz. Tylko na próbę. Celia, kryjesz Stellę. Stella, biegnij pod kosz.

Celia cofnęła się, przysiadła i rozłożyła ręce, jak poleciła jej panna Kinney. Stella odbijała piłkę, zrobiła krok naprzód, przypomniała sobie przepisy i dryblując, pobiegła w stronę kosza. Podłogę boiska wyznaczały linie i półkola. Stella czuła zapach Celi i wiedziała, co ta chce zrobić. Stella zbliżyła się do niej, a ta usunęła się na bok z pełnym wdzięku machnięciem rąk, ale bez żadnych oznak czy prób przyjścia jej z pomocą, i trochę zmieszana Stella rzuciła piłką. Ta odbiła się od tablicy, nie dotykając nawet kosza.

Stella skrzywiła się na Celię.

- Powinnaś była próbować ją zatrzymać - powiedziała do Celi panna Kinney.

- Nie pomagałam jej. - Celia popatrzyła przepaszająco na Stellę.

- Nie, chodzi mi o to, że powinnaś była c z y n n i e próbować ją zatrzymać.

- Przecież to byłby faul - powiedziała Celia.

- Jedynie gdybyś uderzyła ją w rękę, popchnęła lub wbiegła w nią.

- Przecież wszystkie chcemy rzucać kosze i mieć radość - wyjaśniła Celia. - Gdybym przeszkodziła jej w wykonaniu rzutu, zdobyłaby przecież mniej punktów?

Miss Kinney wzniosła oczy do sufitu. Poczzerwieniła.

- Macie chcieć rzucać jak najwięcej koszy dla swojej drużyny i powstrzymywać drugą drużynę przed zdobywaniem jakichkolwiek punktów.

Celia zmęczyła się rozważaniem tego wszystkiego. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Myślałam, że staramy się zdobywać jak najwięcej koszy.

- Dla swojej drużyny - powiedziała pani Kinney. - Czemu to nie jest jasne?

- Boli, gdy inni przez nas przegrywają - stwierdziła Stella, rozglądając się po boisku, jakby szukała drzwi, którymi mogłaby uciec.

- Och, phoooooszę cię, Stella, to tylko gra! Gracie przeciwko sobie. Nazywamy to s p o r t e m. Potem wszystkie mogą znowu być przyjaciółkami. Nic w tym złego.



- Widziałam kiedyś zamieszki po meczu piłki nożnej - powiedziała LaShawna. Panna Kinney wzniosła oczy do sufitu. - Byli ranni - dodała oskarżycielsko LaShawna.

- Sport wywołuje wielką pasję - przyznała panna Kinney. - Ludzie się przejmują, ale zawodnicy zwykle nie robią sobie krzywdy.

- Wpadali na siebie, przewracali się i długo leżeli. Ktoś powinien był ich ostrzec, że mogą się zderzyć - powiedziała Crystal Newman, mająca srebrzystobiałe włosy i pachnąca jak nowy rodzaj drzewa cytrusowego.

Panna Kinney wskazała dwunastu dziewczętom, aby poszły po metalowe krzesła stojące za liniami boiska. Ustawiły krzesła w krąg i usiadły.

Panna Kinney wzięła głęboki oddech.

- Chyba coś pominęłam - powiedziała. - Stello, jak chciałabyś grać?

Stella się zastanowiła.

- Dla ćwiczeń mogłybyśmy pchać-ciągnąć, wirować, kroczyć, no wie pani, jak w tańcu. Gdybyśmy chciały nauczyć się lepiej biegać, albo lepiej rzucać kosze, mogłybyśmy urządzić szkółki biegania. Jedne dziewczyny tworzyłyby faliste kanały i owale, a drugie biegałyby tymi kanałami. Dziewczyny z falistych kanałów mogłyby im mówić, co robią niedobrze. - Umyślnie nie wspomniała pannie Kinney o uspokajaniu śliną, uderzaniem się dłońmi przez wszystkich graczy, co widziała na meczach ludzkich zawodników. - Potem biegaczki mogłyby rzucać kosze z kanałów i z różnych odległości, aż potrafiłyby trafiać z każdego miejsca na boisku. Byłoby wtedy więcej punktów, prawda?

Panna Kinney przytaknęła, przez chwilę nadążając.

- Za każdym razem biegaczki i tworzące kanał zamieniałyby się miejscami. Po kilku godzinach, założę się, większość z nas potrafiłaby rzucać kosze naprawdę dobrze, a gdybyśmy dodały wszystkie punkty, drużyny miałyby ich więcej niż gdyby, no wie pani, walczyły z sobą. - Stella przemyślała to bardzo głęboko i po chwili jej twarz się rozjaśniła. - Może byłoby w meczu z tysiąc punktów.

- Nikt by nie chciał tego oglądać - powiedziała panna Kinney. Zdradzała teraz oznaki wyczerpania, ale na jej ustach błąkał się zabawny uśmiezek, którego Stella nie potrafiła odczytać. Popatrzyła teraz na czerwone światełko, migające na włączaczu przy pasie panny Kinney. Panna Kinney wyłączyła włączacz przed lekcją, może dlatego, że jego maleńki, piskliwy alarm ćwiczące dziewczęta często przypadkiem uruchamiały, chociaż starały się panować nad sobą.

- Ja bym oglądała! - zapewniła Celia, wpadając jej w słowo. - Mogłabym się nauczyć, jak szkolić ludzi w ruchach, no wie pani, znakami. - Zerknęła konspiracyjnie na Stellę i

dodała w tle/*Znakami i zapachami i śliną, oczu kręceniem i brwi marszczeniem*. Była to piosenka, którą czasami śpiewały cicho w sypialniach przed zaśnięciem. - To naprawdę byłoby fajne.

Inne dziewczęta potwierdziły, że rozumiałyby ten rodzaj gry.

Panna Kinney podniosła rękę i pomachała nią w przód i w tył, jakby trzymała chorągiewkę.

- Jak to? Nie lubicie rywalizacji?

- Lubimy pchaj-ciagnij - powiedziała Stella. - Robimy to bez przerwy. Na podwórku, w spacerniaku.

- Wtedy, jak tańczycie sobie? - spytała panna Kinney.

- To może być przechadzka albo pchaj-ciagnij - oznajmiła Harriet Pincher, najmocniej zbudowana dziewczyna w grupie. - Dłonie pocą się od przechadzki. Pozostają suche od pchaj-ciagnij.

Stella nie wiedziała, jak zacząć wyjaśniać różnicę. Spocone dłonie w dotyku grupowym mogą wywoływać wszelkiego rodzaju zmiany. Poszczególne osoby mogą stawać się silniejsze, bardziej chętne do przewodzenia albo mniej agresywne, albo po prostu siedzieć cicho podczas zebrania demu, jeśli do niego dojdzie. Suche dłonie oznaczają pchnij-ciagnij, a to jest mniej poważne, bardziej przypomina zabawę. Dem musi być nieustannie przystosowywany, a jest na to mnóstwo sposobów, jedne są zabawne, inne przypominają bardziej ciężką pracę.

Zdarza się, choć rzadko, że przystosowywanie demu wymaga silniejszych środków. Kilka widzianych przez nią takich prób doprowadziło do dość paskudnych skutków. Nie chciała wspominać o tym teraz, choć panna Kinney wyglądała na szczerze zainteresowaną.

Przystosowywanie się do ludzi było zagadką. Od nowych dzieci spodziewano się takiego przystosowywania, a było to trudne.

- Chodźcie - powiedziała panna Kinney, wstając. - Spróbujcie raz jeszcze. Poprawcie mi humor.

## 4

### Ośrodek Patogenezy

### Oddział Oceny Zagrożenia Wirusowego

### Laboratorium Sandia

### Nowy Meksyk

- Wymyślamy mnóstwo aptronimów, aby nie dać się zwariować - powiedział Jonathan Turner, podjeżdżając wózkiem golfowym do betonowej budki strażnika.

- Aptronimów? - zapytał Christopher Dicken.

Słońce zachodziło w sposób typowy dla Nowego Meksyku - nagle i trochę dramatycznie. Lampy halogenowe włączały się nad całym zespołem, rozpalając jasny, sztuczny dzień nad budynkami o prostej i często straszliwie brzydkiej architekturze.

- Nazwisk pasujących do zajęcia. Dam panu przykład - wyjaśnił Turner. - Mamy tu w Sandii lekarza nazwiskiem Polk<sup>5</sup>. Asa Polk.

- Aha - rzucił Dicken. Budka strażnika była pusta. Coś małego i białego przesuwało się w przód i w tył za mlecznymi szybami jej okienka. Ze ściany wystawała długa stalowa rura. Dicken chusteczką otarł pot z policzków i czoła. Pocił się nie tylko z upału. Nie lubił swej nowej roli. Nie lubił tajemnic.

A najbardziej nie lubił wchodzenia do brzucha bestii. Turner podążył za jego wzrokiem.

- Nikogo tam nie ma - powiedział. - Nadal trzymamy ludzi przy głównych bramach, ale tu mamy automatycznego strażnika. - Dicken dostrzegł siatkę purpurowych promieni przesuwaną się najpierw po twarzy Turnera, a potem jego.

Za bramą zapaliło się zielone światło.

- Okazał się pan tym, którego nam zapowiedziano, doktorze Dicken - ciągnął Turner. Sięgnął do pudełeczka pod deską rozdzielczą i wyjął plastikową torebkę z napisem ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE. - Poproszę o szmatki, chusteczki higieniczne z pańskich kieszeni, wszystko używane do wycierania ciała. Niczego takiego nie można wnosić ani wnosić. Wystarczająco złe są już ubrania.

Dicken wrzucił chusteczkę do torebki, a Turner zamknął ją i włożył do małego metalowego kosza na śmieci. Betonowe i żelazne zapory opuściły się i cofnęły.

- W księgowości mamy pana Ledgera<sup>6</sup> - powiedział Turner, gdy przejeżdżali. - A w statystyce doktor Damlye<sup>7</sup>.

- Pracowałem kiedyś z patologiem nazwiskiem Boddy<sup>8</sup> - wtrącił Dicken.

Turner kiwnął głową w tymczasowym uznaniu.

- Jeden z naszych geniuszy od arbowirusów ma na nazwisko Bugg<sup>9</sup>.

Wózek minął ciemnoszarą wieżę ciśnień i pięć zbiorników gazu pod ciśnieniem, pomalowanych na kolor żółtozielony, potem przejechał pas rozdzielczy wiodący do otoczonego ogrodzeniem terenu z wielką, białą czaszą anteny satelitarnej. Dla większego efektu Turner zatoczył pełen krąg wokół czaszy, potem ruszył w stronę rzędu przysadzistych bungalowów. Dalej, za kilkoma płotami z siatki pod napięciem, zwieńczonymi drutem kolczastym, stało pięć betonowych magazynów; wszystkie razem nazywano „Dom Wariatów”. Płoty patrolowały przysadziste szare roboty i żołnierze taszczący broń automatyczną.

- Znałem kiedyś chirurga plastycznego nazwiskiem Scarry<sup>10</sup> - powiedział Dicken.

Turner uśmiechem wyraził uznanie.

- Mechanik samochodowy nazwiskiem Torker<sup>11</sup>.

- Chemik jądrowy nazwiskiem Mason<sup>12</sup>.

Turner się skrzywił.

- Stać pana na więcej. Może to być niezbędne dla zachowania zdrowia psychicznego, gdy się tu pracuje.

- Mam pustkę w głowie - przyznał Dicken.

- Mógłbym tak całymi dniami. Setki nazwisk, wszystkie poświadczone i sprawdzone.

Żadne bzdurne legendy.

- Myślałem, że wymieniał pan tylko osobistych znajomych.

- Może nie grałem z panem uczciwie - przyznał Turner i zatrzymał wózek na miejscu parkingowym oznaczonym wielkimi literami na białej tablicy: SZYCHA Z DOMU WARIATÓW #3.

- Ginekolog nazwiskiem Box<sup>13</sup>.

---

<sup>5</sup> Polk - z ang. Polkissen cell - komórka mezangium zewnętrznego (w nerce).

<sup>6</sup> Ledger - (ang.) księga główna w rachunkowości.

<sup>7</sup> Parafraza słów *damn lie* - (ang.) wierutne kłamstwo.

<sup>8</sup> Body - (ang.) ciało.

<sup>9</sup> Bug - (ang.) owad, pot. wirus, arbowirusy to wirusy przenoszone przez stawonogi, zwłaszcza kleszcze.

<sup>10</sup> Scar - (ang.) blizna; scary - (ang.) przerażający.

<sup>11</sup> Torker - (ang.) torque - moment obrotowy, termin z mechaniki.

<sup>12</sup> Mason - (ang.) kamieniarz; meson - (ang.) mezon.

<sup>13</sup> Box - (ang.) skrzynka, pot. Suspensorium.

- Antropolog nazwiskiem Mann<sup>14</sup> - powiedział Dicken, zerkając na prawo na zalewane słońcem klatki dla bardziej kudłatych mieszkańców Domu Wariatów, teraz puste. - Nie można zawieść zespołu.

- Treser psów nazwiskiem Doggett<sup>15</sup>.

- Gliniarz z drogówki nazwiskiem Rush<sup>16</sup>. - Dicken poczuł się rozgrzany zabawą.

- Taksjarski nazwiskiem Parker<sup>17</sup> - odciął się Turner.

- Hazardzista nazwiskiem Chip<sup>18</sup>.

- Proktolog nazwiskiem Poker<sup>19</sup> - powiedział Turner.

- Już pan go wymienił.

- Słowo harcerza, to inny - tłumaczył się Turner. - A byłem harcerzem, może mi pan wierzyć lub nie.

- Ze sprawnością leczenia hemoroidów?

- Udało się panu zgadnąć.

Poszli do zwykłych podwójnych drzwi i oświetlonego białą korytarza za nimi. Dicken zmarszczył brwi.

- Patolog nazwiskiem Thomas Shew - powiedział z uśmiechem zakłopotania.

- Jak to?

- T. Shew<sup>20</sup>.

Turner jęknął i otworzył przed Dickenem drzwi.

- Witamy w Domu Wariatów, doktorze Dicken. Inicjacja zaczyna się za pół godziny. Czy potrzebny jest panu wcześniej pit stop? Toalety są z prawej strony. Najczystsze kible w całym świecie chrześcijańskim.

- Nie muszę - odparł Dicken.

- Powinien pan, naprawdę. Inicjację rozpoczyna wypicie trzech butelek piwa Bud Light, a kończą trzy flaszki becka lub heinekena. Symbolizuje to przejście od baraków nieśmierdzącej groźnej nauki do najwyższych komnat w Sandia Pathogenics.

- Nie trzeba. - Dicken klepnął się w czoło. - Skrajny liberał nazwiskiem State<sup>21</sup>.

- Och, to zupełnie inna gra - powiedział Turner.

Zapukał do zamkniętych drzwi pokoju i cofnąwszy się o krok, założył ręce. Dicken

---

<sup>14</sup> Mann - (niem.) człowiek; man - (ang.) człowiek.

<sup>15</sup> Dog - (ang.) pies.

<sup>16</sup> Rush - (ang.) godziny szczytu (w ruchu drogowym).

<sup>17</sup> Park - (ang.) parkować; parker - parkujący.

<sup>18</sup> Chip - (ang.) żeton.

<sup>19</sup> Poke - (ang.) wtykać; poker - wtykający.

<sup>20</sup> T. Shew - podobna wymowa jak w ang. tissue - tkanka.

popatrzył na korytarz z pustaków, spuścił wzrok na betonowe rynsztoki po obu jego bokach, podniósł na zraszacze zamontowane co sześć stóp. Na głowicach zraszaczy zawieszono czerwone bądź zielone plakietki, obracające się w powolnym ciągu powietrza wiejącego z północy na południe. Na czerwonych tabliczkach widniał napis: uwaga, roztwór kwasu i detergentu. Drugi system rur i zraszaczy, biegnący po lewej stronie korytarza, miał zielone plakietki z napisem: NAJWYŻSZA UWAGA: DWUTLENEK CHLORU.

Na południowym końcu korytarza obracał się powoli wbudowany w ścianę wielki wentylator. W razie zagrożenia urządzenie miało się wyłączyć, pozwalając, aby korytarz wypełnił gaz sterylizujący. Po odkażeniu tego terenu wentylator wciągnie zatrute powietrze do wielkich komór z płuczkami.

Drzwi do pokoju uchylły się odrobinę. Pulchny mężczyzna o gęstych, czarnych włosach i brodzie oraz bacznych, ciemnozielonych oczach przyjrzał się im podejrzliwie przez szparę, potem się uśmiechnął i wyszedł na korytarz. Cicho zamknął za sobą drzwi.

- Christopherze Dicken, oto szycha numer pięć Domu Wariatów, a może numer cztery, Vassili Presky - przedstawił go Turner.

- Cieszę się ze spotkania pana - powiedział Presky, ale nie podał ręki.

- Nawzajem - odparł Dicken.

- On akurat nie jest maniakiem komputerowym - dodał Turner.

Dicken i Presky popatrzyli nań z lekkimi uśmiezkami niezrozumienia.

- Co takiego? - zapytał Presky.

- *Press-key*<sup>22</sup> - wyjaśnił Turner, zdumiony ich tępotą.

- Wybaczmy panu doktorowi Turnerowi - powiedział Presky ze zbolaną miną.

- Jesteśmy na drugim kroku inicjacji - oznajmił Turner. - W drodze na przyjęcie.

Vassili jest Mówiącym ze Zwierzętami. Kieruje zoo, a także przeprowadza badania.

Presky się uśmiechnął.

- Chce pan jakieś i je mamy. Ssaki, torbacze, stekowce, ptaki, gady, robaki, owady, pająki, skorupiaki, płazińce, nicienie, protisty. grzyby, nawet uprawy ogrodnicze. - Pstryknął palcami i znowu otworzył drzwi. - Przepraszam, takie są przypisy. Muszę się ubrać.

Wyłonił się w szarej tweedowej marynarce z podniszczonymi rękawami.

---

<sup>21</sup> State - (ang.) państwo.

<sup>22</sup> Press-key - (ang.) naciśnij klawisz, komenda komputerowa.

Laboratoria rozchodziły się jak szprychy od piasty. Turner i Presky zabrali Dickena przez szerokie podwójne drzwi ze szkła, potem poprowadzili go szybko labiryntem korytarzy, wiodącym do środka Sandia Pathogenics. Dickenowi zaszumiało w uszach od wzrostu ciśnienia powietrza, kiedy drzwi z sykiem zamknęły się za nimi.

Wszystkie budynki i łączące je korytarze posiadały zraszacze i wentylatory usuwające, a także natryski dla zagrożonych pracowników - wnęki wyłożone stalą nierdzewną z licznymi końcówkami pryszniców, pomieszczenia odkażające ze zdalnie sterowanymi manipulatorami, oznakowane kolorami czerwono-niebieskie skafandry powstrzymujące i izolujące, wiszące za plastikowymi drzwiczkami, oraz obfite zasoby sprzętów medycznych do udzielania pierwszej pomocy.

- Ośrodek Patogenezy to motel dla pluskiew - powiedział Presky. Dicken usiłował rozpoznać jego akcent: rosyjski, pomyślał, ale zmieniony po wielu latach spędzonych w USA.  
- Pluskwy wchodzą, ale nie wychodzą.

- Doktor Presky nie rozumie jak należy naszych piosenek z reklam - wyjaśnił Turner.

- Nie zajmuję się głupstwami - potwierdził Presky. Potem dodał z dumą: - Nigdy też w życiu nie oglądałem telewizji.

Grupa złożona z pięciu mężczyzn i trzech kobiet oczekiwała ich w holu. Kiedy weszli Dicken i dwaj towarzyszący mu naukowcy, witający wzniesli w salucie butelki piwa Bud Light i zawołali porywająco: „Hip, hip, hurra!”.

Dicken stanął w progu i odwzajemnił się powolnym, niezdarnym uśmiechem.

- Nie peszcie mnie - poprosił. - Jestem nieśmiały.

- Nigdy bym nie pomyślał - powiedział bardzo młody mężczyzna o długich, jasnych włosach i grubych, niemal białych brwiach. Miał na sobie dobrze skrojony szary garnitur, stylowo podkreślający jego okazałą sylwetkę, dlatego Dicken uznał go za dandysa. Pozostali wyglądali, jakby ubrania miały ich tylko okrywać, nic więcej.

Dandys zagwizdał krótką melodyjkę, wyciągnął mocną dłoń o kanciastych palcach, skrzyżował dwa palce, potrząsnął ręką w powietrzu, zanim Dicken zdążył ją ująć, a potem się cofnął, kłaniając się służalczo.

- Tajny uścisk dłoni, przykro mi - powiedział Turner, zaciskając usta w wyrazie nagany.

- Symbolizuje kłamstwa i podstęp, a także brak kontaktu ze światem zewnętrznym - wyjaśnił gogus.

- To nie było śmieszne - stwierdziła wysoka, czarnowłosa, wyraźnie garbiąca się kobieta o miłej, nieładnej twarzy z pięknymi niebieskimi oczami. - Nazywa się Tommy

Powers, a ja Maggie Flynn. Jesteśmy Irlandczykami, ale tylko to nas łączy. Proszę mi pozwolić przedstawić panu pozostałych.

Wręczyli mu butelkę piwa. Dicken przywitał się ze wszystkimi. Nikt nie podał mu ręki. Tak blisko centrum ludzie starali się oczywiście w miarę możliwości unikać bezpośrednich kontaktów z sobą. Zastanowił się, jak bardzo cierpi na tym ich życie miłosne.

Po trzydziestu minutach przyjęcia Turner wziął Dickena na bok pod pretekstem zamiany wypitego do połowy piwa Bud na butelkę heinekena.

- No, doktorze Dicken - powiedział. - To przepisowe. Co pan powie o naszych graczach?

- Znają się na robocie - odparł Dicken.

Podszedł Presky z uniesioną w salucie butelką piwa Becks.

- Panowie, czy już pora na spotkanie z szefem?

Dicken poczuł, jak sztywnieją mu plecy.

- No dobrze.

Grupa zamilkła, gdy Turner otworzył boczne drzwi holu, oznaczone na poziomie oczu wielkim czerwonym kwadratem. Dicken i Presky poszli za nim kolejnym korytarzem z pokojami, który sam w sobie był niewinny, ale niewątpliwie miał bogatą symbolikę.

- Reszta zwykle nie dociera tak daleko - powiedział Turner. Szedł powoli obok Dickena, dostosowując się do jego kroku. - Trudno znaleźć ludzi do kręgu wewnętrznego - przyznał. - Wymaga to szczególnego nastawienia umysłu. Ciekawości i błyskotliwości połączonych z całkowitym brakiem skrupułów.

- Nadal mam skrupuły - przyznał się Dicken.

- Słyszałem o tym - powiedział Turner ze śmiertelną powagą i odrobiną krytycyzmu. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim cudem zjawił się pan tutaj. - Uśmiechnął się drapieżnie. - Chociaż ma pan znajomości i niezłą reputację. Może wszystko się wyrównuje.

Presky zdobył się na ironiczny uśmiech. Doszli do szerokich stalowych drzwi. Turner uroczyście wyjął z kieszeni plastikową plakietkę i pozwolił jej dyndać na końcu czerwonej smyczy z nadrukowanymi białymi literami tworzącymi napis „Sandia”.

- Proszę się nigdy nie przyznawać mieszczuchom, że pan tu pracuje - poradził.

Uniósł rękę. Dicken schylił głowę, a Turner zawiesił smycz na jego szyi i się cofnął.

- Dobrze panu pasuje.

- Dziękuję - powiedział Dicken.



- Przed wejściem upewnijmy się, że jesteśmy w systemie.

- A jeśli nie będę?

- Będzie pan miał szczęście - powiedział Presky - jeśli najpierw użyją paralizatora elektrycznego, a nie kul.

Turner pokazał mu, jak przyciskać wewnątrz dłoni do szklanej płytki i patrzeć na czytnik tęczówki.

- System zna pana - powiedział Turner. - Jeszcze lepiej, lubi pana.

- Dzięki Bogu - rzucił Dicken.

- Bogiem jest tutaj bezpieczeństwo - stwierdził Turner. - Bomba atomowa była fajerwerkiem w porównaniu z tym, co jest po drugiej stronie tych drzwi. - Drzwi się otwały. - Witamy na poziomie zerowym. Doktor Jurie nie może się doczekać spotkania z panem.

## 5

### Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Gianelli przemknął przez poczekalnię swego biura. Towarzyszyła mu Laura Bloch, kierująca sztabem jego współpracowników. Twarz miał zaczerwienioną i wyglądał zupełnie tak, jak kiedyś opisał go Mitch: na krawędzi dostania zawału, z wielkim, przyjacielskim uśmiechem pod przenikliwymi oczami.

Kaye stała przy długim stole z żeliwa i marmuru, który zajmował środek holu. Chociaż była tam samotna, czuła się jak karta wyciągnięta z talii.

- Spierają się - powiedziała szeptem Gianellemu Laura Bloch. - Dyrektor się spóźnia.

- Doskonale - odparł Gianelli. - Spojrzał na zegar na ścianie. Była jedenasta. - Gdzie moja gwiazda wśród świadków? - Rzucił Kaye krzywy uśmiech, jego mina wyrażała jednocześnie sympatię i wątpliwość. Kaye wiedziała, że nie wygląda na przygotowaną. Nie czuła się przygotowana. Gianelli kichnął i wszedł do swego gabinetu. Młody agent Secret Service zamknął drzwi i stanął przed nimi na straży, z rękoma założonymi na piersiach i nieodgadzionymi oczyma za przydymionymi szklami okularów.

Kaye odetchnęła.

Niemal natychmiast otworzyły się klonowo-szklane drzwi i senator wychylił zza nich głowę.

- Doktor Rafelson! - zawołał i kiwnął zakrzywionym palcem.

Gabinet był zawalony gazetami, czasopismami i dwoma staroświeckimi komputerami

biurkowymi, zajmującymi w sumie trzy biurka. Na wielkim biurku, stojącym najbliżej okna, leżały książki prawnicze i puste pudełka po chińskim jedzeniu.

Agent zamknął drzwi za Kaye. Powietrze było stęchłe i chłodne. Laura Bloch, po czterdziestce, niska i otyła, o przenikliwych, wylupiastych czarnych oczach oraz aureoli kręconych kruczych włosów wstała i wręczyła Gianellemu wyjęte z aktówki dokumenty.

- Przepraszam za bałagan - powiedział.

- Mówi to wszystkim - dorzuciła Bloch. Jej uśmiech był jednocześnie przyjacielski i niepokojący; mina przypominała Kaye mopsa albo boston teriera. Chyba nie była w stanie patrzeć na kogokolwiek wprost.

- Przez ostatnie dni tu był mój dom. Tutaj jadłem, piłem i spałem. - Gianelli wyciągnął rękę. - Dziękuję, że pani przysłała.

Kaye lekko uściśnęła jego dłoń. Pozostawił jej wybór siły i długości uścisku.

- To Laura Bloch. Jest moją prawą ręką... oraz lewą.

- Już się spotkałyśmy - powiedziała Bloch z uśmiechem. Kaye uściśnęła jej dłoń; była miękka i sucha. Laura wydawała się patrzeć na czoło i nos Kaye. Nagle, irracjonalnie, Kaye ją polubiła i obdarzyła zaufaniem.

Gianellego nie była taka pewna. W ostatnich kilku latach wspiał się niewiarygodnie wysoko. Kaye nie ufała politykom, którzy robili karierę w trudnych czasach.

- Co u Mitcha? - zapytał.

- Nie rozmawialiśmy od kilku tygodni - odparła Kaye.

- Lubię Mitcha - powiedział Gianelli z mocno zaznaczonym wzruszeniem ramion, nieodnoszącym się do niczego. Usiadł za biurkiem, popatrzył ponad zaschniętymi pudełkami i skrzywił się. - Bardzo się zmartwiłem, gdy usłyszałem, co się stało. Okropne czasy. Co u Marge?

Kaye mogłaby odpowiedzieć, że Marge Cross nic jej nie obchodzi, nie w tej chwili. Gianelli przygotowywał się mentalnie na posiedzenie komitetu.

- Przekazuje pozdrowienia - odparła Kaye.

- Miło z jej strony - rzucił Gianelli.

Kaye popatrzyła na portret w ramce, stojący z prawej strony wielkiego biurka.

- Z przykrością usłyszeliśmy o śmierci kongresmana Wickhama - powiedziała.

- Wstrząsnęła nami wszystkimi - szepnął Gianelli, przyglądając się Kaye. - Dała mi jednak potrzebnego kopa, i jestem tutaj. Jestem szczeniakiem i wielu miłych ludzi w tym gmachu jest zdecydowanych nauczyć mnie pokory.

Pochylił się, poważny teraz i w pełni skupiony.

- Czy to prawda?

Kaye wiedziała, o co mu chodzi. Przytaknęła.

- W oparciu o jakie zestawy danych?

- Sprawozdania z obserwacji rozchodzenia się lekarstw Americolu. Dane o spadku zużycia zebrane systemowo z dwóch tysięcy szpitali okręgowych, które zawarły z Americolem umowy epidemiologiczne. - Kaye nerwowo przełknęła ślinę.

Gianelli kiwnął głową, patrząc trochę denerwująco gdzieś ponad jej ramieniem.

- Czy są jakieś źródła rządowe? - zapytał.

- RSVP Plus, LEADER Sił Lotniczych, Virocol CDC, Monitoring Zdrowia Narodu NIH.

- Żadne jednak spoza Urzędu Stanu Wyjątkowego.

- Żadne, choć podejrzewamy, że podsłuchują niektóre z należących do nas systemów śledzących.

- Ile ich będzie? - zapytał Gianelli.

- Dziesiątki tysięcy - odrzekła Kaye. - Może więcej.

- Jezusie, Homerze i Jethro Chryste - rzucił Gianelli i odchylił się w wysokim fotelu, w którym zaskrzypiały stare stalowe sprężyny. Jakby dla uspokojenia siebie, uniośł ręce i splótł dłonie za głowę. - Co z pani córką?

- Jest w obozie w Arizonie - odparła Kaye.

- Stary poczciwy Charlie Chase i jego wspaniały stan Arizona. Ale co u n i e j , pani doktor?

- Jest zdrowa. Znalazła tam przyjaciółki.

Gianelli pokręcił głową. Kaye nie potrafiła odgadnąć, co myśli ani co czuje.

- Spotkanie może być ciężkie - powiedział. - Lauro, przedstawmy pokrótce doktor Rafelson członków podkomitetu.

- Opowiedziano mi o nich w Baltimore - odparła Kaye.

- Nikt nie zna ich lepiej od nas, prawda, Lauro?

- Nikt - potwierdziła Laura Bloch.

- Córka Laury, Anna, zmarła w szkole im. Josepha Goldbergera - powiedział senator.

- Przykro mi - stwierdziła Kaye i nagle jej oczy wypełniły łzy.

Bloch poklepała ją po ręce i zrobiła smutną, choć opanowaną minę.

- Była słodkim dzieckiem - powiedziała. - Trochę marzycielskim. - Wzięła się w garść.

- Będzie pani występować jako świadek przed pawianem, dwiema kobrami, gęsią, wykwalifikowanym małpiszonem i cętkowaną panterą.

- Pawianem jest senator Percy - wyjaśnił Gianelli. - Jakes i Corcoran to kobry, kryjące się w trawie. Bardzo jednak niechętnie należą do tego komitetu i wątpię, aby zapytali panią o cokolwiek.

- Przewodniczącą jest senator Thomasen. To gęś - powiedziała Bloch. - Lubi myśleć, że trzyma w ryzach inne zwierzęta, ale sama nie ma ustalonych poglądów. Senator Chase twierdzi, że jest po naszej stronie...

- Jest małpisonem - wtrącił się Gianelli.

- Nie wiemy jednak, jak zagłosuje, gdy przyjdzie co do czego - dokończyła Bloch.

Gianelli zerknął na zegarek.

- Dam panią na pierwszy ogień. Laura powiedziała mi, że dyrektor nadal tkwi w korku.

- Spóźni się dwadzieścia minut - potwierdziła Bloch.

- Ciężko pracowała, aby objąć dyrekturę USW i zrobić z niego organizację szczebla rządowego, dzięki czemu tylko ona zarządza budżetem. Dyrektor jest naszą panterą. - Gianelli podrapał się palcem wskazującym po górnej wardze. - Oczekujemy od pani odpierania jej propozycji, które niewątpliwie będą niewiarygodnie wredne.

- W porządku - zgodziła się Kaye.

- Będzie tam Mark Augustine - powiedziała Bloch. - Czy stanowi to jakiś problem?

- Nie - odparła Kaye.

- Byliście w dobrych stosunkach?

- Nie zgadzaliśmy się - wyjaśniła Kaye - ale pracowaliśmy razem.

Bloch na moment zrobiła minę wyrażającą powątpiewanie.

- Wykorzystamy nasze szanse - zapewnił Gianelli z sapnięciem.

- Nigdy nie powinieneś liczyć na szansę - doradziła Bloch, wyjmując z torebki kolejną chusteczkę.

- Zawsze je wykorzystuję - powiedział Gianelli. - To dlatego tu jestem. - Wydmuchał nos. - Cholerne alergie - dodał, przyglądając się reakcji Kaye. - Waszyngton jest pełen zatkanych nosów.

- Żaden kłopot - odparła Kaye. - Jestem mamą.

- Dobrze - stwierdziła Bloch. - Potrzebujemy zawodowca.

## 6

### Nowy Meksyk

Pokój doktora Juriego był mały i zapchany pudłami, jakby przybył on dopiero przed kilku dniami. Jurie odsunął stary fotel obrotowy, kiedy tylko weszli Dicken i Turner.

Na półkach wokół pokoju leżały rzadko rozstawione wyświechtane podręczniki akademickie, dogodne do szybkiego sprawdzania faktów, i skoroszyty wypełnione, jak domyślał się Dicken, tekstami naukowymi. W małym pokoju doliczył się siedmiu metalowych taboretów laboratoryjnych, ustawionych w ciasne półkole wokół biurka, na którym stał płaski komputer z wystającymi dwoma panelami, wyświetlającymi wyniki dwóch eksperymentów.

- Aklimatyzuje się pan, doktorze Dicken? - zapytał Jurie. - Czy wysokość nie działa na pana źle?

- Wszystko dobrze, dziękuję - odpowiedział Dicken. Turner i Presky zasiedli swobodnie na swoich taboretach, garbiąc się przy tym.

Jurie wskazał Dickenowi drugi stary fotel obrotowy, po przeciwnej stronie biurka. Musiał się przepchać obok stosu skrzynek, aby usiąść na nim, wyginając przy tym boleśnie nogę. Kiedy już zajął miejsce, zastanowił się, czy zdoła w ogóle wstać.

Jurie miał na sobie brązowe półbuty, wełniane spodnie, granatową koszulę z szerokim kołnierzykiem i kremowy sweter bez rękawów, wszystko czyste, lecz pogniecione. Pomimo pięćdziesięciu pięciu lat na karku wciąż miał młodzieńczo przystojne rysy, a ciało szczupłe. Jego twarz dobrze by wyglądała na zdjęciu reklamowym nad kołnierzykiem koszuli frakowej. Gdyby palił fajkę, Dicken uznałby, że nadaje się na idealny wzorzec naukowca. Był jednak za niski, aby dopełnić efektu Oppenheimera. Jego wzrost Dicken ocenił na zaledwie pięć stóp i trzy cale.

- Poprosiłem, aby dołączyli do nas inni kierownicy grup badawczych. Przepraszam, że popisywałem się przed panem, doktorze Dicken. - Jurie sięgnął, aby wprowadzić komputer w stan uspienia, a potem zaczął się kręcić w fotelu i kiwać tam i z powrotem.

Jakaś kobieta wsunęła przez drzwi głowę i pięść, którą zapukała w ścianę od środka.

- O - powiedział Jurie. - Dee Dee. Doktor Blakemore. Jak zawsze w porę.

- Na popętnienie błędu - uzupełniła kobieta. Pod czterdziestkę, przyjemnie zaokrąglona, z długimi, mysiimi włosami i miną wyrażającą pewność siebie, wepchnęła się

przez drzwi i z pewnym trudem usiadła na taborecie. W ciągu następnych kilku minut dołączyła do nich pozostała czwórka, ale wolała stać.

- Dziękuję wszystkim za przyjęcie. - Jurie rozpoczął zebranie. - Jesteśmy tu wszyscy, aby powitać pana doktora Dickena.

Dwaj z przybyłych mężczyzn przynieśli puszki piwa, najwyraźniej wyłudzone z przyjęcia. Dicken zauważył, że jeden z nich - doktor Orlin Miller, wcześniej pracujący na Western Washington University - nadal nad heinekena przedkłada bud lighta.

- Jesteśmy luzacką grupą - powiedział Jurie. - Raczej nieformalną. - Nigdy się nie uśmiechał, a mówiąc, pomiędzy słowami czynił krótkie przerwy, jakby się wahał. - Tutaj, w Ośrodku Patogenezy, interesuje nas przede wszystkim to, jak choroby wykorzystują nas jako biblioteki i magazyny genetyczne. A także, jak przystosowujemy się do tych wtargnięć w nasze ciała i uczymy się wykorzystywać choroby. Właściwie nie obchodzi mnie, czy wirusy są grającymi samolubnie genami powstałymi w nas, czy też najeźdźcami z zewnątrz - skutki są takie same: są to nieustanne boje o przewagę i władzę. Niekiedy zwyciężamy, niekiedy przegrywamy, zgadza się?

Dicken nie mógł zaprzeczyć.

- Słyszałem wszystko, co media bełkotały o dzieciach wirusa i szczerze mówiąc, mam gdzieś, czy są skutkiem choroby, czy ewolucji. Ewolucja jest chorobą, o ile wiem. Chcę się dowiedzieć, jak wirusy potrafią dokonywać rekombinacji i nas zabijać. Warto zauważyć, że jeśli zrozumiemy, jak to się odbywa, zyskamy dość skuteczną broń mogącą służyć narodowi zarówno w celach defensywnych, jak i ofensywnych. Mamy epokę genu i zarazka, a wszystkie wypaczenia, jakie potrafimy wymyślić, choćby najdrobniejsze, są w zasięgu możliwości naszych wrogów. To wystarczający powód, aby Patogeneza w Sandii była opłacana i pracowała pełną parą kosztem głupców, z czego wszyscy skorzystamy.

- Amen - powiedział Turner.

Usłyszałem „kosztem głupców”, pomyślał Dicken i rozejrzał się po pokoju. Czy ktoś jeszcze to słyszał? Kosztem jakich głupców?

- Doktorze Presky, może pokażemy doktorowi Dickenowi nasze zoo? - zapytał Jurie.

## Opodal Lubbock, Teksas

Mitch stracił wszystko, co było dlań ważne, ale znowu miał brud, odłamki kości i ceramikę. Wychodził jak kiedyś w teren, niosąc saperkę i cały zestaw pędzelków. „Rozpoczynanie od zera” dobrze charakteryzuje dzień pracy archeologa, gdyż niewątpliwie zaczynał od zera, pustkowiec, ciągle od nowa.

Wokół niego równy, kwadratowy w przekroju wykop w ziemi pocięto w tarasy, w których tkwiły odłamki krzemienia, zgniecione resztki będące może kiedyś wiklinowym koszykiem, nierówny owal kawałka małego naczynia oraz przedmiot, który cały dzień pochłaniał jego uwagę: skorupka z wyrytymi znakami.

Słońce zaszło kilka godzin temu, więc pracował w świetle lampy biwakowej. Na dnie wykopu wszystkie barwy już dawno temu przeszły w szarości i brązy. Brąz to kolor najlepiej mu znany. Beż, szarość, czerń, brąz. Brązowy kurz w jego nosie sprawiał, że wszystko pachniało jak wyschła ziemia. Brązowy, neutralny zapach.

Skorupka leżała w trzech kawałkach, była niezdarnie wydrapana we wzór wyglądający na zakreskowane skrzydło ptaka. Mitch miał przeczucie, że może przypominać skorupy znalezione w kopcu Craig w Spiro w stanie Oklahoma. Jeśli tak, może wywołać taki rozgłos, że zdołają przekonać inwestorów, aby na kilka tygodni wstrzymali się z pracami budowlanymi.

Generator z tyłu ciężarówki zepsuł się poprzedniej nocy. Gaz w latarni już się wyczerpywał.

Z westchnieniem zgasił lampę, położył łopatkę i pędzelki z boku wykopu i ostrożnie z niego wyszedł, a potem ruszył, wypatrując drogi w ciemności i obciążając zdrowe ramię.

Jak zwykle w wykopaliskach sponsorowanych przez uniwersytety, budżet był minimalny, zaś wyposażenie należało oszczędzać, było przeważnie zużyte i rzadko kiedy godne zaufania. Liczył się oczywiście czas. Za dwa tygodnie ruszą spychacze, a setki akrów zostaną zasypane i pokryte betonowymi płytami pod budowę osiedla mieszkaniowego.

Dwunastu studentów, pracujących przy wykopaliskach, zebrało się pod namiotem, w chłodnym zmierzchu sącząc piwo. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Wziął właśnie otwartą puszkę od dwudziestoletniej brunetki imieniem Kylan i usiadł z jękiem na krześle biwakowym, zostawionym dlań specjalnie, po części dla uznania jego największego tu

doświadczenia, a po części dlatego, że był najstarszy i dzieciaki uważały, iż może potrzebować choćby minimum wygód, aby być w stanie jakoś funkcjonować.

Współczucie budziło także sztywne ramię. Mitch mógł dobrze kopać tylko jedną ręką, umieszczając pod pachą rączkę łopaty.

Pozostali siedzieli na ziemi albo na dwóch podniszczonych drewnianych ławkach zniesionych z paki jedynej starej półcieżarówki, jaką dysponowali, tej samej, na której stał zepsuty generator.

- Coś się znalazło? - zapytała Kylan. Tego wieczoru nie byli zbyt rozmowni, może dlatego, że dostrzegali już na horyzoncie krach swoich nadziei i marzeń. W ostatnich tygodniach te wykopaliska były całym ich życiem. Dobrały się już dwie pary kochanków.

Mitch uniósł rękę i zacisnął ją, jakby coś chwycił.

- Latarka - polecił.

Tom Pritchard, dwadzieścia cztery lata, chudy, z szopą zakurzonych i zmierzwionych blond włosów, rzucił mu latarkę z czarnego aluminium.

Studenci popatrzyli po sobie, a ich rysy skamieniały jak u dzieci skrywających uczucie, które może okazać się niestosowne: nadzieję.

- Co jest? - zapytała wysoka, krępa Caitlin Bishop, którą los zaniósł daleko od jej rodzinnego Nowego Jorku.

Mitch uniósł głowę i westchnął.

- Pewnie nic - odpowiedział.

Skupili się wokół, porzuciwszy wszelkie udawanie i zmęczenie. Nadziei potrzebowali równie mocno jak uzupełnienia płynów w organizmie.

- Co? - Co to? - Co pan znalazł?

Mitch powiedział, że pewnie nic; pewnie nie to, o czym myślał. A jeśli nawet, jak to wpłynie na jego plany? Setki skorup ze Spiro trafiły do wielu zbiorów prywatnych i uniwersyteckich. A jeśli trafił na jeszcze jedną taką samą?

Jakaż nagroda mogłaby zastąpić mu rodzinę?

Odsunął ich ruchem latarki, a potem wycelował nią w pierwszą gwiazdę, która pojawiła się na niebie. Powietrze było suche i promień światła pozostawał widoczny jedynie dzięki utrzymującemu się w bezwietrznej pogodzie pyłowi, który wzbijali przez cały dzień.

- Czy ktoś słyszał o Spiro w Oklahomie? O kopczie Craig? - zapytał.

- Kultura Missisipi - powiedziała Kylan, najlepsza studentka w grupie, lecz daleka od przodowania w wykopaliskach. - Rozkopany w latach trzydziestych dwudziestego wieku przez Pocola Mining Company. Katastrofa. Pochówki, ceramika, artefakty, wszystko



przepadło, rozsprzedane turystom.

- Słynne źródło rytych skorupek ślimaków - dodał Mitch. - Dekorowanych rysunkami ptaków i węży oraz wzorami trochę przypominającymi te stosowane w Ameryce Środkowej. Przypuszczalnie resztki po grupie prowadzącej ekstensywny handel wymienny z wieloma kulturami ze wschodu, południa i środkowego zachodu Stanów. Czy ktokolwiek wie coś o tych skorupach?

Wszyscy pokręcili głowami.

- Proszę pokazać - powiedział Bernard Rowland i podszedł. Dorównywał Mitchowi wzrostem, a przewyższał go szerokością w barkach. Był mormonem i nie pił piwa; Iced Sweat, jadownicie zielony napój w dużej butelce z tworzywa sztucznego, był jego ulubionym.

Mitch poprowadził ich wzdłuż rzędu dziur w ziemi. Muchy zaczynały bzykać i szumieć, opuszczały kryjówki, w których przeczekiwały żar dnia. Pastwiska dla bydła w pobliżu Lubbock leżały niecałe dziesięć mil dalej. Przy odpowiednim wietrze zapachy były powalające. Mitch zastanawiał się, dlaczego ktoś zechciał budować tu domy, tak blisko smrodu i much.

Doszli do jego wykopu. Studenci stanęli w odległości stopy od jego suchych krawędzi. Mitch zszedł na dno i skierował światło latarki na półeczkę, w której tkwiła skorupa, zmuszając odsłaniać ją przez pędzelkiem i dłutem dentystycznym przez ostatnie sześć godzin.

- Jej - rzucił Bernard. - Skąd to się tu wzięło?

- Dobrze pytanie - odparł Mitch. - Czy ktoś ma aparat fotograficzny?

Kylan wręczyła mu swój cyfrowy, opatrzony napisem „Skorupowiec”. Mitch wyciągnął znaczniki w postaci krótkich odcinków taśmowej miary, wręczył je studentom, którzy umieścili je pod odpowiednimi kątami i obciążyli kamieniami, a potem wykonał serię zdjęć z użyciem lampy błyskowej.

Bernard pomógł Mitchowi wyleźć z wykopu. Chwilę stali z uszanowaniem.

- Nasz skarb - powiedział Mitch. Sam uznał, że brzmi to cynicznie. - Nasza jedyna nadzieja.

Fallon Dupres, dwudziestotrzyletnia studentka z Kanady, wyglądająca jak modelka i trzymająca mocno na dystans większość mężczyzn, wręczyła mu kolejną puszkę piwa Coors.

- Właściwie skorupki z kopca Craig nie pochodziły ze ślimaków lądowych - szepnęła skrycie Mitchowi. - Były to trąbiki, ślimaki morskie.

- Dzięki - powiedział Mitch. Fallon skinęła od niechcenia głową. Przed trzema dniami mocno go kokietowała. Mitch podejrzewał, że należy do tych atrakcyjnych kobiet, których natychmiast pociąga wiek i władza, chociażby najskromniejsza. W małym świecie tych

wykopalisk był mężczyzną mającym największą władzę, a na pewno najstarszym. Grzecznie odmówił, mówiąc jej, że jest bardzo piękna i w innych okolicznościach byłby jej wdzięczny. Dał do zrozumienia, w możliwie jak najbardziej okrężny sposób, że tę część życia ma już za sobą. Zignorowała wykręty i powiedziała mu wprost, że jego postawa nie jest naturalna.

W istocie Mitch nie miał żadnej kobiety, odkąd w minionym roku rozstał się z Kaye w Phoenix, niedługo po tym, jak wyszedł z więzienia. Uzgodnili, że oboje powrócą na swe ulubione drogi. Kaye ponownie zaczęła pracować w Marylandzie dla Americolu, a Mitch wyruszył swoją ścieżką, szukając dziur w ziemi, w których mógłby się ukryć.

- Myślałem, że Spiro to jakiś skorumpowany wiceprezydent - powiedział Larry Kelly, najślabszy i najweselszy z zespołu. - Jak skorupka ma ocalić nasze wykopaliska?

Zdumiewające, ale to Fallon udzieliła cierpliwych wyjaśnień.

Mitch odszedł na bok, aby sprawdzić swój telefon komórkowy. Wyłączył go przed porannymi godzinami pracy i zapomniał włączyć podczas drzemki, jaką uciał w palącym środku dnia. Była jedna wiadomość. Ledwo rozpoznał numer. Niezgrabnym ruchem wcisnął kod odsłuchania poczty głosowej.

Głos rozpoznał od razu. Należał do Eileen Ripper, archeolożki i przyjaciela. Eileen specjalizowała się w wykopaliskach na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Nie rozmawiali z sobą od ponad dziesięciu lat.

- Mitch, mam coś rajcującego. Jesteś zajęty? Lepiej, żebyś nie był. To naprawdę rajcujące! Utknęłam tutaj z bandą bab, uwierzyłybyś? Chcesz znowu schrzanić wszystko dokumentnie? Zadzwoń.

Mitch rozejrzał się po ciemniejącym płaskowyżu i czarnych wykopach, przy których Fallon opowiadała o skorupach ze Spiro grupie wykończonych studentów, których wykopaliska miały wkrótce zostać zamknięte oraz przykryte darnią i betonowymi płytami. Stał z komórką w słabej dłoni, zaciskając tę silną. Nie mógł znieść myśli o zamknięciu tych wykopalisk, choć były takie błahe. O tym, że kolejna część jego życia zostanie oceniona jako beużyteczna.

Zamknięto go na dwa lata za napaść z bronią - a konkretnie dużym odłamkiem drewna - w rękę. Przeszło rok nie widział Kaye. Pracowała nad wirusami dla Marge Cross i zdaniem Mitcha to też była swego rodzaju porażka.

Była jeszcze Stella, którą rząd odciął od świata w szkole w Arizonie.

Fallon Dupres zaszła go od tyłu. Odwrócił się w chwili, gdy zakładała ręce, patrząc nań uważnie.

- To nie trąbik, Mitch - powiedziała. - Połamana muszelka małża.

- Przysięgłbym - odparł. Bardzo wyraźnie dopatrywał się wzoru z Ameryki Środkowej.  
- Jest porysowana, jakby ktoś na niej gryzmolił - ciągnęła młoda kobieta. - Ale to nie trąbik. Przykro mi. - Odwróciła się, rzuciła mu ostatnie spojrzenie, uśmiechnęła się raczej z żalem niż litością i odeszła.

Mitch kilka minut stał pod granatowoczarным niebem, zastanawiając się, ile jeszcze pobożnych życzeń mu zostało, zanim utraci wszystkie. Zamknęły się następne drzwi.

Mógłby pojechać na północ. Zboczyć po drodze i odwiedzić Stellę - jeśli mu pozwolą. Nigdy z góry nie było wiadomo.

Zadzwoił pod numer Eileen.

## 8

### Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Gianelli wszedł do sali tylnymi drzwiami, niosąc stos papierów. Thomasen podniosła wzrok. Augustine obejrzał się przez ramię. Za ostatnim senatorem, wchodzącym w skład komisji, pojawił się agent Secret Service, który wraz z innym stanął przy drzwiach, a potem niska, wyglądająca na bardzo skupioną kobieta. Augustine rozpoznał w niej Laurę Bloch. To głównie dzięki niej Gianelli został senatorem: miała zdumiewający instynkt polityczny.

Augustine słyszał także, że Bloch ma coś w rodzaju siatki szpiegowskiej.

- Cieszę się, Dick, że dotarłeś! - zawołał Chase przez całą salę. - Martwiliśmy się już.

Gianelli uśmiechnął się chytrze.

- Alergia - powiedział.

Po Bloch weszła Kaye Lang Rafelson. Jej obecność zaskoczyła Augustine'a. Rozpoznał pułapkę i uznał, że obecna dyrektor USW pożałuje, iż nie przybyła na czas.

Kaye podeszła do stołu dla świadków. Czekano tam na nią krzesło i mikrofon. Została przedstawiona komisji, w której wszyscy znali jej nazwisko i sławę.

Senator Percy wyglądał na zakłopotanego. On także wyczuwał pułapkę.

- Pani doktor Rafelson nie ma na twojej liście, Dicku - powiedział, gdy Bloch pomagała Gianellemu zająć miejsce na podium.

- Przekaze ważne wiadomości - odparł opryskliwie Gianelli.

Kaye została zaprzysiężona. Ani razu nie spojrzała na Augustine'a, choć siedziała niecałe pięć stóp od niego.

Senator Thomasen stłumiła ziewnięcie. Wyglądała na niezmiernie zadowoloną z

postępowania według wskazówek Gianellego. Nastąpiły spory proceduralne, pełne wtrącań się Percy'ego i kontrargumentów Chase'a, aż wreszcie Percy podniósł ręce i pozwolił na rozpoczęcie przesłuchania. Był wyraźnie niezadowolony, że dyrektor ciągle się nie pojawia.

- Doktor Rafelson, pracuje pani dla Americolu, zgadza się? - zapytała Thomasen, zerkając na wręczoną jej przez Gianellego kartę z danymi świadka.

- Tak, pani senator.

- A czym zajmuje się pani oddział?

- Badamy techniki wyłączania genów ERV u myszy i szympanców, pani senator - odpowiedziała Kaye.

- Brawo - rzucił senator Percy. - To warte wysiłku, wszystkie te najazdy na świat wirusów.

- Pracujemy nad zrozumieniem roli, jaką wirusy odgrywają w naszym genomie i w życiu codziennym - poprawiła go Kaye.

Percy chyba nie pojmował tej różnicy.

- Pracuje pani także dla Centers for Disease Control - ciągnęła Thomasem - Jako pośredniczka między Marge Cross i Fernem Ridpathem, dyrektorem wydziału SHEVY w CDC?

- Czasami, ale doktor Ridpath spędza więcej czasu z naszym NB.

- NB?

- Naczelnym Badaczem.

- A jest nim?

- Doktor Robert Jackson - powiedziała Kaye.

Na dźwięk ponownie otwieranych drzwi w tyle sali Thomasen i pozostali podnieśli głowy. Rachel Browning szła między krzesłami w czarnej sukni z szerokim czerwonym paskiem. Zerknęła na Augustine'a, potem popatrzyła na senatorów na podium wzrokiem, który miał być pytający. Kaye wydał się drapieżny. Dwa kroki za nią szła jej doradczyni prawna, niska, siwowłosa kobieta w letnim kostiumie z beżowej bawełny.

- Spóźniła się pani - zauważyła senator Thomasen.

- Odniosłam wrażenie, że komisja miała przesłuchiwać jedynie doktor Browning, na zamkniętym posiedzeniu - odrzekła władcym głosem doradczyni.

- Posiedzenie j e s t zamknięte - powiedział Gianelli z kolejnym kichnięciem. - Senator Percy zaprosił doktora Augustine'a, a ja doktor Rafelson.

Browning usiadła przy końcu stołu i uśmiechała się spokojnie. Jej doradczyni w tym czasie pochylała się, aby postawić na blacie mały laptop, a następnie rozwinęła zasłonki, aby

nie można było patrzeć z obu boków na ekran komputera, i usiadła z lewej strony Browning.

- Przerwano pani doktor Rafelson - przypomniał przewodniczącej senator Gianelli.

Thomasen uśmiechnęła się z wyższością.

- Nie wiem, do czyjej melodii mamy tańcować. Kto jest tutaj wodzirejem?

- Jak zawsze pani, pani przewodnicząca - powiedział Gianelli.

- Szczerze w to wątpię - odparła Thomasen. - No dobrze, doktor Rafelson, proszę mówić dalej.

Kaye nie była zadowolona, że ma w ten sposób występować przeciwko dyrektor Urzędu Stanu Wyjątkowego, ale najwyraźniej nie miała wyboru. Znalazła się między formacjami młyna w grze o niebo bardziej brutalnej niż rugby.

- Wczoraj wieczorem w Baltimore odbyło się zebranie poświęcone omówieniu wyników badań zdrowotnych prowadzonych przez Americol. Uczestniczyła w nim pani - powiedział Gianelli. - Proszę opowiedzieć, Kaye, co na nim nastąpiło.

Spojrzenie Browning było ostrzeżeniem. Kaye je zignorowała.

- Mamy ostateczne poświadczenie pojawiania się nowych ciąży z SHEVA pierwszej fazy, pani senator - zaczęła. - Następują poronienia lub aborcje córek pośrednich.

W całej sali zapanowała cisza. Wszyscy senatorzy popatrzyli w górę i rozejrzeli się dookoła, jakby do środka wleciał dziwaczny ptak.

- Przepraszam, czy mogłaby pani powtórzyć? - rzucił Chase.

- Nastąpią nowe narodziny SHEVY. Zaczęła się właśnie trzecia fala.

- Czy protokół będzie utajniony? - zapytał Percy, patrząc ze zdumieniem na kolegów senatorów. - Komisja ta nie słynie z dyskrecji. Proszę o rozważenie skutków politycznych i społecznych...

- Pani przewodnicząca - zażądał rozdrażniony senator z Arizony.

- Doktor Rafelson, proszę wyjaśnić - powiedział Gianelli, nie zwracając uwagi na rozgardiasz.

- Próbkę krwi, pobrane od przeszło pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn żyjących w trwałych związkach, ponownie zawierają retrowirusy SHEVY. CDC szacuje obecnie, że w Stanach Zjednoczonych w ciągu następnych ośmiu do dwunastu miesięcy ponad dwadzieścia tysięcy kobiet urodzi dzieci SHEVY drugiej fazy. Po trzech latach możemy mieć nawet sto tysięcy narodzin SHEVY.

- O Boże! - zawołał Percy. - Czy to się nigdy nie skończy? - Od jego głosu zabrzączał system nagłaśniający.

- Znowu toczy się wielka kula - stwierdził Gianelli.

- Czy to prawda, pani Browning? - zapytał senator Percy.

Browning się wyprostowała.

- Dziękuję, senatorze. Urząd Stanu Wyjątkowego jest w pełni świadom tych przypadków i przygotował specjalny plan przeciwdziałania ich skutkom. To prawda, były poronienia. Zgłaszane są wynikające z nich cięższe. Nie posiadamy dowodów, że owe dzieci będą miały ten sam rodzaj mutacji wywołanych wirusami. W rzeczywistości retrowirusy wydzielane przez mężczyzn nie są homologiczne ze znanymi nam wirusami SHEVY. Możemy być świadkami odrodzenia się choroby na nowo, z nowymi komplikacjami.

Wtrącił się senator Percy.

- To przerażające i okropne wieści. Pani Browning, czy nie sądzi pani, że najwyższa pora, abyśmy się uwolnili od tych najeźdźców?

Browning uporządkowała papiery.

- Sądzę, panie senatorze. Powstała szczepionka, która zapewni silną ochronę przed przekazywaniem SHEVY i wielu innych retrowirusów.

Kaye trzymała skraj stołu, aby nie drżały jej ręce. Nie istniała żadna nowa szczepionka; wiedziała o tym. Była to najczystszej wody bzdura naukowa. Teraz jednak miała pewność, że to nie jest odpowiednia pora na żądanie od Browning wyjaśnień. Niech dalej snuje swą pajęczynę.

- Oczekujemy, że będzie w stanie powstrzymać w zarodku ową nową fazę wirusową - ciągnęła Browning. Nałożyła okulary do czytania z połówkami szkieł i śledziła notatki na swoim telefonie przechowującym dane. - Zalecamy ponadto kwarantannę i wszczepianie wszystkim zarażonym matkom chipów z GPS, dzięki czemu będą mogły być śledzone, co zapobiegnie przyszłym pojawieniom się przypadków shivera. Mamy w końcu nadzieję na uzyskanie od sądu zezwolenia na wszczepianie chipów wszystkim dzieciom SHEVY.

Kaye popatrzyła na szereg twarzy na podium, dostrzegła jedynie strach, a potem ponownie zwróciła spojrzenie na Browning.

Browning dłuższą chwilę wytrzymała wzrok Kaye; oczy nad okularami miała otwarte i szczere.

- Urząd Stanu Wyjątkowego ma uprawnienia, nadane Tajnymi Dyrektywami Prezydenta nr 298 i 341 oraz wyznaczone mu przez Kongres w naszym pierwotnym statucie, do ogłoszenia objęcia wszystkich zarażonych matek całkowitą kwarantanną. Nakazujemy nakładanie aresztów domowych na mężczyzn rozsyłających nowe retrowirusy, usuwanie ich z domów, w których mogą zakażać swe partnerki. Minimalnym zadaniem, jakie sobie stawiamy, jest zapobieżenie wszelkim nowym narodzinom dzieci z SHEVĄ.

Chase zbladł.

- Jak temu zapobiegniemy, pani Browning? - zapytał.

- Jeśli nie uda się natychmiast przeprowadzić chipowania, pozostają jeszcze starsze metody. Będziemy zarażonym mężczyznom zakładać bransoletki monitorujące ich ruchy. Nawet w tej chwili przygotowywane są inne plany. Zapobiegniemy tej nowej fali choroby, panie senatorze.

- Ile czasu potrzeba, abyśmy całkowicie oczyścili nasze ciała z tych wirusów? - zapytał senator Percy.

- To specjalność pani Lang - odparła Browning i obróciła się ku niej z mądrym wyrazem twarzy, jak profesjonalistka do profesjonalistki. - Kaye? Są jakieś postępy?

- Nasz dział wypróbowuje nowe procedury - odpowiedziała Kaye. - Na razie nie jesteśmy w stanie usuwać dziedziczonych retrowirusów - ERV-ów - z embrionów myszy czy szympanсів i doprowadzać do żywych urodzin. Usunięcie całości bądź większości genów dawnych wirusów, w tym genów SHEVY, powoduje po mitozie poważne upośledzenia chromosomalne, niemożność zagnieżdżania się zapłodnionych komórek jajowych, wczesne ich wchłanianie i poronienia. Ponadto w Americolu nie nastąpił żaden postęp w uzyskaniu skutecznej szczepionki. Musimy się jeszcze wiele dowiedzieć. Wirusy...

- No właśnie - przerwała jej Browning, zwracając się znowu do senatorów. - Sromotna klęska. Musimy się teraz uciec do środków praktycznych.

- Można się zastanawiać, doktor Rafelson, czy powinniśmy ufać pani udziałowi w tych pracach, zważywszy na pani przekonania - zauważył senator Percy i otarł czoło.

- To nieuzasadnione przypuszczenie, senatorze Percy - rzucił ostro Gianelli.

Browning uchwyciła się tego.

- Zamierzamy dzielić się wszystkimi danymi naukowymi z Americolem i z tą komisją - powiedziała. - Szczerze wierzymy, że pani Lang i inni naukowcy będą równie otwarci wobec nas, i może odrobinę bardziej sumienni.

Kaye splotła dłonie na blacie stołu.

Po zakończeniu posiedzenia uderzeniem młotka Augustine popijał wodę w poczekalni. Browning podeszła do niego zamasyście.

- Czy masz z tym coś wspólnego, Marku? - zapytała szeptem, napełniając swoją szklanekę z wielkiego termosu. Trzy lata wcześniej Augustine nie docenił ogromu strachu i nienawiści, do jakich są zdolni Amerykanie. Rachel Browning nie popełniła tego błędu. Jeśli

nowa dyrektor Urzędu Stanu Wyjątkowego zarzucała jakąś wędkę, to Augustine jej nie dostrzegał.

Może upłynąć jeszcze wiele lat, zanim sama się na nią złapie.

- Nie - odparł Augustine. - A dlaczego miałbym?

- No, wieści wkrótce się rozniosą.

Browning odwróciła się tyłem do drzwi poczekalni, kiedy Laura Bloch wprowadzała przez nie Kaye, i odeszła wraz ze swą doradczynią. Bloch szybko nalala Kaye filiżankę kawy. Augustine i Kaye stanęli niecały krok od siebie. Kaye podniosła filiżankę.

- Cześć, Mark.

- Dobry wieczór, Kaye. Dobrze wyglądasz.

- Wątpię, ale dziękuję - odparła Kaye.

- Chcę ci powiedzieć, że żałuję.

- Czego? - zapytała. Nie wiedziała oczywiście, co się stało owego dnia, kiedy Browning zadzwoniła i powiadomiła go o możliwości pochwylenia jej rodziny.

- Żałuję, że musiałaś być ich przynętą - wyjaśnił Augustine.

- Przywykłam do tego - stwierdziła. - To cena, jaką płacę za bycie tak długo odciętą od informacji.

Augustine usiłował uśmiechnąć się ze współczuciem, ale ze sztywnej twarzy wykrzeszał jedynie lekki grymas.

- Słucham ciebie - powiedział.

- Nareszcie - rzuciła Kaye oschle i odwróciła się, aby podejść do Laury Bloch.

Augustine poczuł się odtrącony, ale wiedział, że musi być cierpliwy. Umiał działać w cieniu, milcząco i pozbawiony zaufania. Już dawno temu nauczył się naśladować podrzędne wirusy.

## 9

### Nowy Meksyk

Przed wejściem do zoo w Ośrodku Patogenezy musieli przejść przez pokój o nagich, pomalowanych na czarno betonowych ścianach i zanurzyć buty w płytkich kuwetach ze słodkim aż do przesady żółtym płynem - rodzajem lizolu, jak wyjaśnił Turner. Dicken niezdarnie pomieszał butami w tej cieczy.

- Zrobimy to także w drodze powrotnej - powiedział Presky. - Gumowe podeszwy



trzymają dłużej.

Wytarli i osuszyli buty na czarnych nylonowych matach, a potem nałożyli bawełniane kapcie połączone z legginsami, zapinane na łydkach. Presky dał każdemu czepek na włosy i maski filtrujące z drobnej siateczki, którymi mieli zakryć usta, pouczył ich też, żeby najlepiej niczego nie dotykali.

Z takiego zwierzyńca dumne byłoby niejedno miasteczko. Zajmował cztery hale magazynowe o powierzchni kilku akrów. Wzdłuż ścian ze stali i betonu ciągnęły się wybiegi odtwarzające w przybliżeniu naturalne środowiska.

- Im wygodniej, tym mniej stresu - wyjaśnił Turner. - Chcemy, aby wszystkie nasze dawne wirusy były spokojne i trzymały się razem.

- Doktor Blakemore pracuje z koczokodanami tumbili i wyjcami - powiedział Jurie. - Małpami Starego i Nowego Świata. Profile ich ERV-ów różnią się bardzo znacznie, jak na pewno pan wie. Mamy nadzieję, że wkrótce otrzymamy szympansy, ale być może zdołamy się podpiąć pod szympansi projekt Americolu. - Popatrzył na Dickena badawczymi brązowymi oczami. - Działka Kaye Lang, prawda?

Dicken przytaknął obojętnie.

Najlepiej wyposażone było pięć wielkich klatek z naczelnymi: zawierały konary drzew, huśtawki i pętle, posadzki pokryte gumowymi dywanikami, liczne pomosty do chodzenia i wspinaczki, wielką różnorodność plastikowych zabawek. Dicken doliczył się sześciu wyjców, podzielonych na samców i samice, zajmujących osobne klatki, poprzegradzane ściankami z dziurkowanego tworzywa sztucznego: małpy mogły się nawzajem widzieć i wachać, ale nie dotykać.

Po wejściu stanęli przed długim, wąskim akwariem z wesoło pływającym dziobakiem i kilkoma rybkami. Dicken uwielbiał dziobaki. Uśmiechał się jak mały chłopczyk na widok długiego na stopę młodego, które kilka razy wynurzyło się i zanurkowało w przejrzystej zielonej wodzie; z jego śliskiego futra ulatywały srebrzyste smużki pęcherzyków powietrza.

- Nazywa się Torrie - powiedział Presky. - Czyż nie jest piękna?

- Wspaniała - potwierdził Dicken.

- Wszystko, łącznie z sierścią, łuskami i piórami, ma ciekawe geny wirusów - oznajmił Jurie. - Torrie okazała się raczej niewypałem, ale i tak ją lubimy. Właśnie skończyliśmy sekwencjonowanie i porównywanie allogenomów kolczatek i oczywiście dziobaków.

- Dokonaliśmy przeglądu ERV-ów stekowców - wyjaśnił Turner. - ERV-y są przydatne podczas rozwoju zwierząt żyworodnych. Pomagają nam wyłączać systemy immunologiczne matek. Inaczej matczyne limfocyty zabiłyby embriony, gdyż ich tkanki są

częściowo zgodne z przekazanymi przez ojca. Stekowce jednak znoszą jaja, tak jak ptaki. Nie powinny w tak znacznym stopniu wykorzystywać ERV-ów podczas wczesnego rozwoju młodych.

- Hipoteza Temina-Larssona-Villarreala - wtrącił Dicken.

- Zna pan TLV? - zapytał ucieszony Turner. TLV to skrócona nazwa teorii opisującej wzajemne oddziaływanie wirusa i jego gospodarza, powstałej na podstawie prac wykonywanych przez dziesięciolecia, w różnych instytucjach, przez Howarda R. Temina, Erica Larssona i Luisa P. Villarreala. TLV zyskała po SHEVIE wielkie poparcie.

Dicken przytaknął.

- No i jak jest?

- Co jak jest? - spytał Turner.

- Czy kolczatki i ptaki doprowadzają do ekspresji cząsteczek ERV, aby chronić swoje embriony?

- Aha - powiedział Presky i uśmiechnął się tajemniczo, a potem pokiwał palcem. - Tajemnica zawodowa. - Zwrócił się w stronę Turnera. Ilekroć skręcał głowę, skręcał jednocześnie całe ciało, jak figurka z zegara wieżowego. - Torrie wkrótce otrzyma partnera. Wywoła to wiele ciekawych dla nas zmian.

- Zapewne ciekawych i dla Torrie - dodał ze śmiertelną powagą Jurie.

Przeszli do betonowego wybiegu z imponującą, choć małą kępą drzew iglastych.

- Brakuje lwów i tygrysów, ale mamy niedźwiedzie - powiedział Presky. - Dwa młode samce. Czasami się z sobą mocują. Są braćmi i lubią się bawić w walkę.

- Niedźwiedzie, szopy pracze, borsuki - dodał Turner. - Dość pokojowe jednak z nich stworzonka, przynajmniej wirusowo. Małpy wyższe, łącznie z nami, wydają się mieć ERV-y liczniejsze i bardziej aktywne.

- Większość roślin i zwierząt ma swoje sposoby prowadzenia propagandy i wojny biologicznej. Do walk dochodzi jedynie wówczas, gdy populacje są mocno przyciśnięte do muru - powiedział Jurie. - Czy usłyszymy o ulubionym przykładzie doktora Turnera?

Turner zaprowadził ich do wielkiego wybiegu, zawierającego trzy wyglądające na dość wyleniałe żubry. Potężne, kudłate zwierzęta, z sierścią zwisającą płatami, przyglądały się ludzkim widzom z odwieczną łagodnością. Jedno kręciło łbem, z którego wylatywał pył i kawałki słomy.

- Mamy to świeżo w pamięci, zwłaszcza zjadacze hamburgerów: transfer toksycznego genu do bakterii *e. coli* u bydła - zaczął Turner. - Współczesne metody hodowli farmowej i technik uboju wywołują wielki stres u krów, które wysyłają sygnały hormonalne do swych

licznych żołądków i żwaczy. *E. coli* w odpowiedzi na te sygnały wchłaniają fagi - wirusy atakujące bakterie - które przenoszą geny z innej powszechnej bakterii jelitowej, *shigelli*. Akurat te geny, które kodują toksynę *shiga*. Wymiana nie przynosi skutków szkodliwych dla krów, czy to nie fascynujące? Kiedy jednak w przyrodzie drapieźnik zabija sztukę bydła czy innego przeżuwacza i wgryza się w jego wnętrze - co czyni przeważnie, zjadając na wpół strawioną trawę i tym podobne; nazywamy to dziką sałatką - połyka mnóstwo *e. coli* przepełnionych toksyną *shiga*. Drapieźnicy - i my - bardzo od tego chorują. Chorzy lub martwi drapieźnicy zmniejszają u krów stres. Bardzo sprytny wentyl bezpieczeństwa. Teraz sterylizujemy wieprzowinę promieniowaniem. C a ł a wieprzowinę.

- Osobiście nigdy nie jadam surowego mięsa - powiedział Jurie, wznosząc w zamyśleniu łuk brwi. - Zbyt wiele w nim luźno latających genów. Doktor Miller, nasz naczelny botanik, mówi mi, że powinienem także uważać z zieleniną.

Orlin Miller wznosił ręce, popierając zdanie kolegi.

- Niełatwo mają i wegetarianie.

Weszli do budynku nr 2, połączenia ptaszarni z gadziarnią. Ustawione na ławach za wielkimi przesuwanymi wrotami magazynu szklane skrzynie zawierały węże królewskie, zwinięte pod wysyłającymi czerwony żar lampami.

- Wykazaliśmy powolny, lecz ciągły przepływ poziomy genów między gatunkami - powiedział Jurie. - Doktor Foresmith bada transfer genów między wirusami egzogennymi i endogennymi u kurczaków i kaczek, jak też u *Psittaciformes*, papugowych.

Głos zabrał Foresmith, budzący szacunek wyglądem siwowłosa mężczyzna tuż po pięćdziesiątce, pracujący poprzednio w Massachusetts Institute of Technology. Dicken znał go z prac nad bakteriami mającymi najmniejszy genom.

- Wirusy grypy i inne egzogenne potrafią wymieniać geny i dokonywać ich rekombinacji z genami gospodarza lub zasobnika - mówił głosem wpadającym w bas. - Nowe szczepy grypy co roku wyłaniają się w Azji. Wiemy teraz, że wirusy egzogenne i endogenne - opryszczki, ospy, HIV, SHEVY - potrafią rekombinować swoje geny z naszymi. A jeśli te wirusy popełnią pomyłkę? Umieszczą gen w błędnym miejscu DNA komórki... Komórka zacznie zaniedbywać swe obowiązki i będzie się rozrastać bez żadnej kontroli. I oto mamy złośliwy guz. Albo stosunkowo łagodny wirus zyskuje jeden kluczowy gen i zakażenie z uporczywego przechodzi w ostre. Jedna naprawdę wielka pomyłka i bach! - walnął pięścią w otwartą dłoń - śmiertelność staje się już stuprocentowa. - Jego uśmiech był jednocześnie czarujący i denerwujący. - Jeden z naszych paleontologów uważa, że możemy wyjaśnić w ten sposób wiele masowych wymierań, teoretycznie. Gdybyśmy byli w stanie wskrzesić i

połączyć w jedno najstarsze, najbardziej poszatkowane ERV-y, zdołalibyśmy może stwierdzić, co tak naprawdę stało się z dinozaurami.

- Nie tak szybko - powiedział Dicken, wznosząc ręce, jakby się poddawał. - Nic nie wiem o dinozaurach czy zestresowanych krowach.

- Odsuńmy na razie na bok najbardziej zwariowane teorie. - Jurie napomniął Foresmitha, ale jego oczy błyszczały. - Tom, jesteś następny.

Tom Wrigley, najmłodszy w grupie, mający około dwudziestu pięciu lat, był wysoki, ciemnowłosy i daleki od przystojności, z czerwonym nosem i wiecznie miłą miną. Uśmiechnął się nieśmiało i wręczył Dickenowi monetę, ćwierćdolarówkę.

- Tyle mniej więcej kosztuje pigułka antykoncepcyjna. Moja grupa bada wpływ antykoncepcji na ekspresję retrowirusów endogennych u kobiet w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu lat.

Dicken bawił się trzymaną monetą. Tom wyciągnął dłoń i uniósł brwi. Christopher zwrócił pieniądze.

- Powiedz im, Tomie, dlaczego - ponaglił go Jurie.

- Dwadzieścia lat temu pewni badacze wykryli, że HIV zakaża w wyższym procencie kobiety ciężarne. Niektóre ludzkie retrowirusy endogenne są blisko spokrewnione z HIV, który wywarł pomstę na naszych systemach odpornościowych. Płód w matce otrzymuje mnóstwo HERV-ów z łożyska, co zdaniem niektórych pomaga przytłumić system immunologiczny matki z korzyścią dla embriosa - na tyle, aby nie zaatakował on rozwijającego się płodu. TLV, jak pan wie, doktorze Dicken.

- Howard Temin jest tutaj bożyszczem - oznajmiła Dee Dee Blakemore. - Wystawiliśmy mu kapliczkę w skrzydle C. Modlitwy odbywają się w każdą środę.

- Pigułki antykoncepcyjne wywołują u kobiet warunki przypominające ciążę - kontynuował Wrigley. - Uznaliśmy, że kobiety stosujące antykoncepcję stanowią doskonałą grupę badawczą. Mamy dwadzieścia ochotniczek, pięć z nich to pracujące u nas uczone.

Blakemore zgłosiła się jak uczennica.

- Jestem jedną z nich - powiedziała. - Już się łatwo irytuję. - Warknęła na Wrigleya i obnażyła kły. Ten uniósł ręce w udawanym przerażeniu.

- Kobiety SHEVY w końcu zajdą w ciążę - mówił dalej Wrigley - a niektóre mogą nawet zażywać pigułki antykoncepcyjne. Chcemy się dowiedzieć, jak to wpłynie na wytwarzanie potencjalnych patogenów.

- Dojrzałość płciowa i ciąża z nowymi dziećmi najprawdopodobniej będzie stanowić ogromne zagrożenie - powiedział Jurie. - Retrowirusy, wyzwolane w sposób naturalny

podczas ciąży u drugiej generacji SHEVY, mogą się przenosić na ludzi. Skutkiem może być kolejna choroba przypominająca AIDS. W istocie sam doktor Presky należy do osób uważających, że coś podobnego wyjaśnia, jak HIV dostało się do populacji ludzkich.

Swoje dorzucił Presky.

- Łowca, polujący na zwierzynę, mógł zabić ciężarną szympansię. - Wzruszył ramionami; hipoteza ta była nadal domysłem, o czym Dicken dobrze wiedział. W końcu lat osiemdziesiątych podczas stażu podoktoranckiego przez lata poszukiwał w Kongu i Zairze możliwych źródeł HIV.

- I ostatnie, ale wcale nie lekceważone, nasze ogrody. Doktorze Miller?

Orlin Miller wskazał w północnym krańcu budynku magazynowego porośnięte zielenią grządki i rabaty kwiatowe, leżące pod świetlikami i lampami udającymi światło słoneczne, wiszącymi w potężnych gronach, niczym wielkie szklane owoce.

- Moja grupa bada przepływy genów wirusowych między roślinami i owadami, grzybami i bakteriami. Jak już wspomniał doktor Jurie, zajmujemy się także genami ludzkimi, których źródłem mogły być rośliny. - Po chwili dodał: - Wprost widzę, jak z tego poletka wyrasta Nobel.

- Choć nigdy nie wyjdzie pan na światło dzienne, aby go zerwać - ostrzegł Jurie.

- No oczywiście, nie wyjdę - przyznał trochę przygnębiony Miller.

- Wystarczy. Dość tego, aby nabrać smaku - powiedział Jurie, stając przed basenem z gęstym kobiercem młodej kukurydzy. - Kierownicy siedmiu innych działów, którzy nie mogli być tu dzisiaj, przekazują gratulacje - dla mnie, za ściągnięcie doktora Dickena. Nie muszą się one należeć doktorowi Dickenowi.

Inni się uśmiechnęli.

- Dziękuję, panowie - Jurie pomachał im ręką, jakby byli grupą uczniów na wycieczce. Dyrektorzy pożegnali się i wyszli z hali magazynowej. Pozostał tylko Turner.

Jurie utkwiał wzrok w Dickenie.

- W NIH powiedzieli mi, że znajdę dla pana zadanie w Oddziale Patogenezy. NIH zapewnia fundusze na znaczną część mojej pracy, za pośrednictwem Urzędu Stanu Wyjątkowego. Ponadto jestem ciekaw. Dlaczego przyjął pan tę posadę? Nie dlatego, doktorze Dicken, aby pan mnie lubił i szanował. - Jurie założył luźno ręce, a jego kościste palce wzięły się do roboty, posuwając się ku łokciom i zaciskając ramiona w mocniejszy uścisk.

- Idę tam, gdzie można uprawiać naukę - powiedział Dicken. - Sądzę, że jest pan gotów dokonać ciekawych odkryć. I myślę, że mogę w tym pomagać. Ponadto... - Urwał. - Dali panu listę. Wybrał pan z niej mnie.

Jurie lekceważąco machnął ręką.

- Wszystko, co tu robimy, ma znaczenie polityczne. Byłbym głupcem, gdybym tego nie dostrzegął. Mówiąc jednak szczerze, moim zdaniem zwyciężamy. Nasza praca jest zbyt ważna, aby ją przerywać z jakiegokolwiek powodu. Możemy też ściągać do pracy u nas najlepszych ludzi, bez względu na ich powiązania. Jest pan znakomitym naukowcem, a to minimalny wymóg. - Przeszedł obok ciepłarni z szybami z tworzywa sztucznego, pełnej drzew bananowca owiniętych przezroczystym plastikiem. - Jeśli uzna się pan za gotowego, mamy dla pana problem teoretyczny.

- Bardziej gotowy nie będę - powiedział Dicken.

- Chciałbym, aby na początek zboczył pan trochę z ubitej drogi. Wchodzi pan w to?

- Zamieniam się w słuch.

- Może pan pracować z ochotniczkami doktora Wrigleya. Utworzyć zespół z naszych stażystów po doktoracie, których nadzoruje Dee Dee, na początek najwyżej dwóch. Analizują oni dawne obszary promotora genu związane z cechami płciowymi, zmianami fizjologicznymi u ludzi, być może wywoływanymi przez geny retrowirusowe. - Jurie otwarcie przełknął ślinę. - Wirusy wywołują bardzo wyraźne zmiany u naszych dzieci SHEVY. Teraz chciałbym badać u ludzi przykłady bardziej przyziemne. Czy domyśla się pan, jaka fałda tkanki chodzi mi po głowie?

- Nie bardzo - odparł Dicken.

- Jest jak alarm wbudowany w bramę, która pozostaje zamknięta aż do dojrzałości. Kiedy brama ta zostaje wyłamana, zapowiada to ważne dokonanie, przełomową zmianę; zapowiada ją z nagłym bólem i całą kaskadą wydarzeń hormonalnych. Hormony powstające wskutek tego doświadczenia przypuszczalnie uruchamiają HERV-y i inne elementy mobilne przygotowujące nasze ciała do nowej fazy w życiu. Zbliży się rozmnażanie, oznajmia ciało ten wyłom. Pora się przygotować.

- Błona dziewicza - odgadł Dicken.

- Błona dziewicza - potwierdził Jurie. - Czy są inne podobne? - Nie pytał sarkastycznie, ale wyrażał się wprost. - Czy są inne otwierające się wrota, inne sygnały?... Nie wiem. Chciałbym wiedzieć. - Jurie przyglądał się Dickenowi, jego oczy ponownie płonęły entuzjazmem. - Przypuszczam, że to wirusy tak zmieniły nasz fenotyp, iż pojawiła się błona dziewicza. Przerwanie błony jest dla nich sygnałem ostrzegającym, że doszło do seksu, mogą się więc przygotować do wszystkich zadań, które wykonują. Wpływając na ekspresję kluczowych genów, wywołując ją lub powstrzymując, wirusy są w stanie zmieniać także nasze zachowanie. Wykryjmy, w jaki sposób. - Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął

plastikowe pudełeczko i wręczył je Dickenowi. - Moje notatki. Jeśli uzna je pan za przydatne, będę zadowolony.

- Świetnie - powiedział Dicken. Bardzo mało wiedział o błonach dziewiczych; zastanawiał się, jakie będą jego inne pomoce naukowe.

- Kobiety SHEVY nie mają błon dziewiczych, jak pan wie - ciągnął Jurie. - Zupełnie. Porównanie powinno odsłonić fascynujące różnice w ścieżkach krążenia hormonów i w działaniach wirusów. Właśnie działalność wirusów mnie martwi.

Dicken przyłapał siebie na kiwaniu głową. Był niemal zahipnotyzowany śmiałością tej hipotezy. Była przewrotna; przewrotnie błyskotliwa.

- Uważa pan, że pierwsza miesiączka uruchomi mutacje wirusowe u kobiet SHEVY? - zapytał.

- Niewykluczone - odparł Jurie obojętnie, jakby rozmawiali o pogodzie. - Jest pan zainteresowany?

- Jestem - odpowiedział Dicken po wypełnionej namysłem przerwie.

- Świetnie. - Jurie wysunął w górę i przechylił na bok głowę, aż strzyknęły kości jego karku. Spojrzał gdzieś daleko, potem raz kiwnął potwierdzająco i odszedł, zostawiając Turnera i Dickena samych w hali magazynowej między wybiegami i ogrodami.

Rozmowa kwalifikacyjna dobiegła końca.

Turner poprowadził Dickena z powrotem przez zwierzyniec, kuwety do odkażania stóp i korytarze do stalowych wrót. Zatrzymali się w pomieszczeniu obsługi, aby wziąć klucz do sypialni Christophera.

- Przetrwiał pan spotkanie ze Staruszką - powiedział Turner i pokazał Dickenowi drogę do hotelu przeznaczonego dla nowych stażystów. Wziął klucz, ścisnął połączoną z nim plakietkę, która zmieniła kolor z niebieskiego na czerwony, i upuścił go na dłoń Christophera. Przyglądał się Dickenowi przez długą, wywołującą niepokój chwilę, po czym dodał: - Powodzenia.

Ruszył korytarzem, kręcąc głową.

- Jezu! - zawołał przez ramię. - Błony dziewicze! Co będzie następne?

Dicken zamknął drzwi pokoju i zapalił lampę na suficie. Usiadł na wąskim, bardzo twardym łóżku i zaczął drżącymi palcami rozcierać skronie i mięśnie szczęki, oszołomiony powstrzymywanymi emocjami.

Po raz pierwszy w życiu Dicken polował nie na mikroba.

Jego łupem będzie choroba, ale całkowicie ludzka.

**Arizona**

Stellę obudziły odgłosy brzmiącego między barakami wspólnego śpiewania nad-podmową. Dzwon na pobudkę jeszcze nie bił. Przekreśliła się na plecy między szeleszczącymi białymi prześcieradłami na górnym łóżku i popatrzyła na płytki na suficie. Poznała ten zwyczaj: kilkadziesiąt chłopców i dziewcząt wychyla się z okien swych baraków, śpiewając do siebie przez ogrodzenie z drutem kolczastym. Śpiew „nad” był głośny i niemal pozbawiony melodii, „pod” delikatny i niezbyt wyraźnie dobiegający do miejsca, w którym leżała. Nie wątpiła jednak, że przekazuje mnóstwo wczesno-porannych ploteczek.

Na chwilę zamknęła oczy i słuchała. Śpiewacy w barakach łatwo wpadali w przesadnie słodkie i wstrząsające niebem lamentsy, wydając dźwięki obiema bocznymi częściami swych grzebieniastych języków, wypuszczając powietrze jednocześnie nosem i gardłem. Dwa potoki pieśni zaczynały się łączyć w kontrapunkcie, płynąc w przód i w tył na sposoby, które wymyślono, aby uniemożliwić wszelkie podsłuchiwanie przez wychowawców.

Chociaż wychowawcy nie doszli jeszcze do tego, jak rozumieć podmowę.

Stella usłyszała głośne dzwonięcie. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Była w stanie widzieć wszystko wyraźnie oczyma duszy: wychowawcy chodzą po barakach, waląc pokrywkami metalowych kubłów na śmieci i krzycząc na dzieci, aby się zamknęły. Pieśni powoli się rwały, niczym podmuchy pachnącego powietrza. Stella wyobrażała sobie głowy znikające z okien, dzieci biegnące do swoich łóżek, włączające pod kołdry.

Jutro przyjdzie kolej na inne baraki. Była to swego rodzaju loteria; próbowali przewidywać, ile czasu zajmie wychowawcom dostanie się z ich budynków do baraków z winnymi i jak długo uda się ich oszukiwać, o które baraki chodzi. Jej własny może się przyłączyć i spotkać z tą samą odpowiedzią pokrywkami kubłów na śmieci. Stella weźmie udział w śpiewach. Nie czekała niecierpliwie na to wyzwanie. Miała wysoki, wyraźny nadgłos, ale musiała jeszcze popracować nad podmową, która nie przychodziła jej tak łatwo jak innym.

Znowu zapadła cisza. Stella zagrzebała się w pościel, czekając na dzwon pobudki. Na końcu każdego łóżka położono nowe mundurki. Łóżka były trzypiętrowe, a dzieci każdy rano zaczynały od prysznicy i zmiany ubrania, aby zachować zapach z budynku na swoich ciałach albo tym, co noszą.

Stella wiedziała, że jej naturalny zapach nie jest przykry dla ludzi. Wychowawcom



obozowym i kapitanom chodziło o perswadowanie.

Dziewczęta śpiące pod nią, Celia i Mandy, już się kręciły. Stella wolała jako jedna z pierwszych iść pod prysznic. Dzwon na pobudkę w południowym końcu korytarza zamilkł, gdy biegła w stronę wrót pomieszczeń z natryskami. Jej cienki, biały płaszcz kąpielowy powiewał w połowie ud.

Codziennie dostarczano świeże ręczniki i szczoteczki do zębów. Wzięła ręcznik i szczoteczkę, ale pominęła pastę. Miała ona utrzymujący się długo zapach, który, jak Stella podejrzewała, miał tłumić jej własny. Stała przed długą umywalką z lustrem z polerowanej stali i umyła zęby mokrą szczoteczką, a potem jednym palcem pomasowała dziąsła, czego nauczył ją Mitch prawie dziesięć lat temu.

Dwadzieścia innych dziewcząt, przeważnie z innych baraków, było już w łaźni z prysznicami. Koleżanki Stelli - z baraku numer trzy - zwykle się spóźniały. Były starsze od innych. Zachowywały się mniej radośnie i entuzjastycznie niż młodsze dziewczynki. Wszystkie dobrze wiedziały, co czeka ich tego dnia - nuda, rytuał, denerwujące obowiązki. Stagnacja.

Najmłodsza dziewczynka w obozie miała dziesięć lat. Najstarsza piętnaście.

Stella Nova zaczęła czternasty rok życia.

Kiedy skończyła toaletę, wróciła do swego łóżka, aby się ubrać. Popatrzyła na szeregi pryczy. Większość dziewcząt była jeszcze pod prysznicami. Tego dnia ona sprawowała dyżur w barakach. Miała się nie rzucać w oczy - chodzić skrycie od łóżka do łóżka, pochylać się, wciągać sporą porcję zapachu, za co przypuszczalnie wyląduje w kozie, a panna Kantor zasypie ją ostrymi pytaniami. Musiała jednak to robić.

Niosła plik gazetek szkolnych, wydrukowanych poprzedniego dnia. Szła od pryczy do pryczy, kładła egzemplarz na każdą i bez pochylania się delikatnie wachała niezasłane łóżka.

Po dziesięciu minutach, zanim dziewczęta wróciły spod pryszniców i zaczęły się ubierać, Stella miała dobry obraz zdrowia i samopoczucia baraków. Potem zamelduje o tym mentorce swego demu. Mentorzy zmieniali się codziennie lub cotygodniowo. Podmowa lub miganie policzków powiedzą jej, kto jest nim dzisiaj. Przekaze szybki meldunek podmową i zapachem, zanim zaczną się bacznie nadzorowane, odbywane raz w tygodniu zajęcia koedukacyjne na zewnątrz budynków.

Dziewczęta same wymyśliły tę procedurę. Wydawała się działać dobrze. Sprawdzanie łóżek przydawało się nie tylko do rozpoznawania, jak się mają wszyscy członkowie demu, ale było także przejawem nieposłuszeństwa.

Nieposłuszeństwo było konieczne dla zachowania zdrowia psychicznego.

Może zdolają zawczasu wykryć, czy ludzie zsyłają nowe choroby. Może w ten sposób osiągają poczucie, że mają pewną władzę nad swoim życiem. Stella się tym nie przejmowała.

Wystarczającą nagrodą było zbieranie zapachów koleżanek z jej baraku. Miała dzięki temu świadomość, że stanowi część czegoś wartościowego, czegoś nieludzkiego.

## 11

### Główna siedziba Americol Research

#### Baltimore, Maryland

- Bypaj b domu! - wybełkotała Liz Cantrera z czarnym folderem w ustach.

Przebiegła obok Kaye; stosik czystych plastikowych tac grzechotał w jej ramionach pod powiewającą okładką trzymany w zębach oprawionych wydruków. Złożyła stosik obok zabezpieczonego zlewu i wyciągnęła folder.

- To prosto od La Roberta.

Kaye powiesiła płaszcz na gałkach znajdujących się za drzwiami laboratorium.

- Kolejna salwa!

- Mm hmm. Jackson jest chyba zazdrosny, to panią poproszono o bycie świadkiem, a nie jego.

- Nikt nie powinien mi tego zazdrościć. - Kaye pokiwała palcami. - Daj to mi.

Cantrera uśmiechnęła się znacząco i wręczyła jej wydruki.

- Będzie forsował model choroby jeszcze długo po tym, jak Karolinska wręczy pani złoty medal.

Kaye przejrzała pięćdziesiąt stron streszczenia i oceny jej pracy w ciągu ostatnich dwóch lat. Tekst był obszerny. Robert Jackson, Naczelny Badacz i pod pewnymi względami jej przełożony, robił naprawdę bardzo wiele, aby usunąć Kaye ze swego laboratorium, z tego budynku, ze swej drogi.

Spodziewana data opublikowania artykułu Jacksona w „Journal of Biologics and Epigenetic” widniała na karteczce przyklepionej do ostatniej strony: grudzień.

- Jakie to miłe, że przekazał recenzję - powiedziała Kaye.

Liz wzięła się pod boki i stanęła w postawie wyzywającego oczekiwania. Odrzuciła pasemko kręconych, jasnorudych włosów i głośno żuła listek gumy. Oczy miała błyszczące jak krople jasnoniebieskiego tuszu.

- Mówi, że usuwamy niezbędne czynniki transkrypcji otaczające ERV-y, w które

celujemy, wylewając dziecko wraz ze skażoną kąpielą.

- ERV-y powodują transaktywację wielu tych czynników. Nie może to działać w oba kierunki, doktorze Jackson. Cóż, przynajmniej to możemy spisać na straty. - Kaye opadła na stołek. - Do niczego nie dochodzimy - szepnęła. - Usuwamy wirusy i nie uzyskujemy żadnych szympansiątek. Czego potrzeba, aby zmienić zdanie? - Popatrzyła na Liz, nadal kręcąc biodrami i trzaskając pękającymi pęcherzykami gumy do żucia, wyzywająco drwiącą z „La Roberta”.

Liz w odpowiedzi rozjaśniła się w wielkim, głupawym uśmiechu.

- Czuje się pani lepiej?

Kaye pokręciła głową i wbrew sobie się roześmiała.

- Wyglądasz jak urwis z Broadwayu. Kogo naśladujesz, Bernadette Peters?

Liz przegięła się w biodrze i jedną ręką nastroszyła włosy.

- Jest cudowna. Która sztuka? - zapytała. - Wznowienie *Marne*?

- *Sweeney Todd*.

- Chodziłoby o Winonę Ryder - odcięła się Liz.

Kaye jęknęła.

- Skąd ty bierzesz tyle energii?

- Z rozgoryczenia. A mówiąc poważnie, jak idzie?

- Jedna strona wykorzystuje mnie jako podporę, a druga jako kozła ofiarnego.

Naprawdę czuję się jak Dorotka porwana przez tornado.

- Szkoda - powiedziała Liz.

Kaye wyprostowała się i poczuła trzaśnięcie w grzbiecie. Brakowało jej masażu Mitcha. Ponownie przerzuciła wydruki od Jacksona i odnalazła stronę, która dzięki instynktowi i odrobinie szczęścia wpadła jej przed chwilą w oko: podejrzone protokoły z prac laboratoryjnych.

Jackson jak zawsze ugrzązł w labiryncie badań in vitro - ślepych uliczek probówek i szkiełek Petriego, wykorzystujących linie komórek guza Tera2 - sprawdzonych pułapek, wymuszających błędy przy pracy z ERV-ami. Kurczę, używa nawet embrionów kurczaków, pomyślała. Stworzenia składające jaja wykorzystują ERV-y inaczej niż my!

- Szczepionki Jacksona zabijają mały - powiedziała cicho, klepiąc w kartkę. - Marge nie lubi projektów, które nie przeszły nigdy badań na zwierzętach.

- Czy znowu zagramy w ciuciubabkę z doktorem Jacksonem? - zapytała niewinnie Liz.

- Jasne - potwierdziła Kaye. - Niemal mnie to ubawiło. - Położyła oprawione wydruki na swoim małym, zapełnionym biurku.

- Idę sprawdzić nasze zestawy, a potem do domu! - zawołała Liz, przepychając się z tacą przez drzwi. - Pracowałam całą noc. Zostaje pani na weekend?

- Dopóki mnie nie wyleją - odparła Kaye. W zamyśleniu potarła nos. - Chciałabym zerknąć na wyniki prowadzonych w zeszłym tygodniu badań nad łamliwymi miejscami.

- Przygotowane i zdyskretyzowane. Są w bazie zdjęciowej. W lodówce zostało trochę spaghetti.

- Bosko - powiedziała Kaye.

- Pa! - zawołała Liz, gdy drzwi zamykały się za nią.

Kaye wstała i ponownie potarła nos. Trochę zeszywniała, nie było to wcale nieprzyjemne. Laboratorium pachniało niespotykanie słodko i świeżo, co nie znaczy, że przeważnie śmierdziało brudem. Liz była zwariowana na punkcie czystości.

Zapach był trudny do rozpoznania, nie pochodził wcale od perfum czy kwiatów.

Zapowiadał się długi dzień pracy, przygotowań do zebrania wyznaczonego na następny poranek. Kaye zamknęła oczy w nadziei na odnalezienie cichego zakątka; musiała się skupić na wynikach prowadzonych w poprzednim tygodniu badań nad chromosomami. Pozbyć się z wnętrza poczucia gorzkiego ściskania ich przez Waszyngton.

Przysunęła stółek do stacji roboczej i wpisała swoje hasło, po czym ściągnęła tabele i zdjęcia mutacji chromosomów szympansa.

Zmodyfikowane na potrzeby pracy laboratoryjnej embriony we wczesnym stadium miały usunięte wszystkie ERV-y występujące w pojedynczej kopii, ale pozostawione nietknięte wszystkie ERV-y posiadane w wielu kopiach, elementy LINE i ERV-y „wadliwe”. Pozwalano im się rozwijać przez czterdzieści osiem godzin. Chromosomy, zbite razem podczas mitozy, były usuwane, fotografowane i okrutnie sekwencjonowane. Kaye szukała anomalii wokół słabych i aktywnych miejsc w chromosomach - odcinków genów, które odpowiadały szybko na zmiany środowiskowe, wywołując gwałtowne odpowiedzi przystosowujące do nich.

Zmodyfikowane chromosomy szympansa były poważnie zniekształcone - aby to stwierdzić, wystarczyło jej spojrzenie na zdjęcia. Wszystkie łamliwe miejsca były nadwężone, popękane i nieprawidłowo przestawione. Embriony te nigdy nie zagnieżdżą się w macicy, a tym bardziej nie doczekają porodu. Nawet ERV-y występujące w jednej kopii były ważne dla rozwoju płodu i adaptacji chromosomalnej u ssaków, być może szczególnie u naczelnych.

Przejrzała analizy i dostrzegła przypadkową i niszczycielską metylację genów, które powinny być czynnie transkrybowane: niezbędne odcinki DNA odstawione na bok jak flota

starych łąb, skręcanie się chromatyny dręczonej zachodzącymi na przemian źle skierowaną aktywnością i mroczną, beczynną gnuśnością.

Te chromosomy wyglądały paskudnie - paskudnie i nienaturalnie. Embriony we wczesnym stadium, rosące pod nadzorem takich chromosomów, muszą umrzeć. Taki był los wszystkiego, co robili w laboratorium. Gdyby, szczęśliwym trafem, powalone przez ERV-y embriony zdołały się zagnieździć i rozpocząć rozwój, nieuchronnie zostałyby wchłonięte w ciągu kilku pierwszych tygodni. A dotarcie tak daleko wymaga podawania szympansim matkom potężnych dawek leków opracowanych w klinikach leczących niepłodność matek ludzkich i mających uniemożliwić poronienia.

ERV-y pełnią tak wiele funkcji w rozwijających się embrionach, w tym także pośredniczą w różnicowaniu się tkanek. I było już jasne, że TLV - poprawka Temina-Larssona-Villarreala - jest słuszna. Mocno chronione retrowirusy endogenne wydzielane przez trofektodermę rozwijającego się płodu - tę jego część, która rozwinię się w otaczającą go owodnię i łożysko - są osłonięte przed atakami systemu odpornościowego matki. Białka z otoczki wirusa selektywnie poskramiają odpowiedź immunologiczną matki na płód, nie osłabiając przy tym jej obrony w walce z patogenami zewnętrznymi; wykonują cudowny taniec wybiórczości.

Z powodu działania ochronnego odziedziczonych retrowirusów unieszkodliwienie ERV-ów - usunięcie bądź zdławienie większości albo nawet wszystkich „grzechów pierworodnych” genomu - nieuchronnie kończy się źle.

Kaye pamiętała dokładnie dreszcz, jaki poczuła, kiedy matka Mitcha określiła SHEVĘ jako „grzech pierworodny”. Jak dawno to było - piętnaście lat temu? Tuż po tym, jak spłodzili Stellę.

Jeśli SHEVA i inne ERV-y są grzechem pierworodnym, to coraz wyraźniej zaczyna się jawić, że wszystkie ssaki łożyskowe, a może wszystkie wielokomórkowe formy życia, są przepełnione grzechem pierworodnym, wymagają go, giną bez niego.

*I czyż nie to właśnie nastąpiło w Rajskim Ogrodzie? Zaczął się tam seks, poznawanie siebie i znane nam życie.*

*Wszystko przez wirusy.*

- Do diabła z tym - mruknęła Kaye. - Potrzebujemy na to wszystko nowych nazw.

**Arizona**

Apel był najmniej lubianą przez Stellę porą dnia. Dziewczęta ustawiały się wtedy w wielkim namiocie w rzędy, między którymi przechodziła panna Kantor.

Stella siedziała po turecku i rysowała palcem w kurzu małe sylwetki kwiatów i ptaków. Płótno powiewało w lekkiej porannej bryzie. Panna Kantor chodziła między szeregami siedzących po turecku nastolatków i przeglądała dziennik. Polegała wyłącznie na papierze, głównie dlatego, że zgubienie rezerwowego e-notesu czy laptopa stanowiło poważne przewinienie, karane zwolnieniem.

W internatach nie było telefonów, odbiorników satelitarnych, nawet radia. Telewizja ograniczała się do nagrań z programami edukacyjnymi. Stella i większość innych dzieci nabrały tu wstrętu do telewizji.

- Ellie Ann Garcia.

- Obecna.

- Stella Nova Rafelson.

- Obecna! - zawołała Stella; jej głos zabrzmiał srebrzyście w chłodnym pustynnym powietrzu.

- Jak twoje przeziębienie, Stello? - zapytała panna Kantor, przechodząc między rzędami.

- Przeszło - odpowiedziała Stella.

- Trwało osiem dni, tak? - Panna Kantor postukała długopisem w stronę dziennika.

- Tak, proszę pani.

- To piąta fala przeziębień w tym roku.

Stella przytaknęła. Wychowawcy prowadzili staranne i żmudne rejestry wszystkich zakażeń. Stella pięć dni temu była badana przez kilka godzin; podobnie z dwa tuziny innych dzieci mających podobne przeziębienia.

- Kathy Chu.

- Obecna!

Panna Kantor wróciła do Stelli po skończeniu apelu.

- Stello, czy woniejesz?

Stella podniosła wzrok.

- Nie, panno Kantor.

- Moje małe czujniki twierdzą, że woniejesz. - Poklepała wachacz przy swoim pasie. Stella nie woniała, ani nikt wokół niej. Elektroniczny nochal panny Kantor się pomylił i Stella wiedziała dlaczego; panna Kantor miała okres i to myliło czujnik. Nie zamierzała jednak nigdy jej tego mówić.

Ludzie złoścą się, kiedy się wspomina, że wydzielają zdradzające ich zapachy.

- Nigdy się nie nauczysz żyć w świecie zewnętrznym, jeśli nie zdołasz panować nad sobą - powiedziała do Stelli panna Kantor i przyklękła przed nią. - Znasz przepisy.

Stella wstała bez zachęty. Nie wiedziała, dlaczego została wybrana. Nie zrobiła niczego nadzwyczajnego.

- Zaczekaj przy furgonetce - poleciła panna Kantor.

Stella poszła do furgonetki, lśniąco białej w porannym słońcu. Powietrze nad górami było gęste i niebieskie. Za kilka godzin będzie gorąco, ale potem może ulewnie padać; po deszczu popołudniowe powietrze stanie się doskonałe do wychwytywania. Nie chciała przegapić tej sposobności.

Panna Kantor skończyła sprawdzanie obecności i dzieci ruszyły na poranne zajęcia prowadzone w przyczepach mieszkalnych i bungalowach rozrzuconych na zapyłonym terenie. Wychowawczynie i jej asystentka, spokojna i otyła młoda kobieta o imieniu Joanie, przyszły po zwirze do furgonetki. Panna Kantor nie patrzyła wprost na Stellę.

- Wiem, że nie byłaś jedyna - powiedziała panna Kantor. - Ale jesteś jedyną, którą zdołałam przyłapać. Musisz przestać, Stello. Tym razem jednak nie wyznaczę ci kary.

- Tak, proszę pani. - Stella wiedziała, że nie powinna się spierać. Potulność sprawiała, że panna Kantor zachowywała się rozsądnie i była dość wyrozumiała, ale przy najmniejszej oznace sprzeciwu lub braku pokory stawała się ostra. - Czy mogę pójść teraz na lekcje?

- Jeszcze nie - powiedziała panna Kantor, kładąc notatnik do furgonetki, której tylne drzwiczki otworzyła. - Twój ojciec przyjeżdża w odwiedziny - dodała. - Jedziemy do izby chorych.

Stella usiadła z tyłu furgonetki, za barierką z tworzywa sztucznego, cała zmieszana. Panna Kantor zajęła miejsce z przodu. Joanie zamknęła za nią drzwiczki i wróciła pod namiot.

- Czy jest tam teraz? - spytała Stella.

- Przyjedzie za jakąś godzinkę - odparła panna Kantor. - Właśnie dostaliście zezwolenie. To chyba dobrze, co?

- Czego chcą? - zapytała nagle Stella, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Niczego. To wizyta rodzinna.

Panna Kantor uruchomiła silnik samochodu. Stella wyczuwała jej niezadowolenie. Zdaniem panny Kantor wizyty rodziców były przeważnie daremne. Dzieci nie zostaną nigdy w pełni zintegrowane ze społeczeństwem ludzi, wbrew temu, co twierdzi polityka, która doprowadziła do powstania szkół. Zbyt dobrze znała dzieci. Po prostu nie były w stanie zachowywać się jak należy.

Co gorsza, panna Kantor wiedziała, że ojciec Stelli odsiedział w więzieniu wyrok za napaść na uzbrojonych funkcjonariuszy Urzędu Stanu Wyjątkowego. Przyznanie mu prawa do odwiedzin było dla niej afrontem. Pracowała tutaj już wcześniej, kiedy szkoła Sabie Mountain była jeszcze więzieniem.

Stella nie widziała Mitcha od trzech lat. Ledwo pamiętała, jak pachnie, a tym bardziej, jak wygląda.

Panna Kantor pojechała zwirem do wyłożonej płytami drogi, a potem pół mili między krzewami, aż do ceglanego budynku, który nazywali szpitalem. Tak naprawdę nie był to szpital. Stella wiedziała na pewno tylko to, że szpital stanowi siedzibę władz szkoły i jej areszt. Kiedyś był to szpital więzienny. Niektóre dzieci twierdziły, że w szpitalu wstrzykiwano im w policzki sól, odcinano język bądź wprowadzano botoks do tych mięśni twarzy, dzięki którym jej rysy były tak wyraziste.

W tym właśnie miejscu próbowano przerabiać dzieci SHEVY na ludzi. Stella nie spotkała nigdy dzieciaka, który przeżył takie męczarnie, ale to zrozumiała, mówili niektórzy, gdyż owe ofiary odsyłano do Suburbii, miasta, w którym mieszkały wyłącznie dzieci SHEVY próbujące się zachowywać jak ludzie.

Nie była to prawda, o ile wiedziała Stella, ale to do szpitala się trafiało, kiedy chcieli pobrać ci krew. Wiele razy bywała tam w tym celu.

W obozach krążyło mnóstwo opowieści. Rzadko bywały prawdziwe, ale większość brzmiała strasznie i dzieci mogły się nimi niebezpiecznie znudzić.

Gdy minęły ogrodzenie z drutu kolczastego i przejechały nad fosą, Stella poczuła, jak rośnie w niej coś smutnego i chłodnego.

Pamięć.

Nie chciała się rozpraszać. Patrzyła przez okienko, zła na Mitcha, że przyjechał. Czemu teraz? Czemu nie wtedy, gdy brała się w garść i mogła mu powiedzieć, że osiąga coś wartościowego? Życie było nadal zbyt niepewne. Ostatnie odwiedziny matki też ciężko przeżyła. Nie wiedziała, co mówić. Matka była taka smutna i pełna potrzeb, których żadna z nich nie mogła zaspokoić.



Miała nadzieję, że Mitch nie będzie tylko siedział i gapił się na nią przez stół w sali spotkań rodzinnych. Ani zadawał naprowadzających pytań. Ani starał się przekonać Stelli, że istnieje możliwość, aby znowu byli razem. Nie sądziła, żeby zdołała to wytrzymać.

Zwiesiła głowę i potarła nos. Koniuszkiem palca dotknęła kącika oczu, a potem języka, czyniąc to poza zasięgiem lusterka wstecznego. Oczy miała wilgotne, a łyzy smakowały gorzko i słono. Nie zapłacze jednak otwarcie. Nie w obecności człowieka.

Panna Kantor zatrzymała się na parkingu przed płaskim budynkiem z cegły i otworzyła drzwiczki od strony Stelli. Dziewczynka poszła za nią do szpitala. Gdy minęły narożnik, przez lukę między ceglana wiatą dostrzegła długi, żółty autobus podjeżdżający do budynku wstępnego. Dostarczył ładunek nowych dzieci. Stella podążała kilka kroków za panną Kantor, gdy minęły szklane drzwi i wkroczyły do aresztu.

Drzwi do sekretariatu były zawsze otwarte i Stella miała nadzieję na dostrzeżenie przez jego szerokie okno nowych dzieci wychodzących z budynku, w którym ich przyjmowano. Miałyby coś do przekazania demowi; wieści o przyszłych rekrutach albo jakieś informacje pochodzące z zewnątrz.

Nagle, irracjonalnie, zienawidziła Mitcha. Nie chciała się z nim spotkać. Nie chciała żadnych rozpraszać ją kłopotów. Pragnęła się skupić i nigdy więcej nie martwić się o ludzi. Miała ochotę rzucić się na pannę Kantor, powalić ją na wyłożoną linoleum podłogę, uciec stąd, obojętnie gdzie.

W czasie owego przelotnego, gorącego ataku gniewu - mocniejszego niż ten, do jakiego zdolna jest większość ludzi - przez okno sekretariatu dostrzegła przez chwilę rząd dzieci. Gniew minął.

Miała wrażenie, że poznała jedną twarz.

Pochyliła się, aby zdjąć but i obrócić go podeszwą do góry, potrząsnąć nim. Panna Kantor obejrzała się i stanęła z rękoma na biodrach.

Zapisał wachacz na jej pasie.

- Znowu woniejesz? - zapytała.

- Nie, proszę pani - odpowiedziała Stella. - Mam kamyk w bucie. - Chwila przerwy wystarczyła jej, aby poszukać w pamięci twarzy z szeregu przybyłych. Wstała, jeszcze trochę się ociągała z ruszeniem dalej, aż panna Kantor odwróciła wzrok, a wtedy Stella zerknęła jeszcze raz przez okno.

Znała tę twarz. Był teraz wyższy i chudszy, wyglądał niemal na chodzący szkielet, włosy miał nieuczesane, oczy puste i bez życia w jaskrawym słońcu. Szereg zaczął iść i Stella znowu spojrzała na korytarz i pannę Kantor.

Przestała się już przejmować Mitchem.

Chudzielec był chłopcem, którego spotkała w szopie Freda Trinketa w Wirginii, kiedy uciekła z domu Kaye i Mitcha.

To Will. Silny Will.

## 13

### Baltimore

Kaye wyłączyła prezentacje i wyjęła próbki, a potem starannie odłożyła je do korytka w zamrażarce. Po raz pierwszy wiedziała, że zbliża się do końca swej pracy w Americolu. Jeszcze trzy, cztery eksperymenty, najwyżej sześć miesięcy harówki w laboratorium i będzie mogła wrócić do Kongresu, stawić czoło Rachel Browning i powiedzieć komisji nadzorczej, że wszystkie naczelnice, wszystkie małpy, wszystkie ssaki, przypuszczalnie wszystkie kręgowce, a nawet wszystkie zwierzęta - a niewykluczone, że wszystkie formy życia wyższe od bakterii - są chimerami genetycznymi. Pod każdym względem wszyscy jesteśmy dziećmi wirusa.

*Nie tylko Stella. Nie tylko moja córka i tacy jak ona.*

*Wszystkie niemowlęta potrzebują wirusów, aby móc się urodzić. Wszyscy senatorzy i kongresmani, nawet prezydent, a także wszystkie ich żony, dzieci i wnuki, wszyscy obywatele Stanów Zjednoczonych oraz wszyscy mieszkańcy świata są obciążeni grzechem pierwotnym.*

Kaye podniosła wzrok, jakby coś usłyszała. Dotknęła grzbietu nosa i rozejrzała się po laboratorium, rzędach białych, szarych i beżowych sprzętów, stołach z czarnymi blatami, zestawach lamp zwisających z sufitu jak odwrócone do góry nogami tekturki na jajka. Poczowała lekki ucisk za oczyma, chłodne, płynne srebro spływające tyłem jej głowy, narastającą świadomość, że nie jest sama w pokoju, w swoim ciele.

Wrócił wołający. Dwa razy w ciągu ostatnich trzech lat przebywała z nim przez całe trzy dni. Zawsze przedtem podróżowała albo pracowała pod presją czasu i próbowała ignorować to, co zaczęła uważać za niepotrzebne zakłócanie życia.

- To nieodpowiednia pora - powiedziała głośno i pokręciła głową. Wstała, wyciągnęła ręce na bok i pochyliła się, aby dotknąć palców u stóp, wszystko w nadziei, że ćwiczenia odeślą wołającego daleko. - Idź sobie. - Nie odszedł. Dawał znaki z jeszcze większym przekonaniem. Kaye wybuchnęła bezradnym śmiechem i otarła łzy. - Proszę - szepnęła,

pochylona nad stołem laboratoryjnym. Łokciem trąciła stosik szkiełek Petriego. Gdy je układała, wołający uderzył całą siłą, zalewając ją, akceptując błogo taką, jaka jest. Kaye zamknęła oczy i pochyliła się do przodu; całe jej ciało przepelniało niesamowite poczucie jedności z czymś bardzo bliskim i dobrym, a jednocześnie nieskończenie twórczym i potężnym.

- Jakbyś mnie kochał - powiedziała, trzęsąc się ze zdenerwowania. - Dlaczego więc mnie dręczysz? Czemu nie powiesz mi po prostu, co chcesz, abym zrobiła? - Przesunęła się wzdłuż stołu do krzesła przy biurku w rogu laboratorium. Zwiesiła głowę między kolana. Nie czuła się słabo ani nawet nie kręciło się jej w głowie; mogłaby chodzić, a nawet pracować jak zwykle. Robiła tak już przedtem. Tym razem jednak miała już dość.

Jej gniew przebijał się nawet przez natarczywe fale oceniania i przyzwalania. Kiedy wołający dotknął jej po raz pierwszy, zabrali Mitcha i Stellę. Było to takie niedobre, takie niesprawiedliwe; nie chciała wspominać teraz owych czasów. A jednak to potwierdzenie zmuszało ją do wspomnienia.

- Idź sobie. Proszę. Nie wiem, po co tu jesteś. Ten świat jest okrutny, choć może nie ty, i muszę pracować.

Rozejrzała się, przygryzła wargę, ujrzała laboratorium, jego wyposażenie, tak porządnie rozstawione, mrok za oknem. Na zewnątrz ściana nocy, wewnątrz jasność rozumu.

- Proszę.

Poczuła, że głos cichnie, ale nie traci na mocy. Jakże uprzejmy, pomyślała. Nagle, w panice, przestraszona nową stratą, możliwością, że odejdzie, skoczyła na równe nogi.

- Czy starasz się naprowadzić mnie na coś? - zapytała zdesperowana. - Nagrodzić mnie za pracę, za odkrycia?

Kaye odniosła wyraźne wrażenie, że nie o to chodzi. Wstała i upewniła się, że drzwi są zamknięte. Lepiej, aby nikt nie zajrzał i nie zobaczył, jak mówi do siebie. Chodziła tam i z powrotem między sprzętami. - Chcesz więc ze mną porozmawiać, ale nie słowami - powiedziała z półprzymkniętymi oczami. - W porządku, pogadam. Daj mi do zrozumienia, czy mam rację, czy nie, zgoda? Może to zająć chwilę.

Już dawno temu nauczyła się, że zuchwałość nie robi wrażenia na wołającym. Nawet kiedy Kaye przeklinała siebie za to, co zrobiła, porzucając Mitcha w więzieniu, a córkę w szkole, rujnując życie ich wszystkich w rozpaczliwej próbie hazardowego wykorzystania wszystkich narzędzi nauki i racjonalności, wołający nadal promieniował miłością i uznaniem.

Mogła wymierzać sobie karę, ale wołający jej tego nie robi.

Wpadła w jeszcze większe zakłopotanie, gdy zaczęła nabierać przekonania, że

wołający na pewno nie jest rodzaju żeńskiego, przypuszczalnie także nie nijakiego - ale męskiego. Wołający nie przypominał w niczym jej ojca, Mitcha ani żadnego innego mężczyzny, którego w życiu spotkała i poznała, ale mimo to wydawał się dziwnie męski. Co oznaczało to psychologicznie, nie chciała wcale odkrywać. Było odrobinę zbyt *de rigueur*, odrobinę zbyt świętoszkowate, aby dać jej pociechę.

Wołający nie przejmował się jednak jej skrupułami. Był najbardziej stałą rzeczą w jej życiu - poza potrzebą przyjścia z pomocą Stelli.

- Czy dobrze postępuję? - zapytała, rozglądając się po laboratorium. Przestała dygotać. Pozwoliła, aby przemył ją niesamowity spokój. - To chyba znaczy „tak”? - zapytała niepewnie. - Jesteś tym Ważnym? Jesteś Jezusem? A może tylko Gabrielem?

Zadawała już te pytania i nie otrzymywała odpowiedzi. Tym razem jednak wyczuła prawie niedostrzegalną zmianę w przepływających przez nią wrażeniach. Zamknęła oczy i szepnęła:

- Nie. Żadnym z nich. Jesteś moim aniołem stróżem?

Ponownie, po kilku sekundach, zamknęła oczy i szepnęła: - Nie.

- No to kim jesteś?

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi, zmiany, wskazówki.

- Bogiem?

Nic.

- Jesteś wewnątrz mnie, tam, albo w jakimś miejscu, z którego możesz po prostu cały boży dzień zsyłać miłość i uznanie dla mnie takiej, jaka jestem, a potem odchodzisz i zostawiasz mnie w biedzie. Nie rozumiem tego. Muszę wiedzieć, czy jesteś czymś w mojej głowie. Przerwanym nerwem. Pękniętą żyłą z krwią. Potrzebuję mocnej otuchy. Mam nadzieję, że mi jej udzielisz.

Wołający nie wyraził zastrzeżeń, choćby w postaci wycofania się pod ogniem takich pytań, takich błuznierstw.

- Naprawdę jesteś czymś innym, wiesz o tym? - Kaye usiadła przed stacją roboczą i zalogowała się w sieci wewnętrznej Americolu. - Na lekcjach religii nic o tobie nie mówiono.

Popatrzyła na zegarek - 18.00 - i sprawdziła grafik podający, kto o tej godzinie jest w budynku.

Na parterze na posterunku tkwi nadal główny radiolog Herbert Roth, pracujący do późna. Właśnie jego potrzebowała. Roth kierował Laboratorium Obrazowania Nieinwazyjnego. Pracowała z nim przed dwoma tygodniami, robiąc USG Wishtoes, ich najstarszej szympansicy.

Roth był młody, spokojny, oddany swej pracy.

Kaye otworzyła drzwi laboratorium i wyszła na korytarz.

- Czy sądzisz, że pan Roth zechce zrobić USG mnie? - zapytała, nie zwracając się do nikogo określonego.

## 14

### Arizona

Godzinami przetrzymywali Stellę przed spotkaniem z Mitchem. Najpierw odwiedziła pielęgniarkę, która ją zbadała, zrobiła wacikiem wymaz z wewnętrznej strony policzka i pobrała kilka centymetrów sześciennych krwi.

Stella odwróciła wzrok, gdy pielęgniarka lekko ukłuła ją igłą. Wyczuwała zapach jej obawy: była to dziewczyna zaledwie kilka lat starsza od Stelli i nie lubiła tego robić.

Następnie panna Kantor zabrała Stellę do pomieszczeń przeznaczonych dla odwiedzających. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła dziewczynka, było to, że usunęli barierkę z tworzywa sztucznego. Zostały jedynie stoły i krzesła. Coś się zmieniło i na chwilę przykuło to jej uwagę. Dotknęła kawałka waty przylepionego plastrem w zagięciu łokcia. Po godzinie przyszła znowu panna Kantor z naręczem komiksów.

- *X-men* - powiedziała. - Spodoba ci się. Ciągłe sprawdzają twego ojca. Daj mi wacik.

Stella oderwała plaster i wręczyła pannie Kantor, która otworzyła plastikową torebkę, aby go schować.

- Niedługo tu przyjdzie - zapowiedziała panna Kantor z wyćwiczonym uśmiechem.

Stella nie zwracała uwagi na komiksy, stojąc w pustym pokoju z tapetą w kwiatki, jednym stołem i dwoma plastikowymi fotelikami. W rogu stał automat chłodzący wodę i kilka rozkładanych krzesełek, poplamionych i brudnych. Nalała sobie wody do kartonowego kubeczka. Jedno okno wychodziło na główny budynek administracyjny, a drugie na parking. Nie było gorącej kawy czy herbaty ani płyty do podgrzewania jedzenia - nie było żadnych sprzętów kuchennych. Odwiedziny rodziny nie miały trwać długo ani odbywać się w zbyt wygodnych warunkach.

Zgniotła kubeczek w dłoni, rozmyślając na przemian o ojcu i o Willu. Myślenie o Willu odsuwało ojca daleko w cień i choć działo się tak tylko na chwilę, Stella nie była zadowolona. Nie chciała postępować chaotycznie. Nie chciała stać się nieprzewidywalna; pragnęła pozostać wierna zadaniu tworzenia mocnego demu, odpornego na szkołę, na wpływy

ludzi, a to wymagało skupienia i stabilności uczuć.

Nic nie wiedziała o Willu. Nie знаła nawet jego nazwiska. Mógł jej nie pamiętać. Może trafił tu tylko przejściowo, na badania albo swego rodzaju kwarantannę, w drodze do innej szkoły.

Ale jeśli zostanie...

Joanie otworzyła drzwi.

- Jest twój ojciec - powiedziała. Joanie zawsze starała się zamaskować swój zapach pudrem dla niemowląt. Minę miała miłą, lecz pustą. Robiła wszystko, czego chciała od niej panna Kantor, i rzadko wyrażała własne zdanie.

- Dobra - rzuciła Stella i usiadła na jednym z plastikowych fotelików. Miała nadzieję, że stół będzie ich rozdzielał. Wierciła się nerwowo. Musiała przywyknąć do myśli o ponownym zobaczeniu Mitcha.

Joanie wskazała drzwi i wszedł Mitch. Lewa ręka zwisała mu wzdłuż boku. Stella popatrzyła na nią, otwierając szeroko oczy, a potem na dżinsową kurtkę i spodnie, znoszone i trochę zakurzone. Wreszcie przeniosła wzrok na twarz.

Mitch zmuszał się do nerwowego uśmiechu. On także nie wiedział, co ma robić.

- Cześć, maleńka - powitał córkę.

- Może pan usiąść na krześle - powiedziała Joanie. - Proszę nie tracić czasu.

- Ile go mamy? - zapytał Joanie Mitch. Stella nienawidziła tego. Pamiętała go silnego i władczego, a teraz robił błąd, pytając o takie rzeczy.

- Na dzisiaj nie mamy wyznaczonych wielu odwiedzin. Są cztery pokoje. A zatem... proszę nie tracić czasu. Macie kilka godzin. Proszę zwrócić się do mnie, jeśli będzie pan czegoś potrzebował. Będę w biurze tuż obok.

Joanie zamknęła drzwi, a Mitch popatrzył na krzesło, na stół. Potem na swoją córkę.

- Nie chcesz uścisku? - zapytał Stellę.

Stella wstała, jej policzki spłówiały z emocji. Trzymała ręce przy bokach. Mitch powoli przeszedł przez pokój, a ona śledziła go wzrokiem niby dzikie zwierzę. Potem prądy powietrza przyniosły jego zapach i krzyk wyrwał się jej z ust, zanim zdążyła je zacisnąć. Mitch zrobił ostatni krok, objął ją, uściskał, a Stella dygotała w jego ramionach. Oczy wypełniły jej łzy, kapiące na kurtkę Mitcha.

- Jesteś taka duża - szepnął Mitch, kołysząc ją lekko w przód i w tył, aż szurała po linoleum czubkami butów.

Staneła, odepchnęła go i spróbowała opanować uczucia, ale nie zdołała. Wybuchaly jak popcorn na patelni.

- Nigdy się nie poddam - powiedział Mitch.

Długie palce Stelli zacisnęły się na jego kurtce. Zapach ojca był wszechobecny, kojący i znajomy; poczuła się przez to znowu małą dziewczynką. Był czysty i prosty, bez udziwnień, przewidywalny i zapadający w pamięć; miał w sobie woń ich domu w Wirginii, wszystkiego, co starała się zapomnieć, wszystkiego, co uważała za utracone.

- Nie mogłem przyjeżdżać, aby cię odwiedzać - powiedział. - Nie wpuściliby mnie. Warunek nadzoru kuratorskiego.

Przytaknęła, lekko przyciskając podbródek do jego ramienia.

- Posyłałem wiadomości do twojej matki.

- Przekazywała mi je.

- Nie było żadnej broni, Stello. Kłamali - powiedział Mitch i przez chwilę wydawał się równie młody jak ona. Wyglądał jak kolejne rozczarowane dziecko.

- Wiem. Kaye mi powiedziała. Mitch odsunął córkę na długość ręki.

- Jesteś przepiękna - stwierdził, ściągając krzaczaste brwi. Twarz miał spaloną słońcem. Stella wyczuwała zapach uszkodzeń jego skóry, jej stwardnienie. Pachniał jak rzemień i kurz, tuż ponad swym podstawowym zapachem, będącym po prostu zapachem Mitcha. W jego woni - a także w woni Kaye - była w stanie wychwycić trochę z własnego podstawowego zapachu, niczym wspólny numer licencji w genach, wspólne hasło dające dostęp do uczuć.

- Chcą, abyśmy usiedli... tutaj? - zapytał Mitch, machając jedną ręką w stronę stolika.

Stella objęła się ramionami, nadal wewnątrz zablokowana. Nie wiedziała, co robić. Mitch się uśmiechnął.

- Postójmy chwilę - powiedział.

- No dobrze.

- Przywyknijmy znowu do siebie.

- No dobrze.

- Czy dobrze cię traktują? - zapytał Mitch.

- Pewnie uważają, że tak.

- A co ty uważasz?

Wzdrygnięcie się, długie palce zacisnięte na nadgarstkach, utworzenie klatki obronnej z rąk i dłoni.

- Boją się nas.

Mitch zacisnął szczęki i przytaknął.

- Nic nowego.

Oczy Stelli hipnotyzowały, gdy próbowała wyrażać przez nie siebie. Ich źrenice zmieniły wielkość, a złote cętki przepływały niczym pęcherzyki w szampanie.

- Nie chcę, abyśmy byli tym, czym jesteśmy

- Co masz na myśli?

- Przenoszą nas z jednego baraku sypialnego do drugiego. Używają wachaczy. Jeżeli woniejemy, jesteśmy karani. Jeżeli woniejemy obłokiem lub chorobą, rozdzielają nas i zamykają w areszcie.

- Czytałem o tym - powiedział Mitch.

- Uważają, że będziemy próbować ich perswadować. Może się boją, że będziemy próbować ucieczki. Noszą zatyczki w nosach, a czasami rozpylają w barakach sypialnych sztuczne aromaty truskawki bądź brzoskwini, kiedy przeprowadzają badania lekarskie. Kiedyś lubiłam truskawkę, ale teraz jest okropna. Najgorszy z wszystkiego jest Pine-Sol. - Przytknęła dłoń do nosa i zakrztusiła się, jakby coś ją dławilo.

- Słyszałem też, że lekcje są nudne.

- Boją się, że się czegoś nauczymy - powiedziała Stella i zachichotała. Mitcha przeszedł dreszcz. Głos córki się zmienił, i to dość znacznie. Mówiła ostrożnie, bardziej dojrzałe... ale było coś jeszcze.

Śmiech jest ważnym wskaźnikiem w psychologii i kulturze. Jego córka była zupełnie inna niż mała dziewczynka, którą znał.

- Nauczyłam się wiele od innych - mówiła dalej Stella, poważniejąc. Mitch wypatrzył słabiutkie ślady linii pod i za oczami, w kącikach ust; fascynował go taniec wskazówek zdradzających jej uczucia. Lepiej panowała nad mięśniami niż kiedyś... Potrafiła nadawać twarzy wyrazy, których ani trochę nie był w stanie odczytywać.

- Dobrze sobie radzisz? - zapytał z ogromną powagą.

- Radzę sobie lepiej, niż chcę - odparła. - Nie jest tu tak źle, skoro dajemy sobie radę. - Zerknęła na sufit, dotknęła płatka ucha, mrugnęła. Byli śledzeni; nie chciała zdradzać żadnych tajemnic.

- Cieszę się, że to słyszę.

- Ale oczywiście są rzeczy, o których już wiedzą - dodała cichszym głosem. - Opowiem ci o tym, jeśli chcesz.

- Oczywiście, maleńka. O wszystkim.

Wbijając oczy w blat stołu, opowiedziała Mitchowi o grupach liczących od dwadzieściorga do trzydzieściorga dzieci, które nazywały demami.

- To znaczy „lud” - wyjaśniła. - W demach jesteśmy jak siostry. Nie chcę jednak, aby



chłopcy spali w tych samych rewirach, tych samych barakach. Musimy więc nocami śpiewać ponad drutami i w ten sposób włączać chłopców do naszych demów.

- Przypuszczalnie tak jest lepiej - powiedział Mitch. Uniósł jedną brew i zacisnął usta. Stella pokręciła głową.

- Nic nie rozumiem. Dem jest jak wielka rodzina. Pomagamy sobie. Rozmawiamy, rozwiązujemy problemy i przerywamy spory. Jesteśmy bardzo mądrzy, kiedy jesteśmy w demie. Czujemy się razem tak dobrze. Może to dlatego...

Mitch odchylił się do tyłu, kiedy jego córka nagle przemówiła dwoma głosami jednocześnie:

- Musimy być razem/Jesteśmy zdrowsi razem
- Każdy troszczy się o innych/Każdy jest szczęśliwy będąc z innymi
- Smutek płynie z niewiedzy/Smutek płynie z rozdzielenia.

Zdumiała go pełna jasność obu strumieni słów. Słyszając je i natychmiast analizując, był w stanie połączyć je w szereg stwierdzeń, ale gdyby rozmowa potrwała dłużej niż kilka sekund, na pewno wszystko by mu się pomieszało. I nie miał wątpliwości, że Stella potrafi teraz mówić tak w nieskończoność.

Popatrzyła na niego wprost, skóra wokół jej gałek ocznych ściągnęła się w zmarszczki, których nie potrafił ani powtórzyć, ani odczytać. Cętki tworzące się na zewnątrz oczu i pod nimi przypominały płowozłote gwiazdki; iskrzyła nimi na sposoby, których nigdy dotąd nie widział.

Drżał zarówno w podziwieniu, jak i w trosce.

- Nie wiem, co to znaczy, kiedy... to robisz - powiedział. - To znaczny, jest piękne, ale...

- Co robisz? - zapytała Stella; jej oczy stały się znowu normalne.

Mitch przełknął ślinę.

- Kiedy jesteś w demie, ile z was rozmawia w ten sposób... jednocześnie?

- Tworzymy kręgi - wyjaśniła Stella. - Rozmawiamy z sobą w kręgu i przez krąg.

- Ile osób jest w kręgu?

- Pięć lub dziesięć - odparła Stella. - Oczywiście oddzielnie. Chłopcy mają swoje zasady. Dziewczeta swoje. Możemy tworzyć nowe zasady, ale niektóre są chyba od zawsze. Przeważnie przestrzegamy zasad, dopóki nie uznamy, że doszło do zagrożenia - ktoś poczuł się stromowaty.

- Stromowaty.

- Że nie jest częścią obłoku. Kiedy obłokujemy, jesteśmy sobie jeszcze bliżsi niż bracia

i siostry. Niektórzy z nas stają się ponadto mamami i tatami, możemy wtedy przewodzić obłokom, ale mama i tata nigdy nie każą nam robić rzeczy, których nie chcemy. Decydujemy razem.

Popatrzyła w sufit, w jej podbródku pojawił się dołek.

- Wiesz o tym. Kaye ci mówiła.

- O części. Czytałem też trochę o tym. Pamiętam, jak kiedyś próbowałaś na nas niektórych z tych... technik. Pamiętam, jak staraliśmy się dotrzymywać ci kroku. Nie byłem w tym zbyt dobry. Twoja matka radziła sobie lepiej.

- Jej twarz... - zaczęła Stella. - Widzę jej twarz, gdy zostaję mamą w obłoku. Jej twarz staje się moją. - Jej brwi utworzyły eleganckie i pociągające podwójne łuki, jednocześnie groteskowe i piękne. - Trudno to wyjaśnić.

- Chyba rozumiem - powiedział Mitch. Jego skóra się rozgrzała. Przebywanie z córką sprawiało, że czuł się pomijany, a nawet lekceważony; jak wpływało to na wychowawców, na ich dozorców?

W tym zoo, kto tak naprawdę jest zwierzęciem?

- Co się dzieje, gdy ktoś się nie zgadza? Czy go przymuszacie?

Stella zastanawiała się dłuższą chwilę.

- W obłoku każdy jest wolny, ale wszyscy współpracują. Jeśli się nie zgadzają, zostają przy tym zdaniu, aż nadejdzie pora, a wtedy obłok słucha. Czasami, gdy sprawa jest pilna, zdanie jest przedstawiane od razu, ale to nas spowalnia. Musi być dobrze.

- I dobrze ci w twoim obłoku?

- W obłoku - poprawiła go Stella. - Wszystkie obłoki są częścią jednego, nie ma ostrych granic. Różnice i problemy rozważamy później, kiedy demy zajmują się zaległościami. Ale rzadko się tak zdarza, więc większość z nas nie wie, jak to jest. Wyobrażamy to tylko sobie. Bywa tak jednak.

Nie powiedziała Mitchowi, że w takich przypadkach niemal wszyscy są potem zabierani do szpitala, gdzie pobiera się od nich próbki.

- Wydaje się to bardzo przyjacielskie - zauważył Mitch.

- Czasami zdarza się nienawiść - powiedziała Stella ponuro. - Musimy sobie z tym radzić. Obłok czuje ból, zupełnie jak osoba.

- Czy wiesz, co ja czuję teraz?

- Nie - odparła Stella. - Twoja twarz jest jakby pusta. - Uśmiechnęła się. - Wychowawczynie pachną jak kapusta, kiedy zrobimy coś niespodziewanego/Pachniały jak brokuły, kiedy się przeziębiłyśmy kilka dni temu.

- Jestem już zdrowa, to nie było nic poważnego, ale postępujemy jak chore, aby je martwić.

Mitch wybuchnął śmiechem. Mieszające się z sobą intonacje urazy i kpiarskiej wyższości podziały nań jak łaskotki.

- To świetnie - powiedział. - Ale nie przesadzajcie.

- Wiemy - przyznała Stella skromnie i nagle w jej minie Mitch dostrzegł Kaye, poczuł napływ prawdziwej dumy, że ta młoda kobieta nadal pochodzi z nich, od nich. Mam nadzieję, że to jej nie ogranicza, pomyślał.

Poczuł także nagły wybuch tęsknoty za Kaye.

- Czy w więzieniu jest jak tutaj? - zapytała Stella.

- No, mimo wszystko jest tam trochę ciężiej.

- Czemu nie jesteś teraz z Kaye?

Mitch zastanawiał się, jak może to wytłumaczyć.

- Kiedy siedziałem w więzieniu... było jej naprawdę ciężko, podejmowała trudne decyzje. Nie mogłem jej pomagać w ich podejmowaniu. Zdecydowaliśmy, że będziemy bardziej skuteczni, działając oddzielnie. Nie mogliśmy... obłokować, tak pewnie byś powiedziała.

Stella pokręciła głową.

- To t r a f i e n i e, jak krople deszczu uderzające w siebie. S p ł y n i ę c i e jest wówczas, gdy krople padają oddzielnie. Obłok jest czymś większym.

- Och - rzucił Mitch. - Ile słów macie na śnieg?

Wyraz twarzy Stelli zdradzał całkowity brak zrozumienia, i przez chwilę Mitch widział córkę taką, jaka była nawet dziesięć lat temu; kochał ją gorąco.

- Rozmawiam z twoją matką co kilka tygodni. Jest teraz zajęta, pracuje w Baltimore. Zajmuje się nauką.

- Próbuje przerobić nas na ludzi?

- Jesteście ludźmi - powiedział Mitch. Jego twarz poczerwieniała.

- Nie - odparła Stella. - Nie jesteśmy.

Mitch uznał, że to nie pora i nie miejsce.

- Stara się dowiedzieć, jak tworzymy nowe dzieci. Nie jest to takie proste, jak sądzimy.

- Dzieci wirusa - powiedziała Stella.

- No tak, o ile jestem w stanie to zrozumieć, wirusy odgrywają najróżniejsze role. Odkryliśmy to dopiero wtedy, gdy zetknęliśmy się z SHEVĄ. Teraz... wszystko stało się ogromnie złożone.

Stella wydawała się tym przede wszystkim urażona.

- Nie jesteśmy nowi?

- Oczywiście, że jesteście - odrzekł Mitch. - Naprawdę nie rozumiem tego najlepiej. Kiedy wszyscy zbierzemy się znowu razem, twoja matka będzie wiedziała dość, aby nam to wytłumaczyć. Uczy się najszybciej, jak tylko może.

- Nie uczą nas tutaj biologii - powiedziała Stella.

Mitch zacisnął zęby. *Zamykajcie je. Zamykajcie na cztery spusty. Inaczej moglibyście uzbroić ich w zapalnik.*

- Jesteś z tego powodu zły? - zapytała Stella.

Przez chwilę nie był w stanie odpowiadać. Zacisnął pięści na blacie stolika.

- Oczywiście.

- Każ im nas wypuścić. Zabierz nas stąd, wszystkich - poprosiła Stella. - Nie tylko mnie.

- Próbujemy - powiedział, ale ze świadomością, że nie jest całkowicie szczery. Jako skazany przestępca miał ograniczone możliwości. A własne poczucie krzywdy i straty zmniejszały jego skuteczność w grupach. W najczarniejszym ze swych nastrojów uważał, że to właśnie dlatego on i Kaye nie żyją już razem.

Stał się obciążeniem politycznym. Samotnym wilkiem.

- Mam tutaj mnóstwo rodzin, i ciągle rosną - oznajmiła Stella.

- To my jesteśmy twoją rodziną - odparł Mitch.

Stella chwilę patrzyła na niego z zaskoczeniem.

Joanie otworzyła drzwi.

- Czas minął - powiedziała.

Mitch okręcił się w krześle i postukał palcem w zegarek.

- Nie upłynęła nawet godzina.

- Będzie więcej czasu jutro, jeśli może pan tu wrócić - odrzekła Joanie.

Mitch obrócił się znowu w stronę Stelli, przybity.

- Nie mogę zostać do jutra. Jest coś...

- Idź - powiedziała Stella i wstała. Okrążyła stolik, gdy Mitch dźwignął się na nogi, i ponownie objęła ojca, szybko i mocno. - Wszyscy mamy wiele pracy do wykonania.

- Jesteś teraz taka dorosła - zauważył Mitch.

- Jeszcze nie - odparła Stella. - Nikt z nas nie wie, jak będzie. Najpewniej nie pozwolą, abyśmy się o tym przekonali.

Joanie psyknęła i wyprowadziła Mitcha i Stellę z pokoju. Rozstali się na ceglany

korytarzu. Mitch pomachał córce zdrową ręką.

Siedział w gorącym wnętrzu swojej półciężarówki, pod wiszącym nisko słońcem Arizony, spocony i bliski załamania, bardziej samotny, niż był kiedykolwiek w życiu.

Przez ogrodzenie, za krzakami i piaskami, widział więcej dzieci - setki - chodzących między pawilonami. Bębnił ręką w kierownicę.

Stella nadal była jego córką. Nadal dostrzegał w niej Kaye. Różnice były jednak zdumiewające. Mitch nie wiedział, czego się spodziewał; oczekiwał różnic. Ale ona nie tylko dorastała. Wyglądała na lśniąca i błyszcząca, jak nowy grosik. Była nieznajoma, choć wcale nie odległa czy nieprzyjazna, po prostu skupiona na czymś innym.

Jedynym wnioskiem, do jakiego zdołał dojść, kiedy włączał wielki silnik starej półciężarówki Forda, była uwaga dotycząca jego samego.

Przerażała go własna córka.

Kiedy wypełniono jej krwią następną probówkę, Stella wróciła do pawilonu, w którym po kolacji oglądali filmy wideo pokazujące, jak bawią się, rozmawiają i siedzą w klasie ludzkie dzieci. Nazywało się to „wiedza o społeczeństwie”. Miało zmienić sposoby zachowywania się nowych dzieci, kiedy przebywały razem. Stella nienawidziła tych zajęć. Patrzenie na ludzi nieświadomych tego, jak pachną, patrzenie na twarze młodych ludzi z ich ograniczonym zakresem emocji budziło w niej niepokój. Gdyby jednak nie patrzyły na telewizję, panna Kantor stałaby się naprawdę przykra.

Stella rozmyślnie zachowywała trzeźwy umysł, lecz w jej lewym oku pojawiła się łza i spłynęła po policzku. Nie w prawym. Tylko w lewym.

Zastanawiała się, co to oznacza.

Mitch zmienił się ogromnie. A pachniał, jakby dopiero co został skopany.

**15**

## **Baltimore**

Pokój pracowników laboratorium obrazowania oddzielały od Aparatu Obrazowania Rezonansem Magnetycznym - Maszyny - dwa puste pomieszczenia. Siły wzbudzone przez magnesy toroidalne Maszyny są olbrzymie. Odwiedzających przestrzega się, aby przed

zbliżeniem się do nich opróżnili kieszenie z urządzeń mechanicznych i elektronicznych, wyjęli komputery kieszonkowe, portfele, telefony komórkowe, plakietki identyfikacyjne, okulary, zegarki. Podejście jeszcze dalej wymaga zamiany zwykłych ubrań na stroje pozbawione elementów metalowych - zamków błyskawicznych, guzików czy sprzączek; niedopuszczalne są pierścionki, spinki, klamerki, łańcuszki.

Wszystkie luźne przedmioty w odległości kilku metrów od Maszyny są z drewna lub tworzywa sztucznego. Pracownicy noszą paski elastyczne i specjalnie dobrane kapcie lub buty sportowe.

Przed pięcioma laty, właśnie w tym miejscu, pewna uczona zapomniała o ostrzeżeniach i magnesy wyrwały kolczyki, które miała w sutkach i lechtacze. Tak przynajmniej mówiono. Ludzie z rozrusznikami serca, implantami nerwu wzrokowego czy jakimikolwiek innymi nie mogli się nawet zbliżyć do Maszyny.

Kaye nie miała takich przeciwwskazań i to właśnie powiedziała najpierw Herbertowi Rothowi, kiedy stanęła na progu jego gabinetu.

Drobny, łysiejący, trochę po czterdziestce, uśmiechnął się do niej z zaskoczoną miną, odłożył ołówek i odsunął na bok stosik kartek.

- Rad jestem to słyszeć, pani Rafelson - powiedział - ale Maszyna jest wyłączona. Ponadto przez kilka dni obrazowaliśmy Wishtoes, więc już to o pani wiem.

Roth przysunął dla Kaye plastikowe krzesło i ta usiadła po drugiej stronie drewnianego biurka. Dotknęła jego gładkiej powierzchni. Roth powiedział jej, że mebel zrobił jego ojciec z mocnego drewna klonowego, bez jednego gwoździa, stosując jedynie klej. Było piękne.

A więc wciąż ma ojca.

Poczuła mroźny potok spływający kręgosłupem, doznała wszechogarniającej radości i uznania jej istnienia, na chwilę zamknęła oczy. Roth przyglądał się jej z troską.

- Długi dzień?

Pokręciła głową, zastanawiając się, jak ma zacząć.

- Czy Wishtoes jest w ciąży?

- Nie - odparła Kaye. Wskoczyła do głębokiej wody. - Czy uważa się pan za dobrego naukowca?

Roth rozejrzał się nerwowo, jakby pokój przestał mu być znajomy.

- To zależy. - Spuścił wzrok, ale nie zdołał się powstrzymać przed zerknięciem na Kaye.

- Naukowca i człowieka dyskretnego?

Oczy Rotha na chwilę rozszerzyły się jakby w panice.

- Przepraszam bardzo, pani Rafelson...

- Kaye, proszę cię.

- Kaye. Uważam cię za bardzo atrakcyjną, ale... Jeśli chodzi o Maszynę, mam już listę witryn sieciowych, które pokazują... To znaczy, już to zrobiono. - Wybuchnął śmiechem, który w jego zamierzeniu miał być pełen galanterii. - Kurczę, ja to zrobiłem. To znaczy nie sam.

- Co zrobiłeś? - zapytała Kaye.

Roth oblął się rumieńcem i odepchnął krzesło z głuchym zgrzytem plastikowych nóg.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym u licha rozmawiamy.

Kaye się uśmiechnęła. Uśmiech ten nie oznaczał nic szczególnego, ale dostrzegła, jak Roth się uspokaja. Jego mina przeszła w wyraz troskliwego zaskoczenia, a dodatkowe kolory znikły z oblicza. Chodzi o mnie, o to, pomyślała. Cudowna chwila.

- Po co tu przyszłaś? - spytał Roth.

- Zapewniam ci wyjątkową sposobność. - Kaye czuła niewiarygodne zdenerwowanie, ale nie zamierzała pozwolić, aby to ją powstrzymało. O ile wiedziała, w całej historii nauki, przynajmniej potwierdzonej, choć dotyczyło to także znanej z pogłosek, nie było nigdy podobnej sposobności. - Doznałam epifanii.

Roth w zdumieniu uniósł jedną brew.

- Nie wiesz, czym jest epifania? - zapytała Kaye.

- Jestem katolikiem. To święto upamiętniające boskość Jezusa. Albo coś w tym rodzaju.

- To objawienie - wyjaśniła Kaye. - Bóg jest we mnie.

- Och - rzucił Roth. Słowo to wisiało między nimi kilka sekund, a przez ten czas Kaye nie odrywała wzroku od oczu Rotha. To on pierwszy zamrugał. - Sądzę, że to wspaniale - powiedział. - Co to ma wspólnego ze mną?

- Bóg przychodzi do większości z nas. U Williama Jamesa i w innych książkach czytałam o tego rodzaju doznaniach. Co najmniej połowa rasy ludzkiej doświadcza tego prędzej czy później. Nie przypomina to niczego, co czułam w życiu. Zmienia życie, choć jest bardzo... bardzo kłopotliwe. I niewytłumaczalne. Nie prosiłam się o to, ale nie mogę, nie chcę zaprzeczyć jego realności.

Roth słuchał Kaye ze skupieniem, zmarszczonymi brwiami, rozszerzonymi oczami, otwartymi ustami. Wyprostował się w krześle i splótł dłonie na biurku.

- Nie żartujesz?

- Nie żartuję.

Zastanawiał się dalej.

- Wszyscy żyjemy tu w napięciu.

- Nie sędzę, aby miało to jakikolwiek związek - powiedziała Kaye. Potem dodała powoli: - Rozwazałam tę możliwość, naprawdę. Nie sędzę jednak, aby tak było.

Roth oblizał wargi. Nie patrzył jej w oczy.

- Co zatem ma to wspólnego ze mną?

Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego dłoni, którą szybko cofnął.

- Herbercie, czy kiedykolwiek obrazowano człowieka, którego nawiedził Bóg? Mającego epifanię?

- Wiele razy - odparł obronnym tonem Roth. - Badania Persingera. Stany medytacji, tego rodzaju rzeczy. Jest na ten temat literatura.

- Przeczytałam ją całą. Persingera, Damasio, Posnera i Ramachandrana. - Odliczała nazwiska na palcach. - Myślałeś, że nie zapoznałam się z nią?

Roth uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Stany medytacyjne, jedności, błogości, wszystko, co można wywołać ćwiczeniami. Odbywane pod pewną kontrolą doznających je osób... Ale nie to. Sprawdzałam. Nie można tego wywołać, bez względu na żarliwość modłów. Przychodzi i odchodzi jakby z własnej woli.

- Bóg nie p r z e m a w i a do nas - powiedział Roth. - To znaczy, choć wierzę w Boga, takie rzeczy zdarzałyby się niewiarygodnie rzadko, może ostatnio zdarzyło się to przed paroma tysiącami lat. Prorocy. Jezus. Tego rodzaju rzeczy.

- Nie są rzadkie. To bywa rozmaicie nazywane i ludzie reagują na to odmiennie. Coś z tobą czyni. Przekształca całe twoje życie, nadaje mu kierunek i znaczenie. Czasami łamie ludzi. - Pokręciła głową. - Matka Teresa płakała, gdyż Bóg nie odwiedzał jej regularnie. Pragnęła ciągłego potwierdzenia wartości jej pracy, bólu, cierpień. Choć nikt tak naprawdę nie wie, czy Matka Teresa doświadczała tego co ja... - Zaczerpnęła głęboki oddech. - Chcę wiedzieć, co mi się przydarzyło. Nam. Potrzebujemy linii odniesienia, aby to pojąć.

Roth szukał jakiegoś odpowiednika w swoim prywatnym katalogu społecznym, lecz nie znalazł.

- Kaye, czy to naprawdę zaszło? Czy nie powinnaś prowadzić badań nad wirusami? A może uważasz, że Bóg jest wirusem?

Kaye wpatrywała się w Rotha z niedowierzaniem.

- Nie - odparła. - To nie wirus. Nie ma w tym niczego genetycznego, a zapewne i niczego biologicznego. Z tym wyjątkiem, że dotyka mnie.



- Jak możesz być tego taka pewna?

Kaye znowu zamknęła oczy. Nie potrzebowała szukać. Doznanie płynęło, nadciągało falami zdumienia, dziecięcej radości i dorosłej konsternacji, wszystkich jej uczuć i reakcji przyjmowanych nie z tolerancją, ani nawet z rozbawieniem, ale z równie dziecięcą, choć nieskończonej dojrzałą i mądrą akceptacją.

Coś się sączyło z duszy Kaye Lang i uznało ją za wyśmienitą.

- Bo jest większe od wszystkiego, co znam - odpowiedziała w końcu. - Nie mam pojęcia, jak długo to potrwa, ale czymkolwiek jest, zdarzało się już ludziom, wiele razy, i kształtowało dzieje ludzkości. Czy nie chciałbyś zobaczyć, jak wygląda?

Roth westchnął, gdy obejrzał obrazy na wielkim monitorze.

Upłynęło dwie i pół godziny; była prawie dziesiąta. Kaye poddała się siedmiu odmianom MRJ, czyli magnetycznego rezonansu jądrowego, PET, czyli pozytonowej emisyjnej tomografii komputerowej, i wspomaganą tomografią komputerową. Brała zastrzyk, była osłaniania, brała następny zastrzyk, była obracana jak kurczak na rożnie, przewracana do góry nogami. Zastanawiała się przez chwilę, czy Roth nie mści się za jej przesadę.

Wreszcie nałożył jej hełm z białego plastiku i poddał ją ostatniemu i, jak twierdził, dość kosztownemu badaniu filmową tomografią komputerową, zdolną, jak niejasno napomknął, do obrazowania z nadzwyczajną szczegółowością, skupiając się na hipokampie, a potem, w następnym przejściu, na pniu mózgu.

Teraz siedziała wyprostowana, z przegubem owiniętym bandażem, ze śladami po klamrach na głowie i szyi, czując niejasną chęć wymiotowania. Pod koniec badań wołający po prostu zamilkł, jak wiadomość wysłana przez morze krótkimi falami radiowymi. Kaye czuła się spokojna i wypoczęta, mimo lekkiego bólu.

Czuła także smutek, jak po odejściu dobrego przyjaciela, i nie miała pewności, czy kiedyś spotkają się ponownie.

- Cóż, kimkolwiek jest - powiedział Roth - nie przemawia. Żadne z badań nie wykazało zwiększonego przetwarzania danych w ośrodku mowy, wykraczającego poza poziom normalnego dialogu wewnętrznego i reakcji na moje pytania. Okazałaś się, w czym nie ma nic dziwnego, trochę zdenerwowana - mniej jednak niż inni pacjenci. Stoicyzm jest chyba właściwym słowem. Wykazujesz dość znaczną aktywność w głębi mózgu, co oznacza bardzo silną odpowiedź emocjonalną. Czy łatwo wprawić cię w zakłopotanie?

Kaye pokręciła głową.

- Występują drobne oznaki czegoś w rodzaju podniecenia, ale nie nazwałbym go raczej seksualnym. Nie ma nic wspólnego z orgazmem ani z typową ekstazą, która może wystąpić na przykład u kogoś zażywającego środki przekształcające świadomość. Mamy zapisy - nagrania - ludzi medytujących, uprawiających seks, biorących narkotyki, w tym LSD i kokainę. Twoje skany nie pasują do żadnych z nich.

- Nie mogę sobie wyobrazić seksu w tej rurze.

Roth się uśmiechnął.

- Przeważnie byli to pełni entuzjazmu młodzi ludzie - wyjaśnił. - A oto mamy wyłaniające się obrazy z filmowej tomografii komputerowej. - Z głębokim skupieniem oglądał sztuczne kolory ukazujące jej mózg: ciemne plamy szarości nakładały się na symetryczne, rozkwitające ptaki Rorschacha, stykające się tu i ówdzie z węgielkami aktywności metabolicznej, ukazując mapy myśli i osobowości oraz procesy toczące się w głębokiej podświadomości. - W porządku - powiedział do siebie, zatrzymując przewijanie. - A to co? - Dotknął trzech pulsujących żółcią plamek, niewiele większych od paznokcia kciuka, na skanie pochodzącym z połowy badania. Wydawał ciche pomruki, a potem przejrzał bibliotekę sieciową obrazów z innych poszukiwań; niektóre pochodziły sprzed wielu lat, a nawet dziesięcioleci. W końcu wydał się usatysfakcjonowany, jakby znalazł to, czego szukał.

Odsunął krzesło z hałaśliwym zgrzytem i wskazał niebiesko-zielony przekrój strzałkowy głowy, mały i mający dziwaczny kształt. Wypełnił i obrócił obraz w trzech wymiarach, a Kaye dostrzegła zarysy czaszki niemowlęcia z mgiełką mózgu wewnątrz. Promieniujące pola aktywności myślowej wirowały w środku widmowych krzywizn kości i tkanki.

Nieokreślona szarawa masa wydawała się wychodzić z ust niemowlęcia.

- Nie ma za dużo szczegółów, ale wydaje się dość dobrze pasować - powiedział Roth. - Sławny eksperyment wykonany w Japonii, jakieś osiem lat temu. Skanowali normalny poród. Kobieta miała już przedtem czworo dzieci. Była starą profesjonalistką. Maszyny jej nie przeszkadzały.

Roth przyglądał się obrazowi. Mruczał chwilę, potem postukał paznokciami jak kastanietami.

- To skan mózgu niemowlęcia, kiedy poznawało się z mamą. Pewnie brało cycek. - Palcem wskazał szarą masę, powiększył ośrodki aktywności w mózgu noworodka, przekręcił je do właściwego azymutu, potem nałożył skan dziecka na skan Kaye.

Ośrodki aktywności pokryły się ściśle.

- Jak sądzisz? - uśmiechnął się do Kaye. - Pasują?

Kaye zagubiła się na chwilę, przypomniała sobie, kiedy Stella ssała po raz pierwszy, cudowne doznanie dziecka u jej sutka, spływającego mleka.

- Wyglądają tak samo - powiedziała. - Czy to nie pomyłka?

- Nie sądzę - stwierdził Roth. - Mógłbym dokonać porównań z mózgami zwierząt. W ostatnich kilku latach przeprowadzano prace nad tworzeniem więzi u kociąt i szceniąt, a nawet u pawianów, ale nie najlepsze. Nie trzymają się kupy.

- Co to znaczy? - zapytała Kaye. Potrząsała głową, nadal zagubiona. - Czymkolwiek On jest, nie używa mowy; tyle było jasne od samego początku. Co naprawdę wnerwia.

- Bełkotanie z płonącego krzaka? - powiedział Roth. - I żadnych kamiennych tablic.

- Żadnych przemów, oświadczeń, nic - potwierdziła Kaye.

- Popatrz, to najbliższe podobieństwo, jakie znalazłem. Kaye śledziła palcem ptaki Rorschacha wewnątrz mózgu niemowlęcia.

- Nadal nie rozumiem.

Roth przechylił głowę.

- Wygląda mi to, jakbyś tworzyła potężne powiązanie. Dokonujesz wdrukowywania kogoś lub czegoś wielkiego. Stałaś się znowu niemowlęciem, pani Rafelson.

## 16

Kaye otworzyła drzwi swego mieszkania, weszła i aktówką zablokowała drzwi, aby się nie zatrzasnęły. Wbiła sześciocyfrowy kod wyłączający alarm, potem zdjęła sweter, powiesiła go w szafie i stanęła w korytarzu, oddychając głęboko, aby powstrzymać szloch. Nie była pewna, jak długo jeszcze zdoła to znosić. Pustki w jej życiu były niczym pustynie, których nie była w stanie przebyć.

- A co z tobą? - zapytała pustą przestrzeń. Przeszła do mroczniejszego saloniku. - Widzę to tak, że jeśli jesteś swoistym rodzajem wielkiego tatusia, to dbasz o tych, których kochasz, chronisz ich przed krzywdą. Więc słucham, Boże! - wrzasnęła wreszcie. - Jaka jest twoja pieprzona wymówka?

Zapisał telefon. Kaye podskoczyła, oderwała oczy od narożnika sufitu, do którego się zwracała, podeszła do lady kuchennej i sięgnęła za nią po słuchawkę.

- Kaye? Tu Mitch.

Kaye zaczerpnęła następny oddech, niemal ze strachu, a na pewno z poczucia winy, i

dopiero potem się odezwała.

- Jestem. - Usiadła, sztywno wyprostowana w głębokim fotelu i zakryła mikrofon, wydając polecenie zapalenia się światła. Salonik był mały i posprzątany, z wyjątkiem stosów czasopism i wydruków ustawionych pod różnymi kątami na stoliku. Inne zalegały wysoko na podłodze wokół kanapy.

- Dobrze się czujesz?

- Nie-e-e - odparła powoli. - Nie. A ty?

Mitch nie odpowiedział na to pytanie. Super, pomyślała Kaye.

- Jestem znowu w drodze - powiedział.

Przerwa.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- W Oregonie. Padł mój koń i pomyślałem, że zadzwonię do ciebie, zapytam, czy masz jakieś dodatkowe... no nie wiem. Podkowy. - Z głosu sądząc, był bardziej wyczerpany niż ona. Kaye wychwyciła coś jeszcze w jego głosie i skupiła się w nagłej nadziei.

- Widziałeś się ze Stellą?

- Pozwolili mi ją odwiedzić. Szczęściarz ze mnie, co?

- Ma się dobrze?

- Mocno mnie uścisnęła. Wygląda bardzo dobrze. Płakała, Kaye.

Poczuła ściskanie w gardle. Odsunęła słuchawkę i zakasłała w kułak.

- Tęskni za tobą. Przepraszam. Wyszło mi w gardle. Muszę się napić. - Poszła do kuchni, aby wyjąć butelkę z lodówki.

- Tęskni za nami - powiedział Mitch.

- Nie mogę być tam. Nie mogę jej chronić. Za czym tu tęsknić?

- Chciałem tylko zadzwonić i powiedzieć ci o niej. Dorasta. Czuję się paskudnie na myśl o tym, że niemal dorosła, a mnie przy niej nie było.

- Nie twoja wina.

- Jak praca?

- Wkrótce skończę - powiedziała Kaye. - Nie wiem, czy w to uwierzą. Tylu tkwi ciągle w starych koleinach.

- Robert Jackson?

- No, on też.

- Masz szczęście, że robisz to, w czym jesteś najlepsza - powiedział Mitch. -  
Posłuchaj, ja...

- Nie zasłużyłeś na to, coś przeszedł, Mitch.

Kolejna przerwa. *Nie zasługujesz na to, aby cię zbyć*, dodała w duchu Kaye. Spojrzała znowu w pusty narożnik ściany i sufitu, a następnie wyznała:

- Tęsknię za tobą. - Zacisnęła usta, aby powstrzymać ich drzenie. - Co w Oregonie?

- Eileen trafiła na coś bardzo tajemniczego, porzuciłem więc wykopaliska w Teksasie. Pomyliłem skorupkę małża z trąbikiem. Starzeję się, Kaye.

- Bzdura - rzuciła.

- Jedno twoje słowo, a wyruszę prosto do Marylandu. - Głos Mitcha stwardniał. - Przysięgam. Pojedźmy po Stellę.

- Przestań - powiedziała Kaye z nagłą łagodnością. - Chcę, wiesz o tym. Musimy się trzymać naszego planu.

- Racja - przytaknął Mitch, a Kaye była okrutnie świadoma, że jego rola w układaniu planu była żadna. Może do tej chwili tak naprawdę nie wiedział, że w ogóle był jakiś plan. Winna temu była ona. Nie zdołała uchronić męża i córki, najważniejszych ludzi na ziemi. Kogo więc powinna oskarżać?

- Na co wyrastają dzieci? Jak się zmieniła? - zapytała.

- Tworzą grupy. Demy, tak je nazywają. Szkoły próbują je rozrywać i rozpraszać, ale one zapewne znajdują na to sposoby. Wiąże się z tym oczywiście mnóstwo wachania, a Stella mówiła o nowych rodzajach języka, ale nie mieliśmy czasu na szczegóły. Wygląda na zdrową, jest bystra i nie wydaje się zbyt zestresowana.

Kaye skupiła się na tym tak mocno, że aż zrobiła zeza.

- Próbowałam zadzwonić do niej w zeszłym tygodniu. Nie dopuścili mnie.

- Gnojki - rzucił Mitch; jego głos zazgrzytał.

- Jedź pomóc Eileen. Ale bądź w kontakcie. Naprawdę chcę mieć od ciebie wiadomości.

- Dobrze to słyszeć.

Kaye pozwoliła brodzie opaść na piersi i wyciągnęła przed siebie nogi.

- Rozluźniam się - powiedziała. - Słuchanie cię mnie rozluźnia. Powiedz mi, jak wygląda.

- Niekiedy porusza się, robi coś lub mówi tak jak ty. Niekiedy przypomina mi mojego ojca.

- Zauważyłam to przed wielu laty.

- Ale jest przede wszystkim sobą, w pełni oddzielną osobą - powiedział Mitch. - Chciałbym, abyśmy mogli prowadzić własną szkołę, zebrać w niej mnóstwo dzieciaków. To chyba jedyny sposób na uczynienie Stelli szczęśliwą.

- Źle robiliśmy, izolując ją.

- Nie mieliśmy innego wyboru.

- I tak jest to teraz niemożliwe. Czy jest szczęśliwa?

- Może szczęśliwsza, ale właściwie nie s z c z ę ś l i w a - odrzekł Mitch. - Dzwonię teraz z telefonu stacjonarnego, ale mogę ci podać nowy kod telefoniczny.

Kaye wzięła notatnik i zapisała szereg liczb odwołujących się do książki, którą stale trzymała w aktówce.

- Sądzisz, że nadal podsłuchują?

- Oczywiście. Halo, pani Browning, jest tam pani?

- To nie śmieszne - powiedziała Kaye. - Wpadłam na Marka Augustine'a na Kapitolu. Było to... - potrzebowała kilku sekund, aby sobie przypomnieć - ...wczoraj. Przepraszam, jestem zmęczona.

- Co u niego?

- Wygląda na skruszonego. Czy to ma sens?

- Zdegradowano go do szeregowca - odpowiedział Mitch.

- Zasługuje na bycie skruszonym.

- No. Ale i coś jeszcze...

- Sądzisz, że zmienia się atmosfera?

- Była tam Browning, potraktowała mnie jak rzymski wódz stojący nad umierającym Galem.

Mitch się roześmiał.

- Boże, tak dobrze to słyszeć - powiedziała Kaye, stukając piórem o notatnik i rysując kółka wokół liczb, na całej kartce.

- Powiedz mi słowo, Kaye. Tylko jedno słowo.

- O Jezu - rzuciła Kaye i pomimo ściskania w gardle wciągnęła powietrze. - Tak bardzo mam tego dość, tej samotności.

- Wiem, że jesteś na dobrej drodze - powiedział Mitch, a Kaye usłyszała w jego głosie zastrzeżenie: „choć oznacza to odsunięcie się ode mnie”.

- Może - odparła. - Ale jest tak ciężko. - Chciała mówić mu o innych sprawach, laboratorium obrazowania, gonitwie za jej gościem, wołającym, i nienatrafieniu na nic rozstrzygającego. Przypomniała sobie jednak, że Mitch nie zareagował dobrze na jej próby rozmawiania o tym ostatniego wieczoru, który spędzili razem w domku nad jeziorem.

Równie dobrze pamiętała także, jak się kochali, w znany i miły sposób, choć z więcej niż odrobiną desperacji. Poczwała ciepło ogarniające ciało.

- Wiesz, że chciałabym być z tobą - powiedziała.

- To moje słowa. - Głos Mitcha był pełen kruchej nadziei.

- Będziesz na wykopaliskach Eileen. Bo to wykopaliska?

- Jeszcze nie wiem.

- Co twoim zdaniem znalazła?

- Nie powiedziała mi - odparł Mitch.

- Gdzie to jest?

- Nie mam pojęcia. Jutro dostanę ostateczne wskazówki.

- Jest chyba bardziej nieufna niż zwykle?

- No. - Słyszała, jak Mitch się porusza, oddychając do słuchawki. Słyszała też wiatr wiejący za nim i wokół niego, niemal ujrzała swego mężczyznę, obszarpanego, wysokiego, jego głowę oświetloną lampą na suficie budki. Jeśli to budka. Telefon mógł wisieć przy stacji benzynowej albo w restauracji.

- Nie mogę ci powiedzieć, jakie to dobre - stwierdziła Kaye.

- Na pewno możesz.

- Strasznie dobre.

- Powinienem był zadzwonić wcześniej. Po prostu czułem się nie na miejscu, czy coś w tym stylu.

- Wiem.

- Coś się zmieniło, prawda?

- Niewiele więcej mogę robić w Americolu. Jutro nastąpi ostateczne starcie. Jackson właściwie porzucił dzisiaj swój plan gry, taki jest pewny siebie. Albo przyjmą prawdę, albo ją odrzucą. Chciałabym... Polecę, aby się z tobą spotkać. Trzymaj dla mnie łopatę.

- Ubrudzisz sobie ręce.

- Uwielbiam brudne ręce.

- Wierzę w ciebie, Kaye - powiedział Mitch. - Poradzisz sobie. Wygrasz.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale jej ciało drżało. Mitch szepnął o swej miłości, odwzajemniła się tym samym i przerwali połączenie.

Kaye siedziała chwilę w ciepłym, żółtym blasku saloniku, wpatrując się w puste ściany, proste, wypożyczone meble, stosiki białego papieru.

- Dokonuję wdrukowywania - szepnęła, przypominając sobie słowa Rotha. - Coś mówi, że mnie kocha i wierzy we mnie, ale jak coś może wypełnić pustą skorupę? - Wypowiedziała pytanie w inny sposób. - Jak ktoś bądź coś może wierzyć w pustą skorupę?

Gdy odchyliła głowę do tyłu, poczuła łaskoczące ciepło. Z odrobiną zgrozy

uświadomiła sobie, że nie prosiła o pomoc, a jednak ta przybyła. Jej potrzeby - a przynajmniej ich częśćka - zostały zaspokojone.

Wobec tego Kaye uwolniła swoje emocje i zaczęła łkać. Płacząc, zasłała łóżko, zrobiła sobie kubek gorącej czekolady, uklepała poduszkę i oparła ją o zagłówek, rozebrała się i nałożyła satynową pidżamę, a wreszcie z saloniku przyniosła do przeczytania stosik wydruków. Przez łzy niewyraźnie widziała wyrazy, trudno jej było utrzymywać otwarte oczy, musiała się jednak przygotować na następny dzień. Musiała przywdziać całą swoją zbroję, zgromadzić wszystkie fakty.

Dla Stelli. Dla Mitcha.

Gdy nie mogła już wytrzymać, a sen zagarniał resztki jej myśli, nakazała zgaszenie światła, położyła się w łóżku i poruszyła ustami, *Dziękuję ci. Mam nadzieję.*

*Tyś jest nadzieją.*

Nie mogła się jednak powstrzymać przed jeszcze jednym pytaniem. *Dlaczego to robisz? Dlaczego w ogóle do nas przemawiasz?*

Popatrzyła na ścianę naprzeciw łóżka, potem opuściła wzrok na kołdrę wznoszącą się ponad jej kolanami. Jej oczy się rozszerzyły, a oddech zwolnił. Poprzez kryjącą się w cieniu szarość kołdry zdawała się wpatrywać w nieskończoną i niewidoczną skarbnicę. Z sezamu tego wypływało coś, co mogła opisać jedynie słowem „miłość”, żadne inne tu nie pasowało, choć i ono było nieodpowiednie; niekończąca się i bezwarunkowa miłość. Serce tłukło się jej w piersi. Przez chwilę była przerażona - nigdy nie zdoła zasłużyć na tę miłość, nigdy nie znajdzie jej podobnej na tej ziemi.

Miłość bez warunków - bez pragnień, kierunku ani żadnej innej cechy oprócz czystości.

- Nie wiem, co to znaczy - powiedziała. - Przykro mi.

Poczuła, jak wizja, jeśli tym właśnie była, blaknie i znika - nie wskutek przegnania przez urazę, gniew czy rozczarowanie, ale dlatego, że po prostu minął jej czas. Zostawiła po sobie miękką, łagodną poświatę, jakby w jej oczach płonęły świece gęste niczym gwiazdy.

Zadziwienie tym, zadziwienie przesycone zgrozą, było już ponad siły Kaye. Oparła głowę na poduszce i wpatrywała się w ciemność, dopóki nie odpłynęła w sen.

Już po chwili, a przynajmniej tak jej się zdawało, śniła o chodzeniu po polu śniegu wysoko w górach. Nieważne, że była zagubiona i samotna. Napotka kogoś cudownego.



**Oregon**

Wiszące wysoko nad pustynią słońce było gorące, a ledwo minęła siódma rano. Mitch przeszedł parkingiem motelu, wrzucił torbę na boczne siedzenie starej, podniszczonej półciężarówki i osłonił oczy przed blaskiem słonecznym, padającym ponad niskimi szarymi wzgórzami na wschodzie. Godzina jazdy nad rzekę Spent. Pół do leżącego dalej obozu. Otrzymał wskazówki od Eileen i kolejne ostrzeżenie: „Nie piśnij słówka nikomu. Studentom, żonie, kochankom, psom, kotom, świnkom morskim: Kapujesz?”.

Kapował.

Wyjechał z parkingu Motelu 50, zadrapując po drodze zderzak. Stara półciężarówka miała przed sobą ostatnie kilka tysięcy mil; śmierdziała przypalonym olejem i zaczęła kasłać na pochyłościach sinym dymem. Mitch uwielbiał stare, wielkie półciężarówki. Z żalem będzie patrzył na śmierć tej.

Czerwony szyld motelu małał w lusterku. Droga była pusta, a po obu jej stronach ciągnęły się pofałdowane brązowe tereny, upstrzone pustynnymi krzewami, kępkami szaławii i niskimi, karłowatymi sosnami oraz niekiedy zarysami słupów ogrodzenia, pochylonymi i wyglądającymi żałośnie, z drutami zerwanymi i poskręcanyymi niby stare włosy.

Powietrze się ochładzało w miarę wspinania się półciężarówki łagodnym stokiem wyżyny. Rzeka Spent nie znajdowała się na szlaku większości turystów. Otoczona lasem leżącym w długim cieniu góry Hood, była krętym, płaskim i piaszczystym łożyskiem, przecinającym urwiska czarnej lawy, z zarośniętymi wysepkami i licznymi zakolami. Woda nie płynęła nim od wielu tysięcy lat. Rzeka była słabo znana archeologom i nie bez ważnego powodu; dzieje geologiczne, składające się z powtarzających się powodzi - żwirowe łożyska wypełniały wówczas kamyki z lawy oraz zaokrąglone kawałki granitu i bazaltu - oraz okresowych wybuchów wulkanów czyniły teren koszmarnie ciężkim do kopania oraz rozczarowującym tych, którzy tego próbowali. Przez ostatnie kilka tysięcy lat Indianie rzadko coś budowali na tych terenach lub je zamieszkiwali.

Poza czasem, poza zainteresowaniem ludzi, ale Eileen Ripper coś tam teraz znalazła.

Albo zbyt długo przebywała na słońcu.

Jazda usypiała go dłuższą chwilę, ale przeskoczył do wielkiej czujności, kiedy droga zaczęła być wyboista. Okoliczną ziemię porastały karłowate drzewa i trawy. Asfalt przeszedł

w żwir.

Pojawił się i zniknął mały drogowy znak stanowy: OŚRODEK WYPOCZYNKOWY SPENT RIVER - TRZY MILE. Tabliczka wyglądała, jakby tkwiła na słońcu od co najmniej pięćdziesięciu lat.

Droga niespodziewanie zбочyła na zachód, a kiedy Mitch minął zakręt, jakąś milę przed sobą dostrzegł błysk. Wyglądał jak słońce odbijające się od szyby samochodu.

Stara półciężarówka wycharczała siny dym, pokonując krótki stok; potem zauważył białe tahoe i dostrzegł wstającą z otwartych drzwiczek od strony kierowcy i machającą krępą postać. Zjechał na pobocze i wystawił rękę przez okienko. Pozostało w niej dość władzy, aby mógł złapać ramę drzwiczek i nie dawać po sobie poznać, że coś z nią nie jest w porządku.

Eileen całkowicie posiwała. Jej ubranie, skóra i włosy wyblakły do koloru tutejszej ziemi.

- Rozpoznałam twój gust w doborze samochodów - powiedziała, gdy podszedł po żwirze. - Boże, Mitch, jesteś równie przewidywalny jak marynarz z plikiem banknotów dwudolarowych.

Mitch się uśmiechnął.

- Istna z ciebie Matka Ziemia. Powinnaś przynajmniej nosić czerwoną chustkę.

Eileen wyciągnęła z kieszeni szmatkę i owinęła się nią w pasie.

- Lepiej?

- Doskonale.

- Jak twoje ramię? - zapytała, klepiąc je.

- Bezwładne - odparł Mitch.

- Zostawimy ci odkurzenie szczegółów szczoteczką do zębów.

- Brzmi wspaniale. Co macie?

- Coś r a j c u j ą c e g o - powiedziała Eileen. - Wielkiego. - Zatańczyła chwilę na żwirze. - Śmiertelnie niebezpiecznego. Chciałbyś zobaczyć?

Mitch zerknął na nią przymrużonymi oczyma.

- Czemu nie?

- To tam zaraz - powiedziała, wskazując na północ. - Jakies dziesięć mil dalej.

Mitch jęknął.

- Nie wiem, czy moja bryka to wytrzyma.

- Pojadę za tobą i będę zbierała wypadłe części.

- Jak mi powiesz, kiedy mam skręcić? - zapytał Mitch.

- To gra, stary druhu - odpowiedziała Eileen. - Musisz sam to wyniuchać, zupełnie jak

ja. - Uśmiechnęła się chytrze.

Mitch mocniej zmrużył oczy i pokręcił głową.

- Na Chrystusa, zlituj się, Eileen.

- Starsze od Chrystusa co najmniej o osiemnaście tysięcy lat - odparła.

- Powinnaś nosić kapelusze lepiej chroniące przed słońcem - uznał.

Eileen pomimo brawury wyglądała na zmęczoną.

- To coś ogromnego, Mitch. Za parę godzin, knę się na Boga, nie będziesz wiedział, kim jesteś.

## 18

### Arizona

O jedenastej rano Stella, wraz ze wszystkimi dziewczętami z baraków, przeszła bramą w ogrodzeniu z drutu kolczastego na otwarte pole, pilnowana przez pannę Kantor, Joanie i pięć innych dorosłych osób.

Raz w tygodniu wychowawcy i nauczyciele pozwalali dzieciom SHEVY obu płci spotykać się razem na boisku i przy stołach pod płóciennymi daszkami.

Dziewczęta były wyjątkowo, jak na siebie, spokojne. Stella wyczuwała napięcie. Rok temu wychodzenie za ogrodzenie na spotkania z chłopcami nie było niczym wielkim. Teraz każda dziewczyna, uważająca się za założycielkę demu, paplała z koleżankami, który chłopiec jest najlepszy w ich grupie. Stella nie wiedziała, co o tym myśleć. Widziała, jak demy zawiązują się, rozpadają i tworzą na nowo w sypialniach dziewcząt. Także w jej głowie plany zmieniały się z dnia na dzień; wszystko było takie oszałamiające.

Niebo było upstrzone postrzępionymi obłokami. Stella osłoniła oczy, podniosła wzrok i zobaczyła księżyc wiszący na czystym, letnim błękitnie, blade oblicze rozbawione ich głupotą. Zastanowiła się, jak pachnie księżyc. Wyglądał dość łaskawie. A właściwie trochę prostacko.

- Pojedynczy szereg. Idziemy do Piątej Sekcji Południowej - oznajmiła im wszystkim panna Kantor i skinęła ręką, wskazując kierunek. Dziewczęta ruszyły tam z pustymi policzkami.

Stella zobaczyła chłopców wychodzących poza ogrodzenie otaczające rząd ich baraków. Zwiększyła się liczba dotykających się głów, machania i wskazywania zauważonych dziewcząt. Uśmiechali się jak osły, ze śniadymi policzkami pokrytymi

nierozróżnialnymi z tej odległości kolorami.

- O rany - powiedziała rozczarowana Celia. - Sami starsi.

Obie płcie będą mogły pod ścisłym nadzorem mieszać się przez godzinę.

- Jest tam? - zapytała Celia. Stella wieczorem opowiedziała jej o Willu.

Stella nie wiedziała. Nie dostrzegła go jeszcze. Nie sądziła, aby tam był. Przekazała to wszystko cichym gwizdem, paroma zdawkowymi cętkami i szarpnięciem ramion.

- Hej, jesteś-KUK drażliwa - rzuciła Celia. Idąc obok Stelli, trąciła ją ramieniem. Ta nie zwróciła na to uwagi.

- Nie wiem, czego się po nas spodziewają w ciągu tej godziny - powiedziała Stella.

Celia zachichotała.

- Mogłybyśmy spróbować KUK-pocałować któregoś z nich.

Brwi Stelli utworzyły parę nierównych łuków, a jej szyja pociemniała. Celia to zlekceważyła.

- Mogłabym pocałować Jamesa Callahana. W zeszłym roku prawie pozwoliłam mu wziąć się za rękę.

- W zeszłym roku byliśmy dziećmi - powiedziała Stella.

- A kim-KUK jesteśmy teraz? - zapytała Celia.

Stella popatrzyła na szereg chłopców ustawiających się w słońcu obok stołu pod płóciennym daszkiem. Natychmiast rozpoznała najwyższego.

- Jest tam - wskazała go Celi. Trzy inne dziewczyny zauważyły to i podążyły wzrokiem za jej ręką. Wszystkie pachniały wzbudzoną ciekawością - dymem i ziemią.

Will stał, wpatrując się w ziemię z przygarbionymi ramionami i rękoma mocno wbitymi w kieszenie. Inni chłopcy wydawali się go ignorować, czego należało się spodziewać; chłopcy nie obłokują się tak szybko w kontaktach z nieznanymi jak dziewczęta. Will będzie potrzebował kilku dni na zadzierzgnięcie ścisłych więzów z partnerami z baraków.

A może i nie, pomyślała Stella, patrząc na niego. Może nigdy do tego nie dojdzie.

- Nie jest zbyt przystojny - powiedziała Felice Miller, niska dziewczyna o brązowych włosach, cienkich, silnych rękach i grubszych nogach.

- Skąd wiesz? - zapytała Ellie Gow. - Nie możesz stąd wyczuć jego zapachu.

- Nie pachniałby chyba dobrze - stwierdziła z pogardą Felice. - Jest zbyt wysoki.

Ellie mrugnęła. Była znana z wrażliwości na dźwięki i zamięłowania do rozmów, kiedy leżały pod kołdrami.

- Wysoki jak dąb, a śmierdzący jak...? - zagaiła.

Felice uśmiechnęła się łaskawie.

- Głęb - dopowiedziała.

Stella nie zwracała na nie uwagi.

- Czasami ktoś spotkany w młodości może wyrzucić głęboki wpływ - ciągnęła Felice.

- Od bardzo dawna go nie widziałam - przyznała Stella.

Celia szybko opowiedziała im o Stelli i Willu, stosując urywaną podwójną mowę, podczas gdy wychowawcy i nauczyciele zebrali się i ustalali zasady spotkania. Zmieniały się one z tygodnia na tydzień. Dzisiaj, na skraju pola, trzech ludzi przyglądali się im przez lornetki.

Dziewięć miesięcy temu po takim spotkaniu Stella została wydzielona i zabrana do szpitala wraz z pięcioma innymi dziewczętami. Wszystkim pobrano krew, a jedną z nich, Nor Upjohn, poddano innym upokarzającym zabiegom, których nie chciała opisać, a potem pachniała jak spleśniała pomarańcza, wonią ostrzegawczą.

Dziewczęta ustawiły się w cztery długie kolumny po pięćdziesiąt w każdej. Wychowawcy nie próbowali zabraniać im rozmawiania, a Stella dostrzegła, że niektórzy z nich - być może wszyscy - wyłączyli swe wachacze.

Will patrzył przez zbrązowiałą trawę i żwir na szeregi dziewcząt. Brwi ściągnął w wąską, prostą linię, wydawał się ssać coś gorzkiego. Jego zmatowiałe włosy były nierówno obcięte, a policzki przypominały puste jamy, jakby utracił część zębów. Wyglądał na starszego od innych i wyczerpanego. Wyglądał na pokonanego.

- Nie jest przystojny, jest b r z y d k i - powiedziała Felice i wzruszywszy ramionami, przeniosła uwagę na innych chłopców, których przedtem nie widziały. Stella policzyła nowych, którzy przybyli autobusem: było ich pięćdziesięciu trzech. Musiała się zgodzić z Felice. Pomimo pamięci o Silnym Willu, ten gość nie nadawał się na dobrego partnera do demu.

- Chcesz obłokować z nim? - Celia nie mogła w to uwierzyć.

- Nie - odparła Stella i odwróciła wzrok z nagłym i gorzkim rozczarowaniem.

Lasy były teraz odległe dla nich obojga.

- Czym ropuchę się przyprawia? - zapytała Ellie, rozglądając się nerwowo, gdy nauczyciele zaczęli popędzać do siebie szeregi i kolumny.

- Proszkiem z pawia - odrzekła Felice.

- Z czym się je jabłkowe pierze? - kontynuowała odruchowo Ellie, szukając ucieczki w zabawie.

- Och, lepiej-KUK urośnijcie - powiedziała Celia. Jej twarz w nagłym ataku

nieśmiałości zmarszczyła się niczym zeschnięta brzoskwinia. - Urośnijcie i ukryjcie mnie.

Szeregi ustawiły się przed betonowymi stołami, nakazano chłopcom podchodzić do nich i siadać, po trzech z jednej strony, zostawiając drugą pustą.

- Co będziemy mówiły? - zapytała Ellie, spuszczać oczy, gdy zbliżała się ich pora.

- To co zawsze - odparła Stella. - Cześć i co u ciebie. Zapytaj też, jak rosną ich demy i co robią po drugiej stronie drutów.

- Harry, Harry, nie do wiary - zaśpiewała Felice cichutko - jak rosną twe zagony? Włosy łonowe i wzrok lubieżny, aż buzują hormony.

Ellie kazała jej zamilknąć. Panna Kantor przechodziła przed szeregami z ich baraków.

- W porządku, dziewczęta - powiedziała. - Możecie rozmawiać, możecie patrzeć. Nie możecie dotykać.

Ale wachacze są wyłączone, pomyślała Stella. Dziewczęta rozchodziły się promieniście z szeregów. Stella zerknęła na kamery zamontowane na wysokich, stalowych słupach, przesuujące się powoli w prawo i w lewo.

Nadeszła pora Ellie i ta pobiegła do stołu chłopców, których, jeśli Stella się nie myliła, nigdy przedtem nie odwiedzała. Tyle zostało z jej nieśmiałości. Gdy nastąpiła kolejka Stelli, oczywiście, wbrew temu, co myślała przedtem, ruszyła do stołu, przy którym z dwoma mniejszymi chłopcami siedział Will.

Will garbił się nad stołem, patrząc na dawne plamy po jedzeniu. Dwaj mniejsi i młodszy chłopcy patrzyli dość ciekawie, jak nadchodzi Stella, cętkując do siebie. Miała wrażenie, że słyszy podmowę, nie mogła mieć pewności z tej odległości, a Will podniósł wzrok. Chyba jej nie rozpoznał.

Stella jako jedyna dziewczyna usiadła przy ich stole. Powiedziała „cześć” dwóm chłopcom i skupiła się na Willu, który opierał policzki na wnętrzu dłoni. Nie mogła dostrzec jego wzorów, choć zauważyła, że pociemniała mu szyja.

- Jest w naszych barakach - powiedział chłopiec z prawej strony, silny, choć niski, Jason lub James; na lewo od Willa siedział Philip. Stella siedziała z Philipem trzy tygodnie temu. Był dość miły, choć przekonała się dość szybko, że nie chce z nim obłokować. Ani Jason/James, ani Philip nie pachnieli, jak należy. Zacętkowała Philipowi motyle powitanie, przyjazne, lecz niezbyt otwarte, bez urazy, itd.

- Czemu usiadłaś tutaj? - Philip skrzywił się, zadając to pytanie. - Czy ktoś jeszcze zechce tu usiąść?

- Chcę porozmawiać z nim - odparła Stella. Nie była zbyt dobra w radzeniu sobie z chłopcami, ale mało dziewcząt to potrafiło. Panowały niewypowiedziane, niespisane zasady,

które dopiero należało odkrywać, ale ten sposób postępowania nie przyczyniał się nigdy do czynienia owych zasad jaśniejszymi.

- Nie gada wiele - powiedział Jason/James.

- Dziewczyny się z nami bawią - dodał z urazą Philip.

- Nie jak dziewczyny ludzkie - szepnął Will i spojrzął na nią. Zerknięcie było krótkie, ale Stella poznała, że chłopak pamięta ich poprzednie spotkanie. - Tną cię jak nożem i nigdy nie wiesz dlaczego.

- Racja - powiedział Philip. - Will mieszkał wśród dzikusów. - Jason/James zachichotał i splątanymi palcami zrobił gest, którego Stella nie potrafiła odczytać.

- Przetrwalem - stwierdził Will.

- Czy było to w lasach? - zapytała Stella; nadzieja płonęła w niej niby węgielek.

- Co? - rzucił.

- Oskrobali go, zanim przyszedł do naszych baraków - powiedział Philip, tylko przekazując informację. - Skórę miał czerwoną od mydła.

- Zostałaś ze swoimi rodzicami? - zapytał Will. Podniósł wzrok i pokazał jej swe policzki. Były puste, ciemne i obdarte ze skóry. Większa część szyi i twarzy Willa była czerwona i nierówna. Stella wciągnęła powietrze, tylko to było uprzejme w tych okolicznościach, wyczuła, że jego skóra i ubranie nadal pachną lizolem i mydłem.

- Tylko kilka dni - odparła. - Zachorowałam.

- Nie dostałem strupów - powiedział Will, dotykając miejsc między palcami. Dzieciaki SHEVY chorobę, która zabiła tyłu z nich, nazywały „strupami” albo „bólom”.

- Idziemy do innego stołu - oznajmili Jason/James i Philip niemal jednym głosem.

- Powinniście zostać sami - dodał opryskliwie Philip. - To widać.

Stella chciała poprosić, aby zostali, ale Will wzruszył ramionami, zrobiła więc to samo.

- Łamią zasady - powiedziała, gdy odeszli.

- Mogą znaleźć stół, przy którym brakuje chłopców - stwierdził Will. - W barakach tworzą zasady. Chodzi o jakieś demy. Czym są demy?

- Demy to rodziny - wyjaśniła Stella. - Nowe rodziny. Staramy się wyobrazić sobie, jak będą wyglądać, gdy dorośniemy.

Will ponownie spojrzął wprost na nią, a Stella odwróciła wzrok, po czym zakryła swoje policzki.

- To bez znaczenia - powiedział Will. - Wszystko mi jedno.

- Przyszłam, aby się przywitać - odparła. Nie mógł wiedzieć, co jego słowa znaczą dla

niej. - Musiałeś uciec. - Patrzyła nań zachłannie, oczekując opowieści.

- Gadamy po ludzku. Czy znasz podmowę i nadmowę?

- Tak. Czy rozmawiasz w ten sposób?

- Inny niż w barakach - przyznał Will z szarpnięciem ręki. - Na drodze... Jest inaczej.

Mocniej, szybciej.

- A w lasach? - zapytała Stella.

- Nie ma lasów - odparł Will i skrzywił twarz, jakby powiedziała coś nieprzyzwoitego.

- Gdy uciekłeś, dokąd poszedłeś?

Will popatrzył w niebo.

- Mogę tu dużo jeść - powiedział. - Poczuję się lepiej, nabiorę sił, nauczę się wonieć, mówić dwoma językami. - Skulił dłonie w kulki, odbijał je lekko jak piłki od stołu, potem o siebie, kciuk w kciuk, jakby w jakieś grze. - Czemu pozwalają się nam spotykać, chłopcom z dziewczętami?

- Nie wiem. Czasami pobierają krew i zadają pytania.

Will przytaknął.

- Wiesz, co robią? - zapytała.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł. - Niczego nie uczą, jak wszystkie szkoły. Racja?

- Czytamy czasem książki i nabieramy nowych umiejętności. Nie wolno nam obłokować ani wonieć, bo spotyka nas kara.

Will się uśmiechnął.

- Głupi ślepcy.

Stella skrzywiła usta.

- Staramy się ich nie przezywać.

Odwrócił wzrok.

- Jak długo byłeś wolny? - zapytała Stella.

- Złapali mnie tydzień temu - odparł Will. - Żyłem na swobodzie, z uciekinierami i dziećmi ulicy. Ukryli moje policzki pod tatuażami z henny. Szyję też. Niektóre ludzkie dzieci robią znaki na twarzach, aby wyglądać jak my, ale wszyscy to wiedzą. Udują również, że czytają myśli i mają lepsze mózgi. Jak podobno my potrafimy. Mówią, że to super, ale ich cętki się nie ruszają.

Stella widziała resztki brązu nadal pokrywające paski na twarzy Willa.

- Ilu z nas jest na swobodzie?

- Niewielu - odrzekł. - Wydał mnie pewien człowiek za paczkę papierosów, choć uratowałem go przed pobiciem. - Powoli pokręcił głową. - Na swobodzie jest okropnie.



Stella wywąchała, że Joanie jest w pobliżu, pomimo charakterystycznej dla niej maski z zasyпки dla niemowląt. Will wyprostował się, gdy podeszła do nich krępa, młoda wychowawczyni.

- Nie wolno jeden na jeden - usłyszała głos Joanie Stella. - Znasz zasady.

- Inni odeszli - powiedziała dziewczyna, odwracając się, aby wyjaśnić; urwała dopiero, gdy Joanie chwyciła ją za ramię. Dotknięta i trzymana, nie chciała patrzeć wychowawczyni w oczy.

Will wstał.

- Pójdę - powiedział.

Potem, mówiąc dwoma potokami mowy jednocześnie, ponad gwarem młodzieńczego jazgotania, dodał:

- Na razie, pozdrów Cory w Szóstce - (w szkole nie było ani Cory, ani Szóstki). - Celuj dobrze, mierz wysoko, kij im w oko, hej!

A pod slangowymi bzdurami:

- Co wiesz o miejscu zwanym Sandia?

Mieszał potoki tak umiejętnie, że Stella dopiero po chwili zorientowała się, iż zadał pytanie. Dla Joanie brzmiało to zapewne jak część bredni.

Potem, wyrzuciwszy przed siebie rękę, gdy Joanie odprowadzała Stellę, Will powiedział jednym potokiem:

- Dowiedz się, co?

Stella patrzyła, jak zabiera Ellie na pobranie krwi. Ellie udawała, że to małe piwo, ale tak nie było. Stella zastanawiała się, czy to dlatego, że Ellie przyciągnęła dziś do siebie wielu chłopców: pięciu przyszło do stołu, przy którym siedziała z Felice. Reszta dziewcząt udała się na lekcje przedpołudniowe, na których pokazywano filmy o historii Stanów Zjednoczonych, facetów w perukach i kobiety w wielkich sukniach, ciągnące wozy, mapy, trochę Indian.

Mitch uczył Stellę o Indianach. Według filmu nie byli nikim ważnym.

Felice siedziała w sąsiednim rzędzie.

- Z czym się je zielone żuczki? - szepnęła, zastępując nieobecną Ellie.

Nikt nie odpowiedział. Gra stała się ciężka. Tym razem przebywanie z chłopcami bolało, Stella i inne skądś wiedziały, że będzie tylko gorzej. Nadciąga pora, kiedy zostawią ich wszystkich samym sobie, chłopców i dziewczęta razem, aby samodzielnie sobie radzili.

Stella nie sądziła, aby ludzie kiedykolwiek do tego dopuścili. Na zawsze będą trzymali

ich pod kluczem, jak zwierzęta w zoo.

- Woniejesz - ostrzegła szeptem siedząca za nią Celia. - Panna Kantor włączyła swój włączacz.

Stella nie wiedziała, jak przestać. Wyczuwała nadchodzące zmiany.

- Też to robisz - szepnęła Celi Felice.

- Cholera - powiedziała Celia i z rozszerzonymi oczami potarła miejsce za uszami.

- Dziewczęta! - zawołała panna Kantor z przodu klasy. - Bądźcie cicho i oglądajcie film.

## 19

### Baltimore

Punktualnie o siódmej Kaye weszła do sali konferencyjnej Americolu na dwudziestym piątym piętrze, a Liz zaraz za nią. Robert Jackson był już w środku. Jego włosy stały się z czasem szpakowate, ale poza tym nie zmieniło się zbyt wiele ani jego zachowanie, ani wygląd. Był nadal przystojny, pomimo bladej, prawie sinej skóry, ze swym ostro zarysowanym nosem i podbródkiem oraz błyszczącymi cieniami pod oczami. Jego przejrzyste jak kwarc oczy, ciemnoszare, wpijały się w Kaye, kiedy tylko popatrzyli na siebie, choć starała się, aby takie okazje zdarzały się jak najrzadziej.

Po obu stronach Jacksona, w narożniku, siedzieli dwaj jego ulubieni stażyści po doktoracie obronionym w Cornell i Harvardzie, obaj przed trzydziestką, krępi, z ciemnobrązowymi oczami i nerwową niepewnością siebie charakterystyczną dla młodości.

- Marge będzie za kilka minut - powiedział Jackson do Kaye, ledwo podnosząc się z krzesła.

Nigdy jej nie wybaczył niezręcznej chwili w samych początkach SHEVY, przed szesnastu laty, kiedy to wydawało się, że Marge i Kaye zmówiły się przeciwko niemu. Jackson na dłuższą metę wyszedł wtedy zwycięsko, ale oczywiście pozostała w nim uraza. Pasjonował się polityką korporacyjną i społeczną stroną badań, natomiast nauka była dlań ideałem i abstrakcją.

Kaye dziwiła się, że przy takim wyczuciu spraw społecznych Jackson nie jest błyskotliwym genetykiem. Dla niej procesy kierujące obu dziedzinami były niemal jednakowe; dla niego taki pogląd był potworną, wstrętną herezją.

Przed Kaye i Liz przybyli także przedstawiciele trzech innych działów badawczych.

Dwaj mężczyźni i jedna kobieta, wszyscy przed czterdziestką, pochylali głowy nad tabliczkami dotykowymi, ślęcząc jak zawsze nad codziennymi zadaniami związanymi z siecią. Nie podnieśli wzroku, kiedy weszła Kaye, choć większość witała się z nią i rozmawiała podczas spotkań towarzyskich Americolu i przyjęć gwiazdkowych.

Kaye i Liz usiadły plecami do wysokiego okna wychodzącego na śródmieście Baltimore. Kaye czuła na grzbiecie powiewy powietrza z wentylatora. Jackson zajął najlepsze miejsce, zostawiając im krzesła tuż przy urządzeniu klimatyzacyjnym.

Weszła Marge Cross, wyjątkowo sama. Wyglądała na przybitą. Cross miała około sześćdziesięciu pięciu lat, była otyła, o krótkich, postrzępionych włosach pokrytych błyszczącą henną, wydatnej zuchwie i układających się w coś w rodzaju mapy zmarszczkach na szyi. Dysponowała głosem łatwo docierającym do wszystkich zakątków zatłoczonej sali konferencyjnej, a dodatkowo była pewna siebie jak baletnica, ubrana w doskonale skrojony kostium ze spodniami, jakimś cudem potrafiła każdego owinać wokół palca. Trudno było rozpoznać, kiedy nie podoba jej się to, co słyszy. Jak o nosorożcu, o Cross mówiono, że najbardziej niebezpieczna jest wtedy, gdy wygląda na spokojną i cichą.

Dyrektor naczelna Americolu i Eurocolu stała się z upływem lat tęzsza, twarz miała bardziej nalaną, ale nadal poruszała się z wdziękiem i pewnością siebie.

- Rozpocznijmy turniej - powiedziała aksamitnym głosem, idąc do okna. Liz przesunęła krzesło, gdy Cross ją mijała.

- Nie wzięłaś z sobą kopii, Kaye - powiedział Jackson.

- Zachowuj się, Robercie - ostrzegła go Cross. Usiadła obok Liz i splotła dłonie na stole. Jackson zdołał przybrać minę chłopca jednocześnie skarconego i rozbawionego swojską paplaniną.

- Zebraliśmy się tutaj, aby ocenić nasze dotychczasowe osiągnięcia w próbach okiełznania wirusów dziedzicznych - zaczęła Cross. - Ogólnie nazywamy je ERV, czyli retrowirusami endogennymi. Zajmujemy się także blisko z nimi spokrewnionymi transgenami, transpozonami, retrotranspozonami, elementami LINE, co tam tylko chcecie - wszystkimi elementami ruchomymi, wszystkimi genami skaczącymi. Nie mylmy naszych ERV-ów z innymi wirusami określanymi tym samym angielskim skrótem, na przykład *equine rhinovirus*, czyli rinowirus koński, albo *ecotropic recombinant retrovirus*, czyli ekotropiczny retrowirus rekombinowany, ani nawet z tym, czego wszyscy doświadczamy na takich zebraniach, a mianowicie *expiratory reserve volume*, czyli zapasową objętością wydechową.

Uprzejme uśmiezki na sali. Lekkie szuranie nogami.

Cross odchrząknęła.

- Na pewno nie chcielibyśmy nikogo zmylić - powiedziała głosem niższym o oktawę. Przeważnie wahał się on między drżącym sopranem a słodkim altem. Wielu porównywało ją do Julii Child, znanej ze szczebiotliwości w mówieniu, ale podobieństwo było tylko powierzchowne, a z wiekiem i pofarbowanymi henną włosami Cross przewyższyła znacznie Julię, wzbijając się w tkwiące w stratosferze królestwo wyjątkowości. - Przejrzałam sprawozdania zespołów pracujących nad naszym projektem szczepionki oraz oczywiście projektami usuwania ERV-ów z organizmów szympanсів i myszy. Sprawozdanie doktora Jacksona jest bardzo długie. Przejrzałam także recenzje prowadzonych badań i protokoły kontroli prac grup zajmujących się płodnością i immunologią ogólną. - Cross martwiła się swoim artretyzmem; Kaye mogła to poznać po sposobie, w jaki masowała spuchnięte knykcie dłoni. - Panuje powszechna zgoda, że ponosimy porażki we wszystkich dziedzinach, które sobie wyznaczyliśmy. Nie zebraliśmy się jednak, aby przeprowadzać sekcje ich zwłok. Musimy zdecydować, w którą stronę ruszyć z miejsca, w którym teraz tkwimy. No tak. Jakie to miejsce?

Ponure milczenie. Kaye patrzyła prosto przed siebie, usiłując się powstrzymać przed przygryzaniem warg.

- Zwykle rzucamy monetą i zaczyna zwycięzca. Wszyscy znamy jednak dokładnie temat tego zebrania i sądzę, że najlepiej zacząć od kilku pytań sondujących. Wybiorę, kto wypowie się pierwszy. Zgoda?

- Doskonale - rzucił Jackson nonszalancko, unosząc dłonie nad blat stołu.

- Doskonale - powtórzyła jak echo Kaye.

- Dobrze. Wszyscy się zgadzamy, że wszystko się wali w diabły - powiedziała Cross. - Doktorze Nilson, proszę zacząć.

Lars Nilson, mężczyzna w średnim wieku z okrągłymi szklami okularów, dwadzieścia lat wcześniej otrzymał nagrodę Nobla za badania nad cytokinami. Kiedyś mocno się zaangażował w próby Americolu zmierzające do rozwiązania kwestii obecności retrowirusów w ksenotransplantacji - przeszczepianiu ludziom tkanek zwierzęcych - rozwijającej się dziedzinie medycyny, która niemal zanikła po pojawieniu się SHEVY i przypadku pani Rhine. Zajął się wówczas immunologią ogólną.

Nilson rozejrzał się po sali ze skwaśniałą miną, patrząc na Kaye jak poszarzały i niepokieszony skrzat.

- Przypuszczam, że mam mówić pierwszy ze względu na poczucie „Nobel oblige”, czy z jeszcze bardziej okropnego powodu, jak starszeństwo.

Do sali wszedł niski, wyjątkowo szczupły starszy mężczyzna w szarym garniturze i

jarmulce, rozejrzał się życzliwie zmrużonymi szarymi oczyma, z twarzą rozjaśnioną wiecznym uśmiechem.

- Nie zapominajcie o mnie - poprosił i usiadł w odległym rogu, zakładając nogę na nogę. - Lars nie jest już najstarszy - dodał łagodnie.

- Dziękuję, Maurie - powiedział Nilson. - Cieszę się, że mogłeś tu przyjść. - Maurie Herskovitz był kolejnym pracującym dla Cross laureatem nagrody Nobla, zapewne najbardziej szanowanym biologiem w Americolu. jego specjalnością była nazwana bardzo szeroko „złożoność genomowa”; obecnie skakał po różnych dziedzinach, jego obecność zaskoczyła i lekko zdenerwowała Kaye. Pomimo swego uśmiechu - nieodłącznego, podejrzewała, jak u delfina - Herskovitz był znany w laboratorium jako wymagający tyran. Nigdy nie widziała go na żywo.

Cross założyła ręce i głośno odetchnęła przez nos.

- Ruszajmy - zaproponowała.

Nilson popatrzył w prawo, na Jacksona.

- Panie doktorze, pańskie szczepionki na SHEVEĘ mają niespodziewane skutki uboczne. Kiedy stara się pan blokować przepływ cząsteczek ERV między komórkami tkanki, zabija pan zwierzęta eksperymentalne - najwyraźniej częściowo wskutek nadmiernie mocnej odpowiedzi ich wrodzonego systemu odpornościowego - bez wyboru, myszy, świni i małpy. Wydaje się to sprzeczne z intuicją. Czy potrafi pan to wyjaśnić?

- Sądzimy, że nasze wysiłki zakłócają lub naśladują pewne podstawowe procesy związane z rozbijaniem patogenicznego RNA matrycowego w komórkach somatycznych. Komórki te wydają się odbierać nasze szczepionki jako produkt uboczny pojawienia się RNA wirusowego, dlatego powstrzymują całą transkrypcję i translację. Umierają najwyraźniej po to, aby chronić przed zarażeniem inne komórki.

- Jak rozumiem, mogą także występować problemy z wyłączeniem działania transpozazy w komórkach T - ciągnął Nilson. - Niemal wszystkie proponowane szczepionki najpewniej wpływają na RAG1 i RAG2.

- Jak powiedziałem, nadal szukamy tego połączenia - odparł gładko Jackson.

- Ekspresja ERV-ów przeważnie nie wywołuje samobójstwa komórki - powiedział Nilson.

Jackson przytaknął.

- To skomplikowany proces. Jak wiele patogenów, niektóre retrowirusy rozwinęły zdolności maskujące i potrafią omijać obronę komórkową.

- Czyli w tych przypadkach może nie mieć zastosowania model, według którego

wszystkie wirusy są intruzami albo najeźdźcami?

Jackson sprzeciwiał się zażarcie. Jego argumenty były mocno tradycyjne: DNA w genomie jest ściśle upakowanym i skutecznym zapisem projektu. Wirusy to jedynie pasożyty i złośliwcy, wywołujący nieporządek i choroby, ale także, w rzadkich przypadkach, tworzący nowe, przydatne usprawnienia. Wyjaśniał, że umieszczenie promotora genów wirusowych przed niezbędnym genem komórkowym spowoduje wytworzenie większej ilości substancji wytwarzanych przez ten gen w kluczowym momencie dziejów komórki. Znacznie rzadziej w komórkach zarodkowych - komórkach prekursorowych jajeczek i plemników - mogą wystąpić przypadkowo w taki sposób, że spowodują w potomstwie powstanie odmiany fenotypowej bądź rozwojowej.

- Określanie jednak takiej aktywności mianem regularnej, częścią odpowiedzi komórkowej na wymogi środowiska, jest śmieszne. Wirusy nie mają świadomości swego działania, ani komórki nie uruchamiają umyślnie wirusów w jakimś cudownym celu. Jest to oczywiste od ponad stulecia.

- Kaye? Czy wirusy wiedzą, co robią? - zapytała Cross, obracając się w krześle.

- Nie - odparła Kaye. - Są węzłami w sieci dystrybucyjnej. Zasadniczy cel do osiągnięcia ma sieć, a nie węzeł; a nawet sieci nie można opisać jako świadomej siebie czy umyślnie celowej, w sensie, który doktor Jackson nadaje celowi.

Jackson się uśmiechnął. Kaye mówiła dalej.

- Wszystkie wirusy wydają się potomkami, mniej lub bardziej bezpośrednio, elementów mobilnych. Nie pojawiły się na zewnątrz komórki; wyrwały się z jej wnętrza albo wyewoluowały w celu przenoszenia genów i innych informacji między komórkami i organizmami. Zwłaszcza retrowirusy, jak HIV, wydają się ściśle spokrewnione z retrotransponzonami i ERV-ami w komórkach licznych organizmów. Wszystkie korzystają z podobnych narzędzi genetycznych.

- A zatem wirus grypy, mający osiem genów, pochodzi od retrotranspononu lub retrowirusa posiadającego dwa lub trzy geny? - zapytał z pewną wyższością Nilson. Jego brwi opuściły się, wyrażając zdumienie i wzburzenie ową jawną niedorzecznością.

- Ostatecznie tak - odpowiedziała Kaye. - Pozyskiwanie bądź tracenie genów, albo ich mutacje, są wymuszane koniecznością. Wirus dostający się do nowego i nieznanego gospodarza może przechwytywać i wbudowywać przydatne geny odnalezione w opanowanej komórce, ale nie jest to łatwe. Większości wirusów po prostu nie udaje się replikowanie.

- Dostają się do środka z nadzieją na jałmużnę rzuconą ze stołu genów? - zapytał Jackson. - W to chyba właśnie wierzył doktor Howard Urnovitz? Szczepienie doprowadziło

do pojawienia się AIDS, syndromu wojny w zatoce i wszystkich innych chorób znanych współczesnym ludziom?

- Poglądy doktora Urnovitza wydają się bliższe pańskim niż moim - odparła spokojnie Kaye.

- Było to przeszło dwadzieścia lat temu - powiedziała Cross i ziewnęła. - Stare dzieje. Mów dalej.

- Wiemy, że wiele wirusów potrafi wbudowywać geny z ERV-ów - ciągnęła Kaye. - Na przykład opryszczki.

- Konsekwencje tego procesu nie są wcale jasne - stwierdził Jackson w dość dziurawej, zdaniem Kaye, obronie.

- Przepraszam, ale nie jest on bynajmniej kontrowersyjny - upierała się przy swoim. - Wiemy, że tak właśnie powstał shiver z całą swą różnorodnością, i tak właśnie zmutowany wirus wywołuje u naszych dzieci śmiertelne zakażenie wirusem Coxsackie. Wychwycił geny wirusów endogennych występujących jedynie u osobników nie mających SHEVY.

Jackson ustąpił.

- U części naszych dzieci - poprawił spokojnie stwierdzenie Kaye. - Chętnie jednak przyznam, że wirusy mogą być wrogami wewnętrznymi. Tym bardziej należałoby je wytepić.

- Tylko wrogami? - zapytała Cross. Oparła podbródek na jednej dłoni i popatrzyła na Jacksona spod krzaczastych brwi.

- Powiedziałem „wrogami”, a nie służącymi czy podwykonawcami - odparł Jackson. - Geny skaczące wywołują kłopoty. Są rozbójnikami, a nie sługami. Wiemy o tym. Kiedy działają, powodują defekty genetyczne. Pobudzają do działania onkogeny. Przyczyniają się do powstania stwardnienia rozsianego i schizofrenii, białaczki i wszystkich innych rodzajów raka. Wywołują choroby autoimmunologiczne lub pogarszają ich skutki. Bez względu na to, od jak dawna tkwią uśpione w naszych genach, stanowią pełen wachlarz starych zaraz. Wirusy są przekleństwem. Jeśli są teraz na tyle ujarzmione, że mogą być przekazywane bez powodowania poważnych szkód u ich gospodarzy, to dlatego, że tak właśnie działa ewolucja chorób. Wiemy, że retrowirusy HIV zmutowały i z jednego gatunku naczelnych przeskoczyły na drugi, na nasz. U szympanów prekursor HIV tak wyewoluował, że stał się nieszkodliwym obciążeniem genetycznym, niczym więcej. U nas mutacja uczyniła go wysoce immunosupresyjnym i śmiertelnościami. SHEVA jest troszkę inna. ERV, z którym walczymy, nie jest po prostu przydatny organizmowi w żaden fundamentalny sposób.

Kaye poczuła, jakby cofała się w czasie, jakby wymazano trzydzieści lat badań. Jackson był ślepy i głuchy na wszelkie zmiany, chociaż następowały wielkimi krokami;

odrzucał po prostu wszystko, w co nie mógł uwierzyć. I nie był jedyny. Artykułów pisanych każdego roku jedynie z zakresu wirusologii było tyle, że mogłyby zapełnić całą tę salę konferencyjną. Ciągłe większość z nich opierała się na modelu chorobowym tak wirusów, jak i elementów mobilnych.

Jackson czuł się bezpiecznie osłonięty grubymi murami tradycji, niedostępny dla szaleńczych, wyjących wiatrów Kaye.

Cross zwróciła się do jedynej kobiety w komisji oceniającej, Sharon Morgenstern, specjalizującej się w badaniach nad płodnością i biologią rozwoju. Wyglądająca na nerwową szczupłą kobietą, podobno stara panna, o cofniętym podbródku, końskich zębach, cienkich, jasnych włosach i miękkim akcencie z Karoliny Północnej, przewodniczyła ponadto w Americolu komitetowi zatwierdzającemu artykuły, zanim wysyłano je do czasopism naukowych, przeprowadzającemu wewnętrzne recenzje, mające między innym; na celu powstrzymanie publikacji, które mogłyby zdradzać tajemnice firmy.

- Sharon? Jakies pytania, skoro już jedziemy na Robercie jak na łysej kobyle?

- Badane przez ciebie zwierzęta, po otrzymaniu tworzonej szczepionki, cierpią również, jak wiadomo, na zanik lub ograniczenie podstawowych cech płciowych - zaczęła Morgenstern. - Wydaje się to nadzwyczaj dziwaczne. Jak planujesz zabrać się do tego problemu?

- Zauważyliśmy ograniczenie niektórych pomniejszych cech płciowych u pawianów - odparł Jackson. - Może to nie mieć odniesienia dla szczepionych ludzi.

Nilson wtrącił się ponownie, nie zwracając uwagi na urażoną minę Morgenstern. Pozwól kobietom skończyć, pomyślała Kaye, ale nic nie powiedziała.

- Szczepionka doktora Jacksona może mieć niezmiernie duże znaczenie dla naszych usiłowań zneutralizowania wirusów w tkankach ksenotransplantów - powiedział Nilson. - Także wysiłki doktor Rafelson są niezwykle obiecujące, unieszkodliwienie wszystkich genów ERV-ów w tych tkankach jest jednym z naszych świętych Graalów od co najmniej piętnastu lat. Stwierdzenie, że jesteśmy rozczarowani owymi porażkami, jest wielkim niedopowiedzeniem. - Nilson przesunął się w krześle i sprawdził swoje notatki, pochylając się na bok i zerkając skrajem okularów, jak ptak oglądający ziarenko. - Chciałbym zadać kilka pytań na temat przyczyn niepowodzeń szczepionek doktora Jacksona.

- Szczepionki nie zawodzą. Zawodzą organizmy - stwierdził Jackson. - Szczepionki działają. Blokują przenoszenie się między komórkami wszystkich cząsteczek ERV-ów.

Nilson uśmiechnął się szeroko.

- W porządku. Dlaczego więc zawodzą organizmy, za każdym razem? A zwłaszcza,



dlaczego stają się bezpłodne, jeśli zablokujesz lub w inny sposób przeszkodzisz działaniu wirusów - wszystkich elementów chorobotwórczych w ich genomie? Czy nie powinny doświadczać zastrzyku energii i wydajności?

Jackson poprosił o opuszczenie wiszącego nad nimi projektora. Liz westchnęła. Kaye kopnęła ją lekko pod stołem.

Prezentacja Jacksona była klasyczna. W ciągu trzech minut użył dziewięciu skrótów i sześciu ukutych przezeń terminów naukowych, nieznanymi Kaye, nie podając definicji żadnego z nich; spletał je w zmyślny labirynt ścieżek i produktów ubocznych oraz niektórych głębokich założeń ewolucyjnych, których nie wykazano nigdy poza probówką. Zepchnięty do obrony, nieodmiennie zwracał się ku ściśle kontrolowanym demonstracjom *in vitro*, wykorzystującym kultury komórek guza, ulubione w badaniach laboratoryjnych. Wszystkie przytaczane przezeń eksperymenty były bardzo dokładnie zaplanowane i prowadzone, tak że aż zbyt często prowadziły do wyników zgodnych z przewidywaniami.

Marge Cross dała mu pięć minut. Jackson zauważył jej zniecierpliwienie i przesunął suwak na koniec.

- Jest oczywiste, że ERV-y wynalazły sposoby na wkradanie się do maszynierii genomu ich gospodarza. Wiemy, że w przyrodzie zdarza się nieraz, iż próby usunięcia pasożyta potrafią zabić gospodarza. Równie prawdopodobne jest to, że tworzą zabezpieczenia przed usunięciem - pseudogeny, liczne kopie, zamaskowane lub skompresowane, które potem potrafią łączyć się ponownie; metylację uniemożliwiającą działanie enzymu restrykcyjnego, wszelkiego rodzaju sprytne sztuczki. Głównym jednak dowodem na szkodliwą naturę wszystkich retrowirusów, nawet tak zwanych dobroczynnych czy łagodnych, jest to, co HIV i SHEVA przyniosły naszemu społeczeństwu.

Kaye podniosła wzrok znad notatek.

- Mamy pokolenie dzieci, które nie potrafią się przystosować - ciągnął Jackson - budzących nienawiść i podejrzliwość, a których tak zwane cechy adaptacyjne - przypadkowo powstałe z całego wachlarza możliwych zniekształceń - jedynie przynoszą im nieszczęście. Wirusy wywołują u nas poważne szkody. Z czasem nasza grupa przezwycięży nieuniknione opóźnienia i wyeliminuje z naszego życia wszystkie wirusy. Wirusy genomowe staną się koszmarem z odległej, okropnej przeszłości.

- Czy to konkluzja? - zapytała Cross, nie dopuszczając do ugruntowania się dramatycznego efektu Jacksona.

- Nie - odrzekł Jackson, odchylając się do tyłu w krześle. - Coś we mnie wybuchło. Przepraszam.

Cross popatrzyła na pytających.

- Zadowoleni? - zapytała.

- Nie - odparł Nilson, ponownie z owym szczególnym olimpijskim wyrazem twarzy, który Kaye widywała jedynie u starszych naukowców płci męskiej, zdobywców nagrody Nobla. - Mam jednak pytanie do pani doktor Rafelson.

- Lars jest zawsze niezawodny w przydawaniu życia tym narodom - stwierdziła Cross.

- Mam nadzieję, że pan doktor Nilson będzie zadawał Kaye równie dociekliwe pytania - powiedział Jackson.

- Można na to liczyć - odrzekł Nilson oschle. - Mamy świadomość, jak trudna jest praca nad embrionami ssaków na wczesnym etapie rozwoju, na przykład mysimi, i jak bardziej jeszcze się ona komplikuje w przypadku naczelnych i małp. O ile zdołałem stwierdzić, pani techniki laboratoryjne były twórcze i bardzo zręczne.

- Dziękuję - odparła Kaye.

Nilson uciszył ją następnym wykrzywieniem twarzy.

- Wiemy również, że jest wiele sposobów, na które embriony i ich gospodarze, ich matki, współpracują przy zapobieganiu odrzucania odziedziczonych od ojców składników tkanek płodów. Czyż nie jest możliwe, że usuwając z embrionów szympanśów znane ERV-y, wyłączamy również geny kluczowe dla owych innych funkcji ochronnych? Mam na myśli zwłaszcza FasL, u ciężarnych samic uruchamiany przez CRH, hormon wyzwalający kortykotropinę. FasL powoduje śmierć komórkową u limfocytów macierzystych, kiedy wyruszają one, aby zaatakować embrion. Jest to niezbędne, aby doszło do narodzin.

- FasL pozostaje nietknięty w naszej pracy - powiedziała Kaye. - Doktor Elizabeth Cantrera, moja koleżanka, spędziła rok na udowodnieniu, że FasL i wszystkie inne znane geny ochronne pozostają niezmienione i są czynne po usunięciu ERV-ów. W istocie badamy teraz możliwość, że element LINE transaktywowany przez hormon ciąży w istocie reguluje FasL.

- Nie dostrzegam tego w pani bibliografii - zauważył Nilson.

- Opublikowaliśmy trzy artykuły w „PNAS”. - Kaye podała mu dane bibliograficzne, a Nilson cierpliwie je zapisał. - Funkcja immunosupresyjna cząsteczek pochodzących od retrowirusów endogennych jest niewątpliwie częścią uzbrojenia ochronnego embrionu. Nieustannie tego dowodzimy.

- Chodzi mi zwłaszcza o świadectwa, że spadek poziomu hormonu wyzwalającego kortykotropinę po okresie ciąży wywołuje szybką ekspresję ERV-u odpowiedzialnego za wywoływanie artretyzmu i stwardnienia rozsianego - powiedział Nilson. - W tym przypadku

ERV może powodować ostry spadek poziomu hormonów, a nie wzrost, to zaś wydaje się przyczyną choroby.

- Ciekawe - stwierdziła Cross. - Doktor Rafelson?

- To rozsądna hipoteza. Wywoływane przez ERV-y zaburzenia autoimmunologiczne są obszerną dziedziną badań. Ich ekspresję mogą regulować hormony związane ze stresem, a to wyjaśniałoby rolę, jaką takie hormony - i stres w ogóle - odgrywają w owych zaburzeniach.

- Jak więc jest, pani doktor Rafelson? - zapytał Nilson, ostro się w nią wpatrując. - Wirusy są dobre czy złe?

- Jak wszystko inne w przyrodzie, są takie lub takie, a nawet jedno i drugie jednocześnie, zależnie od okoliczności - odparła Kaye. - Ciąża jest ciężkim czasem zarówno dla dziecka, jak i jego matki.

Cross zwróciła się do Sharon Morgenstern.

- Doktor Morgenstern pokazała mi wcześniej niektóre ze swych pytań - powiedziała. - Są przekonujące. A w istocie doskonałe.

Morgenstern pochyliła się i popatrzyła na Kaye i Liz.

- Oświadczam, że chociaż zgadzam się często z doktorem Nilsonem, to moim zdaniem procedury stosowane w laboratorium przez doktor Rafelson nie są wolne od luk i błędów. Podejrzewam, iż pani doktor przybyła tutaj, aby dowieść, że czegoś nie można uczynić, a nie, że można. A teraz mamy uwierzyć, iż wykazała, że embriony nie zdołają dotrzeć do porodu, czy choćby dożyć do dojrzewania płciowego, bez posiadania w swoich genach pełnego kompletu dawnych wirusów. Mówiąc krótko, pracując z tezą, usiłuje ona dowieść słuszność kontrowersyjnej teorii ewolucji opartej na wirusach, która podwyższałaby status społeczny jej własnej córki. Zawsze budzą się we mnie podejrzenia, kiedy na pracę naukową wpływają równie silne pobudki emocjonalne.

- Czy masz konkretne zastrzeżenia? - zapytała łagodnie Cross.

- Jak najbardziej, i to wiele - odparła Morgenstern.

Liz wręczyła Kaye liścik. Ta przeczytała szybko nabazgraną wiadomość: „Morgenstern w ostatnich pięciu latach opublikowała wspólnie z Jacksonem dwadzieścia artykułów. Jest jego rzecznikiem w komisji oceniającej Americolu”.

Kaye podniosła wzrok i włożyła liścik do bocznej kieszeni zakietu.

- Moją pierwszą wątpliwość... - ciągnęła Morgenstern.

Był to dopiero początek natarcia na całym froncie. Wszystkie poprzednie słowa służyły jedynie zmiękczeniu przeciwnika. Kaye przełykała ślinę i próbowała rozluźnić mięśnie karku. Myślała o Stelli, w odległym od niej zakątku kontynentu, marnującym czas w

szkole prowadzonej przez dogmatyków. I Mitchu, jadącym na spotkanie z dawną miłością i koleżanką, aby kopać na kompletnym pustkowiu.

Przez jedną paskudną chwilę Kaye czuła, że grozi jej utrata wszystkiego, i to naraz. Wzięła się jednak w garść, przechwyciła spojrzenie Cross i skupiła się na płynącym z ust Morgenstern potoku precyzyjnie wypowiedzianych, otumaniających szczegółów technicznych.

## 20

### Oregon

Dwadzieścia minut później zjechali z brudnej drogi, a Mitch ciągle nie dostrzegał niczego ciekawego. Gra zaczynała go nużyć. Wcisnął hamulce, a stara półciężarówka zazgrzytała na resorach, chwilę się zachwiała, a potem zgasła. Otworzył drzwiczki i wytarł czoło papierowym ręcznikiem oderwanym z rolki trzymanej pod przednim siedzeniem wraz z wałkiem do usuwania błota.

Kurz unosił się wokół nich, aż przedmuchał go podmuch wiatru zabłąkany między wąskimi potoczkami.

- Poddaję się - powiedział Mitch, idąc wstecz, aby zajrzeć w okienko samochodu Eileen. - Czego mam niby szukać?

- Powiedzmy, że jest tu rzeka.

- Nie ma żadnej od kilku wieków, sądząc po wyglądzie okolicy.

- Tak naprawdę od trzech tysięcy lat. Cofnijmy się jeszcze dalej, powiedzmy o więcej niż dziesięć tysięcy lat.

- O ile więcej?

Eileen wzruszyła ramionami i zrobiła minę „Nic nie powiem”.

Mitch jęknął, przypominając sobie wszystkie kłopoty, jakie się wylaniały z dawnych grobów.

Eileen przyglądała się jego reakcji ze smutnym znużeniem, którego nie mógł rozszyfrować.

- Gdzie założyłbyś długotrwały obóz rybacki, powiedzmy na cały sezon tarła łososi? Obóz, do którego byś wracał, rok po roku?

- Na twardym gruncie powyżej poziomu rzeki, niedaleko od niej.

- I co tu widzisz wokół siebie? - zapytała Eileen.

Mitch rozejrzał się znowu dookoła.

- Głównie tarasy z kruchego, słabego łupku. Trochę lawy.

- Opady popiołów?

- No. Wyglądają na twarde. Nie chciałbym się przez nie przekopywać.

- No właśnie - powiedziała Eileen. - Wyobraź sobie opad popiołów dość wielki, aby pokryć wszystko na przestrzeni setek mil.

- Popękane pokłady popiołu. Musiałyby być oczywiście powyżej łożyska rzeki, która by się przez nie przebiła.

- A teraz, jak archeolog mógłby znaleźć coś ciekawego w całej tej plątaninie?

Zmarszczył czoło, patrząc na nią.

- Coś tkwiącego w popiele?

Eileen zachęcająco kiwnęła głową.

- Zwierzęta? Ludzie?

- A jak myślisz? - Eileen wyjrzała przez zakurzoną przednią szybę tahoe. Wyglądała na coraz smutniejszą, jakby przeżywała na nową starożytną tragedię.

- Ludzie, oczywiście - odrzekł Mitch. - Obozowisko. Rybackie obozowisko. Zasypane popiołem. - Pokręcił głową, potem drwiąc z siebie uderzył się w czoło. *Jakiż ze mnie głupek.*

- Właściwie się wygadałam - powiedziała Eileen.

Mitch obrócił się na wschód. Dostrzegł na przemian ciemnoszare i białe warstwy starych opadów popiołów, zagrzebane pod dziesięcioma stopami osadów, zwieńczone teraz popękaną ścianą sosen. Warstwa popiołu wyglądała na mającą co najmniej cztery stopy grubości, była pokryta plamkami i pożłobiona. Wyobraził sobie, że podchodzi do przekroju i dotyka popiołu palcami. Sprasowany przez wiele pór deszczowych, utrzymywany na miejscu przez pokrywą osadów i szlamu, byłby najpierw twardy jak skała, ale ostatecznie łatwo dawałby się kruszyć, rozsypując się w pył przy mocnym uderzeniu kilofem.

Wielki opad, dawno temu. Przed dziesięcioma i więcej tysiącami lat.

Spojrzał znowu na północ, ponad wymytnym miejscem, za szerokie, błotniste i zwirowe łożysko wyschłej dawno temu rzeki, porośnięte z rzadka twardymi krzewami i drzewami, teraz oczywiście wolne nawet od topniejących śniegów i nagłych powodzi. Teren od wielu tysięcy lat prawie niezakłócony erozją.

- Było to zapewne całkiem dobre zakole. Nawet przy największym poziomie rzeki Spent były tu płycizny, którymi dawało się przejść na drugi brzeg i łowić ryby ościeniem. Można by usypać tamę w tamtym zagłębieniu, pod tą skałą. - Wskazał na wielki głaz, w większości zagrzebany w starym mule i popiele.

Eileen uśmiechnęła się i przytaknęła.

- Mów dalej.

Mitch przytknął palec do ust. Okrążył tahoe, machając rękoma, wydając szumiące dźwięki, kopiąc ziemię, wachając powietrze. Eileen zaśmiała się i klepnęła po kolanach.

- Potrzebowałam tego - powiedziała.

- Och, daj spokój - powiedział Mitch z pokorą. - Skoro mam wpaść w nastroje mistyczne, muszę odegrać swoją rolę. - Utkwił wzrok w wyrwie prowadzącej na wyższy teren, ponad popiół. Przechylił głowę na bok i potrząsnął niesprawną ręką, która zaczęła go boleć. Wyglądał jak pies gończy wążący za tropem. Przetrzęsając wzrokiem nierówny teren, posuwał się w górę wypłukanego miejsca i wokół głazu.

- Zaczekaj! - krzyknęła Eileen.

- Za nic! - zawołał do niej Mitch. - Jestem na tropie.

I był.

Obóz zauważył dziesięć minut później. Eileen wspięła się za nim, zadyszana. Na płaskiej wysoczyźnie, rzadko porośniętej lasem, upstrzonej smugami szarości w miejscach, gdzie erozja odsłoniła głęboką warstwę popiołu, dostrzegł dwanaście mocno spłaszczonych, wypłowiałych namiotów przykrytych siatkami z uschłych gałęzi i wyrwanymi z korzeniami krzakami - wszystko wokół stanowiska. Para starych landroverow stała obok siebie, zamaskowana na wielki gład.

Mitch usiadł na skale, patrząc ponuro na namioty i samochody.

- Po co ten kamuflaż? - zapytał.

- Ze względu na satelity i zdalnie sterowane samoloty wążące dla Urzędu Zagospodarowania Terenu i wojska, broniących praw Indian zgodnie z NAGPRA - odparła Eileen. Wspieranie przez władze federalne skarg niektórych grup Indian, powołujących się na NAGPRE - skrót od Native American Graves Protection and Repatriation Act - ustawę o ochronie i repatriacji grobów Indian, było od ponad dwudziestu lat przekleństwem archeologów amerykańskich.

- Och - powiedział Mitch. - Po co się narażać? Czy potrzebujemy tego teraz? Żeby federalni zalali twoje wykopaliska betonem? - W ten sposób Korpus Wojsk Inżynieryjnych zabezpieczył wykopaliska Mitcha przed dalszymi naruszeniami prawa. Miał wrażenie, że było to więcej niż całe jego życie temu. Machnął ręką w stronę wykopalisk i skrzywił się. - Niezbyt to sprytne, ukrywanie się w ten sposób i liczenie na zmylenie grubych ryb.

- Czy nie tak właśnie robiłeś? - zapytała Eileen.

Mitch prychnął, ale daleko mu było do wesołości.

- Celnie mnie trafiłaś - przyznał.

- Czasy nie są racjonalne - powiedziała Eileen. - Wkrótce to zrozumiesz. Czyż wszyscy nie musimy się dowiedzieć, co to znaczy być człowiekiem? Teraz bardziej niż kiedykolwiek? Jak staliśmy się tym, czym jesteśmy, i co nastąpi później?

- Co kilka starych kości Indian powie nam ponad to, co już wiemy? - zapytał Mitch, czując, jak jego żyłka odkrywcy zaczyna się strzępić i rwać.

- Czy wezwałabym ciebie, gdyby chodziło o taką drobnostkę? Znasz mnie na tyle, Mitchu Rafelson, aby wiedzieć, że nie. A przynajmniej mam taką nadzieję.

Mitch wytarł dłonie o nogawki spodni i obejrzał się przez ramię na długi wachlarz wymywiska. Wspięli się jakieś dwadzieścia stóp wyżej od niego, ale nadal dostrzegał świadectwa erozji dawnego brzegu.

- Kiedyś to była wielka rzeka - zauważył.

- Była mniejsza w okresie istnienia naszego stanowiska - powiedziała Eileen. - Stanowiła jedynie szeroki, płytki strumień pełen łososi. Niedźwiedzie przychodziły tutaj je łapać. Jedna z moich studentek na drugim brzegu znalazła starego samca, zabitego we wczesnej fazie opadu popiołów, na samym początku wybuchu.

- Jak dawno temu?

- Dwadzieścia tysięcy lat, tak szacujemy. Popiół daje ściśle wyniki datowania metodą potasowo-argonową. Jeszcze uściślamy to metodą węglową.

- I coś więcej poza zdechłym grizzly? - zapytał Mitch.

Eileen przytaknęła jak mała dziewczynka potwierdzająca, że w jej pokoju jest rzeczywiście więcej lalek.

- Była tam niedźwiedzica. Brakuje jej czaszki. Została odcięta, a kości są porąbane kamiennymi siekierami.

- Dwadzieścia tysięcy lat temu?

- No. Studentka przeszła więc na drugą stronę rzeki Spent i zaczęła szukać innych znalezisk. Tak dla zabicia czasu, zanim przyjedzie po nią landrover. Natrafiła na zerodowaną warstwę popiołu z wysoką zawartością krzemionki, o tam, jakieś pięćdziesiąt metrów od obecnego miejsca obozu. - Wskazała palcem. - Niemal nadepnęła na ludzką kość palca stopy, zmieszaną ze żwirem.

Właściwie nic szczególnego. Pogrzebała jednak wokół zwietrzałej kości i znalazła następne.

- Dwadzieścia tysięcy lat temu. - Mitch ciągle nie mógł uwierzyć.

- To nawet nie połowa - powiedziała Eileen.

Mitch pozwolił sobie na ogromnie śmiały domysł i odchylił się do tyłu, a następnie

lekko opadł w niedowierzaniu.

- Nie chcesz chyba powiedzieć...

Eileen spojrzała nań zaczepnie.

- Znalazłaś neandertalczyków!?

Eileen pokręciła głową w energicznym przeczeniu, a potem obdarzyła go załzawionym spojrzeniem i uśmiechem, zdradzającym odrobinę rozterek, jakie odczuwała w nocy, leżąc bezsennie i wałkując ciągle wszystko w myślach.

Mitch wypuścił powietrze.

- A co?

- Nie chciałam cię oszołomić - odparła skromnie i wzięła go za rękę. - Jesteś jednak zbyt mało szalony. Chodź, Mitchu. Spotkamy się z dziewczętami.

## 21

### Baltimore

Pytania Morgenstern okazały się trafne i trudno było znaleźć na nie odpowiedź. Kaye starała się jak mogła, ale miała świadomość, że w kilku miejscach wypadła bardzo blado. Czowała się jak mysz w pokoju pełnym kotów. Jackson wyglądał na coraz bardziej pewnego siebie.

- Zespół płodności stwierdził, że Kaye Rafelson nie jest właściwą osobą do dalszego prowadzenia badań nad usuwaniem ERV-ów - oznajmiła Morgenstern na koniec. - Jest wyraźnie uprzedzona. Jej praca budzi podejrzenia.

Chwila ciszy. Oskarżenie nie zostało odparte; wszyscy rozważali możliwe ruchy i kreślili mapę otaczającego ich politycznego pola minowego.

- W porządku - powiedziała Cross z twarzą pogodną jak u niemowlęcia. - Ciągłe nie wiem, na czym stoimy. Czy powinniśmy w dalszym ciągu wydawać pieniądze na szczepionki? Czy powinniśmy nadal szukać sposobów na stworzenie organizmów całkowicie wolnych od wirusów? - Nikt nie odpowiadał. - Lars? - zapytała.

Nilson pokręcił głową.

- Stwierdzenia doktor Morgenstern pomieszały mi w głowie. Praca doktor Rafelson wywarła na mnie dobre wrażenie. - Wzruszył ramionami. - Wiem, że ludzkie embriony zagnieżdżają się w łonach matek z pomocą starych genów wirusowych. Doktor Morgenstern jest niewątpliwie tego świadoma, zapewne bardziej niż ja.

- Całkowicie świadoma - przyznała Morgenstern z przekonaniem. - Wykorzystywanie



genów wirusa endogennego z rodziny syncytyn w rozwoju małp jest ciekawym osiągnięciem, ale mogę przywołać dziesiątki artykułów dowodzących, że to przypadkowe zjawisko, które wyskoczyło ni stąd, ni zowąd jak królik z kapelusza. W długich dziejach ewolucji występują jeszcze bardziej zdumiewające zbiegi okoliczności.

- A model Temina wkładów wirusowych do genomu?
- Błyskotliwy, stary, dawno już odrzucony.

Nilson zebrał w stosik swoje rozrzucone notatki i papiery, uporządkował je i lekko uderzył nimi o blat stołu.

- Przez całe życie - powiedział - dochodziłem do uznania podstawowych zasad biologii za równoznaczne z aktami wiary. *Credo*, w które wierzę: łańcuch instrukcji biegnący od DNA przez RNA do białek nigdy nie ulega odwróceniu. Główny Dogmat. McClintock, Temin i Baltimore, obok wielu innych, dowiedli błędności Głównego Dogmatu, wykazując, że geny mogą tworzyć produkty wstawiające swoje kopie, że retrowirusy potrafią zapisywać siebie w DNA w postaci prowirusów i pozostawać w nim przez miliony lat.

Kaye dostrzegła, że Jackson przygląda się jej bystrzymi, szarymi oczyma. Cichutko stuknął ołówkiem. Oboje wiedzieli, że Nilson gra pod publiczność, co nie wyrze wrażenia na Cross.

- Czterdzieści lat temu nie załapaliśmy się na prom - ciągnął Nilson. - Należałem do przeciwników poglądów Temina. Minęły lata, zanim rozpoznaliśmy potencjalne możliwości retrowirusów w dokonywaniu spustoszeń, a potem, kiedy pojawił się HIV, nie byliśmy na niego przygotowani. Nie mieliśmy bukietu szalonych, twórczych teorii, między którymi mogliśmy przebierać; wszystkie zadusiliśmy albo pominęliśmy milczeniem, co na jedno wychodzi. Dziesiątki milionów pacjentów cierpiało wskutek naszego upartego zadufania. Howard Temin miał rację; to ja się myliłem.

- Nie nazwałbym tego wiarą, ale przetwarzaniem i rozumowaniem - przerwał mu Jackson, mocniej stukając ołówkiem. - Chroni to nas przed pojawianiem się jeszcze bardziej straszliwych bluźnierców, jak Łysenko.

Nilson się tym nie przejął.

- Och, też mi armata na mnie, Łysenko! Wiara, rozum, dogmat, wszystko razem składa się na upartą ignorancję. Trzydzieści lat temu nie załapaliśmy się na prom z Barbarą McClintock i jej skaczącymi genami. A co z wieloma innymi? Iluż było zniechęconych doktorantów, stażystów i badaczy? Nadmiarem dumy, widzę to teraz, było ukrywanie przez nas słabości i wykpiwanie naszych fundamentalistycznych wrogów. Zapewnialiśmy o naszej nieomyślności przed radami uczelni, politykami, korporacjami, inwestorami, pacjentami,

wszystkimi, którzy mogliby stanowić dla nas wyzwanie. Byliśmy aroganccy. Byliśmy l u d z c y, pani Cross. Biologia była niewiarygodnie archaicznym patriachatem z wieloma oznakami paczki starych chłopców: tajemnymi gestami, hasłami, obrzędami indoktrynacji. Pętaliśmy skrzydła, przynajmniej przez jakiś czas, niektórym najlepszym i najbystrzejszym spośród nas. Bez zmiłowania. I po raz kolejny nie zdołaliśmy dostrzec nadciągającego śmiertelnego zagrożenia. AIDS przetoczył się przez nas, a potem SHEVA. Okazało się, że nie mamy zielonego pojęcia o seksie i różnorodności ewolucyjnej. Zielonego! Mimo to niektórzy spośród nas postępują nadal tak, jakbyśmy wiedzieli o tym wszystko. Usiłujemy szacować odpowiedzialność i wymigiwać się z naszych przegranych. Cóż, przegraliśmy. Nie zdołaliśmy dostrzec prawdy. Te sprawozdania są podsumowaniem naszej przegranej.

Cross wyglądała na zdeprymowaną.

- Dziękuję ci, Lars. Na pewno mówiłeś z serca. Nadal jednak chcę wiedzieć, dokąd to nas doprowadzi? - Każde słowo podkreślała uderzeniem pięścią w stół.

Maurie Herskovitz, ciągle tkwiący na krześle w odległym kącie, z dala od stołu, w będącym jego znakiem firmowym szarym garniturze i jarmułce, podniósł rękę.

- Sądzę, że mamy tu wyraźnie do czynienia z problemem epistemologicznym - powiedział.

Cross zmrużyła mocno oczy i przycisnęła grzbiet nosa.

- Och, proszę cię, Maurie, tylko nie to.

- Wysłuchaj mnie, Marge. Doktor Jackson starał się uzyskać coś nowego, szczepionkę przeciwko SHEVIE i innym ERV-om. Nie zdołał. Jeżeli, jak oskarża doktor Morgenstern, doktor Rafelson przybyła do Americolu, aby wykazać, że nie narodzą się żadne dzieci, kiedy unieruchomimy wirusy w ich genomie, to osiągnęła swoje. Żadne się nie urodziło. Obojętnie, jaka była jej motywacja, jej praca jest staranna. Jest naukowa. Doktor Jackson ciągle forsuje hipotezę, której wydają się przeczyć wyniki jego trudów.

- Maurie, dokąd to nas doprowadzi? - powtórzyła Cross; jej policzki poróżnowiały.

Herskovitz uniósł rękę.

- Gdybym rozstrzygał, przekazałbym doktor Rafelson kierownictwo badań wirusowych w Americolu. To jednak oczywiście obciążyłyby ją jeszcze bardziej obowiązkami związanymi z zarządzaniem i dałoby mniej czasu na pracę w laboratorium. Zapewniłbym więc jej wszystko, czego potrzebuje, aby prowadzić badania całkowicie po swojemu, a doktor Jackson niech się skupia na tym, do czego najbardziej się nadaje. - Spojrzał figlarnie na Jacksona. - Na zarządzaniu. Marge, ty i ja możemy zadbać, aby czynił to, jak należy. - Herskovitz popatrzył na wszystkich w sali, bardzo się starając, aby wyglądać

na poważnego.

Twarze przy stole skamieniały.

Cera Jacksona nabrała sinawego odcienia bladości. Kaye martwiła się przez chwilę, że jest na skraju zawału serca. Postukał piórem w rytm popularnego kupletu *Shave and a haircut*: „pam-pa-rarampam-pam-pam”.

- Jak zawsze wysłuchałem uważnie zdania doktora Nilsona i doktora Herskovitza. Nie sądzę jednak, aby Americol potrzebował kobiety, która może stracić głowę, kierując tym właśnie zakresem badań.

Cross odchyliła się, jakby dosięgnął ją zimny podmuch. Załzawione spojrzenie Morgenstern spoczęło wreszcie na Jacksonie z wyrazem podszytego lękiem oczekiwania.

- Pani doktor Rafelson, wieczorem spędziła pani kilka godzin w laboratorium obrazowania z naszym naczelnym radiologiem. Kiedy rano odbierałam wyniki badań radiologicznych, zauważyłem wpis z kosztorysem. Zapytałem, w jakim celu korzystała pani z laboratorium, i usłyszałem, że szukała pani Boga.

Kaye zdołała utrzymać ołówek i nie upuścić go na podłogę. Powoli uniosła ręce na blat stołu.

- Spotkało mnie niezwykle doświadczenie - powiedziała. - Chciałam się przekonać, co mogło być jego przyczyną.

- Powiedziała pani radiologowi, że czuje pani Boga wewnątrz głowy. Doznaje pani tych doświadczeń od jakiegoś czasu, od zabrania pani córki przez Urząd Stanu Wyjątkowego.

- Tak - potwierdziła Kaye.

- Widuje pani Boga?

- Doświadczam pewnych stanów psychicznych - odparła Kaye.

- Och, śmiało, doktor Nilson pouczył nas właśnie o prawdzie i uczciwości. Czy zaprze się pani Boga po trzykroć, doktor Rafelson?

- Cokolwiek się stało, jest moją prywatną sprawą i nie ma wpływu na pracę. Jestem oburzona, że jest to poruszane na tym zebraniu.

- Czyżby nie miało znaczenia? Żadnego poza wydaniem mniej więcej siedmiu tysięcy dolarów na niezatwierdzone badanie?

Liz wyglądała na głęboko wstrząśniętą.

- Gotowa jestem ponieść koszty - powiedziała Kaye.

Jackson podniósł spięty plik faktur i pomachał nimi w powietrzu.

- Nie widzę dowodu, aby poprosiła pani o rachunek.

Spokój Cross przeszedł w oburzenie i złość - na kogo jednak, tego Kaye nie potrafiła

odgadnąć.

- Czy to prawda?

Kaye tłumaczyła się niepewnie.

- To osobisty stan umysłu, ciekawy dla nauki. Niemal połowa...

- Gdzie następnie odnajdziesz Boga, Kaye? - zapytał Jackson. - W swoich sprytniutkich wirusach, kłębiących się jak święte trybiki, przestrzegających zasad, które ty jedyna możesz pojąć, wyjaśniających wszystko, czego ty nie potrafisz? Gdyby Bóg był moim mentorem, byłbym wniebowzięty, wszystko stałoby się takie łatwe, ale nie mam tyle szczęścia. Muszę polegać na rozumie. Mimo wszystko jest zaszczytem praca z kimś, kto może po prostu zapytać wyższą władzę, gdzie czeka prawda, aby ją odkryć.

- Zdumiewające - stwierdził Nilson. W swoim kącie Herskovitz wyprostował się w krześle. Jego uśmiech wyglądał jak wryty w gipsie.

- To nie tak - odparła Kaye.

- Wystarczy, Robercie - powiedziała Cross.

Jackson nie ruszył się od początku swego oskarżenia. Siedział lekko zapadnięty.

- Nikt z nas nie może sobie pozwolić na zawieszanie zasad nauki - powiedział. - Zwłaszcza teraz.

Cross niespodziewanie wstała. Nilson i Morgenstern spojrzeli na Jacksona, potem na Cross, i też się podnieśli, odsuwając krzesła.

- Mam to, czego potrzebowałam - powiedziała Cross.

- Doktor Rafelson, czy to Bóg kieruje ewolucją? - zawołał Jackson. - Czy posiada wszystkie odpowiedzi, czy kieruje nami wszystkimi jak marionetkami na sznurkach?

- Nie - odparła Kaye; nie mogła skupić wzroku.

- Czy naprawdę posiada pani pewność, teraz, w sposób niedostępny dla nas wszystkich, dzięki swej s z c z e g ó l n e j w i e d z y?

- Robercie, dość już tego! - ryknęła Cross. Rzadko się zdarzało, by obecni słyszeli ją rozgniewaną; jej głos aż ranił natężeniem swej piskliwości. Plikowi trzymanyh papierów pozwoliła rozsypać się na stole i spaść na podłogę. Spiorunowała Jacksona wzrokiem i potrząsnęła wzniesionymi do sufitu pięściami. - Wprost niewiarygodne!

- Zdumiewające - powtórzył Nilson, znacznie spokojniej.

- Przepraszam - powiedział Jackson, ani trochę nie poskromiony. Na jego twarz wróciły kolory. Wyglądał na pełnego sił i zdrowego.

- To już koniec - oświadczyła Cross. - Wszyscy do domu. Już.

Liz pomogła Kaye opuścić salę. Jackson nie raczył spojrzeć na nie, gdy wychodziły.

- Co u diabła się tu dzieje? - zapytała Liz szeptem, kiedy szły do windy.
  - Wszystko ze mną w porządku - powiedziała Kaye.
  - O czym u diabła mówił La Robert?
- Kaye nie wiedziała, od czego zacząć.

22

## Oregon

Eileen poprowadziła Mitcha w dół stoku po nierównych stopniach, zrobionych z desek wbitych w ziemię. Kiedy szli przez zagajnik młodych sosen i w górę niskiego brzegu, coraz lepiej widząc obóz, Mitch zobaczył, że wielkie stanowisko wykopaliskowe, mające około dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych, w kształcie litery L i przykryte dwoma połączonymi barakami z blachy falistej, jest zamaskowane chrustem ułożonym na siatce. Z powietrza będzie wyglądało jak rozmazana plama w krajobrazie.

- Przypomina to bazę terrorystów, Eileen. Jak ukrywacie się przed czujnikami ciepła? - zapytał na wpół poważnie.

- Zamierzamy terroryzować antropologię w Ameryce Północnej - odparła Eileen. - To na pewno.

- Teraz mnie przestraszyłaś - stwierdził Mitch. - Czy muszę zobowiązać się do zachowania poufności albo coś w tym rodzaju?

- Ufam ci. - Eileen położyła rękę na jego ramieniu.
- Pokaż mi teraz, Eileen, albo pozwól wrócić do domu.
- A gdzie masz dom? - spytała.
- W moim samochodzie.
- Tej kupie złomu?

Mitch kpiarsko błagał ją o wybaczenie gestem dłoni o szerokich palcach.

- Czy wierzysz w opatrność? - zapytała Eileen.

- Nie - odparł. - Wierzę w to, co zobaczę na własne oczy.

- Możesz potrzebować trochę czasu. Obecnie prowadzimy badania związane z najnowszą techniką. Jeszcze nie wyciągnęliśmy okazów. Mamy dobroczyńcę. Wydaje mnóstwo pieniędzy, aby nam pomagać. Chyba o nim słyszałeś. Oto jego przedstawiciel.

Mitch zobaczył jakieś pięćdziesiąt stóp przed sobą odkrytą połę namiotu. Szczupła rudowłosa postać wystawiła głowę, wstała i otrzepała kurz z dłoni. Osloniła oczy i rozejrzała

się, po czym dostrzegła parę na skarpie i uniosła podbródek w powitaniu. Eileen pomachała ręką.

Oliver Merton podbiegł ku nim po jasnym, nierównym terenie.

Merton był dziennikarzem naukowym śledzącym karierę Kaye i podążającym wiernie śladami odkryć SHEVY. Mitch nigdy nie nabrał pewności, czy ma uważać Mertona za przyjaciela, czy za oportunistę, a może jedynie za cholernie dobrego dziennikarza. Przypuszczalnie był wszystkimi nimi jednocześnie.

- Mitch! - zawołał Merton. - jakże wspaniale widzieć cię znowu!

Merton wyciągnął rękę. Mitch uściśnął ją mocno. Dłoń pisarza była ciepła, sucha i pewna.

- Mój Boże, Eileen powiedziała mi tylko, że ściąga kogoś doświadczonego. Jakże to absolutnie, pieruńsko słuszne określenie. Pan Daney będzie zachwycony.

- Zawsze pojawiaasz się wszędzie przede mną - powiedział Mitch.

Merton osłonił oczy od słońca.

- W głębi namiotu mają swego rodzaju popołudniową naradę plemienną, jeśli to właściwe słowo. Naprawdę jest trochę przynębiająca. Eileen, chyba zamierzają się zdecydować na odsłonięcie jednej z dziewcząt i przyjrzenie się jej z bliska. Przybyłeś w najlepszej chwili, Mitch. Całe dni czekałem, aby zobaczyć coś więcej niż nagrania wideo.

- Czy decyzje zapadają tu zbiorowo? - zapytał Mitch, zwracając się do Eileen.

- Nie wytrzymałabym, biorąc wszystko na swoje barki - wyznała Eileen. - Mamy dobry zespół. Bardzo kłótlivy. A pieniądze Daney'a czynią cuda. Pijamy wieczorami dobre piwo.

- Czy Daney jest tutaj? - zapytał Mertona Mitch.

- Jeszcze nie - odparł Merton. - Jest nieśmiały i nienawidzi niewygód. - Zasłonili się rękoma przed wiejącym przez zleb podmuchem pełnym pyłu. Merton wytarł oczy chusteczką.  
- A najbardziej takich miejsc.

Szeroka siatka z zatkniętymi krzakami powiewała w popołudniowej bryzie, rozsiewając kawałki zeschniętych gałązek i liście, gdy stali u wejścia do jamy. Wykop ciągnął się jakieś czterdzieści stóp na północ, a potem skręcał na wschód, tak że miał kształt litery L. Światło słoneczne przesączało się przez siatkę. Zeszli po metalowej drabince na leżące cztery metry niżej dno jamy.

Aluminiowe żerdzie przecinały wykop w dwumetrowych odstępach. Wyniesione

miejsca, przypominające maleńkie płaskowyże, wieńczyły kratownice z drutu. Nad płaskowyżami niektóre żerdzie podierały białe pudełka z soczewkami i innymi przyrządami ciągnącymi się od samego dołu. Gdy Mitch patrzył, najbliższe pudełko powoli przesunęło się kilka centymetrów w prawo i zaczęło buczeć.

- Skaner boczny? - zapytał.

Eileen przytaknęła.

- Zeskrobaliśmy większość mułu i zaglądamy przez ostatnią warstwę materiałów piroklastycznych. Możemy zagłębiać się około sześć centymetrów w twardej gruntu. - Ruszyła naprzód.

Baraki z blachy falistej - łuki z drewnianych belek pokrytych arkuszami przybitej żebrowanej stali i kilkoma mlecznymi taflami z włókna szklanego - osłaniały dłuższe ramię litery L. Światło słoneczne wlewało się szybami z włókna szklanego. Szli między wysokimi, nieregularnymi ścianami po płaskiej, twardej ziemi, pokrytej niekiedy otoczakami z rzeki. Eileen pozwoliła Mitchowi iść przodem, wspiać się brudnymi schodami wiodącymi z lewej strony na mające płaski wierzchołek wzniesienie doglądane przed dwa dalsze białe pudełka.

- Nie ośmielam się chodzić pod tymi cholerstwami - powiedziała. - I tak mam już dość plam na skórze.

Mitch ukląkł obok małego płaskowyżu, aby popatrzeć na naprzemienne warstwy mułu i osadów wulkanicznych, zwieńczone piaskiem i szlamem. Zobaczył warstwę popiołu wulkanicznego, a na niej laharu: szybko spływającego gorącego błota złożonego z popiołu, ziemi i wody ze stopniałego lodowca. Z czasem osiadały na tym piasek i szlam. Na dnie płaskowyżu dostrzegł dalsze naprzemienne warstwy popiołu, błota i osadów rzecznych: gruba księga sięgająca znacznie dalej w przeszłość aniżeli zapisana historia.

- Komputery wykonują naprawdę potężne obliczenia i pokazują nam obraz tego, co jest tam niżej - powiedziała Eileen. - Spieramy się teraz, czy mamy kopać głębiej, czy też ponownie wszystko zasypać i polegać wyłącznie na nagraniach wideo i odczytach czujników. Domyślam się jednak, że zespół opowie się za tradycyjnym wtargnięciem.

Mitch zatoczył ręką w szerokim geście.

- Popiół spadał kilka dni - stwierdził. - Potem łożyskiem rzeki spłynął lahar. Tam wyżej się przelał, ale nie zabrał z sobą ciał.

- Bardzo dobrze - potwierdził Merton ze szczerym uznaniem.

- Chcesz zobaczyć nasze rysunki? - zapytała Eileen.

Rozwinęła arkusz graficzny w namiocie, gdzie odbywali zebrania, i podłączyła go do swego komputera naręcznego.

- Ciągle się przyzwyczajam do całej tej techniki - mruknęła. - Jest wspaniała, kiedy tylko działa.

Merton zerkał przez ramię Mitcha. Dwie kobiety po trzydziestce, mające na sobie dzinsy i koszulki khaki z krótkimi rękawkami, stały w tyle długiego, wąskiego namiotu, spierając się cichymi, lecz gniewnymi głosami. Eileen nie uznała za stosowne ich przedstawić, co podpowiedziało Mitchowi, że nie jest ona jedynym antropologiem o wielkiej władzy prowadzącym tutaj wykopaliska.

Ekran rozjaśnił się lekko w półmroku namiotu. Eileen nakazała głosem komputerowi rozpocząć pokaz obrazów.

- Te są z wczoraj - powiedziała. - Przeprowadziliśmy dwadzieścia siedem pełnych skanowań. Redukcja po redukcji, tylko dla upewnienia się, że obrazy nie nakładają się na siebie. Oliver mówi, że nigdy nie widział bardziej przestraszonej bandy naukowców.

- Nie widziałem - potwierdził Merton.

Pierwszy obraz pokazywał blade widmo szkieletu skulonego w pozycji płodowej, otoczonego czymś przypominającym płachty mat z trawy, kilkoma głazami i chmurą kamyków.

- Nasza pierwsza. Nazwaliśmy ją Charlene. Jak widzisz, jest niemal współczesnym *Homo sapiens*. Wystająca bródka, stosunkowo wysokie czoło. Tu jednak masz rekonstrukcję tomograficzną na podstawie licznych przesunięć. - Pojawił się drugi obraz, ukazujący czaszkę dolichocefaliczną, czyli długogłową. Eileen nakazała komputerowi obrócić ten obraz. Mitch się zachmurzył.

- Wygląda na Australijkę - powiedział.

- Przypuszczalnie była nią - stwierdziła Eileen. - Wiek około dwudziestu lat. Uwięziona i uduszona przez muł. Jest pięć innych szkieletów, jeden blisko Charlene, pozostałe skupione jakieś pięć metrów dalej. Wszystkie są kobiece. Nie ma dziecięcych. I żadnych śladów mężczyzn. Maty z trawy oczywiście zgniły. Pozostały tylko odciski. Mamy niewyraźny odcisk wokół Charlene, odlew w drobnym szlamie przesączającym się przez muł i popiół, pokazujący zarysy jej ciała. Oto obraz tomograficzny tego, jak ten odlew mógłby wyglądać, gdybyśmy zdołali jakoś wydobyć go z materiału piroklastycznego i z pozostałych zalegającym na nim osadów.

Pojawiło się zniekształcone widmo głowy, szyi i ramion. Obracało się gładko na arkuszu graficznym. Mitch czuł się dziwnie, stojąc w namiocie, który wydałby się znajomy



Royowi Chapmanowi Andrewsowi, a nawet samemu Darwinowi, i patrząc na rozwinięty arkusz ekranu komputerowego.

Poprosił Eileen, aby raz jeszcze obróciła wizerunek Charlene.

Kiedy obraz kręcił się wokół, Mitch zaczął rozpoznawać rysy twarzy, zamknięte oko, płamę ucha, zmierzwione i poskręcane włosy, a za czaszką zarys bezwładnego, wykrzywionego i zniekształconego ciała.

- Dość okropne - powiedział Merton.

- Uduśliły się, zanim dotarł do nich żar - wyjaśniła Eileen. - Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Wczesna postać tubylców z Ziemi Ognistej? - zapytał Mitch.

- Tak uważa większość z nas. Potomkowie Australijczyków przybyłych przez Amerykę Południową i Środkową.

Mapy takich migracji były coraz częściej kreślone w ostatnich piętnastu latach; szkielety Australijczyków i związane z nimi artefakty znajdowane w pobliżu południowego krańca Ameryki Południowej datowano na mające ponad trzydzieści tysięcy lat.

Dwie starsze kobiety minęły ich w drodze do wyjścia, poważne i niedostępne jak jeżozwierze. Tyjąca, czerwona na twarzy kobieta, kilka lat młodsza od Eileen, przytrzymała dla nich otwartą połę namiotu i stanęła obok Mitcha.

- Czy to sławny Mitch Rafelson? - zwróciła się do Eileen.

- Mitch, poznaj Connie Fitz. Powiedziała jej, że sprowadzam cię tutaj.

- Bardzo mnie cieszy spotkanie z panem po tylu latach. - Fitz wytarła ręce o zakurzony ręcznik wiszący u jej pasa, zanim uścisnęli sobie dłonie. - Czy pokazałaś mu dobry materiał?

- Zmierzamy do tego.

- Najlepszy obraz Gertie jest na ujęciu 21 - poradziła Fitz.

- Wiem - stwierdziła cierpko Eileen. - To moje przedstawienie.

- Przepraszam. Jestem jak kwoka - powiedziała Fitz. - Inne nieustannie się spierają.

- Oszczędź mnie - poprosiła Eileen. Kolejny obraz zalał ich twarze bladym, zielonkawym światłem.

- Powitaj Gertie - powiedział Merton. Zerknął na Mitcha, czekając na jego reakcję.

Mitch dotknął palcem powierzchni ekranu i w tym miejscu pojawiła się jasna plama. Uniósł głowę, bliski wybuchnięcia gniewem.

- Wrabiacie mnie. To żart.

- Żaden żart - odparł Merton.

Mitch powiększył obraz. Potem odchrząknął i zapytał:

- Oszustwo?

- Co o tym sądzisz? - odparła pytaniem Eileen.

- Są z sobą związane? Nie znajdują się w różnych warstwach?

Eileen przytaknęła.

- Były koleżankami, zapewne podróżowały razem. To nie dzieci, ale jak widzisz, Gertie miała może piętnaście albo szesnaście lat i przypuszczalnie była ciężarna, gdy zasypał ją popiół.

- Albo jadała niemowlęta - powiedział Merton.

Kolejne skrzywienie ust Eileen.

- Dni Olivera są policzone - stwierdziła Fitz.

- Matriarchat - ze śmiertelną powagą rzucił oskarżenie Merton.

Namiot nagle wydał się bardzo duszny. Mitch usiadłby, gdyby w pobliżu miał krzesło.

- Wygląda na wczesną formę. Różni się od Charlene. Czy jest mieszanką? - zapytał.

- Nikt nie chce tak mówić - odparła Eileen. - Spodobają ci się nasze dyskusje do późna w noc. Kilka tygodni temu, kiedy wyraziłam chęć, abyś dołączył do nas, wszyscy mnie zakrzyczeli. Teraz rzucamy się sobie do gardeł, a Oliver, jak słyszałam, przekonał Daney'a, że nadeszła pora.

- Tak jest - potwierdził Merton.

- Osobiście cieszę się, że tu jesteś - dodała Eileen.

- A ja nie - stwierdziła Fitz. - Gdyby federalni dowiedzieli się o panu, a wieść o tym by się rozniosła, padlibyśmy łupem NAGPRY.

- Powiedz coś więcej, Mitch - poprosiła Eileen.

Mitch pomasaował sobie kark i po raz dziewiąty przyjrzał się obrazowi rosnącej i obracającej się czaszki.

- Czaszka wygląda na zgniecioną. Gertie jest długogłową, jeszcze bardziej niż Australijka. Blisko jej dłoni znajduje się krzemienne narzędzie, na ramieniu niosła coś w rodzaju torby splecionej z trawy, jeśli się nie mylę.

- Nie mylisz się.

- Wypełnionej czymś wyglądającym na korzonki krzaków lub drzewek.

- Głodowa dieta - zauważyła Fitz.

- Może to było jej zadanie? Zbieranie korzonków do zupy na kamieniu<sup>23</sup>.

Merton wyglądał na zdumionego. Eileen wyjaśniła mu, czym jest zupa na kamieniu z

---

<sup>23</sup> Anglojęzyczny odpowiednik zupy na gwoździu, bądź, jak kto woli, z gwoździa (przyp. red.).

popularnej baśni.

- Jakie to kolonialne - uznał Merton.

- Zawsze jesteś Brytyjczykiem jak z filmów klasy B? - zapytała Fitz.

- Proszę was, dzieci - ostrzegła Eileen.

- Stosunkowo wysoka, może wyższa od Charlene, i dość krępa, o grubych kościach - ciągnął Mitch, starając się rozważać chłodno to, co widzi. - Pochyłe czoło, puszka mózgowa od średniej wielkości do małej, ale twarz jest dość płaska. Potężne wały nadoczodołowe. Lekki wał strzałkowy, a nawet występ potyliczny. Bardzo chciałbym przyjrzeć się lepiej siekaczom.

- Łopatkowate - powiedziała Eileen.

Mitch potarł swą bezwładną rękę, aby ukoić mrowienie, i popatrzył na innych, jakby wszyscy zwariowali.

- Gertie jest o wiele za wczesna. Wygląda jak okaz z Broken Hill I. Jest *Homo erectus*.

- Najwyraźniej - prychnęła Fitz.

- Wymarli ponad trzysta tysięcy lat wcześniej - powiedział Mitch.

- Widocznie nie wymarli - stwierdziła Eileen.

Mitch roześmiał się i cofnął nagle, jakby uchylał się od osy, która nagle uleciała.

- Jezu.

- Jego widzisz? - zapytała Eileen. - Tylko tyle jesteś w stanie powiedzieć? - Żartowała, ale jej głos był mocno napięty.

- Miałaś więcej czasu, aby się do tego przyzwyczaić - odrzekł Mitch.

- Kto mówi, że się przyzwyczailiśmy? - zapytała Eileen.

- Co z płodem?

- Jest zbyt wczesny i mamy za mało szczegółów - odparła Fitz. - To pewnie stracony przypadek.

- Uważam, że powinniśmy się dowiercić, pobrać cienką próbkę i przeprowadzić reakcję łańcuchową polimerazy DNA mitochondrialnego z zachowanych powłok wspólnych - powiedział Merton.

- Marzyciel - stwierdziła Fitz. - Mają dwadzieścia tysięcy lat. Ponadto lahar ich ugotował.

- Nie do końca - sprzeciwił się Merton.

- Myśl jak naukowiec, a nie jak dziennikarz.

- Cii - uciszyła ich Eileen ze względu na Mitcha, który nadal wpatrywał się jak

zahipnotyzowany w rozwinięty ekran. - A oto mamy grupę środkową - powiedziała i przeszła do następnego zestawu widmowych obrazów. - Gertie i Charlene leżały z boku. Ta czwórka to Hildegarda, Natasza, Sonia i Penelopa. Hildegarda jest przypuszczalnie najstarsza, pod czterdziestkę, i już cierpiała na artretyzm.

Hildegarda, Natasza i Sonia należały wyraźnie do *Homo sapiens*. Penelopa była kolejnym *Homo erectus*. Leżały splątane, jakby zmarły obejmując się nawzajem, tworząc mandałę kości, elegancką na swoiście smutny sposób.

- Niektórzy zatwardziali konserwatyści nazywają to przyniesionymi przez powódź depozytami niezwiązanych z sobą szczątków - powiedziała Fitz.

- Co ty byś im odpowiedział? - podjudzała Eileen, zmieniając się w jego dawną nauczycielkę.

Mitch ciągle starał się nie zapominać o oddychaniu.

- Mylą się całkowicie - powiedział. - Ciała obejmują się rękoma. Nie leżą pod dziwnymi kątami, rzucone na siebie. Nie ma mowy o złożeniu ich tutaj przez powódź.

Mitcha zdumiał widok Fitz i Eileen wpadających sobie w objęcia.

- Te kobiety się znały - zgodziła się z nim Eileen; po jej policzkach spływały łzy ulgi. - Pracowały razem, podróżowały razem. Grupa koczowników, zaskoczona w obozie przez beknięcie góry Hood. Czuję to.

- Jest pan z nami? - zapytała Fitz. Jej oczy błyszczały podejrzliwie.

- *Homo erectus*. Ameryka Północna. Dwadzieścia tysięcy lat temu - odparł Mitch. Potem zmarszczył brwi i dodał: - Gdzie są mężczyźni?

- Do diabła z nimi - prychnęła Fitz. - Czy jest pan z nami?

- No - przytaknął Mitch, wyczuwając napięcie i niepokój Eileen wywołany jego zawahaniem. - Jestem z wami. - Objął ramiona Eileen zdrową ręką, dzieląc jej uczucia.

Oliver Merton klasnął w ręce jak chłopczyk oczekujący na Gwiazdkę.

- Uświadamiasz sobie, że może to być bomba polityczna - powiedział.

- Dla Indian? - zapytała Fitz.

- Dla nas wszystkich.

- No więc jak?

Merton rozjaśnił się jak przyjaciel.

- Dwa różne gatunki, żyjące razem. To jakby ktoś dawał nam lekcję.

**Nowy Meksyk**

Dicken pokazał swoją przepustkę przy głównej bramie Ośrodka Patogenezy. Trzej młodzi, krępi strażnicy z zawieszonymi na ramionach pistoletami maszynowymi przepuścili go machnięciem ręki. Zajechał wózkiem na parking z obsługą i przedstawił przepustkę na Samochód.

- Jadę na drinka - powiedział spoglądającej z surową miną kobiecie w średnim wieku, gdy ta sprawdzała jego zezwolenie.

- Czy o to pytam? - Obdarzyła go wyzywającym, wszystkowiedzącym uśmiechem.

- Nie - przyznał.

- Proszę nic nam nie mówić - poradziła. - Musimy raportować o każdej drobnostce.

Wódka, białe wino czy miejscowe piwo?

Dicken musiał wyglądać na wzburzonego.

- Żartuję - powiedziała. - Wrócę za kilka minut.

Przyjechała jego wypożyczonym malibu, przystosowanym dla niepełnosprawnych kierowców.

- Ładnie urządzone, wszystko jest w kierownicy - powiedziała. - Potrzebowałam chwili, aby się w tym połapać.

Wzięła formularz przepustki, sprawdziła, że jest wypełniony jak należy - poprzedniego dnia były z tym pewne kłopoty - i wsunęła go do specjalnego uchwyty w daszku czapki. Słońce spuszczało się powoli nad skaliste, szarobrazowe wzgórza za głównym zespołem budynków Ośrodka Patogenezy.

- Dzięki - powiedział Dicken.

- Proszę bardzo - odparła obsługująca parking.

Ruszył główną drogą prowadzącą od zespołu budynków, włączył się w duży w godzinie szczytu ruch drogowy i pojechał znajomą trasą do Albuquerque, a potem zatrzymał się na parkingu przed Marriottem. Świerszcze zaczynały koncert, a powietrze było znośne. Hotel wznosił się nad parkingiem jedną wyzbytą wdzięku wieżą, jasnobrazowo-białą na tle granatowego wieczornego nieba, dumnie oświetloną wielkimi reflektorami ustawionymi wokół ciemnozielonych trawników. Dicken wszedł do niskiego skrzydła z restauracją, odwiedził toaletę męską, potem skręcił w lewo, w stronę baru.

Bar właśnie zaczynał się zapęłniać. Przy kontuarze siedziało dwoje stałych gości - kobieta przed czterdziestką, wyglądająca, jakby życie i partnerzy uczynili ją twardą, i sympatyczny starszy mężczyzna z długim nosem i blisko siebie osadzonymi oczami. Doświadczona ciężko kobieta śmiała się z czegoś, co właśnie usłyszała od długonosego.

Dicken usiadł na wysokim stołku przy stoliczku z podniesionym blatem, obok sztucznej rośliny w donicy z suszonej na słońcu gliny. Kiedy kelnerka podeszła do niego, zamówił piwo Michelob, a potem przyglądał się wchodzącym i wychodzącym ludziom, popijając leniwie i czując się zupełnie nie na miejscu. Nikt nie palił, ale powietrze było chłodne i zwietrzałe, o lekkim zapaszku piwa i mocniejszych trunków.

Sięgnął ręką do kieszeni i pod stolikiem rozwinął czerwoną serwetkę. Umieścił ją na przemoczonym obrusie, również czerwonym, i zostawił tam.

O ósmej, po upływie półtorej godziny, kiedy wysączył piwo prawie do końca, a kelnerka zaczęła przyglądać mu się drapieźnie, zde gustowany odepchnął się od stolika.

Ktoś dotknął jego ramienia i Dicken podskoczył.

- Czy tak to robił James Bond? - zapytał rozbawiony facet w zielonej sportowej kurtce i beżowych spodniach. Z łysiejącą czaszką, czerwonym nosem jak u świętego Mikołaja, żółtozieloną koszulą golfową na wydatnym brzuchu, mocno zaciśniętym paskiem, aby ukryć otyłość, ten mężczyzna w średnim wieku wyglądał na podpitego turystę. Odpowiednio też pachniał.

- Co robił? - spytał Dicken.

- Robił dzieci, gdy wszyscy wiedzieli, że zaraz umrą. - Łysiejący mężczyzna przyglądał się Dickenowi poźółkłym, wodnistym okiem. - Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Czy znam pana? - zapytał surowo Dicken.

- Mam przyjaciół śledzących wszystkie dziury. Znamy miejscowych szpiegów, a to miejsce jest mniej prześladowane od innych.

Dicken odstawił piwo.

- Nie wiem, o czym pan mówi - powiedział.

- Czy doktor Jurie jest pańskim kolegą? - zapytał nieznajomy łagodnie, przysuwając inny stółek.

Dicken wstał tak szybko, że przewrócił swój. Pośpiesznie opuścił bar, rozglądając się za wszystkimi zbyt krótko ostrzyżonymi, zbyt czujnymi ludźmi.

Łysiejący wrzucił ramionami, sięgnął przez stolik po torebkę orzeszków, potem zmiął czerwoną serwetkę Dickena i wsunął ją do kieszeni.

Dicken odjechał spod hotelu i stanął na chwilę w bocznej uliczce przy parkingu z

używanych samochodami. Ciężko oddychał.

- Chryste, Chryste, Chryyy-ste - powiedział cicho w oczekiwaniu, aż szybko bijące serce się uspokoi.

Zadzwoiła jego komórka. Podskoczył, potem odebrał połączenie.

- Pan doktor Dicken?

- Tak. - Starał się brzmieć zimno i profesjonalnie.

- Mówi Laura Bloch. Chyba jesteśmy umówieni.

Dicken zajechał w ślad za niebieskim chevroletem, wyłączył silnik i światła. Pustynia otaczająca Tramway Road była cicha, a powietrze nad nią ciepłe i spokojne; światła miejskie ujawniały na południu niskie, poplamione cumulusy. Otworzyły się drzwiczki chevroleta i wysiadł z niego mężczyzna w ciemnym garniturze, który podszedł i zajrzał przez otwarte okienko samochodu Christophera.

- Pan doktor Dicken?

Dicken przytaknął.

- Jestem tajny agent Bracken, Secret Service. Dokumenty, jeśli można prosić?

Dicken pokazał prawo jazdy wydane w stanie Georgia.

- Dokument federalny?

Dicken wyciągnął rękę, a agent przesunął szybko skanerem po wierzchu dłoni. Przed sześciu laty wszczepiono mu czip. Bracken zerknął na ekranik skanera i kiwnął głową.

- W porządku - powiedział. - Laura Bloch jest w samochodzie. Proszę podejść i zająć miejsce na tylnym siedzeniu.

- Kim był facet w barze? - zapytał Dicken.

Tajny agent Bracken pokręcił głową.

- Jestem pewny, że nie mam zielonego pojęcia, sir.

- Żart? - spytał Dicken.

Bracken się uśmiechnął.

- Był najlepszym, którego mogliśmy użyć w tak krótkim czasie. Brakuje teraz dobrych ludzi z doświadczeniem, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Zbyt słabe zyski dla uczciwych.

- No - potwierdził Dicken. Tajny agent Bracken otworzył drzwiczki i Dicken przeszedł do chevroleta.

Wygląd Bloch mocno go zaskoczył. Nigdy nie widział jej zdjęć i w pierwszej chwili nie odniósł dobrego wrażenia. Z wielkimi oczami i zastygłym wyrazem twarzy przypominała

sprytnego, małego mopsa. Wyciągnęła rękę i przywitani się, zanim Dicken wślizgnął się za nią na tylne siedzenie, podnosząc nogę, aby się zmieścić w ramie drzwiczek.

- Dziękuję, że zechciał pan spotkać się ze mną - powiedziała.

- To część zadania, jak sądzę.

- Ciekawe, dlaczego Jurie prosił o pana - powiedziała Bloch. - jakieś domysły?

- Bo jestem najlepszy - odparł Dicken.

- Oczywiście.

- I chce mieć mnie na oku.

- Czy wie?

- Że NIH przygląda mu się bacznie? Niewątpliwie. O tym, że rozmawiam z panią, teraz, mam oczywiście nadzieję, że nie.

Bloch wzruszyła ramionami.

- Na dłuższą metę to bez większego znaczenia.

- Powinienem wkrótce wrócić. Zapewne za długo już mnie nie ma jak na chwilę odprężenia.

- Zajmie to nam tylko kilka minut. Powiedziano mi, że mam pana poinstruować.

- Kto powiedział?

- Mark Augustine uznał, że powinien pan być przygotowany, zanim sprawy się zaczną.

- Proszę pozdrowić Marka - poprosił Dicken.

- Nasz człowiek w Damaszku - powiedziała Bloch.

- Przepraszam? Nie chwyciłem aluzji.

- Ujrzał światło na drodze do Damaszku. - Popatrzyła na Dickena z przymrużonym jednym okiem. - jest bardzo pomocny. Powiedział nam, że Urząd Stanu Wyjątkowego wkrótce będzie zmuszony do robienia pewnych budzących wątpliwości rzeczy. Ich fundamenty naukowe są bardzo skrupulatnie sprawdzane.

Zarobili niezłe kokosy, wykorzystując otwarte okno powszechnego lęku, a to okno może się zamknąć. Opinia publiczna ma dość stania na czubkach palców dla takich ludzi jak Rachel Browning. Browning wszystkie swoje nadzieje opiera na Ośrodku Patogenezy Sandia. Jak dotąd trzymała Kapitol z dala od siebie, odwołując się do strachu, bezpieczeństwa narodowego i obronności państwa. Wszystko było trzymane w ścisłej tajemnicy. Mark jest jednak przekonany, że Ośrodek Patogenezy będzie musiał złamać pewne dość ważne przepisy prawa, aby dostać, co chce, a nawet, żeby dalej istnieć.

- Jakie przepisy?

- Zostawmy to na razie. Mam panu powiedzieć, że wiatry polityczne zmieniają



kierunek. Biały Dom bada grunt w Kongresie, sondując go przed odebraniem Urzędowi Stanu Wyjątkowego ogólnego mandatu. Sąd Najwyższy ma niedługo wydać wyroki w toczonych procesach.

- Wesprą USW. Większością sześciu z dziewięciu głosów.

- Racja - powiedziała Bloch. - Ale polegając na naszym sondażu, jesteśmy pewni, że to nie przejdzie bez echa. Jak nauka wygląda dotychczas, patrząc z perspektywy Sandii?

- Ciekawie. Nic zbyt przydatnego dla Browning, ale nie jestem wtajemniczony, co robią z wszystkimi próbkami sprowadzanymi z Arizony...

- Szkoła w Sabie Mountain - domyśliła się Bloch.

- To główne źródło.

- Przeklęty drań jest konsekwentny.

Dicken rozsiadł się, czekając, aż na twarzy Bloch przemienie mina gniewnego oburzenia, a wtedy stwierdził:

- Nie ma dowodów, że warunki społeczne albo stres powodują rekombinacje wirusowe. Nie u dzieci SHEVY.

- To dlaczego Jurie jest taki uparty?

- Głównie przez bezwładność myślenia. I strach. Prawdziwy strach. Jurie jest przekonany, że dojrzewanie płciowe spłata jakiś figiel. A także ciąża.

- Jezu. - powiedziała Bloch. - Co pan ma na myśli?

- Wątpię, aby tak było. Ale możliwość pozostaje.

- Czy podejrzewają, że pracuje pan także dla kogoś z zewnątrz? To znaczy oprócz NIH?

- Oczywiście - powiedział Dicken. - Byliby głupcami, gdyby nie podejrzewali.

- Jaki więc jest motyw Juriego - świadome dążenie do klęski?

Dicken pokręcił głową.

- Skalkulowane ryzyko. Uważa, że mogę się przydać, ale wtajemniczy mnie dopiero wówczas, gdy uzna to za konieczne, i ani sekundę wcześniej. Tymczasem zapełnia mi czas mocno pobocznymi zajęciami.

- A jak inni odbierają to, co robi Ośrodek Patogenezy?

- Są zdenerwowani.

Bloch zacisnęła zęby.

Dicken patrzył, jak pracują mięśnie jej szczęki.

- Przykro mi, że nie jestem zbyt pomocny - powiedział.

- Nigdy nie zrozumie uczonej - szepnęła.

- A ja nie rozumiem ludzi - stwierdził Dicken. - Żadnych.

- To całkiem uczciwe. W porządku - powiedziała Bloch. - Mamy jakieś półtora tygodnia. Sąd Najwyższy ma w tym terminie wydać decyzję w sprawie Remick przeciwko stanowi Ohio. Senator Gianelli chce być przygotowany, kiedy Biały Dom będzie zmuszony zwinąć interes.

Dicken skupił wzrok i podniósł rękę.

- Czy mogę coś powiedzieć?

- Oczywiście.

- Żadnych półśrodków. Załatwcie ich wszystkich za jednym zamachem. Powiedzcie grubym szychom, że Departament Zdrowia i Opieki Społecznej powinien wycofać wydane USW pełne wyłączenie ze względu na bezpieczeństwo narodowe spod mocy 45 CFR<sup>24</sup> 46, dotyczącego ochrony obywateli, oraz wyłączenie z 21 CFR części 50 i... tej znowelizowanej, 312? 321? Uchylenie konieczności uzyskania zgody podmiotu na badania ze względu na stan wirusowego zagrożenia narodu - powiedział Dicken. - Czy zamierzają to uczynić?

Bloch się uśmiechnęła, zaimponował jej.

- 21 CFR 50.24 rzeczywiście ma zastosowanie. Nie wiem. Przeciągamy na swoją stronę komisje rewizyjne niektórych instytucji, ale to powolny proces. USW nadal finansuje mnóstwo badań. Proszę nam dostarczyć tyle argumentów, ile to tylko możliwe. Nie chcę brzmieć dramatycznie, ale potrzebujemy wielkiego oburzenia, doktorze Dicken. Czegoś więcej niż tylko maleńki, żalony skandalik.

Dicken szarpał nerwowo za klamkę drzwiczek.

- Opinia publiczna balansuje tutaj na ostrzu noża. Może się przechylić w dowolną stronę. Rozumie pan? - dodała Bloch.

- Wiem, czego potrzebujecie - powiedział Dicken. - Po prostu budzi we mnie odrazę fakt, że zaszło to aż tak daleko, a ludźmi coraz trudniej wstrząsnąć.

- Nie szczycimy się żadnym wysokim poziomem moralnym, ale ani senator, ani ja nie czynimy tego dla korzyści politycznych - odparła Bloch. - Poparcie dla senatora jest cały czas niskie, wynosi trzydzieści pięć procent, dwadzieścia procent jest niezdecydowanych, a to dlatego, że nie wypowiedział się w tej sprawie. Przestaję lubić naszych wyborców, panie doktorze, Naprawdę przestaję.

Bloch podała mu swą małą, bladą dłoń. Zamilkł, spojrzął w jej stanowcze, czarne oczy, potem uściśnął rękę i wrócił do swojego samochodu.

---

<sup>24</sup> *Code of Federal Regulations* - amerykański kodeks prawny (przyp. red.).

Tajny agent Bracken zamknął za nim drzwiczki i pochylił się nad okienkiem.

- Przyjaciele z policji stanowej Nowego Meksyku mówią mi, że mieszkający w okolicy obywatele nie są zadowoleni z tego, co się dzieje w Sandii - powiedział. - Zamierzają, zarówno policja, jak i mieszkańcy, dopuścić się pewnego nieposłuszeństwa obywatelskiego, jeśli wie pan, co mam na myśli. Niewiele możemy zrobić, znamy też cholernie mało szczegółów. Możemy jedynie uprzedzać.

- Dzięki - rzucił Dicken.

Bracken poklepał dach samochodu.

- Może pan jechać, doktorze Dicken.

## 24

### Arizona

Stella obudziła się przed świtem i wpatrzyła w wyłożony tłumiącymi dźwięk płytkami sufit nad łóżkiem piętrowym. Od razu poczuła się całkowicie przytomna, świadoma otoczenia. W sypialni było cicho, ale w powietrzu unosił się jakiś śmieszny zapach: nieobecności. Potem zrozumiała, że to po prostu... brak zapachów. Ogarnęło ją dziwaczne wrażenie klaustrofobii. Przez chwilę sądziła, że nad łóżkiem dostrzega wzór ciemnych barw, tworzących okrąg. Drobne przebliski czerwieni i zieleni, niby odległe świetliste owady, rozjaśniające krąg, stały się maleńkimi obliczami. Zamrugła, a okrąg, światelka, twarze zbladły, niknąc w tkwiącej w cieniu pustce płytek sufitowych.

Stellę przeszedł dreszcz, jakby dostrzegła ducha.

Uda miała przemoczone. Sięgnęła ręką pod kołdrę i wysunęła palec, zaginając go, aby nie zabrudzić prześcieradła. Na jego czubku była plama, czarna w księżycowym blasku wpadającym przez okno. Stella cicho jęknęła, nie ze strachu - wiedziała, o co mogło chodzić, Kaye wyjaśniła jej to już przed wielu laty - lecz z głębszego uświadomienia sobie znaczenia.

Właśnie owego popołudnia dostrzegła plamki krwi na klapie sedesu w łazience. Nie jej; jakiejś innej dziewczyny. Zastanawiała się, czy ktoś się nie zranił.

Teraz wiedziała.

Z westchnieniem wytarła palec o koszulę nocną, pod spodem materiału krótkiego rękawa, potem zastanowiła się przez chwilę i przytknęła palec do czubka języka. Odczucie - smak nie był tu najważniejszym słowem - nie było do końca przyjemne. Zrobiła coś, co wydawało się łamać zasady jej ciała. Powoli jednak wracał jej zmysł węchu. Odczucie na

języku trwało, było ostre z odcieniem tajemnicy.

Nie jestem gotowa, pomyślała. A potem przypomniała sobie, co powiedziała jej Kaye: Nie uwierzysz, że jesteś gotowa. Ciało nas popycha.

Kolanami uniosła prześcieradło, a potem pozwoliła mu opaść, rozsyłając własny zapach przez małe szczeliny wokół swego brzucha. Pachniała inaczej, wcale nie nieprzyjemnie, odrobinę cierpko, jak jogurt. Bardziej podobał się jej poprzedni zapach. Rozpoznała to. Ten nowy zapach nie był mile widziany. Nie potrzebowała dalszych kłopotów.

*Nieważne. Po prostu nie jestem gotowa.*

Zadrżała niespodziewanie, jakby kiepska pętla emocji szarpnęła brutalnie całym jej ciałem, a potem poczuła nagły skurcz mięśni wokół brzucha, kaskadę nieoczekiwanej przyjemności. Czubek jej palca jakby rósł. Całe ciało się zapłonilo. Nie wiedziała, czy śni, czy zdarzyło się to naprawdę.

Odrzuciła kopnięciem kołdrę, przekręciła się na bok, wzdygnęła od lepkości, zapagnęła wstać i się oczyścić, zmyć nowy zapach. Powoli, z upływającymi minutami, odprężyła się, zamknęła oczy. *Sprawa naturalna. Nie jest tak źle. Mama mi powiedziała.*

Rozszerzyły się jej nozdrza. Powolne prądy powietrza przepływały sypialnią, napędzane przeciągami od drzwi, szparami w suficie; w nocy dziewczęta mogły się wachać i komunikować, uspokajając wzajemnie, bez wstawania z łóżek. Stella знаła całkiem dobrze wzorce krążenia powietrza w budynku o różnych godzinach i przy wietrze nadciągającym z różnych kierunków.

Wszędzie w pokoju wyczuwała zapachy innych dziewcząt leżących w łóżku i słyszała, jak poruszają się cicho w cieniach rzucanych przez kraty przez światło księżyca. Niektóre jęczały. Od czasu do czasu jakaś kasłała i wołała cicho imiona przyjaciółek.

Celia wysunęła się z dolnego łóżka i stanęła obok Stelli. Oczy miała wielkie w słabym świetle, jej twarz stanowiła ruchomą plamę błości obramowaną rozwichrzonymi, czarnymi włosami.

- Czujesz to? - wyszeptała.

- Ciii - odpowiedziała Stella.

Obok łóżka Stelli twarz Felice dołączyła do oblicza Celi.

- Chyba jest w porządku - stwierdziła Stella, prawie zbyt cicho, aby ją usłyszały.

- Dostajemy-KUK nasze pierwsze okresy - powiedziała Celia.

- Wszystkie naraz?! - zapytała drżącym głosem Felice.

Na innym łóżku któraś to usłyszała i zachichotała.

- Ciii - powtórzyła Stella, ostrzegawczo krzywiąc twarz. Usiadła i rozejrzała się po szeregu piętrowych łóżek. Niektóre młodsze - o rok lub więcej - dziewczęta nadal spały. Potem, z dreszczem przechodzącym jej po plecach, Stella spojrzała na kamery wideo zamontowane na krokwiach. Światło księżycowe, odbijające się od linoleum podłogi, lśniło w ich plastikowych oczkach.

Czworo dziewcząt opuściło swe łóżka i ruszyło powoli do łazienki na pałakowatych nogach.

Nie da się tego ukryć, pomyślała Stella. Dowiedzą się.

I będą jeszcze bardziej przestraszeni. Mogła to przewidzieć łatwo i z całkowitą pewnością. Wszystko, co odmienne, przestrasza ludzi; a to okaże się bardzo odmienne.

## 25

### Oregon

Eileen postawiła latarnię obozową na metalowym stole i przygotowała zimną kolację: prawie zamrożony bochenek białego chleba, mortadelę firmy Oscar Meyer w przysadzystym gumowatym cylindrze, amerykański ser oraz chłodną, na wpół zjedzoną puszkę mielonki. Plastikowe pudełko, pożółkłe ze starości, zawierało pocięte łydgi selera naciowego. Obok tego wszystkiego położyła dwa jabłka, trzy mandarynki i dwie puszki piwa Coors.

- Czy chcesz obejrzeć listę win? - zapytała.

- Piwo wystarczy. Śniadanie kopaczy - odpowiedział Mitch. Plastikowy dach pawilonu nad długim ramieniem wykopu w kształcie litery L stukał na wietrze ciągnącym wzdłuż starego łożyska rzeki.

Siedząca na płóciennym krześle obozowym Eileen wypuściła powietrze z westchnieniem, będącym na wpół jękiem. Oprócz nich i ciągle nieodsłoniętych kości wykop był pusty. Zbliżała się północ.

- Jestem wykończona - oznajmiła. - Nie zniosę tego dłużej. Wykopywać je, nie wykopywać, zachowywać spokój, kiedy uczeni zaczną się sprzeczać o uszkodzenia powstałe podczas wydobywania. Cała przeklęta rasa ludzka jest taka prymitywna.

Mitch otworzył z trzaskiem swoją puszkę i pociągnął długi łyk. Piwo, prawie bez smaku, ale z utrzymującymi się długo bąbelkami, ogromnie go koilo. Odstawił puszkę i wziął plasterk sera, potem przygotował się do oderwania osłonki. Odwrócił go zamasztywym gestem. Eileen patrzyła, jak unosi plasterk w górę, obraca go na trójnogu z palców, a potem,

zębami, delikatnie unosi i usuwa bibułkę oddzielającą plasterki. Spojrzał na nią zmrużonymi oczyma i uniósł jedną krzaczastą brew.

- Odsłoń je - powiedział.

- Tak sądzisz? - zapytała Eileen.

- Daruj mi te staroświeckie gadki. Wolę zobaczyć je osobiście niż się ludzi, że przyszłe pokolenia zrobią to lepiej. Ale to tylko moje zdanie. - Piwo i wyczerpanie odprężyły Mitcha i wprawiły go w filozoficzny nastrój. - Wydobądź je na światło dzienne. Niech narodzą się na nowo - powiedział. - Indianie mają rację. To święta chwila. Powinno się odprawić obrzęd. Powinniśmy przywrócić spokój ich zakłóconym duszom, a także naszym. Oliver ma rację. Są tutaj, aby nas uczyć.

Eileen prychnęła.

- Niektórzy Indianie nie lubią, gdy przeczy się ich poglądom. Wolą żyć ze swoimi bajkami.

- Indianie z Kumash udzielili nam schronienia, gdy Kaye była w ciąży. Nadal odmawiają przekazywania Urzędowi Stanu Wyjątkowego swych dzieci SHEVY. Coraz lepiej rozumiem wszystkich, których nieustannie okłamuje rząd USA. - Mitch wznosił piwo w toaście. - Za Indian.

Eileen pokręciła głową.

- Ignorancja to ignorancja. Nie możemy sobie pozwalać na kurczowe trzymanie się braków wiedzy z naszego dzieciństwa. Jesteśmy dużymi chłopcami i dziewczynkami.

Głównie dziewczynkami, pomyślał Mitch.

- Czy antropolodzy lepiej od innych widzą to, co mają przed swoimi nosami?

Eileen zacisnęła usta.

- No, nie - przyznała. - W obozie mamy już dwie osoby twierdzące, że to nie może być *homo erectus*. Nawet w czasie naszej rozmowy tworzą w laptopach wysoką, potężnie zbudowaną odmianę *homo sapiens* o grubych wałach nadoczodołowych. Cholernie dużo czasu marnujemy na przekonywanie ich, aby trzymały buzie na kłódkę. Niedouczone suki, obie. Nie mów jednak nikomu, że to powiedziałam.

- Oczywiście - zapewnił Mitch.

Eileen skończyła robienie kanapki z mielonki i amerykańskiego sera, z dwiema łydymi selera naciowego, przypominającymi stopy zwariowanej laleczki Gumby, wystającymi ze ściśniętych warstw skórki chleba. Odgryzła narożnik kromki i przeżuwała go starannie.

Mitch nie czuł zbyt głodu, nie miał też głowy do jedzenia. Na poprzednich

stanowiskach jadał znacznie gorzej - łącznie z posiłkami polegającymi na grzankach ze smażonymi pędrakami.

- Czy to kolejne wystąpienie SHEVY? - zastanawiała się Eileen. - Wielki przeskok z *Homo erectus* do *Homo sapiens*?

- Nie sądzę - odparł Mitch. - Trochę zbyt radykalny nawet jak na SHEVE.

Pograżona w myślach Eileen wzniosła wzrok poza grzechoczący dach z tworzywa sztucznego.

- Mężczyźni - powiedziała. - Paskudnie postępujący mężczyźni.

- Oho - rzucił Mitch. - Już się zaczyna.

- Mężczyźni napadający na inne grupy, biorący branki. Niezbyt wybredni. Zagarniający wszystkie samice z dostatecznie zadowolającymi ich dziurkami. Tylko samice, kimkolwiek i czymkolwiek by były.

- Uważasz, że nasi brakujący mężczyźni byli napastnikami i gwałcicielami? - zapytał Mitch.

- Czy umówiłbyś się na randkę z *Homo erectus*? W sytuacji, gdybyś nie tkwił na samym dnie wszelkiej hierarchii społecznej?

Mitch pomyślał o matce w jaskini w Alpach, odnalezionej całe wieki temu, i jej wiernym mężu.

- Może byli łagodniejsi.

- Psychiczne dzieci kwiaty, Mitchu? - zapytała Eileen. - Moim zdaniem wszystkie te dziewczuszki to branki, porzucone po wybuchu wulkanu. Wszystko inne to czyste wymysły w stylu Williama Goldinga. - Eileen rozmyślnie rozważała wszystko całościowo, odgrywając jednocześnie rolę obrońcy i adwokata diabła, starając się oczyścić swój, a może i jego umysł.

- Przypuszczam, że *Homo erectus* należący do grupy mogli być niewolnikami lub sługami jeńcami - powiedział Mitch. - Nie jestem jednak przekonany, że życie społeczne było wtedy dość rozbudowane ani że istniały wyraźne różnice w statusie. Moim zdaniem wędrowali razem. Może dla bezpieczeństwa, jak różne gatunki zwierząt stadnych na sawannach. Jako równi sobie. Najwyraźniej na tyle się lubili, aby umierać w swoich ramionach.

- Horda z mieszanych gatunków? Czy odpowiada to czemukolwiek znanemu nam z życia małp człekokształtnych?

Mitch musiał przyznać, że nie. Pawiany i szympansy bawią się razem, gdy są młode, ale dorosłe szympansy zjadają małe pawiany i inne małpy, kiedy tylko zdołają je znaleźć.

- Kultura znaczy więcej niż kolor skóry - powiedział.

- Ale ta luka... Nie mogę sobie wyobrazić, że była możliwa do przekroczenia. Jest zbyt szeroka.

- Może jesteśmy skażeni najnowszą historią. Gdzie się urodziłaś, Eileen?

- W Savannah w Georgii. Wiesz o tym.

- Mieszkaliśmy z Kaye w Wirginii. - Mitch przez chwilę się zastanawiał, poszukując delikatnego sposobu wyrażenia swej myśli.

- Propaganda plantacyjna moich trzymających niewolników przodków, moich praprapradziadków, skaziła całe ostatnie trzy stulecia. To chciałeś powiedzieć? - zapytała Eileen, wykrzywiając usta w uśmiechu uczestnika pojedynku, rozkoszując się szybką i dotkliwą ripostą. - Co za paskudnie jankeska gadka.

- Tak niewiele wiemy o tym, do czego jesteśmy zdolni - ciągnął Mitch. - Stworzyła nas kultura. O tym zgromadzeniu kości można myśleć jeszcze inaczej. Choć nie byli sobie równi, to przynajmniej pracowali razem, szanowali się nawzajem. Może dobrze dla siebie pachnieli.

- Rozumowanie staje się osobiste, nie sądzisz, Mitchu? Szukasz sposobu na przekształcenie tego w prawdziwy przykład. Polityczną bombę Mertona.

Mitch przyznał istnienie tej możliwości ukradkowym mrugnięciem oka i kiwnięciem głową. Eileen pokręciła swoją.

- Kobiety zawsze trzymały się razem - powiedziała. - Mężczyźni zawsze byli inni.

- Zaczekaj, aż odnajdziemy mężczyzn. - Mitch zaczynał przechodzić na pozycje obronne.

- Dlaczego sądzisz, że gdzieś tu tkwią?

Mitch spojrzał ponuro na plastikowy dach.

- Choćby nawet w pobliżu byli mężczyźni - powiedziała - na jakiej podstawie sądzisz, że będziemy mieli dość szczęścia, aby ich znaleźć?

- Na żadnej - odrzekł i poczuł niewyraźnie, że było to kłamstwo.

Eileen dokończyła zjedanie kanapki i popiła ją połową puszki coors. Nigdy nie jadła wiele, tylko dla zachowania razem duszy i ciała. W łóżku za to była wygłodniała i nieśpieszna. Kiedyś wyznała, że orgazmy pozwalają jej myśleć jaśniej. Mitch całkiem dobrze pamiętał tamte czasy, choć ostatnio spali z sobą, kiedy miał dwadzieścia trzy lata.

Eileen uwiedzenie młodego absolwenta antropologii nazywała swą największą pomyłką życiową. Pozostali jednak na długie lata przyjaciółmi, zdolnymi do luźnych i uczciwych powiązań koleżeńskich bez najmniejszych oczekiwań seksualnych czy rozczarowań. Zdumiewająca przyjaźń.

Wiatr ponownie zagrzecotał dachem. Mitch wsłuchiwał się w syczenie latarni



obozowej.

- Co zdarzyło się między tobą i Kaye, kiedy wyszedłeś z więzienia? - spytała Eileen.

- Nie wiem - odrzekł Mitch, zacisnąwszy szczęki. Jej pytanie było dziwnym rodzajem zdrady i wyczuła jego nagle poczucie urazy.

- Przepraszam - powiedziała.

- Jestem przewrażliwiony na ten temat - przyznał. Poczł podmuch powietrza, zanim ujrzał cień kobiety. Connie Fitz podeszła cicho po udeptanej ziemi i stanąwszy obok Eileen, położyła rękę na jej ramieniu.

- Nasz mały garnek mleka wkrótce wykipi - powiedziała Fitz. - Oceniam, że zdołamy przytrzymać pokrywkę na miejscu dwa lub trzy dni, nie dłużej. Zapaleńcy chcą zwrócić się do prasy. Twardogłowi wolą wszystko zachowywać w ukryciu.

Eileen popatrzyła na Mitcha, marszcząc dolną wargę. Jej mina mówiła, że przestaje już nad tym panować.

- Wzięte do niewoli kobiety porzucone w obozie przez tchórzliwych samców - powiedziała, wracając do głównego tematu rozmowy, jej oczy błyszczały w perłowym świetle latarni obozowej.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał Mitch.

- Och, przestań, Mitch. Sama nie wiem, w co mam wierzyć. Żołądek Mitcha przetrawiał to danie bez większego przekonania.

- Powinnaś przynajmniej powiedzieć studentom, że należałoby zwiększyć zasięg poszukiwań - rzekł. - Całkiem możliwe, że w okolicy są inne ciała, może jedynie kilkaset jardów dalej.

Fitz zrobiła minkę zawodowego zainteresowania.

- Rozmawialiśmy o tym. Wszyscy chcą jednak brać udział w głównych wykopaliskach, nikt więc nie wykazuje zapału do przetrząsania okolicy.

- Czy masz jakieś przeczucie? - zapytała Mitcha Eileen. Pochyliła się naprzód; jej głos nabrał udawanych grobowych tonów. - Czy jesteś w stanie odczytywać te kości?

Fitz się roześmiała.

- Tylko troszeczkę - skrzywił się Mitch. Potem, spokojniej, dodał: - Przypuszczalnie nie najlepiej.

- Czy Will Daney będzie nadal płacił, jeśli jeszcze kilka dni potrwa całe to guzdranie się i branie za kudły? - zapytała Fitz.

- Merton uważa, że Daney jest cierpliwy i będzie szczerze płacił - odparła Eileen. - Zna go lepiej niż ktokolwiek z nas.

- Pod każdym względem staje się to równie trudne jak archeologia w Izraelu - powiedziała Fitz, urodzona pesymistka. - Każde stanowisko jest tam obciążone sprawami politycznymi. Czy sądzisz, że Urząd Stanu Wyjątkowego przybędzie i nas zamknie, używając NAGPRY jako wymówki?

Mitch się zastanawiał; powolne rozważania były wszystkim, na co mógł się zdobyć tak późno, po tak wyczerpującym dniu.

- Nie sądzę, aby byli tacy szaleni - stwierdził. - Cały świat jest jednak beczką prochu.
- Może powinniśmy podłożyć pod nią ogień - powiedziała Eileen.

## 26

### Baltimore

Kaye obudziło świergotanie telefonu przy łóżku. Usiadła prosto w pościeli, odgarnęła włosy z twarzy i zaspanymi oczami popatrzyła na blask dnia przesączający się przez zasłony. Zegar pokazywał 5:07 rano. Nie miała pojęcia, kto mógłby do niej dzwonić o tak wczesnej porze.

Dzień nie zapowiadał się na dobry, już to wiedziała, ale mimo to wzięła telefon i położyła za sobą poduszkę, aby się o nią oprzeć.

- Halo.
- Muszę rozmawiać z panią Kaye Lang.
- To ja - powiedziała zaspana.
- Kaye, tu Luella Hamilton. Jakiś czas temu spotykałaś się z nami.

Kaye poczuła napływającą adrenalinę. Spotkała Luellę Hamilton przed piętnastu laty, kiedy była ona ochotniczką uczestniczącą w badaniach nad SHEVĄ prowadzonych w Bethesda przez National Institutes of Health. Kaye polubiła tę kobietę, ale nie słyszała o niej, odkąd wyjechała z Mitchem na zachód, do stanu Waszyngton.

- Luella? Nie pamiętam...
- No, pamiętasz.

Niespodziewanie Kaye przycisnęła mocniej telefon. Doszły ją słuchy o powiązaniach Hamiltonów z Up River. Organizacja ta uchodziła za bardzo zamkniętą. Zdaniem niektórych prowadziła działalność wywrotową. Kaye zapomniała zupełnie o swoim liście; tamten czas był dla niej najgorszy, zwracała się do wszystkich, nawet do ekstremistów twierdzących, że potrafią wysledzić i uratować dzieci.

- Luella? Ja nie...

- Powiedzieli, że skoro cię znam, to może lepiej będzie, jeśli to ja zadzwonię. Może tak być?

Próbowała wyklarować swoje myśli.

- Miło jest usłyszeć twój głos. Co u ciebie?

- Jestem przy nadziei, Kaye. A ty?

- Nie - odparła Kaye. Luella musiała mieć pięćdziesiąt kilka lat. Było to jak rzucanie kością.

- To znowu SHEVA, Kaye - powiedziała Luella. - Nie mam jednak czasu na pogaduszki. Słuchaj więc uważnie. Jesteś tam, Kaye?

- Zamieniam się w słuch.

- Chcę, abyś przeszła na szyfrowane połączenie i zadzwoniła do nas. Dobre szyfrowane połączenie. Masz jeszcze numer?

- Tak - potwierdziła Kaye, zastanawiając się, czy ma go w portmonetce.

- Usłyszysz milutki mechaniczny głos. Naszego robocika. Zostaw swój numer i będziemy mogli oddzwonić. Potem odjedziemy stąd. Może tak być, kochana?

Kaye uśmiechnęła się pomimo napięcia.

- Tak, Luello. Dziękuję ci.

- Przepraszam, że zadzwoniłam tak wcześnie. Do widzenia, moja droga.

Telefon zamilkł. Kaye natychmiast wysunęła nogi z łóżka i poszła do kuchni zaparzyć kawę. Myślała o próbie połączenia się z Mitchem i powiadomienia go. Było jednak jeszcze za wcześnie, a ponadto rozpowszechnianie takich wieści poprzez niepewną rozmowę telefoniczną nie wydawało się najlepszym pomysłem.

Stanąła przy oknie, wyglądając na Baltimore i rozmyślając o Stelli w Arizonie, zastanawiając się, co tam robi, ile jeszcze czasu minie, zanim znowu ją zobaczy.

Coś ją zaskoczyło i usłyszała, jak cicho powarkuje, zupełnie jak lis. Przez chwilę, zaciskając w drżącej dłoni kubek z kawą, Kaye czuła ślepą, bezradną wściekłość. - Zwróćcie mi córkę, SKURWIELE - wychrypiąła. Potem opadła na najbliższe krzesło, dygocząc tak mocno, że rozlewała kawę. Odstawiła kubek na stolik pod ścianą i objęła się ramionami. Rękawem grubego szlafroka frotte otarła z oczu łzy bezradności. - Uspokój się, moja droga - powiedziała, próbując naśladować silny kontralt pani Hamilton.

Dzień nie zapowiadał się na łatwy. Kaye mocno podejrzewała, że będzie odtąd wolna. Zostanie zwolniona. Na zawsze skończy się jako naukowiec, ale za to zdobędzie swobodę, aby móc odzyskać córkę i scalić ponownie rodzinę.

- Marzycielka - powiedziała bez śladu pewności siebie Luelli Hamilton.

**Arizona**

O ósmej rano rozpylili w internacie mocny zapach truskawki. Stella otworzyła oczy i zmarszczyła nos, jęcząc.

- Co znowu? - zapytała Celia na łóżku pod nią.

Ludzie czynili tak, kiedy tylko chcieli zrobić coś, czemu dzieci mogłyby się sprzeciwić. Zastrzyki, masowe pobieranie krwi, badania lekarskie, poszukiwanie w sypialniach rzeczy niedozwolonych.

Następnie napłynęła fala Pine-Solu, wstrzykiwanego przewodami wentylacyjnymi wiszącymi pod więźbą dachową. Zapach wnikał ustami Stelli, gdy oddychała, aż się od niego krztusiła.

Usiadła na skraju łóżka w koszuli nocnej, żołądek się jej skręcał, a na piersiach czuła ucisk. Korytarzem między łózkami piętrowymi szli trzej mężczyźni w strojach izolacyjnych. Stella zobaczyła, że jeden z nich nie jest mężczyzną: była to Joanie, niższa i grubsza od pozostałych, jej twarz bez wyrazu widniała przez plastikowy wizjer przysadzistego hełmu.

Joanie przypominała Stelli matkę Freda Trinketa; wszystko i nic przyjmowała z takim samym spokojem i fatalizmem, bez żadnego obciążenia emocjonalnego.

Trójka w skafandrach zatrzymała się cztery łóżka od Stelli. Dziewczyna śpiąca na samej górze, Julianne Nicorelli, nienależąca do demu Stelli, zeszła po kilku łagodnych słowach Joanie. Była przelęknięta, ale nie przerażona, jeszcze nie. Wychowawcy i nauczyciele czasami zarządzali w obozie alarmy próbne, dziwne alarmy, a dzieciakom nigdy nie mówiono, o co w nich chodziło.

Joanie odwróciła się i ruszyła prosto w stronę łóżka Stelli, która szybko zsunęła się na podłogę, nie korzystając z drabinki, i wygładziła koszulę nocną wybrzuszącą się nad kolanami. Rękoma zasłoniła piersi; tkanina była trochę przezroczysta i Stella nie chciała, aby mężczyźni patrzyli na nią.

- Ty też, Stello - powiedziała Joanie głosem głuchym i syczącym w hełmie. - Jedziemy na wycieczkę.

- Ile jedzie? - zapytała Celia.

Joanie uśmiechnęła się bez wesołości.

- Specjalną wycieczkę. Nagroda za dobre stopnie i dobre zachowanie. Reszta pójdzie na wczesne śniadanie.

Było to kłamstwo. Julianne Nicorelli miała paskudne stopnie, czym nikt się nie przejmował.

**28**

## **Baltimore**

- Głowy do góry. Marge zjawi się za dwadzieścia minut - powiedziała Liz Cantrera. - Gotowi?

- Bardziej gotowa nie będę - odparła Kaye i zaczerpnęła głęboko powietrza. Rozejrzała się po laboratorium, sprawdzając, czy należy coś uporządkować albo wyczyścić. Choć nie miało to znaczenia. Był to ostatni dzień jej pracy.

- Wyglądasz doskonale - powiedziała ponuro Liz, obciągając kłapy zakietu Kaye.

Marge Cross rozumiała zabałaganione sypialnie nauki. Poza tym Kaye wątpiła, czy jej wizyta ma na celu sprawdzanie porządku.

W stosunku do Kaye Cross była prawie zawsze miła. Wydawała się ją lubić i cenić w tym samym stopniu co innych. Dziś jednak Cross niewiele mówiła, klepiąc palcem w usta i kiwając głową. Uniosła głowę, aby spojrzeć na rury zwisające z sufitu. Wyglądała, jakby wczytywała się w czerwone etykiety oznaczające różne przewody pod ciśnieniem.

Towarzyszyły jej tylko trzy osoby. Dwaj przystojni mężczyźni w ciemnografitowych garniturach sporządzali notatki na elektronicznych tabliczkach. Szczupła młoda kobieta o długich, cienkich jasnych włosach i krótkim, zadartym nosku robiła zdjęcia aparatem wielkości pióra.

Liz trzymała się w tyle, wyraźnie pozwalając Kaye zajmować pierwsze miejsce. Oprowadziła wszystkich pospiesznie, w pełni świadoma, że robią spis inwentarza z myślą o przeniesieniu lub zamknięciu laboratorium.

- Jesteśmy zagubieni - powiedziała Cross. - Wszystko, co firmie zlecił rząd i ludzie, dało w efekcie puszkę Pandory - dodała cicho, przygryzając górną wargę. - Słyszałam, że w zeszłym tygodniu dobrze sobie poradziłaś na Kapitolu. - Obdarzyła Kaye niewyraźnym uśmiechem.

- Poszło nieźle. - Kaye umknęła wzrokiem w bok i wzruszyła ramionami. - Rachel Browning próbowała zjeść mnie żywcem.

- Udało jej się? - spytała Cross.

- Mam za szeroki tyłek, aby przejść jej przez gardło.

Młodzi mężczyźni wyglądali na gotowych do okazania oburzenia, gdyby Cross to uczyniła, ale ta się roześmiała.

- Jezu, Kaye. Nigdy nie wiem, co od ciebie usłyszę. Moi kadrowcy przez ciebie rwą sobie włosy z głowy.

- To dlatego staram się swoją trzymać nisko i się nie odzywać.

- Nie dowiadujemy się, jak powstrzymać SHEVEĘ - powiedziała z namysłem Cross, nadal przyglądając się przewodom pod sufitem.

- To prawda - przyznała Kaye.

- Jesteś zadowolona.

Raz jeszcze Kaye poczuła, że nie powinna się odzywać, że jest odpowiedzialna nie tylko za siebie.

- La Robert także zawodzi, ale się do tego nie przyzna - powiedziała Cross. Machnęła ręką na innych w laboratorium. - Idźcie sobie stąd, dzieci. Święte potwory chcą na chwilę zostać same.

Młodzi mężczyźni ruszyli do drzwi. Smukła blondynka próbowała przypomnieć Cross o innych jej spotkaniach wyznaczonych na ten poranek.

- Odwołaj je - poleciła Cross.

Liz została z boku, zatroskana o Kaye. Z jej miny Kaye wywnioskowała, że asystentka gotowa jest wystąpić fizycznie, aby tylko jej bronić.

Cross uśmiechnęła się serdecznie do Liz.

- Kochanie, czy potrafisz coś dodać do naszego duetu?

- Ani odrobiny - przyznała Liz. - Mam odejść? - zapytała Kaye.

Ta kiwnęła głową.

Liz zabrała płaszcz i torebkę, po czym w ślad za blondynką ruszyła ku drzwiom.

- Pojedźmy windą ekspresową na najwyższe piętro - zaproponowała łagodnie Cross i objęła ręką ramiona Kaye. - Minęło o wiele za dużo czasu, odkąd razem łamałyśmy nad czymś głowę. Chcę, żebyś opowiedziała mi o tym, co według siebie odkryłaś podczas radiologii.

Sala konferencyjna Americolu na dwudziestym piętrze była wielka i ekstrawagancka, z długim stołem wyciętym z jednego pnia dębu, wykonanymi ręcznie krzesłami w stylu

Williama Morrisa, które wydawały się wisieć w powietrzu na cieniutkich nóżkach, i ścianach obwieszonych dziełami sztuki ilustracyjnej z początku dwudziestego wieku.

Cross wydała polecenia sali i dwie ściany zwinęły się, odsłaniając tablice elektroniczne. Odcinki stołu podniosły się niby ołowiane żołnierzyki: okazały się cienkimi monitorami osobistymi.

- Gdybym miała zaczynać od początku - powiedziała Cross - zmieniałabym to w salę przedszkola. Krzeselka i wagoniki z kartonikami mleka. Tak właśnie mała jest nasza wiedza. Ale... czepiamy się naszej urody i bogactwa. Lubimy czuć, że mamy władzę i że będzie tak zawsze.

Kaye słuchała uważnie, ale nie odpowiadała.

Cross wcisnęła kolejny guzik i na tablicach wyświetliły się długie pasma nabazgranych notatek. Kaye domyśliła się, że są to zapisane wyniki kilku późnowieczornych i wczesnorannych szybkich narad, z Cross tkwiącą samotnie na wysokościach, dzierżącą przypominającą pióro pałeczkę, poruszającą się po tablicach jak królowa czarodziejka umieszczająca zaklęcia na ścianach swego zamku.

Bardzo niewiele z tych bazgrołów Kaye potrafiła odszyfrować. Ręczne pismo Cross służyło z nieczytelności.

- Nikt tego nie widuje - szepnęła Cross. - Trudno je odczytać, co? - zapytała Kaye. - Kiedyś miałam doskonały charakter pisma. - Pokazała swe spuchnięte knykcie.

Kaye zastanawiała się, do czego w ten sposób zmierza Cross. Czy był to jakiś pokrętny sposób obejścia się z nią na koniec łaskawie, z serdecznym uściśnięciem ręki?

- Tajemnica życia - powiedziała Cross - kryje się w zrozumieniu, jak rozmawiają z sobą maleństwa. Zgadza się?

- Tak - potwierdziła Kaye.

- I utrzymujesz, od samego początku SHEVY, że wirusy są częścią arsenału środków komunikacji, z którego korzystają rozmawiające z sobą komórki i ciała.

- To dlatego sprowadziłaś mnie do Americolu.

Cross skwitowała to lekkim grymasem i uniesieniem ramion.

- Dlatego uczyniłaś z siebie laboratorium, aby dowieść swego i urodzić dziecko SHEVY. Odważne i bardziej niż trochę głupie.

Kaye zacisnęła szczękę.

Cross wiedziała, że dźgnęła w odsłonięty nerw.

- Sądzę, że klika Jacksona trafiła w sedno w jednej sprawie. Doświadczenia życiowe skłaniają cię do przekonania, że SHEVA jest dobroczynnym, naturalnym zjawiskiem, przed

którym powinniśmy ustąpić i je uznać. Nie walczyć z nim. Jest większe od nas wszystkich.

- Jestem dumna z córki - stwierdziła niezgrabnie Kaye.

- Nie wątpię. Wysłuchaj mnie. Dokądś z tym zmierzam, ale jeszcze nie wiem dokąd. - Cross chodziła wzdłuż tablic z założonymi rękoma, stukając jednym łokciem w pilota. - Firmy są moimi dziećmi. To banał, ale prawdziwy, Kaye. Jestem tak głupia i waleczna jak wy. Przekształcałam swoje firmy w eksperyment dotyczący polityki i dziejów ludzkości. Jesteśmy bardzo do siebie podobne, z tym wyjątkiem, że ja nie miałam sposobności - ani, mówiąc szczerze, ochoty - do włączenia w ten eksperyment swego ciała. Teraz obie stoimy przed groźbą utraty tego, co kochamy najmocniej.

Cross odwróciła się i naciśnięciem guzika oczyściła zupełnie tablice. Skrzywiła twarz w grymasie.

- Wszystko to szajs. Ta sala jest stratą pieniędzy. Nie można się oprzeć wrażeniu, że ktokolwiek zbudował to wszystko, wiedział, co czyni, znał wszystkie odpowiedzi. To architektoniczne kłamstwo. Nie znoszę tej sali. Wszystko, co właśnie wymazałam, to brednie. Udajmy się gdzieś indziej. - Wyraźnie było widać, że jest zła.

Kaye przezornie splótła ręce. Nie miała jeszcze zielonego pojęcia, co się stanie.

- No dobrze - powiedziała. - Dokąd?

- Żadne limuzyny. Na parę godzin zapomnijmy o luksusach. Cofnijmy się do krzesłek, ciasteczek i kartoników mleka. - Cross uśmiechnęła się przebiegle, odsłaniając mocne, równe, lecz pokryte plamkami zęby. - Wynośmy się z tego budynku.

Szare, przebijające się przez mżawkę światło powitało je, gdy szklanymi drzwiami wyszły na ulicę. Cross zatrzymała taksówkę.

- Różowieją ci policzki - powiedziała do Kaye, gdy zajęły tylną kanapę taksówki. - Jakby chciały coś oznajmić.

- Ciągłe tak się dzieje - przyznała trochę zażenowana Kaye.

Cross podała kierowcy adres, który Kaye nic nie mówił. Siwowłosy taksówkarz, Sikh w białym turbanie, obejrzał się przez ramię.

- Musi pani zapłacić kartą z góry - powiedział.

Cross sięgnęła do torebki zawieszanej na pasie.

- Ja stawiam - oznajmiła Kaye i wręczyła kierowcy swoją kartę kredytową. Taksówka ruszyła, przeciskając się w gęstym ruchu.

- Jak to jest, gdy ma się takie policzki, czy są jak szyldy? - zapytała Cross.



- Było rewelacyjnie - odparła Kaye. - Kiedy moja córka była młodsza, migałyśmy sobie policzkami. Miałam wrażenie, że uczę ją mówić. Brakowało mi tego, gdy policzki zbladły.

Cross przyglądała się jej bardzo uważnie, potem chwilę odczekała i powiedziała:

- O tym, że nie mogę mieć dzieci, dowiedziałam się w wieku dwudziestu pięciu lat. Choroba zapalna miednicy. Byłam wielką, niezgrabną dziewczuchą i bardzo rzadko umawiałam się na randki. Musiałam trzymać się kurczowo facetów, gdy tylko na jakiegoś trafiłam, a jeden z nich... No tak. Żadnych szans na dziecko, a ja zdecydowałam, że nie będę próbowała usuwać skutków okaleczenia, gdyż nigdy nie spotkam mężczyzny, któremu zaufałam na tyle, aby został ojcem mojego dziecka. Dość wcześnie się wzbogaciłam i faceci, których pociągałam, byli jedynie miłymi zabawkami, potrzebnymi mi, skorymi do zabawy, ale niezbyt godnymi zaufania.

- Przykro mi - rzuciła Kaye.

- Sublimacja jest duszą dokonań - stwierdziła Cross. - Nie mogę powiedzieć, że rozumiem, co znaczy być rodzicem. Mogę to porównać jedynie z tym, co czuję dla moich firm, a zapewne podobieństwo nie jest zbyt wielkie.

- Zapewne.

Cross cmoknęła.

- Nie chodzi mi tutaj o finansowanie, wylanie ciebie czy cokolwiek równie prostego. Obie jesteśmy odkrywczyniami, Kaye. Już tylko z tego powodu powinnyśmy być otwarte i szczerze.

Kaye wyjrzała przez okienko taksówki i rozbawiona pokręciła głową.

- Tak się nie da, Marge. Nadal jesteś bogata i wiele możesz. Nadal jesteś moją szefową.

- No tak, psiakrew - przyznała Cross z udawanym rozczarowaniem i pstryknęła palcami.

- Być może jednak nie ma to znaczenia - powiedziała Kaye.

- Nigdy nie byłam zbyt dobra w ukrywaniu moich prawdziwych uczuć. Może zauważyłaś.

Cross wydała dźwięk zbyt piskliwy jak na śmiech, ale zachowujący pewną dziwną godność, zapewne niebędący także chichotem.

- Cały czas pogrywałaś sobie ze mną.

- Poznałabyś, gdybym tak robiła - powiedziała Kaye.

Cross poklepała ją po policzku.

- Miganie policzkami.

Kaye wyglądała na zdumioną.

- Jak coś tak wspaniałego może być czymś nienormalnym, chorobą? Gdybym potrafiła woneć gorączką, już stałabym na czele każdej firmy w tym kraju.

- Nie chciałybyś - powiedziała Kaye. - Gdybyś była jednym z tych dzieci.

- A teraz kto jest naiwny? - zapytała Cross. - Czyżbyś sądziła, że pozostawiły za sobą naszą małpią naturę?

- Nie. Czy wiesz, czym jest dem? - odpowiedziała pytaniem Kaye.

- To grupa społeczna niektórych dzieciaków SHEVY.

- Chciałam powiedzieć, że zachłanne mogą być demy, a nie osoby. A kiedy dem zacznie woneć gorączką, my, pomniejsze małpy, nie będziemy miały żadnych szans.

Cross odchyliła głowę do tyłu i zastanowiła się nad jej słowami.

- Słyszałam o tym - przyznała.

- Znają panie jakieś dziecko SHEVY? - zapytał taksówkarz, patrząc na nie w lusterku wstecznym. Nie czekał na odpowiedź.

- Moja wnuczka, dziewczynka SHEVY, mieszka w Peszawarze, jest cudowna. Naprawdę cudowna. To przerażające - dodał radośnie, dumnie, z szerokim uśmiechem. - Naprawdę przerażające.

## 29

### Arizona

Stella siedziała z Julianne Nicorelli w beżowym pokoiku szpitala. Joanie odseparowała je od innych dziewcząt. Czekwały już dwie godziny. Wokół panował spokój. Siedziały na swoich krzesłach zeszytywniałe niby zamrożone masło, patrząc na muchę łążącą po oknie.

Pokój wypełniał nadal gęsty zapach truskawkowy, który Stella kiedyś uwielbiała.

- Czuję się okropnie - powiedziała Julianne.

- Ja też.

- Na co czekają?

- Coś się poplątało/Nastąpił błąd - odpowiedziała Stella.

Julianne poszurała butami po podłodze.

- Przepraszam, że nie jesteś z mojego demu.

- Wszystko w porządku.

- Utwórzmy własny, tutaj. Połączymy się/Zamknijemy/z kimś innym/jak my/kto przyjdzie.

- No dobrze - powiedziała Stella.

Julianne zmarszczyła nos.

- Strasznie cuchnie/Nie mogę wywęszyć swoich myśli.

Ich krzesła były oddalone o kilka stóp, przyzwoity dystans, zważywszy na zdenerwowanie i strach wydzielane przez obie dziewczyny i przebijające się nawet przez truskawkowy zapach. Julianne wstała i wyciągnęła jedną rękę. Stella przechyliła głowę w bok i odgarnęła włosy, odsłaniając miejsce za uszami.

- Zaczynaj.

Julianne dotknęła tam skóry, woskowej wydzieliny, i rozsmarowała ją pod swoim nosem. Skrzywiła się, potem opuściła palec i zafrąchała - unosząc górną wargę i wciągając do ust powietrze opływające palec.

- Auuu! - rzuciła, wcale nie z niechęcią, i zamknęła oczy. - Czuję się lepiej. A ty?

Stella kiwnęła głową.

- Czy chcesz być matką demu? - zapytała.

- To bez znaczenia - odparła Julianne. - I tak nie mamy kworum. - Zaraz rozejrzała się z przestraszeniem. - Przypuszczalnie nas nagrywają.

- Przypuszczalnie.

- Nie obchodzi mnie to. Teraz ty.

Stella dotknęła Julianne za uchem. Skóra była tam bardzo ciepła, prawie gorąca. Julianne woniała gorączkowo, rozpaczliwie próbując sięgnąć uprzejmym perswadowaniem i zadzierzgnąć więź ze Stellą. Było to wzruszające. Oznaczało, że Julianne jest bardziej przestraszona i mniej pewna siebie od Stelli. Bardziej przestraszona, niż należało.

- Będę matką demu - powiedziała Stella. - Dopóki nie przyjdzie ktoś lepszy.

- W porządku - zgodziła się Julianne. I tak było to tylko na pokaz. Bez kworum znaczyło tyle co nic. Julianne kołysała się w przód i w tył. Jej wonienie przeszło w zapach kawy i tuńczyka - trochę niepokojący. Sprawiało, że Stella zapragnęła kogoś objąć.

- Brzydko pachnę, co? - zapytała Julianne.

- Nie - odparła Stella. - Ale obie pachniemy teraz inaczej.

- Co się z nami stało?

- Na pewno chcą się tego dowiedzieć - odparła Stella, patrząc na mocne stalowe drzwi.

- Bołą mnie biodra - powiedziała Julianne. - Tak nędznie się czuję.

Stella przysunęła bliżej swoje krzesło. Dotknęła spoczywających na kolanie palców

Julianne. Julianne była wysoka i chuda. Stella miała więcej ciała, choć jeszcze nie urosły jej piersi, a biodra pozostawały wąskie.

- Nie chcą, abyśmy miały dzieci - powiedziała Julianne, jakby czytała jej w myślach, a rozpacz przelała się u niej łkaniem.

W odpowiedzi Stella jedynie głaskała nadal jej dłoń. Potem ją odwróciła, napluła do wnętrza i potarła o nią swoją. Pomimo truskawkowego zapachu przedarła się do Julianne i ta zaczęła się uspokajać, skupiać, wygładzać niepotrzebne zmarszczki strachu.

- Nie powinny wprawiać nas w szal - powiedziała Julianne. - Jeśli chcą nas pozabijać, niech lepiej zrobią to szybko.

- Ciii - ostrzegła ją Stella. - Poczujmy się swobodniej. Nie możemy ich powstrzymać przed zrobieniem tego, co zamierzają.

- A co zamierzają? - spytała Julianne.

- Ciii.

Szczękniętą elektroniczny zamek w drzwiach. Stella przez okienko zobaczyła Joanie w skafandrze z kapturem. Drzwi się otworzyły.

- Idziemy, dziewczęta - zarządziła Joanie. - Zanosi się na zabawę. - Jej głos brzmiał jak zapis mowy wydobywający się ze starej lalki.

Żółty autobus, przypominający mały szkolny, czekał na nich przed szpitalem. Silnego Willa przywieziono innym, bezpiecznie zamkniętym i lśniącym, nowym; Stella zastanowiła się, dlaczego nie używają teraz tamtego autobusu.

Cztery wychowawcy w skafandrach zaprowadzili do drzwiczek autobusu pięć dziewcząt i czterech chłopców. Celia, LaShawna i Felice znowu były w jednej grupie, Julianne szła przed Stellą, jej za duże chodaki plaskały o ziemię.

Wśród chłopców był Silny Will. Stella na jego widok zareagowała zarówno obawą, jak i dziwnym podnieceniem. Była całkowicie pewna, że nie miało w sobie nic seksualnego - opierała się na tym, co opowiadała jej Kaye - ale niemal tak wyglądało. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie czuła. Było czymś nowym.

Nie tylko dla niej.

Pomyślała, że może to być czymś nowym dla całej rasy ludzkiej, albo czym tam oni są. Może to znowu jakiś wirus.

Chłopcy szli w odległości dziesięciu stóp od dziewcząt. Żaden nie był skuty, ale gdzie mogliby uciec? Na pustynię? Najbliższe miasteczko leżało dwadzieścia mil dalej, a już było

sto stopni ciepła.

Wychowawcy trzymali małe pistolety gazowe, wypełniające powietrze zapachem cytrusów - pomarańczy i cytryny - oraz niezmiennie ulubionym aromatem Pine-Solu.

Will wyglądał na przybitego, wykończonego. Niósł papierową książkę bez okładki, o pożółkłych i wyświechtanych stronicach. Nie patrzył na dziewczęta; żaden z chłopców tego nie robił. Wydawali się zdrowi fizycznie, ale powłóczyli nogami przy chodzeniu. Stella nie mogła wychwycić ich zapachu.

Drzwi autobusu stały otworem i najpierw wpuszczono chłopców, każąc im siadać po lewej stronie. Przez okna Stella widziała zaciągnięte i przypięte plastikowe zasłony. Wyglądały na lekkie, przypominały zasłony przy prysznicach. Joannie poprowadziła dziewczęta do drzwi. Weszły na prawo od zasłony i usiadły w pięciu środkowych rzędach gładkich ławek z niebieskiego tworzywa sztucznego, każda na swojej.

Stella powierciła się i jej spodnie przywarły do plastiku. Siedzenie było śmieszne, lepkie i oleiste. Wydzielało szczególny zapach, jakby terpentyny. Coś rozpylili we wnętrzu autobusu.

Celia usiadła bezpośrednio przed nią i pochyliła się, aby rozmawiać z LaShawną.

- Zostańcie na miejscach - pouczyła ich Joanie monotonnym głosem. - Żadnych rozmów. - Przyglądała się dzieciom po obu stronach zasłony, potem podeszła do Julianne i wzięła ją za rękę, ale po chwili puściła i wycofała się na tył autobusu. Julianne rzuciła Stelli spojrzenie pełne lęku, ale i ulgi, po czym stanęła z boku, przyciskając ręce do boków i drząc.

Do środka wsiadł strażnik, mający czterdzieści kilka lat, krępy i uzbrojony, ubrany w spodnie barwy khaki i białą koszulę z krótkimi rękawami, opinającą mu ramiona. W kaburze przy pasie miał mały pistolet maszynowy. Popatrzył na chłopców, potem wychylił się w bok i zerknął na siedzące z prawej strony autobusu dziewczęta.

Wszyscy w autobusie milczeli.

Stella czuła, jak kurczy się jej żołądek.

Drzwi się zamknęły. Will przesunął ręką po plastikowej zasłonie, wywołując stukanie zaczepów o szynę przymocowaną do dachu autobusu. Strażnik pochylił się i zmarszczył brwi.

Stella nie mogła teraz wyczuć żadnego zapachu. Nos miała całkowicie zapchany.

- Czy wolno mi czytać w autobusie? - zawołał Will.

Strażnik wzruszył ramionami.

- Dziękuję! - krzyknął Will, a dziewczyny zachichotały. - Bardzo panu dziękuję.

Mężczyzna wyraźnie nie lubił tego obowiązku. Patrzył przed siebie, czekając na kierowcę.

- Co z obiadem? - zawołał Will. - Czy coś zjemy?

Chłopcy się roześmieli. Dziewczęta zgarbiły się na swoich miejscach. Stella pomyślała, że może zabierają ich, aby zabić i poćwiartować. Felice wyraźnie zastanawiała się nad tym samym. Celia dygotała.

Will w końcu przestał ryczeć. Wyrwał kartkę z książki, zwinął ją w kuleczkę i rzucił nad trzema rzędami siedzeń do zagłębienia przy okienku od strony kierowcy. Z językiem wysuniętym między zębami i błazeńskim uśmiechem wyrwał kolejną kartkę, zmiął i wysłał wysokim łukiem na pusty fotel kierowcy. Stella przyglądała się temu poprzez przezroczyste przegrody między rzędami siedzeń, zakłopotana i rozbawiona owym pokazem nieposłuszeństwa.

Po schodkach wszedł kierowca. Dłonią w rękawiczce podniósł zmięty papierek, skrzywił się i wyrzucił go przez drzwiczki. Papier odbił się od piersi strażniczki, która właśnie podchodziła. Tak jak jej kolega, była potężna i po czterdziestce. Wymamrotała coś niezrozumiałego dla Stelli. Strażnik i strażniczka mieli wachacze przypięte do kieszeni na piersiach. Stella zauważyła, że urządzenia są wyłączone.

Kierowca zajął swoje miejsce.

- Jedziemy! - zawołał Will. Za nim jeden z chłopców zaczął pohukiwać. Strażniczka okręciła się szybko i popatrzyła na nich akurat w chwili, gdy trafiała ją kolejna kulka ze zmiętego papieru.

Wzdłuż plastikowej zasłony po stronie chłopców strażnik poszedł na tył autobusu.

- Jedziemy! Jedziemy! - krzyczał Will, podskakując na swoim miejscu.

- Siadaj, do diabła - powiedział strażnik.

- Czemu nas nie zwiążecie? - zapytał Will. - Czemu nas nie przymocujecie do siedzeń?

- Zamknij się - nakazał strażnik.

Stellę przeszedł dreszcz. Zabierał ich dokądś zespół niemający większego doświadczenia z dziećmi SHEVY. Wyczuwała instynktownie takie rzeczy. Ta dwójka, a także kierowca, wyglądali na jeszcze głupszych od panny Kantor. Żaden z ludzi wewnątrz autobusu czy poza nim nie wyglądał na zadowolonego; wszystko wskazywał, że coś idzie nie tak, jak należy.

Stella zastanawiała się, co spotkało inny autobus, ten, którego zwykle używano.

Will wpatrywał się jak sokół w strażników i kierowcę; spojrzenie miał twarde. Stella starała się poprzez tworzywo sztuczne skupić wzrok na jego twarzy, ale chłopiec się odchylił i jego obraz się zamazał.

Wzmocnione drutem plastikowe okna były zamknięte od zewnątrz. Tego rodzaju

autobusy Stella widywała jako dziecko; przewoziły więźniów zbierających śmieci lub koszących trawę wzdłuż autostrad. Patrzyła przez okno i drżała.

Bolało ją ciało. Przed nią Celia garbiła się, mruczając coś do siebie. Zaciskała dłonie na wyścielanej poręczy. LaShawna ziewała, udając, że nic jej nie obchodzi. Felice otuliła się ramionami i usiłowała zasnąć.

- Jedź, jedź, jedź! - ryczeli chłopcy, podskakując na swoich miejscach. Felice oparła głowę o okno. Stella wolałaby, aby chłopcy się uspokoili. Chciała, aby wszyscy się uspokoili, pozwalając jej zamknąć oczy i udawać, że jest gdzieś indziej. Czuła się zdradzona przez szkołę, pannę Kantor, pannę Kinney.

Oczywiście było to głupie. Zdradą był przede wszystkim pobyt w szkole. Dlaczego jej opuszczenie miałoby być czymś gorszym? Odchyliła głowę na oparcie, aby przeszły jej mdłości.

Strażniczka poleciła kierowcy zamknąć i zaryglować drzwi. Ten uruchomił silnik i wrzucił bieg. Autobus szarpnął.

Celia zaczęła wymiotować. Kierowca gwałtownie zatrzymał autobus na końcu betonowej alejki prowadzącej do głównej drogi.

- Nie przejmuj się! - krzyknęła strażniczka, wykrzywiając się ze wstrętem. - Posprzątam, kiedy stąd wyjedziemy. Ruszaj!

- Jedź, jedź, jedź! - zawadzili chłopcy. Will zerknął na Stellę, zacisnął równo usta i zaczął wrywać z książki kolejną kartkę.

Kiedy autobus już jechał, powietrze zaczęło napływać przez małe przewody nad oknami i Stella poczuła się lepiej. Celia się uspokoila, a dwie pozostałe dziewczyny siedziały sztywno na swoich miejscach. Stella zastanawiała się nad ich położeniem i zdecydowała, że wszystko zostało bardzo źle przygotowane i zaplanowane, przypuszczalnie w ostatniej chwili. Są przewożeni jak śledzie w beczce. Najważniejszy był czas. Ktoś bardzo pragnął dostać je, kiedy będą jeszcze świeże.

Próbowała wycisnąć trochę śliny, aby zwilżyć usta. Posmak na języku był okropny.

- Droga zajmie nam jakąś godzinę i dziesięć minut - powiedział kierowca, gdy wyjeżdżali z parkingu szkoły. - Pod wszystkimi fotelami są butelki z wodą. Zrobimy jeden postój na toaletę.

Stella sięgnęła pod niebieskie siedzenie i wzięła plastikową torebkę z butelką wody. Zerknęła na nią, zastanawiając się, co może zawierać oprócz wody; co ich spotka po

zakończeniu tej jazdy, jaką nagrodę otrzymają za bycie grzecznymi dziećmi? Aby się uspokoić, pomyślała o Kaye, a potem o Mitchu. Na koniec, ale równie serdecznie, przypominała sobie, jak trzymała ich starego, rudego kota Shamusa i głaskała go, gdy mruczał.

Jeśli ma umrzeć, przynajmniej zachowa się z równą godnością co stary Shamus.

## 30

### Oregon

Mitch wstał przed wschodem słońca, ubrał się, nie budząc Mertona, i opuścił dzielony z nim namiot, stojący na skraju wąwozu rzeki Spent. Przyglądał się wczesnoporannemu słońcu, próbującemu zalać światłem pograżony w cieniu krajobraz. Wyraźnie dostrzegał górę Hood, odległą o dwadzieścia mil; jej śniegi lśniły o świcie purpurą.

Znalazł gałązkę i wziął ją do ust, a potem przygryzł zębami.

Nigdy nie uważał siebie za mającego zdolności prorocze, wrażliwego na rzeczy pozazmysłowe, czy jak jeszcze inaczej określa się posiadanie przeczuć. Kaye powiedziała mu przed laty, że u naukowców i artystów początki myślenia twórczego są podobne - ale naukowcy muszą udowadniać swe rojenia.

Mitch nigdy nie mówił Kaye, co zaczerpnął z tej rozmowy, ale na swój sposób pomogła mu patrzeć na wszystko z innej perspektywy - dostrzegać, że artystyczna nuta tkwi w dochodzeniu przezeń do własnych wniosków, często niemożliwych do osiągnięcia logicznym rozumowaniem. Nie miało to nic wspólnego z parapsychologią.

Po prostu myślał jak artysta.

Albo jak gliniarz. Przyroda była najbardziej skutecznym mordercą seryjnym. Antropolog był rodzajem detektywa, zainteresowanego nie tyle sprawiedliwością - była czymś zdecydowanie zbyt abstrakcyjnym w obliczu niezmiernej głębi czasu i liczby zgonów - co odtwarzaniem tego, jak ofiary umierały, i co znacznie ważniejsze, jak żyły.

Jednym palcem otarł oczy i spojrział na północ wzdłuż gardzieli, ku głębszemu korytu, które rzeka dawno temu wyryła przez leżące na przemian warstwy błota, lawy i popiołu. Potem się odwrócił i zerknął na stanowisko w kształcie litery L wraz z osłaniającymi je daszkami z płótna i tworzywa sztucznego, przykrytymi siatkami maskującymi.

- Cholera - powiedział, zdumiony niemal, jak nogi same zaczęły go prowadzić wzdłuż skraju wąwozu, oddalając od głównego wykopu.



*Tamten niedźwiedź. Ten cholerny, zagadkowy niedźwiedź, od którego wszystko to się zaczęło.*

Niedźwiedź zszedł nad rzekę, aby łapać ryby, i zadusiły go opadające popioły - ale kilka dni przed przybyciem ludzi. Ludzie zwykle szli śladem niedźwiedzi - był tego niemal pewny - spodziewając się, że wskażą im dobre łowiska. Ktoś zabrał czaszkę, ale nie pociął reszty ciała - na kościach nie było śladów po rąbaniu - co oznaczało, że w chwili jego odnalezienia nie było w zbyt apetycznym stanie.

Łososie przyływają wiosną, latem i jesienią, aby złożyć ikrę i zdechnąć, różne ich rodzaje i gatunki w różnych porach roku. Hordy koczowników tak dostosowywały swe wędrówki i zakładały obozowiska, aby móc korzystać z tych okresów, kiedy rzeki są pełne tłustych ryb o czerwonym mięsie.

Liście zmieniają kolor. Woda płynie czysta i zimna. Łososie rzucają się w skalistym łożysku rzeki jak wielkie, czerwone, skaczące zabawki. Niedźwiedzie czekają, aby móc wejść do nurtu i je łapać.

Większość niedźwiedzi odeszła jednak zapewne po pierwszym opadzie popiołów, zostawiając starego samca, zbyt zniedołężniałego, aby wędrować daleko, może zranionego w walce, czekającego na śmierć.

*Domysły. Tylko domysły, niech to szlag.*

Dlaczego ludzie mieliby iść w górę rzeki, nie zwracając uwagi na spadające popioły? Nawet głód nie zwabiłby ich do tej okolicy ani nie skłoniłby do pozostania tutaj. Jeśli nie było deszczu, każdy krok musiał wzbijać chmurę dławiącego popiołu. Rozbijanie obozu rybackiego byłoby największą głupotą.

*Podobnie jak oni za niedźwiedziem, ktoś szedł za nimi.*

W nocy śnił o tych kościach. Nie wiedział, czy artyści śnią o swoich dziełach - ani czy detektywi w snach poznają rozwiązania swoich spraw. On jednak podczas pracy śnił często o odnalezionych przez siebie ludziach, spoczywających w grobach albo tam, gdzie padli i zmarli.

I niekiedy sny się sprawdzały.

Często się sprawdzały.

Do diabła, w dziewięciu przypadkach na dziesięć sny Mitcha okazywały się słuszne - jeśli tylko dawał im czas na rozwijanie się, falujące przeskakiwanie między niezbędnymi odmianami i osiągnięcie nieuniknionego wniosku. Tak właśnie było z mumiami alpejskimi. Miesiącami mu się śniły.

Teraz jednak nie miał dość czasu. Musiał polegać na tym, co było niemal przecuciem.

Zdumiewały go Australijki, bardziej jeszcze aniżeli szkielety *Homo erectus*. Były na bardzo dalekiej północy. Dopiero teraz antropologia przyjmowała istnienie wielu fal przybywających do obu Ameryk i starć między nimi - najpierw do południowej części kontynentu docierali gnani sztormami Australijczycy, później często pojawiali się Azjaci, wędrujący na północy wzdłuż pomostów lądowych i lodowych, albo i po nich.

Australoidzi przebywali w Ameryce Południowej - a teraz niewątpliwie w Północnej - przez dziesiątki tysięcy lat, zanim napotykali Azjatów. Azjaci podbijali ich i zabijali, ciemnieyli, spychali na południe ze wszystkich leżących na północy terenów, które mogli zasiedlić. Musiała się toczyć monumentalna wojna, obejmująca miliony mil kwadratowych i trwająca przez wiele tysięcy lat; pełna przemocy wojna rasowa.

W końcu wszyscy Australijczycy wyginęli, zostawiając jedynie paru potomków mieszanej rasy na wschodnim wybrzeżu Ameryki Południowej - tubylczych mieszkańców Ziemi Ognistej, na których natknął się Darwin i inni odkrywcy.

*Byli ścigam. Wędrowali razem z osobnikami należącymi do Homo erectus, gdyż mieli wspólnego wroga.*

Mitch szedł jak robot, przetrząsając wzrokiem grunt przed sobą, odcinając się od wszystkiego oprócz własnych butów deptających stare otoczaki rzeczne. Nie mógł sobie pozwolić na potknięcia, zwłaszcza z jednym niesprawnym ramieniem.

*Zbyt daleko na północy. To niebezpieczne tereny, otoczone przez Azjatów. Przybyli tutaj na bogate połowy ryb, ciągnąc w ślad za niedźwiedziami; mężczyźni i kobiety, rozbudowane grupy rodzinne. Może kierował nimi jeden potężny samiec - i może lubił się zabawiać z samicami Homo erectus. Nie powinienem być naiwny.*

*Lecz jego kobiety się tym nie przejmowały. Nie rodziły się z tego żadne dzieci. Mitch niemal widział samców i samice Homo erectus, wlekących się z tyłu, za Australijczykami, najpierw błagających, potem zagnanych do pracy dla kobiet, wreszcie oferujących siebie mężczyznom. Ich samce obojętnie przyjmowały tę wymianę. Postawy głodujących, umierających ludów.*

*W końcu doszło do pewnego rodzaju przywiązania, może silniejszego niż przywiązanie panów do ich zwierząt domowych? Byli równi sobie? Przypuszczalnie nie. Ale Homo erectus należący do grupy nie byli głupi. Przetrwali przez ponad milion lat. Homo sapiens byli jedynie nowym elementem tego równania.*

Mitch powąchał wiatr i wydmuchał nos w chusteczkę; w rozgrzewającym się powietrzu było pełno pyłków traw. Zwykle nie był na nie uczulony, ale lata spędzone w więzieniu, pełnym stęchłego powietrza i mnóstwa kurzu, wyostrzyły jego reakcje.

*Jeśli mężczyzn tu nie było - a nie miał takiej pewności - nie mogli uratować kobiet. Zawiedli, i zapewne też zginęli. Albo prysnęli z tego nieszczęsnego miejsca przed falą gorącego błota - zostawiając za sobą kobiety.*

*Czy jestem od nich lepszy?*

*Zostawiłem swoje kobiety i pozwoliłem, by zabrali Stellę.*

*A gdybym jednak znalazł samców, co by to dało? Czego u diabła szukam? Zbawienia? Wybaczenia?*

Zerknął na słońce, potem osłonił oczy i opuścił wzrok. Najgrubszy osad skamieniałego błota tkwił w ciemnobrązowej warstwie osadu biegnącej wzdłuż brzegów dawnej rzeki, upstrzonej plamkami gleby dość bogatej, aby rosły na niej krzewy i drzewa, twarde i ogołoczone z liści. Otoczaki wielkości i kształtu piłki futbolowej zalegały na ziemi; nigdzie nie można było dostrzec najmniejszych wskazówek prowadzących do nieuchwytnego skarbu skamieniałości, kryjącego się być może tuż pod jego nogami.

Mitch usiadł na zerodowanym na powietrzu otoczaku i oparł na kolanie lewy łokieć, aby pozbyć się mrowienia w bezwładnej ręce. Krew czasami przestawała krążyć w tym ramieniu, potem blokowały się nerwy, a po chwili czuł, jakby wyrywano mu rękę. Wtedy bolało jak diabli.

Niełatwo było zachowywać czujność i skupiać uwagę. Coś pobudzało go stale do ruszania dalej, może aż zbyt rzeczywiste poczucie całkowitej daremności wszystkiego, co próbował czynić. - Gdzie byś poszedł? - szepnął. Powoli oparł kolana na otoczaku, omiótł wzrokiem dziką okolicę, od tkwiących wyżej wzgórz do zagłębień wypełnionych zaroślami. - Gdzie mogliście przetrwać dwadzieścia tysięcy lat po swej śmierci? No, chłopaki. Pomóście mi.

Lekki wietrzyk zaszumiał w chaszczach i musnął włosy Mitcha niby widmowe palce. Odegnął muchę od ust i odgarnął spadające na oczy włosy. Kaye zawsze musiała go wyganiać do ich strzyżenia. Potem przestała to robić, poddała się, i Mitch zastanawiał się, co mniej mu się podoba - bycie traktowanym jak chłopczyk, czy to, że własna żona przestała się przejmować jego wyglądem.

Lekko zazgrzytał zębami, jak drapieżnik odstraszaający wrogów. Bolała go klatka piersiowa uciskana samotnością i poczuciem winy.

*Wędrowanie.*

Jego oczy, nawet teraz, potrafiły z odległości kilkunastu kroków odróżnić odprysk kości od kamyka. Był zdolny założyć filtry mentalne pomijające kości wiewiórek i królików, wszelkie niedawne okazy wyblakłych, obgryzionych czy pociemniałych od ścięgien resztek.

Zwężił oczy do szparek.

Doświadczona horda samców mogła dostrzec albo usłyszeć lahar i przestraszona, próbować dostać się na wyższy teren. Tu właśnie stał teraz, to tutaj przywiodły go nogi, do najwyższego miejsca, grzbietu twardej skały z małymi nieckami gleby i zarośli. Widział stąd obóz, a w każdym razie wiedział, gdzie jest, jakieś pół mili dalej, zasłonięty wysokimi krzewami i drzewami.

Na północy zawsze czuwający wartownik w postaci góry Hood - spokojna, przysadzista czapka hańby ujarzmiająca energię ziemi - wypuszczał z sykiem drobnutkie pióropusze pary, nie przyznając się ani słowem do dawnych wybuchów złości, dawnych zbrodni.

Mitch do końca zamknął oczy i wcielił się w naczelnego samca hordy. Obraz się wyklarował. Mitch zniknął, na jego miejscu stał główny łowca hordy, jej wódz.

Twarz wodza była ciemna i skupiona, włosy miał poplamione popiołem, skórę szarą od jego rozmazanych smug, wyglądał jak duch. W wyobraźni Mitcha wódz był najpierw purpurowobrazowy i całkowicie nagi, lecz nagle na jego chudej, przygarbionej postaci pojawiły się poprzycinane skóry, żadne poszarpane łachmany, gdyż nawet dwadzieścia tysięcy lat temu ludzie dbali o stroje i wygodę; nogawice i tunika związana pasem, sakiewka na krzemienie i odłamki obsydianu czy cokolwiek innego, co mogli mieć przy sobie.

*Serca były im szybciej na widok poblądłej cery, już wyglądali na zmarłych. Bali się siebie nawzajem. Wódz panował jednak nad nimi. Podskakiwał i robił grymasy, aż zaczęli żartować ze swej popielatej skóry. Wódz był nie tylko sprytny; dbał o niezwykłą grupkę samców, jego partnerów na tym ciężkim terenie; troszczył się też o samice, przeżuujące skóry i sporządzające odzienie, które nosił.*

Nigdy nie należy nie doceniać naszych przodków, naszych kuzynów. Potrafili przetrwać przez długi, długi czas. I nawet wtedy kochali, troszczyli się, opiekowali.

## 31

### Arizona

Autobus jechał przez przedmieścia Flagstaff, między niskimi, płaskimi, brązowymi domami z otynkowanymi cegiel, które otaczały zapylone, piaszczyste podwórka. Stella jako mała dziewczynka mieszkała na takim przedmieściu. Złożyła głowę na oparciu siedzenia z

tworzywa sztucznego i patrzyła na mijane budynki. Pomimo sztucznej klimatyzacji w autobusie było gorąco, a woda szybko się skończyła.

Chłopcy przestali rozmawiać, a Will wydawał się spać obok kupki zmiętych, żółtych stron wydartych z jego starej książki w miękkiej okładce.

Ktoś poklepał ramię Stelli. To strażnik. Miał większą plastikową torbę, z której wyciągnął następną butelkę z wodą.

- Już niedługo - powiedział i włożył jej butelkę do ręki. - Dajcie mi puste. - Dziewczęta wręczyły mu opróżnione butelki, a strażnik przekazał je koleżance, która zappełniła nimi kolejną torbę i szczelnie ją zamknęła. Potem przeszedł za zasłonę na początku autobusu i dał świeże butelki chłopcom, znowu odbierając puste.

Pokręcił głową i spojrzał z naganą na zrobiony przez Willa bałagan, zanim wręczył chłopcu butelkę.

- Bawi cię to? - zapytał.

Ten popatrzył na niego i powoli pokręcił głową.

Kierowca bardzo często skręcał, wiozł ich w górę i w dół licznych ulic, jakby zabłądził. Stella nie sądziła, aby tak było. Starali się kogoś czy czegoś unikać.

Na tę myśl usiadła prosto. Obejrzała się za siebie. Za autobusem jechał mały brązowy samochód. Przed nimi, gdy mijali zakręt, dostrzegła kolejny, tym razem zielony, z dwiema osobami na przednim siedzeniu. Autobus podążał za pilotującym ich samochodem. Mieli eskortę.

Nie było w tym nic zbyt zaskakującego. Dlaczego więc Stella czuła, że nie zaplanowano tego najlepiej, że coś się nie powiodło?

Will przyglądał się jej. Przysunął się bliżej plastikowej zasłony i poruszył ustami, ale w hałasie ruchu ulicznego nie mogła dosłyszeć, co mówił; byli teraz na żwirze, wlekli się połą drogą biegnącą przez ugory w stronę szosy stanowej. Autobus podskoczył, wjeżdżając na asfalt, i skręcił w lewo. Pilotujący go samochód zwolnił, pozwalając zbliżyć się do siebie.

Stella uważniej śledziła usta Willa, gdy skończyły się podskoki na wybojach: *Sandia*, mówiły bezgłośnie. Pamiętała, że zapytał ją wcześniej, czy o niej słyszała, ale nadal nie wiedziała, czym jest Sandia.

Will przeciągnął palcem przez gardło. Stella zamknęła oczy i odwróciła się. Nie mogła teraz na niego patrzeć. Nie potrzebowała czuć się bardziej przestraszona, niż była teraz.

Po kolejnej godzinie jechali prostym odcinkiem autostrady biegnącej skalistą pustynią okoloną na horyzoncie niskimi, czerwonymi górami. Słońce było niemal dokładnie nad ich głowami. Droga okazała się znacznie dłuższa, niż miała być według słów Joanie.

Autostrada była niemal pusta, w obie jej strony jechało bardzo niewiele samochodów. Małe czerwone bmw z tablicami rejestracyjnymi Nowego Meksyku śmignęło z lewej strony krótkiej karawany i popędziło dalej. Chłopcy ospale śledzili wzrokiem jego błyskawiczny przejazd, potem wyciągnęli ręce, robiąc znak zagiętymi palcami, i się roześmieli.

Stella nie wiedziała, co znaczy ten gest. Śmiech brzmiał nieprzyjemnie. Chłopcy ją martwili. Stawali się coraz bardziej dzicy.

Hipnotyzowały ją długie, piaszczyste i skaliste przestrzenie wzdłuż autostrady. Góry stale widniały w oddali. Znowu się zastanawiała, czym może być Sandia, potem odepchnęła to słowo, nienawidziła jego brzmienia, tym bardziej że tak naprawdę było ładne.

Pisk opon.

Z drzemki wyrwało ją gwałtowne zarzucenie autobusu. Złapała się oparcia fotela przed sobą, kiedy autobus ostro skręcił w lewo, potem w prawo, i się przechylił. Opony ciągle zgrzytały na asfalcie. Głowa i ramiona Celi podskakiwały w jedną i drugą stronę, a gdy Stella popatrzyła w prawo, świat na zewnątrz wznosił się i opadał, z górami, pustynią i wszystkim innym. Potem przesunął się skokiem w bok, Stellą rzuciło w plastikowym fotelu, walnęła o okno, głową, szyją i ramieniem wbiła się w szybę z tworzywa sztucznego. Plastik popękał i rozprysł się na spajane drutem odłamki, a ona legła ramieniem na pyle i żwirze.

Przez chwilę w autobusie było zupełnie cicho. Leżał chyba na boku, prawym boku, po stronie Stelli. Światło nie było najlepsze, powietrze zapyłone, nieruchome i przesycone zapachem spalonej gumi.

Stella spróbowała się ruszyć i stwierdziła, że nadal może, co wywołało u niej napływ fali podniecenia. Jej ciało nadal działa, jeszcze żyje. Odepchnęła się powoli i usłyszała brzęczące, trzaskające dźwięki. Potem na zasłonę upadł jakiś chłopiec, wcisnął kolano w bok Stelli. Poprzez napiętą płachtę z tworzywa sztucznego, wiszącą nad nią, dostrzegła odziany w dżinsowy materiał tyłek i niewyraźną, wykrzywioną twarz innego chłopca. Will, pomyślała i z jękiem odepchnęła ciało, ale nie była w stanie go poruszyć.

- Proszę, odsuń się - powiedziała stłumionym głosem.

Cierpiała. Przez minutę myślała, że panikuje, ale zamknęła oczy i odegnała ten lęk. Nie była w stanie przesunąć ręki, aby pomacać ramię, ale sądziła, że może krwawić, a bluzka chyba się rozerwała. Czuła żwir lub coś innego ostrego, wciskającego się jej w gołą skórę.

Na zewnątrz usłyszała jakieś głosy, rozmawiających mężczyzn, ktoś krzyczał.

Wydawali się odlegli. Potem drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Kolano cofnęło się z jej piersi, a stopa stanęła ciężko na kostkę, wciskając ją w oparcie siedzenia przed nią. Wrzasnęła; naprawdę ją zabolalo.

- Przepraszam - powiedział chłopiec i zabrał nogę. Widziała cienie poruszające się nad nią, niezdarne, niewyraźne, przyciskające się do zasłony z tworzywa sztucznego. Twarz Willa zamazała się i odsunęła, zniknął. Zasłona wokół Stelli stała się luźna. Coś westchnęło, może cylinder hamulców, a może chłopiec. Wreszcie przewróciła się dostatecznie, aby móc dotknąć ramienia i unieść rękę w stronę zasłony, zobaczyła na dłoni odrobinę krwi, niewiele. Światło zalało siedzenia za nią. Ktoś otworzył tylne, zapasowe drzwi autobusu, a może także klapę w suficie.

- Wyciągniemy was stąd! - zawołał miły męski głos. - Czy wszyscy mnie słyszą?

Stella leżała teraz plecami na żwirze, pyle i bocznej ścianie autobusu. Przekreśliła się do końca i między siedzeniami, które wydawały się być teraz bliżej siebie niż przed wypadkiem, wyciągnęła w górę kolana i rękę. Pierzasta, ulistniona gałązka dostała się jakoś do jej ust, więc ją wypluła, a potem wierciła się nadal, aż uklękła.

Wszędzie miała skaleczenia, ale żadne nie krwawiło mocno. Walila pięściami o zasłonę z tworzywa sztucznego, aż ktoś z brzękiem odciągnął ją z zaczepów.

- Kto jest tutaj? LaShawna? Jesteś tu? - Męski głos, niski i wyraźny.

A jakiś inny wołał:

- Celia? Hugh Davis? Johnny? Johnny Lee?

- To ja - powiedziała Stella. - Jestem tutaj.

Następnie usłyszała wołanie LaShawny. Dziewczyna zaczęła płakać.

- Boli mnie noga - jęczała.

- Dostajemy się do ciebie, LaShawno. Bądź dzielna. Pomoc nadciąga.

Ktoś klął głośno i długo, wyzywając innego.

- Odsuń się tylko. Nie zbliżaj się tutaj. To okropne, ale się odsuń.

- Zepchnąłeś nas, kurwa, z drogi!

- Wpadłeś w poślizg.

- A co innego mogłem u diabła zrobić? Na całej drodze były samochody. Jezu, potrzebujemy karetki. Wezwij karetkę.

Stella zastanawiała się, czy może nie powinna zostać tam, gdzie jest teraz, w półmroku, ukryta przed wszystkimi.

Ktoś nagle chwycił ją za rękę, wyciągnął z miejsca między siedzeniami do przestrzeni oddzielającej oparcia siedzeń od dachu autobusu, tworzącej teraz rodzaj korytarza z oknami

na podłodze. To był Will. Przykląkł i patrzył na nią jak mała o opalanej sierści, na twarzy miał rozmazaną krew.

- Możemy już iść - powiedział.

- Dokąd? - zapytała Stella.

- Idą po nas. Ludzie. Chcą nas ratować. Możemy jednak odejść.

- Musimy pomagać.

- Co możemy zrobić? - zapytał Will.

- Musimy p o m a g a ć.

Przez króciutką chwilę chciała rozmazać ręką jego twarz. Uszy paliły ją ogniem.

Will pokręcił głową i mocno przygarbiony ruszył z trudem na przód autobusu. Przez chwilę wyglądało, jakby zamierzał wyjść przez okno, ale zaraz opuściły się dwie pary rąk i obejrzał się na Stellę. Na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech.

- Tam z tyłu jest dziewczyna; wszystko z nią dobrze - powiedział. - Zaopiekujcie się nią, ale mnie zostawcie w spokoju.

Stella siedziała na poboczu długiej, dwupasmowej szosy, skrywając twarz w rękach. Dość mocno uderzyła głową we wrak autobusu i teraz czuła w niej dudnienie. Przez palce zerkała na dorosłych chodzących wokół. Od wypadku minęło około dwudziestu minut.

Will leżał obok niej, rękę trzymał beztrzesko na oczach, jakby ucinał sobie drzemkę. Miał rozerwane spodnie, widać było przez nie długie zadrapanie. Poza tym oboje wydawali się cali.

Celia, LaShawna i trzej pozostali chłopcy siedzieli już na tylnych kanapach dwóch samochodów, nie tych z eskorty autobusu. Oba towarzyszące im wozy wjechały do rowu i mocno w nim utknęły - miały zgniecione chłodnice, buchała z nich para, pokrywy bagażników były otwarte.

Stella miała wrażenie, że po drugiej stronie autobusu słyszy dwoje strażników, a może także kierowcę.

Na poboczu drogi, jakieś sto jardów w tyle, parkowały dwa samochody stróżów prawa. Nie mogła dostrzec oznak, ale na ich dachach migotały światła. Dlaczego nie pomagają, czy czekają, aż będą mogli zabrać dzieci z powrotem do szkoły?

Może zaraz przyjedzie furgonetka USW albo karetka?

Czarnoskóry mężczyzna w pomiętym brązowym garniturze podszedł do Stelli i Willa.

- Inne dziewczęta i chłopcy są dość ciężko ranni, ale wszystko będzie z nimi dobrze.



LaShawna czuje się dobrze. Jej noga jest cała, chwala Bogu.

Stella popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Nie wiedziała, kim jest.

- Jestem John Hamilton - powiedział. - Jestem tatą LaShawny. Musimy się stąd zbierać. Możecie pojechać z nami.

Will usiadł, jego policzki stały się niemal mahoniowe wskutek kombinacji blasku słonecznego z chęcią nieposłuszeństwa.

- Dlaczego? - zapytał. - Zabieracie nas do innej szkoły?

- Musimy zawieźć was na badanie lekarskie. Najbliższe bezpieczne miejsce jest jakieś pięćdziesiąt mil stąd. - Wskazał za siebie wzdłuż drogi. - Nie wróćcie do szkoły. Moja córka więcej się w niej nie znajdzie, nie za mojego życia.

- Czym jest Sandia? - zapytała Johna Stella, wiedziona jakimś impulsem.

- Są takie góry - odparł John, zrobił zdumioną minę i przełknął coś, co musiało być gorzką pigułką. - No, chodźcie. Chyba znajdzie się miejsce.

Podjechał trzeci samochód i John porozmawiał z jego kierowcą, kobietą w średnim wieku o wielkich turkusowych pierścieniach na palcach i lśniących pomarańczowych włosach. Wydawali się znać.

Wrócił. Był zdenerwowany.

- Pojedziecie z nią - powiedział. - Nazywa się Jobeth Hayden. Także jest mamą. Myśleliśmy, że jej córka może być tutaj, ale jej nie ma.

- Zepchnął pan autobus z drogi? - zapytała Stella.

- Próbowaliśmy zmusić do zwolnienia prowadzący samochód i zabrać was z autobusu. Myśleliśmy, że zdołamy zrobić to bezpiecznie. Nie wiem, jak to się stało, ale jeden z ich samochodów się okręcił, autobus wjechał na niego i wszyscy wypadli z drogi. Wozy się przewróciły. Mieliśmy cholerne szczęście.

Will podniósł z pyłu swoją wyświechtaną, podartą książkę i zacisnął ją w dłoni. Zerknął na rozdarcie swoich dżinsów i na zadrapanie. Potem popatrzył wzdłuż drogi na samochody z migaczami na dachach.

- Pójdę sam.

- Nie, synu - stwierdził stanowczo John Hamilton. Nagle wydał się bardzo wielki. - Umrzesz tutaj, nikt ciebie nie podwiezie, bo każdy pozna, kim jesteś.

- Aresztują mnie - powiedział Will, wskazując migoczące światła.

- Nie aresztują. Są z Nowego Meksyku.

Hamilton nie wyjaśnił, co to znaczy. Will patrzył na niego z twarzą wykrzywioną w gniewie lub rozczarowaniu.

- Jesteśmy odpowiedzialnymi ludźmi - stwierdził spokojnie Hamilton. - Proszę, pojedźcie z nami. - Jeszcze łagodniej, skupiając się na Willu, głębokim, niemal sennym głosem powtórzył: - Proszę.

Will zachwiał się, gdy zrobił pierwszy krok, i John pomógł mu przejść do samochodu prowadzonego przez kobietę o pomarańczowych włosach, Jobeth.

Po drodze minęli czerwonego buicka, w którym siedzieli Celia, Felice, LaShawna i dwaj chłopcy. LaShawna spoczywała odchyłona na tylnym siedzeniu, w cieniu rzucanym przez dach samochodu; oczy miała zamknięte. Felice tkwiła obok niej wyprostowana. Celia wystawiła głowę przez okno.

- Co-KUK za jazda! - zapiała z zachwytem. Głowę owijał jej biały bandaż. Na skórze i włosach miała krew, w rękach trzymała kurczowo butelkę 7-Up i kanapkę. - Chyba koniec ze szkołą, co?

Will i Stella wsiedli do samochodu Jobeth. John powiedział kobiecie, dokąd jadą - na ranczo. Stella nie dosłyszała jego nazwy, mogła brzmieć George lub Gorge.

- Wiem - powiedziała Jobeth. - Lubiłam tam.

Stella była pewna, że kobieta nie powiedziała „byłam”, ale „lubiłam”.

Will oparł głowę na siedzeniu i popatrzył na podsufitówkę. Stella wzięła od Johna butelkę wody i 7-Up, a zaraz potem samochody ruszyły drogą, zostawiając wrak autobusu, parę strażników i trzech kierowców, wszystkich porządnie związanych i siedzących w kucki, stykając się ramionami.

Radiowozy okazały się należeć do policji stanu Nowy Meksyk; ruszyły w przeciwnym kierunku, ich światła już nie migotały.

- Nie zajmie to więcej niż godzinę - powiedziała Jobeth, jadąca za dwoma pozostałymi samochodami.

- Kim pani jest? - zapytała Stella.

- Nie mam pojęcia - odparła Jobeth beztrząsco. - Od lat. - Obejrzała się na Stellę przez oparcie swego fotela. - Jesteś ładna. Wszyscy wydajecie się mi ładni. Czy znacie moją córkę? Ma na imię Bonnie. Bonnie Hayden. Pewnie jest nadal w szkole; zabrali ją tam sześć miesięcy temu. Ma prawdziwe rude włosy, a jej iskierki są naprawdę wyraźne. To przez jej irlandzką krew, na pewno.

Will wyrwał kartkę ze swojej książki i zmiął, potem pomachał nią pod nosem. Uśmiechnął się do Stelli.

**Oregon**

*Byli na polowaniu, ci ludzie, zabrali młodszych samców, bliskich dojrzałości i dojrzałych od niedawna; wchodzili na wyższy teren, aby zobaczyć stamtąd, czy po opadzie popiołu nie została jakaś zwierzyna. Popiół pokrył jednak wszystko pyłem na przestrzeni setek mil, a większe zwierzęta uciekły na południe, zostały jedynie drobne, trzęsące się ze strachu w swych norach, kryjówkach, oczekujące...*

*A potem mężczyźni usłyszeli nadciągający lahar, zobaczyli chmurę piroklastyczną, która roztopiła wszystek śnieg i lód, zalegające dookoła podnóża góry niczym brudnoszara grzywa opadająca z czarnego Niedźwiedzia Burzy o piorunach zamiast pazurów... albo siedząca bogini górską, rozkładająca swe okrycie; skraj miękkiej skóry przesunął się pędem dziesiątki mil przez kraj, dudniąc niby wszystkie bizona ziemi.*

*Pod okryciem woda z roztopów mieszała się z gazami, wchłaniała popioły, błoto i drzewa, gnając ku miejscu, w którym stali mężczyźni, bladzi i osłabli ze strachu.*

*Wódz, mający najbystrzejsze oczy, najszybszy mózg, najsilniejsze ramiona, najwięcej synów i córek w swej hordzie, chociaż w wieku przypuszczalnie jedynie trzydziestu pięciu czy czterdziestu lat, najwyżej... Wódz nigdy nie spotkał się z niczym przypominającym nadciągający lahar. Wielkim utrapieniem był już popiół. Wydawało mu się, że odległa ściana szarej smugi dotrze do nich dopiero za kilka dni, przetaczając się przez dalekie knieje. Jak, pomimo nawet całej swej wściekłości i potęgi, zdoła kiedykolwiek osiągnąć miejsce, w którym stał z synami i łowcami?*

*Na wszelki jednak wypadek cofnął się, aby dołączyć do kobiet.*

*Mitch dźwignął się na jedno kolano, aby wstać, i ruszył w stronę obozu.*

*Mężczyźni zbiegali ze wzgórz susami, wybierali najkrótszą drogę z wyżyny, wzbijając po drodze spod stóp chmary popiołu, a wódz spojrział ponad otulający grupkę dławiacą mgielką pył i zobaczył, że przez tych kilka minut obłok znacznie się zbliżył. Zadrzał, zrozumiał, jaki był głupi. Śmierć jest już bardzo blisko.*

*Mitch schodził stokiem zapadliska, krocząc po dawnym skamieniałym błocie, omijając pasma szumiących zarośli.*

*Nadciąga wielka, stara fala. Gorący dech piekła, którego nigdy nie nazwali, o którym może nigdy nie myśleli. Wódz pobiegł szybciej, gdy ryk stał się głośniejszy, przewyższając mocą nawet najmocniej dudniące stado widziane podczas największych łowów, ściana*

*chmury toczyła się niszczycielsko nad krajem, szybko, lecz z godnością, stąpając ciężko, jak ogromny niedźwiedź.*

*Wódz na chwilę stanął i wskazał, że szara chmura się zatrzymała. Śmieli się i pohukiwali. Szara chmura rzedła, rwała się na strzępy. Nie mogli widzieć kryjącej się pod nią powodzi.*

*Potem nastąpił największy dotychczas opad popiołu, grube zasłony i puchate kłęby, oślepiające, kłujące w oczy, wypełniające nos i usta, wpychające się między wargi i podniebienie, dławiące. Próbuje zakrywać oczy rękoma. Oślepli, zataczają się, padają, wydają okrzyki łowieckie, rozróżniające, niebędące jeszcze imionami. Ryk zrywa się ponownie, narasta, dudni rytmicznie, trzeszczy jak rozdierane drzewa.*

Mitch zatrzymał się na chwilę na górnym skraju zapadliska, patrząc na niszczone erozją warstwy: potrzaskane, pokruszone resztki laharu. Potarł oczy, starając się usunąć z nich odprysk światła.

Z wierzchu grzbietu na wpół się ześlizgnął, na wpół zszedł na brzeg rzeki Spent, przeglądając skarpe ponad jej wyschniętym łożyskiem. Mogli być blisko rzeki, czekając na jej przekroczenie, w prostej linii między wyższym miejscem, gdzie Mitch (i wódz) byli przed kilkoma minutami, a tym, w którym stał teraz, z bezwładnym ramieniem zwisającym wzdłuż boku, nie zważając na jego mrowienie ani na zapowiadający ból srebrzysty półksiężyc.

Poszedł wzdłuż skarpy. Przeszukiwał wzrokiem grunt kilka metrów przed sobą, wypatrując zniszczonych kostek dłoni, a nawet większych kości bądź ich odprysków, nierozwleczonych przez kojoty czy susły, wystających z dołków w popiele, twardej, maleńkiej formy odlewniczej śmierci.

*Ryk jest głośny i narasta, ale chmura wydaje się rozwiewać. To, czego nie mogą dostrzec z miejsca, w którym stoją, to lahar rozdzielający się na długie palce, znajdujący już wyżłobione i wyrze w gruncie kanały, docierający resztkami sił, sięgający coraz dalej, ale też coraz słabiej. Nie mogą dostrzec wyraźnie tej nowej groźby, próbującej wszelkimi słabnącymi siłami ich zabić.*

*Może przeżyją.*

Byliby na prawo od niego, jeśli są tu w ogóle, jeśli przebywali tu jeszcze. Ich kości mogły się już przed wiekami rozpaść w pył i stoczyć ze skarpy. Szedł tak blisko tej skarpy, że być może nic nie pozostało. Rzeka płynęła wówczas wyżej, jej łożysko jeszcze się nie zużyło i nie pogłębiło; skarpa mogła wznosić się dostatecznie wysoko, aby ich powstrzymać...

*Wódz patrzy na północny zachód. Czoło zamierającego laharu z rykiem biegnie kanałem. Oczy wodza się rozszerzają, jego nozdrza drżą z wściekłości i rozczarowania. Widzi*

*dymiący, kłębiący się, skaczący wał błota i parującej wody, który wypełnia jego oczy, mózg. Posuwa się szybciej, niż mogą biec. Przykucają, a on mknie z rykiem obok nich, pod nimi, podkopując zbocze. Wspinają się na skarpe, szukając tam bezpieczeństwa, ale lahar się wznosi, pochłania ich, gdy unoszą ramiona. Gęsty płyn zastyga, a wódz słyszy wrzaski pozostałych, lecz tylko przez chwilę.*

Mitch wstrzymał oddech.

Ich kobiety musiały zginąć w tej samej chwili, najwyżej kilka sekund wcześniej bądź później, po drugiej stronie rzeki Spent.

*Wódz pada z rękoma nad głową. On, jego synowie i łowcy przez dziesiętne części sekund walczą z zastygającym błotem, a potem muszą leżeć nieruchomo. Lahar pokrywa ich powłoką o grubości ponad dwóch stóp, naszpikowaną patykami, odłamkami pni i skał wielkości pięści, resztkami martwych zwierząt.*

Mitch uspokajał się w miarę chodzenia. Rzeczy wydawały się układać we wzór. Kiedy poszukiwał, jego umysł stawał się nieruchomym jeziorem.

*Ziemia jest gorąca i parująca. Nad rzeką nie przeżyło nic tkwiącego ponad gruntem. Odarte z liści krzewy przycupnęły połamane i zwiędłe wzdłuż biegu rzeki. Usmażone i na wpół zagrzebane ciała leżą pod plackami parującego błota. Grunt pachnie jak oparzelisko i gotowane na parze warzywa. Przypomina zapachem ziola upichcone wraz z gulaszem z kawałków mięsa.*

*Błoto stygnie.*

*A potem następuje trzeci opad popiołu, w promieniu wielu mil zagrzebujący szczątki mężczyzn i kobiet oraz spustoszone ziemie wzdłuż rzeki Spent.*

Było po wszystkim.

Mitch opuścił głowę i przyciskał palcem jedno oko, ale ból nadsięgał i tak. Musiał zapłacić cenę.

*Rod Taylor naciska dźwignię starego wehikułu czasu, ruszając w przyszłość. Błoto twardnieje pod szarym cahunem opadłego popiołu. Czas mknie naprzód. Ciała rozkładają się w swych formach odlewniczych, plamiąc twarde błoto. Mięso odpada, a kości grzechoczą podczas trzęsień ziemi, błoto i kamień pękają, szczelinami wpływa świeża woda i błoto, wypełniając zagłębienia szlamem o innej gęstości, innym składzie, unieruchamiającym ostatecznie kości.*

*Mężczyźni mogli pozostać.*

Mitch wiedział, że są tu nadal, gdzieś niedaleko.

Przestał chodzić i spojrzął w prawo, na stopień wycięty w skarpie setkami wieków

erozji. Najpierw nie potrafił dostrzec, co zwróciło jego uwagę; kryło się za bolesnym, drobnym odpryskiem światła.

Wierzchołek stopnia ze skamieniałego błota znajdował się co najmniej sześć stóp nad jego głową. Wieńczyło go ciemnoszare pasemko, przykryte peruką z gleby i zarośli. Jego wzrok przesłoniła jednak jaskrawa kula i widział jedynie lśniąca brązową czapę, leżącą poziomo na skale.

Ledwo ośmielał się oddychać.

Zgarbił się, zwiesił ręce, opadł kolanami na kopczyk ze zwietrzałych grudek i kamyków. Sięgnął palcem prawej ręki i przesunął nim wzdłuż zbitego szarego popiołu i spieczzonego skamieniałego błota.

W stwardniałej warstwie tkwiło coś mocno. Mogło być kością jelenia, koziorożca albo owcy kanadyjskiej.

Ale nie było. To ludzka goleń, kość piszczelowa. W tej warstwie musi być co najmniej równie stara co kości w obozie. Sięgnął w dół jedną ręką, od czego w jego prawym oku trysnęły iskry, pomacał za kawałkami, które tam widział, za ciemnobrązową kością skokową tkwiącą w skale.

Trzymał ją, obracał, aż zdołał zobaczyć wyraźnie. Była mała, ale także ludzka, a przynajmniej należąca do *Homo*. Odłożył ją na miejsce. Położenie będzie ważne podczas badań.

Z kieszeni kurtki wziął szpikulec dentystyczny i pracował nim w stwardniałym błocie i popiele wokół kości skokowej, aż nabrał pewności, długie minuty walcząc z bólem w czaszce. Potem usiadł, oparty plecami, i podciągnął kolana.

Dłużej nie mógł już wytrzymać. Nadeszła migrena. Tak silnej nie miał od ponad dziesięciu lat. Szpikulec dentystyczny wypadł mu z ręki, gdy zwinął się na ziemi, próbując nie jęczeć.

Zdołał wyciągnąć jeden palec i pogłodzić na wpół zagrzebaną kość.

- Znalazłem ciebie - powiedział. Potem zamknął oczy i poczuł, że przetacza się nad nim jego własny lahar.

Monitor Dickena wypełniły wyniki porównań ekspresji białek w tkankach embrionów na różnych etapach rozwoju, poszukiwań wymykających się przełączników retrowirusowych lub transpozonów, które mogły się zakraść do zespołu genów rozwojowych, kierujących powstawaniem błony dziewiczej u ludzi płci żeńskiej. Nawet przy zastosowaniu wstępnego poszukiwania i porównywania - niewiarygodne, ale znalazł trochę danych na ten temat w literaturze - praca zapowiadała się na zajmującą miesiące bądź lata.

Doktor Jurie przesunął Dickena na najmniej zagrażające i ciekawe stanowisko w Ośrodku Patogeny Sandia. Umieścił go w zamrażarce, gdzie dla nikogo nie stanowił niebezpieczeństwa, trzymając, dopóki nie będzie potrzebny.

Dziwaczny taniec użyteczności i zabezpieczenia. Jurie trzymał Dickena na smyczy, aby móc zawsze wiedzieć, gdzie ten jest i co zamierza robić, a może też, aby korzystać z jego wiedzy i umiejętności.

Ale czy także, aby się przyznać? Aby zostać przyłapanym? Dicken nie był w stanie niczego wykluczyć, jeśli chodziło o Arama Juriego.

Obok przeszedł mężczyzna z listą długich, rozwlekłych wiadomości przysłanych e-mailem, zaszyfrowanych, nieuchwytnych, trochę zbyt pobudzających wyobraźnię, aby mogły pocieszyć Dickena. Jurie mógł na coś wpaść, pomyślał Dicken w pokrętnym i szalonym, ale niezaprzeczalnie wielkim przeczuciu.

Jurie podzielał przekonanie - niezupełnie nowe - że wirusy odgrywają zasadniczą, lecz nieokreśloną rolę w niemal każdej fazie rozwoju embrionów. Wysuwał jednak pewne ciekawe domysły dotyczące tego, jak to czynią:

„Wirusy genomowe chcą brać udział w wielkiej grze, ale jako gracze genetyczni są proste, ograniczone, wypadłe z łask. Nie mogą działać nic wielkiego, zajmują się więc potajemnymi, małymi szczegółami, zaś wielka gra je toleruje, a następnie przywyka do ich delikatnych gier...

Jako słabe, wirusy endogenne mogą polegać na wielce odmiennej formie apoptozy, zaprogramowanej śmierci komórki. ERV-y mogą niekiedy ulegać ekspresji i na powierzchni

komórki umieszczać antygen. Czynniki systemu immunologicznego wykrywają taką komórkę i ją zabijają. Koordynując sposób umieszczania antygeny i wybierając komórki, wirusy genomowe są w stanie uczestniczyć z grubsza w kształtowaniu embrionu, a nawet we wzroście ciała już po porodzie. Czynią to oczywiście po to, aby zwiększać swą liczebność i wzmacniać pozycję w gatunku, w rozszerzonym genomie. Osiągają to poprzez słabą, lecz ustawiczną kontrolę, pomimo ciągłego i potężnego nacisku systemu immunologicznego.

I u ssaków zwyciężyły. Niektóre z najbardziej zasadniczych aspektów naszego życia oddaliśmy we władanie wirusom, jedynie po to, aby nasze dzieci zyskały czas na rozwijanie się w łonie, a nie w ograniczającym je jajku; czas na rozwijanie bardziej złożonych układów nerwowych. Skalkulowane ryzyko. Wszystkie nasze pokolenia są trzymane w szachu, gdyż mają dług wdzięczności wobec genów wirusowych.

Zupełnie jak zaciągnięcie pożyczki u mafii...

Maggie Flynn zapukała w otwarte drzwi gabinetu Dickena.

- Ma pan chwilkę? - zapytała.

- Nie bardzo. A o co chodzi? - odparł Dicken, okręcając się w fotelu obrotowym.

Flynn wyglądała na rozgorączkowaną i zmartwioną.

- Coś się kroi. Jurie wyjechał poza ośrodek. Powiedział, że mamy siedzieć cicho i nie puszczać pary. Nie sądzę, abyśmy zdołali. Po prostu nie jesteśmy przygotowani.

- Na co?

- Potrzebujemy rady specjalisty - powiedziała Flynn. - A pan może być tym specjalistą.

Dicken wstał i wbił ręce w kieszenie spodni, czujny i ostrożny.

- O jakiego rodzaju radę chodzi?

- Mamy nowego gościa - odparła Flynn. - Nie małpę. - Ani trochę nie wyglądała na zadowoloną z tej nowiny.

Skoro Maggie Flynn sądziła, że Dicken cieszy się zaufaniem Juriego, to dlaczego miałby ją wyprowadzać z błędu? Jej przepustka może pozwolić uciec im obojgu, jeśli zablokują jego własną - przekonał się o tym poprzedniego dnia, kiedy odwiedzał laboratorium Presky'ego, badające stekowce.

Flynn wyprowadziła go poza budynek do wózka golfowego i powiozła wokół pięciu połączonych magazynów zawierających zwierzyńiec. Pod gołym niebem, z dala od urządzeń podsłuchowych, wypowiadała się bardziej otwarcie.

- Pracował pan z dziećmi SHEVY - zaczęła. - Ja nie. Mamy ciężkie położenie,



problem zarówno medyczny, jak i etyczny, i nie wiem, jak się do niego zabrać. Jestem jedyną mężatką w tym bloku, dlatego też Turner wybrał mnie, abym zapewniła pewne wsparcie moralne, nawiązała dobre stosunki... ale przyznam szczerze, nie mam pojęcia, co robić.

- O czym pani mówi? - zapytał Dicken.

Flynn zatrzymała wózek, zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Nie wie pan? - odparła pytaniem, podnosząc głos o jeden stopień.

Umysł Dickena zaczął gnać i dostrzegł, że na wyciągnięcie ręki ma złoty klucz.

*Pracował pan z... Jestem jedyną mężatką...*

Robią to. Zrobili. Poczul, jak przyspiesza mu tętno, i miał nadzieję, że tego nie widać.

- Och - powiedział w niezłym naśladownictwie beztroski. - O dzieciach wirusa.

Flynn przygryzła wargę.

- Nie lubię tego określenia. - Wprawiała wózek w ruch, popychając mały drążek sterujący. - Jurie nigdy nie pracował z nimi bezpośrednio. Tylko z okazami. Podobnie Turner, a Presky zajmuje się oczywiście tylko zwierzętami, bez najmniejszej czułości wobec nich. Pomyśleliśmy o panu. Turner powiedział, że na pewno to dlatego pan tu jest, dlatego rzucił w diabły pracę teoretyczną - aby mieć swobodę zrobienia czegoś takiego, kiedy nadejdzie pora.

- No dobra - powiedział Dicken, nakładając maskę profesjonalnej ostrożności. Zacisnął usta, aby powstrzymać się przed zdradzeniem czegoś albo palnięciem jakiegoś głupstwa.

- Coś poszło źle na granicy, nie wiem co. Nie we wszystko jestem wtajemniczana. Jurie jest w Arizonie. Turner powiedział, aby sprowadzić pana, zanim wróci. - Jej uśmiech był niepewny i rozpaczliwie wysiłony. - Myszki harcują.

Mimo wszystko istniała wewnętrzna konspiracja, choć niezbyt przekonująca. Flynn wydawała się oczekiwać, że Dicken powie coś uspokajającego i gładkiego. Całe przekłete laboratorium działało na wysokich dawkach narkotycznej gładkości, jakby dla ukrywania dręczącej świadomości, że to, co robi, może któregoś dnia ściągnąć na nich dochodzenie Trybunału Haskiego.

- Bóg błogosławi zwierzęta i dzieci - powiedział Dicken.

- Jedźmy.

Na północ od zespołu budynków magazynowych Ośrodka Patogenezy segmentowe, nadmuchiwane, srebrne ogrodzenie przysiadło na czarnym przestworze parkingu niczym jakaś olbrzymia, nieznaną larwa. Korytarz łączył ogrodzenie z magazynem numer 5, w którym znajdowała się większość laboratoriów badających małpy naczelne. Dicken zauważył dwa znajdujące się na zewnątrz kompresory, a w południowym krańcu wielkiej kielbasy skomplikowany, dopiero co zamontowany zestaw sterylizacyjny.

Nie uświadamiał sobie, jak olbrzymie jest ogrodzenie, dopóki niemal na nie nie wpadł. Cały zespół dorównywał wielkością magazynowi i zajmował co najmniej akr powierzchni.

Zaparkowali wózek golfowy i przez wrota dostawcze weszli do magazynu nr 5. Turner czekał na nich w małej klinice wewnątrz - klinice szpitalnej, z wyposażeniem przeznaczonym wyraźnie dla ludzi, a nie tylko dla naczelnych.

- Cieszę się, że byłeś w stanie, Christopherze - powiedział.

- Jurie jest zajęty jakimś zamieszaniem na granicy. Grupa buntowników zablokowała autobus laboratoryjny, nie pozwala mu wjechać do Arizony. Najwyraźniej pomaga im miejscowa policja. Jurie musiał w ostatniej chwili zamówić inny autobus i skierować go tak, aby omijał blokady na drogach.

- Nic w tym dziwnego - stwierdziła Flynn. Dicken zerkał na nich oboje. To, co dostrzegł, zmroziło go. Gładkość znikła całkowicie. Wiedzieli, że ich kariery wiszą na włosku.

- Przygotowania były sprawą oczywistą, ale Jurie powiedział nam dopiero wczoraj - dodał Turner. Ich słowa nałożyły się na siebie.

- Jest bardzo nieszczęśliwą dziewczyną - powiedziała Flynn.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle powinna tu być - dorzucił Turner.

- Jest w ciąży - wyjaśniła Flynn.

- Zgwałcona, podobno. Przez przybranego ojca - uzupełnił Turner.

- O Boże, nie wiedziałam, że to był gwałt. - Flynn przycisnęła do policzka knykcie dłoni. - Ma dopiero czternaście lat.

- Sprowadzili ją ze szkoły w Arizonie - powiedziała. - Jurie nazywa ją naszą szkołą. To stamtąd dostajemy większość okazów.

- Jest w ciąży? - zapytał Dicken, oszołomiony, a potem się zastanowił, czy nie zrzucił przy tym maski.

- Nawet w klinice wie o tym mało kto - odparł Turner. - Byłbym wdzięczny za odrobinę dyskrecji.

Dicken pozwolił, aby ujawniło się jego zaskoczenie.

- To bardzo poważne. - Głos mu się łamał. - Ale ma przecież 52xx. Co z poliploidalnością?

- Wiem tylko to, co widziałem na własne oczy - powiedział ponuro Turner. - Jest w ciąży z przybranym ojcem.

- To naprawdę niesamowite - uznał Dicken.

- Przybyła do szkoły miesiąc temu - wyjaśniał Turner. - Wykryliśmy, że jest w ciąży,

kiedy badaliśmy próbki jej krwi. Jurie o mało nie dostał zawału, kiedy laboratorium przekazało mu wyniki. Wpadł w euforię. W zeszłym tygodniu, nie mówiąc nic nikomu z nas, uzyskał przekazanie jej do Ośrodka Patogenezy.

- Strasznie się wściekłam - powiedziała Flynn. - Mogłabym wydrapać mu oczy.

- Co innego mogliśmy zrobić? Szkoła nie była w stanie się nią opiekować, a jest cholernie pewne, że żaden szpital nie wpuściłby jej za próg.

Dicken podniósł rękę.

- Kto pracuje w klinice? - zapytał.

- Maggie, Tommy Wrigley - spotkałeś Tommy'ego na przyjęciu powitalnym - i Thomas Powers. Część ludzi sprowadzono z Kalifornii, nie znam ich. I oczywiście jest Jurie, od strony badawczej. Nigdy jednak nie odwiedził dziewczyny.

- Jaki jest jej stan?

- Jest mniej więcej w trzecim miesiącu. Nie najlepiej z nią. Sądzymy, że może mieć wzbudzonego przez nią samą shivera - odparła Flynn.

- To niepotwierdzone - powiedział ze złością Turner. - Zachowuje się, jakby miała gripę, i niewykluczone, że tak jest. Zachowujemy jednak przesadną ostrożność. I ta wiadomość nie może się roznieść... nie mówcie nikomu, nawet w Ośrodku Patogenezy.

- Ale doktor Dicken pozna, czy to shiver, prawda? - zapytała niepewnie Flynn. - Czy to nie dlatego Jurie sprowadził pana tutaj?

- Przyjrzyjmy się dziewczynie - zaproponował Dicken.

- Nazywa się Fremont, Helen Fremont - powiedziała Flynn. - Pochodzi z Nevady. Z Las Vegas, zdaje się.

- Reno - poprawił ją Turner. Potem, z twarzą sposepniałą w skrajnym strapieniu, ze zwieszonymi ramionami, dodał: - Nie sądzę, abym wytrzymał to dłużej. Naprawdę nie zdołam.

## 34

### Baltimore - Waszyngton

Kaye i Marge Cross siedziały w milczeniu na tylnej kanapie taksówki. Kaye wpatrywała się w obojętny kark kierowcy, widoczny pod turbanem; w lusterku wstecznym dostrzegła przelotnie jego uśmiezek. Gwizdał coś pod nosem, rozradowany. Dla niego posiadanie wnuczki SHEVY nie było najwyraźniej wielkim brzemieniem.

Kaye nie wiedziała za bardzo, jakie jest położenie dzieci SHEVY w Pakistanie. Na ogół kultury tradycyjne - muzułmańskie, hinduskie, buddyjskie - łatwiej przyjmowały nowe dzieci. Było to jednocześnie zaskakujące i upokarzające.

Cross zabębniła palcami po kolanie i wyjrzała przez okienko na szosę, na przejeżdżające samochody. Minęła je długa ciężarówka, boki jej dwóch przyczep zdobyły ogromne czerwone litery: TRANS-NATIONAL BIRMINGHAM PORK.

- Wydali na to mnóstwo pieniędzy - szepnęła Cross. Kaye uznała, że miała na myśli przeszczepy tkanek świńskich.

- Dokąd jedziemy, Marge? - zapytała.

- Po prostu przed siebie - odparła Cross, jej podbródek podskakiwał w górę i w dół, Kaye nie mogła mieć pewności, czy przytakuje, czy też jej zuchwa reaguje na koleiny wyrobione na drodze przez ciężarówki.

- Poddałeś adres w dzielnicy mieszkaniowej. Całkiem dobrze znam Baltimore i Maryland - powiedziała Kaye. - Zakładam, że mnie nie porywasz.

Cross obdarzyła ją lekkim uśmiechem.

- Cholera, to ty płacisz. Są tam pewni ludzie, z którymi, jak sądzę, zechcesz się spotkać.

- W porządku - powiedziała Kaye.

- Lars dość mocno przycisnął Roberta.

- Robert jest świętoszkowatym kutasem.

Cross wzruszyła ramionami.

- Mimo to nie zamierzam pójść za radą Larsa.

- Nie uważam, że pójdziesz - powiedziała Kaye. Z ogromną niechęcią traciła swe laboratoria i swych badaczy, nawet teraz. Zajmowanie się nauką było jedyną jej pociechą, a laboratorium jedynym miejscem, w którym mogła znaleźć schronienie i zatracić się w pracy.

- Pozwalam ci odejść - oznajmiła Cross.

Ku zdziwieniu Kaye, cios nie okazał się wcale taki ciężki. Teraz z kolei to ona potakiwała w rytm pracy giętkich resorów taksówki.

- Twoja praca u mnie dobiegła końca - powiedziała Cross.

- Świetnie - stwierdziła Kaye napiętym głosem.

- Czyżby?

- Oczywiście - odparła Kaye; jej serce dudniło mocno. *Robienie tego, co odkładałam.*

*Czego nie mogłam robić samotnie.*

- Co więcej mogłabyś robić w Americolu?

- Prowadzić czyste badania nad aktywacją hormonalną cząsteczek retrovirusowych u ludzi - odpowiedziała Kaye, nadal czeplając się przeszłości. - Skupiłabym się na systemach sygnalizacyjnych związanych ze stresem. Przekazywaniu przez ERV do komórek somatycznych czynników transkrypcyjnych i genów regulacyjnych. Badaniu wirusów jako powszechnych w ciele systemów transportu genetycznego i regulacyjnych. Dowiedzeniu, że model wszechchorobowy jest błędny.

- To dobra dziedzina. Troszkę zbyt szalona dla Americolu, lecz mogę wykonać parę telefonów i znaleźć ci miejsce gdzieś indziej. Szczerze powiem, nie sądzę, abyś miała na nią czas.

Kaye uniosła brwi i zacisnęła wargi.

- Skoro już mnie nie zatrudniasz, skąd możesz wiedzieć, ile będę mieć czasu?

Cross się uśmiechnęła, ale uśmiech ten szybko przeminął. Skrzywiła się, patrząc przez okno.

- Robert wybrał niewłaściwy młot, aby cię nim zdzielić - powiedziała. - A przynajmniej uderzył w obecności niewłaściwej kobiety.

- Jak to?

- W sierpniu przed dwudziestoma trzema laty zaczęłam pozyskiwać kapitał wysokiego ryzyka dla mojej pierwszej spółki. Wypełniałam kalendarz spotkaniami i wyczerpującymi obiadami biznesowymi. - Jej mina stała się tęskna, jakby wspominała dawny, cudowny romans. - Wtrącił się Bóg. Nie wybrał najwłaściwszej chwili, mówiąc oględnie. Uderzył mnie z taką mocą, że musiałam pojechać do Hamptons, gdzie przez tydzień ukrywałam się w pokoju hotelowym. Właściwie leżałam tam zemdlona.

Unikała patrzenia w oczy, jak mała dziewczynka wyznająca swoją winę. Kaye pochyliła się, aby móc lepiej wpatrywać się w jej twarz. Nigdy dotąd nie widziała Cross równie bezbronnej.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak strasznie się bałam, że On to oznaka obłądu, epilepsji albo i czegoś gorszego.

- Myślałaś o tym jako o nim?

Cross przytaknęła.

- Uważasz, że to bez sensu w przypadku pary silnych kobiet? Wtedy bardzo mnie martwiło. Pomimo jednak całego zmartwienia, całego strachu, nigdy nie przyszło mi do głowy, aby odwiedzić pracownię radiologiczną. Pomysł był błyskotliwy, Kaye. Nie tandetny, ale błyskotliwy.

Kaye popatrzyła na twarz kierowcy w lusterku wstecznym. Wyraźnie starał się

zamykać uszy na słowa wypowiedziane na tylnej kanapie, zapewniać im prywatność, ale bez większego powodzenia.

- Miłość nie jest odpowiednim słowem, ale innego nie mamy. Miłość bez pożądania. - Cross wyciągnęła palce z nieskazitelnym manicure, aby otrzeć skórę pod oczami. - Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Ktoś w rodzaju Roberta wykorzystałby to przeciwko mnie.

- Przecież to prawda - powiedziała Kaye.

- Nie, wcale - odparła Cross z rozdrażnieniem. - To doświadczenie osobiste. Było rzeczywiste dla ciebie i dla mnie, ale doprowadziłoby nas donikąd na tym twardym, okrutnym świecie. Taka sama wizja mogła skłaniać innych do palenia staruszek jako czarownic albo zabijania Anglików, jak w przypadku Joanny d'Arc. Rozkręcić dawną Inkwizycję.

- Nie sądzę.

- Skąd możesz wiedzieć, czy rzeźnicy i mordercy nie otrzymują takiego przesłania?

Kaye musiała przyznać, że nie może.

- Niezmiernie wiele czasu spędziłam na próbach zapomnienia, aby być w stanie wykonywać pracę, która była konieczna do osiągnięcia celu, jaki sobie wyznaczyłam. Czasami praca bywała okrutna, polegała na niweczeniu marzeń innych. I kiedykolwiek wracała mi pamięć, znowu byłam zmiażdżona. Ponieważ wiedziałam, że ta rzecz, to, On, nigdy mnie nie ukarze, obojętnie, co bym uczyniła albo jak bym się zachowywała. Nie chodzi o wielkoduszność, o osądzanie. Jedynie o miłość. On nie może być rzeczywisty - powiedziała Cross. - To, co On mówi i co czyni, nie ma najmniejszego sensu.

- Dla mnie wydaje się rzeczywisty.

- Czy słyszałaś kiedyś, co spotkało Tomasza z Akwinu? - zapytała Cross.

Kaye pokręciła głową.

- Jest najbardziej cenionym teologiem. Niesamowity mistrz myślenia, logiczny ponad wszelką miarę - i dość trudny do czytania obecnie. Bystry jednak, bez najmniejszych wątpliwości, i młody jeszcze człowiek, kiedy już się wybił. Uczeń Alberta Wielkiego. obrońca Arystotelesa w Kościele. Pisywał opasłe traktaty. Podziwiany w całym chrześcijaństwie, i po dziś dzień darzony szacunkiem jako myśliciel. Rankiem 6 grudnia 1273 roku odprawiał w Neapolu mszę. Był starszy, mniej więcej w moim wieku. W samym środku kazania przestał mówić, nie patrzył na nic. Albo patrzył na w s z y s t k o. Wyobrażam sobie, że musiał się gapić jak cieleń na malowane wrota. - Mina Cross była trochę zagadkowa, nieodgadniona.

Przestał pisać, dyktować, przestał pracować nad *Summą*, dziełem swego życia. A kiedy nalegano, aby wyjaśnił, czemu tak postępuje, odpowiedział: „Nie mogę nic więcej robić;

zostały mi objawione takie rzeczy, że wszystko, co napisałam, wydaje się plewami, a teraz oczekuję na kres życia". Zmarł po kilku miesiącach. - Cross prychnęła. - Nic dziwnego, że Akwinacie odebrało mowę, biedakowi. Poznają hierarchię, kiedy się z nią zetknę. W porównaniu z tym, co mnie dotknęło, stoję tylko odrobinę wyżej od robaka wijącego się w kałuży. Nie ośmieliłabym się powiedzieć Bogu, jak ma postępować. - Uśmiechnęła się. - Tak, kochana, stać mnie na pokorę. - Cross poklepała Kaye po dłoni. - Tak to jest. Jesteś wylana. Zrobiłaś wszystko, co miałaś do zrobienia, obecnie, w moim przedsiębiorstwie.

- A co z Jacksonem? - zapytała Kaye.

- Jest ograniczony, ale nadal przydatny, ma ciągle ważną pracę do wykonania. Wyznaczę Larsa, aby miał na niego oko.

- Jackson nic nie rozumie - powiedziała Kaye.

- Jeśli chodzi ci o to, że ma klapki na oczach, to teraz właśnie tego od niego oczekuję. Dopisze wszystkie kreseczki w *t* i postawi wszystkie kropki nad *i*, próbując dowieść, że ma rację. To w nim dobre.

- Przecież nie będzie miał racji.

- Ale zrobi to w sposób bardzo staranny. - Cross była niewzruszona. - Problem Roberta był znany Akwinacie. Nazywał to *ignorantia affectata*, zachowywana umyślnie niewiedza.

- Bóg powinien go dotknąć - stwierdziła Kaye z goryczą, a potem zarumieniła się w zakłopotaniu, jakby był to rodzaj kary.

Cross przez chwilę rozważała to z całą powagą.

- Byłam zdumiona, że Bóg dotknął mnie - powiedziała. - Byłabym wstrząśnięta, gdyby zechciał mieć cokolwiek wspólnego z Robertem.

## 35

### Nowy Meksyk

Wewnątrz srebrnego namiotu stało osiem przyczep mieszkalnych przeciętnej wielkości, spoczywających na drewnianych klocach na pomarszczonej i poplamionej podłodze z szarego tworzywa sztucznego. W odległości trzydziestu stóp otaczał je krąg ekranów z przezroczystego plastiku, zwieńczonych drutem kolczastym. Przyczepy ani trochę nie wyglądały na wygodne czy przyjemne.

Dicken próbował się zorientować w mocno przygaszonym świetle, przesączającym się przez srebrny namiot. Weszli do niego od zachodu. Północ była więc tam, gdzie stała mała

furgonetka Urzędu Stanu Wyjątkowego, przypuszczalnie ta sama, która przywiozła z Arizony Helen Fremont. Na południe od domów na kółkach i ściany z tworzywa sztucznego i drutu kolczastego rozstawiono mały labirynt stołów laboratoryjnych i innych, na których rozmieszczono standardowe wyposażenie medyczne i przyrządy laboratorium diagnostycznego.

Kilka silnych lamp łukowych, zamontowanych na wysokich stalowych słupach, uzupełniało swym blaskiem przyćmione światło słoneczne.

Dicken pod namiotem nie dostrzegł nikogo więcej.

- Zespołu nie ma jeszcze na miejscu - powiedziała Flynn. - Zachorowała dopiero dziś rano.

- Czy jest połączenie telefoniczne z przyczepą, domofon, megafon, cokolwiek?

Flynn pokręciła głową.

- Dopiero je zakładamy.

- Niech to szlag, jest tam sama?

Turner przytaknął.

- Od jak dawna?

- Od dzisiejszego ranka - odpowiedziała Flynn. - Weszłam do środka i próbowałam ją zbadać. Odmówiła, ale zrobiłam kilka zdjęć, oczywiście jest też zapis wideo. Przeprowadzamy badania ścieków i wychodzącego powietrza, ale służące do tego przyrządy nie są mi dobrze znane. Nie ufam im, dlatego zabrałam próbki do laboratorium badań naczelnych. Nadal są obrabiane.

- Czy Jurie wie, że dziewczyna choruje? - zapytał Dicken.

- Zadzwoniliśmy do niego - odparł Turner.

- Czy wydał jakieś polecenia?

- Powiedział, aby zostawić ją w spokoju. Nikt nie ma do niej wchodzić, dopóki nie nabierzemy pewności.

- Ale Maggie weszła.

- Musiałam - powiedziała Flynn. - Wyglądała na bardzo przestraszona.

- Była pani w kombinezonie?

- Oczywiście.

Dicken okręcił się na sztywnej nodze i przechylił głowę na bok, przygryzając policzek, aby nie zdradzać się ze swoim zdaniem. Był wściekły.

Flynn wołała nie patrzeć mu w oczy.

- Taka jest procedura. Wszystkie badania należy przeprowadzać zgodnie z rygorami



Poziomu 3.

- Bo przecież u diabła przestrzegamy co do joty wszystkich cholernych zasad? - zapytał Dicken. - Czy przynajmniej poprosiliście ją, aby wyszła sama i pozwoliła zbadać się lekarzowi?

- Nie wyjdzie - odparł Turner. - Mamy śledzące ją kamery wideo, jest w sypialni. Leży tam ciągle.

- Paradnie - powiedział Dicken. - Czego u diabła ode mnie oczekujecie?

- Mamy zdjęcia - odrzekła Flynn, wyjmując z kieszeni swój telefon rejestrujący dane.

- Niech pani pokaże - poprosił.

Na ekranie komórki wywołała kolejno pięć zdjęć. Dicken zobaczył młodą dziewczynę SHEVY o ciemnobrązowych włosach, jasnoniebieskich oczach z żółtymi plamkami, delikatnych rysach, lecz wydatnych kościach policzkowych, bladej cerze. Chore dziecko przypominało przestraszonego kota, wpatrującego się w niewidoczne zakamarki, tak przerażonego, że nie dawało się go do niczego zmusić.

Dicken mógł stwierdzić, że dziewczyna nie wykazuje widocznych objawów shivera - na jej pątkowatych rękach nie było żadnych skaleczeń, na szyi żadnych szkarłatnych znamion w kształcie obręczy. Uaktualniany na żywo wykres, załączony po zakończeniu serii zdjęć, pokazywał temperaturę 102 stopni Fahrenheita.

- Zdalny odczyt temperatury?

Flynn przytaknęła.

- Powiedziała pani, że stężenie wirusów jest u niej wysokie.

- Skaleczyła się, wsiadając do furgonetki. Zakazano im pobierania krwi, ale zachowali płamę i pobraliśmy próbkę w kontrolowanych warunkach. To dlatego furgonetka tu pozostała. Dziewczynka wydziela HERV-y.

- To oczywiste, jest w ciąży. Nie wykazuje żadnych objawów niezbędnych do zdiagnozowania shivera - powiedział. - Dlaczego sądzicie, że go ma?

- Doktor Jurie powiedział, że to możliwe.

- Juriego tu nie ma, a wy jesteście.

- Przecież jest w ciąży - powiedział Turner z jękiem, jakby to wyjaśniało ich zatroskanie.

- Czy przeprowadziliście testy na wirusy pseudotypowane?

- Nadal badamy próbki - odparł Turner.

- Macie cokolwiek?

- Jeszcze nie.

- Miał pan shivera - powiedziała ponuro Flynn. - Powinien pan zachować największą ostrożność. - Wyglądała teraz bardziej na rozzłoszczoną niż zmartwioną. Zastanawiali się, po której stronie stoi, i skłaniał się coraz bardziej ku temu, aby im to zdradzić.

- Nie potrzebuję nawet kombinezonu - stwierdził ze wzgardą i odrzucił Flynn jej komórkę. Ruszył w stronę przyczepy mieszkalnej.

- Zaczekaj! - zawołał Turner, czerwony na twarzy. - Jak wejdiesz tam bez kombinezonu, to już zostaniesz. Nie będziemy mogli... nie z e c h c e m y cię wypuścić.

Dicken odwrócił się i ukłonił, wyciągając ręce w przesadnym geście błagającym o litość. Czekająca praca do wykonania, zagadka do rozwiązania, a gniew w tym nie pomoże.

- No to dajcie mi ten cholerny kombinezon! I telefon albo inną łączność. Dziewczyna musi się komunikować ze światem zewnętrznym. Musi z kimś porozmawiać. Gdzie są jej rodzice, to znaczy jej matka?

- Nie wiemy - odpowiedziała Flynn.

Wąskie pomieszczenia wewnątrz domu na kółkach były posprzątane i ponure. Wyglądające na wynajęte meble, pokryte beżowymi i żółtymi obiciami z winylu, nadawały im wygląd taniej i bezdusznej praktyczności. Dziewczyna nie wniosła żadnych rzeczy osobistych, nie dotknęła żadnych z pluszowych zwierząt stojących na półkach w ciasnym saloniku, nadal w plastikowych opakowaniach.

Dicken zastanawiał się, kiedy zakupiono pluszowe zwierzątka. Od jak dawna Jurie planował sprowadzenie do Ośrodka Patogenezy dzieci SHEVY?

Od roku?

Dwa krzesła leżały przewrócone w kącie jadalnym. Dicken pochylił się, aby je postawić. Zaskrzypiało tworzywo sztuczne jego kombinezonu. Zaczynał się już pocić, pomimo zamontowanego urządzenia klimatyzacyjnego. Od dawna żywił serdeczną nienawiść wobec kombinezonów izolacyjnych.

Rozejrzał się za innymi przeszkodami, które mogłyby naderwać plastik, potem przeszedł powoli do sypialni mieszczącej się z tyłu przyczepy mieszkalnej. Zapukał we framugę i zajrzał przez przymknięte do połowy drzwi. Dziewczyna leżała na łóżku na plecach, mając nadal na sobie rybaczki, bluzkę i kurtkę dżinsową. Wpatrywała się w sufit, odrzuciwszy na bok pościel z zielonego sztucznego włókna.

- Cześć.

Nie spojrzała na Dickena. Widział, jak porusza się jej wychudzona klatka piersiowa;

policzki miała zarumienione z gorączki, strachu, albo może rozpaczy.

- Helen? - Zbliżył się wąskim przejściem wzdłuż łóżka i pochylił, aby móc spojrzeć jej w twarz. - Nazywam się Christopher Dicken.

Przekręciła głowę na bok.

- Odejdź. Zarazisz się ode mnie - powiedziała.

- Wątpię, Helen. Jak się czujesz?

- Nie podoba mi się twój kombinezon.

- Też go nie lubię.

- Zostaw mnie samą.

Dicken wyprostował się i z pewnym trudem założył rękę. Kombinezon zachrząścił i zaskrzypiał, Christopher poczuł się teraz jak jedno z owiniętych w plastik pluszowych zwierzątek.

- Powiedz mi, jak się czujesz.

- Rzygać mi się chce.

- Wymiotowałaś?

- Nie - odparła.

- To dobrze.

- Próbowałam. - Dziewczyna usiadła na łóżku. - Powinieneś się mnie bać. Matka kazała mi tak mówić wszystkim, którzy próbowaliby mnie dotknąć czy porwać. Powiedziała, „Korzystaj z tego, co masz”.

- Nie zarazasz ludzi, Helen - powiedział Dicken.

- Chciałabym zarażać. Chciałabym, aby on zachorował.

Dicken nie potrafił wyobrazić sobie jej bólu i rozpaczy, nie czuł się też dobrze, zgłębiając jej uczucia.

- Nie mogę powiedzieć, że cię rozumiem. Nie rozumiem.

- Przestań gadać i odejdź.

- Dobra, nie będziemy o tym mówić. Musimy jednak porozmawiać o tym, jak się czujesz, chciałbym też cię zbadać. Jestem lekarzem.

- On też był! - warknęła. Przekręciła się na bok, nadal nie patrząc na Dickena. Zmrużyła oczy. - Bola mnie mięśnie. Czy umrę?

- Nie sądzę.

- Powinam umrzeć.

- Proszę cię, nie mów tak. Aby mogło ci się poprawić, muszę cię zbadać. Obiecuję, że nie zadam ci bólu ani nie skrzywdzę cię w żaden inny sposób.

- Przywykłam, że pobierają mi krew - powiedziała dziewczyna. - Przywiążują nas, jeśli walczymy. - Spojrzała uważnie na jego twarz okrytą kapturem kombinezonu. - Mówisz tak, jakbyś pomógł mnóstwu chorych ludzi.

- Paru by się znalazło. Niektórzy byli bardzo, bardzo chorzy, ale mimo to wydobrzeli.

- A niektórzy zmarli.

- Tak - przyznał Dicken. - Niektórzy zmarli.

- Nie czuję się zbytnio chora, chce mi się tylko wymiotować.

- Może to przez twoje dziecko.

Dziewczyna szeroko otworzyła usta, a jej policzki zbladły.

- Jestem w ciąży? - zapytała.

Dicken poczuł nagle, jak serce zamiera mu w piersi.

- Nic ci nie powiedzieli?

- Och, mój Boże - rzuciła dziewczyna i zwinęła się w kłębek, odwracając się od niego.

- Wiedziała. Wiedziała. Wywęchałam coś. To dziecko u mnie w środku. O mój Boże. - Nagle usiadła. - Muszę iść do łazienki.

Zatroskanie Dickena musiało być widoczne nawet przez kaptur.

- Nie zamierzam nic sobie zrobić. Muszę zwymiotować. Nie patrz. Nie przyglądaj mi się.

- Zaczekam na ciebie w saloniku.

Opuściła nogi z boku łóżka i wstała, po czym zaraz znieruchomiała, wyciągając ręce, jakby nie mogła utrzymać równowagi. Popatrzyła na podłogę udającą drewnianą.

- Nosił zatyczki w nosie i szorował mnie mydłem, a potem opryskiwał tanimi perfumami. Nie mogłam go skłonić, aby przestał. Mówił, że chciał się dowiedzieć, czy kiedykolwiek będzie miał wnuki. A przecież nie był nawet moim prawdziwym ojcem. Dziecko. O mój Boże.

Twarc dziewczynki wykrzywiła się w grymasie tak złożonym, że Dicken mógłby badać go godzinami i nadal nie pojąć. Domyślił się, co muszą czuć szympansy oglądające ludzkie minki.

- Przykro mi - powiedział Dicken.

- Czy spotkałeś kogoś takiego jak ja, kto byłby w ciąży? - zapytała dziewczynka, patrząc mu prosto w oczy poprzez sztuczne tworzywo, nie odwracając wzroku.

- Nie.

- Jestem pierwsza?

- Pierwsza, z którą się zetknąłem.

- No. - w jej oczach pojawiła się panika i dziewczyna poszła sztywno do łazienki. Dicken słyszał, jak próbuje zwymiotować. Przeszedł do saloniku. Zapach jego smutku i odrazy wypełniał hełm, a nie miał żadnej możliwości wytarcia oczu czy nosa.

Kiedy wyszła, stanęła na progu, a potem prześlizgnęła się przez drzwi, jakby się obawiała dotknąć framugi. Rozłożyła ręce na bok, jak skrzydła. Policzki nabrały stałej barwy złocistego brązu, a żółte iskierki w oczach wyglądały na jeszcze większe i jaskrawsze. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała kota. Patrzyła badawczo na Dickena.

- Czym się martwisz? - zapytała.

Dicken wewnątrz hełmu pokręcił głową.

- Trudno to wyjaśnić - powiedział. - Byłem tam na początku.

- Co to znaczy?

- Nie wiem, czy mamy czas - odparł. - Musimy się przekonać, dlaczego masz mdłości.

- Wyjaśnij mi, a będziesz mógł mi się przyjrzeć - powiedziała dziewczyna.

Dicken zastanawiał się, co zrobią pozostali na zewnątrz, jeśli w przyczepie spędzi parę godzin. A gdyby Jurie akurat wrócił...

Nie miało to żadnego znaczenia. Musi coś zrobić dla tej dziewczynki. Ona zasługuje na znacznie więcej.

Pociągnął za przykryty szew i odpiął hełm, a potem go zdjął. Na pewno nie było to największe ryzyko, na jakie porwał się w życiu.

- Dowiedziałem się jako jeden z pierwszych - zaczął.

Dziewczyna uniosła nos i powęszyła. Sposób, w jaki jej górna warga wygięła się w literę V, był tak niesamowicie piękny, że Dicken musiał się uśmiechnąć.

- Lepiej? - zapytał.

- Nie boisz się, jesteś zły - odparła dziewczyna. - Zły z mojego powodu.

Przytaknął.

- Nikt nigdy nie złościł się z mojego powodu. Pachnie to słodko. Usiądź w saloniku. Trzymaj się kilka stóp ode mnie, na wypadek, gdybym była zagrożeniem.

Przeszli do saloniku. Dicken usiadł na krześle w kącie jadalnym, a Helen stanęła przy kanapie, z założonymi rękoma, jakby była gotowa w każdej chwili do ucieczki.

- Powiedz mi - poleciała.

- Czy mogę cię badać jednocześnie z mówieniem? Nie musisz się rozbierać, niczym cię też nie ukłuję. Potrzebuję cię tylko obejrzeć i dotknąć.

Dziewczyna kiwnęła głową.

Jedyne, co słyszała, to pogłoski i półprawdy. Stała przez pierwsze kilka minut, gdy

Dicken lekko przyciskał palcami pod jej szczęką, pod pachami, zaglądał między palce rąk i nóg.

Potem usiadła na winylowej kanapie, słuchając uważnie i przyglądając mu się swymi niewiarygodnymi, krzeszącymi skry oczami.

## 36

### Arizona

Trzy samochody rozdzieliły się na skrzyżowaniach, przejeżdżając przez małe pustynne miasteczko. Stella patrzyła przez tylną szybę na niknącą kropkę samochodu wiozącego Celię, LaShawnę i dwóch chłopców. Potem odwróciła się, aby spojrzeć na Willa, który wyglądał, jakby zasnął.

Jobeth Hayden przez pierwsze pół godziny mówiła o swojej córce, o tym, jak jest zadowolona, że w autobusie nie było Bonnie, że nie zabrali jej do Sandii, choć także bardzo się rozczarowała, że jej nie zobaczyła i nie uwolniła.

Po chwili Stella poczuła, jak jej mięśnie napinają się, z opóźnieniem reagując na wstrząs doznany przy wypadku, i przestała słuchać Jobeth, skupiając się w zamian na kupce pogniecionych kartek, którą Will ułożył na siedzeniu między nimi.

Will otworzył oczy i się pochylił.

- Pani Hayden - powiedział i przesunął językiem po wyschłych wargach, unikając zaciekawionego wzroku Stelli.

- Słucham. Masz na imię William, prawda?

- Will. Chciałbym, aby pani to rozłożyła. - Kilka zgniecionych kartek upuścił na środek przedniego siedzenia.

- To śmieci. - Jobeth Hayden spojrzała na nie z niechęcią.

- Nie mogę zachować ich tutaj - powiedział Will.

- Nie rozumiem dlaczego.

Stella nie potrafiła się domyślić, do czego zmierza Will. Potarła nos. Pierwsze siedzenie było wystawione wprost na słońce. Will woniał. Mogła teraz wyczuć jego zapach, lekki, lecz wyrazisty, jak kakao w proszku i masło kakaowe. Nigdy dotychczas nie spotkała się z dokładnie taką wonią.

- Mogę? - zapytał Will.

Jobeth Hayden powoli pokręciła głową. Stella widziała jej oczy w lusterku wstecznym;

wyglądała na zmieszaną.

- No dobrze - powiedziała.

Stella podniosła zmiętą kartkę i powąchała ją. Rzuciła się w tył, opanowała chęć frąchania, popatrzyła z oburzeniem na Willa. Książka była zbiornikiem. Will pocierał się za uszami jej kartkami, przechowując zapachy. Stuknęła go palcem i mignęła policzkami w pytaniu. Wziął kartkę z jej dłoni.

- Nie chcemy jechać na to ranczo - powiedział Will do pani Hayden.

- Tam właśnie jedziemy. Jest tam lekarz. To bezpieczne miejsce, czekają na was.

- Znam lepsze - odparł Will. - Czy może nas pani zawieźć do Kalifornii?

- To niemądre - uznała Jobeth Hayden.

- Staram się tam dotrzeć już od ponad roku.

- Jedziemy na ranczo, koniec rozmowy.

Will do sadzawki promieni słonecznych na przednim siedzeniu wrzucił kolejną przesyconą zapachem kartkę. Stella wyczuwała teraz bardzo wyraźnie szczególny rodzaj perswadującej woni i choć bardzo się opierała, jego słowa zaczęły się jej wydawać rozsądne.

Pani Hayden jechała dalej. Stella zastanawiała się, czy zbyt mocne perswadowanie nie zamiesza jej w głowie i czy nie zboczy z drogi.

Will wtulił głowę w ramiona.

- Czujemy się dobrze. Nie potrzebuję lekarza./Ona czuje się dobrze, może nadal prowadzić.

- Spotkamy się z lekarzem w miasteczku w Arizonie, a stamtąd pojedziemy prosto na ranczo - powiedziała pani Hayden.

- To tuż za granicą stanu. Musiałaby pani przejechać przez Nevadę. Czy mogę popatrzeć na mapę?

Pani Hayden krzywiła się teraz mocno i zaczęła odrzucać w tył kulki pogniecionych kartek.

- Nie sędzę, aby to był dobry pomysł - powiedziała. - Co robisz?

- Chcę tylko popatrzeć na mapę - odparł Will.

- No, chyba mogę na to pozwolić, ale skończ proszę z tymi śmieciami. Myślałam, że zachowujecie się grzeczniej.

Stella dotknęła ramienia Willa.

- Przestań - szepnęła, nachylając się tak, że tylko on mógł słyszeć.

Will nie zwrócił uwagi na Stellę i znowu rzucił kartkę na przednie siedzenie, na sadzawkę słonecznego blasku, który ją rozgrzał i przyspieszył wydzielanie się z niej zapachu.

- To naprawdę nie do zniesienia - powiedziała pani Hayden, ale podniosła głowę prosto, a w jej głosie nie było złości. Sięgnęła ręką, otworzyła schowek na rękawiczki i podała Willowi mapę samochodową Arizony i Nowego Meksyku. - Nie korzystam z nich często - powiedziała. - Są dość stare.

Will wziął mapę i rozłożył ją na kolanach. Śledził palcem autostrady wiodące na północ i zachód. Stella wcisnęła się w kątek kanapy przy drzwiczkach i założyła ręce.

- Musisz siedzieć prosto, kotku - powiedziała jej pani Hayden. - Samochód ma boczne poduszki powietrzne. Nie jest bezpieczne opieranie się na nich.

Stella się wyprostowała. Will patrzył na nią. Plecy naprawdę ją teraz bolały. Spokojnie wyciągnął rękę i dotknął jej rąk, nóg, potem grzbietu.

- Co tam robicie? - zapytała pani Hayden, niezbyt zainteresowana odpowiedzią.

Will nic nie wyjaśnił, a Hayden go nie naciskała. Jego palce wędrowały lekko po kręgosłupie Stelli i ta przekręciła się, aby mógł zbadać dotykiem jej plecy.

- Nic ci nie będzie - powiedział Will.

- Skąd wiesz? - zapytała Stella.

- Pachniesz inaczej, jeśli krwawisz w środku albo jeśli masz coś złamanego. Jesteś tylko trochę potłuczona i nie sądzę, abyś miała uszkodzone nerwy. Wąchałem kiedyś chłopca ze złamanym kręgosłupem, miał smutny, okropny zapach. Ty pachniesz dobrze.

- Wolałabym, abyś nie mówił nam, co mamy robić - powiedziała Stella.

- Przystanę od razu, gdy tylko zabierze nas do Kalifornii - odparł Will. Nie wyglądał na zbyt przekonanego, nie pachniał też pewnością siebie. Zachowywał się jak nerwowy nastolatek.

- To piękny dzień/Nauczyłem się wiele w Karolinie Północnej - powiedział podwójnie.

- Cieszę się, że tu jesteś/To było, zanim spalili nasz obóz.

Stella nie spotkała nigdy kogoś równie biegłego w perswadowaniu. Zastanawiała się, czy to u niego talent wrodzony, czy też gdzieś się tego nauczył. Nie wiedziała także, czy będzie im groziło jakieś niebezpieczeństwo. Nie chciała jednak, w każdym razie jeszcze nie teraz, mówić o swych podejrzeniach pani Hayden, która najwyraźniej i tak je miała.

- Bądź łaskaw opuścić szybę - powiedziała pani Hayden.

- Robi się tutaj duszno.

- Jest dobrze, naprawdę - odparł Will. Jednocześnie podmową zwrócił się do Stelli: - Potrzebuję twojej pomocy. Nie chcesz się przekonać, na co nas stać?

Stella pokręciła głową, myśląc o Mitchu i Kaye, irracjonalnie wspominając dom w Wirginii, ostatnie miejsce, w którym czuła się naprawdę bezpiecznie, choć wówczas tylko się



łudziła.

- Nigdy nie chciałaś uciec? - zapytał Will niemal szeptem.

- Naprawdę jest duszno - powiedziała pani Hayden.

Willowi kończyły się kartki.

- Pomóż mi - błagał Will cichutko, żarliwie.

- Co to za miejsce? - zapytała Stella.

- Chyba gdzieś w lasach - odparł Will. - Jest ukryte, oddalone od miast. Mają zwierzęta i pola, z czego czerpią własną żywność. Uprawiają marihuanę i sprzedają ją, aby zdobywać pieniądze na różne rzeczy.

Marihuana była teraz legalna w większości stanów, ale i tak brzmiało to podejrzanie. Stella stała się nagle ogromnie ostrożna. Will zdradzał swoje przerażenie wyglądem i zapachem, rozczochranymi włosami i bogatą wonią kakao w proszku, twarzą, która wydawała się zdolna do mnóstwa min. *Był z innymi, nauczyli go tylu rzeczy. Czego mogliby nauczyć mnie... i co mogłabym sama dodać?*

- Czy będę mogła zadzwonić do rodziców?

- Nie są tacy jak my/Oddadzą cię z powrotem - odrzekł Will. - Powinniśmy być z naszym ludem/Dorośniesz i dowiesz się, kim naprawdę jesteś.

Stella poczuła, jak w dołku ścisła ją ze zmieszania i niezdecydowania. Tak właśnie rozmyślała w szkole. Nie można było tworzyć demów przy ludziach, którzy ich otaczali; zawsze znajdowali sposoby, aby w tym przeszkodzić. Z tego, co wiedziała, demy powstawały tylko po to, aby dzieci nabierały wprawy. Wkrótce staną się dorosłe i co zrobią wówczas?

Jak zdołają kiedykolwiek się przekonać, czy ludzie nie będą nadal się ich czepiać?

- Pora dorosnąć - stwierdził Will.

- Po co, jesteście tacy młodzi - powiedziała marzycielsko pani Hayden. Prowadziła pewnie i prosto, ale jej głos brzmiał niewłaściwie. Stella wiedziała, że szybko muszą zrobić coś wspólnie, bo inaczej pani Hayden dotrze do rozdroża i skręci w lewo bądź w prawo.

- Mam dopiero piętnaście lat - odparła. Tak naprawdę była jeszcze przed piętnastymi urodzinami, ale zawsze do swego wieku dodawała czas, w którym jej matka była w ciąży z płodem pierwszego stadium.

- Podobno jest tam jeden z naszych, który ma sześćdziesiątkę - powiedział Will.

- To niemożliwe - uznała Stella.

- Tak mówią. Jest z południa, z Gruzji<sup>25</sup>. A może z Rosji. Nie mieli pewności skąd.

- Czy wiesz, gdzie jest to miejsce?

Will kiwał rytmicznie głową.

- Pokazali nam mapę, zanim obóz został spalony.

- Czy to prawda?

Will nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

- Chyba tak/Chciałbym, aby to była prawda.

Stella zamknęła oczy. Przez powieki wyczuwała ciepło, słońce padające na jej twarz, wiszącą w górze czerwień, a poniżej wzbieranie wszystkiego, za czym tęsknił cały jej umysł, całe ciało. Bycie ze swoją odmianą, podążanie własną drogą, uczenie się wszystkiego, co konieczne, aby przetrwać wśród nienawidzących jej ludzi...

Byłaby to niewiarygodna przygoda. Warta narażania się nawet na takie niebezpieczeństwo.

- Tylko tego chcesz, wiem o tym - powiedział Will.

- Skąd mam wiedzieć, że jedynie mnie nie „perswadujesz”? - Jej policzki dodały nieświadomie cudzysłów, którym zaznaczyła to słowo, brzmiące tak niewłaściwie, tak wyzbyte z wszelkich niuansów, tak ludzkie.

- Zajrzyj do środka - odparł Will.

- Zajrzałam - przyznała Stella z lekkim jękiem, który sprawił, że pani Hayden się obejrzała.

- Wszystko dobrze - powiedziała Stella, mocno obejmując się rękoma. Opony zapiszczały, gdy pani Hayden wyprostowała samochód, który przez chwilę próbował zjechać z drogi.

Stella złapała się oparcia swego siedzenia.

- Pocę się jak świnia - powiedziała Willowi z chichotem.

- Ja też - odparł z krzywym uśmiechem. Zostało ostatnie pytanie.

- Co z seksem? - Stella zadała je tak cicho, że Will go nie usłyszał, i musiała powtórzyć te słowa.

- Nie wiesz? - odparł Will. - Ludzie mogą nas gwałcić, ale my nie robimy tego sobie nawzajem. Po prostu tak się nie zdarza.

- A jeśli mimo wszystko się zdarza, bo nie wiemy, co robimy ani jak wyplątać się z

---

<sup>25</sup> W oryginale Georgia, co może oznaczać zarówno Gruzję, jak i stan w USA; zapewne stąd skojarzenie Willa z południem. Pamiętamy jednak z Radia Darwina, że SHEVA pojawiła się w Gruzji wcześniej niż w Stanach (przyp. red.).

kłopotów?

- Nie mam na to odpowiedzi - przyznał Will. - Czy ktokolwiek ma? Ale wiem jedno. Nam się to nie zdarzy, dopóki nie przyjdzie właściwa pora. A ciągle jeszcze nie jest właściwa.

Było to dość uczciwe postawienie sprawy. Czowała, jak znowu staje się niezależna, a wszystkie odpowiedzi były takie same. Była silna. Była zdolna. Wiedziała o tym. Skupiła się na wonieniu na panią Hayden.

- Och - rzucił Will i pomachał ręką w powietrzu. - Pani, jesteś mocna.

- *Jestem kobietą/Jestem mocna* - zaśpiewała cicho Stella i razem zachichotali. Pochyliła się naprzód. - Proszę, czy może nas pani zawieźć do Kalifornii? - zapytała panią Hayden.

- Musimy stanąć, aby zatankować. Zabrałam mało pieniędzy.

- Wystarczy - powiedział Will.

- Potrzebujesz tej książki? - zapytała go Stella. Kartki tomu pożółkły, miały zagięte rogi, zostało ich niewiele ze *Spartakusa* Howarda Fasta w miękkiej okładce.

- Może - odparł Will. - Naprawdę nie wiem.

- Czy tego też nauczyłeś się w lasach? Pokręcił głową.

- Sam to wymyśliłem - powiedział. - Musimy być sprytni. Zabierali nas do Sandii. Chcieli zabić nas wszystkich. Musimy myśleć o sobie.

## 37

### Maryland

Taksówka przywiozła Kaye i Marge Cross do parterowego ceglanego domu przy sympatycznej, trochę zarośniętej chwałami uliczce w Randallstown w stanie Maryland. Trawa przed budynkiem miała stopę wysokości i już dawno temu wyschła na siano. Wielki, stary buick rivera z ubiegłego wieku, pokryty rdzą i kładzionymi bez zapału maźnięciami szarej farby do gruntowania, stał na ceglach na poplamionym olejem podjeździe.

Przeszły zarośniętą dróżką do ganku na froncie domu. Kaye stanęła na najniższym stopniu, nie wiedząc, gdzie patrzeć ani czego się spodziewać. Cross nacisnęła guzik dzwonka. Gdzieś wewnątrz urządzenie elektroniczne zagrało cztery nuty rozpoczynające V symfonię Beethovena. Kaye przyglądała się plastikowemu rowerowi o trzech wielkich, białych kółkach, który obok ganku niema] ginął w trawie.

Kobietą, która otworzyła drzwi, była Laura Bloch z gabinetu senatora Gianellego.

Uśmiechnęła się do Kaye i Cross.

- Cudownie, że mogliście tu przyjechać - powiedziała. - Witajcie w Marylandzkiej Grupie Doradczej do spraw Narodowej Polityki Biologicznej, jesteśmy komitetem zawiązanym doraźnie, a teraz odbędzie się posiedzenie otwierające jego pracę.

Kaye spojrzała na Cross z ustami wygiętymi w podkówkę wąpliwości i zaskoczenia.

- Należysz do niego - powiedziała jej Cross. - Nie wiem, czy ja też.

- Oczywiście, że należysz, Marge - stwierdziła Bloch. - Proszę was do środka, obie.

Weszły i stanęły w małym przedpokoju prowadzącym do salonu, oddzielonym niską ścianką i rzędem skręconych drewnianych kolumnienek. Wnętrze domu - brązowy dywan, kremowe ściany ozdobione zdjęciami rodzinnymi, klonowe meble w stylu kolonialnym oraz stół z płaskim komputerem, zasłany czasopismami - nie różniło się od wielu innych w całym kraju. Typowe wygody klasy średniej.

W jadalni przy klonowym stole siedziało siedem osób. Większość była zupełnie obca Kaye. Jedną kobietę jednak rozpoznała i jej twarz od razu się rozjaśniła.

Luella Hamilton przeszła przez salon. Chwilę stały przed sobą, Kaye w kostiumie ze spodniami, pani Hamilton w długim, pomarańczowo-brązowym kaftanie. Mocno przybrała na wadze, odkąd Kaye widziała ją po raz ostatni, w tym tylko niewiele wskutek ciąży.

- O dzieciątko Jezus! - zaczęła pani Hamilton, wybuchając cichym, szalonym śmiechem. - Dopiero co rozmawialiśmy przez telefon! Miałaś nie ruszać się z miejsca. Marge, o co w tym wszystkim chodzi?

- Znacie się? - zapytała Cross.

- No jasne - odparła Kaye. Nie wyjaśniła jednak skąd.

- Witam w rewolucji - powiedziała Luella, uśmiechając się promiennie. - Znasz Laureę. Przywitaj się z pozostałymi. Mamy tutaj grupę na całkiem wysokim poziomie. - Przedstawiła Kaye siedzącym przy stole trzem kobietom i czterem mężczyznom. Większość była w średnim wieku; najmłodsza osoba, kobieta, miała trzydzieści kilka lat. Wszyscy nosili garnitury albo eleganckie stroje biurowe. W oczach Kaye wyglądali na urzędników z Waszyngtonu, a spotykała ich wielu. Dostrzegła z zadowoleniem, że wszyscy mają plakietki z nazwiskami.

- Większość z nich pracuje dla kluczowych senatorów i kongresmenów, są ich zausznikami, choć niekoniecznie pełnomocnikami - wyjaśniła Laura Bloch. - Dopiero później połączymy kropki w jeden wzór. Panie i panowie, Kaye jest jednocześnie czynnym naukowcem i mamą.

- Jako jedna z pierwszych odkryła pani SHEVEĘ - powiedział jeden z dwóch

siwowłosych mężczyzn.

Kaye próbowała zaprzeczać, ale Bloch ją powstrzymała.

- Nie broń się przed uznaniem, Kaye, gdy jest zasłużone - powiedziała Bloch. - W ciągu tygodnia przedstawimy prezydentowi raport. Marge przysłała nam twoje wnioski dotyczące wirusów genomowych, a także mnóstwo innych prac. Nadal je przetrawiamy. Na pewno będzie do ciebie wiele pytań.

- Och, jeszcze jak - zachichotał mężczyzna w średnim wieku, nazwiskiem Kendall Burkett. - To gorsze niż praca domowa w szkole.

Kaye teraz go sobie przypomniała. Spotkali się cztery lata wcześniej na konferencji poświęconej SHEVIE. Zbierał fundusze na pomoc prawną dla rodziców SHEVY.

Luella wróciła z kuchni z dzbankiem soku pomarańczowego oraz talerzem z ciasteczkami i selerami naciowymi z masłem orzechowym i nadzieniem z serka śmietankowego.

- Nie wiem, po coście tu przyszli, ludzie - powiedziała grupie. - Żadna tam ze mnie kucharka.

Bloch położyła ręce na ramionach Luelli i ją objęła. Całkowicie się od siebie różniły. Kaye oceniała, że Luella jest w co najmniej szóstym miesiącu, choć ledwo to było widać po jej tęgiej postaci.

- Proszę usiąść - powiedziała najmłodsza kobieta. Wskazała puste krzesło obok siebie i się uśmiechnęła. Na jej plakietce widniało wydrukowane ładną czcionką nazwisko Linda Gale. Kaye знаła je skądś.

- To nasze drugie spotkanie - oznajmił Burkett. - Ciagle się poznajemy.

- Czy mogę ci nalać soku pomarańczowego, kochana? - zapytała Luella, a Kaye przytaknęła. Pani Hamilton napełniła jej szklankę. Kaye poczuła się bardzo poruszona. Nie wiedziała, czy ma się obrazić na Cross, że jej nie uprzedziła, czy też jedynie ją uściskać, a następnie Luellę. Zamiast tego obeszła stół i usiadła na krześle obok Gale.

- Linda jest asystentką szefa sztabu - wyjaśniła Bloch.

- Białego Domu? Pracuje dla prezydenta? - zapytała Kaye, przepełniona radością dziecka wyczekującego podarunku pod choinkę.

- Dla prezydenta - potwierdziła Bloch. Gale uśmiechnęła się do Bloch.

- Jestem już sławna?

- Najwyższa pora - odparła Luella, częstując przekąskami. Gale podziękowała, mówiąc, że musi zachowywać formę wojowniczką, ale inni brali ciasteczka i wyciągali szklanki po sok.

- Chodzi o dziedzictwo - powiedział Burkett. - W sondażach jest pół na pół. Sieć i media mają już dość siania paniki. Marge mówi nam, że społeczność nauki przychyli się do wniosku, iż dzieci SHEVY nie wywołują żadnych chorób. Czy podziela go pani?

W polityce nawet najwątlesza pewność może przenosić góry.

- Podzielam - odparła Kaye.

- Prezydent zasięga rady u wszystkich odłamów społeczeństwa - powiedziała Gale.

- Minęły już lata - stwierdziła Kaye.

- Linda jest po naszej stronie - przypomniała jej łagodnie Bloch.

- To już niedługo - zapewniła Luella z kiwnięciem głową; jej oczy były jednocześnie gniewne i mądre. - Hmm. Teraz jest naprawdę blisko.

- Pani doktor, mam pytanie dotyczące pani pracy - powiedział Burkett. - Jeśli mogę...

- Wszystko po kolei - przerwała mu Bloch. - Marge już to wie, ale ty, Kaye, musisz zyskać całkowitą pewność. Wszystko, co zostanie powiedziane w tym pokoju, pozostanie w najściślejszej tajemnicy. Nikt nie piśnie słówka nikomu spoza tego pokoju, bez względu na to, czy prezydent zdecyduje się działać, czy też nie. Zrozumiałaś?

Kaye przytaknęła, nadal oszołomiona.

- Dobra. Mamy trochę papierów do podpisania, a potem Kendall będzie mógł zadawać swoje pytania.

Burkett wzruszył ramionami i cierpliwie zajął się ciasteczkami.

Zadzwończyły jednocześnie dwa telefony - jeden w kuchni za wahadłowymi drzwiami, i Luella poszła go odebrać, a drugi w torebce Laury Bloch.

Luella ścisnęła kurczowo staroświecką słuchawkę na długim sznurze.

- O Boże - powiedziała. - Gdzie? - Wymieniła spojrzenia z Kaye. Coś zaiskrzyło między nimi. Kaye wstała i chwyciła oparcie swego krzesła. Knykcie jej palców zbieleły - LaShawna jest z nimi? - zapytała Luella. Potem rzuciła ponownie: - O Boże. - Jej twarz rozpromieniła się radością. - Przejeżdżamy autobusem w Nowym Meksyku! - zawołała. - John mówi, że mają nasze dzieci! Mają LaShawnę, chwala Bogu, John ma moją kochaną córeczkę.

Laura Bloch zakończyła rozmowę i wściekła z trzaskiem zamknęła komórkę.

- Te dranie wreszcie to zrobiły - powiedziała.

## Oregon

- Znalazłeś ich - powiedział głos i Mitch otworzył oczy. Twarze w cieniach kryły się za mgiełką. Migrena jeszcze nie przeszła mu do końca, ale przynajmniej był w stanie słyszeć i myśleć.

- Lekarz mówi, że będzie z tobą dobrze.

- Cieszę się - powiedział półprzytomnie. Leżał w namiocie na dmuchanym materacu, który piszczał, gdy przesuwiał środek ciężkości.

- To jedna z twoich migren? Pytanie to zadała Eileen.

- No. - Spróbował usiąść. Eileen łagodnie go popychała, aż znowu legł na materacu. Ktoś dał mu łyk wody z plastikowego kubeczka.

- Powinien był pan nam powiedzieć, dokąd idzie - zganiała go nieznana mu kobieta.

Eileen przerwała jej.

- Nie wiedziałeś, dokąd idziesz, prawda? - zapytała go. - Jedynie, że chcesz ich znaleźć.

- Cały ten obóz jest na skraju anarchii - stwierdziła inna kobieta.

- Zamknij się, Nancy - powiedziała koleżanka Eileen, jak też się ona nazywała; podobała się Mitchowi, wyglądała na bystrą: Fitz czy jakoś tak. Potem mu się przypomniało, Connie Fitz, i jakby w nagrodę ból wypłynął z jego głowy jak powietrze z balonika. Czaszka mu ostygła. - Co znalazłem?

- Coś - odparła Fitz z wielkim podziwem.

- Robimy teraz skany urządzeniem podręcznym - dodała Nancy.

- Dobrze - powiedział Mitch. Wziął od Eileen plastikową butelkę z wodą i pił z niej długo i chciwie. Wysechł na kość: co najmniej godzinę musiał leżeć na skale i w pyle. - Przepraszam.

- *De nada* - odparła Eileen z dumą w głosie.

- To kość piszczelowa, prawda? - zapytał Mitch.

- Jest tam coś więcej - odrzekła Eileen. - Nie wiemy jeszcze, ile więcej.

- Znalazłem facetów - powiedział.

Milczały ostrożnie.

- Ciesz się, że tam nie umarłeś - powiedziała Eileen.

- Nie było aż tak gorąco - odparł Mitch.

- Leżałeś trzy stopy od skarpy - wyjaśniła Eileen. - Mogłeś spaść.

- Zwiertzeli - domyślił się Mitch i znowu napił się wody. - Ciekaw jestem, ilu pozostało?

W niebieskim świetle, przesączającym się do namiotu, popatrzył na trzy kobiety: Nancy, wysoką, przyciągającą wzrok, o długich, czarnych włosach i poważnej twarzy; Connie Fitz; Eileen.

Ktoś odsunął połę namiotu i zalało go światło, przynosząc ze sobą dżgnięcie bólu.

- Przepraszam - powiedział Oliver Merton. - Dopiero co usłyszałem o incydencie. Co z naszym cudownym chłopcem?

- Wyjaśnij mi - poprosił Merton.

Mitch siedział w cieniu tylko z Oliverem. Sączył piwo; Oliver pracował na swoim tablecie, a może tylko udawał. Na jeden palec nałożył napastrzek z rysikiem i pisał nim w powietrzu. Wszyscy archeolodzy z obozu, z wyjątkiem dwóch młodych kobiet czuwających nad głównym stanowiskiem, byli nad skarpy, zostawiwszy Mitcha, „aby wydobrzeł”, jak wyraziła się Eileen, ale mocno podejrzewał, że chciały oszczędzić mu nerwów, zmartwienia, dopóki nie stwierdzą, co znalazł.

- Co mam wyjaśnić? - zapytał Mitch.

- Jak to zrobiłeś. Wyczuwam w tym metodę.

Mitch zasłonił oczy rękoma. Światło słoneczne nadal go oślepiało.

- Doznajesz czegoś w rodzaju olśnienia psychicznego, wchodzisz w trans, ruszasz traktem na poszukiwanie czegoś, co już widziałeś... Tak to jest?

- O Boże, nie - odparł Mitch, krzywiąc się. - Nic podobnego. Czy jestem sztukmistrzem, Oliverze? - zapytał i sam nie wiedział, czy domysły Mertona budzą w nim satysfakcję, dumę czy prawdziwą ciekawość.

Zanim Merton zdołał odpowiedzieć, Mitch skrzywił się, dżgnięty ościeniem swych myśli. Włosy zjeżyły mu się na karku. *Coś tu jest nie tak.*

- Och, niezaprzecalnie. - Merton kiwnął głową i uśmiechnął się przebiegle. - Mam zapewne przyjemność z Sherlockiem Holmesem?

- Holmes nie miał zdolności paranormalnych. Słyszałeś, co mówiły kobiety. Nadal nie wiedzą, co znalazłem.

- Znalazłeś kość nogi hominida. Żadna ze studentek Eileen, już dwa miesiące



szukających wokół stanowiska, do tej pory nie znalazła nawet jednego odłamka.

- W ich oczach wyglądamy paskudnie - powiedział Mitch.

- Mężczyźni w ogóle.

- Obóz pełen rozzłoszczonych kobiet odkopujących obóz pełen porzuconych kobiet.

Wyglądamy paskudnie? Racja.

- Czy byli tu jacykolwiek mężczyźni?

- Co proszę, łaskawco? - zapytał urażony do głębi Merton.

- Pracujący w obozie. Kopiający.

- Oprócz mnie nie było żadnego - przyznał Merton i spojrzał zachmurzony na ekran.

- Dlaczego? - spytał Mitch.

- Eileen jest homo, przecież wiesz - odparł Merton. - Ona i Connie Fitz... są bardzo blisko.

Mitch kilka sekund przetrwał jego słowa w myślach, ale nie był w stanie powiązać ich z rzeczywistością, swoją rzeczywistością.

- Żartujesz.

Merton próbował dać na to słowo harcerza, ale niezbyt mu to wyszło.

Po wszystkich zapewnieniach Olivera Mitch był w stanie co najwyżej zastanawiać się, dlaczego Eileen nie przedstawiła mu swej kochanki jako takiej. Bardzo powoli powiedział:

- Mogłeś mnie wrabiać. *To nie to jest nie tak.*

- Wszystko to bawi pana Daney'a. Podchodzi do tego bardzo antropologicznie.

Mitch wycofał się skądś, odsunął od jakiegoś nieprzyjemnego miejsca, które coraz bardziej się doń zbliżało.

- Nie wszystkie są homo, mam nadzieję?

- Och, nie. Ale jest w tym trochę obłądnego zbiegu okoliczności. Pozostałe są singielkami, a żadna nawet odrobinę się mną nie zainteresowała. Śmieszne, jak wypacza to mój światopogląd.

- No - rzucił Mitch.

- Nancy uważa, że próbujesz odwrócić uwagę od ich odkrycia. Są na tym tle bardzo wrażliwe.

- Zgadza się.

- Jesteśmy tutaj tylko ty i ja, dopóki nie przyjedzie pan Daney - powiedział Merton.

Mitch dopił puszkę coorsa i odstawił ją ostrożnie na drewnianą poręcz fotela ogrodowego.

- Czy mam ją zgnieść za ciebie? - zapytał Merton z błyskiem w oku. - Jedyne po to,

aby zachować się trochę po męsku.

Mitch nie odpowiedział. Obóz, kości, jego odkrycie nagle przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jego umysł stał się pustą tablicą, na której zaczynały się pokazywać niewyraźne słowa, jakby zapisywane przez duchy. Nie był w stanie odczytać tego tekstu, ale mu się nie podobał.

Szarpnął się, a puszka spadła z poręczy fotela. Uderzyła w żwir z głuchym łoskotem.

- Jezu - rzucił. Nigdy przedtem nie miał doznań hipnagogicznych.

- Coś się stało? - zapytał Merton.

- Eileen miała rację. Może jeszcze nie doszedłem do siebie. - Dźwignął się z fotela. -

Czy mogę skorzystać z twojego telefonu?

- Oczywiście.

- Dzięki. - Mitch przesunął się niezdarnie o krok w lewo, jakby tracił równowagę, a może i zdrowe zmysły. - Na ile jest bezpieczny?

- Ogromnie - odparł Oliver, patrząc nań z troską. - Prywatne łącze międzymiastowe pana Daney'a.

Mitch nie wiedział, komu może zaufać, do kogo ma się zwrócić. Nigdy w swoim życiu nie czuł się mocniej wystraszony czy bardziej bezradny.

To nie postrzeżenie pozazmysłowe, pomyślał. Proszę, niech nie będzie niczym takim jak postrzeżenie pozazmysłowe.

## 39

### Nowy Meksyk

Dicken siedział obok Helen Fremont na kanapie w przyczepie mieszkalnej. Gapiła się w ścianę naprzeciwko kanapy, woniejąc, jak podejrzewał, ale nie był w stanie domyślić się, co miała nadzieję tym osiągnąć, jeśli w ogóle żywiła taki zamiar. Powietrze w przyczepie pachniało starym serem i torebkami z herbatą. Swoją opowieść zakończył dziesięć minut wcześniej, cierpliwie odtwarzając stare dzieje i próbując jednocześnie usprawiedliwiać siebie: swoje istnienie, pracę, wstręt do izolacji, w jakiej przebywał przez wszystkie te lata, pograżanie się w pracy, jakby była innym rodzajem kombinezonu z tworzywa sztucznego, dowodem przeciwko życiu. Teraz od kilku minut panowało milczenie i nie wiedział, co mówić, a tym bardziej, co teraz będzie z nimi. Milczenie przerwała dziewczyna.

- Ani trochę się nie boisz, że przeze mnie zachorujesz? - zapytała.

- Utknąłem - odparł Dicken, wznosząc ręce. - Nie wypuszczą mnie, dopóki nie poczynią jakichś ustaleń.

- Nie boisz się? - zapytała powtórnie.

- Nie.

- Czy gdybym chciała, mogłabym cię zarazić?

Dicken pokręcił głową.

- Wątpię.

- Ale skoro to wiedzą, to dlaczego trzymają mnie tutaj? Dlaczego wszystkich nas oddzielają od ludzi?

- Cóż, tak naprawdę nie wiemy, co robić ani w co wierzyć. Nic nie rozumiemy - dodał łagodnie. - Przez to jesteśmy słabi i głupi.

- To okrutne - powiedziała dziewczyna. Potem, jakby dopiero uwierzyła w to, że jest w ciąży: - Co zrobią z moim dzieckiem?

Otworzyły się drzwi przyczepy. Pierwszy wszedł Aram Jurie, a tuż za nim dwaj strażnicy uzbrojeni w pistolety maszynowe. Wszyscy mieli na sobie białe skafandry izolacyjne. Nawet przez plastikowy kaptur było widać, jak pobladła twarz Juriego jest wykrzywiona ze złości.

- To głupie - powiedział, gdy strażnicy podeszli. - Czy próbuje pan sabotować wszystko, co robimy?

Dicken wstał z kanapy i popatrzył na dziewczynę, ale ona wcale nie wyglądała na zaskoczoną czy zmieszaną. *Wspomoże nas Bóg, tyle tylko wie.*

- Tę młodą kobietę trzymacie nielegalnie - powiedział.

Niedowierzenie Juriego było aż komiczne jak na człowieka o obliczu zwykle tak niewzruszonym.

- Co pan sobie na Boga wyobraża?

- Nie ma pan prawa do przetrzymywania dzieci siłą - ciągnął Dicken, rozpalając się własnymi słowami. - Nielegalnie przewiózł pan tę dziewczynę przez granicę stanu.

- Stanowi zagrożenie dla zdrowia publicznego - powiedział Jurie, nagle odzyskując spokój. - A teraz pan do niej dołączył. - Machnął ręką. - Zabierzcie go stąd.

Ochroniarze wydawali się niezdolni do zdecydowania, co mają zrobić.

- Czy nie jest bezpieczny w tym miejscu? - zapytał jeden z nich głosem stłumionym przez kaptur.

Dziewczyna zbliżyła się do Dickena i mocno złapała go za ramię.

- Nie ma żadnego zagrożenia - powiedział Juriemu Dicken.

- Tego pan nie wie - odparł Jurie, patrząc twardo na Dickena, ale swe słowa kierował bardziej w stronę ochroniarzy.

- Doktor Jurie posunął się za daleko - powiedział Dicken. - Porwanie to ciężkie przestępstwo, panowie. Instytucja ta wykonuje prace zlecone jej przez USW, podlegający Departamentowi Zdrowia i Opieki Społecznej. Wszystkie te urzędy muszą ściśle przestrzegać wytycznych dotyczących prowadzenia eksperymentów na ludziach. - *I nikt nie wie, czy te wytyczne nadal obowiązują. Nie mamy jednak pod ręką lepszego blefu.* - Nie macie żadnych praw do przetrzymywania tej dziewczyny. Opuszczamy Sandię. Zabieram ją z sobą.

Jurie energicznie pokręcił głową, machając przy tym kapturem.

- Istny John Wayne. Wyłożył to pan bardzo ślicznie. Pewnie mam teraz coś warknąć i odegrać czarny charakter?

Sytuacja była niewiarygodna, napięta i dość śmieszna.

- No - potwierdził Dicken, nagle rozjaśniając się uśmiechem wieśniackiego buraka, skończonego chama. Przybierał często taką minę przy zetknięciu się z szychami z władz. Był to jeden z powodów, dla których tak znaczną część swego życia spędził, pracując w terenie.

Jurie źle odczytał uśmiech Dickena.

- Mamy tutaj niewiarygodną sposobność do badań. Czemu mielibyśmy ją tracić? - mówił teraz kusząco. - Możemy rozwiązać tyle problemów, zyskać ogromną wiedzę. Na tym, co poznamy, skorzystają miliony. Możemy uratować nas wszystkich.

- Nie za cenę tej dziewczyny. Ani żadnego z nich. - Dicken wyciągnął dłoń. Dziewczyna zerwała się na nogi i oboje, trzymając się za ręce, ruszyli ostrożnie w stronę drzwi.

Jurie zastawił im drogę.

- Jak daleko waszym zdaniem zdołacie dotrzeć? - zapytał, zsiniały ze złości za kapturem.

- Przekonamy się - odparł Dicken. Jurie spróbował go powstrzymać, ale Dicken wystrzelił ręką i złapał krawędź płytki przedniej kaptura, jakby przypominając o ich nierównej podatności na zakażenie. Jurie opuścił ręce, Dicken go puścił i tamten się cofnął, zahaczając o krzesło i o mało co się nie przewracając.

Ochroniarzy jakby przymurowało do podłogi przyczepy.

- Dobrze robicie - rzucił cicho Dicken. - Panowie, wynajmijcie sobie prawników. Pora na dobre zachowanie. Okoliczności łagodzące przy wydawaniu wyroku. - Nadal mrużąc różne niedorzeczności prawne, wyjrzał za drzwi przyczepy i zobaczył grupkę kierownictwa naukowego i ochrony, w tym Flynn, Powersa i teraz Presky'ego, skupionych za otwartą furtką

w ogrodzeniu ze wzmocnionego akrylu. - Idziemy, kochana - powiedział i wyszli na ganek.

Usłyszał za sobą odgłosy przepychanki, odwrócił głowę i zobaczył Juriego z twarzą wykrzywioną grymasem, jak próbował wyrwać pistolet ochroniarzom, którzy w niezdarnym tańcu na małej przestrzeni starali się nie dopuścić do utraty broni.

Naukowcy z pistoletami, pomyślał Dicken. To już naprawdę koniec świata. Absurdalność tego wszystkiego wzbudziła w nim radość. Ścisnął ramię dziewczyny i pomaszerował ku ludziom stojącym przy bramce.

Nie zatrzymali go. Maggie Flynn nawet otworzyła mu bramkę. Wyglądali, jakby im ulżyło.

## 40

### Kalifornia

Stella i Will wysiedli z samochodu, gdy niedaleko miasteczka Lone Pine skończyła się w nim benzyna. Byli teraz w lasach, ale nie czuła się ani trochę bliżej wolności czy celu, do którego chciałyby dążyć.

Zostawili panią Hayden śpiącą w samochodzie, wykończoną po całonocnym prowadzeniu, a potem po błędzeniu cały poranek autostradami stanowymi, szosami i bocznymi drogami. Will włókł się przed Stellą, niosąc dwie puste plastikowe butelki.

W południe powietrze było chłodne i zamglone. Lato przechodziło w jesień. Sosny, modrzewie i dęby wydawały się lśnić, kołysane wietrzykiem pod chmurami pędzącymi nad niskimi górami.

Wzdłuż drogi widzieli bardzo mało domów, ale kilka jednak było. Will mówił o całkowitym pustkowiu, miejscu oddalonym od ludzi o dziesiątki, jeśli nie setki mil. Stella była zbyt zmęczona, aby się załamywać. Wiedziała teraz, że nie należą do żadnego miejsca ani do nikogo; byli jedynie zagubieni, wewnątrz i zewnątrz. Bolały ją nogi. Bolały ją plecy. Minęły dolegliwości wywołane okresem. Był to mały, błogosławiony drobiazg, ale zaczęła się teraz zastanawiać, kim i czym tak naprawdę jest Will.

Gdy rozpiął się na tylnym siedzeniu samochodu pani Hayden, wyglądał bardziej na małego dzikusa z przepoconymi włosami spadającymi na plecy lepkimi kosmykami. Pachniał nieświeżym mięsem, gniewem i lękiem, ale Stella wiedziała, że jej zapaszek nie jest wcale lepszy.

Zastanawiała się, co czeka Celię, LaShawnę i Felice, co się stało z kierowcami,

związanymi i pozostawionymi na poboczu.

Miała jedynie niejasne pojęcie, w jakim stopniu mapa w tylnej kieszeni spodni Willa odpowiada okolicy, w której są teraz. Droga wyglądała jak długa, czarna rzeka ciągnąca się daleko, znikająca za zakrętem pośród drzew.

Stała na chwilę, przyglądając się susłowi. Stał na niskim, płaskim kamieniu obok pobocza, przygarbiony i czujny, z błyszczącymi czarnymi oczkami, zupełnie jak Shrooz w jej pokoju w Wirginii.

Miała nadzieję, że trafią na farmę i że będą tam zwierzęta. Dobrze się dogadywała ze zwierzętami. Will zawrócił. Susel uciekł.

- Musimy iść dalej - powiedział chłopak. Niezdarnym truchtem pobiegli między drzewa, kiedy drogą przejechały dwa samochody.

- Może powinniśmy złapać stopa - zauważyła Stella, chowając się za pniem sosny. Wchłaniała zapach lepkiej słodczy żywicy, przypominający jej szkołę. Skrzywiła się i odepchnęła od szorstkiej kory.

- Jeśli ktoś nas podwiezie, to nas złapią - odparł Will. - Jesteśmy blisko. Wiem o tym.

Szła za Willem. Niemal mogła sobie wyobrazić wielkiego niebieskiego chevroleta albo dużą półciężarówkę, śmigające drogą z Mitchem za kierownicą. Mitch i Kaye, razem, szukający jej.

Kiedy po raz kolejny usłyszeli zbliżający się samochód, Will pobiegł między drzewa, ale Stella szła dalej. Po przejechaniu samochodu chłopiec dogonił ją i popatrzył spode łba.

- Jesteśmy tu bezradni - powiedziała Stella, odwzajemniając się tym samym spojrzeniem, jakby było to racjonalne wytłumaczenie.

- Tym bardziej powinniśmy się ukrywać.

- Może ktoś wie, gdzie jest to miejsce. Jeśli stanie, będziemy mogli go zapytać.

- Nie należę do szczęściarzy - powiedział Will, wykrzywając usta w grymas niebędący uśmiechem, ani nawet uśmieszkiem. Cierpki i niepewny. - A ty należysz? - zapytał.

- Jestem tu z tobą, nie? - odparła ze śmiertelną powagą.

Will się roześmiał. Śmiał się, aż zaczął machać rękoma i prychać; musiał stanąć, aby rękawem wytrzeć nos.

- Jejku - rzuciła Stella.

- Przepraszam.

Choć rozum ją przed tym przestrzegał, znowu go polubiła.

Przy następnym samochodzie Will wystawił rękę z podniesionym kciukiem i rozjaśnił się swym najszerszym uśmiechem. Auto śmignęło obok z prędkością co najmniej

siedemdziesięciu mil na godzinę; przyciemnione szyby pełne były zamazanych twarzy, które nawet się nie obejrzały.

Will zwiesił ramiona i poszedł dalej.

Dwadzieścia minut później usłyszeli następny samochód. Stella obejrzała się przez ramię. Było to stary minivan Forda, pokazał się na wierzchołku wzniesienia dwupasmowej szosy, a potem zjeżdżał w rzadkiej chmurce oleistych, białych spalin. Ani ona, ani Will nie zeszli z drogi. W butelkach nie mieli już wody. Niedługo będą musieli zawrócić po własnych śladach.

Minivan zwolnił, zjechał na drugi pas, aby ich wyminąć, przejechał z cichym świstem. Starsza para, mężczyzna i kobieta, na przednich siedzeniach przyglądała się im uważnie; tylne szyby były pomalowane na niebiesko i odbijały tylko twarze nastolatków.

Samochód pojechał dalej i stanął jakieś dwieście stóp od nich.

Stella czknęła ze zdziwienia i założyła ręce. Will stanął z boku jak szermierz oczekujący sztychu, widać było, jak drżą mu ręce.

- Nie wyglądają na niebezpiecznych - powiedziała Stella, ale pomyślała o czerwonej półciężarówce, Fredzie Trinkecie i jego matce, smażącej kurczaki w hrabstwie Spotsylvania.

- Potrzebujemy podwiezienia - przyznał Will.

Minivan cofał się powoli, aż stanął jakieś dwadzieścia stóp od nich. Kobieta wystawiła głowę przez okienko z prawej strony. Miała szpakowate włosy, kwadratową, silną twarz i patrzące wprost na nich oczy. Jej rękę, widoczną do łokcia, pokrywały piegi, oblicze zaś miała mocno pomarszczone i blade. Stella dostrzegła, że na palcach lewej dłoni, spoczywającej na przedramieniu, kobieta ma mnóstwo dużych, srebrnych pierścionków.

- Jesteście oboje dziećmi wirusa? - zapytała tamta.

- No - odpowiedział Will; jego ręce trzęsły się jeszcze mocniej. Próbował się uśmiechać. - Uciekliśmy.

Starsza kobieta zastanawiała się nad tym chwilę, zaciskając usta.

- Zarazacie?

- Nie sądzę - odparł Will i wsadził ręce do kieszeni dżinsów.

Starsza kobieta odwróciła się ku mężczyźnie zajmującemu fotel kierowcy. Wymienili się spojrzeniami i doszli w milczeniu do porozumienia możliwego jedynie u pary, która przeżyła razem bardzo długi czas.

- Chcecie, żebyśmy gdzieś was podwieźli? - spytała.

Will popatrzył na Stellę, ale ta potrafiła wyczuć jedynie zapach gęstego dymu po spalonym oleju. Mężczyzna był co najmniej dziesięć lat starszy od kobiety. Miał wąską twarz,

jasnoszare oczy i potężny nos, a jego dłonie na kierownicy także były pokryte pierścieniami - z turkusami, koralami i srebrem, wizerunkami ptaków i abstrakcyjnymi wzorami.

- Jasne - powiedział Will.

Boczne drzwiczki minivana szczękły i przesunęły się automatycznie. Wnętrze cuchnęło dymem papierosowym, hamburgerami i frytkami.

Stella zmarszczyła nos, ale od zapachu jedzenia napłynęła jej ślinka do ust. Nic nie jedli od ranka poprzedniego dnia.

- Czytaliśmy o takich dzieciakach jak wy - powiedział starszy mężczyzna, gdy wsiedli do środka. - Ciężkie czasy, co?

- No - potwierdził Will. - Dzięki.



**Część trzecia**

**SHEVA + 18**

Mamy teraz osiemnasty rok tak zwanego przez niektórych Wieku Wirusa. Cały świat nadal żyje w przerażeniu, chociaż pojawiają się wątle i trwożliwe oznaki rozwiązania politycznego.

Gdyby jednak zrobić sondaż wśród ludzi, mało kto dzisiaj miałaby choćby najbledsze pojęcie, czym są wirusy. Dla większości z nas „są maleńkie i wywołują choroby”, jakby mówiło to wszystko.

Większość naukowców twierdzi, że wirusy są piratami genetycznymi, zagarniającymi i zabijającymi komórki, aby móc się dzięki temu rozmnażać: to „geny samolubne z nożami sprężynowymi”, „terrorystyczne DNA”. Inni uważają, że przeważnie mylimy się w ich ocenie, a wiele wirusów pełni rolę posłańców genetycznych, przenoszących sygnały pomiędzy komórkami ciała, a nawet między tobą i mną: to „genetyczna poczta kurierska”.

Najprawdopodobniej prawdziwe są oba te poglądy. Od bardzo dawna toczy się dziwaczny mecz koszykówki, a większość naukowców się zgadza, że nie jesteśmy jeszcze nawet w drugiej kwarcie.

*Producent FoxMedia zwracający się do Floodnetu Real Life,  
specjalne wydanie Real News; odrzucone*

Kto wykupi czas reklamowy? Treść tego tekstu jest zbyt przerażająca. Co u diabła oznacza słowo „trwożliwe”? Mam powyżej uszu całego tego naukowego bełkotu. Nauka psuje mi humor. Dajcie mi znać, czy i kiedy prezydent będzie dostatecznie długo brał marychę, aby zrobić swoje. To nasz chłopak. Może jeśli, może wtedy, ale niczego nie obiecuję.

*Notatka służbowa dyrektora naczelnego  
i dyrektora programowego FoxMedia*

# 1

## Fort Detrick, Maryland

Kaye wpatrywała się w mroczniejący salon pani Rhine. Przemebłowano go w dziwaczny sposób; przewrócona, przykryta prześcieradłem kanapa ze sterczącymi w powietrzu kikutami nóg, naokoło niej poduszki tworzące na podłodze wzór krzyża; dwa pochylone do przodu drewniane krzesła, opierające się o ścianę w kącie, jakby tkwiły tam za karę.

Stolik pokrywały białe tekturowe pudełeczka.

Freedman wcisnęła guzik łączności wewnętrznej.

- Carla, jesteśmy tutaj. Przyprowadziłam Kaye Lang Rafelson.

Pani Rhine weszła żwawo drzwiami, wzięła krzesło z kąta, zaniósła je na środek pokoju, dwa jardy od grubej szyby okna, i usiadła. Miała na sobie prosty kombinezon z niebieskiego dzinsu. Ręce, dłonie i większość twarzy owijała jej gaza. Nosila chustkę i nic nie wskazywało, aby pozostały jej jakiegokolwiek włosy. Niewielkie skrawki widocznej skóry były czerwone i napuchnięte. Oczy lśniły bystro między pasmami gazy, owijającymi głowę jak u mumii.

- Przygaszę światła - powiedziała głosem wyraźnym i ostrym jak kryształ. - Rozjaśnijcie swoje. Nie trzeba na mnie patrzeć.

- W porządku - przystała Freedman i zwiększyła oświetlenie w pomieszczeniu dla gości.

W salonie pani Rhine robiło się coraz ciemniej, aż stała się widoczna tylko jej sylwetka.

- Witam w moim domu, doktor Rafelson - powiedziała.

- Bardzo się ucieszyłam, gdy otrzymałam od pani wiadomość - odparła Kaye.

Freedman założyła ręce i cofnęła się trochę.

- Christopher Dicken przeważnie przynosił kwiaty - powiedziała pani Rhine. Jej ruchy były niezdarne, rwane. - Już nie mogę dostawać kwiatów. Raz na tydzień muszę wchodzić do szafki, a wtedy przysyłają tu robota, który wszystko szoruje. Muszą się pozbywać wszystkich tych stworków żyjących w kurzu. Grzybów, bakterii i żyjatek, które mogą się żywić kawałkami łuszczącego się naskórka. Mogłyby mnie teraz zabić, gdyby gromadziły się tutaj.

- Jestem wdzięczna za list, który mi pani wysłała.

- Sieć jest moim życiem, Kaye. Jeśli mogę się tak do pani zwracać.

- Oczywiście.

- Wydaje mi się, że znam panią. Christopher tak często o pani mówił. Obecnie nie mam zbyt wielu gości. Zapomniałam, jak reagować na prawdziwych ludzi. Piszę na mojej czystej klawiaturce i podróżuję po całym świecie, ale nigdy się stąd nie ruszam, niczego tak naprawdę nie dotykam ani nie widzę. Dochodzę do wniosku, że już do tego przywykłam, ale potem znowu wpadam w złość.

- Potrafię to sobie wyobrazić - powiedziała Kaye.

- Proszę mi powiedzieć, co konkretnie sobie pani wyobraża, Kaye - odparła pani Rhine, podrywając głowę.

- Wyobrażam sobie, że czuje się pani obrabowana.

Mroczny cień przytaknął.

- Z całej mojej rodziny. To dlatego napisałam do pani. Kiedy przeczytałam, co spotkało pani męża, pani córkę, pomyślałam: ona nie jest tylko naukowcem, symbolem ruchu czy sławną osobą. Jest jak ja. Z tym że, oczywiście, któregoś dnia będzie ich pani mogła odzyskać.

- Ciągłe próbuję odzyskać córkę - powiedziała Kaye. - Ciągłe jej szukamy.

- Żałuję, że nie mogę pani powiedzieć, gdzie jest.

- Ja też - przyznała Kaye, przełykając ślinę wewnątrz kaptura. Powietrze przepływające w sztywnym skafandrze izolacyjnym nie było zbyt dobre.

- Czytała pani Karla Poppera? - zapytała pani Rhine.

- Nie, nigdy - odparła Kaye i poprawiła plastikową zmarszczkę w pasie. Zauważyła przy tym, że skafander jest pokryty czymś w rodzaju taśmy klejącej. Na moment odwróciło to jej uwagę; słyszała, że obcięto fundusze, ale nigdy do końca nie uświadamiała sobie, jakie są tego skutki.

- ...pisze, że cała grupa filozofów i myślicieli, łącznie z nim, uważa jaźń za zjawisko społeczne - mówiła pani Rhine. - Gdyby chowała się pani poza społeczeństwem, nigdy nie rozwinęłaby pani w sobie pełnej jaźni. Cóż, ja tracę swoją. Czuję się niepewnie, używając zaimka osobowego. Oszaleję, ale ja... ta rzecz, którą jestem... - Urwała. - Marian, muszę porozmawiać z Kaye na osobności. A przynajmniej przekonaj mnie, że nikt nie będzie nas podsłuchiwał ani nagrywał.

- Sprawdź u technika, czy to możliwe. - Freedman porozmawiała krótko z technikiem pilnującym bezpieczeństwa. Potem ostrożnie wyszła z pomieszczenia dla gości, ciągnąc za sobą pepowinę. Drzwi zamknęły się za nią.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytała pani Rhine cichym, ledwo dosłyszalnym głosem.

Kaye dostrzegała w jej oczach odbłaski jaśniejszych świateł z drugiej strony szyby.

- Bo dostałam wiadomość od pani. A ponadto uznałam, że pora już spotkać się z panią.

- Nie jesteś tutaj, aby mnie zapewniać, że znajdą lekarstwo? Bo niektórzy przychodzą tutaj i tak mówią, a nie znoszę tego.

- Nie - odparła Kaye.

- No to po co? Po co rozmawiać ze mną? Poczta elektroniczną wysyłam listy do mnóstwa osób. Nie sądzę, aby większość wpuścili tutaj. Jestem zdumiona, że pozwolili przyjść tobie.

Marian Freedman zadbała o to.

- Napisała pani, że wyczuwa, jak staje się coraz mądrzejsza i bardziej odległa - powiedziała Kaye - ale też traci własne ja. - Patrzyła na mroczną postać w ciemnym pokoju. Egzema bardzo się pogorszyła, dowiedziała się Kaye na spotkaniu przed dołączeniem do Marian Freedman. - Chciałabym usłyszeć coś więcej - dodała.

Pani Rhine nagle pochyliła się do przodu.

- Wiem, dlaczego tu jesteś - powiedziała wznoszącym się głosem.

- Dlaczego? - zapytała Kaye.

- Obie mamy wirusa.

Chwila milczenia.

- Nie rozumiem - powiedziała cicho Kaye.

- Asceci siadają na kamiennych kolumnach, aby unikać dotykania ich przez ludzi. Czekają na Boga. Stają się obłąkani. Tak samo jest ze mną. Jestem świętym Antonim, ale diabły są zbyt przebiegłe, aby tracić czas na kuszenie mnie. Już jestem w piekle. Nie są mi potrzebni, abym pamiętała o sobie. Zmieniłam się. Mój mózg jakby się powiększył, ale jednocześnie przypomina ogromny magazyn wypełniony pustymi skrzyniami. Czytałam i starałam się zapełniać owe skrzynie. Byłam taka głupia, byłam tylko hodowcą, wirus ukarał mnie za głupotę, tak bardzo chciałam żyć, że przyjąłam w siebie tkankę świńską, a to zostało zabronione, prawda? Nie jestem Żydówką, ale świnię to potężne stworzenia, bardzo uduchowione, nie sądzisz? Prześladowują mnie. Czytałam powieści o duchach. Horror. Piszą przerażające rzeczy o świniach. Trajkoczę jak opętana, wiem. Marian słucha, inni słuchają, ale to dla nich mordęga. Przerażam ich, wiem. Zastanawiają się, jak długo wytrzymam.

Żołądek Kaye był tak mocno ściśnięty, że czuła w gardle wyciskany przez niego kwas. Ogromnie współczuła kobiecie za szybą, ale nie potrafiła wymyślić niczego, co mogłaby powiedzieć albo zrobić, by ją pocieszyć.

- Nadal słucham - powiedziała.

- Dobrze - pochwaliła pani Rhine. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że wkrótce umrę. Wyczuwam to we krwi. Ty także, choć może nie tak szybko.

Pani Rhine wstała i obeszła wokół przewróconą i przykrytą kanapę.

- Mam takie koszmary. Jakoś się stąd wydostaję, chodzę sobie i dotykam ludzi, próbuję pomagać, ale w końcu wszystkich zabijam. Potem odwiedzam Boga... i zarazam Go chorobą. Zabijam Boga. Diabeł mówi do Niego: „Przecież Ci powiedziałem”. Drwi sobie z umierającego Boga, a ja mówię: „Dobrze ci tak”.

- Och. - Kaye przełknęła ślinę. - To nie tak. Nie stanie się w ten sposób.

Pani Rhine pomachała rękoma w stronę okna.

- Nie jesteś w stanie zrozumieć. Jestem zmęczona.

Kaye chciała powiedzieć coś więcej, ale nie mogła.

- Idź już, Kaye - ponagliła ją Carla Rhine.

Kaye popijała kawę z filiżanki w małym gabinecie Marian Freedman. Płakała tak mocno, że dygotały jej ramiona. Powstrzymywała się, zdejmując skafander i biorąc prysznic, jadąc windą, ale teraz nie mogła przestać.

- Poszło źle - była w stanie wykrztusić między spazmami. - Zupełnie sobie nie poradziłam.

- Nic z tego, co robimy, nie ma znaczenia dla Carli - powiedziała Freedman. - Ja też nie wiem, co mam jej mówić.

- Mam nadzieję, że to jej nie zaszkodziło.

- Wątpię, aby tak było - uznała Freedman. - Jest silna na mnóstwo sposobów. Tym bardziej okrutny jest jej los. Inni są spokojni. Mają swoje przyzwyczajenia. Przypominają chomiki. Wybacz mi, ale to prawda. Carla jest inna.

- Została świętą - powiedziała Kaye, prostując się w plastikowym krześle i biorąc następną chusteczkę higieniczną ze zdobionego w kwiatowe wzory pudełka stojącego na biurku Freedman. Wytarła oczy i pokręciła głową.

- Nie świętą - zaprzeczyła trochę rozniewana Freedman. - Może przekłątą.

- Mówi, że umiera.

Freedman popatrzyła na odległą ścianę.

- Wytwarza nowe rodzaje retrowirusów, wielce spójne, eleganckie maleństwa, zupełnie inne od kleconych byle jak potworków, które pojawiały się przedtem. Nie mają też zupełnie genów świńskich. Żaden z tych nowych wirusów nie jest zaraźliwy, ani nawet

patogeny, o ile potrafimy to stwierdzić, ale urządzają istne piekło w jej systemie immunologicznym. U innych pań... to samo.

Marian Freedman skupiła uwagę na Kaye, która z coraz większym niesmakiem wpatrywała się w jej ciemne, wycieńczone oczy.

- Ostatnim razem, kiedy Christopher Dicken był tutaj, popracował ze mną nad częścią próbek - ciągnęła Freedman. - Uważamy, że w niecały rok, może najwyżej kilka miesięcy, wszystkie nasze panie zaczną wykazywać objawy stwardnienia rozsianego, może też różnych chorób tkanki łącznej. - Zaciśnęła usta, zamilkła, ale ciągle wpatrywała się w Kaye.

- I? - zapytała Kaye.

- Sądzi, że objawy te nie mają nic wspólnego z przeszczepami tkanki świni. Panie mogą po prostu trochę przyspieszać. Być może u pani Rhine jako pierwszej pojawi się syndrom post-SHEVY, skutek uboczny ciąży SHEVY. Niewykluczone, że będzie dość paskudny.

Kaye przyjęła spokojnie tę zapowiedź, ale nie była w stanie powiązać z nią jakiegokolwiek uczucia - nie po spotkaniu z Carlą Rhine.

- Christopher nic mi nie powiedział.

- Cóż, chyba wiem dlaczego.

Kaye rozmyślnie skierowała swoje myśli na inne tory; w tej umożliwiającej przeżycie taktyce stała się od dziesięciu lat biegłą.

- Lecę do Kalifornii na spotkanie z Mitchem. Ciagle szuka Stelli.

- Są jakieś jej ślady? - zapytała Freedman.

- Jeszcze nie - odparła Kaye.

Wstała, a Freedman podsunęła specjalny koszyk na odpadki z napisem „Zagrozenie biologiczne”, aby trafiły do niego przesycone łzami chusteczki.

- Jutro Carla może się zachowywać zupełnie inaczej. Zapewne powie mi, jak bardzo jest zadowolona z twoich odwiedzin. Taka już jest.

- Rozumiem - powiedziała Kaye.

- Nie, nie rozumiesz - zaprzeczyła Freedman.

Kaye nie była w odpowiednim humorze.

- Właśnie że rozumiem - upierała się z naciskiem.

Freedman chwilę się jej przyglądała; potem poddała się, wzruszając ramionami.

- Przepraszam za niegrzeczne zachowanie - wyjaśniła. - Szerzy się tutaj jak epidemia.

Dwie godziny później Kaye wsiadła w Baltimore do samolotu lecącego do Kalifornii, nie dając słońcu szans na odpoczynek. Od jadącego przejściem między fotelami wózka z napojami dolatywały zapachy lodu, kawy i soku pomarańczowego. Gdy oglądała wiadomości dotyczące toczących się przed sądami federalnymi procesów byłych członków kierownictwa Urzędu Stanu Wyjątkowego, zaciskała zęby, aby jej nie szczękały. Przyczyną nie był chłód, ale obawa.

Przez niemal całe swe życie Kaye wierzyła, że dzięki poznawaniu biologii, sposobów działania życia, osiągnie poznanie samej siebie, oświecenie. Zrozumienie, jak działa życie, wyjaśni jej wszystko: początki, końce i wszelkie rzeczy pomiędzy. Im jednak głębiej kopała i im więcej pojmowała, tym mniejszą dawały jej satysfakcję wszystkie sprytne mechanizmy: były niewątpliwie cudami, mogącymi przykuwać jej uwagę, choćby miała żyć tysiąc razy, ale tak naprawdę nie były niczym więcej niż niezmiernie cwana skorupa.

Skorupa przynosi narodziny i świadomość, ale za cenę ciągłych przepychanek współpracy i rywalizacji, partnerstwa i zdrady, sukcesu powodującego kolejne cierpienie i przegranej powodującej twoje własne cierpienie i śmierć, życia żywiącego się życiem, powalającego jedną ofiarę po drugiej. Masowe rzezie wiodące do przystosowania i większego sprytu, tymczasowej przewagi; niekończący się nigdy proces.

Wirusy mające udział tak w narodzinach, jak i chorobach: wędrujące i porozumiewające się geny, przechowujące różne pamięci i planujące zmiany, wszystkie cuda i wszystkie porażki, ale bez żadnej możliwości uniknięcia przepychanki. Przyroda jest wredną boginią.

Słońce zaświeciło przez okienko z drugiej strony i zalało blaskiem twarz Kaye. Zamknęła oczy. Powinnam była powiedzieć Carli, co mnie spotkało. Czemu jej nie powiedziałam?

Bo minęły już trzy lata. Bezowocne, bolesne lata. A teraz to.

Carla Rhine poddała się Bogu. Kaye zastanawiała się, czy ona także.

## 2

### **Środkowa Kalifornia**

Mitch poprawił krawat, stojąc przed starym, poplamionym lustrem w obskurnym pokoju motelu. Jego odbita w nim twarz wyglądała zabawnie, pociągnięta żółcią wokół lewego oka, pokryta czarnymi cętkami przy prawym policzku, z pęknięciem oddzielającym podbródek i



szuję. Lusterko mówiło mu, że jest stary, wycieńczony i rozdarty, ale mimo to się uśmiechał. Spotka się z żoną po raz pierwszy od dwóch tygodni, cieszył się na myśl, że będzie tylko z nią. Nie przejmował się zupełnie swoim wyglądem, gdyż wiedział, że także Kaye przywiązuje do niego małą wagę. Jeśli nałożył garnitur, to tylko dlatego, że wszystkie inne jego ubrania były brudne i nie miał czasu, aby zabrać je do małej przybudówki i wrzucić do pralki monety dolarowe.

Pomiętą pościel średniej wielkości łóżka pokrywały rozłożone do połowy mapy, wykresy i karteczki z numerami telefonicznymi i adresami, niesamowite stosy wskazówek, które jak dotąd prowadziły go donikąd. Przez ostatnie trzy lata poszukiwań w całym stanie, które wreszcie zacieśniły się wokół Lone Pine, nie natrafił na nikogo, kto widziałby Stellę albo zauważył jakichś wędrujących nastolatków, a już na pewno nikt nie spostrzegł żadnych dzieci wirusa, które zwagarowały ze szkoły. Stella znikła.

Mitch potrafił ze zdumiewającą przenikliwością zlokalizować gromadkę mężczyzn, którzy zginęli dwadzieścia tysięcy lat temu, ale nie był w stanie odnaleźć swojej siedemnastoletniej córki.

Podciągnął węzeł krawatu, skrzywił się, odwrócił w światłach łazienki i ruszył ku drzwiom. Gdy je otworzył, zobaczył dość młodego mężczyznę w bluzie i szarej wiatrówce, o długich, jasnych włosach, który cofał przygotowaną do zapukania pięść.

- Przepraszam - powiedział nieznajomy. - Czy pan Mitch?

- W czym mogę pomóc?

- Kierownik powiedział, że może to ja zdołam pomóc panu.

- Poklepał się po nosie i mrugnął.

- W jaki sposób?

- Nie pamięta mnie pan?

- Nie - przyznał zniecierpliwiony Mitch.

- Dostarczam sprzęty żelazne i elektryczne. Nie wyczuwam żadnych zapachów, nigdy nie czułem, słabo też u mnie ze smakiem. Nazywają to anosmią. Nie bardzo lubię smak jedzenia, dlatego ciągle jestem chudy.

Mitch wzruszył ramionami, nadal zagubiony.

- Czy nie szuka pan dziewczyny? Szewitki?

Mitch nigdy przedtem nie słyszał tego słowa. Jego brzmienie - właściwe brzmienie - wywołało w nim gęsią skórkę. Przyjrzał się ponownie szczupłemu młodzieńcowi. Było w nim coś znajomego.

- Mój szef, Ralph, wysyła z dostawami tylko mnie, bo wszyscy inni koledzy wracają

otumanieni. - Ponownie poklepał swój nos. - Ja nie. Nie mogą mnie nakłonić, abym zapomniał o wzięciu pieniędzy. Płacą więc nam, a ponieważ traktuję ich z szacunkiem, płacą dobrze, z premiami. Rozumie pan?

Mitch kiwnął głową.

- Słucham.

- Lubię ich - ciągnął młody mężczyzna. - Dobrzy z nich ludzie, nie chcę, żeby ktoś się tam dostał i ściągnął na nich kłopoty. To znaczy, to co robią jest teraz jakby legalne, robi się z tego wielki interes. - Zerknął na jaskrawe poranne światło słoneczne, zalewające upałem mały asfaltowy parking, trawiaste pole i rosnące za nim rzadkie sosny.

- Jestem zainteresowany wszelkimi wiadomościami - powiedział Mitch, wychodząc na ganek i bardzo uważając, aby nie zrazić do siebie nieznanego. - To moja córka. Żona i ja szukamy jej od trzech lat.

- Spoko. - Młodzieniec przestępował z nogi na nogę. - Sam mam dziewczynkę. To znaczy jest ze swoją matką, nie mamy ślubu... - Nagle wydał się wystraszony. - Nie znaczy to, że jest dzieckiem wirusa, na pewno nie!

- W porządku - powiedział Mitch. - Nie mam uprzedzeń.

Młody mężczyzna spojrzał dziwnie na Mitcha.

- Nie poznaje mnie pan? To znaczy, faktycznie minęło wiele czasu. Myślałem, że rozpoznam pana, a teraz, gdy pana widzę, wydaje się, że było to wczoraj. Dziwne, jak ludzie wpadają na siebie, co?

Mitch nieznacznymi ruchami ramion i głowy okazywał mu, że ciągle nie ma najmniejszego pojęcia.

- No, może to nie był pan... ale jestem pieruńsko pewny, że mam rację, bo parę miesięcy później widziałem w gazecie zdjęcie pańskiej żony. Jest sławnym naukowcem, prawda?

- Jest - potwierdził Mitch. - Przepraszam, ale...

- Dawno temu wziął pan kilku autostopowiczów. Dwie dziewczyny i faceta. To byłem ja, ten facet. - Chudym palcem wskazał swoją pierś. - Jedna z dziewczyn dopiero co straciła dziecko. Miały na imię Delia i Jayce.

Twarz Mitcha powoli się wygładziła, pod wpływem jednocześnie zdumienia i wspomnień. Był zaskoczony, ale pamiętał niemal wszystko, może dlatego, że działo się to w innym małym motelu.

- Morgan? - zapytał, garbiąc się, jakby jakieś ciężary ściągały w dół jego ręce.

Młody mężczyzna wykrzywił twarz w najszerszym uśmiechu, jaki Mitch widział od

miesiący.

- Bogu dzięki - powiedział Morgan. W jego oczach pojawiły się nawet łzy. - Przepraszam - rzucił, szurając nogami i cofając się na słońce. Wytarł oczy grzbietem dłoni. - Ja tylko, po tylu latach... Przepraszam. Postępuję jak głupek. Naprawdę jestem wam wdzięczny.

Mitch wyciągnął rękę, ratując Morgana przed spadnięciem z krawężnika. Łagodnie wciągnął go w cień, a potem, spontanicznie, dwaj mężczyźni, którzy przez te lata wiele przeszli, wpadli sobie w objęcia. Mitch roześmiał się wbrew sobie.

- Niech cię diabli, Morganie, co u ciebie?

Morgan przyjął uścisk, ale nie bluźnierstwo.

- Hej - powiedział. - Jestem teraz z Jezusem.

- Przepraszam - odparł Mitch. - Gdzie jest moja córka? Co możesz mi powiedzieć? To znaczy, mówisz, jakbyś trafił na grupę ludzi, którzy nie chcą, aby ich odnaleźć. - Czuł cisnące mu się na usta pytania, nie chciał zwalniać ich toku, a tym bardziej zatrzymywać. - Ludzi SHEVY. Szewitów, czy tak ich nazywasz? Ilu ich jest? Czy to komuna? Skąd się dowiedziałeś, że szukam córki?

- Jak mówiłem, kierownik tego motelu to wujek mojej dziewczyny. Dostarczam towary do warsztatu samochodowego, który ma przy North Main. Powiedział mi. Ciekaw byłem, czy to pan. Wywarł pan na mnie spore wrażenie.

- Chciałeś skierować mnie na manowce, gdybym nie okazał się godny zaufania?

- Jestem niemal pewny, że można panu zaufać, ale... trudno znaleźć to miejsce. Chciałbym zabrać tam pana, bo może to pańska córka. Nie wiem, kim jest, jasne? Ale jeśli jest tam... Chciałbym się odwdziżyć.

- Rozumiem - powiedział Mitch. - Czy zechciałbyś zabrać i moją żonę? To ta sławna.

- Jest tutaj? - zapytał Morgan, zaczął ponownie okazywać zmieszanie i onieśmienie.

- Przybędzie za kilka godzin. Przywiozę ją tutaj z lotniska w Las Vegas.

- Kaye Lang?

- Tak jest.

- Rany! - rzucił Morgan. - Oglądałem posiedzenia komisji Senatu, te śledcze. Kiedy nie pracowałem. Wie pan, że widziałem ją u Oprah? Było to dawno temu, byłem jeszcze smarkaczem. Ale naprawdę, nie mogę niczego obiecać.

- Pojedziemy z pełną ufnością - powiedział Mitch, przepelnięty szczęściem, jakiego nie odczuwał już sam nie wiedział od kiedy. - Jadłeś śniadanie?

- Hej, zarabiam teraz na sobie - odparł Morgan, wyprostował się i wsunął czubki

palców do kieszeni dzinsów. - To ja panu postawię śniadanie. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

W pokoju zadzwonił telefon komórkowy Mitcha. Ten przymknął drzwi, pędząc, aby podnieść go z łóżka. Przytrzymał otwarte okienko wyświetlacza komórki. Połączenie było od Kaye.

- Halo, Kaye! Zgadnij...

- Jestem w samolocie. Co za paskudny, straszny poranek. Ktoś naprawdę musi mnie wesprzeć - powiedziała Kaye. Na małym ekraniku wyglądała na bladą. Mitch widział ponadto wysokie oparcie fotela i ludzi siedzących z tyłu. - Mitch, potrzebuję dobrych wieści.

Odczekał sekundkę, ręce mu drżały, wiedział dobrze, ile razy ich nadzieje okazywały się płonne. Nie chciał jej narażać na jeszcze jedno rozczarowanie.

- Mitch?

- Jestem tutaj. Właśnie miałem wychodzić.

- Nie wytrzymałabym, gdybym z tobą nie porozmawiała. Połowa samolotu jest pusta.

- Chyba coś mamy - oznajmił Mitch ochryłym głosem; słowa z trudem przeciskały mu się przez gardło. Wiesz, że to prawda. Wiesz, że tak jest.

- Czy to pani doktor Lang? Proszę powiedzieć jej „cześć”! - zawołał wesoło Morgan, stojący za drzwiami na ganku motelu.

- Kto to? - Kaye próbowała odczytać minę Mitcha widoczną na ekraniku. - Czy to detektyw? Zostało nam tyle pieniędzy?

- Dojedź tu tylko szczęśliwie. Odnalazłem starego przyjaciela. Czy raczej to on odnalazł mnie.

### 3

#### **Jezioro Stannous**

#### **Północna Kalifornia**

Powietrze stawało się ciężkie od popołudniowego upału. Wśród sosen Stella Nova dostrzegła burzowe chmury, milcząco, samolubnie wznoszące się nad Górami Białymi. Bory były suche, przesycone woniami sosen wydmowych, świerków i jodeł.

Skończyła swój pracowity dyżur w pralni zajmującej wielki, stary, betonowy budynek, stojący prawie w centrum Oldstock. Teraz siedziała na pustej beczce po oleju obok długich sznurów obwieszonych schnącą na słońcu pościelą i bielizną. Zdarzały się także pieluchy i ubrania robocze, wszystko pachniało mydłem, wybielaczem i parą. Popijała napój gazowany

z czeremchy - na ten rzadki tu luksus pozwalała sobie raz na tydzień - i rozmyślała, mając przy tym nogami i drewniakami żłobiąc rysy w betonowej płycie otaczającej budynek pralni.

Z miejsca, w którym siedziała, widać było żwirowe obejście za porzuconą dawno kręgielnią, przed dziesiątkami lat pomalowaną na szaro, z której teraz obłaziła farba; trzy długie, ciemne budynki mieszkalne z drewna sekwoi, w których sypiali studenci seminarium, pielgrzymi i nieliczni turyści; dalej na północ stację ogniw paliwowych i elektrownię słoneczną, zasilające lecznicę i żłobek. Za elektrownią i starym, ogrodzonym zespołem magazynów na sprzęty górnicze rozciągało się wysypisko odpadów, nad którym górowała mała hałda odpadów. Góra zawierała dawną kopalnię i wyznaczała od tej strony początek pustkowia skażonego metalami ciężkimi i cyjankami. Nikt tam nie chodził, jeśli nie musiał; czasami po ulewnych deszczach w powietrzu utrzymywał się zapach trucizny, nie dość jednak mocny, aby od niego chorowali, chyba że ktoś zrobił coś głupiego.

W połowie poprzedniego stulecia w kopalni w Oldstock ludzie wydobywali rudę miedzi, cyny, a nawet trochę złota, dlatego zbudowali tu miasteczko - resztką po nim była kręgielnia i budynki seminarium. Na południe od miasteczka, tuż przy szosie wiodącej nad brzegi jeziora Stannous, można było napotkać zarośnięte zielskiem ulice i betonowe fundamenty, na których kiedyś stały domy wzniesione przez Conditę Copper Company dla rodzin górników. W lesie Stella widywała stare lodówki, pralki, kupki butelek i większych śmieci, porzucone silniki parowe i benzynowe, przypominające wielkie, żelazne statki kosmiczne, przysadziste, ciemne wagoniki samowyładowcze, stosy żelaznych szyn, pomarańczowych od rdzy, oraz kapiących kreozotem podkładów kolejowych, po latach leżenia na słońcu pokrytych lśniącymi czarnymi kroplami.

Oldstock, nominalnie objęte federalnym programem oczyszczania groźnych wysypisk „Superfund”, leżało nad północnym brzegiem jeziora Stannous, gdzie warunki do łowienia ryb były słabe. Razem sprawiało to, że ludzie rzadko tu zaglądali. Miasteczko było jednak piękne, jeśli tylko nie padało zbyt mocno, odpady z hałdy nie były splukiwane do jeziora, a woda się nie popsula. Na razie mieli wiele szczęścia. Od dwudziestu lat utrzymywała się susza, odkąd tylko pan i pani Sakartvelo odkupili to miejsce od miejscowej gminy luterańskiej.

Sakartvelo nie było ich prawdziwym nazwiskiem. Wyemigrowali z BZS, Byłego Związku Sowieckiego, z tej jego części, która obecnie nosi nazwę Gruzji. Przybrane przez nich nazwisko było rodzimą nazwą ich ojczyzny. Ukrywali się tutaj przez niemal dwadzieścia lat, wiedząc, że w końcu pojawią się inni.

Pięć lat temu inni zaczęli napływać, a miasteczko powoli zaczęło się znowu ożywiać.

Pan i pani Sakartvelo byli po sześćdziesiątce. Fizycznie byli niewątpliwie Szewitami. Mówili, że inni podobni do nich - nieliczni - od przeszło dwustu lat pojawiali się w Gruzji, Armenii i Turcji. Stella Nova nie widziała powodów, aby im nie wierzyć. Mitch opowiadał jej o takich przypadkach.

Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, obracając twarz jak kwiat, aby nasycić się mocniej słońcem, zanim zajdzie ono za drzewa. Nasłuchiwała śpiewów kosów czerwonoskrzydłych, srok, przedrzeźniaczy i rudzików. Na jej policzkach cętki układały się w motyle wzory zadowolenia.

Młodsze dzieci bawiły się w rawshock - cętkowanie w symetryczne wzory i odgadywanie, co oznaczają. Szkoлиła je w miganiu cętkami. Niektóre przybywały do Oldstock cętkotepe, bez najmniejszej wiedzy o tym, jak porozumiewać się z innymi ich rodzaju. Powoli się tego uczyli. Stella i inni zajmowali się nauką najmłodszych.

Tego lata w lasach było pełno kleszczy - podobnie jak jeleni - ale kleszczami, a nawet moskitami zbytnio się nie przejmowali. Sakartvelowie nauczyli ich, jak wykorzystywać wonienie do odstraszania gryzących owadów, a także do obłaskawiania zwierząt - zwłaszcza niedźwiedzi czarnych - na które mogliby się natknąć. Dwustu Szewitów w Oldstock było jedynymi mieszkańcami w promieniu dziesięciu mil, a bory wokół były dzikie.

Rzecz oczywista, Sakartvelowie uczyli także dzieci zachowywania w tajemnicy istnienia Oldstock, szkolili je, co mają robić, jeśli przybędą szukający ich ludzie.

Dobrze się tego nauczyli. Nikt nie został stąd nigdy zabrany, nikt nie doznał choćby najmniejszej krzywdy ze strony zwierząt bądź ludzi. Życie było tu całkiem niezłe i Stella zaczęła zapominać złe czasy, a nawet lata spędzone z Mitchem i Kaye, dobre czasy, choć smutne. Zaczęła wierzyć, że można wieść tu inne życie, zakorzenione i prawdziwe, życie wśród swoich.

A potem Willowi się pogorszyło.

Niektórych nadal dręczyły koszmary wspomnień ze szkół i przebywania wśród ludzi. Stella nie miała tego rodzaju snów. Willowi tak się nie poszczęściło. Ukrywał przez nimi wszystkimi różne rzeczy, liczne rzeczy, których doświadczył.

W Oldstock nie było radia ani telewizji, jedynym telefonem był satelitarny w głównej świetlicy, zamknięty w szafie. Nie korzystano z niego, odkąd przybyli tu Stella i Will, a zapewne i długo przedtem.

Prześcieradła i pieluchy załopotwały na wietrze. Stella otarła pot z czoła, wstała, zaczęła ściągać i składać suche już rzeczy. Umieszczała je w plastikowej wanience, której nadawała zapach poprzez muskanie opuszkami kciuków miejsc za uszami i ocieranie palców o

uchwyty.

Randolph - jedyny Randolph w Oldstock, dlatego nie znała jego ludzkiego nazwiska - podszedł i zamigał przywitanie. Randolph był o cztery lata młodszy od Stelli, niektórzy nazywali takich rzadko urodzonymi, nienależącymi do żadnej Fali. Urodzonych podczas jednej z trzech wielkich Fal nazywano wyżowcami, nie wiedziała dlaczego. Przez chwilę rozmawiali jedynie licami, rozciągając i składając poszewki, drelichy i pieluszki. Wymieniali się uprzejmościami i naśladowali zapachy innych; był to jeden z żartów podczas pogawędek, toczonych dla zabicia czasu.

Randolpha przyjęto do Demu Kosa, innego niż dem Stelli, ale wywodzącego się z jej grupy. Mogli rozmawiać swobodnie o sprawach demu, ale nie o osobistych sprawach jego członków. Omawianie takich kwestii wymagało trójek, dla unikania nieporozumień między demami: trzech osób z każdego demu, które rozmawiały, używając pełnego wonienia, migania i licowania.

Rozmowy trójek dla obcych przypominały dziwaczny taniec, ale rozwiązywały mnóstwo problemów i znacznie zmniejszały tarcia między demami.

W Oldstock przebywało dwoje dzieci z najnowszej Fali, podrzutków mających odpowiednio dwa latka i dwadzieścia sześć miesięcy. Stella zajmowała się nimi czasami, udzielając lekcji domowych, szkoląc. Lubiła dzikie wonienie raczkujących malców. Niemowlęta Szewitów wychowywane wśród swoich czasami szalały, mogły wtedy wydzielać obrzydliwe zapachy, jak smród zdechłego skunksa, które bynajmniej nie pochodziły od brudnych pieluszek.

Dzieci Szewitów pocenia się z wonieniem uczyły się znacznie wcześniej, niż opanowywały mówienie.

Wszystko było nauką. Na szczęście pan i pani Sakartvelo nie mieli w sobie nic z tyranów. W latach sześćdziesiątych XX wieku komuniści wysterylizowali ich w Tbilisi, nie mogli więc mieć swoich dzieci. W dość pokrętny sposób nadawali się przez to doskonale na rodziców chrzestnych wszystkich Szewitów, ich przewodników życiowych w małym, zamkniętym jak klasztor Oldstock.

Randolph zakończył składanie sporej części prania i po bratersku dotknął dłonią policzka Stelli, wkładając w to zaledwie odrobinę Pytania, które młodzi chłopcy SHEVY często zadawali, nawet tym w jej stanie. Nawet mającym nadal partnera.

Stella odpowiedziała cichym ostrzegawczym pomrukiem z gardła i uprzejmym świergotem. Uśmiechnęli się do siebie i rozstali, nie wypowiadając ani jednego słowa. Stella potrafiła całe dni obywać się bez mówienia, a chociaż niekiedy krzyczała głośno przez sen,

po przebudzeniu nigdy nie była w stanie przypomnieć sobie, co wołała.

Kolację w refektarzu podawano tym, którzy od wczesnego ranka tego dnia ścinali drzewa i cięli drewno na deski. Chłopcy i dziewczęta wychodzili z kabin odświeżenia, gdzie dla usunięcia potu wycierali się mokrymi ręcznikami - większość brała prysznic rzadziej niż raz w tygodniu. Usuwanie czy ukrywanie zapachu ciała było uważane za postępowanie niegrzeczne. Z drugiej strony także woń ciężkiej pracy mogła przesłaniać ów zapach.

Pan Sakartvelo powiedział im:

- W głębi serca wszyscy jesteśmy Francuzami. - Stella nie bardzo wiedziała, co miało to znaczyć. Słyszeli, że we Francji zatrudniano Szewitów w wytwórniach perfum. Może o to chodziło.

Czuła, że tak mało wie. Obecnie prawie zawsze była głodna, dlatego stanęła w kolejce z robotnikami, trzymając ręce na brzuchu i usiłując wyczuć kształt poniżej, ale on jeszcze wcale się nie uwypuklił. Poczucie brzucha trochę ją zasmucało. Pomogłaby filiżanka kawy. Kofeina bardzo ułatwiała zniesienie dnia. Szewici tak mocno reagowali na kofeinę, że kawa, herbata, a nawet czekolada były dozwolone jedynie od godziny dziesiątej do piątej.

Myśli Stelli galopowały nieustannie nawet bez kawy. Przez jedną połowę czasu miała ochotę płakać, przez drugą wciągać zapach kawy i znosić godziny każdego dnia oraz wszystko, co z sobą przynosiły. Było tyle pracy do wykonania. Mogą upłynąć jeszcze miesiące i lata, a ciągle nie dostosuje się całkowicie. Wszystkie te lata spędzone z dala od jej rodzaju... Czy jej nie upośledziły, nie uczyniły bardziej człowiekiem niż Szewitą?

Zdarzały się jednak i przyjemniejsze chwile, lekcje z młodszymi wyżowcami, a zwłaszcza z małymi dziećmi.

Zabrała z lady tacę z jedzeniem i poszła do refektarza, wielkiego i cichego; zobaczyła dwunastu robotników po pracy, żaden z nich nie mówił, jedynie gestykulowali, licowali i migali; poczuła przyjemne wonie kakao, jogurtu, a nawet jaśminu - ktoś pachniał bardzo ładnie - pomieszane i z tej odległości wyrwane z kontekstu, niczym urywane słowa dobiegające przypadkowo z rozmów, jakie toczono przy starych, drewnianych stołach i na ławach.

Stella usiadła samotnie, co dość często robiła, aby unikać uwag, uprzejmych, lecz trochę krytycznych. Zjadła miskę fasoli z puszki, posypanej lub polanej dodatkowymi przyprawami i aromatami, które lubili Szewici, indiańską czarną solą, wyciągiem z rzepy i kwaskowym sosem anchois.

Luce Ramone usiadła obok z miską chipsów. Luce mówiła więcej od innych, stąd Stella przywitała ją uśmiechem zdradzającym pewną potrzebę.



- Co, chcesz gaduły? - zapytała Luce. O rok młodsza od Stelli, urodziła się pod sam koniec pierwszej fali wyzowców. Była niska jak na Szewitkę, miała bladą cerę i gęste, czarne włosy, które łatwo się jeżyły. Pachniała jednak wspaniale, przyciągała uwagę wielu chłopców mających nadzieję na dopuszczenie do obrzeży jej demu. Demy Stelli i Luce łączyły się właśnie, zlewały z sobą, ale zachowywały ciągle dawne więzy. Nikt nie wiedział, do czego może to doprowadzić ani co może oznaczać dla miejscowych poszukiwaczy - pełnych nadziei chłopców i dziewcząt w każdym z ich demów.

- Bardzo lubię gaduły - odpowiedziała Stella.

- Dobra odtrutka/jestem do usług. Jesteś przybita/wyglądasz na przeciążoną.

- Jestem zadumana.

Obie migały policzkami, ale obecnie przeważała u nich nad- i podmowa.

- Joe Siprio, znasz go?

- Przyjaciel Willa - wyjaśniła Stella.

- Podrywa mnie. Powinnam?

- Ależ skąd/za młody - odpowiedziała Stella.

- Zostałaś poderwana w moim wieku/hipokrytka.

- Spójrz, co stało się ze mną. - Bez podkreślenia, ale powiedziane wprost, nie podmową.

- Wielki z niego wesołek - powiedziała Luce z pełnym zadumy spojrzeniem. - Nasze ciała lubią się nawzajem.

- Po co masz zawracać sobie nim głowę? - zapytała ze złością Stella. - Jesteś ćmą. Musisz dorosnąć i zostać pszczołą. - Ćma i pszczoła to określenia dwóch poziomów dojrzewania płciowego u Szewitek. Kobiety przechodziły trzy etapy: w pierwszym, ćmy, były zdolne do pierwszych podchodów miłosnych, ale nie do prawdziwego stosunku; w drugim, pszczoły, były aktywne płciowo, ale bezpłodne - nadal pozostawało to jedynie domysłem, nawet dla państwa Sakartvelo - pozwalając sobie na dalej posunięte próby wysyłania i odbierania sygnałów hormonalnych i feromonalnych; w trzecim zaś, osy, etapie pełnej płodności, ich aktywność seksualna mogła doprowadzić do ciąży. Szewitki mogły cofać się do etapu pszczoły, jeśli doszło do rozpadu demu albo nie udało się podrywanie.

Mężczyźni zaczęli dojrzewać jako pszczoły i potem przechodzili prosto do etapu osy; czasami proces ten trwał zaledwie kilka godzin.

- Lemon i Lime patrzą na to po staremu - dodała Stella. Lemon i Lime byli najważniejszymi współpracownikami państwa Sakartvelo. - Uważają, że powinnaś poczekać.

- Ty nie czekałaś.

- To zupełnie coś innego - odparła Stella i zamigała ostrzegawczo, że nie lubi myślenia na ten temat, a tym bardziej rozmawiania.

- Lemon i Lime ciebie wspierali - powiedziała Luce sondująco.

- Nie mieli większego wyboru, nie sądzisz?

Dziesięcioletni chłopak imieniem Burke podszedł do końca stołu i stał tam nieśmiało, trzymając ręce złożone przed sobą i kołysząc się na piętach.

- Co? - warknęła Stella, patrząc na niego z policzkami migającymi czystym złotem.

Burke się cofnął.

- Lemon i Lime z kilkoma innymi są przy bramie. Przyszli ludzie.

- No to co?

- Mówią, że są twoimi rodzicami. Przywiózł ich inny człowiek, ten tęponosy dostawca.

Stella uderzyła płasko dłońmi o stół, potem bębniła w niego, kręcąc głową, aż brzęczały naczynia. W jadalni odwracały się głowy, dwie osoby wstały na wypadek, gdyby zapadła powszechna zgoda na interwencję.

Luce odepchnęła się od stołu; nigdy nie widziała swej przyjaciółki równie poruszonej.

- To nie oni - powiedziała Stella, po czym przesunęła nogi nad ławą i wstała. - Nie teraz. - Podeszła do Burke'a, jej twarz i źrenice płonęły mocno oskarżycielskim pytaniem, jakby pragnęła go ukarać.

- Kobieta pachnie jak ty! - zajęczał Burke, a potem inni otoczyli ich i delikatnie trącając Stellę łokciami, odsunęli ją na bok. Dotykanie gniewnymi rękoma było uważane za bardzo zły postępek. Burke odbiegł z płaczem.

- Idź zobacz - zaproponowała Luce, płonąć własnym kolorem. Nikt lepiej od niej nie potrafił perswadować. - Jeśli to nie twoi rodzice, wykurzą ich stąd i zapomną o wszystkim. Jeśli są twoimi rodzicami, będziesz musiała wyjechać. - Wyciągnęła mokre od śliny wnętrza dłoni, podobnie jak inni tworzący krąg wokół stołu, ale Stella nie chciała dotknąć ręki żadnego z nich.

- Nie chcę wiedzieć! - lamentowała. - Nie chcę, aby oni wiedzieli!

**Gmach sądu Stanów Zjednoczonych im. Alberta V. Bryana  
Alexandria, Wirginia**

Senator Laura Bloch przywitała Christophera Dickena w holu przed salą rozpraw. Dicken jak zwykle miał na sobie strój udający garnitur, brązową tweedową marynarkę i sztruksowe spodnie, dopełnione dawno niemodnym szerokim krawatem. Senator Bloch z kolei ubrana była w granatowy kostium i trzymała małą aktówkę. Za nią stali młodszy łysy mężczyzna i samotna, wyglądająca na udęconą kobieta w średnim wieku, oboje ubrani jak urzędnicy i trzymający swoje aktówki.

- Zaraz wyjdzie - oznajmiła Bloch ostro. - Kreuje się na prostego gliniarza, który strzeże nas wszystkich.

Dicken nie był zbyt zadowolony z karaniem, nie palił się też za bardzo do zostania świadkiem.

- Ciekawa jestem, co pomyśli Gianelli - dodała Bloch łagodniej, patrząc na ławy, na szeregi prawników i świadków; jedni czekali, aż pozwolą im wejść na salę rozpraw, a drudzy na wezwanie.

Trudno było nie rozpoznać odgłosu laseczki Marka Augustine'a. Dicken i Bloch odwrócili się, zobaczyli, jak idzie holem w stronę sali rozpraw. Kiwnął głową swoim obrońcom, porozmawiał z nimi kilka sekund, zerkając na Dickena, potem oderwał się od nich i ruszył ostrożnie ku nim.

- Doktor Augustine - powiedziała Bloch i wyciągnęła rękę.

- Pani senator, miło mi panią widzieć. - Augustine uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń, ale nie spuszczał oka z Dickena. - Przykry obowiązek, co, Christopherze?

Dicken przytaknął.

- Jak się masz, Marku?

- Krzywa uczenia się jest stroma dla nas wszystkich - odparł Augustine.

Dicken przytaknął. Nie miał poczucia triumfu, jedynie gorzką świadomość niedokończonego zadania.

Augustine zacisnął usta i wyjął z kieszeni złożoną kartkę.

- Dwie wiadomości - powiedział. - Po pierwsze, szefa sztabu Sumnera, Stana Partona, namówiłem na wspólne posiedzenie pojednawcze. Mamy wybrać kilkoro dzieci, które na zaproszenie prezydenta przybędą do komnat Białego Domu. Będzie przy tym obecny

wiceprezydent.

- Wspaniale - stwierdziła senator Bloch z błyszczącymi oczyma. - Dick bardzo się ucieszy, gdy o tym usłyszy. Kiedy?

- Mogą minąć miesiące. Druga wiadomość jest zła.

Ostatnią rzeczą, której pragnęli, były złe wiadomości. Bloch westchnęła i przewróciła wyłupiastymi oczyma.

- Wysłuchajmy jej - powiedział Dicken.

- Pani Rhine dziś rano o wpół do siódmej zapadła w śpiączkę. Zmarła o jedenastej piętnaście.

Dicken poczuł, jak oddech więźnie mu w gardle.

- Cierpiała od lat - powiedział Augustine.

- To naprawdę dla niej błogosławieństwo - dodała Bloch.

Dicken zapytał, gdzie na tym piętrze jest toaleta, a potem przeprosił rozmówców. W odbijającej echa pustce zamknął drzwi kabiny. Obyło się bez łez. Nie czuł nawet otępienia.

- Zabawny świat - szepnął i wzniosł oczy ku sufitowi, jakby mogła go usłyszeć pani Rhine. - Stary zabawny świat. Gdziekolwiek jesteś, Carlo, mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

Następnie wyszedł z kabiny, umył ręce i wrócił przed salę rozpraw, gdzie stanął z Bloch i Augustine'em.

Przybyła Rachel Browning ze swymi adwokatami, przechodzili skupioną ściśle grupką jakieś dwadzieścia stóp od Augustine'a i Bloch, jej twarz żłobiły głębokie zmarszczki, była blada niczym wyrzeźbiona w gipsie, wyglądała jak maska pośmiertna. Kiwała głową w rytm słów zbliżających się do niej adwokatów. Jeden stanął, aby szepnąć jej coś do ucha.

- Żal mi jej - powiedział Dicken, łatwo ulegający miłosierdziu.

- Nie żałuj - poradził półgębkiem Augustine. - Nie znosi litości.

Woźny sądowy otworzył drzwi.

- Idziemy, panowie - zarządziła Bloch. Wzięła ich obu za łokcie i poprowadziła, idąc ramię w ramię, na salę rozpraw.

**Jeziro Stannous****Północna Kalifornia**

Mitch trzymał Kaye za rękę, gdy grupa ponad dwudziestu młodych osób zacieśniła wirujący wokół nich krąg. Morgana odciągnięto na bok, stał teraz otoczony przez trzech młodych mężczyzn. Wyciągał ręce, uśmiechając się nerwowo, na twarzy miał rumieniec, wiatrówkę zdjętą z jednego ramienia. Wyglądał na zdziwionego.

Kilku innych nastolatków i kobieta pod osiemdziesiątkę przetrząsało półciężarówkę Morgana w poszukiwaniu, jak domyślał się Mitch, urządzeń komunikacyjnych bądź śledzących. Wszyscy byli spokojni i bardzo poważni.

- Staramy się odszukać dziewczynę o imieniu Stella Nova - powtórzyła Kaye. Powietrze było przesycone wonią perswadowania. Mitch czuł się już zamroczony i oszołomiony pomimo zatyczek do nosa, które w łazience motelu zrobili z papieru toaletowego i balsamu do warg o zapachu waniliowym.

Starszy mężczyzna, także grubo po siedemdziesiątkę, z rumianymi policzkami i nierówną aureolą rudawych, poprzetykanych siwizną włosów, przeszedł przez krąg i wyciągnął ręce, chwytając dłonie Mitcha i Kaye. Miał na sobie dżinsową kurtkę z mosiężnymi guzikami. Gdyby nie okrągła twarz i rysy SHEVY, mógłby być wędrownym parobkiem.

- Nie powinniście byli tu przyjeżdżać - powiedział, przyciskając ich dłonie do swej piersi.

- Jesteśmy jej rodzicami - wyjaśniła Kaye, patrząc błagalnie.

- Szukamy jej od lat.

- Nie ma jej tutaj. - Policzki staruszka migały cętkami, tworząc szybko zmieniające się nieczytelne wzory, a jego szmaragdowe tęczęwki iskrzyły się żółcią i brązem. Obcy akcent był ledwo wyczuwalny, ale Mitch wyczuwał w nim ślad pochodzenia wschodnioeuropejskiego. Starał się rozumować jasno, odpierać natarcia woni. Po jakimś czasie, był pewny, będą musieli wrócić do półciężarówki i odjechać w przekonaniu, że się pomylili - bez względu na wszystko, co mówiłby im Morgan.

Po raz pierwszy Mitch czuł lęk, przebywając wśród ludu swej córki.

Staruszka stanęła obok starego mężczyzny i zaczęła mówić potokiem nad- i podmowy

w obcym języku.

- Gruziński - powiedziała do Mitcha Kaye. Próbowali wyrwać dłonie, ale starzec był silny i nie chciał ich puścić, a Mitch wolał uniknąć jakiegokolwiek walki. Stali w ciasnym trójkącie, stary mężczyzna nie patrzył już na nich, skupiając się na staruszcze i nastolatkach.

- To wasi przyjaciele! - krzyknął Morgan, wyrывая się trzymającym go rękami; jego głos łamał się z gniewu i zdenerwowania.

- Nie sprowadziłbym tu wrogów, wiecie przecież. Ona jest sławna! Była u Oprah!

Starzec puścił ich dłonie, ale krąg młodzieży, rudych, rudawych blondynów, jasnych brunetów, o wszystkich kolorach włosów - Mitch nigdy nie widział tylu ich odmian u dzieci SHEVY - zamykał ich ściśle, a powietrze gęste było od wonienia.

Mitch wątpił, aby po tym przeżyciu nadal lubił czekoladę. Kaye wyjąkała kilka słów po gruzińsku, a potem po angielsku zapytała starszą parę:

- Kiedy tu przyjechaliście? Skąd jesteście?

- Stella! - zawołał Mitch w stronę budynków przylegających do placu.

Staruszek przytknął palec do jego ust. Mitch skłonił głowę jak posłuszny pies i zamilkł.

- Proszę - błagała Kaye.

Mitch podparł żonę, gdy ugięły się pod nią nogi.

- Wracajcie - powiedział staruszek.

- Wracajcie - powtórzyły dzieci na wiele głosów, nad- i podmową, wznoszących się w upale późnego popołudnia śpiewnym, niezwykle przekonującym i przemawiającym do rozumu szemranie.

Mitch dostrzegł coś kącikiem oka. Uniósł głowę i stanął na czubkach palców, aby spojrzeć ponad tłum. Twarz, znana mu jak twarz Kaye, jak twarz matki, zbliżała się od szarych budynków prosto w stronę wirującego kręgu. Starał się nie tracić jej z oczu pomimo kołyszących się głów, śpiewających ust i nakrapianych złotem oczu. Miała na sobie parę workowatych czarnych spodni, chodaki i białą bluzkę bez rękawów. Ramiona miała wąskie, niczym Kaye, a ręce opalone na rudawy brąz, jak posąg w parku. Na jej policzkach widniał wzór motyla, który Mitch rozpoznał natychmiast, wyraz złożonych uczuć, zdumienia połączonego z niepewnością, a także bezwiednego powitania.

- Jest tutaj! - powiedział zdławionym głosem.

Kaye zobaczyła Stellę, stanęła wyprostowana i spróbowała przedrzeć się przez krąg. Młodzież skupiła się, aby ją powstrzymać.

Stella zatrzymała się przed wirującym kręgiem, założyła ręce i rozglądała się na boki,

jakby nie dostrzegała tego, co chciała ujrzeć, przychodząc tutaj, albo jakby unikała czegoś wzrokiem.

Kaye biła młodych ludzi, aby się wyrwać; nie używała słów, jedynie chrząknięć i krzyków.

Stella nagle skoczyła naprzód i chwyciła się członków kręgu.

Staruszek uniósł ręce, starsza kobieta tak samo i krąg się rozpadł, zostawiając Kaye, Mitcha i Stellę w środku luźnego, rozszerzającego się tłumu.

Wietrzyk zaszumiał wśród drzew i na zwiirze placu, rozpraszając woń. Stella ścisnęła matkę, potem wyciągnęła rękę nad ramieniem Kaye, złapała Mitcha i także jego objęła.

Przybywało więcej młodzieży, zaciekawionej, chcącey się przyłączyć i robić to, co konieczne.

- Widzicie! - zawołał triumfująco Morgan. - Czy oszukałbym was? Ludzie, zostawcie ich! To rodzina!

Pożegnali Morgana, podziękowali, a Mitch uściśnął mu dłoń. Stary Szewita stanowczo powiedział Morganowi, że ma nigdy więcej nie wracać.

- Hej, warto było - uznał Morgan potulnie. Pomachał ręką na pożegnanie, gdy Stella prowadziła Mitcha i Kaye do małej świetlicy z tyłu starej kręgielni.

- Są niezadowoleni, że tu jesteście - powiedziała, ustawiając krzesła wokół poobijanego drewnianego stołu. Wskazała ręką, aby usiedli. Okno w tyle sali było ciemne; zapadał zmierzch. - Nie chcą, aby nas odnaleźli.

- Kim oni są? - zapytała Kaye zbyt ostro, ale nie mogła się powstrzymać. - Przywódcami sekty? Jak się nazywają, Bo i Peep?<sup>26</sup>

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparła Stella.

- Nie chcieli z nami rozmawiać - powiedziała Kaye, próbując opanować złość. - Czy aż tak bardzo nas nienawidzą?

Stella pokręciła głową, przez chwilę niezdolna do odpowiedzi. Niełatwo było jej wytłumaczyć, jak długo musiałaby odpowiadać na to pytanie.

- Jestem po stronie was wszystkich - mówiła dalej Kaye. - Oboje jesteśmy, Stello. Na pewno mogliby opowiedzieć nam cuda, ale tak długo poszukiwaliśmy, tak bardzo się baliśmy! - Tak mocno waliła w stół, że podłoga dudniła, a okno grzechotało.

---

<sup>26</sup> Bo i Peep to przydomki przywódców sekty Heaven's Gate, która popełniła masowe samobójstwo w roku 1997.

Mitch przytrzymał jej dłonie.

- Oboje szukaliśmy. - Patrzył na Stellę na przemian z ulgą i gniewem.

- Przepraszam - powiedziała Stella. - Will i ja przybyliśmy tutaj po wypadku autobusu.

Było to dla nas najlepsze.

- Will? - spytał Mitch. - To ten chłopiec? - John Hamilton opowiedział im o wsadzeniu Stelli i Willa do samochodu Jobeth Hayden. Policja stanowa z Nevady aresztowała Hayden i przekazała ją FBI, ale nigdy jej o nic nie oskarżono.

Nie miała zielonego pojęcia, gdzie dzieci mogły pojechać. W jej samochodzie znaleziono kulki ze zmiętych kartek książki.

- Widzieliście go w Wirginii, w długim budynku, w którym mnie znaleźliście. Kiedy umarła dziewczynka - wyjaśniła Stella.

- Nie bardzo go pamiętam - powiedział Mitch.

- Był moim przyjacielem - dodała Stella. Odwróciła się w stronę Mitcha, przyglądając mu się nieśmiało, ukradkowymi zerknięciami; jej twarz pociemniała, a źrenice zwęziły się w maleńkie punkciki. Mitch nigdy dotąd nie widział swojej córki równie przygnębionej, równie przybitej.

- Był?

- Nie żyje.

- Jak zmarł? - zapytała Kaye.

Stella pokręciła głową i odwróciła wzrok.

- Nie pasował tutaj? - spytała ostrożnie Kaye.

' Bo i Peep to przydomki przywódców sekty Heaven's Gate, która popełniła masowe samobójstwo w roku 1997.

Stella ponownie pokręciła głową.

- Zbyt długo żył z ludźmi. Krzywdzili go. Zdziczał od tego. Nie mógł się włączyć do żadnego demu, nawet mojego.

- Też żyłaś z ludźmi - powiedziała łagodnie Kaye.

- To coś innego.

- Stello, jesteś w ciąży? - zapytał Mitch, a Kaye poderwała się, jakby ktoś ją kopnął.

- Tak - potwierdziła Stella.

Kaye zacisnęła szczęki. Mitch położył rękę na ramieniu Stelli.

- Will?

- Tak.

Kaye jęknęła, potem ścisnęła dłońmi usta i brodę. Stella patrzyła w okno, nie chcąc



być świadkiem cierpienia matki.

- Jest ojcem - stwierdził Mitch.

- Tak szybko zostałam osą - powiedziała Stella. - Wydawało się to słuszne, był dla mnie miły i łagodny, kiedy przebywał z dala od innych.

- Zabili go? - spytał Mitch.

Stella pokręciła głową, a jej policzki przybrały ładny odcień sjeny, który, o czym Mitch wiedział, oznaczał bardzo nieprzyjemne uczucie: rozpacz. Zabarwiły się na podobny kolor, kiedy znaleźli Shamusa zwiniętego w kłębek w ołowniku i martwego, wiele lat temu. Całe życie temu.

- Przestał jeść. Nikt nie potrafił go zmusić. Nikt nie zdołałby. Nie wiem dlaczego; tak wiele jesteśmy w stanie robić dla chorych. Zostałam z nim. Graliśmy w różne gry. To była jego decyzja. Mówił, że nie pasuje. Tak bardzo cierpiał, stał się taki odległy.

Kaye położyła głowę na stole. Mitch widział odbłaski światła od łez spadających z jej oczu, przyciemniających popękane drewno.

- Nie mógł być z nami, a gdzie indziej nie mógł być tym, kim by chciał. Coś się w nim załamało. Wiedział, że nigdy nie czuł się dobrze z nami ani z nikim innym. Jewgienia i Jurij - nasi gospodarze - próbowali wszystkiego, co tylko przychodziło im do głowy.

- Jest tyle rzeczy do poznania - szepnęła Kaye i obróciła głowę w stronę córki.

- Pod koniec nie chciał żyć - powiedziała Stella. - Pochowaliśmy go w lesie. - Mocno kręciła głową. - Już ani słowa o Willu.

Kaye podniosła się i stanęła za córką.

- Czy możemy trochę zostać? - zapytała ją. - Być z wami? Może w czymś pomóc?

- Nie wiem - odparła Stella.

- Chcesz, abyśmy zostali? - spytał Mitch.

Stella pogładziła palce Kaye spoczywające na jej obojczyku.

- Tak.

- Czy jesteśmy pierwsi... ze starego rodzaju ludzi, którzy tu przyjechali w odwiedziny? - zapytała Kaye.

- Nie - odparła Stella. - Było już czterech. Stary mężczyzna i trzy stare kobiety. Mieszkali w Oldstock, kiedy Jewgienia i Jurij kupili to miejsce, i pozostali. Mężczyzna zajmował się remontami, a wszyscy pracowali w kawiarni.

- Zdarzało się już więc tak. Może potrafi to nam coś wyjaśnić - stwierdziła Kaye.

- Chciałabym, abyście byli tutaj, gdy urodzi się dziecko - powiedziała Stella. - Byłoby dobrze.

Kaye położyła policzek na czuprynie córki.

- Byłabym taka dumna. Czy jest tu lekarz?

- Jewgienia i Jurij byli lekarzami w Rosji - odrzekła Stella. - Moje dziecko urodzi się tutaj jako pierwsze.

- Jaka matka, taka córka - powiedział Mitch z cieniem dawnej niechęci. - Pionierki. - Jego żona i Stella zdobyły się na uśmiechy.

- Możesz śpiewać dziecku, jak śpiewałeś mnie - uznała Stella. - Masz dobry głos dla maleństw.

- Ma rację - przyznała Kaye. - A jeśli to będzie chłopczyk?

- Będzie - odpowiedziała Stella. - Wyczuwam jego zapach. Pachnie jak Will, w środku mnie.

## 6

### Rzeka Spent, Oregon

Niektórzy mówili, że nadeszła przełomowa chwila. Kaye nie była tego taka pewna. Po wszystkich tych latach walki z trudem potrafiła sobie wyobrazić czasy odbudowy, uczestnictwa i zmiany. Kiedy siedziała z mężem i trzema dziewczynami w tyle długiego minibusu, podskakując na porytych koleinami drogach poniżej białego blasku góry Hood, czuła wewnątrz coś w rodzaju zamrożonej cierpliwości.

Trzymała ramię męża, patrząc między kierowcę i siedzącego obok niego agenta Secret Service. Potem się odwróciła, zerknęła na Stellę, Celię i LaShawnę, a za nimi na Johna Hamiltona. Dziewczyny - teraz młode kobiety - trzymały się sztywno jak kukły, oczy miały rozszerzone. Przyglądały się krajobrazowi, w którym wysokie, wyschłe krzewy przechodziły w farmy i sady pełne grusz, a następnie w rzadki las; mało mówiły, tuląc się do siebie na szerokim siedzeniu. John wpatrywał się przez tylną szybę w długi szereg jadących za nimi furgonetek i samochodów.

Chce być z Luellą, pomyślała Kaye. Jest zmęczony tą walką i pragnie być ze swoją żoną. Szykować się na następną walkę.

Mitch pochylił się, żeby wyjrzeć przez boczne okienko; wypatrywał pierwszych śladów rzeki Spent i obozu. Nie chciał tu wracać.

- Skończyłem ze zmarłymi - powiedział do Kaye, kiedy tydzień temu odwiedził ich Oliver Merton. - Nigdy więcej brudu i kości. Dajcie mi żywych. Już z nimi jest dość

kłopotów.

Mitchowi nie podobał się rozgłos wywołany wykopaliskami nad rzeką Spent, kierowanymi przez Eileen Ripper, ani związki z Williamem Daneyem, który je opłacał; zbyt mocno pachniało mu to tanim chwytem. Cały ten jubel zupełnie go nie pociągał i Kaye początkowo podzielała jego zdanie. Po co pokazywać się światu, aby wesprzeć rząd, który zbyt późno zasiadł do stołu obrad, dokonawszy uprzednio tylu zniszczeń - jeden z trzech mrocznych, okropnych rządów, sprawujących kolejno władzę?

Po co pomagać potworom w zrozumieniu? Lepiej mieszkać w Oldstock, ukrywać się tam przed wszystkimi i czekać na przyjście na świat dziecka Stelli.

Oldstock przestało już jednak być kryjówką. Morgan okazał się zbyt gadatliwy. Przybywali reporterzy, pielgrzymi, rodzice poszukujący zaginionych dzieci.

Dopiero wizyta senator Bloch ostatecznie przekonała Kaye, że to dobry pomysł. Na pozostawionym odłogiem polu wyrastają niekiedy kłopotliwe dary; odrzucanie ich byłoby postępkem niemądrym. Albo niemożliwym.

Kaye rozumiała to lepiej od innych.

Szkoły USW były zamykane albo przekształcane w sierocińce. Ośrodek Patogenezy Sandia walczył o przetrwanie, starał się zmienić swoje przeznaczenie. Stanowisko Spent River, rozkopywane przez Eileen, miało się stać lekcją pogładową. Prezydent Stanów Zjednoczonych pragnął uczynić je symbolem kraju usiłującego się pozbierać po długiej i okrutnej walce toczonej przez sumienie i strach.

- Zawsze są ludzie obawiający się przyszłości - powiedziała Kaye i Mitchowi Bloch. - Ich lęki nie są stałe, jedne zastępują drugie; z tego strachu między innymi zabijają dzieci. Trzeba uczynić ich całkowicie bezsilnymi, bo inaczej całe to paskudztwo zacznie się od nowa.

- Albo się przyłączycie, albo pozostaniecie z tyłu - mówiła dalej. - Moim zdaniem powinniście pojechać. Owoce zwycięstwa. Ludzie chcą wiedzieć, co myśli Kaye. - I zaraz dodała: - I ty też, Mitch.

W końcu to Stella przeważyla szalę.

- Jedźmy - powiedziała w kuchni stołówki w Oldstock, wycierając ręce o ścierkę do naczyń i składając je na wydatnym brzuchu. - Zawsze chciałam zobaczyć miejsce pracy taty.

Sznur samochodów i furgonetek minął wierzchołek i zjeżdżał połą drogą do wyschniętego meandra łożyska dawnej rzeki. Kilka wozów, mających zbyt niskie zawieszenie, zostało w tyle.

- Tam - powiedział Mitch. - Zdjęli maskowanie. - Dziewczęta obróciły głowy, podążając wzrokiem za jego palcem. Stanowisko ogromnie się rozrosło. Liczyło ponad trzydzieści namiotów i osłon stojących teraz po obu brzegach dawnego, przetrząsnętego dokładnie łożyska rzeki.

Czekający na nich agenci Secret Service sprawdzili kierowców i rozmieścili samochody, kierując te wiozące VIP-ów w jedno miejsce, a dziennikarzy w drugie.

Dwie długie furgonetki wtoczyły się na prowizoryczny parking wyznaczony przez murszejące kłody i wyłączyły silniki. Senator Bloch czekała na nich pod dachem z białego tworzywa sztucznego. Słońce wyzierało przez niepewne chmury, oświetlając osłonę nowego głównego miejsca wykopalisk w kształcie litery H. Tu także przykrywały je połączone z sobą baraki z blachy falistej. Od tego miejsca na północ biegła ścieżka mająca po obu stronach płotki.

- Czy to tutaj zmarli? - zapytała LaShawna.

Agenci Secret Service otworzyli drzwiczki furgonetek. Pięciu fotografów, przyprowadzonych przez onieśmiałego Olivera Mertona, otoczyło samochody, robiąc zdjęcia i kręcąc filmy. Skupiali się na Stelli.

Oliver uśmiechnął się do Mitcha i Kaye, a na Stellę patrzył ze sporym szacunkiem. Kaye nigdy przedtem nie widziała go z tak pokornej strony.

- Zaledwie rok temu - mówił jakiś reporter do mikrofonu wpiętego w połą marynarki, wpatrując się z zapalem w małą kamerę zamocowaną na zakrzywionym przecie wychodzącym z uchwytu na jego pasie - widok ciężarnej Szewitki wywołałby panikę. Teraz...

Kaye odwróciła się; nie chciała dłużej słuchać.

Mitch dostrzegł Eileen Ripper, idącą wzdłuż dróżki wiodącej od strony nowej, wielkiej osłony. Rozpoznał jej powolny, rozważny chód, chociaż nosiła maskę. Zamieszanie nie podobało się jej bardziej niż jemu, choć tak naprawdę było triumfem. Zaledwie trzy miesiące wcześniej, po niemal dwudziestu latach sporu prawnego, sędzia federalnego sądu okręgowego rozstrzygnął, że Pięć Plemion nie ma podstaw, by rościć sobie jakiekolwiek prawa do resztek ludzi tak bardzo od nich odległych fizycznie i czasowo. Departament Spraw Wewnętrznych

nie będzie już przeszkadzał w prowadzeniu wykopalisk ani zwracał składającym skargi plemionom żadnych odnalezionych szczątków.

Tak zakończył się długotrwały koszmar archeologii Ameryki Północnej.

Dziwne, ale Mitch nie miał najmniejszego poczucia zwycięstwa.

Kości, które znalazł, kiedy Eileen podrażniła jego ambicję, były zaledwie częścią opowieści. Nie do końca pojmował przecież motywy duchów przemykających ponad krajobrazem.

Może także duchy kłamały, aby postawić na swoim.

Eileen przepchała się przez fotografów i ledwo kiwnęła głową świcie Bloch. Podeszła prosto do Mitcha i Kaye. Jej oczy spoczęły na chwilę na dziewczynach, gdy podawała Kaye rękę.

- Witam - powiedziała z szerokim, nerwowym uśmiechem. - I zapraszam. Cieszę się, że mogliście przyjechać z rodziną.

Zaczęła przedstawiać innych, występujących naprzód z różnymi stopniami onieśmienia, pewności siebie lub skrepowania w obliczu kamer.

Mitch był pewien, że wszystko zapowiada się źle.

Na lotnisku LaShawna i Celia z radością spotkały się znowu ze Stellą. Wyrwawszy się spod opieki Johna Hamiltona, LaShawna złapała Celię, a potem Stellę, i wszystkie trzy poszły razem do najbliższej toalety damskiej - miejsca budzącego lęk ich wszystkich jeszcze bardziej niż samolot, pełnego zapachów tyłu ludzi.

LaShawna wciągnęła Stellę do kabiny i szepnęła jej wściekle:

- Co wyprawiasz, dziewczyno, zostałam osą i dałaś się nadać! Co to za chłopak, ten Will?

- Wyjaśni później! - zawołała Celia przez zamknięte drzwi.

- Chodźmy! Nie podoba mi się tutaj.

Miały jednak mało czasu na rozmowy, a jeszcze mniej na obłokowanie i opowiadanie całej historii. Jazda samochodem trochę je uspokoiła, nawet pomimo obecności Kaye, Mitcha i Johna. LaShawna szepnęła Stelli na ucho:

- Twoja matka dobrze wygląda.

Stella odchyliła się do tyłu i spojrzała LaShawnie prosto w twarz.

- Mojej mamie się pogorszyło - powiedziała LaShawna ze smutkiem, opuszczając głowę na pierś i podciągając kolana, opierając się nimi o siedzenie. - Jeździ na wózku.

Stella odgarnęła sprzed oczu krótkie włosy, gdy wiatr dmuchnął jej w twarz. Wysiadła z furgonetki i zamrugała na widok kamer. Celia i LaShawna podążały za nią jak kacząta za matką. Cięża dawała jej pozory starszeństwa, choć Stella zastanawiała się dlaczego; zaszła w nią w głupi sposób, głupio straciła Willa. Opuściła Oldstock i przyjechała tutaj częściowo po to, aby nabrać dystansu; zastanawiała się, jak długo jeszcze mogłaby mieszkać w zamknięciu.

Wątpiła, aby bez Willa odnalazła kiedykolwiek dziecięcą swobodę, którą uważała kiedyś za tak ważną. Kiedy powąchała i poczuła dziecko wewnątrz siebie, pomyślała o odpowiedzialności i postępowaniu jak należy.

Na początek spotka się z panią senator i wszystkimi innymi.

Krajobraz wokół łożyska wyschłej rzeki był ni to ponury, ni to ładny, pachniał bardzo podobnie do Oldstock, choć chłodniej; drzewa tutaj zaznawały mniej słońca niż nad jeziorem Stannous. Ciche, chłodne sosny wyrastały ponad szare krzewy i stwardniałą skorupę gleby z występami potrzaskanych, purpurowoczarnych i szarych skał.

Coś się działo między archeolożką Eileen, a jej ojcem. Byli starymi przyjaciółmi. Dawno temu coś pomiędzy nimi zaszło; Stella była tego pewna. Przypatrywała się matce, ale Kaye nie wyglądała na zmartwioną tym. W gruncie rzeczy ona i Eileen wydawały się podobnie chodzić i rozglądać z tą samą pełną godności ciekawością.

Radowało to Stellę.

Mitch otoczył ją ramieniem. Stella przytuliła się do niego, a wokół zaszumiały kamery i zabłyśły flesze aparatów fotograficznych.

- Bardzo się kochają - powiedział prezenter wiadomości niewidocznym widzom. - Czy to nie cudowne?

Mitch delikatnie uściskał Stellę.

- Nie przejmuj się - powiedział szeptem. - Przyjechaliśmy odwiedzić kości. - Zabrzmiało to, jakby wchodzili do kościoła.

I tak było. Schodzili pod wielką osłonę wzdłuż długich arkuszy sklejki, a reporterom polecono wyłączyć jaskrawe światła. Potężny, opalony mężczyzna, mający około trzydziestu lat, w zabłoconych dżinsach, koszulce bez rękawów i bandance na głowie, o brudnych przedramionach, ze zwisającymi u pasa narzędziami dentystycznymi i pędzlami, nakazał dziennikarzom przejść przez punkt kontrolny i wytrzeć buty. Wszyscy otrzymali plastikowe osłony na obuwiu.

- Kurz jest tu ważny - wyjaśnił dźwięcznym tenorem. - Nie chcemy wprowadzać tutaj niczego obcego.

Eileen odłączyła się od grupki dziennikarzy i przedstawiła go.

- To Carlton Fierro - powiedziała. - Carlton Odźwierny. Nazywamy go tak, gdyż z trudem się mieści w większości drzwi. Jest teraz kierownikiem tego wykopu.

Stella uśmiechnęła się do Carltona.

- Cieszę się, że mogliście przyjechać - powiedział do dziewcząt.

Connie Fitz wyszła zza wyrzeźbionego filaru gleby i uścisnęła Eileen.

- Potrzebujemy wielkich chłopców, aby bronili nas, gdy wokół kręcą się dziennikarze - powiedziała i mrugnęła do Mitcha.

Stella nic z tego nie zrozumiała. Skupiała się na Carltonie, który ścisnął dłoń Mitcha.

- Mamy tutaj największe zgrupowanie - powiedział Carlton i poprowadził ich wszystkich wzdłuż desek i korytarza wiodącego do drugiego skrzydła osłony wykopalisk. Skręcili w prawo i stanęli przed szerokim, rozkopanym występem w kształcie płaskowyzu, wydzielonym jakieś dziesięć stóp poniżej rzędnej niwelacyjnej - poziomu terenu. Wokół występu wzniesiono rusztowania, a światło słoneczne padało na wszystko przefiltrowane przez szyby z mlecznego włókna szklanego.

- Osiem osób jednocześnie - oświadczył Carlton - i to łącznie ze mną. - Dziennikarze tłoczyli się wokół niego, starając się mieć w polu widzenia Kaye i dziewczęta.

Utworzył w tłumie ścieżkę dla osób, które Eileen wskazywała ręką z jednoczesnym skinieniem głową.

- Przechodzimy - powiedział Carlton i wspięli się po aluminiowych szczeblach. On wchodził ostatni.

Stella spojrzała w dół na wykopaliska. Najpierw zobaczyła jedynie wielką plataninę ciemnych kości i stwardniałych warstw gleby, błota i czegoś przypominającego stary popiół. Wyczuwała zapach kurzu. Niczego więcej.

Mitch i Kaye stali naprzeciw niej, Celia i LaShawna obok; John Hamilton i senator Bloch, oboje bardzo spokojni, stali pochyleni na szczeblach obok Carltona. Oliver Merton trzymał się na uboczu, z założonymi rękoma tkwiąc samotnie w kącie.

Eileen, Connie Fitz i Laura Bloch zostały na dole. Cała scena przypadła teraz Carltonowi.

- W tym skupisku mamy osiem dorosłych samic i dwoje młodych, samca i samicę - mówił Carlton. - Lahar gazów wulkanicznych, błota i wody jakieś dwadzieścia tysięcy lat temu nadpłynął z rykiem łożyskiem tej rzeki. Zmarli razem, zalani gorącym błotem. Jedna upuściła koszyk spleciony z traw. Jego odcisk pozostał w tej kostce nierozkopanego jeszcze skamieniałego błota, widocznej z prawej. Kobieta na szczycie grupy - ta oznaczona kwadratem z czerwonego plastiku, jej zarys jest podkreślony wąskim paskiem niebieskiej

taśmy - jest wyższa i bardziej krępa, to Homo erectus, należy do późnej odmiany, podobnej do heidelbergensis, ale nieobdarzonej jeszcze terminem naukowym. Wydaje się, że ma ponad czterdzieści lat, a więc dawno przekroczyła wiek rozplodowy; w swoich czasach była bardzo stara. Coś w rodzaju babci. Sądzymy, że ochraniała dzieci, a może także dwie inne kobiety. Dziewczynka i wszystkie pozostałe kobiety należą do Homo sapiens, są dosłownie nieodróżnialne od was i ode mnie. Chłopiec to kolejny Homo erectus.

Początkowo myśleliśmy - to znaczy myślały Connie, Eileen i pionierki kopania na tym stanowisku; ja pojawiłem się tutaj później - że są tu tylko samice, a samce uciekły i je zostawiły. Później pan Rafelson odnalazł pierwsze ślady samców, niedaleko stąd, po drugiej stronie rzeki. Sądzymy, że mogli się wybrać na łowy i wracali do swoich samic. Cóż, mogło tak być, ale działo się tutaj znacznie więcej. Od tej pory wokół rzeki Spent odsłoniliśmy trzynaście stanowisk, wszystkie w promieniu tysiąca jardów od tego. W sumie znaleźliśmy pięćdziesiąt trzy pełne szkielety i może z siedemdziesiąt częściowych, porzucanych kawałków kości udowej, czaszek lub zębów.

Było to coś w rodzaju wioski, zakładanej jesienią, aby łapać łososie napływające rzeką. Grupy rodzinne obozowały przy ścieżkach tworzących luźną sieć, czekając na początek tarła. Zaskoczył je wybuch wulkanu, a czas zamroził, abyśmy mogli je odnaleźć i ponownie zawrzeć znajomość z... no, ja myślę o nich jak o starych przyjaciółach. A właściwie starych nauczycielach.

Stella zerknęła na Mitcha i dostrzegła łzę na jego policzku.

Carlton przerwał, aby zebrać myśli. Celia była porażona i może trochę onieśmielona przez tego wielkiego mężczyznę. Wydawał się naprawdę twardy. Rozdziawiła usta. LaShawna marszczyła w skupieniu brwi.

- A nauka, którą przekazują nam teraz, jest dość prosta. Wędrowali jako równi sobie. Osobiście nie wiem, co nawzajem mieli sobie do zaoferowania. Znaleźliśmy jednak mniej więcej równe liczby przedstawicieli obu gatunków, erectus i sapiens. Dzieci należą do obu, podobnie jak samce. Nasze pierwsze stanowisko było pod tym względem nietypowe. Gdybym miał zgadywać...

- Bardzo cię przypomina, Mitch! - zawołała Eileen, stojąca w tłumie poniżej rusztowania.

Carlton uśmiechnął się nieśmiało.

- Powiedziałbym, że być może osobnicy gatunku erectus byli myśliwymi, korzystającymi z narzędzi wyrabianych przez sapiens. Nie zakończyliśmy jeszcze analizowania jednego z najbardziej zewnętrznych stanowisk, obejmującego grupę łowców,



ale wydaje się, że kierowały nią samice erectus. Nosiły krzemienne narzędzia odlupkowe, ciężką broń i kamienie, które mogły być, albo i nie, amuletami łowieckimi. Tak jest. Wysokie dziewczęta z wielkimi, wężącymi nosami, prowadzące zmyślnych chłopaków.

Szukamy głównego stanowiska ćwiartowania zwierzyny - zwykle w pobliżu wyrabiano wielkie narzędzia tnące. W owych czasach myśliwi grubą zwierzynę przeważnie przynosili do wioski i dzielili ją w osłoniętym miejscu. Nie mamy pewności dlaczego, albo nie przyszło im jeszcze do głowy zabieranie z sobą narzędzi rzeźnickich, albo nie chcieli przyciągać do siebie wielkich drapieżników.

Samice sapiens zajmowały się pleceniem trawy, skóry i kory, patroszyły ryby, zbierały wokół obozowiska jagody, żuki i tym podobne. W niektórych koszykach znaleźliśmy chrząszcze, pędraki, ziarna traw i czarnych jagód. Każdy miał swoje miejsce. Pracowali razem.

- I my też powinniśmy - powiedziała senator Bloch, a Stella zauważyła, że i ona jest głęboko poruszona.

- Odślaniając kości ludzi, usuwając nadkład i czyszcząc je pędzelkami, nie poznajemy, jakie wierzenia mieli dwadzieścia tysięcy lat temu - mówił cicho Carlton. - Przeważnie więc wyrażamy szacunek i wdzięczność dla nich chwilą ciszy. Zapoznajemy się z nimi. Nie byli oczywiście naszymi bezpośrednimi przodkami - najpewniej nigdy nie odnajdziemy tak starych bezpośrednich przodków. Przypominałoby to szukanie igieł w ogromnym, luźnym i porzrzuconym stogu siana. Ci ludzie jednak, których widzimy tutaj, jak też wszędzie wokół rzeki Spent, są mimo wszystko nami. Nikt nie może uzurpować sobie prawa do nich, a mimo to są rodziną. - Carlton przytakiwał swoim silnym przekonaniom.

- Amen. - Stojące pod rusztowaniem Eileen i Connie Fitz powiedziały to jednocześnie.

Stella widziała ręce ojca zaciśnięte na barierce. Knykcie miał białe, patrzył prosto na nią. Przechyliła głowę na bok. Poruszył wargami. Mogła bez trudu odczytać, co mówi.

Ludzie.

Eileen, Laura Bloch i Mitch patrzyli, jak fotografowie ustawiają Kaye i dziewczęta u podnóża wystającego płaskowyżu, przed rusztowaniem. Nie pozwalano na robienie żadnych zdjęć kości.

- Podobno Kaye spotkała Boga - powiedziała ściszym głosem Eileen do Mitcha. - Czy to prawda?

- Tak mi mówiła.

- Musiało to być niezręczne dla naukowca - zauważyła Eileen.
- Postępuje jak należy - odparł Mitch. - Nazywa to innym rodzajem inspiracji.

Senator Bloch słuchała tego z miną skupionego mopsa.

- A co z tobą? - zapytała Eileen.
- Pozostaję w stanie świętej naiwności.
- Tak jak kiedyś, co?

Bloch wtrącała się do rozmowy.

- To chyba nieźle - rozważała. - Dla polityki. Czy widziała Jezusa?

Mitch pokręcił głową.

- Nie sędzę. A przynajmniej nic o tym nie mówiła.

Bloch zacisnęła usta.

- Jeśli to nie był Jezus, lepiej będzie, jeśli na razie zachowamy to dla siebie.

- Co Bóg mówił jej o tym wszystkim? - zapytała Eileen, zamaszystym ruchem ręki wskazując wykopaliska i odsłonięte kości.

Mitch jęknął.

- Zapewne niewiele. Chyba nie chodzi o tego rodzaju związek.
- No to jaka z niego korzyść? - zapytała rozdrażniona Eileen.

Mitch musiał dobrze się przyjrzeć, aby rozpoznać, czy jego rozmówczyni żartuje. Wyglądało na to, że tak, i Eileen przestała się nim interesować, gdy niektórzy fotografowie podeszli zbyt blisko kwadratowej siatki, opartej o stół, omal go nie przewracając.

Gdy ich zgromiła i ustawiła ponownie siatkę, wróciła i poklepała Mitcha po ramieniu.

- Dobrze dla Kaye - powiedziała. - Dowodzi to, że jesteśmy twardym, starym gatunkiem. Możemy przetrzymać wszystko, nawet Boga. A co z tobą? Powrócisz niedługo i będziesz z nami kopał?

- Nie - odparł Mitch. - Już z tym skończyłem.

- Szkoda. Był najlepszy - powiedziała Eileen do Bloch. - Naprawdę jest do tego stworzony.

Mitch pomógł Kaye wrócić do furgonetki. Usiadła i zaczęła rozcierać łydki. Nogi jej zdrętwiały i miała trudności z wchodzeniem po schodach wyprowadzających spod osłony.

Stella, Celia i LaShawna przyszły zwartą grupką do furgonetki i wsiadły, zajmując cicho miejsca za Kaye. John Hamilton i Mitch stali, rozmawiając i czekając, aż dołączy do nich Bloch.

Kaye słyszała rozmowę męża i Johna, ale między podmuchami niosącego pył wiatru docierały do niej tylko strzępy słów.

John mówił:

- ...i źle. Twierdzą, że przy dwójce jest gorzej. Lato w Marylandzie zapowiada się na ciężkie. Chciała tu przyjechać. Ale nie mogła.

Kaye oblizwała wyschłe wargi i popatrzyła przed siebie. Stella położyła rękę na ramieniu matki i dotknęła jej policzka.

- Jak z wami wszystkimi? - niespodziewanie zapytała Kaye, obracając się pomimo ukłuc w udach i patrząc na dziewczęta - młode kobiety.

- Czujemy się całkiem dobrze - odparła sennie LaShawna.

- Chciałabym wiedzieć, o co chodzi w tym wszystkim.

- Chyba-KUK wiem - powiedziała Celia. - Polityka ludzi.

- A co z tobą, kochanie? - zapytała Kaye Stellę.

- Czujemy się dobrze - odrzekła Stella, a jej policzki zabłysły złotym motylem, wyrażając ni to strach, ni radość.

Przejęła się, pomyślała Kaye. Tym, co właśnie zobaczyliśmy. Spodobał się jej taki ojciec.

Patrzyła, jak Stella odchyła się do tyłu na siedzeniu i przybiera obojętną, zamyśloną minę, a jej policzki bledną w odcień beżu. Celia i LaShawna usiadły podobnie jak ona.

Wszystkie trzy wzięły się pod rękę.

Tego wieczoru Stella, Celia i LaShawna siedziały w swoim pokoju w motelu w Portland. Kaye, Mitch i John Hamilton zajmowali inne pokoje tego samego motelu; dziewczęta poprosiły, aby mogły być razem, same. - Chcemy tylko leżeć i powracać - wyjaśniła Stella.

Wszyscy razem zjedli obiad, a potem patrzyli, jak senator Bloch i Oliver Merton odjeżdżają limuzyną, aby nocnym lotem wrócić do Waszyngtonu w Dystrykcie Kolumbii. Teraz odpoczywali i spokojnie rozmyślali.

Widok kości zmartwił Stellę. Z Willa zostało teraz niewiele więcej niż kości. Cały tamten czas, całe tamto życie były już tylko przeszłością, po której zostały jedynie rozproszone szczątki. Także Celia i LaShawna były początkowo ciche, pogrążone w swoich własnych myślach.

Smuciła je perspektywa rozstania, ale wszystkie miały rzeczy do robienia w domu, rzeczy kochane i wyczekiwane. Celia mieszkała z Hamiltonami, pracowała w ośrodku

pomocy dla Szewitów w Marylandzie i wiodła własne życie. LaShawna uzupełniała wykształcenie w miejscowej szkole średniej i zamierzała pójść do pielęgniarskiej szkoły pomaturalnej. Razem z ojcem opiekowała się matką, która teraz nie bardzo mogła zajmować się sobą, oraz małą siostrzyczką.

Tak wiele się zmieniło przez kilka krótkich miesięcy.

Stella usiadła wyprostowana na stosie poduszek i zataczała dłonią kręgi, obniżając głowę jak dziobiący ptak, a LaShawna poszła za jej przykładem. Celia jęknęła cicho w słabym proteście, ale dołączyła do nich w łóżku stojącym najdalej od zasłoniętego kotarą okna. Dotykały się dłońmi, siedząc w kręgu, a Stella czuła, jak płoną jej policzki, a uszy się rozgrzewają.

- Kim jesteśmy - zaśpiewała LaShawna. - Czym jesteśmy/kim. Czym jesteśmy/kim. Wpuść nas, wypuść/kto.

Pieśń ta pomagała im się skupiać; śpiewały ją już przedtem w Sable Mountain, kiedy nie patrzyli ani nie słuchali nauczyciele i wychowawcy, a zwłaszcza po ciężkim dniu.

Ich zapachy wypełniły pokój. Między nimi przeskakiwało coś na kształt elektryczności i LaShawna zaczęła buzczyć na dwa tony, dwa potoki nad- i podmowy. Była w tym dobra, lepsza od Stelli.

Dzień zdawał się topnieć, a Stella czuła napięcie odpływające jej z karku i pleców. Dziewczęta zaczęły sobie przypominać wszystkie dobre rzeczy, których doświadczały razem.

- Pięknie. Jesteśmy w tym - powiedziała LaShawna i znowu zaczęła buzczyć.

- Mogę-KUK wyczuć dziecko - stwierdziła Celia. - Jest taki maleńki i cichy. Pachnie jak Will, troszeczkę - jeśli dobrze pamiętam, to było tak dawno temu.

- Pachnie jak Will - potwierdziła Stella.

- Tak dobrze jest znowu być z wami dwiema - powiedziała Celia.

- Miałam sen o tym, parę tygodni temu - wyznała LaShawna. - Obudziłam się, byłam z przyjaciółkami, ale wszędzie było ciemno i zagłądałam tak głęboko w siebie, że aż bolało. Zobaczyłam tam coś. Słabą poświatę ukrytą na dnie...

- Niby co? - zapytała Celia, wiercąc się w zachwycie.

- Pokażę ci - odparła LaShawna i mocno przycisnęły do siebie wnętrza swych dłoni.

Celia zagryzła wargę i zamknęła oczy.

- Patrzę w głąb.

- Widzisz ich? - szepnęła LaShawna. Nucily cicho: - Jeśli zabierzesz/zdejmiesz to/wszystkie dni i lata/wszystkie myśli... Kim jesteśmy/Hmmm. Głęboko w jaskini. Wpuść nas, wypuść nas/Kto?

Stella sięgnęła w stronę LaShawny, kierując się dotykiem dłoni. Dostrzegła coś rzeczywiście na dnie długiej, głębokiej studni, jakieś trzy kształty, teraz, a potem cztery, połączone z nią dziecko. Niczym cztery świetliste, złote ziarna zboża, ukryte na dnie czterech osobnych tuneli pamięci i życia.

- Kim są? - zapytała cicho Celia, nadal mająca zamknięte oczy.

Stella zacisnęła teraz swoje, aby wyraźniej widzieć owe osobliwe rzeczy.

- Są jak my, częścią nas, ale daleko od nas, znacznie niżej - powiedziała LaShawna.

- Są takie ciche-KUK, jakby spały. Spokojne.

- Dziecko niezbyt się różni od naszych - zauważyła Stella.

- Dlaczego?

- Może są ważne, a my jesteśmy jedynie cieniami na drodze wiodącej ku nim. Jesteśmy może dla nich duchami, hmmm... tracę ich... już ich nie widzę - powiedziała LaShawna i z westchnieniem otworzyła oczy. - To było niesamowite.

Sen na jawie dobiegł końca, pozostawiając Stellę trochę oszołomioną. Powietrze w pokoju się ochłodziło, dziewczęta dygotały i śmiały się, potem mocnej zacisnęły dłonie, wsłuchując się w bicie własnych serc.

- Niesamowite - powtórzyła LaShawna. - Cieszę się, że też je widziałyście.

Siedziały tak całe godziny, stykając się tylko dłońmi, woniejąc i nic nie mówiąc, aż nadszedł świt.

## Jeziro Stannous

Trzeci śnieg tego roku spadł w końcu października, płaskie płatki opadały lekkim, kołyszącym się lotem pomiędzy drzewa, na glebę i zwirowe ścieżki Oldstock. Kaye wyszła pośpiesznie ze swej klasy w przegrzewanym budynku szkolnym, naciągając na ramiona kurtkę puchową. Sapiąc, ze zdrętwiałymi na zimnie ustami i palcami, dołączyła do Mitcha i Luce Ramone na ścieżce wiodącej do izby chorych - nie znosiła tej nazwy, gdyż wskazywała ona na niesprawność. Mitch objął ją ramionami. Szła szybko, wtulona w jego bok, patrząc nań z zaciśniętymi ustami i szeroko otwartymi oczami.

- Partnerzy i matki poboczne są w sali porodowej - powiedziała Luce. Większość dzieci - Szewitów, poprawiła się Kaye - nie używała przy nich podwójnej mowy, nad- i podmowy, bardziej z uprzejmości niż z niechęci czy ostrożności. Powoli, w ciągu ostatnich czterech miesięcy, Szewici nabrali zaufania do Kaye i Mitcha, wspólnie wypracowali procedury mające łagodzić związane z porodem obawy przyszłych matek. Kaye nie wiedziała, czy to bzdury bez znaczenia, czy nowy sposób postępowania. Przekona się jeszcze. Teraz w Oldstock było dwanaście cięż, a Stella pełniła bardzo ważną funkcję. Nie zapominaj o tym. Bądź dumna. Bądź odważna. O Boże!

Tak wiele rzeczy poznawano. Na tyle pytań znaleziono odpowiedzi. Ale dlaczego moja córka? Dlaczego ktoś, kto, jeśli umrze, zabierze mnie ze sobą, duszą, jeśli nie ciałem?

Ostatnie dwa miesiące były najszcześniejszymi w całym życiu Kaye, choć także najbardziej pełnymi napięcia i zakłopotania.

Pośpiesznie wspięli się po zaśnieżonych stopniach do starej izby chorych i wykładanymi linoleum korytarzami o tynkowanych ścianach, oświetlonych słabo świecącymi żarówkami, poszli do sali porodowej.

Stella siedziała na pochylonej i wyściełanej ławce, dysząc i oddychając głośno. Zardzewiałe łóżko na kółkach, z piankowym materacem i czystą białą pościelą, czekało na nią, gdyby zechciała spać. Zazgrzytała zębami w skurczu.

Kaye rozkładała narzędzia lekarskie, upewniwszy się przedtem, że odpowiednio długo były odkażane w starym autoklawie.

- Skąd wytrzasnęliście te antyki? - zapytała Jurijsa Sakartvelo, gdy ten wszedł z podniesionymi rękoma, ociekającymi wodą po szorowaniu. Jewgienia uśmiechnęła się do

Kaye, a jej pomarszczone policzki przybrały złocistozielony odcień, gdy naciągała rękawiczki na dłonie Jurija.

- Módl się, aby nie musieli nic robić - szepnęła ponuro Kaye do Mitcha.

- Ciii - ostrzegł ją Mitch. - Są lekarzami.

- Z Rosji, Mitchu - odparła Kaye. - Od jak dawna nie robili nic, co najwyżej składali złamaną nogę lub opatrywali ranę?

Kiedy Mitch zdrzemnął się na chwilę w dwunastej godzinie długiego porodu Stelli - rodzenie dzieci o wielkich głowach pozostawało niezmiennie ciężkim przeżyciem - Kaye stanęła na dworze przed izbą chorych, oddychając chłodnym powietrzem wczesnego ranka i patrząc na śnieg.

Kiedy Kaye uczyła w miejscowej szkole, Mitch pomagał Szewitom odbudowywać mały tartak, oczyszczać ze śmieci stare betonowe fundamenty i przystępować do budowy nowych domów dla rodzin.

Nie było jeszcze jasne, jaką postać przyjmą owe rodziny; przypuszczalnie nie będą się ograniczać jedynie do ojca, matki i dzieci; wiedza państwa Sakartvelo na ten temat była równie nikła co Kaye i Mitcha. Nigdy przedtem nie było tak dużych skupisk Szewitów, choć według niektórych jeszcze większe ich społeczności mieszkaly na wschodzie i południu Stanów, może w New Jersey, Georgii bądź Missisipi, na nizinach.

Plany domów tworzyli młodzi Szewici. Czuli się niepewnie, gdy pozostawali samotni dłużej niż kilka godzin. Kaye rozumiała oczywiście wybór wielkich okien, tyle lat męczyli się w zatłoczonych sypialniach, a nawet celach. Nie były jednak dostępne, na razie, okna z podwójnymi szybami, a zimy w Oldstock mogą być mroźne. Choć istniejące fundamenty ograniczały mocno ich wyobraźnię, niektóre z rysunków wyglądały bardzo dziwnie: łazienki i toalety bez ścian - po co prywatność? wiemy, co się dzieje - i wąskie „szyby zapachowe” łączące przyległe domy. Samo pojęcie prywatności musiało być chyba dopiero poznawane.

Najlepsze chwile Kaye spędzała z córką, Mitchem i demem Stelli. Większość uczniów z jej klasy należała do demu Stelli. Objawiane przez Stellę ciekawość i względna łatwość w kontaktach z tymi obcymi ludźmi, jej rodzicami, przeszły jakby na najbliższych Stelli i owa rozszerzona rodzina włączyła Kaye i Mitcha.

Natomiast Sakartvelowie traktowali Kaye i Mitcha dość uprzejmie, ale przeważnie trzymali na dystans. Wydawali się stać na uboczu nawet w stosunku do innych z ich

społeczności, może wskutek dawnej traumy i wielu lat samotnego życia, dorastania do wieku średniego w małej grupie.

Pojęcie i praktyka demów były ciągle rozbudowywane, ale te utworzone dotychczas stanowiły najbardziej trwałe, a także najstarsze grupy społeczne spośród wszystkich istniejących i próbowanych w Oldstock. Dem Stelli składał się z siedmiu stałych osób - trzech partnerów i czterech partnerek - oraz z dwunastu niestałych, zmiennych.

Członkowie demu zwykle nie spali z sobą, choć mogli się w sobie zakochiwać - Stella była w tym względzie bardzo stanowcza, ale nie mówiła zbyt jasno, z czym się to wiązało. Romantyczna miłość przybierała w Oldstock dziwne kształty, obejmowała wymienianie się suszonymi owocami, perfumami, gdy tylko były dostępne, rzeźbionymi w drewnie figurkami, ale takie zauroczenia rzadko miały coś wspólnego z seksem.

Seks wydawał się czymś zbyt ważnym, aby zostawiać go kaprysom romansu. Dopuszczalna była miłość, ale nie owe wrzące zawirowania nieprzewidywalnych uniesień.

Późnym latem ścieżki i lasy pachniały niekiedy niczym fabryka kakao po wybuchu, z dodatkiem wstrząsających i szczypiących w oczy woni piżma i cybetu. Widać było pary we wszelkich możliwych kombinacjach - niekiedy też trójki - spojone w otoczce samolubnej, pełnej macanek chwały, przeplatające się, chichoczące, woniejące, perswadujące - robiące wszystko oprócz seksu.

Kaye i Mitch początkowo uważali, że niektóre z tych par i trójek są zbyt młode, ale szesnastolatki wkrótce dowiodły im, że się mylą; parząc się z sobą, choć nie miały romansu i niemal nigdy nie należały do tego samego demu.

Dzieci, które nie osiągnęły jeszcze dojrzałości, mogły zostawać młodszymi członkami romansujących grup, ale takie związki były mniej jawne, bardziej ograniczone i służące nauczaniu. Miłość i nowe odmiany namiętności miały zapewne znaleźć wiele nowych postaci w społeczeństwie Szewitów, a domy miały odzwierciedlać wszystkie te nowości.

Myśli Kaye uciekały od jedynej rzeczy, której nie chciała rozważać; nie teraz. Od tylu lat pragnęła troszczyć się o córkę, być przydatna dla Mitcha i Stelli. CDC potwierdziło jednak, że jest to w istocie syndrom występujący po SHEVIE. Miała go Luella Hamilton, podobnie jak wielu innych.

Czubki palców Kaye i częściowo jej łydki drętwiały coraz mocniej z upływającymi miesiącami, chodziła wolniej, traciła siły i wytrzymałość.

Nie mówiła o tym nikomu w Oldstock, choć Mitch wiedział. Kaye rzadko była w stanie ukrywać przed nim ważne sprawy. Oczywiście oprócz tych, o których nie chciał słyszeć.



Wołający nawiedził ją zaledwie tydzień temu. Krótka wizyta, przyjemna, ale nierozstrzygająca; czysto towarzyska. Zapytała, czy będzie jej wolno pożyć tak długo, aby ujrzeć narodzonego wnuka.

Jak poprzednio, żadnej odpowiedzi.

Na sali porodowej Stellę otaczały wszystkie członkinie jej demu. Na przemian śpiewały i czytały fragmenty ze starych ksiąg dla dzieci, stykały się głowami, wilgotnymi wnętrzami swych dłoni tarły jej dłonie, aby ją uspokajać i zmniejszać ból.

Stella odchyliła się wreszcie, a jej oczy jakby zapadały się w głąb głowy. Wydała długi, głośny wrzask, operowy w swym natężeniu, a pokój wypełnił zapach słonej wody i fiołków. Wszystkie jęczały razem, bez żadnego znaku, działo się tak po prostu, będzie działo, zawodziły w pod-, nadpieśni współczucia i powitania.

Stella mocno wykręciła ciało i wypchnęła swego syna na wielki świat. Jęczenie przycichło, gdy badano dziecko, a potem przeszło w radosne świergotanie i chichotanie.

Jewgienia i Kaye razem przenieśli dziecko na brzuch Stelli. Staruszka uśmiechnęła się do Kaye.

- Teraz jesteś prawdziwą babcią - powiedziała.

Wyszło łożysko. Jurij szybko odsunął je na bok i umieścił w stalowej miseczce wyłożonej plastikowym woreczkiem. Ku zdziwieniu Kaye nalegał na przecięcie pępowiny, a potem owinął i zabrał łożysko. Gąbką nasączoną środkiem dezynfekującym wytarł całą krew, a następnie przyniósł miednice z wodą z mydlinami i nalegał, aby wszyscy umyli ręce.

Starannie umył Stellę.

- Może to być niebezpieczne, nie dotykajcie - nalegał, po czym wynosząc tkanekę opuścił izbę chorych.

Kaye nie była zdolna do zastanawiania się nad tym ani martwienia. Ścisnęła się z córką i z kobietami demu, z Mitchem i pewnym młodym mężczyzną zastępującym Willa, który wyglądał na zmieszanego i zaskoczonego swą niespodziewaną rolą.

Noworodek, pomarszczony i maleńki, wił się powoli w ramionach Stelli, szukając piersi, a potem spojrzął na nich wszystkich, rozwierając powieki, aż wydawało się, że na twarzy ma jedynie oczy - dzikie, ruchliwe, skupione. Jego policzki błyskały na złoto i różowo, melanofory układały się najpierw w szereg wzorów przypominających płatki kwiatów. Wszyscy w pokoju, z wyjątkiem Kaye i Mitcha, odpowiadali oseskowi tymi samymi kolorami i kształtami płatków kwiatów i motyli, iskrami i błyskami, zaś niemowlę dostrzegało to, wyczuwało zapach ich radości i zachwytu. Uśmiechało się z błogością i spokojem świętego, gdy chwyciło sutek.

Od tego uśmiechu Kaye zaparło dech. Ścisnęła rękę Mitcha. Ten, nigdy nie przestając być antropologiem, z wielką ciekawością przyglądał się demowi, matkom pobocznym, wszystkim Szewitom w pokoju.

- Czy wybrałaś już imię? - zapytała Stellę Kaye.

Ta marzycielsko pokręciła głową.

- Daj nam czas. Coś ładnego.

Trochę później, karmiąc synka, Stella rozluźniła się i zasnęła. Na jej policzkach nadal pojawiały się wzory. Nawet śpiąc, nowa matka potrafiła okazywać swoją miłość.

Noworodek wypuścił sutek matki i popatrzył na Mitcha.

- Śpiewaj - powiedział.

Dem wybuchnął śmiechem, a młody mężczyzna zastępujący Willa ogarnięty nagłą emocją objął ich wszystkich i ucisnął dłoń Mitcha. Kaye dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się doń, zaś Mitch ukląkł przy łóżku i zaśpiewał abecadło, to samo, które śpiewał dla Stelli. - Ach, bach, cii, duch, ech, foch, guch, hech, koch, ich, juch, em...

Wnuczek Mitcha uspokoił się i ujął sutek Stelli. Powieki jego wielkich, nakrapianych purpurą oczu stały się ciężkie, a potem się zamknęły. Tak jak matka zapadł w sen, zanim Mitch doszedł do wuch.

**Epilog**

**SHEVA2+1**

## Lone Pine, Kalifornia

Kaye próbowała poruszać ustami. Takie cudowne myśli. Takie proste, jasne. Gdyby tylko mogła pomówić z mężem.

Mitch patrzył na lampę na stole, brwi miał zmarszczone; słyszał miarowy oddech żony, szum monitora medycznego i niewiele więcej. Kiedy jej oddech zmienił rytm, Mitch powoli odwrócił głowę i dostrzegł ruch warg. Pochylił się, zadając sobie pytanie, czy Kaye nie wraca doń, ale oczy wpatrywały się w dal i kiedy patrzył, zamrugały tylko raz.

Mimo wszystko usta się poruszały. To bolało. Wszelkie oczekiwania rodziły cierpienie. Okresy paraliżu Kaye następowały coraz częściej. Mitch pochylił się, żywiąc dziecięcą nadzieję na ujrzanie swojej żony, swojej kobiety, jak wraca do niego, poczynając od drobnych ruchów. Zniżył ucho do jej ust i poczuł oddech poruszający włoski na skórze płatka ucha. Wydech Kaye nasilał się, usiłował przybrać postać paru słów.

Mitch nie mógł mieć pewności, co słyszał, jeśli w ogóle słyszał cokolwiek. Odsunął się, aby spojrzeć na twarz Kaye, i zrozumiał, że z nadludzkim wysiłkiem usiłuje ona przekazać myśl, którą uważa za ważną. Najlżejsze ściągnięcie przez nią brwi, napięcie policzków, ustawienie powiek przypominały mu szczere rozmowy sprzed lat, kiedy to starała się wyrazić coś wykraczającego poza jej zdolność pojmowania czy możliwości. Taka była jego Kaye, zawsze sięgająca poza treść, którą mogą wyrażać słowa.

Przysunął ucho, niemal zatykając jej usta. Miał wrażenie, że przez chwilę słyszał swoje imię, a potem:

- Coś... się dzieje. Nasłuchiwał znowu.

- Coś... się staje.

- Potem leżała bezwładnie. Oddychanie unosiło prześcieradło, ale oczy były nieruchome. Twarz miała bez wyrazu. Wydawała się nasłuchiwać.

Czuła miłość zalewającą ją falami, pragnienie jednocześnie tak przemożne i przerażające, słodycz wykraczająca poza moc. Jej śmierć jeszcze nie przyjdzie, nie w tej chwili, nie tej godziny, tyle wiedziała, ale niewiele już wiązało ją z tym światem.

Mogła więc zostać objęta i usłyszeć wszystko.

Nie było teraz żadnych obaw o uzależnienie.

Stella przyniosła dziecko i usiadła z nimi. Miała na sobie prosty strój, a chłopczyka trzymała w luźno tkanych powijkach - twierdziła bowiem, że jest tak gorąco krwistą istotą, iż prawie nigdy nie marznie i gniewa się, gdy jest przykrywany.

- Wybraliśmy imię mówione - powiedziała. Potem, zerknąwszy na matkę, zapytała Mitcha, czy Kaye ich słyszy.

- Nie wiem - odparł Mitch. Wyglądał na ogromnie zagubionego. Stella dała mu wnuka do potrzymania i poprawiła pościel, w której leżała jej matka.

- Nie ma sprawiedliwości, co? - zapytała cicho, pochylając się ze złocistymi policzkami. - Wygląda spokojnie. Myślę, że może nas usłyszeć.

Mitch przyglądał się wdechom i wydechom Kaye, powolnym, prostym.

- Jakie to imię? - spytał.

- Będziemy nazywać go Sam - odparła Stella. - Nie potrafię wymyślić nic lepszego. Dem sądzi, że to dobre imię.

Tak miał na imię ojciec Mitcha.

- Nie Samuel?

- Jedyne Sam. Już lubi to imię. Jest silne, krótkie i nie przeszkadza w mówieniu innych rzeczy.

Sam powiercił się, chciał, aby go postawić. Mając sześć miesięcy już troszkę chodził, umiał też oczywiście mówić, ale tylko wtedy, gdy chciał, a to zdarzało się rzadko.

Mitch usiłował się dopatrzeć podobieństwa do Kaye w rysach Sama, ale brwi były zbyt krzaczaste. Chłopiec za bardzo przypominał Mitcha.

- Wygląda chyba jak Will - powiedziała Stella. Dotknęła policzka matki, chwyciła jej dłoń. - Ma zapach. Jest jej, ale inny. Nie jestem pewna, czy go rozpoznaję. A ty go wyczuwasz?

Mitch pokręcił głową.

- Może pachnie chorobą - uznał ponuro.

- Nie. - Stella pochyliła się, aby powąchać matkę od piersi do czubka głowy. - Pachnie jak dym z palonego drewna i jak kwiaty. Potrzebujemy jej, aby nas uczyła. Matko, tyle możesz mnie nauczyć.

Sam obszedł łóżko, chwytając się pościeli i wydając odkrywcze odgłosy.

Twarz Kaye nie zmieniła wyrazu, ale Stella dostrzegła, jak pod oczyma matki ciemnieją drobniutkie cętki. Nawet teraz Kaye potrafiła wyrażać swą miłość.

Wspomnienia odpływają. Jesteśmy kształtowani, ale na sposoby nam niepojęte. Wiemy, że myślenie i pamięć są biologią, a biologię zostawiamy za sobą. Wołający przemawia do wszystkich naszych umysłów i wszystkie one się modlą; wszystkie nasze umysły, od najniższych do najwyższych w przyrodzie, wołający zapewnia, że jest coś więcej, i to wszystko, co może uczynić. Jest ważne, aby każdy stworzony umysł miał całkowicie wolną wolę. Wolność ta jest ogromnie cenna; wzbogaca i wzmaga to, co wołający nazywa miłością.

Umysł i pamięć tworzą ogromnie cenną skórkę jeszcze cenniejszego owocu.

Jesteśmy rzeźbieni tak samo jak embrion; umieramy, komórki umierają, aby inne mogły przybrać kształt; kształt rośnie i się zmienia, widoczny jedynie dla wołającego; ostatecznie wszystko musi zostać odłupane, wniósłszy uprzednio swój wkład.

Wspomnienia odpływają. Jesteśmy kształtowani. Nie ma sądu, gdyż w życiu nie ma doskonałości, jedynie wolność. Powodzenie czy porażka są tym samym - oznaczają bycie kochanym.

Umrzeć, umilknąć, nie oznacza zostać zapomnianym czy utraconym.

Milczenie jest światłem przewodnim byłej miłości i bolesnego porodu.

Milczenie jest również sygnałem.

Mitch siedział przy Kaye, gdy przychodzili i odchodzili lekarze i pielęgniarki. Patrzył, jak coraz bardziej się uspokaja, jakby to było możliwe, gdy oddech wciąż powracał, a serce nadal biło z powolną, dudniącą łagodnością.

Ten wieczór, zanim się zdrzemnął, zakończył całując jej czoło i mówiąc:

- Dobranoc, Ewo.

Mitch spał na krześle. Cisza wypełniła pokój. Świat stał się jakby pusty i nowy. Milczenie wypełniło Kaye.

We śnie Mitch wędrował po wysokich, skalistych górach, gdzie na śniegach napotkał kobietę.

*Lynnwood, stan Waszyngton*

2002

## ZASTRZEŻENIA

Treść naukowa, zawarta w tej powieści, pozostaje w znacznej mierze kontrowersyjna. Nauka zwykle zaczyna się od spekulacji, ale z czasem muszą być one potwierdzone badaniami, dowodami empirycznymi, zatwierdzone przez uczonych. Wszystkie przedstawiane tutaj domysły opierają się wszakże w mniejszym bądź większym stopniu na badaniach opisanych w tekstach i w szanowanych czasopismach naukowych. Dołożyłem wielkich starań, aby zabiegać o krytykę dokonywaną przez naukowców i wprowadzać poprawki tam, gdzie zdaniem znawców zbyt zbytnio zbaczałem na manowce.

Mimo to na pewno nie ustrzegłem się błędów, ale obciążają one wyłącznie mnie, a nie naukowców czy innych chętnie udzielających pomocy czytelników, których wymieniam w podziękowaniach.

Także przedstawiane tutaj spekulacje teologiczne opierają się na dowodach empirycznych, osobistych i zaczerpniętych z wielu ważnych książek. Owe dowody są jednak niesamowite i wyjątkowo trudne do przedstawienia w sposób naukowy, gdyż z konieczności nie sposób ich potwierdzić. Prawda dla ich świadków nie staje się przez to w żadnej mierze mniej oczywista; po prostu ten rodzaj doświadczeń życiowych należy do tej samej kategorii co inne doznania ludzkie, takie jak miłość, myślenie abstrakcyjne i twórcze, natchnienie artystów.

Wszystkie te doświadczenia są osobiste i niepotwierdzalne, choć jednocześnie powszechne; żadnego z nich współczesna nauka nie jest w stanie łatwo określić ilościowo ani zrozumieć.

Nasuwa się oczywiste pytanie dotyczące ewolucji: czy opowiadam się za neodarwinowską przypadkowością, czy za teistycznym projektem zewnętrznym?

Odpowiedź brzmi: za żadnym z tych poglądów. Czy opowiadam się za fundamentalistyczną bądź kreacjonistyczną koncepcją naszych początków? Nie.

Moim zdaniem życie na Ziemi składa się z licznych warstw sieci neuronowych. Wszystkie współdziałają w rozwiązywaniu takich problemów jak uzyskanie dostępu do zasobów albo dalsze istnienie. Wszystkie żywe istoty mierzą się z problemami stawianymi im przez otoczenie i wszystkie są przystosowane, aby próbować, z rozsądną dawką powodzenia, rozwiązywać owe problemy. Umysł człowieka jest jedynie kolejną odmianą tego naturalnego

procesu, niekoniecznie najbardziej wyrafinowaną czy najwyżej rozwiniętą. Odsyłam do mojej powieści Vitals.

Wprowadzam także rozróżnienie między osobowością samoświadomą a umysłem. Ludzka samoświadomość jest zjawiskiem psychospołecznym, wynikającym ze sprzężenia zwrotnego zachodzącego podczas wzorowania się na zachowaniach sąsiadów oraz, niemal przypadkowo, z takiego modelowania własnego zachowania, aby dopasować je do aktywności społecznej. Jednym z odgałęzień tej zdolności jest pisanie powieści.

Jaźń nie jest złudzeniem; istnieje rzeczywiście. Nie jest jednak jednolita, nie jest podstawowa i nie zawsze to ona kieruje.

Wydaje się, że Bóg nie wprowadza drobnych poprawek ani do dziejów ludzkości, ani przyrody. Wolność ewolucyjna jest równie ważna co indywidualna wolność człowieka. Czy Bóg w ogóle ingeruje? Poza moim, i nie tylko moim, przekonaniem, że poznajemy obecność czegoś, co możemy nazywać Bogiem - co niewątpliwie jest rodzajem ingerencji - mogę odpowiedzieć jedynie, że nie wiem.

Kiedy Kaye doświadczała swej epifanii, uświadamiała sobie, że „wołający” przemawia nie tylko do niej, ale także do innych umysłów w niej i poza nią. Epifania nie ogranicza się do naszej świadomej jaźni, ani nawet do istot ludzkich.

Wyobraźmy sobie epifanię dotyczącą naszej podświadomości, naszych umysłów wewnętrznych - systemu odpornościowego - albo sięgającą poza nas, aby dotykać lasu czy oceanu... bądź też rozległych i rozproszonych „umysłów” jakiegokolwiek systemu ekologicznego.

Jeżeli jedynym uczciwym podejściem przy próbach zrozumienia zarówno przyrody, jak i Boga jest pokora, to na pewno takie wyobrażenie powinno nam pomóc, sprawiając, że spokorniejemy.



## KRÓTKI ELEMENTARZ BIOLOGICZNY

Ludzie są organizmami zbudowanymi z wielu komórek. Większość naszych komórek posiada jądro, zawierające „projekt” budowy całego organizmu. Miejscem przechowywania tego projektu jest DNA (kwas dezoksyrybonukleinowy); DNA wraz z uzupełniającymi go białkami pomocniczymi i organellami stanowi komputer molekularny, czyli cząsteczkowy, wyposażony w pamięć niezbędną do skonstruowania określonego organizmu żywego.

Białka są maszynami molekularnymi zdolnymi do wykonywania niewiarygodnie skomplikowanych działań. To silniki życia, natomiast DNA jest matrycą kierującą wyrobem owych silników.

W komórkach eukariotycznych DNA składa się z dwóch splecionych z sobą nici - „podwójnej helisy” - ciasno upakowanych w złożonej strukturze zwanej chromatyną, która w każdym jądrze komórkowym jest uporządkowana w chromosomy. Pomijając kilka wyjątków, jak czerwone ciała krwi i wyspecjalizowane komórki układu odpornościowego, w każdej komórce ciała ludzkiego DNA jest pełne i identyczne. Naukowcy szacują, że genom człowieka - komplet instrukcji genetycznych - liczy od sześćdziesięciu do stu tysięcy genów. Geny są elementami dziedzicznymi; definiuje się je często jako odcinki DNA zawierające instrukcje kodowania jednego białka bądź kilku białek. Instrukcja ta może ulec transkrypcji, czyli zostać przepisana na nić RNA (kwas rybonukleinowy); następnie rybosomy dokonują translacji, czyli odczytania pierwotnych instrukcji DNA, i przeprowadzają syntezę białek. Niektóre geny pełnią inne funkcje, na przykład tworzą RNA wchodzące w skład rybosomów.

Wielu naukowców uważa, że pierwotną cząsteczką kodującą życie było RNA, a DNA powstało później.

Większość komórek ciała poszczególnych osobników zawiera dokładnie takie samo DNA podczas ich wzrostu i rozwoju, lecz w każdej komórce inna jest ekspresja owego materiału genetycznego, czyli proces jego odczytywania i przepisywania. To dlatego identyczne komórki eukariotyczne stają się różnymi tkankami.

Podczas transkrypcji DNA w RNA wycięciu ulega wiele intronów, czyli tych odcinków nukleotydów, które nie kodują białek. Po wycięciu pozostają fragmenty kodujące białka, tak zwane egzony, które są następnie scalane. Powstała po transkrypcji cząsteczka RNA może zawierać różne zestawienia owych egzonów, a przez to tworzyć różne białka. Tak więc jeden gen może powodować powstawanie w różnym czasie wielu odmiennych wyrobów.

Bakterie to małe organizmy jednokomórkowe. Ich DNA nie jest skupione w jądrze, lecz rozproszone w całej komórce. Genom bakterii nie ma intronów, składa się wyłącznie z egzonów, dzięki czemu stworzenia te są bardzo zwarte i sprawne. Bakterie mogą się zachowywać jak organizmy społeczne; różne ich odmiany współdziałają bądź rywalizują w środowisku przy odnajdywaniu i wykorzystywaniu jego zasobów. W warunkach naturalnych bakterie często skupiają się, tworząc kolonie w postaci biofilmów. Przykładem takich biofilmów może być warstewka śluzu powstająca w lodówce na zepsutych warzywach. Biofilmy mogą występować także w naszych wnętrznościach, przewodach moczowych i na zębach, powodując niekiedy kłopoty zdrowotne; ponadto wyspecjalizowane kolonie bakterii chronią naszą skórę, jamę ustną i inne części ciała. Bakterie mają ogromne znaczenie i chociaż niektóre mogą wywoływać choroby, inne są niezbędne dla naszego istnienia. Niektórzy biolodzy uważają, że bakterie stanowiły załazek wszystkich form życia, a komórki eukariotyczne - takie chociażby jak te tworzące nasze ciała - powstały z dawnych kolonii bakterii. W tym sensie możemy być po prostu statkami kosmicznymi przenoszącymi bakterie.

Bakterie wymieniają między sobą małe, koliste cząsteczki DNA, zwane plazmidami, które uzupełniają genom bakterii i pozwalają im szybko reagować na zagrożenia, na przykład w postaci antybiotyków. Plazmidy tworzą wspólną bibliotekę, do której mogą sięgać bakterie wielu różnych rodzajów, aby ich życie stawało się bardziej skuteczne.

Bakterie i niemal wszystkie inne organizmy żywe mogą paść ofiarą ataku wirusów. Wirusy są bardzo małe, zwykle stanowią jedynie opakowane cząsteczki DNA lub RNA i nie potrafią rozmnażać się samodzielnie. Aby się rozmnażać, przejmują władzę nad maszyną reprodukcyjną komórki i zmuszają ją do tworzenia nowych wirusów. Wirusy atakujące bakterie są nazywane bakteriofagami („zjadaczami bakterii”) albo w skrócie fagami. Wiele fagów przenosi materiał genetyczny swych bakteryjnych żywicieli, podobnie jak niektóre wirusy zwierzęce i roślinne.

Niewykluczone, że wirusy powstały z tych odcinków DNA, które potrafią poruszać się w komórce, zarówno w obrębie jednego chromosomu, jak i między chromosomami. Wirusy to zasadniczo wędrowne odcinki materiału genetycznego, które nauczyły się „przywdziewać skafandry kosmiczne” i opuszczać komórkę.

# KRÓTKI SŁOWNICZEK TERMINÓW NAUKOWYCH

**Antybiotyki:** obszerna klasa produkowanych przez różnego rodzaju organizmy substancji, które potrafią zabijać bakterie. Antybiotyki nie działają na wirusy.

**Antygen:** obca substancja bądź część organizmu, która wywołuje tworzenie przeciwciał jako część wzbudzenia odpowiedzi odpornościowej.

**Bakterie:** prokarioty, małe żywe komórki, których materiał genetyczny nie jest zamknięty w jądrze komórkowym. Bakterie pełnią bardzo ważną funkcję w przyrodzie i stanowią podstawę wszystkich łańcuchów pokarmowych.

**Bakteriofag:** patrz fag.

**Białko:** geny często kodują białka, które wspomagają budowę i działanie organizmu. Białka to zespoły cząsteczek składające się z łańcuchów dwudziestu różnego rodzaju aminokwasów. Białka mogą się łączyć w łańcuchy lub grudki. Kolagen, enzymy, liczne hormony, keratyna i przeciwciała to tylko drobna część różnych rodzajów białek.

**Chromosom:** zespół ciasno upakowanych i zwiniętych cząsteczek DNA. Komórki diploidalne, takie jak komórki organizmów ludzkich, mają dwa garnitury po dwadzieścia dwa autosomy oraz dwa chromosomy płciowe; komórki haploidalne, takie jak gamety - plemniki bądź komórki jajowe - mają tylko jeden garnitur chromosomów. Całkowita liczba chromosomów różni się u małp i ludzi. Liczby chromosomów u gatunków zwanych naszymi przodkami, takich jak Homo sapiens neandertalensis i Homo erectus nie są znane; wszelkie DNA uzyskiwane ze skamielin, nawet stosunkowo niedawnych (mających poniżej 20000 lat), ogranicza się zasadniczo do DNA mitochondrialnego. Poliploidalność - posiadanie dodatkowych garniturów chromosomów - prowadzi do bezpłodności potomstwa albo całkowicie wyklucza rozmnażanie się organizmów i często może wyznaczać barierę między gatunkami. Powinno to uniemożliwiać posiadanie dzieci przez osobników SHEVY z przedstawicielami starszej odmiany człowieka. Najwyraźniej tak nie jest. Zdumiewa to naukowców, konieczne są dalsze badania.

**Chromosomy płci:** u ludzi chromosom X i Y. Dwa chromosomy X determinują płć żeńską; X i Y męską. Inne gatunki mają odmienne rodzaje chromosomów płci.

**Człowiek współczesny:** Homo sapiens sapiens. Rodzaj Homo, gatunek sapiens, podgatunek sapiens. Nazwę Homo sapiens sapiens można przetłumaczyć „Człowiek mądry, wiedzący”, lecz także „Człowiek dyskretny, delektujący się”.

**DNA:** kwas dezoksyrybonukleinowy, słynna cząsteczka w postaci podwójnej helisy, która koduje białka i inne elementy mogące tworzyć fenotyp bądź kierować budową organizmu.

**Egzon:** odcinek DNA kodujący białka lub RNA.

**Element mobilny:** (element ruchomy): wędrujący odcinek DNA. Transpozony mogą się przemieszczać albo kopiować swoje DNA w różnych miejscach łańcucha DNA poprzez polimerazę DNA. Retrotranspozony zawierają własną odwrotną transkryptazę, która zapewnia im pewną niezależność od genomu. Jak wykazała Barbara McClintock i inni badacze, elementy mobilne wywołują u roślin różnorodność; niektórzy sądzą jednak, że są to najczęściej tak zwane „geny samolubne”, powielane bez korzyści dla organizmu. Genetycy znajdują coraz to nowe dowody wskazujące, że elementy mobilne w DNA powodują powstawanie zmian we wszystkich genomach, a może pomagają regulować rozwój embrionalny i proces ewolucji.

**ERV:** (skrót z ang. endogenous retrovirus) - renowirus endogenny: wirus umieszczający swój materiał genetyczny w DNA gospodarza. Włączony w DNA prowirus większość czasu tkwi w uśpieniu. ERV mogą być dawne i fragmentaryczne, tak więc nie są już w stanie tworzyć wirusów czynnych.

**Fag:** wirus, którego gospodarzem jest bakteria. Wiele rodzajów fagów zabija swych gospodarzy niemal natychmiast i może służyć jako środek antybakteryjny. Liczne bakterie mają co najmniej jeden fag specyficzny dla nich, a często jest ich wiele. Fagi i bakterie zawsze, mówiąc ewolucyjnie, prowadzą walkę o przewagę.

**Fenotyp:** budowa fizyczna organizmu bądź odrębnej grupy organizmów. Fenotyp jest określany przez genotyp oddziałujący ze środowiskiem i rozwijający się w nim.

**Feromon:** wiadomość chemiczna wysyłana przez osobnika, która wpływa na fizjologię i zachowanie innych członków tego samego gatunku. Feromony wywołują ten sam skutek bez względu na to, czy owa wiadomość chemiczna jest odbierana świadomie (wyczuwana jako zapach), czy też nie. Feromony ssaków, w postaci

„zapachów społecznych”, z którymi jeden osobnik danego gatunku styka się podczas kontaktu z innym, powodują zmiany na poziomie hormonalnym i w zachowaniu. Patrz: womeroferyna.

**Frażanie:** także flehman albo flehmen. Wciąganie powietrza nad narządem przylemieszowym w celu wykrywania feromonów. Patrz: narząd przylemieszowy.

**Gen:** definicja genu się zmienia. Ostatnio za gen uważa się „odcinek DNA lub RNA pełniący określoną funkcję”. Dokładniej przez gen można rozumieć taki odcinek DNA, który koduje jakąś cząsteczkę, najczęściej białko. Oprócz nukleotydów kodujących białko gen zawiera także odcinki określające, jak silna będzie ekspresja genu, jakiego rodzaju białka dotyczy i kiedy nastąpi. Geny poddane działaniu różnych bodźców mogą tworzyć odmienne połączenia białek. Można śmiało uznać gen za maleńki warsztat i komputer wewnątrz znacznie większej fabryki i komputera, czyli genomu.

**Genom:** całość materiału genetycznego jakiegoś organizmu. U ludzi, jak się okazuje, genom składa się z około trzydziestu tysięcy genów - od połowy do jednej trzeciej liczby przewidywanej w czasie ukazania się oryginału Radia Darwina.

**Genotyp:** skład genetyczny organizmu lub odrębnej grupy organizmów.

**Glikom:** pełen zestaw cukrów (węglowodanów) i pokrewnych związków zawartych w komórce. Cukry mogą się łączyć z białkami i lipidami, tworząc glikoproteiny i glikolipidy.

**HERV:** (skrót z ang. human endogenous retrovirus) - ludzki retrowirus endogenny. Nasz materiał genetyczny zawiera wiele śladów po dawnych zakażeniach retrowirusami. Niektórzy badacze szacują, że nawet jedna trzecia całego naszego materiału genetycznego może się składać ze starych retrowirusów. Jak dotąd nie jest znany ani jeden przykład owych dawnych genów wirusowych wytwarzających cząstki zakaźne (wiriony), które mogą się przenosić z komórki do komórki poprzez przekazywanie pionowe bądź poziome. Wiele HERV-ów wytwarza jednak w komórce cząstki wirusopodobne i nie wiadomo dotychczas, czy cząstki te pełnią jakąś funkcję ani czy stwarzają kłopoty. Wszystkie HERV-y są częścią naszego genomu i są przekazywane pionowo podczas rozmnażania, od rodziców do potomstwa. Zakażenie gamet przez retrowirusy jest na razie najlepszym wyjaśnieniem obecności HERV-ów w naszym genomie. ERV, czyli wirusy endogenne, występują w wielu innych organizmach.

**Homo erectus:** ogólne określenie skamieniałości rodzaju Homo, datowanych

chronologicznie i ewolucyjnie jako poprzedzające Homo sapiens. Homo erectus był bardzo udanym gatunkiem człowieka, żyjącym co najmniej milion lat. Nazywanie jakichkolwiek z tych skamieniałości „naszymi przodkami” jest wątpliwe z przyczyn zarówno naukowych, jak i filozoficznych, lecz stanowi prosty i łatwy do zrozumienia opis złożonych związków pokrewieństwa. W literaturze naukowej napotykamy wiele poglądów na charakter owego pokrewieństwa, lecz szybki rozwój genetyki doprowadzi przypuszczalnie w ciągu następnych kilkunastu lat do jego ustalenia i uproszczenia.

**Introny:** odcinki DNA, które zwykle nie kodują białek. W większości komórek eukariotycznych geny składają się z przemieszanych egzonów i intronów. Introny są wycinane z przepisywanego RNA matrycowego (mRNA), zanim trafia on do rybosomów; rybosomy wykorzystują kod zawarty w odcinkach mRNA do budowy z aminokwasów określonych białek. Bakterie nie mają intronów.

**Kromaniończyk:** wczesna odmiana człowieka współczesnego, Homo sapiens sapiens, odkryta w Cro-Magnon we Francji. Homo to nazwa rodzaju, sapiens gatunku, a drugie sapiens podgatunku.

**Ksenotransplant:** przeszczep człowiekowi tkanek i narządów nie pochodzących od innego człowieka. Ksenotransplantami w przeszłości były narządy pawianów i innych małp. Obecnie większość badań nad przeszczepami ksenologicznymi skupia się na tkankach i narządach świń. Przeszczepy takie mogą być ryzykowne ze względu na istnienie w tkankach dawców uśpionych wirusów (patrz ERV, opryszczka, PERV.) Opisany w tej książce przypadek pani Carli Rhine jest nieprawdopodobny w prawdziwym życiu; jej choroby wynikają z nieszczęsnego połączenia stosunkowo rzadkich ewolucyjnych reakcji wirusowych i przeszczepu. Mimo to możliwości zakażenia wirusowego albo rekombinacji wirusowej u ludzi, którym przeszczepiono tkanki zwierzęce, są całkowicie realne i wymagają dalszych badań.

**Lipidy:** grupa związków organicznych, takich jak tłuszcze, olejki, woski i sterole. Lipidy mogą tworzyć liczne składniki budujące komórkę, w tym jej ścianę lub błonę.

**Lipom:** pełen zestaw lipidów zawartych w komórce. Lipidy mogą także łączyć się z cukrami i białkami (patrz: glikom i proteom).

**Mitochondrium, mitochondria:** organelle komórkowe przetwarzające cukry dla uzyskania powszechnego paliwa komórek, adenozyntrifosforanu, czyli w skrócie

ATP. Powszechnie uważa się, że mitochondria to silnie dostosowani potomkowie bakterii, którzy miliardy lat temu zostali wchłonięci przez komórki gospodarza. Mitochondria posiadają własne pętle DNA, stanowiące w każdej komórce oddzielny genom. DNA mitochondrialne, jako krótsze i prostsze, jest często używane podczas analizowania skamieniałości.

**Mutacja:** zmiana w genie lub odcinku DNA. Może być przypadkowa, obojętna, a nawet szkodliwa; zdarzają się także korzystne, prowadzące do powstania bardziej wydajnych białek. Mutacje mogą powodować zmienność fenotypu albo budowy fizycznej organizmu. Mutacje przypadkowe są zazwyczaj obojętne bądź groźne dla zdrowia organizmu.

**Narząd przylemieszowy:** (zwany też narządem Jacobsona): składa się z dwóch jam o wylotach w podniebieniu albo w przegrodzie nosowej. Narząd ten u ssaków poza człowiekiem wychwytuje feromony wywołujące odpowiedź hormonalną i różnice w zachowaniu się obu płci. „Frąchanie” to określenie opisujące wciąganie powietrza przez jamy wiodące do tego narządu, u niektórych ssaków znajdującego się w podniebieniu jamy ustnej. Można czasami zauważyć, jak koty podczas wachania czegoś ostrego ściągną górną wargę; nosi to także nazwę reakcji flehman lub flehmen, związanej zwykle z badaniem moczu, oznaczaniem terenu zapachami itp. Podobnie zachowują się węże, ściągnąc zapachy z powietrza swymi wystrzelowanymi językami. Ludzie mają jamy przylemieszowe, chociaż bardzo niewielkie i dość trudne do odnalezienia; mogą one odgrywać jakąś rolę w łączeniu się w pary i w innych zachowaniach. W roku 1995 artykuł w czasopiśmie naukowym przestrzegł chirurgów plastycznych, aby podczas wykonywania zabiegów chirurgii odtworzeniowej zachowywali ludzki narząd przylemieszowy, gdyż jego uszkodzenie wywołuje utratę zainteresowania sprawami seksu, co może prowadzić do procesów sądowych.

**Neandertalczyk:** Homo sapiens neandertalensis. Być może przodek człowieka. Dzisiejsi antropolodzy i genetycy prowadzą obecnie spór, czy neandertalczyki byli naszymi przodkami, opierając swe argumenty na DNA mitochondrialnym ekstrahowanym z dawnych kości. Dowody są niejednoznaczne najprawdopodobniej dlatego, że po prostu nie wiemy jeszcze, jak powstają i jak się rozwijają gatunki i podgatunki.

**Odpowiedź immunologiczna:** (odporność, uodpornienie): przywołanie i przygotowanie komórek obronnych organizmu do odparcia ataku i zniszczenia

patogenów, czyli organizmów chorobotwórczych, takich jak wirusy lub bakterie. Odpowiedź immunologiczna za obce może uznać także komórki niepatogeniczne bądź część zwykłych tkanek organizmu; przeszczepione narządy wywołują odpowiedź immunologiczną i mogą zostać odrzucone. Choroby autoimmunologiczne, takie jak stwardnienie rozsiane i różne rodzaje reumatoidalnego zapalenia stawów, mogą występować lub nawracać w odpowiedzi na spowodowane stresem uaktywnienie się wirusów. U ludzi jako przyczynę niektórych chorób autoimmunologicznych wskazuje się uaktywnienie wirusów ERV.

**Opryszczka:** HSV-1 lub 2. Odmiany wirusa opryszczki pospolitej są odpowiedzialne za opryszczkę wargową i opryszczkę narządów płciowych. Choć wirusy opryszczki nie są retrowirusami, mogą przez lata tkwić uśpione w komórkach nerwowych, a potem uaktywniać się w odpowiedzi na stres. Ospa wietrzna i jej nawracająca postać, półpasiec, są także chorobami pokrewnymi opryszczce.

**Patogen:** organizm chorobotwórczy. Jest wiele różnych odmian patogenów: wirusy, bakterie, grzyby, protisty (zwane poprzednio pierwotniakami - protozoa) i wielokomórkowce (metazoa), takie jak nicienie.

**PERV:** (skrót z ang. porcine endogenous retrovirus) - świński retrowirus endogenny. Dawne retrowirusy występujące w genomie świń. Patrz: ERV.

**Poliploidalność:** patrz chromosom.

**Proteom, proteomika:** pełen zestaw białek zawartych w komórce bądź zespole komórek, albo w całym odrębnym organizmie. Różne tkanki z tego samego zestawu genów wytwarzają odmienne białka; aktywacja genów w odrębnych tkankach w różnym czasie powoduje zróżnicowanie proteomu komórek. Rozpoznanie, które geny zostały uaktywnione, jest możliwe poprzez zidentyfikowanie białek bądź innych produktów genowych (patrz: glikom i lipom).

**Prowirus:** kod genetyczny wirusa wówczas, gdy jest zawarty w DNA gospodarza.

**Przeciwciało:** cząsteczka, która łączy się z antygenem, neutralizuje go i uruchamia inne sposoby obrony przed intruzem.

**Radiologia:** tworzenie obrazów wnętrza ciała z wykorzystaniem promieniowania. Należy tu prześwietlanie rentgenowskie, skanowanie metodą PET (skrót angielskiej nazwy positron emission tomography, czyli pozytonowa tomografia emisyjna), skanowanie metodą CAT (skrót angielskiej nazwy computerized axial tomography, czyli komputerowa tomografia osiowa), itd.



**Rekombinacja:** wymiana genów między organizmami i wirusami albo wewnątrz tych grup. Rozmnażanie płciowe jest rodzajem takiej wymiany; bakterie i wirusy mogą dokonywać rekombinacji genów na wiele różnych sposobów. Rekombinację można także przeprowadzać sztucznie w laboratorium.

**Retrotranspozon, retropozon, retrogen:** patrz element mobilny.

**Retrowirus:** wirus zawierający nić RNA, który umieszcza swój kod w DNA gospodarza w oczekiwaniu na późniejszą replikację. Replikacja następuje często dopiero po latach. Retrowirusy powodują AIDS i inne choroby.

**RNA:** kwas rybonukleinowy. Pośrednia, uzupełniająca kopia DNA; rybosomy używają RNA matrycowego (mRNA) jako matrycy przy budowie białek. Wiele wirusów składa się z pojedynczej lub podwójnej nici RNA, zwykle transkrybowanej na DNA przez gospodarza.

**Sekwencjonowanie:** ustalanie kolejności cząstek w polimerze, na przykład białku lub kwasie nukleinowym; w genetyce: odkrywanie kolejności par nukleotydowych w genie bądź w odcinku DNA lub RNA, także w całym genomie. Ustalanie sekwencji całego genomu człowieka postępuje wielkimi krokami, ale wyciąganie wniosków opartych na tej narastającej wiedzy jest ciągle w powijakach.

**SHEVA:** fikcyjny ludzki retrowirus endogenny, który potrafi tworzyć zakaźną cząstkę wirusową, czyli wirion; HERV zakaźny. Jak dotąd taki HERV nie jest znany. W Radiu Darwina i w tej powieści SHEVA przenosi między osobnikami główne instrukcje takiego przekształcenia genomu, że daje to nową odmianę człowieka. W istocie SHEVA uruchamia istniejące już „odłogowe” odcinki genetyczne, które współdziałają na wypróbowane sposoby przy powstawaniu nieznacznie odmiennego fenotypu człowieka.

**Shiver:** hipotetyczne uaktywnienie uśpionych retrowirusów endogennych, do jakiego doszło u kobiety w ciąży SHEVA. Rekombinacja genów wirusów egzogennych i endogennych może wieść do powstawania nowych wirusów o nieznanych możliwościach patogennych.

**Szczepionka:** substancja wywołująca odpowiedź immunologiczną na organizm chorobotwórczy (patrz: przeciwciało, antygen, odpowiedź immunologiczna).

**Transpozon:** patrz element mobilny.

**Wirion:** zakaźna cząstka wirusowa.

**Wirus:** nieożywiona, lecz czynna organicznie cząstka, która potrafi wnikać do komórki i wykorzystywać jej aparat kopiujący do namnażania nowych wirusów.

Wirusy zbudowane są z DNA lub RNA, otoczonego zwykle płaszczem białkowym, czyli kapsydem. Kapsyd z kolei może otaczać osłonka. Znane są setki tysięcy odmian wirusów, mogą być też miliony dotychczas nieopisanych. Patrz: wirus egzogenny, ERV.

**Wirus egzogenny:** wirus, który nie umieszcza na dłuższą metę swoich genów w DNA gospodarza. Niektóre wirusy, takie jak MMTV, co jest skrótem angielskiej nazwy mouse mammary tumor virus, czyli mysi wirus raka sutka, posiadają przypuszczalnie zdolność decydowania, czy włączać, czy też nie, swój kod genetyczny do DNA gospodarza. Patrz: ERV.

**Womeroferyna:** nazwa rynkowa feromonu wykrywanego przez ludzki narząd przyłemieszowy (takiego samego jak feromony ssaków wykrywane przez ich narządy przyłemieszowe).

# KRÓTKIE WSKAZÓWKI

## BIBLIOGRAFICZNE

Zwięzłe, elegancko napisane i konserwatywne opisanie teorii ewolucji w ramach neodarwinizmu można znaleźć w książce Richarda Dawkinsa *River out of Eden: A Darwinian View of Life*, BasicBooks 1995 (wydanie polskie: *Rzeka genów*, Warszawa 1995). Dawkins należy do najlepiej piszących naukowców i jest znakomitym wzorcem dla wszystkich, którzy pragną podważać przyjmowane powszechnie koncepcje biologii i ewolucji. Uważam osobiście, że w wielu kwestiach się myli, ale prowadzi dyskusję na poziomie dla wielu nieosiągalnym.

Nowsza i poruszająca bardziej szczegółowe zagadnienia jest książka Ernsta Mayra podsumowująca całe jego życie naukowe, *What Evolution Is*, Perseus Book 2002. Stanowi kolejne jasne i nieustępliwe opowiedzenie się za paradygmatem dzisiejszego darwinizmu. Zapewne nie pojawi się już wybitniejszy obrońca dawnych poglądów na temat ewolucji darwinowskiej.

Nowe poglądy wyłaniają się w każdej chwili, nawet tej.

Stephen Jay Gould już niestety opuścił ten świat. Polecam wszystkie jego pełne wiedzy i pasji książki i eseje, ale zwłaszcza niedoskonałą, choć pomimo to fascynującą i pouczającą książkę *Wonderful Life*, Norton 1989.

Dobrym wprowadzeniem do lepszego zrozumienia zamętu, w jakim znalazła się teoria ewolucji, jest książka Nilesa Eldredge'a *Reinventing Darwin: The Great Debate at the High Table of Evolutionary Theory*, Wiley 1995. Eldredge i Gould są obecnie uważani za twórców koncepcji skoków ewolucyjnych, zwanej punktualizmem, ale pogląd taki można znaleźć wcześniej w dziełach takich mistrzów jak Ernst Mayr, a nawet już u Darwina. Bez względu na jej autorstwo, idea punktualizmu była jednym z głównych bodźców, które doprowadziły mnie do napisania *Radia Darwina*. Gould i Eldredge nie ponoszą oczywiście najmniejszej winy za błędy tej książki.

Książka Petera J. Bowlera *The Non-Darwinian Revolution: Reinterpreting a Historical Myth* (John Hopkins 1988) jest jednocześnie w pełni naukowa i zajmująca.

Doskonałym wprowadzeniem do genetyki jest książka *Dealing with Genes: The Language of Heredity*, autorstwa Paula Berga i Maxine Singer, University Science Books

1992 (wydanie polskie: Język genów, Prószyński i S-ka 1997). Choć ma już kilkanaście lat, zawarte w niej informacje są nadal użyteczne, a cała postawa autorów jest skierowana na przyszłość. Może zapewnić przygotowanie czytelnika do poniżej opisanych pozycji.

Lynn Margulis i Dorion Sagan doskonałą krytykę neodarwinizmu zawarli w książce *Acquiring Genomes: A Theory on the Origins of Species*, BasicBooks 2002. Margulis jako jedna z pierwszych rozważała systemy współpracujące i symbiotyczne, zaś wraz ze swoim synem Dorionem tworzy najbardziej stymulujący zespół autorski piszący książki popularnonaukowe o współczesnej biologii.

Jeszcze bardziej radykalna od Margulis, choć równie jak ona uprzejma i zachowująca zdrowy rozsądek, jest Lynn Caporale, której książka *Darwin in the Genome: Molecular Strategies in Biological Evolution* (McGraw-Hill 2003), w jasny i przemyślany sposób bada, jak genomika kształtuje i przemienia dyskusję dotyczącą ewolucji.

Książka *Lamarck's Signature: How Retrogenes are Changing Darwin's Natural Selection Paradigm*, której autorami są Edward J. Steele, Robyn A. Lindley i Robert V. Blanden (Perseus Books 1988), skupia się na jednej z możliwych przyczyn i na rozstrzygającym czynniku zróżnicowania genomu.

Podstawową pozycją w nowoczesnej biologii jest książka *Retroviruses* pod redakcją Johna M. Coffina, Stephena H. Hughesa i Harolda E. Varmusa, Cold Spring Harbor Laboratory Press 1997. Ten przeznaczony głównie dla profesjonalnych badaczy rygorystyczny i pionierski zbiór artykułów jest pełen przydatnych informacji.

Ogromne znaczenie dla moich dwóch powieści miała książka Frederica Bushmana *Lateral DNA Transfer Mechanism & Consequences*, Cold Spring Harbor Laboratory Press 2002. Stanowi ona ważne omówienie wszystkiego, co obecnie wiadomo o transformacji DNA poprzez wirusy, transpozony, plazmidy itd. Uważam tę pozycję za jedną z najbardziej znaczących książek biologicznych wydanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Książka Jamesa V. Kohla *The Scent of Eros* [dokładniej: James V. Kohl, Robert T. Francoeur - *The Scent of Eros. Mysteries of Odor in Human Sexuality* - przyp. tłum.] (1995; nowe, poprawione wydanie: Continuum 2002) jest bogatym źródłem danych na temat feromonów, porozumiewania się ludzi za pośrednictwem zapachów oraz wpływu zmysłu węchu na seksualność człowieka.

Wspomnianym dziedzinom poświęcono wiele wspaniałych tekstów w innych książkach popularnonaukowych, podręcznikach i czasopismach. Poszukiwanie nazwisk autorów i tematów w księgarniach sieciowych może być dobrym sposobem na skakanie po różnych kwestiach. Dzięki temu zapoznamy się z bardzo drobną częścią zasobów Sieci.

Wpisywanie w wyszukiwarkach sieciowych, takich jak Google, odpowiednich słów kluczowych („HERV”, „Retrotranspozon”, „Barbara McClintock”, „Homo erectus”, „Mitochondria” itd.) może wysłać zainteresowanego czytelnika jednocześnie do rajy i na pole minowe recenzowanych i nierecenzowanych artykułów naukowych, zadań i osiągnięć badawczych, poglądów, a nawet nielicznych tyrad o zróżnicowanym stopniu erudycji. Trzeba być bardzo ostrożnym - łatwo natrafić na dziesiątki, jeśli nie setki kreacjonistycznych i innych religijnych stron internetowych zwalczających ewolucję, które na pozór dość klarownie omawiają kwestie ewolucji i genetyki. Na ogół przedstawiana w nich strona naukowa jest w najlepszym przypadku wątpliwa.

Mimo wszystko poprzez poszukiwania prowadzone w Google natrafiłem na doskonałe artykuły Luisa P. Villarreala. Największe wrażenie spośród nich wywarł na mnie ten zatytułowany *The Viruses That Make Us: A Role For Endogenous Retrovirus In The Evolution Of Placental Species*, dostępny w Sieci pod adresem <http://darwin.bio.uci.edu/faculty/villarreal/newl/erv-placental.html>.

(Doktora Villarreala, Erica Larssona i Howarda Temina nie należy jednakowoż winić za to, jak ich idee zostały przedstawione w tej powieści).

Strona internetowa Jamesa V. Kohla, [www.pheromones.com](http://www.pheromones.com), zawiera wiele odnośników do artykułów i innych stron omawiających biologię węchu. Strona internetowa Molecular Sciences Institute, [www.molsci.org](http://www.molsci.org), jest pełna ciekawych wiadomości i wyników badań. International Paleopsychology Project, [www.paleopsych.org](http://www.paleopsych.org), jest izbą rozrachunkową fascynujących poglądów, o licznych linkach kierujących do innych stron internetowych.

Co jakiś czas będę uzupełniał wskazówki bibliograficzne na stronie [www.gregbear.com](http://www.gregbear.com), podobnie jak umieszczał komentarze czytelników dotyczące podwalin teoretycznych powieści z cyklu Darwin.

## PODZIĘKOWANIA

Na szczególne podziękowania zasługują następujące osoby: dr Mark Minie, dr Rose James, dr Deirdre V. Lovecky, dr Joseph Miller, Dominic Esposito z National Cancer Institute, dr Elizabeth Kutter, Cleone Hawkinson, dr Alison Stenger, David i Diane Clarkowie, dr Brian W. J. Mahy, dyrektor Division of Viral and Rickettsial Diseases w Centers for Disease Control and Prevention, dr med. Karl H. Anders, dr med. Sylvia Anders, Howard Bloom z International Paleopsychology Project, dr Cynthia Robbins-Roth, James V. Kohl, Oliver Morton, Karen Anderson, Lynn Caporale i dr Roger Brent.